
Pryzmat
Literacki

2025

Pryzmat Literacki nr 6/ 2025

Wydawca:

Związek Literatów Polskich Oddział w Szczecinie
al. Wojska Polskiego 90
70-482 Szczecin

ISSN 2719-6895

Redakcja:

Leszek Dembek (redaktor naczelny), *Danuta Sepuco* (sekretarz redakcji)

Projekt okładki:

Klaudia Wiszniowska-Proksa

Na okładce:

Fotografie prezesów szczecińskiego oddziału ZLP (od lewego górnego rogu):
Jerzy Andrzejewski (1950-1952), **Witold Wirpsza** (1952-1954; 1955-1956,
Nina Rydzewska (1954-1955; 1956-1957), **Ireneusz Gwidon Kamiński**
(1958-1960; 1962-1963; 1967-1970; 1983-1989; 1993-1996), **Ryszard Li-**
skowacki (1960-1962; 1971-1976), **Czesław Czerniawski** (1963-1964), **Mi-**
chał Misiorny (1964-1965), **Wiesław Rogowski** (1965-1967), **Erazm Kuźma**
(1967-1971), **Jerzy Jan Pachlowski** (1976-1981), **Eugeniusz Andrzej Dasz-**
kowski (1989-1990), **Ireneusz Krzysztof Szmidt** (1990-1992), **Wiesław An-**
drzejewski (1992-1993), **Wacław Włodzimierz Falkowski** (1996-2004), **Jó-**
zef Gawłowicz (2004-2011), **Róża Czerniawska-Karcz** (2011-2015), **Leszek**
Dembek (2015 -)

Redakcja zastrzega sobie prawo do dokonywania zmian w tekstach zamówionych.

Niezamówionych artykułów nie drukujemy.

Kontakt:

pryzmat.literacki25@gmail.com

Druk:

printshop.szczecin.pl

Rocznik „Pryzmat Literacki” współfinansowany przez Urząd Miasta Szczecin



Szczecin

Szanowni Czytelnicy!

Ważnym tematem szóstej edycji „Pryzmatu Literackiego” jest 75. rocznica powstania szczecińskiego oddziału ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH. Przypominamy w nim sylwetki, postacie pisarzy, którzy tworzyli ówczesne środowisko oraz tamte czasy, jak w artykule Ryszarda Markowa pt. „Pierwsze klubowe spotkania literackie”, który jest fragmentem przygotowanej do druku książki „Klub 13 Muz, pozostała legenda...”. O szczecińskim środowisku literackim i nie tylko wspomina też Karol Czejjarek, który pisze „osobiście brałem udział w jego rozwoju”. W kontekście Jubileuszu należy powiedzieć, że chyba już najwyższy czas, aby ukazała się naukowa monografia o Związku i naturalnym wydaje się, że jest to zadanie dla środowiska uniwersyteckiego.

Wspominamy Zenona Lacha-Ceraszyńskiego (1947-2025) poetę, reżysera wydażeń literacko-muzycznych na „Różance” i w Willi Lentza, organizowanych w ramach finału Międzynarodowego Konkursu Poetyckiego im. Józefa Bursewicz. Piszemy, jak ważną postacią była dla naszego środowiska osoba Zenka, który tworzył niezapomniane miniatury literacko-muzyczne i aurę wokół istoty i znaczenia poezji.

Sygnalizujemy tegoroczne wydania książkowe naszego środowiska literackiego: Roberta Florczyka, Edyty Rauhut, Krystyny Rodzewicz, Doroty Wysockiej-Rzeszutek, o które zabiegaliśmy, by się ukazały, można byłoby powiedzieć, aż do ostatniej chwili (liter).

Zgodnie z naszą wizją i koncepcją (niemonotematyczną) „Pryzmatu ...” poruszamy szeroko pojętą tematykę literacką, jak w tekście Jerzego Beniamina Zimnego pt. „Spadkobiercy Orientacji Hybrydy”, czy Wojciecha Czaplewskiego „Retoryka i skowyt, czyli wstęp do rzemiosła poezji”.

Należałoby zaznaczyć przy okazji jubileuszu, że strona tytułowa pisma, autorstwa Klaudii Wiszniowskiej-Proksy, jest swego rodzaju wyrazem uhonorowania szczecińskiego oddziału ZLP, któremu w tym roku nadano Medal za „Zasługi dla Kultury Polskiej”, przez ministrę Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Również w tym samym czasie przyznano Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” Róży Czerniawskiej-Karcz i Rafałowi Podrazie.

Jak zawsze istotną rolę przywiązujemy do naszych wywiadów, nawet z tego powodu powstało zasadnicze opóźnienie w wydaniu tegorocznego pisma, aby ujrzały światło dzienne wywiady z Markiem Bieńczykiem i Tadeuszem Gadaczem, których autorką jest Małgorzata Żukiel-Nowak. Należy podkreślić, że autorka wyspecjalizowała się w ich prowadzeniu, ukazując w nich szerokie konteksty poruszanej

tematyki. Dopełnieniem tego tematu jest tekst ks. prałata dr. Jana Marcina Mazura „Napełń myśli człowiecze – refleksje wokół osoby i dzieła ks. Józefa Tischnera (1931-2000)”. Przypomnijmy, że rok 2025 Senat Rzeczypospolitej Polskiej ustanowił Rokiem tego wybitnego filozofa, duchownego i intelektualisty. Ale rok 2025 to też Rok: Władysława Stanisława Reymonta, Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej oraz Wojciecha Jerzego Hasa.

O „Polskiej Safonie” – Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej – pisze wspomniana Róża Czerniawska-Karcz, kreśląc jej postać „literackim okiem” Rafała Podrazy.

Warto również zapoznać się z rozmową Anny Jakubczak z Moniką Wilczyńską, która mówi „o współczesnej literaturze dziecięcej, która coraz śmielej podejmuje trudne tematy, dla młodych czytelników”.

Nie mogliśmy i nie możemy przejść obojętnie wobec dziejących się na naszych oczach wojennych tragedii i konfliktów na świecie, o czym jest artykuł Stanisława Jarmoski „Kontrowersje wokół procesu humanizowania wojny”. A o innych dylematach, wpływających na słabą kondycję ludzkich postaw i zachowań jest esej Adama Hajduka „Współczesna sofistyka”. Jak również niepublikowany wywiad z Chantal Delsol „o kondycji współczesnego człowieka”, przypomnijmy – Delsol to francuska filozofka, profesorka i wykładowczyni Uniwersytetu Paris-Est Marne-la-Vallée.

Przedstawiamy mało znane fakty, w których Szczecin jawi się gdzieś na dalekim horyzoncie. Przykładem tego jest tekst Michała Bursy, mieszkającego w Krakowie, który nawiązuje do twórczości swojego słynnego ojca, Andrzeja.

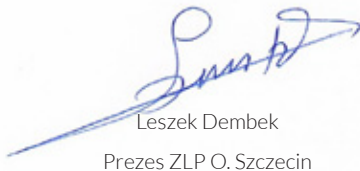
Przypominamy również aspekty historyczne naszego regionu, w ujęciu poetyckim, a w naszym roczniku przewodnikiem czasów minionych jest ceniony historyk – Jacek Brzustowicz.

Ale też piszemy o Zbigniewie Traczu – architekcie, rzeźbiarzu z naszego regionu, postaci niezwyklej, ale mało znanej, chociaż to czasy najnowsze.

Kontynuujemy temat AI w rozważaniach Grzegorza Haciskiego, Macieja Proksy, Dominiki Parszewskiej i Zuzanny Krakowskiej, która zastanawia się „Czy nadszedł Elektrybał”?

Nie zapominamy o XV Nocy Poetów, widzianej oczami jej uczestniczki Emilii Mehmédow, która pisze, że „Noc Poetów jest wspaniałą inicjatywą dla artystów, którzy jeszcze nie wyciągnęli swoich utworów z szuflady”.

Życzymy jak zwykle, udanego, intelektualnego żeglowania w tekstach „Pryzmatu”.



Leszek Dembek
Prezes ZLP O. Szczecin

Spis treści

POŻEGNANIA

Zenon Lach – Ceraszyński (1948-2025)	13
<i>Leszek Dembek</i>	
Zenon ze Szczecina – Nieuchwytny/Odnaleziony.	14
<i>Róża Czerniawska-Karcz</i>	
Zenonowi Lachowi-Ceraszyńskiemu... który wszedł w piąty wymiar	16
<i>Małgorzata Hrycaj</i>	
Pożegnanie Przyjaciela (nie tylko) po piórze Zenona Lacha–Ceraszyńskiego	19
<i>Małgorzata Hrycaj</i>	
Spotkanie z absyntem w tle	22

JUBILEUSZ 75-LECIA ODDZIAŁU SZCZECIŃSKIEGO ZLP 105. rocznica ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

<i>Zbigniew Milewski</i>	
O początkach ogólnopolskiej organizacji pisarskiej, czyli o Związku Zawodowym Literatów Polskich w II Rzeczypospolitej	25
<i>Leszek Dembek</i>	
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH ODDZIAŁ SZCZECIN 1950-2025 /zarys historii/	30

Zbigniew Milewski	37
Nikos Chadzinikolau	38
Ireneusz Krzysztof Szmidt	39
Jan Maria Gisges	40
Tadeusz Chudy	41
<i>Karol Czejarek</i>	
O szczecińskim środowisku literackim (i nie tylko literackim).	42
<i>Ludmiła Janusewicz</i>	
Środowisko literackie na Pomorzu Środkowym	
Koszaliński oddział Związku Literatów Polskich	50

HISTORIA I TERAŹNIEJSZOŚĆ

<i>Ryszard Markow</i>	
Pierwsze klubowe spotkania literackie	58
<i>dr Wojciech Kral</i>	
Legends pomorskie Tymoteusza Karpowicza – próba odbudowania pomorskiej tożsamości po 1945	74
<i>Grzegorz J. Brzustowicz</i>	
Historia w wierszu	78
<i>Grzegorz Jacek Brzustowicz</i>	
Od euforii do żałoby. Z dziejów gloryfikacji króla szwedzkiego Gustawa Adolfa w Księstwie Pomorskim Bogusława XIV	92
<i>Marek Rudnicki</i>	
Mgła spowija niepamięć.	107

PORTRETY

Anna Judge

Czy zasadnym jest mówienie o Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej jedynie jako o poetce miłości? 117

Michał Bursa

Mój ojciec... 120

Aneta Gawriłow

Wiersze z soli i drzewa – Jolanta Frydrykiewicz 127

Andrzej Androchowicz

Czesław Czerniawski – radiowiec i pisarz 138

Józef Gawłowicz

Jan Papuga 154

Ks. prał. dr Jan Marcin Mazur

Napełń myśli człowiecze.

Refleksje wokół osoby i dzieła ks. Józefa Tischnera (1931–2000) 158

Maria Jaremek

Camilla Mondral (1911–2002) 165

Jerzy Gąsiorek (Gąsior)

Tracz 190

Marta Tracz

Marzyciel w przestrzeniach 193

Katarzyna Szczęch-Banasiak

Wyróżniał go spokój ducha, miłość do drewna i natury.... 195

Magdalena Nowacka-Gotębiewska

Ahoj, Zbysku! 196

<i>Zuzanna Dzięgielewska z Warszawy</i>	
Ze Zbyszkciem	197
<i>Andrzej Nowacki</i>	
Zbych!	197
<i>Lucyna Prasil</i>	
Moje wspomnienie	198
<i>Grażyna Bogusławska</i>	
Zbyszek	200

WYWIADY

[Chantal Delsol] Kondycja współczesnego człowieka	201
[Monika Wilczyńska] Z dziećmi rozmawia się serio o emocjach, książkach i ilustracjach	209
[Marek Bieńczyk] Ucieczka zawsze była moim fantazmatem	218
[Tadeusz Gadacz] Myślenie bez dobra jest puste, a dobro bez myślenia ślepe	222

REFLEKSJE

<i>Stanisław Jarmoszko</i>	
Kontrowersje wokół procesu humanizowania wojny?	229
<i>Jerzy Benjamin Zimny</i>	
Spadkobiercy Orientacji Poetyckiej Hybrydy	245
<i>Andrzej Maria Dzierżanowski</i>	
Okruchy pamięci	249

<i>Maria Jaremek</i>	
Dałam się uwieść literaturze	252

<i>Olha Luhovenko</i>	
Konsekwencje braku przebaczenia	261

POEZJA EKSPERYMENTALNA

<i>M.P. Hardy</i>	
W szczelinach między słowami: eksperyment poetyckiej transgresji . . .	266

<i>Dominika Parszewska</i>	
Xiao Bing a sprawa polska	269

<i>Zuzanna Krakowska</i>	
Czy nadszedł Elektrybał? Poezja i sens w dialogu z maszyną	280

<i>Grzegorz Haciski</i>	
Konfiguracyjny Centon Muzyczny	284

ESEJ

<i>Adam Hajduk</i>	
Współczesna sofistyka	297

<i>Krystyna Rodzewicz</i>	
Karmienie nadziei	307

<i>Józef Gawłowicz</i>	
„Moby Dick”	310

FELIETON

M.P. Hardy

Narcyzm 2.0: samozachwyt w erze Cyfrowego Olimpu.	315
--	-----

PROZA

Krystyna Rodzewicz	321
--------------------------	-----

POEZJA

Anna Partyka-Judge.	326
--------------------------	-----

Andrzej Tchórzewski	329
---------------------------	-----

Magdalena Błażejczyk.	337
----------------------------	-----

RECENZJA

Czesław Sobkowiak

Niepewność	341
------------------	-----

Robert Rudiak

Fantastyczna ziemia w prozie Bogdana Jemielity.	344
--	-----

Edyta Rauhut

Sam na sam z Marią Pawlikowską-Jasnorzewską.	349
---	-----

Robert Florczyk

Maria Boniecka a „Ziemia i Morze” w „Ucieczce za druty”	351
---	-----

POETYCKIE IMPRESJE I INTERPRETACJE

Wojciech Czaplewski

Retoryka i skowyt, czyli wstęp do rzemiosła poezji 360

NOWOŚCI WYDAWNICZE

Róża Czerniawska-Karcz

Nowe książki w serii:akcent 368

MINIATURY LITERACKIE

Janusz Ziarnik

Gajówka 380

WYDARZENIA

Róża Czerniawska-Karcz

Od „Siostry Poetki” po ROK Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, czyli jak Rafał Podraza kontynuuje dzieło życia Magdaleny Samozwaniec 391

Małgorzata Hrycaj

Konkurs Poetycki imienia Józefa Bursewicza 2016–2025 404

Emilia Mehmedov

Mój debiut na XV Nocy Poetów 407

Danuta Sepuco

Literaci uczcili jubileusz. 75- lecie szczecińskiego oddziału ZLP 413

Literaci szczecińskiego oddziału
Związku Literatów Polskich
1950–2025

Fotoportrety	417
------------------------	-----

Jubileusz 75-lecia ZLP Oddział Szczecin w Książnicy Pomorskiej
14 listopada 2025 r.

Fotoreportaż	428
------------------------	-----

Galeria PRYZMATU

Andrzej Bursa – rysunek	435
Wojciech Czaplewski – grafika	438

POŻEGNANIA

Zenon Lach – Ceraszyński (1948-2025)

Szczecinianin. Oficer Wojska Polskiego w stanie spoczynku. Należał do Wojskowego Koła Literackiego „In Aeternum” przy Klubie 12. Szczecińskiej Dywizji Zmechanizowanej. Kandydat do szczecińskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Poeta. Animator i działacz kultury. Juror konkursów literackich, recytatorskich oraz przeglądów zespołów estradowych.

W wojsku debiutował poetyckim utworem „Jesteś moją Polską” w miesięczniku Pomorskiego Okręgu Wojskowego „Fakty i Wydarzenia”. Publikował w Almanachu literackim „Czas”, (Szczecin 1991), także w Antologii poezji zaduszkowej „W blasku świec” (RSLiA, Police 2014) oraz w Antologii poezji i prozy „Przeptywający świat słowa” (ZLP O. Szczecin, 2017). Jego wiersze znalazły się w „Pegazie Polickim”, dodatku literackim do „Więści Polickich” oraz w Almanachu IV Korytowskiej Nocy Poetów (2014).

Autor scenariuszy i reżyser wojskowych programów estradowych. Teksty własne piosenek poetyckich zamieszczał w programach Zespołu Estradowego Wojsk Kolejowych i Drogowych „Filary”. LAUREAT Festiwalu Zespołów Estradowych Wojska Polskiego w Połczynie Zdroju



Zenon Lach-Ceraszyński (zdj. archiwum ZLP Szczecin)

i Kołobrzegu. Jego dokonania w tej dziedzinie to także wybór i opracowania literackie tekstów piosenek do wierszy zachodniopomorskich poetów, realizacje scenariuszy i reżyseria corocznych koncertów poetycko-muzycznych do projektu Szczecińska (2016-2025) i Zachodniopomorska Wiosna Poezji (2016-2019).

Kreatywny uczestnik wielu przedsięwzięć szczecińskiego oddziału Związku Literatów Polskich, w tym Międzynarodowego Konkursu Poetyckiego „O Złotą Metaforę” im. Józefa Bursewicza. Autor dwóch tomów wierszy „piąte koło u słowa” (seria:akcent, wyd. hogben 2015) i „z piątego wymiaru” (seria:akcent, wyd.hogben 2019).

(opr. Róża Czerniawska-Karcz)

Leszek Dembek

Zenon ze Szczecina – Nieuchwytny/Odnaleziony

Gdy odszedłem, jak popularnie mówi się lub powiada, na zasłużoną emeryturę i nie odnalazłbym Zenona Lacha-Ceraszyńskiego (Ceraszyński to jego literacki pseudonim), wielu z nas, z grona literackiego nie poznałoby Zenka, w ogóle. Zenona znałem jeszcze z czasów służby wojskowej podobnie jak wielu innych żołnierzy kadry, noszących ten sam mundur wojsk lądowych. Wiedziałem o nim w zasadzie tylko tyle, że pracuje w Klubie Żołnierskim w 2. Pułku Artylerii, przy ulicy Mickiewicza i że też pisze wiersze, bo należał do Wojskowego Koła Literackiego, które działało raczej na zasadzie towarzyskich, nieregularnych spotkań.

Ale miałem jakieś wewnętrzne przecucie, i przekonanie, że muszę go odnaleźć, aby nadać nowy bieg Wojskowemu Kołu Literackiemu „In Aeternum”, którą to nazwę wymyślił Mirek Strągowski, uczestnik tejże grupy. Wtedy jeszcze nawet nie myślałem, że będę musiał stworzyć na kolejne lata koncepcję działania szczecińskiego oddziału ZLP.



„Różanka” – od lewej Zenon Lach-Ceraszyński i Leszek Dembek (zdj. archiwum ZLP Szczecin)

Postanowiłem swój zamiar wcielić w życie, i tak rozpoczęły się poszukiwania. I tu już na początku tych poszukiwań czekała mnie pewna niespodzianka, z uwagi na to, iż dowiedziałem się, że Zenek wyprowadził się ze Szczecina, z bliżej nieokreślonych przyczyn. Zacząłem jednak o Niego rozpytywać (tak przez trzy lata) przypadkowo spotkanych kolegów, którzy Go znali, ale z reguły otrzymywałem odpowiedź „nie wiem” lub „wyprowadził się ze Szczecina”, czyli przekładając na język wojskowy, opuścił swoje miejsce stałej dyslokacji. Jednak nie dawałem za wygraną, pomyślałem, przecież jest prosty sposób – najlepiej sprawdzić miejsce zamieszkania, zapewne czegoś się dowiem. Ale gdy mój dobry kolega stwierdził, że na pewno opuścił gród Gryfa, z nieznanych bliżej przyczyn, aczkolwiek były pewne domysły, że to na styku z ZBŻŻ, dałem za wygraną.

Jednak po jakimś czasie, przypadkowo dowiedziałem się, że Jego żona – Teresa, pracuje w kuchni w 12. Brygadzie Zmechanizowanej, postanowiłem zadzwonić. A przecież w tej brygadzie przestąpiłem prawie cały rok, czyż nie ironia losu? I o dziwo, dowiedziałem się z jej ust (która była mistrzynią rogaliaków z niezapomnianym nadzieniem różanym), że nigdzie nie wyjechał i mieszka dalej pod tym samym adresem. Poprosiłem o numer telefon i tym sposobem ponownie została nawiązana stała łączność, a tym samym, mówiąc żargonem wojskowym – gotowość do działania.

Kiedy w roku 2015 zastanawiałem się nad stworzeniem ogólnopolskiego konkursu poetyckiego, kluczową rolę kierownika artystycznego Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Józefa Bursewicza, postanowiłem powierzyć właśnie Zenkowi.

Należy wspomnieć w tym miejscu, że ten konkurs przez osiem edycji odbywał się w Parku Miejskim „Różanka”, mając też swoje barwne opowieści, oczywiście z kierownikiem artystycznym w tle.

Miałem świadomość, że ten wybór, to właściwa osoba, aby nadać właściwą rangę i poziom temu literackiemu wydarzeniu. Nie zawiodłem się, Zenek był bardzo wymagającym autorem scenariuszy i reżyserem, potrafiącym wyegzekwować, każdą zaplanowaną sekwencję scenariusza do ostatniej minuty, a nawet sekundy. I miał też dar tworzenia, niczym Tadeusz Kantor, swojej grupy aktorsko-muzycznej, której też wspólnie poszukiwaliśmy w Akademii Sztuki w Szczecinie. Opłacało się zatem poszukiwać Zenona L., bo udało się stworzyć, swego rodzaju kilka miniaturowych pereł sztuki literacko-muzycznej, która jest w tym zakresie, jak słynny wzorzec z Sevres pod Paryżem.

Zenku! Myślę, że te trzy lata poszukiwań, nie były stracone i bezcelowe, bo Jesteś, stałeś się ważnym drogowskazem na literackim szlaku, jak tworzyć sztukę przez duże S.

Róża Czerniawska-Karcz

Zenonowi Lachowi-Ceraszyńskiemu... który wszedł w piąty wymiar

*Mrze i poeta, ale nie umiera,
bo pozostawia nieśmiertelność Słowa
i nową kartę żywota otwiera,
mrze i poeta, ale nie umiera.*

*Pamięć potomnych i wdzięczna, i szczerą
pośród pokoleń żywego zachowa –
mrze i poeta, ale nie umiera,
bo pozostawia nieśmiertelność Słowa.**

Zenku, czyż nie tak powinno się mówić odchodzącym Poetom? Czy nie zapewnieniem właśnie, że odchodząc, pozostają nadal w materii Słowa, które jest nieśmiertelne...?

I póki pozostajesz we „wdzięcznej i szczerzej pamięci” nas dzisiaj i przyszłych pokoleń... to jesteś nieustannie pośród nas – w Twoich wierszach i adaptowanych piosenkach, w Twoich rozmowach, w wizerunku na fotografiach w ogrodach róż i na filmach, gdy kierujesz próbą przed koncertem, w muzyce, którą kochałeś i dzieliłeś się z nami, tworząc spektakle słowno-muzyczne na festiwalu, na uroczystości nie tylko wojskowe, na koncerty na „Różance”, w Willi Lentza, w Akademii Sztuki, na jubileusze literackie w Pałacu Młodzieży, czy w Kubryku literackim na Łasztowni.



Róża Czerniawska-Karcz i Zenon Lach-Ceraszyński podczas promocji tomu poezji „piąte koło u słowa” (zdj. archiwum ZLP Szczecin)

Gdzie Cię nie było? Gdzie nie zostawiłeś śladu swojej niepowtarzalnej obecności? Wojsko zawdzięcza Ci pamięć wydarzeń kulturalnych, Klub 12. Dywizji Twoją literacką i muzyczną obecność w Wojskowym Kole Literackim „In Aeternum”. Pałac Młodzieży, Zamek Książąt Pomorskich, „Szczeciński Parnas” w Teatrze Polskim – w których byłeś najcenniejszym Jurorem w konkursach recytatorskich. No i ostatnie dziesięciolecie ofiarowane nam, poetkom i poetom, pisarkom i pisarzom ze szczecińskiego oddziału Związku Literatów Polskich.

Czyż nie do tych działań odnoszą się wersy w Twoim wierszu **piąty wymiar:**
– zobacz doznaj i poczuj / samo życie!

Spełniałeś je nieustannie i z pasją!

To na naszych spotkaniach i we wspólnych działaniach realizowałeś swoje umiłowanie Słowa i Muzyki. To do naszego grona zapraszałeś, właśnie odkrytych, utalentowanych recytatorów i muzyków, którzy pod Twoim profesjonalnym kierownictwem i czułą opieką stawali się wirtuozami Słowa – Jan Kamiński, Jakub Tomala albo wirtuozami gry na wybranych instrumentach, akordeonie – Michał Dąbrowski czy Kamil Pędziwiatr, na altówce – Marta Korzekwa.

To na Twoje zaproszenie przybywali znakomici aktorzy szczecińskich scen, by przez lata współpracować w Twoim zespole, realizującym powyższe działania. Panie: Krystyna Maksymowicz, Ewa Sobczak, Ewa Witkowska, Panowie Przemysław Walich, Krzysztof Tarasiuk i inni, podnosili prestiż naszych wydarzeń, tak koncertowych jak i kameralnych wieczorów literackich. Tyle się działo dzięki Tobie i z Twoim udziałem!

Ale dla mnie najcenniejsze są wspomnienia naszych wspólnych spotkań, gdy składaliśmy Twoje tomiki poetyckie, gdy rozmawialiśmy o poezji, o Słowie, o obrazach, o które zabiegałeś u malarki, Pani Mirosławy Kucharskiej z Choszczna. I upiększyły Twój debiutancki tomik – **piąte koło u słowa!** Do drugiego swego tomu poezji, **z piątego wymiaru**, zaprosiłeś, a jakże, naszego znakomitego kolegę ze Stargardu, malarza, rzeźbiarza, poetę i pisarza, Edwarda Siekierzyńskiego. Obaj stworzyliście oryginalny i niepowtarzalny świat słowno-malarski, kreujący rzeczywistość w wielu wymiarach... zatrzymaliście Słowo i Obraz w nieskończoności.

Czy po tamtej stronie znowu tworzycie razem tak kreatywny Duet?

* * *

Och! **Zen-ku**, wielkąś
nam uczynił pustkę tym
odejściem swoim...

Ta parafraza mistrza z Czarnolasu jakże trafnie wpisuje się w tę moją refleksję o Tobie. Wielka pustka po Osobie, chociaż pozostało „nieśmiertelne SŁOWO”, ale... kontynuacji i następnych tomików, koncertów i nocnych rozmów nie będzie...

wrzesień 2025

**Z Aforyzmów perskich /triolet/, w przekładzie Remigiusza Kwiatkowskiego*

Małgorzata Hrycaj

Pożegnanie Przyjaciela (nie tylko) po piórze Zenona Lacha-Ceraszyńskiego

Z wielkim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci naszego Przyjaciela Zenona Lacha-Ceraszyńskiego. Zmarł 24. lipca 2025 r.

We wtorek, 28. lipca, w kaplicy na Cmentarzu Centralnym w Szczecinie, spotkaliśmy się z rodziną i przyjaciółmi Poety przy Jego trumnie. Były to poruszające chwile kontemplacji, modlitwy. Danuta Słowik odczytała jeden z Jego wierszy:

Morze Czarne

Dużo słońca
Szczęścia też
Za grosze
Witałem światem

*Fal szaropertowych
siły niespożyte
łowiłem palcami*

*Chciałem poznać siebie
a nie mogłem pojąć*

*Niebo nad tobą
czy to ty na niebie*

Złożyliśmy przy ciele Poety symboliczne białe róże, a muzyk – Michał Dąbrowski czerwoną – tuż przy sercu.

Nazajutrz, 30. lipca odbył się uroczysty pogrzeb Zenona. Rozpoczął się od nabożeństwa, odprawionego przez księdza–kapelana w Kaplicy Głównej na Cmentarzu Centralnym. Usłyszeliśmy wiele ciepłych słów o zmarłym. Oprawa muzyczna potęgowała wzruszenie. Szczególnie poruszający był moment, w którym wspomniany Michał Dąbrowski, młody artysta, biorący udział w organizowanych przez Zenka licznych koncertach słowno–muzycznych, zagrał na akordeonie utwór „Cisza” (skomponowany przez Niniego Rosso i Willy’ego Brezzę). Kolejny młody podopieczny, Jan Kamiński, żegnając swojego mentora, przeczytał dwa wiersze poety. Jednym z nich był utwór śpiewany podczas uroczystych spotkań i uznawany przez twórców, działających w szczecińskim oddziale Związku Literatów Polskich, jako swoisty hymn:

pomniki poetów

*Nie wynoście poetów na cokół
Oni w pomniki nie wierzą
Pióra do walki im dajcie
Tak jak karabin żołnierzom*

*Tam gdzie strachy na wróble
Gdzie snuje się cienia smuga
Będą pisać poeci
O barwach waszych tęczy
O kolorowych papugach*

*Poeci naostrzą pióra
Myśli zamienią w słowa
Ciebie i mnie napiszą*

*Odnajdą ciebie i mnie
Napiszą nas od nowa*

W kaplicy, i powtórnie przy grobie Zenona, zabrzmiał również wiersz Małgorzaty Hrycaj, napisany na okoliczność pogrzebu Poety:

kiedy milknie poeta

*znamy na pamięć mantry
powtarzane w kolejnych odśłonach
ze słowami zbyt obszernymi
gdy kurczy się codzienność
życie pełne zaskoczeń
najbardziej zaskakuje śmierć
pewien człowiek
miał w sobie humor i patos
wypełniony muzyką „jak drozd zamilkł
w lipcu”...
wyszedł niepostrzeżenie
z wczorajszego wiersza i „odszedł
zbyt daleko by wrócić”... wezwany przez
„piąty wymiar” w nieodkryte „zakońce” pozostawił herbatę i ciepły fotel /
lecz/ nie wyłączył światła
po latach perfekcyjnych w rozchętstanej
koszuli może wreszcie się spóźnić
na kolację pod błyszczącym rogalem
lepkim od konfitury / różanej/
„śpieszmy się kochać ludzi” ...**

*fragmenty wersów i odniesienia do wierszy ks. Jana Twardowskiego i Zenona Lacha

Ważnym akcentem była wielkiej wagi mowa, wygłoszona w miejscu pochówku Zenona przez Prezesa szczecińskiego oddziału Związku Literatów Polskich – Leszka Dembka. Po niej, w słowach chwytających za serce, wypowiedział się Michał Dąbrowski.

Pogrzeb Zenka zgromadził jego rodzinę, przyjaciół, m. in. literatów, nie tylko ze Szczecina, przybyli też przedstawiciele Regionalnego Stowarzyszenia Literacko-Artystycznego w Policach – pani Prezes Anna Słowińska i Stanisław Rapior.

Pożegnaliśmy Zenona Lacha-Ceraszyńskiego uroczyście, ale i serdecznie, z wiarą, że nie jest to rozstanie ostateczne i że odnajdziemy Go kiedyś w jego „piątym wymiarze”, by na nowo napisać siebie nawzajem i lepszy świat, doskonały. Póki co, dziękujemy za Jego Przyjaźń, czułą Obecność, kreatywność, aktywne działania na rzecz tego, by życie umieć dostrzegać, doznawać i odczuwać w pełni, przy którym, jak pisał inny poeta – Edward Stachura – „wszystko blednie, (...) nawet sama śmierć”.

Małgorzata Hrycaj

Spotkanie z absyntem w tle

8 września 2025 r. w szczecińskim INKU Inkubatorze Sektorów Kreatywnych miało miejsce Spotkanie poświęcone zmarłemu 24 lipca tego roku Zenonowi Lachowi-Ceraszyńskiemu. Uczestniczyli w nim rodzina oraz przyjaciele poety – aktorzy, muzycy, a także koleżanki i koledzy, działający wraz z nim pod auspicjami Związku Literatów Polskich Oddział w Szczecinie. Nie było ich wielu, może dlatego miało charakter kameralny, niezwykle, wręcz metafizyczny.

Rozpoczęło się zgodnie z planem, o godzinie 17.00, w Sali Kinowej, od zapalenia symbolicznego światła nadziei i projekcji filmu autorstwa Janusza Słownika. Przy wtórze przejmującej muzyki Chopina wszyscy mogli przypominać



(zdzj. archiwum ZLP Szczecin)

sobie chwile, zatrzymane w obiektywie aparatu Janusza, oglądać Zenona jeszcze po „jasnej” stronie, wśród przyjaciół i młodych podopiecznych, z którymi wielokrotnie realizował koncerty, łączące poezję z muzyką. Niezwykłe doznania, a przecież w ówczesnym świecie, dzięki coraz bardziej rozwiniętej technice, zwyczajne. Film zrobił na widzach wielkie wrażenie, ponownie łącząc dwa światy, ukazując liczne, ważne wydarzenia, w których dane im było wspólnie uczestniczyć. Znow uśmiechał się promiennie, zmarły dwa lata wcześniej, Edward Siekierzyński; zdjęcia jego obrazów znalazły się w najnowszej książce Zenona „Z piątego wymiaru”.

Po filmie, na scenie pojawili się Krystyna Maksymowicz oraz Przemysław Walich – aktorzy Teatru Współczesnego w Szczecinie, by recytować wiersze zmarłego poety – „piąty wymiar” i „pomniki poetów”, a następnie Małgorzata Hrycaj, jego koleżanka „po piórze”, wygłosiła refleksje zawarte w wierszu „kiedy milknie poeta”, ponownie uświadamiając słuchaczom smutną prawdę, że Zenon Lach może być obecny wśród nich już tylko duchem.

Wtedy nastąpiło „symboliczne przejście” przez drzwi z dużym zdjęciem namalowanego przez wspomnianego Edwarda Siekierzyńskiego okna, które Zenon zamieścił w swojej książce, jako fotografię do wiersza „zawahanie”:

zawahanie

Drzwi

nacisnąć klamkę pchnąć z tamtej strony zatrzaskną się same?

Szuflada

pociągnąć za uchwyt okradziona do dna pozostanie tajemnicą odartą ze skóry?

Okno

spojrzeć przez szybę otwartego na oścież już nie zamykać

trafić... na dwa Zakońce?

Goście znaleźli się w Sali Kominkowej, by w kameralnej atmosferze dzielić się poruszającymi wspomnieniami własnych doświadczeń z często długoletniej przyjaźni ze zmarłym. On sam pozornie mało zainteresowany, odwrócony bokiem, „nadstawiał ucha” z fotografii umieszczonej na kominku, podarowanej przyjaciołom ze szczecińskiego oddziału ZLP przez rodzinę poety w dniu jego pogrzebu.

Atmosfera tej magicznej godziny była niezwykła. Wszyscy przyznali po spotkaniu, że doznali metafizycznych wrażeń już od samego początku, kiedy prezes ZLP Oddział w Szczecinie, Leszek Dembek wykonał kolejny symboliczny

gest, zapalając szklany „Znicz Pamięci” w postaci naczynia napelnionego ab-syntem. Był to swoisty „apel” przywołujący bohatera wieczoru, a wraz z nim poetów z kręgu francuskiej bohemy artystycznej z XIX wieku, których darzył szczególną atencją. Po tym wprowadzeniu w pozazmysłową przestrzeń, przyjaciele podchodzili po kolei do kominka, by zapalać światełka pamięci i opowiadać o zmarłym, raz po raz bezpośrednio się do niego zwracając.

Znaczącym akcentem była obecność młodych przyjaciół Zenona – poety, Sebastiana Rosy i akordeonisty, Michała Dąbrowskiego. Ten ostatni zagrał wraz z saksofonistą, Mateuszem Prygoniem finałowy utwór, w tle którego wybrzmiał powtórnie przeczytany przez Małgorzatę Hrycaj wiersz „kiedy milknie poeta”.

Ciąg dalszy rozmów odbywał się przy poczęstunku, niczym podczas starosłowiańskiego obrzędu opisanego przez wieszczę Adama Mickiewicza w III części „Dziadów”. Wszyscy dzielili się wrażeniami ze spotkania, przyznając zgodnie, że było ono potrzebne i krzepiące, bowiem lżejszy jest ciężar żałoby rozłożony na wielość osób kochających zmarłego i pragnących zachować go w pamięci, *odnajdywać i pisać wciąż od nowa*. Nie pozwolić mu zniknąć w *zapamięci*, oddalić się zbyt daleko w *piąty wymiar*, na *dwa Zakońce*, goniąc za Wyrocznią Pytią trafić w *NIC bez początku i końca*.

JUBILEUSZ 75-LECIA
ODDZIAŁU SZCZECIŃSKIEGO ZLP
105. rocznica
ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Zbigniew Milewski

**O początkach ogólnopolskiej organizacji
pisarskiej, czyli o Związku Zawodowym Literatów
Polskich w II Rzeczypospolitej**

Po uzyskaniu niepodległości w 1918 roku wielu pisarzy zaangażowało się w działania zmierzające do powołania ogólnopolskiej organizacji literackiej, reprezentującej interesy i działającej na rzecz literatów i polskiej literatury. W wyniku ich starań został zwołany w dniach 12-14 maja 1920 roku w warszawskim ratuszu Wszechdzielnicowy Zjazd Literatów Polskich. W otwarciu Zjazdu uczestniczyli wiceminister sztuki i kultury, Jan Heurich i minister spraw wewnętrznych, Stanisław Wojciechowski oraz przedstawiciele władz Warszawy. Podczas jego obrad powołano Związek Zawodowy Literatów Polskich, określając go w ramach uchwalonego Statutu, jako „organizację bezpartyjną i apolityczną”, która za cel stawia sobie „zrzeszanie literatów polskich dla wspólnej obrony interesów materialnych, prawnych, moralnych i kulturalnych”.

Do statutowych zadań powołanej organizacji należało w szczególności dążenie do poprawienia bytu materialnego członków związku, w tym starania o zabezpieczenie członków na starość, w razie nieszczęśliwego wypadku

i niezdolności do pracy oraz ich rodzin na wypadek śmierci członka, walka z wyzyskiem księgarskim i wydawniczym oraz współdziałania z organami władz i samorządów celem wywierania wpływu na bieg spraw kulturalnych dla utrzymania i rozwoju literatury polskiej.

Członkiem Związku mógł zostać literat polski przyjęty przez Zarząd Związku. W skład Władz Związku wchodziły: zwoływane corocznie Zgromadzenie Walne delegatów, Zarząd oraz Komisja Rewizyjna. Wedle statutu w miejscowościach, w których gromadziło się przynajmniej dziesięciu członków Związku, mogły powstawać oddziały Związku, uczestniczące w zebraniach ogólnych za pośrednictwem delegatów, przy czym każdych dziesięciu członków miało prawo wybrać jednego delegata. Na Zjeździe dyskutowano również na temat powołania Akademii Literatury, ujednolicenia pisowni, konieczności wydania słownika języka polskiego oraz biblioteki pisarzy polskich. Zjazd utworzył specjalne komisje dla dalszych prac ww. tematami oraz dodatkowo do prac nad projektem prawa autorskiego oraz w celu utworzenia Spółdzielczego Towarzystwa Wydawniczo-Księgarskiego Pisarzy Polskich z księgarnią nakładową. Uchwalono też wnioski postulujące zniesienie cenzury, ustanowienie emerytur dla twórców i utworzenie za granicą specjalnych placówek popularyzujących polską literaturę i kulturę.

Zjazd w odrębnej uchwale zaprotestował przeciw zamiarom likwidacji Ministerstwa Sztuki i Kultury. Mimo tego w latach 1921-1922 zadania Ministerstwa Sztuki i Kultury zostały przejęte przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, gdzie powołano dla nich już tylko Departament Kultury i Sztuki, a od roku 1931 sztuka miała w tym ministerstwie już nawet nie departament, a załedwie wydział.

Majowy, warszawski Zjazd wybrał też Zarząd Związku Zawodowego Literatów Polskich, prezesem został Stefan Żeromski, wiceprezesem – Stefan Krzywoszewski, sekretarzem – Ludwik Skoczylas, skarbnikiem – Karol Irzykowski, członkami: Ksawery Glinka, Zygmunt Kisielewski, Zofia Nałkowska, Władysław Reymont, Waław Sieroszewski i Andrzej Strug. Mieszkający stale w Krakowie Ludwik Skoczylas nie był w stanie regularnie wypełniać przyjętych na siebie obowiązków sekretarza i złożył rezygnację. Decyzją Zarządu stanowisko to objął młody poeta i prozaik, Edward Kozikowski, który opracował wydany w 1931 roku „Pamiętnik Związku Zawodowego Literatów Polskich w Warszawie 1920-1930”, będący dziś podstawowym źródłem wiedzy o ZZLP. W listopadzie 1920 roku z funkcji prezesa zrezygnował Stefan Żeromski, który swą decyzję tłumaczył stanem zdrowia i trudnościami z dojazdem

na obrady Zarządu z Konstancina, gdzie wtedy mieszkał. W ostatnim roku życia Stefan Żeromski mieszkał na warszawskim Zamku Królewskim, gdzie w 1925 roku przyjął przedstawicieli ZZLP, wręczających mu, z upoważnienia Departamentu Sztuki, ustanowioną i jemu pierwszemu przyznaną Państwową Nagrodę Literacką. Następcą Żeromskiego na funkcji prezesa został Wacław Sieroszewski.

Powołany w Warszawie Związek miał być w zamierzeniu organizacją pisarzy całej Rzeczypospolitej, jednak jego oddziaływania miały charakter w zasadzie stołeczny, a droga do powstania takiego ogólnopolskiego stowarzyszenia okazała się daleka. Jeszcze w 1920 roku, niezależnie i bez porozumienia ze ZZLP, w samej Warszawie działały dwie inne związkowe organizacje pisarskie o identycznej nazwie, jako oddziały innych organizacji pisarskich ZZLP. Pierwsza z nich pojawiła się już w maju 1920 roku we Lwowie, choć systematyczną działalność wszczęła dopiero po zakończeniu wojny polsko-rosyjskiej, druga zaś powstała w Krakowie, a z obiema ogólnopolski Związek warszawski nawiązał kontakty i współpracę, traktując je jako samodzielne organizacje tworzące. W 1921 roku Związek warszawski polecił swemu zamieszkałemu w Wielkopolsce członkowi – Jerzemu Hulewiczowi zorganizowanie Oddziału ZZLP w Poznaniu, który powstał 8 maja 1921 roku jako filia Związku warszawskiego na zasadach autonomicznych. Zwołany w lutym 1922 roku do Warszawy Zjazd Delegatów Związków Zawodowych Literatów Polskich miał na celu połączenie wszystkich związków lokalnych w jedną organizacyjną całość, ale te działania skończyły się na opracowaniu „Zarysu Organizacyjnego Związków Zawodowych Literatów Polskich” i upełnomocnieniu Zarządu Związku warszawskiego ZZLP do sprawowania funkcji tymczasowego Zarządu Głównego Związku ZZLP. Jednak już na kolejnym Zjeździe Delegatów, odbytym we Lwowie w maju 1923 roku, uchwalony został większością głosów statut, wedle którego wszystkie lokalne związki, w tym powołane przez warszawski ZZLP w innych regionach II RP oddziały, miały się rządzić pod każdym względem autonomicznie.

W maju 1925 roku z inicjatywy Związku warszawskiego powstał Oddział ZZLP w Wilnie. Na kolejnym Zjeździe Delegatów w Warszawie w 1925 roku uchwalono koncepcję utworzenia federacji poszczególnych związków i uchwalono nowy statut, a na prezesa federacyjnego zrzeszenia wybrano Wacława Sieroszewskiego i wybrano Zarząd, który nie zdołał odbyć ani jednego prawomocnego posiedzenia. Kolejny Zjazd Literatów Polskich zorganizowany w Wilnie w roku 1928 postanowił o przejęciu wszystkich agend Zrzeszenia przez Zarząd

Związku warszawskiego ZZLP. W 1928 roku, dzięki kredytom udzielonym przez Bank Gospodarstwa Krajowego oraz pomocy rządu i miasta, ZZLP został wraz z Pen Clubem właścicielem kamienicy nr 34 (Kleinpoldowskiej) przy Rynku Starego Miasta, w której po remoncie i przebudowie obie organizacje miały znaleźć swe siedziby, i która wraz z zakupioną wcześniej przez Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy Polskich sąsiednią kamienicą Pod Murzynkiem, nazywana później Domem Literatów lub Domem Literatury Polskiej.

W roku 1932 utworzono ZZLP w Lublinie. W tym roku Zarząd Związku warszawskiego, którego prezesem była wtedy Zofia Nałkowska, zaczął faktycznie pełnić rolę kierownictwa w stosunku do wszystkich organizacji terenowych, a formalnego zjednoczenia organizacji dokonał Zjazd Delegatów w maju 1935 roku, wybierając Zarząd Główny ZZLP, którego prezesem został Ferdynand Goetel (Warszawa), wiceprezesem – Stanisław Pigoń (Kraków), sekretarzem generalnym – Edward Kozikowski (Warszawa), skarbnikiem – Julian Wołoszynowski (Warszawa), członkami zaś: Zofia Nałkowska (Warszawa), Leon Pomirowski (Warszawa), Leon Kruczkowski (Kraków), Włodzimierz Jampolski (Lwów), Ostap Ortwin (Lwów), Zenon Kosidowski (Poznań), Jan Emil Skiwski (Poznań) i Tadeusz Łopalewski (Wilno). Co do liczebności związku, mamy precyzyjne dane za rok 1930: warszawski ZZLP miał wtedy 186 członków, poznański – 62, krakowski – 53, lwowski – 42, wileński – 38; w sumie więc do tych pięciu organizacji należało 381 osób.

Związek skutecznie, od chwili powstania, inicjował fundowanie różnorakich lokalnych nagród literackich: od 1926 roku corocznej Nagrody m. st. Warszawy za całokształt twórczości lub za jeden utwór ogłoszony w ciągu ostatnich trzech lat, potem analogicznych nagród: Łodzi, Sosnowca, Poznania, Lwowa, Wilna, a w latach trzydziestych także m. in.: Krakowa, Grodna, Kalisza, Gdyni. Skutecznie też Związek interweniował, kiedy w 1926 roku pojawiło się zagrożenie zawieszenia Państwowej Nagrody Literackiej, która przyznawana była zawsze z udziałem delegatów ZZLP. Kolejnymi laureatami po Żeromskim byli: Kornel Makuszyński, Leopold Staff, Juliusz Kaden-Bandrowski, Ferdynand Goetel, Jerzy Szaniawski, Karol Hubert Rostworowski, Wacław Berent, Maria Dąbrowska, Kazimiera Iłakowiczówna, Zofia Nałkowska, Kazimierz Wierzyński, Wacław Borowy i Artur Górski. Delegaci ZZLP uczestniczyli również w pracach jury Nagrody Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek.

Od samego początku, czyli od Zjazdu w 1920 roku, ZZLP zabiegał o utworzenie Akademii Literatury Polskiej, która powstała w 1933 roku jako oficjalna reprezentacja polskiego piśmiennictwa artystycznego i liczyła 15 członków

dożywotnich – 7 mianowanych przez ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego oraz 8 wybranych przez tych pierwszych. W tak pomyślanej i uformowanej ALP Stefan Żółkiewski widział „instytucję służącą politycznej kontroli nad państwowym mecenatem w stosunku do kultury”.

Wśród ważnych spraw ze sfery ochrony i upamiętnienia dziedzictwa literackiego, podejmowanych przez warszawski ZZLP, wymienić trzeba uzyskanie subwencji na przeniesienie we Florencji zwłok Stanisława Brzozowskiego do własnego grobu (1928), uczestnictwo delegatów Związku w poczynaniach związanych ze sprowadzeniem do Polski zwłok Henryka Sienkiewicza (1924) i z odsłonięciem pomnika Adama Mickiewicza w Paryżu (1929), wreszcie organizację uroczystości jubileuszowych swych zasłużonych członków.

We Lwowie działający samodzielnie ZZLP uruchomił dla swych członków kasę pożyczek krótkoterminowych, pozyskiwał bilety wolnego wstępu do teatrów i kin lwowskich, pomagał w konfliktach z wydawcami, organizował bądź współorganizował wieczory literackie (których w latach 1922-1931 urządzono 55). W Krakowie podejmowano różne zabiegi na rzecz pomocy finansowej potrzebującym, udzielano porad prawnych, organizowano odczyty i wieczory autorskie; miał też krakowski Związek swoją Nagrodę Młodych. W Wilnie na początku 1927 roku dzięki staraniom Witolda Hulewicza uruchomiono Środy Literackie, które dotrwały aż do wybuchu II wojny światowej. Organizowano je również w Wilnie początkowo w bibliotece Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Stefana Batorego przy ul. Św. Anny, a w październiku 1929 roku Środy przeniosły się do nowej siedziby wileńskiego Związku, mieszczącej się w klasztorze bazylianów, gdzie literatom oddano do dyspozycji Celę Konrada i salę zebrań na 200 osób. Miał też wileński oddział ZZLP swoje pismo wychodzące pod tytułem „Środy Literackie”, choć ze środowiskimi spotkaniami u bazylianów nic nie mające wspólnego oraz własne nagrody literackie, których laureatami byli: Melchior Wańkowicz, Aleksander Rymkiewicz i Jerzy Putrament.

W wyniku wyborów pierwszym prezesem ZZLP w Poznaniu został Władysław Reymonta, który jednak tej funkcji nie przyjął, a następnie na prezesa wybrano Bolesława Koreywa. W Poznaniu organizowano m.in. Turnieje Poetów i Herbatki Literackie, a ustanowioną dzięki staraniom ZZLP pierwszą nagrodę literacką miasta Poznania otrzymał Roman Dmowski, co wywołało ogólnopolską dyskusję i protesty, gdyż kontrkandydatami byli: Stanisław Przybyszewski, Emil Zegadłowicz i Józef Weyssenhoff. Niezadowolone z działań poznańskiego Zarządu, w październiku 1933 roku doprowadziło do odsunięcia Koreywy i wyboru na prezesa Zenona Kosidowskiego, któremu udało

się powołać Zrzeszenie Związków Artystycznych Poznania i województwa poznańskiego, a także utworzyć przy „Dzienniku Poznańskim” dodatek kulturalno-literacki pod tytułem „Życie Literackie”. ZZLP uzyskał wtedy siedzibę w odrestaurowanym Pałacu Działyńskich przy Starym Rynku, gdzie też reaktywował słynne Czwartki Literackie, których tradycja sięgała jeszcze „złotego wieku” kultury Poznania w latach czterdziestych XIX wieku. Inauguracja tych nowych Czwartków odbyła się w październiku 1934 roku z udziałem ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego, Wacława Jędrzejewicza i prezesa PAL, Wacława Sieroszewskiego.

Ostatni przed II wojną światową Walny Zjazd Delegatów ZZLP obradował w Warszawie w dniach 27-28 maja 1939 roku.

Leszek Dembek

ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH ODDZIAŁ SZCZECIN 1950-2025 /zarys historii/

*Naród streszcza się w swej literaturze
i żyje przez nią, gdyż inaczej żyć nie może.
Politycznie może ona często błądzić,
narodowo nie błądzi nigdy...*

Henryk Sienkiewicz

Związek Literatów Polskich Oddział w Szczecinie powstał 15 listopada 1950 r., a 8 kwietnia 1951 r. powołano Koło Młodych. Życie literackie w powojennym Szczecinie tworzyło się w trudnej i specyficznej rzeczywistości, bez pewności, czy zrujnowane miasto na Ziemiach Zachodnich pozostanie po stronie polskiej. Istotną rolę w tworzeniu się życia kulturalnego w nowym miejscu odegrał wojewoda szczeciński Leonard Borkowicz.

Dokument S. Daukszy ze zbiorów
jego córki, Marii Daukszy



W Szczecinie zaczęli osiedlać się pisarze i poeci. W 1946 r.: Tymoteusz Karpowicz, Walerian Lachnitt, Stanisław Telega, Stanisław Szydłowski. W 1947 r.: Witold Wirpsza, Wiktor Woroszyński, Franciszek Gil, Jan Papuga, a w 1948 r.: Edmund Ośmańczyk, Jerzy Andrzejewski, Konstanty Ildefons Gałczyński. W tym czasie życie literackie skupiało się wokół tygodnika „Szczecin”, wydawnictwa Polskie Pismo i Książki oraz Klubu Literacko-Artystycznego przy al. Wojska Polskiego 42 (przemianowany 24 czerwca 1948 r. na Klub „13 Muz”). W czasie trzech pierwszych powojennych lat kształtowało się silne środowisko literackie.

W 1949 r. (20-21 stycznia) w Szczecinie odbył się IV Walny Zjazd ZLP. Dla literatury miało to negatywne skutki, zapoczątkowano bowiem okres tzw. walki o realizm socjalistyczny, ale dla miasta było to zapewne z wielu względów znaczące wydarzenie. Zjazd ten podjął uchwałę o powołaniu w Szczecinie oddziału ZLP, który był drugim – po wrocławskim – oddziałem lokalnym ZLP powstałym po wojnie.

Pierwszym prezesem został Jerzy Andrzejewski, a w skład oddziału wchodziło trzynaście osób.¹ W Kole Młodych przewodził Zygmunt Beer. Ze Szczecina w okresie od 1949 do 1956 r. wyjechało wielu pisarzy: J. Rojewski, K. I. Gałczyński, T. Karpowicz, M. Kurecka, W. Lachnitt, S. Ostrowski, S. Szydłowski, W. Woroszyński.² Na taki stan rzeczy złożyło się wiele czynników, nie tylko zewnętrznych. Parafrazując wypowiedź Franciszka Gila, należy stwierdzić, że była to swoista dekonstrukcja środowiska literackiego. Dekonstrukcja, gdyż

1 I.G. Kamiński, *Związek Literatów Polskich*, [art.] w: „Rocznik kultury i sztuki na Pomorzu Zachodnim. Almanach szczeciński 1965”, zespół red., przewodniczący Michał Misiorny, Szczecin 1965, nakładem ZLP w Szczecinie i STKiZW, s. 279-280.

2 H. Lizińczyk, [przedmowa], w: „Szczecin literacki 1946-1985. Informator”, oprac. Hanna Niedbał, red. Stanisław Krzywicki, Książnica Szczecińska, Szczecin 1986, str. 9.

w okresie dziesięciolecia formowały się różne środowiska naukowe, literackie na Ziemiach Zachodnich, czy w innych regionach. Szczecin zapowiadał się jako wielki ośrodek naukowy i literacki. Jednak w tym czasie, porównując takie ośrodki jak gdański i wrocławski, nigdzie nie występował tak wysoki wpływ ludzi pióra, jak ze Szczecina.

„W rzeczywistości dopiero (...) od 1956 roku powstaje (w Szczecinie) środowisko literackie z prawdziwego zdarzenia (...) i literatura” – jak pisał profesor Erazm Kuźma.³ W tym też czasie grupa poetycka „Metafora” w 6. numerze „Ziemi i Morza” zamieszcza swój manifest. Był on (...) wyrazem odrotu od poezji publicystycznej, agitacyjnej, zwrotem ku subiektywizmowi, obroną prawa do głoszenia własnej wizji świata.⁴

Pisarze przeżywali wewnętrzne dylematy, jak kiedyś toczył ze sobą Stefan Żeromski (twórca Związku Zawodowego Literatów Polskich 1920) w *Nokturnie*. Gdy „z jednej strony kusi, by zawrzeć w ramionach ukochane piękno i zostać z nim tylko w mroku nocy, z drugiej zaś straszy wyrzut – nikczemna jest siła wzruszenia, którą piękno dalekie pochłania”.⁵ Dylemat wyboru między „sztuką czystą” a sztuką zaangażowaną politycznie i społecznie.

Lata działalności Oddziału do 1989 r. przypadają na burzliwy i trudny okres społeczno-polityczny. Nie brakowało w nim działań o charakterze literackim, chociaż ich podłoże miało też zapewne wymiar ideologiczny.

Patrząc od 1958 r. na kroniki Związku – świeci plejada ówczesnych znakomitości polskiej literatury – warto wskazać pisarzy, którzy gościli w Szczecinie, najczęściej w maju, kiedy odbywały się coroczne Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy. Wśród wpisów widnieją autografy: Jarosława Iwaszkiewicza, Melchiora Wańkowicza, Pawła Jasienicy, Magdaleny Samozwaniec, Zofii Kossak-Szatkowskiej, Jerzego Waldorffa, Stefana Kisielewskiego, Mariana Brandysa, Bogdana Ostromęckiego, Czesława Janczarskiego, Tymoteusza Karpowicza i innych. W latach późniejszych pojawiają się podpisy: Jerzego Harasymowicza, Edwarda Balcerzana, Leszka Proroka, Henryka Berezy, Leonarda Buczkowskiego, Nikosa Chadzinikolau, Joanny Kulmowej.

Fotografie prasowe z tamtych Dni Książki pokazują pisarzy szczecińskich, a wśród nich: Ninę Rydzewską, Eliasza Rajzmana, Marię Boniecką, Ryszarda

3 E. Kuźma, *Twórczość literacka środowiska szczecińskiego 1945-1966* [esej], w: „Pisarze Pomorza Zachodniego. Informator”, oprac. Erazm Kuźma i Maria Kowalewska, red. Alina Walczak, Wydawnictwo Morskie, Gdynia 1967, s. 85.

4 Ibid., s. 96.

5 Ibid., s. 10.

Liskowackiego, Czesława Czerniawskiego, Tadeusza Zwiłniana Grabowskiego, Ryszarda Grabowskiego, Jana Papugę, Józefa Bursewicza, Czesława Schabowskiego, Katarzynę Suchodolską, Stanisława Telegę, Zbigniewa Brzozowskiego, Ireneusza G. Kamińskiego.

W kolejnych latach pojawiają się nowe twarze i nazwiska – Janusz Krzymiński, Ireneusz K. Szmidt, Helena Raszka, Andrzej Dzierżanowski, Adolf Momot, Jerzy J. Pachlowski, Eugeniusz A. Daszkowski, Wacław W. Falkowski, Ryszard Dżaman, Stanisław Wit Wiliński, Henryk Banasiewicz.

W dramatycznym dla kraju roku 1981 następuje zawieszenie Związku. W 1983 r. rozwiązanie i ponowne jego założenie. ZLP trwa pod zarządem kolejnych prezesów: I.G. Kamińskiego, E. Daszkowskiego, I.K. Szmidta i W. Andrzejewskiego – do roku 1989, kiedy to część pisarzy z oddziału odchodzi i zakłada Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Te fakty potwierdza Janusz Krzymiński, podkreślając jednocześnie, że istniała tylko chwilowa przerwa w działalności szczecińskiego oddziału Związku Literatów Polskich.

Twórczość literacka (sensu stricte), niezależnie od biegu wydarzeń i uwarunkowań, z różnym skutkiem toczy się własnym torem. Związek, chociaż nie w tak eksponowanych i nie tak prestiżowych działaniach, umożliwia jednak kolejne debiuty młodym, wstępującym do ZLP.

Po okresie transformacji ustrojowej Oddział zaczął nabierać stopniowo swojej (sinusoidalnej) dynamiki, oddalając się też stopniowo od politycznego zaangażowania. Jednak nie zawsze chęć działania szła w parze ze związkowymi możliwościami, które także były i są związane z dotacjami na szeroko rozumianą kulturę.

Dopiero w ostatnim dwudziestopięcioleciu (już w XXI w.) w żagle szczecińskiego ZLP powiał dobry wiatr, któremu zaczyna sprzyjać także coraz lepszy mecenat władz lokalnych i samorządowych.

Szczeciński Oddział ZLP w latach 2011-2024 bardzo aktywnie realizował się w literackich i kulturalno-edukacyjno-artystycznych projektach, wynikających z założeń statutowych organizacji, a wspieranych przez Miasto Szczecin, Urząd Marszałkowski Województwa Zachodniopomorskiego oraz inne instytucje publiczne. Tylko w latach 2015-2024 zrealizowano ponad 20 projektów, w tym 16 wydawniczych, które skutkowały kolejnymi edycjami serii: *akcent*, w której wydano 88 książek (w większości z dofinansowania Miasta Szczecin); odbyły się ich promocje i spotkania autorskie w instytucjach kultury Szczecina, w tym na spotkaniach literackich w cyklu spotkań W PAŁACU *literacko*

(98 spotkań), w Książnicy Pomorskiej (ok. 80), w Inkubatorze Kultury (ok. 90), w Bibliotece Klubu 12. Szczecińskiej Dywizji Zmechanizowanej, w bibliotekach i szkołach Szczecina oraz województwa zachodniopomorskiego.

W latach 2000-2025 wydano ponad 200 publikacji książkowych, w tym trzy antologie oraz dwadzieścia almanachów pokonkursowych, pięć roczników „Pryzmat Literacki”, co się przekłada na około 26000 egz. i ok. 41000 egz. książek wydanych przez autorów indywidualnie. W sumie dorobek mieści się w ok. 67000 egzemplarzy wydanych książek, które znalazły się we wszystkich bibliotekach w kraju, jako egzemplarze obowiązkowe.

W latach 2000-2025 odbyło się ok. 1500 spotkań literackich, promocji oraz spotkań autorskich.

Zrealizowano 45 projektów literacko-kulturalnych w ramach zadań publicznych z dofinansowania Miasta Szczecin, Marszałka Województwa Zachodniopomorskiego, PŻM, ZMPSiŚ, z tego dziesięć zadań to wieloletnie projekty cykliczne.

Od roku 2010 oddział ZLP organizował z powodzeniem ogólnopolskie konkursy poetyckie i literackie, w tym pięć edycji Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „O wers Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej” z wydaniem almanachów i antologii z twórczością młodzieży, z dofinansowaniem Miasta Szczecin, dziesięć Ogólnopolskich Konkursów Literackich „Na List Napisany Odręcznie” we współpracy z Gminą Bolesławiec. W latach 2016-2025 odbywały się, w ramach SZCZECIŃSKIEJ WIOSNY POEZJI: Ogólnopolskie, a następnie Międzynarodowe Konkursy Poetyckie im. Józefa Bursewicza „O ŻŁOTĄ METAFORE”, WIOSNA POEZJI oraz PROJEKTY WYDAWNICZE, stanowiące cykliczne zadania SZCZECIŃSKICH PROMOCJI LITERATURY.

Przy okazji konkursu im. Bursewicza cyklicznie też odbywa się Turniej Jednego Wiersza pod hasłem „Od Morza do Tatr” w Inkubatorze Sektorów Kreatywnych INKU w Szczecinie. Uczestnikami są poetki i poeci z różnych regionów kraju, wydarzenie to jednocześnie utrwala literackie więzi i konsoliduje środowiska twórcze.

Tradycją stały się plenerowe Wystawy wierszy w Parku Miejskim „Różanka”, uroczyscie otwierane w czasie Szczecińskich Wiosen Poezji. Tablice z wierszami ustawione w alei pod pergolą pozwalają zapoznać się z utworami podczas spaceru między różami. Grupowe czytanie wierszy na nich umieszczonych, stało się podstawą tworzenia interesujących, plenerowych happeningów. Od 2016 r. razem z Książnicą Pomorską oddział ZLP realizuje wydarzenie promujące szczecińskich poetów w GALERII JEDNEGO WIERSZA w budynku

głównym Książnicy. Oddział ZLP w Szczecinie objął patronatem Konkurs muzyczny im. Heleny Majdaniec ZJAZD MŁODYCH GWIAZD, którego sześć edycji zorganizował Rafał Podraza. Pisarze szczecińskiego oddziału ZLP uczestniczą w wydarzeniach Miasta Szczecin: w Spotkaniach Organizacji Pozarządowych POD PLATANAMI, włączają się w Festiwal Literacki Gryfia, w festiwalie czytania, czy promocję czytelnictwa.

ZLP wspiera i patronuje szkolnym, literackim przedsięwzięciom, np. PARNAS SZCZECIŃSKI odbywający się w Teatrze Polskim oraz innym konkursom literackim. Opracowano i wydano z dofinansowania Miasta Szczecin – dla podtrzymania tradycji marynistycznych Szczecina „ANTOLOGIE MARYNISTYCZNĄ... Z ZIEMI I ZMORZA” (2015 r.) z promocją podczas TALL SHIPS REGATTA 2015 w Starej Rzeźni. Z okazji Dni Morza odbywało się tzw. „Wodowanie Statków Poezji”. Organizowane były Prezentacje Literackie Impresji Filmowych PLIF, których inauguracja miała miejsce w kinie „PIONIER” w Szczecinie.

W grudniu 2017 r. wydano z dotacji Miasta Szczecin „Antologię poezji i prozy PRZEŁYWAJĄCY ŚWIAT SŁOWA”, prezentującą środowisko literackie skupione przy szczecińskim oddziale ZLP, z promocją w Akademii Sztuki. Opracowano i opublikowano 5 numerów rocznika „Pryzmat Literacki” (nr. 1/2020, 2/2021, 3/2022, 4/2023 i 5/2024).

ZLP Szczecin był także inicjatorem corocznej Zachodniopomorskiej Wiosny Poezji, które to wydarzenie było swoistym impulsem do kreacji literacko-artystycznych dla środowisk literackich Świnoujścia, Polic i Reska.

Aktualnie szczeciński oddział zrzesza prozaików, poetów, dramaturgów, eseistów, scenarzystów i tłumaczy, w sumie 24 członków oraz 16 kandydatów. Posiada liczne grono swoich sympatyków. Szczególną grupę naszego oddziału od zawsze stanowią szczecińscy maryniści, niestety coraz szczuplejszą.

Oddział ZLP w Szczecinie ma swoje nagrody: dla poetów i prozaików – RÓŻĘ POETÓW Nagrodę im. Niny Rydzewskiej; dla marynistów – ŻAGIEL MARYNISTÓW; Medal GLORIA CULTURA za szczególne zasługi na rzecz promocji kultury w środowisku lokalnym i w regionie oraz w kraju; LAUR KRYSZTAŁOWY za aktywną twórczość literacką i działanie w szczecińskim środowisku ZLP.

Zarząd Województwa Zachodniopomorskiego w dniu 7 października 2015 r. (uchwałą nr 1527) nadał szczecińskiemu oddziałowi ZLP – Złotą Odznakę Honorową Gryfa Zachodniopomorskiego za zasługi na rzecz rozwoju kultury województwa zachodniopomorskiego.



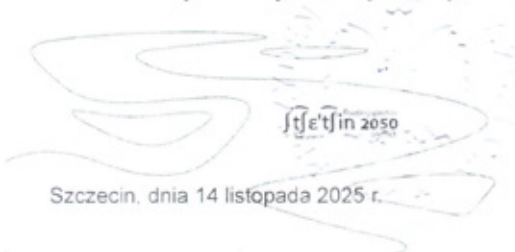
Serdeczne gratulacje
dla
**Związku Literatów Polskich
Oddział w Szczecinie**
z okazji
jubileuszu 75-lecia

składam Państwu serdeczne gratulacje oraz wyrazy uznania za wieloletnią, konsekwentną pracę na rzecz rozwoju i promocji literatury w naszym mieście oraz na Pomorzu Zachodnim.

Dzięki Państwa talentowi, pasji i zaangażowaniu Szczecin od dziesięcioleci pozostaje ważnym ośrodkiem życia literackiego w Polsce. To właśnie tu powstają dzieła, które inspirują, pobudzają do refleksji i kształtują wrażliwość kolejnych pokoleń czytelników.

Niech ten piękny jubileusz będzie okazją do wspólnego świętowania, ale także do spojrzenia w przyszłość – z poczuciem dumy z dotychczasowych osiągnięć i z wiarą w dalszy, twórczy rozwój szczecińskiego środowiska literackiego.

Prezydent Miasta Szczecin



Piotr Kuybus

W roku 2017 Zarząd Główny ZLP w Warszawie uhonorował działania oddziału szczecińskiego Nagrodą im. Jarosława Iwaszkiewicza za *szczególne zasługi w upowszechnianiu literatury współczesnej*.

W 2020 r. i w 2025 r. z okazji jubileuszu powstania oddziału, prezydent Miasta Szczecina skierował list gratulacyjny do literatów naszego stowarzyszenia.

Minister kultury i dziedzictwa narodowego, Marta Cienkowska w dniu 8. września 2025 r. nadała odznakę honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej” Oddziałowi Związku Literatów Polskich w Szczecinie.

W tym też roku Róża Czerniawska-Karcz oraz Rafał Podraza zostali uhonorowani Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. Uroczystości upamiętniające te wydarzenia związane z nadaniem Medalu dla Związku i dla Róży

Czerniawskiej-Karcz miały miejsce 14. listopada br. w Książnicy Pomorskiej im. Stanisława Staszica w Szczecinie. Natomiast Rafał Podraza dostąpił tego zaszczytu 24. listopada br. w Łazienkach Królewskich w Warszawie.

Powyższy tekst stanowi tylko przyczynek do szerokiej rozmowy, dyskusji na temat działalności szczecińskiego oddziału ZLP od jego powstania. Zachęcamy do podjęcia tego tematu, który może w konsekwencji zaowocować interesującym, nie tylko naukowym, spojrzeniem na działalność Związku. Panoramę tych spojrzeń zamierzamy opublikować na łamach naszego pisma.

Postscriptum

Jedną z ważnych książek, która będzie stanowiła zapewne źródło do powstania monografii szczecińskiego oddziału Związku Literatów Polskich jest książka doktora nauk humanistycznych Sławomira Iwasiowa pt. „WODOWANIE Literatura i inne media w Szczecinie. Lata 60. XX wieku”.

A poniżej wiersze poetów, którzy gościli w Szczecinie i którzy odkrywają wyjątkowość naszego miasta.

Zbigniew Milewski

Gałczyński z paprykarzem

*Znów śpią statki przy nabrzeżu. Światła wstęgą
marszczą się na fali, by podejrzeć urok
miasta Bogusława, Anny i Krzywoustego,
gdzie Gałczyński pisał wierszem- „Tutaj mój port,*

*słońce mam na czole i dom, i sad, i kota
– nie do wiary! A Natalia na werandzie.”*

*Stary – nowy Szczecin utrwalony w słowach
łapie z Wałów Chrobrego poetycki żagiel*

*pełen szumów wiatru od nabrzeży Odry,
co wygładza zmarszczki wody, wersów, twarzy.
Czytam wiersze czując jego powiew, ostry*

*jak smak kojarzonego z miastem paprykarza .
Światła latarń w mglistej rzece są jak gwiazdy,
których blask w lekturze pomaga i przeszkadza.*

Nikos Chadzinikolau

Itaka 2

Jerzemu Pachlowskiemu

*Itaka jak słońce
co rano uczy od nowa wiary
i ufności.
Szukamy jej
chorzy od tęsknoty,
mającymi jak żeglarze
przykuci do morza,
jak skazańcy,
po których Argos zawyje.
Odrywamy się nocą od ziemi
chmurą,
która szuka ojczyzny.*

*Marek Wawrzekiewicz
A twoje imię Polska
Orły niosą na skrzydłach
okruch barwy sinej
Gubią ją na ulicach i placach
Szczecina.
Trzy orły w dal wlatują
nad Szczecinem krążą.
A ponad krajem w chmurach
promień się rozgościł.
Pod nim ludzie pracują
dla nas, dla przyszłości.
W szumie morza i rzeki
w portach, miastach tylu
rodziłaś się Ojczyzno
z każdą chwilą.
To ty właśnie
codzienna, zwykła, swojska.
To ty właśnie...
A TWOJE IMIĘ POLSKA.*

Ireneusz Krzysztof Szmidt

Martwa natura z Czytelnią Naukową Szczecińskiej Książnicy w tle

*Zapisani, uciszeni
i w ciszy ukrzewieni,
zapatrzeni w ksiąg stronice —
łaski pełni, pełni wiary*

*dotykają ran otwartych
dziejów, które ciągle bołą —
ile pędu w ich bezruchu
wstrzymanego na tę chwilę?*

*Ile pasji w nich człowieczej
co szlachetne płodzi czyny —
a ile w tym, że tu siedzą
do zaszczytów jest popędu?...*

*Co się z nimi-uczonymi
stanie jutro gdy zasiądną
za katedrą bezradności,
na salonach niemożności?*

*Pochyleni nad kartami
Kartezjuszów wszystkich czasów,
przepisują dziś pokornie
cudze myśli, które odtąd
za swe własne głosić będą
i własnością tą rozparci
na decydenckich fotelach
popatrzą na mnie z litością...*

III akt

*Płótno obrazu
ściągnięty splot potu
za obrzeżem
dokończenie ruchu dłoni
wpierw chłodnej niż czoło*

Dzbany
pijane biodra białego snu
sączą spermę świadomości
dobrego i złego
w akt leżący
na purpurze
pościeli nie powleczonej
Pęka błękit
zimnej ściany snu
i obraz uchodzi szczeliną
na drugą stronę płótna

Malarz nalewa do miednicy wodę
zmęczona ręka nie utrzyma dzbana
pośród kolorów uwolnionych z pędzla
przypadek zdarza na podłodze dzieło
którym lewica za lat kilkadziesiąt
na festiwalu malarstwa w Szczecinie
grand prix uzyska i podbije Paryż

A Modigliani zatraca się w głodzie...

Jan Maria Gisges

Szczecińska noc

Stoi na szklistych chodnikach
noc z garbatą latarnią,
czujna jak wzrok wartownika,
morze światłem zagarnia.

Bije w brzeg pluskiem Odra
fiołkowa, żółta i modra,
fiołkowa jak suknia księżycy
i żółta niby cytryny —
latarnie garbate w ulicach
i modra jak oczy dziewczyny —

Szczecina słupy złociste
w dno wbite rzeki falistej —
Ech! Bajka, bajka odległa,
dzieciństwa maleńkie tropy,
bajka, co z mroku wybiegła
lżejsza niż echo stopy.

A noc żrenicami latarni
spogląda na most i w wodzie
powtarza miastu legendy —
tę noc wierszem ogarniam
przyjezdny, szalony przechodzień.

I wiatr morski w gałęziach
jak na fujarkach jej gra.
Tyle ich tu ma w ulicach.
Zastuchaj się w nich — zakochaj
jak ja.

Tadeusz Chudy

Szczeciński wiatr

A było to tak:
Wsiadł do tramwaju
Szczeciński wiatr,
Wszedł między ławki,
Zapłacił za bilet,
Usiadł i patrzył
I tyle.

I tylko nieraz,
Tak dla fantazji,
Dmuchał po twarzach
Sąsiadom jazdy.

Rozwiewał im włosy
W przedziwne linie

*Do tyłu przednie,
Do przodu tylne...*

*Każdy się z tego
Tylko uśmiechał,
Każdy rozumiał,
Że z wiatrem jechał...*

Karol Czejkarek

O szczecińskim środowisku literackim (i nie tylko literackim)

Uważam, że SZCZECIŃSKIE ŚRODOWISKO LITERACKIE było i jest wspa-
niałe!

Powstało w odzyskanym po roku 1945 Szczecinie (mam na myśli całość Zachodnich Ziem Odzyskanych) i zawsze było „oczkiem w głowie” władz miasta i regionu (co mogę zaświadczyć, gdyż osobiście brałem udział w jego rozwoju – jako księgarz, kierownik Księgarni „Klubowa”, a potem sekretarz STK – Szczecińskiego Towarzystwa Kultury i dyrektor Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej).

Sprawa rozwoju kultury, w tym szczecińskiego środowiska twórczego, zwłaszcza literackiego, ale także plastycznego, muzycznego i teatralnego, była w ówczesnym czasie dla wielu działaczy SPRAWĄ NAJWYŻSZEJ RANGI, podobnie, jak rozwój szczecińskich, zawodowych instytucji kulturalnych: teatrów, filharmonii, muzeów, bibliotek i domów kultury. Oczywiście również tworzenie warunków dla rozwoju amatorskiej działalności artystycznej.

Przypomnę więc nazwiska osób, które się w tym dziele wyjątkowo zastrzyżyły, bo dziś o nich już mało kto pamięta, gdyż działali oni w PRL-u. Ale przecież wtedy nie było INNEJ POLSKI! Byli wśród nich m.in.: Marian Łempicki, Henryk

Huber, Władysław Daniszewski, Stanisław Rychlik, Jan Bogutyn, Edmund Kieszkowski, Stanisław Krzywicki. Również wielu prezydentów Szczecina, a w szczególności Jan Stopyra (kiedyś) i Piotr Krzystek (obecnie). Także szefowie małych i średnich miast byłego województwa szczecińskiego, a nawet wójtów gmin! W każdym razie długa, a nawet bardzo długa byłaby lista osób, które dla sprawy ROZWOJU I UPOWSZECZNIENIA KULTURY osobiście uważam za BARDZO ZASŁUŻONE.

Znaleźliby się na niej także moi nauczyciele z Liceum przy ulicy Henryka Pobożnego: Henryk Kański, Erazm Kuźma, Hieronim Oster i Stanisław Orłowski (późniejszy dyrektor utworzonego w Zamku Szczecińskim – Wojewódzkiego Domu Kultury), także nauczyciele: historii, geografii, wf-u, matematyki i chemii, a nawet nauczyciele z „mojej” Szkoły Podstawowej przy ul. Ratajczaka, których nazwisk już nie pamiętam, ale na pewno byli to: polonistka, nauczyciele matematyki, fizyki.

Na „liście zasłużonych” nie zabrakłoby także zaprzyjaźnionych ze mną ludzi nauki, m.in.: Henryka Lesińskiego, Alfreda Dopieraty, Tadeusza Białeckiego, Władysława Drobrego, jak i wielu działaczy „terenowych”: Józefa Plucińskiego, Kazimierza Radomskiego, Włodzimierza Materskiego, a ze „szczecińskich” naukowców: Antoniego Warzechy, profesorów – Wielopolskiego i Zaremby.

Na niej byliby również: Bogdan Gustowski, Czesław Niemyjski, Roman Bielański, Janusz Sułkowski, Stanisław Wójcik, Bernard Maciejowski, Władysław Litarowicz, Danuta Pryputeń, także Jerzy Pieńkow, Henryk Boehlke, ks. Roman Kostynowicz i wielu działaczy STK, czy ruchu kulturalnego związków zawodowych (jak np. Zbigniew Turkiewicz), ZSP oraz Szczecińskiego Klubu Bibliofilów z mec. Romanem Łyczywkiem, sędzią Zenonem Zaniewickim i mec. Tadeuszem Burakowskim na czele.

Z moich kolegów dziennikarzy i pisarzy znaleźliby się na niej również: Ryszard Liskowacki, Ireneusz Gwidon Kamiński, Wiesław Rogowski, Mariusz Czarniecki, Jarosław Szymkiewicz, Henryk Mąka, Stefan Janusiewicz, Piotr Zieliński, Jerzy Mazurczyk, Janusz Krzymiński i Michał Misiorny. A także działacze z powiatowych towarzystw społeczno-kulturalnych: Józef Matuszewski, Stanisław Skarbiński, Kazimierz Kozłowski, Stefan Mollin, Stanisław Piekłak, Antoni Żal, Kazimierz Wenta... W tym także moi wspaniali i niezapomniani współpracownicy na czele z: Ireną Grodzieńską, Janiną Nowak, Wojciechem Myślenickim, Kazimierzem Sztajnertem, Barbarą Tkaczyk, Mikołajem Szczęsnym, Ryszardem Bobkiem.

I również zaprzyjaźnieni ze mną dyrektorzy instytucji kulturalnych, artyści plastycy, pisarze (i inni), jak: Tadeusz Możejko, Stanisław Badoń, Gwido Reck, Zbigniew Pawlicki, Jerzy Pobocha, Donald Paszkiewicz, Jan Szyrocki, Zbigniew Puchalski, Hanna Skinder, Władysław Filipowiak, Henryk Fenrych, Stefan Marczyk, Stanisław Telega, Franciszek Gil, Helena Raszka..., także dyrektorzy szczecińskich instytucji muzycznych i szkół – Józef Wiłkomirski, Janusz Marzec, Tadeusz Bursztynowicz, Stefan Marczyk, Krystyna Łyczywek, Leon Królak, Bohdan Skłodowski. Nie, nie wymienię wszystkich, gdyż byłaby to ogromnie długa i oczywiście nadal niepełna lista!

Co wówczas robiliśmy dla pisarzy? Przede wszystkim spotkania, spotkania i jeszcze raz spotkania literackie! W bibliotekach, szkołach, księgarniach i zakładowych domach kultury, także gminnych ośrodkach kultury (słynnych GOK-ach), jak i w licznych klubach książki i prasy na terenie całego województwa!

Organizowaliśmy kiermasze książki (z dominantą szczecińskich pisarzy) przy każdej nadarzającej się okazji nie tylko świąt państwowych, ale także: Bożego Narodzenia, Wielkanocy, Dni Dziecka, Dni Miast i Powiatów – przykładowo: Świnoujścia, Stargardu (wtedy jeszcze „Szczecińskiego”), Wolina, Kamienia Pomorskiego, Goleniowa, Dębna, Chojny, Gryfic, Choszczna, Pyrzyc, Barlinka i innych.

Organizowaliśmy ŚWIĘTA KSIĄŻKI z udziałem szczecińskich (i nie tylko szczecińskich) pisarzy, i to dosłownie WSZĘDZIE, GDZIE SIĘ TYLKO DAŁO, a... czytelnicy, młodzież i władze samorządowe chętnie nam w tym pomagały! Wielkie im DZIĘKI za to!

Spotkania i kiermasze, o których wyżej mowa, organizowaliśmy też z okazji odbywających w województwie festiwali i imprez ogólnopolskich, jak: FAMA w Świnoujściu, Muzyki Organowej i Kameralnej w Kamieniu Pomorskim, Chórów w Międzyzdrojach, Malarstwa Współczesnego i Małych Form Teatralnych w Szczecinie, a nawet takich imprez, jak „Dni Owocobrania” w Dębnie, czy „Dożynki” w Pyrzycach i Choszcznie i w innych miastach powiatowych i miejsko-gminnych!

Spotkania z pisarzami i kiermasze z ich książkami odbywały się też z okazji licznych powiatowych, miejskich i gminnych „świąt kultury”! A nawet były specjalnie organizowane pod nazwą „Dni Szczecińskich Pisarzy”, jak np. w Świnoujściu, Międzyzdrojach czy Wolinie. I to z ich bezpośrednim udziałem, jak m.in. (choć wymienię tylko tych, wtedy najpopularniejszych): Jolanty Frydrykiewicz, Joanny Kulmowej, Heleny Raszki, Katarzyny Suchodolskiej, a wśród mężczyzn

prym zawsze wiedli: Józef Bursewicz, Czesław Czerniawski, Ireneusz Gwidon Kamiński, Janusz Krzywiński, Ryszard Liskowacki, Adolf Momot, Jerzy Jan Pachlowski, Jan Papuga, Wiesław Rogowski, Czesław Schabowski, Bronisław Słomka, Ireneusz Krzysztof Szmidt.

Nigdy nie zapomnę swoich rozmów (i przyjaźni) ze Stanisławem Telegą, Franciszkiem Gilem czy Stanisławem Witem Wilińskim, a przede wszystkim z prezesem szczecińskiego oddziału ZLP – prof. Erazmem Kuźmą (który w Liceum, słynnym „Pobożniaku”, był moim polonistą i wychowawcą od klasy ósmej do matury).

W czasach, o których tu piszę (lata 50., 60. i 70. XX wieku) chodziło generalnie o rozwój kultury i tworzenie nowych polskich tradycji kulturalnych na odzyskanej po wiekach Ziemi Szczecińskiej, aby poprzez działalność szczecińskich środowisk twórczych (nie tylko pisarzy), REALIZOWAĆ INICJATYWY z inspiracji STK i społecznych, regionalnych towarzystw społeczno-kulturalnych! W czym efektywnie pomagały nam zarówno ówczesne władze polityczne i administracyjne, w tym również odradzające się wtedy harcerstwo i zwłaszcza studencki ruch naukowy i artystyczny! Chcieliśmy, aby studenci kończący naukę w szczecińskich szkołach wyższych, pozostawali w regionie! Absolutnym fenomenem tamtych lat było m.in. włączenie się władz administracyjnych i politycznych do działalności towarzystw społeczno-kulturalnych, które powstały we wszystkich bez wyjątku powiatach, a nawet w wielu

Księgarnia „Klubowa” (zdj. Anatol Weczer, z Archiwum Państwowego w Szczecinie)



miastach nie powiatowych, jak np. w Barlinku, Płotach, w Sitnie – sfederowanych w Szczecińskim Towarzystwie Kultury. STK – podkreślę – było ruchem społecznym na WIELKĄ, NAPRAWDĘ WIELKĄ w tamtym czasie skalę. Ich reprezentacje były wtedy – co zauważam – GŁOSEM SPOŁECZNYM na wielu sesjach rad narodowych poświęconych kulturze, a przede wszystkim na SEJMIKACH MIŁOŚNIKÓW ZIEMI SZCZECIŃSKIEJ, którego uchwały były realizowane przez samorządy lokalne i władze administracyjne Szczecina i województwa.

A zatem, korzystając z okazji – WDZIĘCZNY JESTEM WSZYSTKIM OSOBOM WYMIENIONYM dotąd w niniejszym artykule, ale też mam świadomość, że wielu nie wymienilem.

DZIĘKUJĘ IM WSZYSTKIM z całego serca za współpracę i okazaną mi wtedy bezinteresowną pomoc jako sekretarzowi STK i później dyrektorowi wojewódzkiego wydziału kultury (gdyż pełniąc tę funkcję – nadal pozostawałem członkiem prezydium STK). Dzięki temu możliwe było także otwarcie Domów Pracy Twórczej m.in. w Płotach i Kamieniu Pomorskim, powstanie i rozwój szczecińskich festiwali i imprez o skali ogólnopolskiej i międzynarodowej. Można było także organizować zjazdy pisarzy Ziemi Zachodnich i Północnych. Powstała idea Festiwalu Krótkometrażowych Filmów Morskich. Również Klubu Marynistów – zrzeszającego pisarzy, ale też innych twórców różnych dyscyplin: artystów plastyków, kompozytorów i zespołów małych form teatralnych, zainteresowanych problematyką „morską”.

Stałym miejscem plenerów literackich w województwie stały się wówczas: Wolin, Międzyzdroje, Świnoujście, Barlinek, Dębno i Gryfice.

Wspomnę w tym miejscu także o konkursie „Dzieje szczecińskich rodzin w XX wieku”. Był on pomysłem zarówno historyków, jak i szczecińskich pisarzy skupionych w STK. Jego efekty były okazałe, w postaci setek prac zawierających wspomnienia ludzi, którzy po wojnie osiedlili się w Szczecinie i na Ziemi Szczecińskiej znaleźli swoją nową Ojczyznę.

Uczestników konkursu pytano m.in.: skąd przybyli i dlaczego? jak włączali się w odbudowę i rozwój swego nowego miejsca zamieszkania i pracy? w jaki sposób kultywują swoje dawne, rodzinne tradycje kulturalne i jak odnoszą się do proponowanych nowych? Na te pytania (i wiele innych jeszcze) uzyskano wtedy bardzo dużo interesujących, konkretnych i wyczerpujących odpowiedzi. Z całą pewnością warto powrócić do niewykorzystanych dotąd tekstów (a pozostało ich jeszcze sporo) i ponownie udostępnić je przede wszystkim

środowisku literackiemu, dziennikarskiemu i wszystkim innym osobom zainteresowanym poznaniem (i późniejszym opublikowaniem) historii przybyszów sprzed kilkudziesięciu lat. Wprawdzie powstało już szereg utworów na ten temat, ale wiele „pamiętników i wspomnień” z tego konkursu pozostaje nadal do wykorzystania (jednak to temat do oddzielnego artykułu). Proponuję autorom „Pryzmatu”, aby temu zagadnieniu poświęcili następny (a może SPECJALNY?) numer swego pisma.

W tym miejscu wspomnę jeszcze o nie do końca spełnionym w tamtym czasie marzeniu literatów i ludzi kultury, o utworzeniu w Szczecinie własnego czasopisma społeczno-kulturalnego, typu ówczesnego „Życia Literackiego”, „Kultury” czy „Literatury”. Co w tamtych latach (ze względu przede wszystkim na cenzurę) udało się w niewielkiej części (przypomnę w tym miejscu szczecińskie „SPOJRZENIA”, a przed nim kwartalnik „Vinetta”, które ukazały się po kilka numerów). Realizowane były też inne próby rozwinięcia regionalnej twórczości wydawniczej, jak m.in. wydawanie „roczników” powiatowych towarzystw regionalnych.

Dziś głęboki ukłon tym wszystkim, którzy w latach powojennych, jeszcze za PRL-u, o to zabiegali. A byli wśród nich szczególnie niestrudzeni członkowie szczecińskiego oddziału ZLP: Ireneusz Gwidon Kamiński, Ryszard Liskowacki, Wiesław Rogowski, Erazm Kuźma, których działania w tym zakresie wspierał m.in.: Władysław Daniszewski, Henryk Huber, Karol Koczy, Henryk Mąka i jeszcze wielu innych.

Słowa uznania przy okazji kieruję także do Zbigniewa Kosiorowskiego i R. Sawickiego (imienia nie pamiętam), którzy wytrwali w dążeniu do utworzenia w Szczecinie wydawnictwa z prawdziwego zdarzenia. I takie powstało, a nazywało się – „GLOB”! (to też oddzielny temat do utrwalenia w „Pryzmacie”, jego dorobku i służby szczecińskiej kulturze i szczecińskiemu środowisku twórczemu)!

Wcześniej Szczecinowi „służyło” w tym zakresie przede wszystkim „WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE” i w dużej części także „Morskie”. To one – przypomnę – sporą część swej mocy wydawniczej oddawały przez wiele lat do dyspozycji szczecińskiemu środowisku kulturalnemu. Szczególnie dziękuję dziś za to Jerzemu Ziołkowi (szefowi Wyd. Poznańskiego) za ową „służbę wydawniczą” na rzecz Ziemi Odzyskanych!

I na zakończenie – o jeszcze jednej, ważnej (moim zdaniem) sprawie...

To była kwestia podsunęcia twórcom (nie tylko szczecińskim) tzw. „tematyki morskiej”. W tym celu zdecydowaliśmy się w STK na zorganizowanie

w Szczecinie i w Świnoujściu ogólnopolskiego „Kongresu Kultury Morskiej” oraz (także ogólnopolskiego) „Festiwalu Krótkometrażowych Filmów Morskich”. Ciekawe, ile z tej inspiracji powstało książek związanych z tą tematyką i czy wciąż jeszcze powstają utwory – wiersze, powieści, reportaże, scenariusze filmowe i sztuki teatralne związane z tą – szeroko rozumianą – tematyką?

Dla nas działaczy, księgarzy, ludzi zaangażowanych w budowanie polskości na Ziemiach Odzyskanych głównym celem było ukazanie, m. in. także poprzez tzw. „literaturę szczecińskiego środowiska literackiego”, pasji odbudowywania po wojnie ZIEM ZACHODNICH I PÓŁNOCNYCH, również poprzez powieści, wiersze i sztuki teatralne, także i filmy, i twórczość plastyczną. W realizacji tego celu, powstałe po wojnie na Ziemi Szczecińskiej środowisko literackie (także i inne) nie miało łatwej drogi, a chcieliśmy (jako działacze) dotrzeć w ten sposób nie tylko do własnych mieszkańców, ale i do pozostałej części Polski. Stąd – traktowaliśmy ich twórczość jako „szkołę pogłębianego patriotyzmu”, dokumentującą gwałtowny po wojnie rozwój gospodarczy i kulturalny Ziemi Szczecińskiej.

I ten proces rozwojowy miał miejsce nie tylko w Szczecinie, ale we wszystkich, podkreślę – WSZYSTKICH – większych i mniejszych miastach i wsiach na terenie całego województwa. Stąd cieszyliśmy się z każdej nowej książki szczecińskich (czyli NASZYCH) pisarzy, które te fakty dokumentowały. Przy okazji – dość wskazać na książki m.in.: Józefa Bursewicza „Kroki we mgle” (Poznań 1959); Ryszarda Liskowackiego i jego powieści „Po tamtej stronie życia” (Lublin 1960), „Granica pamięci” (Poznań 1961); książki Ireneusza Gwidona Kamińskiego „Czerwony sokół” (Warszawa 1957), „Mściciel przyplętywa z Rugii” (Warszawa 1958) i „Czas słońca” (Poznań 1960); Adolfa Momota „Twarze” (Poznań 1964) i „Korzenie” (Poznań 1965); Jerzego Pachlowskiego „Delfiny idą pod wiatr” (Poznań 1963); Wiesława Rogowskiego „Kamienny bruk” (Poznań 1966). To tylko skromne przykłady tamtych dokonań szczecińskiego środowiska literackiego.

Pewną wadą tego okresu było niewątpliwie to, że „literatura powstała, natomiast brakowało ruchu literackiego”, jak pisał na ten temat w „Życiu Literackim” (w nrze 19., 1966 r.) Włodzimierz Maciąg. Na co odpowiadam – jak to brakowało? A czy przedstawione wyżej akcje w postaci przeróżnych kiermaszów książek, spotkań autorskich, czy wręcz organizacji imprez typu: „Dni Szczecińskiej Literatury”, nie są odpowiedzią na ten zarzut? Uważam, że Włodzimierz Maciąg nie miał racji, dowodem mogą też być organizowane przez nas w tamtych latach Zjazdy Pisarzy Ziem Zachodnich i Północnych i to z udziałem

władz centralnych ówczesnej Polski. A przede wszystkim czołówki naszych pisarzy – zrzeszonych w Związku Literatów Polskich!

I na zakończenie jeszcze taka ogólna refleksja:

Twórczość szczecińskich pisarzy tamtego okresu da się podzielić m.in. na tematy: podejmujące zagadnienia historycznej słowiańskiej przeszłości; rozwijania kultury przyniesionej przez ludność napływową; tworzenia nowej POLSKIEJ KULTURY na Ziemiach Odzyskanych, w tym przy udziale pokolenia wykształconego po roku 1945, a w szczególności absolwentów szkół wyższych uczelni, działających wtedy (choć uniwersytetu jeszcze nie było) w polskim Szczecinie!

Każda koncepcja dotycząca rozwoju kultury (w tym i literatury) była wtedy w Szczecinie (a toczyliśmy na ten temat wielogodzinne dyskusje na prezydium STK z udziałem pisarzy naszego środowiska) brana pod uwagę. Jednak przypomnę, że w tamtych latach WSZYSTKO na Ziemi Szczecińskiej zaczynało się „od początku”, gdyż w odzyskanym Szczecinie i jego regionie nie było nawet autochtonów, o których kulturę można byłoby się zaczepić, a dodatkową trudnością był także niski początkowo poziom wykształcenia i kultury ludności napływowej. I trzeba było lata naprawdę ciężkiej pracy, aby to zmienić. I UDAŁO SIĘ!

Dzięki szczecińskim pisarzom pokazano heroiczny trud pionierów budujących na Ziemiach Odzyskanych „Nową Polskę” (w atmosferze długo jeszcze po wojnie istniejącego tzw. „zagrożenia niemieckiego”).

Na tym zakończę swoje dzisiejsze rozważania, do których chętnie wrócę, choćby już w następnym „Pryzmacie” (jeśli oczywiście będzie taka wola jego obecnych szefów)!

BRAWO ZA ZAINICJOWANIE „PRYZMATU LITERACKIEGO”, tym bardziej, że to kolejny jego numer, którego wydawcą jest Związek Literatów Polskich Oddział w Szczecinie! Życzę Oddziałowi i Panu Redaktorowi Naczelnemu osobiście wielu dalszych sukcesów.

Środowisko literackie na Pomorzu Środkowym Koszaliński oddział Związku Literatów Polskich

Po utworzeniu w 1950 r. Województwa Koszalińskiego powstały placówki kultury, prasy i radia, a w ślad za tym zaczęli pojawiać się adepci pióra publikujący swoje utwory i książki, często w rozproszeniu, czasami nie wiedząc o sobie.

Na ten czas przypadły debiuty młodych. W 1950 r. debiutował w tygodniku „Wieś” poeta, Leszek Bakuła z Ustki, w 1953 r. w „Wiciach” prozaik, Zbigniew Zielonka, w 1956 r. niemal równocześnie w „Głosie Koszalińskim” i „Pomorzu” poeta, Zygmunt Flis ze Szczecinka, w tygodniku „Ziemia i Morze” poeta,

Od lewej stoją: Eugeniusz Koźmiński, Wojciech Czaplewski, Piotr Piątek, Maciej Wódz, Emanuela Czeladka, u dołu Ludmiła Janusewicz (zdj. archiwum ZLP O. Koszalin)



Czesław Kuriata z Koszalina i w „Kamenie” poeta, Andrzej Turczyński również z Koszalina..

W 1955 r. ukazała się w Naszej Księgarni powieść młodzieżowa „Ekspedycja” Zbysława Góreckiego z Darłowa, a w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej powieść wojenno-okupacyjna „Szumią drzewa” Zbigniewa Porębskiego z Koszalina .

W 1957 r. Anatoliusz Jureń ze Słupska zorganizował Klub Literacki, skupiający autorów mieszkających w Koszalinie, Słupsku, Połczynie i Człuchowie, po roku przekształcony w klub „Meduza”, a w 1959 r. w Koszaliński Klub Literacki podporządkowany Zarządowi Głównemu ZLP. Zmiana statusu Klubu sterowała już wyraźnie do utworzenia w Koszalinie Związku Literatów Polskich, zależało to wyłącznie od wykazania się odpowiednią liczbą autorów i ich publikacji książkowych.

W 1960 r. ukazał się almanach „Morski naszyjnik”, w 1961 r. „Próba liryki”, w 1963 r. „Koszalińskie arkusze poetyckie”, ponadto literaci mieli możliwość prezentacji raz w miesiącu swoich utworów w dwukolumnowej wkładce literackiej do „Głosu Koszalińskiego”. W tych wydawnictwach, oprócz wymienionych twórców, swoje utwory prezentowali Marta Aluchna-Emelianow, Eugeniusz Hajduk, Lech Niekrasz, Janusz Nadolski, Zbigniew Kiwka. Koszalin zaczął przyciągać ludzi z różnych stron Pomorza, a czasem z różnych stron Polski – tu osiadł Józef Narkowicz, Zygmunt Zelwan, Andrzej Falkiewicz i Krystyna Miłobędzka.

Drugi tor literackiego osadnictwa prowadził do Kołobrzegu, w 1963 r. zamieszkał tu Piotr Bednarski i Stanisław Wasyl, którzy zadebiutowali w prasie w 1960 r., a dwa lata później małżeństwo poetyckie Zbigniew Janowski i Teresa Ferenc (rodzice poetek Anny Janko i Marzeny Wieczorek).

W 1964 r. utworzone zostało Koszalińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, które



Czesław Kuriata (zdj. archiwum ZLP O. Koszalin)

wydawało „Zapiski Koszalińskie” i „Profile Kultury” z poetyckimi wkładkami koszalińsko-słupskich poetów.

Oddział Związku Literatów Polskich w Koszalinie powstał we wrześniu 1965 r., z inicjatywy Czesława Kuriaty, członka ZLP od 1962 r., kierownika Redakcji Literackiej Polskiego Radia i jego pierwszego prezesa, a członkami byli: Henryk Livor-Piotrowski, Gracjan Bojar-Fijałkowski, Mirosław Zalewski (Koszalin), Marta Aluchna-Emelianow, Zbigniew Kiwka, Zygmunt Flis (Słupsk), Stanisław Misakowski (Świdwin), Leszek Bakuła (Ustka), Teresa Ferenc i Zbigniew Jankowski (Kołobrzeg), Zbysław Górecki (Darłowo).

W tym czasie wymienieni literaci mieli już na swoim koncie wydane następujące książki: Czesław Kuriata „Niebo zrównane z ziemią” (ten debiutancki tomik wierszy ze wstępem Juliana Przybosia uzyskał entuzjastyczne recenzje krytyków i nagrodę za debiut roku 1961), tom opowiadań „Dziewczyna pod kwiatami”, powieść „Galop do wielkiego lasu”; Zbigniew Kiwka powieści „Na początku był front” i „Śmierć przychodzi nocą”; Marta Aluchna-Emelianow tomiki wierszy „Szukanie kształtu” oraz „Popiół i proch”; Stanisław Misakowski arkusze poetycki „Kiedy nadchodzi noc”, tomik „Jest taki świat”; Gracjan Bojar-Fijałkowski opowieści historyczne i baśnie pomorskie „Morze szumi jak dawniej” i „Pieśni Swantibora”; Zygmunt Zelwan „Wieczór z Antonim”; Henryk Livor-Piotrowski tomik wierszy „Czas poznawania”; Zygmunt Flis tomik „Łamanie psalmów”; Tadeusz Sokół tomik „podróż do siebie”; Anatoliusz Jureń tomik „W sprawie łopianu”; Leszek Bakuła cykl powieści kurpiowskich; Teresa Ferenc tomik „Moje ryżowe poletko”; Stanisław Wasyl tomik „Gasnące wzgórza”.

Nie miejsce w tym szkicu na szersze omawianie wymienionych książek, ale można powiedzieć, że zarówno w poezji, jak i w prozie było to świadectwo doświadczeń czasu im współczesnego. Trzeba pamiętać, że Ziemia Zachodnie i Pomorze Środkowe zasiedlali mieszkańcy z różnych stron Polski i z utraczonych po drugiej wojnie światowej kresów (Kuriata, Kiwka, Bojar-Fijałkowski). Na podobnej zasadzie zbudowane były książki pisarzy, którzy przeprowadzili się na te tereny z innych miast – Zbigniewa Zielonki „Orły na sarkofagu”, „Klucz ziemi”, „Za pięć dwunastą”, w których erudycyjne panoramy historyczne przybliżały kulisy dynastyczne zabiegów Piastów, i Waldemara Kotowicza odtwarzającego z autopsji dramatyczne epizody zmagania polskich wojsk z Niemcami.

W 1966 r. ukazał się almanach kołobrzesckiej grupy poetyckiej „Reda”, którą utworzyli Teresa Ferenc i Zbigniew Jankowski, gdzie zamieszczone były ich wiersze oraz Piotra Bednarskiego, Stanisława Wasyla i Jana Lechowskiego.

W 1970 r. ukazał się almanach poetów koszalińskich „Malowanie w przestrzeni”, w którym zaprezentowali się poeci: Czesław Kuriata, Marta Aluchna Emelianow, Tadeusz Pawlak, Leszek Bakuła, Zygmunt Flis, Stanisław Wasyl, Zbigniew Krupowies, Jan Lechowski, Emilia Szczepańska, Wiesław Uptas, Mirosław Zalewski, Stanisław Wasyl, Zygmunt Zelwan.

Niezależnie od wystąpień zbiorowych, literaci wydali swoje kolejne książki indywidualne: Czesław Kuriata poetyckie zbiory „W każdą podróż”, „Jeśli miłość nazwać”, „Miara dłoni”, poematy historyczne „Powrót księcia Eryka” i „Bogusław X”; Tadeusz Pawlak zbiory wierszy „Człowiek najdalszy”, „Korzenie”, „Dwie strony darni”, poemat legendarny „Wniebogłos topoli”; Stanisław Misakowski poemat historyczny „Sydonia”, „Gdziekolwiek z dala od świata”, „Hołoble”, zbiory „Do utraty snu”, „Dwa okna”, „List”; Zbigniew Kiwka powieści „Dwie barwy jednej wiosny”, „Araukarie pana Crolla”, „Carina”, zbiór opowiadań „Ostatni krok w chmurach”, powieść współczesna „Dzwony nad Lubianą”; Stanisław Wasyl „Gamy”, „Drzazga słońca”, „Obwód zamknięty”, „Ponad węzłem krwi”; Marta Aluchna-Emelianow wybór wierszy „wiem i nie wiem”, „Świta dzień”, „Wiersze wybrane”; Leszek Bakuła „Leluje”, „Połów horyzontu”, „Kontrapunkt”; Andrzej Turczyński poemat „Żdźbła morza”, „Głowa zwierzęcia”; Zygmunt Flis „Przynoszę ziemię”, „Chodzenie po linie”; Anatoliusz Jureń tomik „Kwiaty zmieniają głowy”; Teresa Ferenc „Założnia”; Andrzej Wojciech Guzek „Wypowiedź”; Mirosław Mieczysław Zalewski „Pejzaż z krukiem”; Emilia Szczepańska „Ulotność”; Janusz Adam Kobierski „Zza siódmej skóry”.

W latach siedemdziesiątych z Koszalina i Kołobrzegu wyjechali do Wrocławia: Krystyna Miłobędzka, Andrzej Falkowski, Waldemar Kotowicz, Teresa Ferenc i Zbigniew Jankowski.

Literaci z Koszalińskiego Oddziału ZLP wydali kolejne książki: Czesław Kuriata opowiadania „Upominek jubileuszowy”, „Człowiek z rybą”, „Miłość legendą innych”, wybór opowiadań „Wino pestkowe”, powieść „Naprawdę już po wojnie”, tom wierszy „Trójwyznanie”, „Wiersze wybrane”; Zbysław Górecki zbiór opowiadań „Żelazna ściana”, powieści „Pierwsza księga moich przygód”, „Delta powraca na ziemię”, wspomnienia „Jedzie klekocząc pod górę”; Leszek Bakuła powieść „Czerwony Bór”, zbiór opowiadań „Wydmuchurzyca” oraz powieści „Czarny Bór”, „Biały bór”; Gracjan Bojar-Fijałkowski zbiór opowiadań wspomnieniowych „Powilcze”, „Legendsy koszalińskiego grodu”; Zygmunt Zelwan zbiór opowiadań „Punkt widzenia”; Stanisław Misakowski zbiór miniatur narracyjnych „Mój dobry, stary świat”; Józef Narkowicz zbiór reportaży „Powrót na sobotę” i „Wzdłuż brzegu”; Andrzej Falkiewicz zbiór szkiców

teatralnych „Mit Orestesa”; Piotr Bednarski tom opowiadań „Czarcie nasienie”; Anatol Ulman powieść „Cigi de Montbazan”; Jerzy Pieczul „Pako i Chudzinka”; Czesław Foryś powieść „Żeton”. W tym czasie środowisko literackie doznało też pierwszych strat – zmarli: Emilia Szczepańska, Anatoliusz Jureń, Zbigniew Krupowies.

W 1975 r. powstało nowe Województwo Słupskie z siedzibą w Słupsku, jednak literaci mieszkający w różnych miejscowościach nadal należeli do koszalińskiego oddziału ZLP. Dopiero w 1980 r. z koszalińskiego oddziału ZLP wydzielił się Słupski Oddział ZLP, jednak w roku 1981, w stanie wojennym zostały rozwiązane związki i stowarzyszenia twórcze. W 1984 r. reaktywowano oddziały ZLP.

Do koszalińskiego oddziału ZLP należeli: Czesław Kuriata, Józef Narkowicz, Piotr Bednarski, Jakub Muszyński-Hudemczuk, Elżbieta Niedźwiadek, Anatol Ulman, Jerzy Żelazny, Lech Marek Jakób, Elżbieta Juszczak, Jan Lechowski, Dorota Szachewicz.

Czesław Kuriata wydał wybór wierszy miłosnych „Wyznania najprostsze”, „Wiersze wybrane”, „Elegie codzienne”, wybór „Cztery poematy”, powieść „Zapiski prowincjonalnego pisarza”, tomik wierszy „Spowiedź pamięci, próba świateł”; Piotr Bednarski tomik wierszy „Morze u wezgłowie” i powieść „Lancelot”; Anatol Ulman zbiór opowiadań „Obsesyjne opowiadania bez motywacji”, „Poptworne poglądy cynicznych krasnoludków”; Lech Marek Jakób tomik wierszy „Psy mojej młodości”, powieść „Kruk najbielszy”, „Romsky”, aforyzmy „Mądre głupoty”, powieść dla dzieci „Znikacz i jego broń”, wiersze „Miłość i śmierć”, notatnik poetycki „Ból i pełnia”, wiersze „Wibrujące serce”, powieść „Drapieżcy”, „Karamarakorum”; Jerzy Żelazny powieść „Taniec z błaznami”, „Miasteczko pod wąsem”, „Trzynasta”, „Kichający stoń”, „Ptaki Świętej Góry”, „Ucieczka na kogucie”; Elżbieta Niedźwiadek zbiór opowiadań „Kolorowa skrzynia”, „Dosyć łez” i „Słuchajcie państwo sygnałów dnia”; Jan Lechowski tomik wierszy „Czterdzieste morze narzekań”; Elżbieta Juszczak tomiki „Ona grzeszna” i „Pukanie”.

W późniejszych latach do koszalińskiego oddziału ZLP zostali przyjęci: Ludmiła Janusewicz-Kuriata, Krystyna Pilecka (Koszalin), Elżbieta Niedźwiadek, Eugeniusz Koźmiński, Wiesław Uptas, Piotr Piątek, Wojciech Czaplewski (Kołobrzeg), Agnieszka Dębek (Piła), Adam Bidulka vel Kadmon (Szczecinek). Eugeniusz Koźmiński wydał tomiki wierszy „Wołanie mew”, „Dziennik meduzy”, „Narodziny wyspy”, „W głębi”, opowiadania „Ludzie i ptaki”; Wojciech Czaplewski „Dzieje poezji polskiej”, „Książeczka rodzaju”, „Książeczka wyjścia”,

„Książeczka rodzaju mobi apub”; Piotr Piątek tomiki wierszy „Cały ten tłum”, „Dotyk pod paznokciem”, „Dyrygent fal”, „Xerafrenia”; Adam Kadmon tomiki wierszy „Manufaktura snów”, „Kapitel”, „Inna legenda. Rejestr artefaktów”, „Holy Island. Szlaki przełajowe”, „Jutrzenka”; Ludmiła Janusewicz wydała arkusze poetycki „Msza żałobna zawieszona między drzewami”, tomiki wierszy „Jest sową oczekiwania” oraz „Oskarżam słowa”. Ponadto kilkakrotnie organizowała wraz z Jerzym Leszinem-Koperskim i Andrzejem Waśkiewiczem Ogólnopolskie Warsztaty Literackie „O sens słowa” w Strzekęcinie pod Koszalinem.

W 1984 r. ukazał się „Koszaliński almanach młodych”, a w „Profilach Kultury”, wydawanych przez Koszalińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, w kolejnych latach ukazywały się wkładki poetyckie z wierszami: Grażyny Mulczyk, Beaty Pawlikowskiej, Wiesława Uptasa, Marka Hamerlinga, Romy Hazler-Binkowskiej, Jolanty Ciechanowskiej, Krzysztofa Hajbowicza, Iwony Litorowicz.

W tym czasie w Słupsku powstała grupa poetycka „Dialog Nienazwany”, do której należeli: Stefan Jażdżewski, Zdzisław Drzewiecki i Jerzy Fryckowski. W „Pobrzeżu Literackim” swoje utwory prezentowali: Janusz Adam Kobierski, Waldemar Mystkowski, Andrzej Wojciech Guzek, Jerzy Dąbrowa-Januszewski, Wiesław Ciesielski, Kordian Bakuła, Witold Gauza, Tadeusz Łoś, Zygmunt Jan Prusiński, Mirosław Kościeński, Jan Janusz Sieńko i Aldona Żak.

W 1984 r. utworzono nowy oddział ZLP w Słupsku, do którego należeli: Andrzej Turczyński, Zygmunt Flis, Marta Aluchna-Emelianow, Anna Łajming, Leszek Bakuła, Zbigniew Drzewiecki, Tadeusz Pawlak, Zbigniew Kiwka, Stanisław Misakowski, Tadeusz Pawlak, Jerzy Dąbrowa-Januszewski, Wiesław Ciesielski, Zbigniew Zielonka, Jan Ryszard Kurylczyk. Do najpłodniejszych pisarzy słupskich zaliczyć trzeba Andrzeja Turczyńskiego, który wydał m.in. powieści „Puste katedry”, zbiór poezji „Dialogi z Lisem”, powieść „Krzyż pokutny”, powieść „Ślepy ptak ruin” i zbiory poezji „Stance północne” oraz „Martwy buńczuki”.

W następnych latach Tadeusz Pawlak przeniósł się do oddziału ZLP w Poznaniu, a Stanisław Misakowski i Zbigniew Zielonka wystąpili z ZLP. Słupski Oddział ZLP na wniosek ostatniego prezesa, Jerzego Fryckowskiego został rozwiązany w 2022 r. przez Zarząd Główny ZLP.

W kolejnych latach członkowie koszalińskiego oddziału ZLP wydali następujące książki: Czesław Kuriata tom wierszy „Cztery poematy”, „Kłania się nam Gogol”, wybór wierszy „Trójwyznanie”, „Polskie przyszcze” (satyra), powieść „Zorro Archangielskie”, poemat „Wołanie Wołynia”, książki dla dzieci „Ile zawodów



Z jubileuszu Stowarzyszenia Kołobrzeskich Poetów (zdj. archiwum ZLP O. Koszalin)

ma mama”, „Wiersze dla najmłodszych”, „Znaki zodiaku młodych Polaków”, „Słuchowiska radiowe i opowiadania”; Piotr Bednarski zbiory wierszy „Morze u wezłowania”, „Dwa płomienie”, „Popiół”, zbiory opowiadań „Krople soli”, „Czarcie nasienie”, „Mamy czas”; powieści „Lancelot”, „Parsifal”, „Błękitne śniegi”, baśnie dla dzieci „Czarownica Nilat”; Jerzy Utkin tomiki wierszy „Identyfikacja”, „W srebrnym świetle ukryty”, „Oazy i fatamorgany”, „Oddalenia”; Wiesław Uptas tomiki „Próba wyjścia”, „Taki sposób na życie”, „Cienie moich miłości, sonety”; Jan Lechowski tomiki wierszy „Okolice wyobraźni”, „Morze kołobrzeskich poetów”; Dorota Szachewicz tomiki wierszy „Wyrzucona z twoich nocy”, „Listy z podróży”, „Napisz czy widziałeś gdzieś miłość”; Janusz Gryz tomiki wierszy „rysa”, „zaklęcie”, opowiadania „Zapiski prowincjonalne”; Elżbieta Juszczak tomiki „Alergie”, „Świecąca ciemność”; Ludmiła Janusewicz tomik wierszy „Rozmowa z tobą w czasie”, opowiadania „Przesypywanie ziaren piasku”, powieść „Skrzydlica ognista”, opowiadania „Motyl na patyku”; Eugeniusz Koźmiński tomiki wierszy „Wołanie mew”, „Dziennik meduzy”, „Narodziny wyspy”, „W głębi”, opowiadania „Ludzie i ptaki”; Piotr Piątek tomiki „Cały ten tłum”, „Dotyk pod paznokciem”, „Dyrygent fał”, „Xerafrenia”; Agnieszka Dębek tomik „Wystarczy szept”, arkusz poetycki „Barwy czasu”, tomik „Nie mamy nic na stałe”, opowiadania „Dziewczyna w hotelu”, „Co się stało z Luizą?”, powieść „Sieci”.

Od lewej: Wojciech Czaplewski, Piotr Piątek, Eugeniusz Koźmiński, Ludmiła Janusewicz (zdj. archiwum ZLP O. Koszalin)



Równolegle, prężnie działa od 25 lat kołobrzeskie środowisko literackie skupione w Stowarzyszeniu Kołobrzeskich Poetów, którego pierwszym przewodniczącym był Piotr Bednarski, następnie Eugeniusz Koźmiński, a obecnie Wojciech Czaplewski (trzech członków Stowarzyszenia: Eugeniusz Koźmiński, Piotr Piątek i Wojciech Czaplewski należy do koszalińskiego oddziału ZLP). Wiceprezesem w SKP jest Emanuela Czeladka, poetka nominowana w roku 2018 do Nagrody Silesiusa za tomik „Napływ”, a członkami m.in.: Maciej Wódz, Marzena Izabela Lubszczyk, Michał Filipowski, Marcin Niedźwiadek – którzy rokują przyjęcie do ZLP. Stowarzyszenie wydaje almanachy i Oficynę Kołobrzeskich Poetów i Pisarzy.

Trzeba też dodać, że w Koszalinie działa od lat Krajowe Bractwo Literackie, skupiające miłośników literatury, którego kanclerzem jest Krystyna Pilecka, członek oddziału ZLP w Koszalinie.

Prezesami koszalińskiego oddziału ZLP byli kolejno: Czesław Kuriata, Zbysław Górecki, Czesław Kuriata, Zbigniew Bieńkowski, Czesław Kuriata, Józef Narkowicz, Jerzy Żelazny, a od 2003 r. Ludmiła Janusewicz.

Na przestrzeni ostatnich lat zmarli następujący literaci z naszego oddziału: Czesław Foryś, Henryk Livor-Piotrowski, Józef Narkowicz, Wiesław Uptas, Jan Lechowski, Anatol Ulman, Marlena Zimna, Adam Bidulka vel Kadmon. Elżbieta Niedźwiadek, Dorota Szachewicz, Czesław Kuriata.

Obecnie do koszalińskiego oddziału ZLP należą: Jerzy Żelazny, Ludmiła Janusewicz, Eugeniusz Koźmiński, Krystyna Pilecka, Agnieszka Dębek, Wojciech Czaplewski, Piotr Piątek i przyjęta w maju br. do ZLP Stanisława Schreuder, autorka ośmiu tomików wierszy oraz powieści „Morze miłości”.

HISTORIA I TERAŻNIEJSZOŚĆ

Ryszard Markow

Pierwsze klubowe spotkania literackie⁶

Próby utworzenia w Szczecinie klubu literacko-artystycznego prowadzono niemal w tym samym czasie w różnych środowiskach społecznych i politycznych. Jednym z inicjatorów utworzenia takiego klubu był Włodzimierz Goszczyński, naczelnik szczecińskiej delegatury Urzędu Informacji i Propagandy, oraz Jan W. Maliszewski, referent kulturalny w tym urzędzie. W trakcie przygotowanej przez nich konferencji 19 listopada 1945 r. opracowano założenia organizacyjne mających odbyć się w grudniu 1945 r. „czwartków artystycznych”, z zastrzeżeniem, że ich poziom musi być wysoki. Uczestnicy spotkania zakładali, że „czwartki artystyczne” staną się załącznikiem klubu kulturalno-artystycznego, który energicznie i fachowo zająłby się organizacją życia kulturalnego w Szczecinie.

W niedzielę [sic!] 9 grudnia 1945 r. o godzinie 10.00, w nowo otwartej świetlicy Urzędu Informacji i Propagandy przy ul. Armii Czerwonej 32 (obecnie Monte Cassino) miało miejsce wydarzenie nazwane pierwszym Czwartkiem Artystycznym. Uczestniczyli w nim m.in. delegat Wydziału Kultury i Sztuki (dalej WKiS) Urzędu Pełnomocnika Rządu RP na Okręg Pomorze Zachodnie (dalej UPR RP) Kazimierz Czerwiński⁷ i wicedyrektor Polskiego Radia Szczec-

⁶ Artykuł jest fragmentem przygotowanej do druku książki *Klub 13 Muz, pozostała legenda...*

⁷ Kazimierz Andrzej Czerwiński (ur. 3.03.1915 r. w Herne, zm. 8.01.1987 r. w Bonn), od 1 listopada 1945 r. do 28 lutego 1946 r. był delegatem Wydziału Kultury i Sztuki przy delegaturze szczecińskiej Urzędu Pełnomocnika Rządu RP na Okręg Pomorze Zachodnie w Koszalinie. Naczelnikiem WKiS był w tym czasie Stanisław Czapelski.

cin, aktor, Zdzisław Karczewski. Program spotkania wypełniły: referat W. Goszczyńskiego „Rola kulturalna Szczecina”, a w części artystycznej – wykonane przez mgr. Grymowskiego⁸ recytacje własnych wierszy *Czwartki Literackie* i *Dwie miłości*, oraz utwory fortepianowe Chopina zagrane przez Jadwigę Matuszkiewicz⁹.

Na zakończenie programu otwarto pierwszą wystawę malarstwa czterech szczecińskich artystów: Mariana Tomaszewskiego, Kazimierza Podsadeckiego, Grzegorza Macieja Maliszewskiego i Henryka Osten-Ostachiewicza. Niestety, trzy dni później pożar strawił budynek Urzędu Informacji i Propagandy, a w nim świetlicę i obrazy z pierwszej wystawy. Te dramatyczne okoliczności nie zniechęciły inicjatorów do kontynuacji idei spotkań „czwartkowych”, nazywanych alternatywnie „artystycznymi” lub „literackimi”. Siedzibę Urzędu, zaraz po pożarze, przeniesiono do pobliskiej willi przy ul. Zaolziańskiej 26 (obecnie Niedziałkowskiego) i tam właśnie zorganizowano drugi już Czwartek Literacki, podobnie jak pierwszy – w niedzielne przedpołudnie, 16 grudnia. Jego program wypełniły odczyt „Testament Mickiewicza”, wygłoszony przez prof. J.W. Maliszewskiego¹⁰ oraz recytacje kilku utworów Mickiewicza wykonane przez Z. Karczewskiego.

Mimo zapowiedzi kontynuacji, kolejne „czwartki” w świetlicy Urzędu Informacji i Propagandy prawdopodobnie nie odbyły się, a czwartkową ideę podjął powstały w 1946 roku Klub Literacko-Artystyczny.

Jednym z inicjatorów jego utworzenia był Stanisław Czapelski, naczelnik WKiS UPR RP, doświadczony organizator i działacz środowiska artystycznego, zaangażowany przez wojewodę Leonarda Borkowicza i zobowiązany do administrowania oraz organizacji szeroko pojętej działalności kulturalnej w Okręgu. W lutym 1946 r., przygotowując koncepcję adaptacji gmachu przy ul. Swarożyca 5 dla teatru, przewidywał on wykorzystanie jego części parterowej na lokal klubowy, nazwany Kołem Literacko-Artystycznym, z czytelnią zaopatrzoną w pisma i periodyki oraz miejscem, w którym mogą się odbywać wystawy obrazów. Pokoje na II piętrze zamierzał przeznaczyć m.in. na biura działających już w Szczecinie związków artystycznych dziennikarzy, plastyków i muzyków.

8 Prawdopodobnie chodzi o Wacława Grymowskiego, nauczyciela historii w I Gimnazjum i Liceum kierowanym przez Janinę Szczerską.

9 Jadwiga Matuszkiewicz od 1945 r. prowadziła klasę fortepianu w Niższej i Średniej Szkole Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Szczecinie.

10 Prawdopodobnie chodzi o Jana Maliszewskiego, w latach 1945–1946 nauczyciela śpiewu w sołowego Niższej i Średniej Szkoły Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Szczecinie.

Walne zebranie konstytucyjne Klubu Literacko-Artystycznego odbyło się 25 marca 1946 r. w redakcji „Kuriera Szczecińskiego”. Uczestniczyło w nim piętnastu założycieli, wśród nich czterech dziennikarzy z rozgłośni szczecińskiej Polskiego Radia: Zdzisław Karczewski, Tadeusz Szlęzak, Stanisław Telega (kierownik literacki) i Zofia Walicka-Neymanowa; trzech dziennikarzy z redakcji „Kuriera Szczecińskiego”: Mieczysław Halski (redaktor naczelny), Włodzimierz Goszczyński i Stanisław Szydłowski; kierownicy miejskich i wojewódzkich instytucji: Stanisław Czapelski, Lech Krzekotowski, kierownik Muzeum Miejskiego; Józef Moszyński, dyrektor Delegatury Spółdzielni Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” (dalej: „Czytelnik”); Wacław Piotrowski, dyrektor Średniej Szkoły Muzycznej im. Fryderyka Chopina; Stanisław Siadkowski, dyrektor Biblioteki Miejskiej; Karol Streer (Szczecińska Dyrekcja Odbudowy); Brunon Taydelt, naczelnik Wydziału Oświaty, Kultury i Sztuki Zarządu Miejskiego oraz Dymitr Hessen, sekretarz zarządu Oddziału Wojewódzkiego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej (dalej: TPPR).

W skład pięcioosobowego zarządu wybrano: S. Czapelskiego na prezesa, na wiceprezesa J. Moszyńskiego, S. Telegę na sekretarza, W. Goszczyńskiego na skarbnika oraz Z. Karczewskiego jako członka zarządu. Zebranie poparło wniosek Czapelskiego o zapraszaniu co pewien czas do Szczecina na wieczory autorskie i odczyty „wybitniejszych autorów polskich”. 26 marca 1946 r. odbyło się pierwsze posiedzenie zarządu, na którym uchwalono nawiązanie kontaktu ze Związkiem Literatów Polskich.

Nie mając własnej siedziby, Klub początkowo korzystał z gościny w sali koncertowej Polskiego Radia przy al. Wojska Polskiego 73. Tam też 16 maja 1946 r. zainaugurowano cykl Czwartków Literackich, będący faktycznie kontynuacją formy zapoczątkowanej przez świetlicę Urzędu Informacji i Propagandy.

Po zagajeniu spotkania przez prezesa Czapelskiego, referat dyskusyjny „Zadania kulturalne na Pomorzu Zachodnim” wygłosił W. Goszczyński, będący w tym czasie redaktorem w Spółdzielni Wydawniczej „Polskie Pismo i Książka”. „Referat wywołał ożywioną dyskusję wśród licznie zebranych członków Klubu i zaproszonych gości” – pisał w „Odrze” S. Telega. Zagadnienia kulturalne na Pomorzu Zachodnim pozostawały dotychczas w cieniu spraw politycznych i gospodarczych, co działo się nie tylko za sprawą „czynników oficjalnych”, lecz także ze względu na małe zainteresowanie napływającego na ten teren społeczeństwa pochodzącego z różnych regionów kulturowych. Ta niejednorodna kulturowo ludność konfrontowała się z brakiem lokalnych tradycji, co

nie sprzyjało budowaniu wspólnoty kulturalnych wyzwań. Zagadnienia kulturalne wysuwają się teraz na czoło problemów Pomorza Zachodniego. Należy umiejętnie wykorzystać współczesną koncepcję kulturalną, opierając ją na historycznej przeszłości tych ziem. Pozwoli to zachować ciągłość historyczną i ukształtować typ człowieka, nieobciążonego nałogami życia społecznego Polski Centralnej, który „stać się może najczystszy typem polskiej kultury demokratycznej”. Na zakończenie referatu redaktor Goszczyński sformułował główne zadania Klubu Literacko-Artystycznego. Wśród nich wymienił m.in. popieranie rodzimej twórczości literacko-artystycznej i badań naukowych, organizowanie wieczorów dyskusyjnych i spotkań autorskich, co powinno służyć pobudzaniu ruchu kulturotwórczego w regionie. Plonem dyskusji stało się postanowienie o stworzeniu pisma, które byłoby „obrazem twórczości kulturalno-naukowej Pomorza Zachodniego”. Temperatura spotkania musiała być wysoka i pragnienie wspólnego działania wielkie, skoro niezwłocznie przystąpiono do deklaracji finansowych. Naczelnik Wojewódzkiego Urzędu Informacji i Propagandy zadeklarował na rzecz Klubu kwotę 20 tys. zł, dyrektor Polskiego Radia na ten sam cel przeznaczył 10 tys. zł. Wyrażono przekonanie, że liczba ofiarodawców wzrośnie w miarę rozwoju Klubu. W części artystycznej wieczoru wystąpili artyści Polskiego Radia z recytacjami i utworami wokalnymi.

Zarówno pierwsze, jak i następne spotkania czwartkowe, organizowane w odstępach dwutygodniowych, transmitowała we fragmentach w programie lokalnym rozgłośnia radiowa.

Drugi Czwartek Literacki odbył się w piątek 31 maja 1946 r. Na program złożyły się: wprowadzenie prezesa Czapelskiego, odczytane przez Z. Karczewskiego i aktorkę Karynę Waśkiewicz fragmenty powieści *Krzyżacy* (śmierć Danusi, bitwa pod Grunwaldem) oraz krótki referat S. Telegi poświęcony twórczości Henryka Sienkiewicza. Ta część spotkania była transmitowana przez radio. W części drugiej Czesław Piskorski wygłosił odczyt o zabytkach starosłowiańskich Szczecina, uwzględniając zwłaszcza te, które zachowały się do dzisiaj. Po ożywionej dyskusji wywołanej referatem Piskorskiego publiczność gorąco poparła projekt popularnej, ale opartej na naukowych podstawach wystawy poświęconej pamiątkom i dokumentom historycznym Pomorza Zachodniego, która spopularyzowałaby ideę polskości tych ziem. Dodatkowym plonem spotkania z Piskorskim stała się zorganizowana przez Klub wycieczka po zabytkach Szczecina.

Trzeci Czwartek Literacki miał miejsce 13 czerwca 1946 r. i był poświęcony sprawom teatru. Odczyt o roli teatru, jego potrzebach i pracy wygłosił

Bronisław Skąpski, dyrektor Teatru Polskiego w Szczecinie. Termin spotkania nie był przypadkowy – dwa dni później odbyła się premiera komedii Fredry *Damy i huzary*, inaugurująca działalność tego teatru, który pod kierownictwem Skąpskiego przetrwał zaledwie trzy miesiące.

Jak informował „Kurier Szczeciński”, spotkanie prowadził S. Czapelski, dyrektor WKiS UPR RP, a uczestniczył w nim m.in. przedstawiciel Ministerstwa Kultury i Sztuki. Dyrektor Skąpski mówił o wychowawczej i kształcącej roli teatru, idącej w kierunku udostępnienia szerokim masom żywego słowa w najlepszym i najprzystępniejszym wyrazie artystycznym, opartym na najzdrowszych i najwartościowszych tradycjach i doświadczeniach sztuki scenicznej w Polsce.

Po letniej przerwie 1946 r. Klub wznowił działalność 24 października Turniejem Recytatorskim o tematyce marynistycznej, który odbył się w sali Urzędu Wojewódzkiego przy pl. Niezłomnych (obecnie pl. Armii Krajowej). Wieczór otworzył S. Telega, wygłaszając referat „Morze w poezji polskiej”. W turnieju wystąpili m.in. aktorzy szczecińskich teatrów: Zofia Stanisławska, Karyna Waśkiewicz, Władysław Jabłoński, Zdzisław Karczewski i Jerzy Śliwiński oraz pani L. Polek, którzy recytowali wiersze: *Gdynia* Juliana Tuwima, *Śpiew barek rybackich* Antoniego Madeja, *Marina* Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, *Pieśń marynarzy* i *W starym porcie* Kazimierza Wierzyńskiego oraz *Marynarze* Tadeusza Hollendra. Wykonawców oceniała publiczność, a laureatom, Karczewskiemu i Śliwińskiemu, przyznano równorzędne nagrody pieniężne po tysiąc złotych.

Do spotkań z cyklu Czwartki Literackie wrócono jeszcze tylko jeden raz, 9 stycznia 1947 r. w studiu muzycznym Polskiego Radia i był to Czwartek odbiegający formą od poprzednich – spotkanie autorskie z nowo pozyskanymi dla Szczecina literatami, Marią Boniecką i Janem Papugą. Autorzy przeczytali fragmenty swoich utworów, po czym dr Słomińska wygłosiła referat *Oblicze człowieka we współczesnej literaturze polskiej*. Inna tematyka i ujęcie jej w odmienne formy artystyczne oraz dwie różne sylwetki autorów – tak zapamiętali ich widzowie tego wieczoru. Papuga, autor książki *Szczury morskie*, przeczytał fragment nowej powieści *Czterech z Albatrosa*. Boniecka odczytała rozdział nowej książki, poświęconej mieszkańcom Warszawy po powstaniu. W sprawozdaniu z tego wieczoru czytamy m.in.:

Prosta i nieoszlifowana jeszcze „dusza” autorska młodego marynisty odczuwa może głęboko i wrażliwie – autor używa jednak do oddania swych

przeżyć niezmiernie lapidarnej i skąpej w słowa formy. Jan Papuga nie umie czytać swoich utworów – umie za to oddać ich nastrój – nastrój skreślony jeszcze w sposób prymitywny – zawarty w nie dość opracowany kształt literacki. A więc pierwszy kontrast: prymityw i nieoszlifowanie, a jednocześnie urok i niezaprzeczone zadatki na przyszłość.

Maria Boniecka – autorka już dojrzała, znacznie łatwiej potrafiła zawiązać bliski kontakt ze słuchaczem. Piękno jej kobiecego języka – umiejętność czytania wytworzyła od razu odpowiednią atmosferę, w której słuchacz stara się nie tylko przeżywać „na serio” nieznany mu utwór, lecz doznaje przedziwnych wzruszeń artystycznych.

Temat nowej książki Bonieckiej – to niedola mieszkańców stolicy po powstaniu warszawskim. Rozdział odczytany uważać należy za wzór dobrej konstrukcji. Język bogaty i różnorodny – maluje szczerze, nie żałując słów, co może nie wpływa ujemnie na realizm odczuwanych wrażeń¹¹.

Podobną do Czwartków Literackich formę, polegającą na połączeniu odczytu z częścią artystyczną, z wykorzystaniem poezji, fragmentów prozy oraz warstwy muzycznej, miały spotkania klubowe realizowane w cyklu nazywanym zamiennie wieczorami artystycznymi lub literackimi.

Spośród wieczorów artystycznych wymienimy listopadowy 1947 r., w studiu koncertowym Polskiego Radia, gdy Stanisław Siadkowski wygłosił odczyt „Walcmy o książkę”, a część artystyczną wypełnił śpiew nauczyciela Średniej Szkoły Muzycznej im. Fryderyka Chopina – Michała Prawdzica-Laymana (tenor), z towarzyszeniem Jerzego Klichowskiego (fortepian).

Do tego cyklu można zaliczyć zorganizowany w 1947 r. w sali Teatru Małego, we współpracy z WKiS Urzędu Wojewódzkiego, wieczór literacki z okazji trzeciej rocznicy wybuchu powstania warszawskiego. Po krótkim wprowadzeniu prezesa Klubu, S. Czapelskiego i uczczeniu minutą ciszy pamięci poległych powstańców rozpoczął się program artystyczny. Klara Waldmanowa wykonała na fortepianie utwory Chopina i Szymanowskiego, Maria Boniecka odczytała fragment swej powieści *Bezdomni*, a także wraz z Augustą Kornreich z Wydziału Kultury¹² fragmenty prozy Kazimierza Brandysa i Jerzego Piórkowskiego. Poezje m.in.: Romana Bratnego, Władysława Broniewskiego, Mie-

11 *Kontrasty literackie*, „Kurier Szczeciński” nr 11 z 13.01.1947, s. 3; W. Lachnitt, *Listy ze Szczecina*, „Arkona” 1947, nr 1–2, s. 27.

12 Augusta Kornreich (ur. 16.05.1910 r. w Krakowie, zm. 14.08.1973 r. w Szczecinie), pedagog, absolwentka germanistyki i polonistyki w Krakowie, żona dziennikarza Adama Kornreicha, od 15.10.1946 r. była referentką ds. literatury w WKiS Urzędu Wojewódzkiego Szczecińskiego.

czysławą Jastruną, Czesławą Miłosza, Tadeusza Różewicza, Witolda Wirpyszy i tych poetów, którzy zginęli za Warszawę (Tadeusza Gajcego, Krzysztofa Kamila Baczyńskiego), recytowali aktorzy: Maria Kalinowska, Romuald Malkowski i Karyna Waśkiewicz.

Odbывały się w Klubie także wieczory poświęcone literackiej twórczości rosyjskiej i radzieckiej. Miało to zapewne związek z utworzeniem 15 września 1947 r. w Szczecinie komitetu, którego zadaniem była organizacja na terenie miasta i powiatu akcji odczytowej o ZSRR, w ramach miesiąca wymiany kulturalnej między Związkiem Radzieckim i Polską. M.in. w październiku 1947 r., we współpracy z TPPR, Klub zorganizował wieczór literacki poświęcony twórczości Aleksandra Puszkina, Aleksandra Błoka i Włodzimierza Majakowskiego. Słowo wstępne o trzech poetach wygłosił D. Hessen, a poezję recytowali aktorzy szczecińskich teatrów.

W styczniu 1948 r. Klub urządził wieczór literacki w sali II Gimnazjum i Liceum przy ul. Henryka Pobożnego 2, uzupełniony referatem Lachnitta „Żołnierz w literaturze polskiej”. W części artystycznej artyści z Teatru Polskiego i Polskiego Radia czytali związane z tematem referatu fragmenty prozy i utwory poetyckie, przy akompaniamencie radiowego pianisty. Słuchaczami wieczoru byli uczniowie męskiego gimnazjum i słuchacze Gimnazjum Oficerskiego im. Generała Świerczewskiego. Imprezę planowano powtarzać w jednostkach wojskowych i zakładach pracy.

Jednym z ciekawszych wieczorów dyskusyjnych Klubu Literacko-Artystycznego było zorganizowane w listopadzie 1946 r. spotkanie z wojewodą Leonardem Borkowiczem. Salę Urzędu Wojewódzkiego wypełniło ponad pięćset osób, a dla wielu zabrakło biletów. Warto tu nadmienić, że przychód ze sprzedaży biletów w kwocie 16300 zł Zarząd Klubu wpłacił na Fundusz Odbudowy Stolicy.

Wojewoda wygłosił odczyt „Nowe drogi – nowe idee”. Przedstawił w nim historyczne, geopolityczne i społeczne uwarunkowania przemian zachodzących w Polsce po drugiej wojnie, mówił o korzystnych dla Polski rozstrzygnięciach dotyczących nowych granic państwa, o przemianach politycznych, gospodarczych i socjalnych, uzasadniał potrzebę akceptacji tych przemian przez obywateli. Spotkanie było w zamyśle dyskusyjne. Jednak mimo zaproszenia do dyskusji nikt się nie zgłosił. Drugą część wieczoru wypełnił koncert w wykonaniu Ireny Dołgowej-Ciring (skrzypce), Michała Prawdzica-Laymana (śpiew) i Jerzego Klichowskiego (fortepian).

Pośród innych wieczorów dyskusyjnych wymienimy zorganizowane 6 lutego 1947 r. w auli Gimnazjum dla Dorosłych przy ul. Mickiewicza 16 spotkanie z płk. Janem Ciałowiczem, byłym jeńcem Oflagu II C Woldenberg¹³, który wygłosił odczyt „Życie w obozach polskich jeńców wojennych”, ilustrowany wierszami obozowymi kpt. Jarosława Rogali-Sobieszczańskiego¹⁴, odczytany mi przez autora.

Wspomnijmy także wieczór dyskusyjny z 17 kwietnia 1947 r. w sali budynku Ligi Morskiej przy al. Wojska Polskiego 75, w trakcie którego dyrektor Muzeum Miejskiego L. Krzekotowski wygłosił odczyt „Społeczeństwo a sztuka”. W dyskusji na temat udostępniania sztuki szerokim masom społecznym zabierali głos m.in. wojewódzki konserwator zabytków, dr Leopold Kuszelski i referent ds. literatury WKiS, A. Kornreich.

Kolejny wieczór, poświęcony aktywizacji życia kulturalnego miasta, Klub Literacko-Artystyczny zorganizował we współpracy ze Spółdzielnią Wydawniczo-Oświatową „Czytelnik” (dalej: „Czytelnik”) 17 grudnia 1947 r. i spotkanie to wywołało ostatecznie ożywczy ferment, sprowokowało do dyskusji wykraczającej poza wyznaczone na nią miejsce i czas. Stało się tak zapewne za sprawą S. Telegi, który dokonał wprowadzenia referatem „O nowe oblicze kulturalne Szczecina”, w którym przedstawił obraz życia kulturalnego w dziedzinie teatru, plastyki, muzyki, bibliotek, nauki, prasy codziennej i periodycznej.

Ożywiona, a chwilami bardzo burzliwa dyskusja przeciągnęła się do późnej nocy. Wzięli w niej udział przedstawiciele władz, twórcy i konsumenci dóbr kultury i sztuki. A płynące z niej wnioski najważniejsze to, jak relacjonowała prasa: stwierdzenie zacofania Szczecina pod względem zainteresowań kulturalnych, konieczność planowości i koordynacji poczynań, wypracowania regionalnego planu aktywizacji kulturalnej Szczecina i Pomorza Zachodniego, a także zwiększenia dotacji na cele kulturalne. W tym względzie wypowiedzi obecnego na wieczorze prezydenta miasta, inż. Zaremby pozwoliły nieco jaśniej spojrzeć na najbliższą przyszłość. W trakcie dyskusji sformułowano m.in. pomysł przeprowadzenia zbiórki publicznej na Społeczną Nagrodę Artystyczną Szczecina. I stała się rzecz zaskakująca. W trakcie dyskusji przedstawiciel

13 Jan Andrzej Ciałowicz (1895-1967), pułkownik WP w czasie drugiej wojny był jeńcem Oflagu IIC Woldenberg (numer obozowy 75009/X.B.), po wojnie był m.in. pełnomocnikiem Zarządu Głównego PCK.

14 Jarosław Rogala-Sobieszczański (1907-1994), kapitan WP w czasie drugiej wojny był jeńcem Oflagu IIC Woldenberg (numer obozowy 566/II.B), po wojnie był wojewódzkim pełnomocnikiem akcji siewnej i naczelnikiem Wydziału Ogólnego Zarządu Miasta Szczecin, w latach czterdziestych publikował w „Odrze” barwne reportaże z Pomorza, a w prasie szczecińskiej poezję.

miejskiego Wydziału Kultury zwrócił się publicznie do prezydenta miasta z konkretną propozycją rozdysponowania niewykorzystanych przez Muzeum Miejskie środków finansowych na ogłoszenie konkursu plastycznego o tematyce miejskiej i morskiej (100 tys. zł), zakup obrazów od szczecińskich malarzy dla zapoczątkowania galerii malarstwa współczesnego w Muzeum Miejskim (500 tys. zł), nagrodę dla kompozytora i twórcy muzycznego hymnu miasta Szczecina, Konstantego Sobańskiego (10 tys. zł) oraz dla Klubu Literacko-Artystycznego (100 tys. zł) z przeznaczeniem na nagrody za najlepsze prace naukowe i literackie związane z historią Szczecina.

Rzeczywiście, plonem wieczoru dyskusyjnego stało się przeznaczenie w budżetach miasta i województwa szczecińskiego na rok 1948 znaczniejszych kwot na aktywizację szczecińskiego życia kulturalnego. Na same tylko nagrody plastyczne i literackie za prace związane tematycznie z Pomorzem Szczecińskim przeznaczono około pół miliona złotych. Jednocześnie dla podtrzymania ewentualnego osadnictwa kulturalnego miasto zdecydowało się z ogólnej liczby przydzielanych mieszkań 3% przeznaczyć dla ludzi kultury i sztuki, pragnących osiedlić się w Szczecinie. Wiele tygodni po pamiętnym wieczorze dyskusyjnym jego atmosfera i merytoryczny wydźwięk powracały w publicystyce kulturalnej. Między innymi S. Telega w lutym 1948 r. w radiowej kronice kulturalnej wspominał z uznaniem rzeczową i pozytywną reakcję prezydenta Zaremby na postulat utworzenia w Szczecinie uniwersytetu. Prezydent przeciwstawił się pesymistycznym poglądom części dyskutantów, potwierdził potrzebę podjęcia takich starań, zobowiązał się do osobistego zaangażowania w ten projekt i oświadczył, że prace organizacyjne właśnie się rozpoczęły. Innym konkretnym rezultatem organizacyjnym było utworzenie Komisji Kultury i Sztuki przy Wojewódzkiej Radzie Narodowej¹⁵.

Bez wątpienia najpopularniejszą formą spotkań Klubu Literacko-Artystycznego były wieczory autorskie, zwłaszcza spotkania z literatami spoza Szczecina. Jednym z najgłośniejszych wydarzeń literackich, które – jak pisał Telega – wywołało duży rezonans społeczny, był wieczór autorski głośnej powieściopisarki Ewy Szelburg-Zarembiny, zorganizowany 23 maja 1947 r. w auli Liceum dla Dorosłych przy ul. Mickiewicza 16. O doniosłości wydarzenia decydowała zarówno wysoka klasa artystyczna pisarki, jak i fakt, że po raz pierwszy w Szczecinie wystąpiła autorka o znanym w całej Polsce nazwisku. Wieczór Szelburg-Zarembiny umożliwił publiczności zapoznanie się z fragmentem jej twórczości. Aktor Zdzisław Karczewski doskonale odczytał realistyczny

15 APSz, PRiTV Szczecin, sygn. O/1.11/20: S. Telega, *Kronika kulturalna* z 8.02.1948.

fragment wcześniejszej powieści pisarki *Wędrówka Joanny*. Szelburg-Zarembina sama odczytała kilka nowych wierszy, urywki nowej powieści *Siloe* i kilka fragmentów z nowego zbioru opowiadań *Ziarno gorczyczne*.

W obszernym omówieniu tego spotkania w tygodniku „Odra” S. Telega zwrócił m.in. uwagę na dokonujący się za sprawą tego wydarzenia przełom, „znamienne przełamanie lodów, oddzielających dotąd Szczecin od reszty Polski”. W poprzednim roku trudno było bowiem namówić tej miary pisarzy na przyjazd do Szczecina, obecnie zaś, po wystosowaniu przez Klub podobnych zaproszeń, zapowiedzieli się w Szczecinie m.in.: Gustaw Morcinek, Marian Piechal, Grzegorz Timofiejew, a także profesor Konrad Górski z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Wieczór Grzegorza Timofiejewa, przed wojną współzałożyciela grupy literackiej Meteor, odbył się 17 lipca 1947 r. w ciasnej sali Klubu, w budynku Ligi Morskiej. Twórczość Timofiejewa – podano w zapowiedzi prasowej – jest głęboko humanistyczna i społeczna, przynosi dużo optymizmu i radości życia. Bezpośredniość formy, jej prosta i rzewna serdeczność trafiają łatwo do serc czytelników. Spotkanie otworzył Witold Wirpsza, który opisał współczesne prądy w literaturze i określił gatunek twórczości poety. Niezbyt liczne grono słuchaczy żywo oklaskiwało wiersze, odczytane przez poetę z wydanego w 1946 r. tomiku *Wysoki płomień*, zawierającego wiersze z konspiracji i obozu.

W przeddzień premiery dramatu *Rozdroże miłości* Jerzego Zawieyskiego w Teatrze Komedia Muzyczna, jego autor spotkał się z czytelnikami w sali Teatru Małego. Wieczór autorski z Zawieyskim, będącym w tym czasie wiceprezesem Związku Zawodowego Literatów Polskich, odbył się 19 września 1947 r. Gość wieczoru wygłosił odczyt „Nowa epoka – nowy człowiek w literaturze”, w którym wpisał się w popularny w tym czasie dyskurs o literaturze dwudziestolecia międzywojennego, prowadzony przez krytykę różnych ugrupowań i nastrojów. Twórczość ta, oceniana na ogół raczej krytycznie, znalazła w Zawieyskim obrońcę zawartych w niej społecznych wartości, na poparcie czego pisarz posłużył się wybranymi przykładami. W dalszej części spotkania, stwierdzając m.in. pozytywne ustosunkowanie się literatury współczesnej do problemów chwili bieżącej i przemian społecznych, wskazał trzy zasadnicze kierunki, oparte na ideologiach, którymi będzie podążać literatura nowej Polski: materialistyczny, katolicki i liberalny. Nieco obszerniej omówił Zawieyski nowy prąd filozoficzny, wywierający już pewien wpływ na literaturę zachodu, prąd zwany egzystencjalizmem, którego twórcą jest Sartre.

Pierwszomajowe w 1948 r. spotkanie ze śląskim prozaikiem i poetą, Wilhelmem Szewczykiem, redaktorem naczelnym tygodnika „Odra”, poświęcone było geografii kulturalnej Ziem Zachodnich i sprawom niemieckim. Poeta odczytał także publiczności swoje wiersze.

Część spotkań autorskich Klub Literacko-Artystyczny organizował we współpracy ze Spółdzielnią „Czytelnik” pod hasłem „Pisarze u swych czytelników”. W ramach tego cyklu czytelnicy spotkali się m.in. z: Jerzym Andrzejewskim, Michałem Rusinkiem, Antonim Gołubiewem i Władysławem Broniewskim. Oprócz spotkań wieczornych z czytelnikami, pisarzom urządzano spotkania w szkołach lub w świetlicach w tzw. terenie. W lutym 1948 r. Andrzejewski, poza wieczorem literackim w sali WRN, miał spotkania z czytelnikami w Gimnazjum Oficerskim, Gimnazjum dla Dorosłych i Gimnazjum Żeńskim oraz w Trzebieży.

W ramach tego samego cyklu wieczór autorski Marii Dąbrowskiej w dniu 28 września 1948 r. „Czytelnik” i Klub Literacko-Artystyczny zorganizowały w sali Związku Zawodowego Kolarzy przy ul. Partyzantów.

Poza opisanym wcześniej spotkaniem z Marią Boniecką i Janem Papugą w ramach Czwartków Literackich, w 1948 r. zorganizowano dwa wieczory autorów szczecińskich. Pierwszy, zdaniem W. Lachnitta, stanowiący dowód żywotności miejscowego środowiska literackiego, Spółdzielnia „Czytelnik” i Klub zorganizowały 8 kwietnia w sali Gimnazjum i Liceum dla Dorosłych. Na wstępie S. Telega w rzeczowej i przystępnej formie opisał twórczość literacką poświęconą zagadnieniom Ziem Odzyskanych i postulował powiązanie twórczości literatów miejscowych z Pomorzem Zachodnim. W drugiej, głównej części spotkania, autorzy odczytali fragmenty swoich utworów. Maria Boniecka – fragment powieści o powstaniu warszawskim, Julian Borzym – fragment dramatu *Na pograniczu*, Tymoteusz Karpowicz – cykle wierszy *Z galerii rzemieślników*, *Wycieczka prasowa* i *Wiersze szczecińskie*, Walerian Lachnitt – fragment powieści *Druty*, Jan Papuga – opowiadanie *Porucznik Woda*, Witold Wirpsza – wiersze. W sprawozdaniu z wieczoru na łamach „Odry” Telega przede wszystkim zwrócił uwagę na Karpowicza, młodego twórcę, którego poezja wyróżniała się świetną formą i społeczną treścią, oraz „odkrytego” przez Klub nowego autora szczecińskiego, Juliana Borzyna, zapowiadającego się dobrze dramaturga. Pozostałym bohaterom wieczoru Telega poświęcił lapidarne oceny. Twórczość poetycką Wirpszy nazwał nieporozumieniem autora, mającego raczej skłonność do dobrej prozy. Boniecka – jego zdaniem – tworzy w sposób tradycyjny i nie umie budować zwarcie swoich powieści, Papuga w dalszym

ciągu uprawiający marynistykę, nie wykazuje na ogół większego postępu od czasu *Szczurów morskich*, a ambitna w założeniu próba powieściowa Lachnitta wskazuje wyraźnie, że jego domeną pisarską jest raczej krytyka i publicystyka, a nie powieść. Telega uznał jednak ten wieczór, będący pierwszym wspólnym wystąpieniem jeszcze niezbyt zwartej grupy szczecińskich autorów, za cenną okoliczność, która pozwoliła ujawnić profile artystyczne twórców oraz ambicję związania ich twórczości z regionem szczecińskim. W konkluzji stwierdził jednak, że konieczne jest zasilenie tej szczupłej jeszcze gromadki nowymi literatami z Polski Centralnej, którzy znaleźć tu mogą wdzięczne pole pracy oraz niezwykle godną i ciekawą tematykę. Zdaniem Ryszarda Stachnika z „Kuriera Szczecińskiego”, największym uznaniem wśród zebranych cieszyły się błyskotliwe i interesujące, a zarazem doskonale przez autora odczytane wiersze T. Karpowicza i fragment dramatu *Na pograniczu* J. Borzyna. Pozostali autorzy również spotkali się z serdecznym przyjęciem i gorącymi oklaskami słuchaczy.

Kolejny wieczór autorów szczecińskich, reprezentowanych mniej licznie, Klub zorganizował w Państwowych Zakładach Konfekcyjnych. W trakcie spotkania z robotnikami i robotnikami PZK słowo wstępne wygłosił W. Lachnitt, po czym Jan Papuga, Julian Borzym i Zygfryd Sawko czytali fragmenty swoich utworów. By zachęcić mieszkańców miasta do udziału w tym wieczorze, w dniach poprzedzających spotkanie zapowiadało je kilkakrotnie lokalne radio.

W sezonie 1947/48 Klub zorganizował ogółem siedemnaście imprez artystycznych, w tym pięć wspólnie z „Czytelnikiem”. Siłami własnymi Klub urządził w Szczecinie osiem wieczorów autorskich, w tym dwa w osadach rybackich, oraz cztery wieczory, na które złożyły się odczyty, dyskusje, montaż literackie. Od początku istnienia Klub zorganizował 33 wydarzenia artystyczne, prowadził także poradnictwo literackie dla młodzieży ze Szczecina i województwa, w którym udzielali się: S. Telega, W. Lachnitt i T. Karpowicz.

Poza urządzaniem spotkań klubowych, odczytów, spotkań autorskich itp. Klub Literacko-Artystyczny podejmował działania o charakterze opiniotwórczym. W 1946 r. zaangażował się m.in. w konflikt dotyczący organizacji życia teatralnego w Szczecinie.

Mimo własnych kłopotów finansowych Klub wspierał inne instytucje lub przedsięwzięcia kulturalne. Między innymi w 1947 r. przekazał kwotę pięciu tysięcy złotych zagrożonemu likwidacją tygodnikowi „Szczecin”, wydawanemu przez Spółdzielnię Wydawniczą „Polskie Pismo i Książka”. I choć była to kropla w morzu potrzeb redakcji tygodnika, gest ten dobrze świadczył o priorytetach i społecznej postawie zarządu Klubu.

Prawdopodobnie incydentalnym wydarzeniem Klubu Literacko-Artystycznego stało się wydanie, przed wyborami parlamentarnymi w 1947 r., propagandowego wydawnictwa albumowego *Piękno i bogactwo Pomorza Zachodniego*. Książka opatrzona popularnym mottem: „Cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie”, zawiera wiele rycin i zdjęć interesujących obiektów architektury Pomorza Zachodniego i mapki regionu opatrzone odpowiednimi komentarzami, zachęcającymi do głosowania na listę Bloku Demokratycznego¹⁶.

Dla ukazania pełnego obrazu aktywności środowiska Klubu Literacko-Artystycznego, trzeba wspomnieć o wyjątkowej inicjatywie, która zaowocowała w Szczecinie do dziś kultywowaną tradycją, choć realizowaną z przerwami, i w następnych odsłonach w różnych konfiguracjach formalnych oraz w różnych ramach organizacyjnych. Jak już wspomniano – idea przyznawania Szczecińskiej Społecznej Nagrody Artystycznej zrodziła się w styczniu 1948 r., w ferworze sporów, w trakcie zorganizowanego przez Klub wieczoru dyskusyjnego po prelekcji Stanisława Telegi „O nowe oblicze kulturalne Szczecina”.

Kilka tygodni później gotowy był statut społecznej nagrody artystycznej oraz projekt regulaminu obrad i przyznania nagród dla sądu konkursowego. Statut zakładał, że nagrody będą przyznawane corocznie osobom, które w danym roku kalendarzowym odznaczyły się szczególną działalnością na terenie Pomorza Zachodniego w dziedzinach: literatury, plastyki, muzyki i teatru. Wyjątkowo w 1948 r. nagrody będą przyznane za działalność literacką i plastyczną w latach 1945–1947. Nagrody przyzna sąd konkursowy każdego roku w dniu 5 lipca, w rocznicę powrotu Szczecina do Polski. W skład sądu konkursowego wejdą: wojewoda lub wicewojewoda – jako przewodniczący – oraz po jednym przedstawicielu Wojewódzkiej Rady Narodowej i Okręgowej Komisji Związków Zawodowych, dwaj przedstawiciele Klubu Literacko-Artystycznego i po dwóch znawców danej dziedziny dla każdej nagrody oddzielnie.

Nagrody artystyczne, prócz wymiaru prestiżowego, miały mieć także wymiar finansowy, a jego wysokość statut uzależniał od wielkości zgromadzonych funduszy. Społeczny charakter nagrody podkreślała bowiem publiczna zbiórka na wydzielonym koncie bankowym Klubu Literacko-Artystycznego. Zbiórkę w różnej formie propagowała prasa. Szczegółowo o idei i zasadach przyznawania pierwszej Szczecińskiej Społecznej Nagrody Artystycznej pisał na początku marca, na łamach „Kuriera Ilustrowanego” S. Telega. Jako godny

16 Strona tytułowa wydawnictwa zawiera informację: Wydanie specjalne – ilustrowane, Nakładem Klubu Artystyczno-Literackiego, Szczecin 1947.

naśladowania przykład informował o deklaracji wojewody Borkowicza przekazania na fundusz nagrody kwoty 50 tys. zł. W lutym 1948 r. o utworzeniu przez Klub nagrody artystycznej informował m.in. miesięcznik „Arkona”, a jego komentator, W. Lachnitt zauważył, że dzięki tej inicjatywie Szczecin nie zostanie w tym roku w tyle za innymi miastami, które od dawna już mają swoje nagrody artystyczne.

Zbiórka publiczna w Szczecinie rozpoczęła się 1 marca. Nie wszyscy byli jej entuzjastami. Wiele osób odniosło się do niej sceptycznie, niektórzy krytycznie.

Po latach nie udało się ustalić pełnej listy donatorów funduszu nagrody. Jest bardzo prawdopodobne, że znaczący wkład uzupełniający budżet nagrody wniósł Zarząd Miasta Szczecina. Do grona ofiarodawców dodajmy także Związek Zawodowy Literatów Polskich z kwotą 50 tys. zł. W. Lachnitt, informując o tym w radiowej kronice kulturalnej, ubolewał, że pierwsza nagroda artystyczna Szczecina spotkała się z tak małym stosunkowo oddźwiękiem wśród miejscowego społeczeństwa.

Nie udało się odnaleźć protokołu obrad sądu konkursowego, ustalić jego pełnego składu, poznać pełnej listy kandydatów do nagrody. Wiadomo tylko, że jego pierwsze zebranie odbyło się 5 lipca 1948 r. w lokalu Muzeum Pomorza Zachodniego przy ul. Janiślawy 27/28 (obecnie Staromłyńska), gdzie mieścił się w tym czasie także sekretariat Klubu Literacko-Artystycznego. Sądowi przewodniczył wojewoda Borkowicz, a w jego pracach brali udział m.in. z ramienia zarządu Klubu – Józef Moszyński i Włodzimierz Goszczyński, a także delegat Zarządu Głównego Związku Zawodowego Literatów Polskich, Aleksander Rymkiewicz. Związek plastyków reprezentowali Guido Reck i Emanuel Messer. Plastycy zgłosili do nagrody kandydaturę Mariana Tomaszewskiego.

Nagrodę literacką w kwocie 100 tys. złotych sąd konkursowy przyznał Stanisławowi Helsztyńskiemu za zbiór felietonów historycznych *W piastowskich grodach Pomorza Zachodniego*, wydany w 1946 r. w Szczecinie. W dziedzinie plastyki sąd przyznał dwie równorzędne nagrody po 50 tys. zł artystom malarzom Marianowi Tomaszewskiemu i Janowi Powickiemu. Poza tym postanowiono wyróżnić dwie prace w dziedzinie literatury – Waleriana Lachnitta *Pod znakiem gryfa* i Tymoteusza Karpowicza *Legendy pomorskie*.

„Ta pierwsza w Szczecinie społeczna nagroda artystyczna – pisał na łamach „Odry” S. Telega – zainicjowana przez Klub Literacki i ufundowana ze składek społeczeństwa szczecińskiego świadczy dobrze zarówno o ambitnych inicjatorach, którzy od trzech lat stale przodują w życiu kulturalnym Szczecina, jak



Pieczęć Klubu Literacko-Artystycznego, Archiwum Państwowe w Szczecinie

i o samym społeczeństwie, które doceniło tę ambicję i poparło ją materialnie. W ten sposób stworzony został zaczątek pewnej tradycji, która zachęci artystów do dalszej pracy w Szczecinie i o Szczecinie”.

Wręczenie nagród odbyło się 2 września 1948 r. w sali Muzeum Pomorza Zachodniego przy ul. Janiślawy. Wojewoda Borkowicz, wręczając nagrody laureatom, w sposób szczególny gratulował Stanisławowi Helsztyńskiemu. Autor reportażu, dziękując w imieniu laureatów, wspominał o okolicznościach powstania książki, która jest rezultatem sześciomiesięcznego «tropienia» za śladami polskości na Pomorzu Zachodnim w roku 1945. Śladów tych jest tak dużo, że tworzą one złotą szczecińską arkę przymierza między dawnymi a nowymi laty. Arkę wypełnioną po brzegi, z której niejednen klejnot powinien być podjęty i oszlifowany przez literatów szczecińskich.

Uroczystość zakończyła część artystyczna, w której Jadwiga Matuszkiewicz (fortepian) wykonała Nokturn Des-dur i Mazurek a-moll Chopina, Michał Prawdzic-Layman zaśpiewał pieśni Jana Galla do słów Adama Asnyka, a aktorka Krystyna Feldman recytowała wiersze, m.in. *Przeładunek* Tymoteusza Karpowicza. I jak się okazało, Społeczną Nagrodę Artystyczną w tej formule przyznano tylko raz.

Kilka miesięcy po tym wydarzeniu, w kwietniu 1949 r., Nagrodę Artystyczną Szczecina za twórczość literacką, plastyczną i przemysłu artystycznego realizowaną w latach 1945–1948 przyznała Miejska Rada Narodowa (dalej: MRN) i Zarząd Miejski, finansując ją w całości z budżetu miasta.

Laureatów nagrody wyłoniło jury, którego skład wybrała Komisja Oświaty, Kultury i Sztuki MRN. Jury nagrody plastycznej przewodniczył prezydent Piotr Zaremba. W jego skład weszli także: Zdzisław Muszyński (przewodniczący Prezydium MRN), Aleksander Junosza-Szaniawski (sekretarz ds.

Wieczór autorski J. Andrzejewskiego, afisz, 1948.
Książnica Pomorska w Szczecinie.



Pierwszą nagrodę przyznano Zenonowi Kononowiczowi, a drugą – Guido Reckowi. Ponadto jury przyznało pięć nagród za działalność artystyczną w dziedzinie zdobnictwa i przemysłu artystycznego. Otrzymali je: Stanisław Jeziorański i Tadeusz Kluska (metaloplastyka), Wiktoria Kępska (zabawkarstwo), Halina Hałaszyńska (wyroby drewniane) oraz Halina Szuszkiewiczowa (tkactwo).

Jury nagrody literackiej (za twórczość marynistyczną) przewodniczył Zdzisław Muszyński. W jego skład weszli także: Piotr Zaremba, Michał Frank, dziennikarz, Stanisław Szydłowski oraz literat, Jerzy Andrzejewski. Laureatem tej nagrody został Jan Papuga. Na uroczystym posiedzeniu MRN 20 marca 1949 r. nagrody laureatom wręczali przewodniczący Rady, Zdzisław Muszyński oraz prezydent, Piotr Zaremba.

Z nieznanych powodów przez następnych kilka lat nagród artystycznych w Szczecinie nie przyznawano. Powrócono do tej idei dopiero w 1955 r.

W październiku 1948 r. odbyło się ostatnie walne zebranie Klubu Literacko-Artystycznego, na którym wybrano nowy zarząd w składzie: Adam Asnes (prezes), Feliks Jordan (wiceprezes), Zofia Walicka-Neymanowa (sekretarz), Zygmunt Hoffmann (skarbnik) oraz Lech Krzekotowski (członek zarządu), którego zresztą wkrótce zastąpił Witold Wirpsza. Nowy zarząd musiał się zmierzyć

z „konkurencyjnym” wyzwaniem w postaci działającego już przy al. Wojska Polskiego 46 Klubu 13 Muz¹⁷, którego założenia programowe w znacznym obszarze dublowały się z programem Klubu Literacko-Artystycznego. Jako zapowiedź przyszłej współpracy obu klubów odnotujmy tu wizytę w Szczecinie Mariana Piechala w 1948 r., któremu w środę 23 czerwca Klub Literacko-Artystyczny zorganizował wieczór autorski w małej sali Teatru Polskiego, a dnia następnego poeta wziął udział w inauguracyjnym „Czwartku artystycznym” w Klubie 13 Muz, głosząc wprowadzenie do dyskusji na temat współczesnej poezji.

dr Wojciech Kral

Legendy pomorskie Tymoteusza Karpowicza – próba odbudowania pomorskiej tożsamości po 1945

Legendy i kultura regionalna Pomorza Zachodniego stanowią wciąż mało znany element dziedzictwa lokalnego na mapie Polski. Najbardziej znaną i przekonującą przyczyną tego stanu rzeczy jest prawie zupełna wymiana ludności w regionie po 1945 r. Wydawać by się mogło, że dopiero w ostatnich latach wzrosło zainteresowanie pomorskimi legendami i zaczęto chętniej odkrywać. Jednak zainteresowanie tym obszarem literatury rozpoczęło się znacznie wcześniej. Wartym przypomnienia w kontekście Szczecina i Pomorza jest tu Tymoteusz Karpowicz, poeta urodzony we wsi Zielona pod Wilnem. Przybył on do Szczecina już po zakończeniu II wojny światowej w 1945 r.

Cztery okresy życia Karpowicza można powiązać z dużymi miastami. Pierwsze lata to Wileńszczyzna i Wilno, gdzie debiutował jako młody publicysta.

17 W piątek 28 maja 1948 r., w obecności miejscowych władz, dokonano uroczystego otwarcia Klubu Artystów Plastyków i Dziennikarzy, bo tak oficjalnie nazwano początkowo ten lokal. Oficjalnie nazwa „13 Muz” pojawiła się po raz pierwszy w „Kurierze Szczecińskim” z 23 czerwca 1948 r., w notatce informującej o inauguracyjnym „czwartku artystycznym” z udziałem Mariana Piechala.

Lata 1945-1949 spędził w Szczecinie, gdzie zainteresował się mocno tematyką regionalną, podjął pracę w szczecińskiej rozgłośni Polskiego Radia. Pisał też artykuły publicystyczne, w tygodniku „Odra” w 1947 r. ukazał się jego artykuł *Dwie wiosny*, w którym porównuje wiosnę na szczecińskich ulicach do symbolicznej wiosny jako odnowy, mającej zmienić życie ludzi. Tu, w Szczecinie też debiutował jako literat w 1948 r. zbiorkiem *Legendy pomorskie*, a także wydał swój pierwszy tomik poetycki *Żywe wymiary*, również osadzony w rzeczywistości szczecińskiej i z tytułami nawiązującymi także do szczecińskiej topografii (*Św. Jakub, Nad Odrą, Dom Łojców*). Po przeprowadzce do Wrocławia w 1949 r. rozpoczął studia polonistyczne i poświęcił się studiom. Wraz z ogłoszeniem w czasach stalinowskich doktryny socrealizmu w literaturze w Polsce, Karpowicz zaniechał publikacji swoich wierszy. Po 1956 r., kiedy nastąpił tzw. okres „odwilży” i przestano ostro przestrzegać doktryny socrealizmu w Polsce, Karpowicz powrócił do pisania i publikacji swych wierszy – w 1957 r. ukazał się wtedy tomik poetycki *Gorzkie źródła*. Po 1973 r. uzyskał stypendium naukowe i wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie mieszkał do końca życia i zmarł w 2005 r. w Oak Park, dzielnicy Chicago, lecz został pochowany właśnie we Wrocławiu, obok swojej żony Marii, na Cmentarzu Osobowickim.

Treść *Legend pomorskich* Karpowicza w niektórych przypadkach można w przybliżeniu umieścić w okresie panowania któregoś z władców, wymienionego z imienia. Jednak nie zawsze tak jest, często akcja rozgrywa się w dalekiej, lecz niesprecyzowanej przeszłości, zwykle pogańskiej, czasem też chrześcijańskiej. Pojawiają się elementy geograficzne, zwykle jest to nazwa wsi. Bywa, że nazwa w okresie pisania *Legend* przez Karpowicza była nieco inna. Powołana Komisja Ustalania Nazw Miejscowości określiła oficjalne nazwy do roku 1951, do tego czasu niektóre używane nazwy brzmiały nieco inaczej. Tak więc w legendzie *O dąbskiej syrenie* mamy zagadkowe nazwy: Glinka (nazwa wsi) i Czarne Łąki. Owa Glinka to dziś Glinki, osiedle Szczecina w okolicach Goławia, natomiast Czarne Łąki to obecnie Czarnołęka, niezamieszkała dziś wyspa na jeziorze Dąbie. Język legend jest mocno stylizowany, co dawniej było praktyką w tego typu literaturze. Z jednej strony znajdziemy tam w książce Karpowicza wiele



prób archaizacji, z drugiej – folkloryzacji. Poza tym autor stosuje wiele metafor i środków stylistycznych typowych dla poezji, przez co język można określić częściowo jako prozę poetycką. Jest to jednak język dość patetyczny, miejscami dziwaczny i koturnowy.

Fabuła poszczególnych legend jest u Karpowicza dosyć zawiła. W wielu z nich pojawia się wątek moralizatorski albo mistyczny. Pojawia się często motyw danego słowa lub złamanej obietnicy, motyw pychy i jej ukarania, motyw pogardy i poniżenia przez złych ludzi. Mamy do czynienia też z różnymi wariantami popularnych legend – na przykład legenda *Czarny Lewiatan* to statek widmo, gdzie można dopatrzeć się elementów baśni o Latającym Holendrze.

Utwory tworzone przez Karpowicza w Szczecinie zapewne miały swoje pierwowzory, związane z tradycją niemiecką. Żeby jednak je zidentyfikować, potrzebna byłaby szersza praca nad tą twórczością. Nie należy się dziwić, że Karpowicz, będąc Polakiem działającym podczas wojny w ruchu oporu, po 1945 r. zdecydował się w swojej debiutanckiej książce na konsekwentną sławizację większości imion bohaterów. Choć – podkreślić to należy – legendy te zachowują klimat pogranicza polsko-niemieckiego i zarazem polsko-skandynawskiego. Pojawiają się imiona bóstw pogańskich słowiańskich, ale też germańskich. W większości legend imiona postaci mają pochodzenie słowiańskie, ale też niemieckie czy skandynawskie (duńskie, norweskie, szwedzkie). Zapewne większość z imion słowiańskich jest owocem inwencji twórczej autora. W każdym razie imiona takie jak Bocław czy Tetka wyglądają raczej na autorskie stylizacje niż autentyczne imiona zachowane w źródłach. Może brzmią one dziś dziwnie, mimo to należy podkreślić, że Karpowicz w swoich legendach umiał wyrazić dobrze tożsamość pogranicza. Nie byłoby to zresztą dziwne, zważając na to, że pochodził z Wileńszczyzny, ziemi kulturowego pogranicza polsko-litewsko-białoruskiego. Losy rzuciły go po wojnie na inne pogranicze, polsko-niemieckie, ale też z elementami pochodzącymi z kultury tajemniczych, dawnych plemion słowiańskich (Wieleci, Pomorzanie).

Legendy w książce Karpowicza rozgrywają się na szeroko rozumianej ziemi pomorskiej – mniej więcej od wyspy Uznam do okolic Łeby. Nie wychodzą jednak poza teren obecnych granic Polski. Ważnymi punktami są Bałtyk, wyspy przybrzeżne (Wolin, Uznam), Szczecin i Odra. Występuje też nazwa dawnego, legendarnego grodu Wineta – utożsamiana dziś zwykle z Wolinem. U Karpowicza ta nazwa pojawia się m.in. w legendzie *O srebrnym grodzie*, gdzie widać wielość imion, obecność Wikingów i Słowian, znaczenie i splendor legendarnego grodu.

U Karpowicza dostrzec można widoczną i szczerą fascynację miastem i regionem, gdzie zamieszkał po ciężkich czasach wojny. Próbuje odszukać zagubioną tożsamość regionu, zwracając uwagę na elementy historyczne, przyrodnicze i kulturowe. Szczecin jest często punktem odniesienia dla innych, mniejszych miejscowości. Mimo wszystko legendy pomorskie w zbiorze Karpowicza prawie nie mają charakteru mieszczańskiego. Ich narracja jest stylizowana na ludową, często w realiach wiejskich, rybackich, czasem wojennych. Jednocześnie stanowią ciekawy przykład literatury pionierskiej na terenie Szczecina i Pomorza w latach czterdziestych, bezpośrednio po II wojnie światowej. Widać w tych pierwszych, powojennych latach próby autentycznego budowania tożsamości regionalnej, jeszcze bez silnych motywów politycznych, które pojawić się miały kilka lat później, w okresie tzw. realizmu socjalistycznego, narzuconego artystom i odbiorcom sztuki przez ludową władzę w 1949 r. W tym ciężkim okresie ideologicznego przymusu Tymoteusz Karpowicz zaprzestał publikowania swoich utworów, wznowił je dopiero po tzw. odwilży (po złagodzeniu kursu politycznego władz po śmierci Bieruta w 1956 r.).

Legendy w kulturze i tożsamości lokalnej odgrywają dużą rolę. Po roku 1989 nastąpił wzrost zainteresowania historią i kulturą regionalną, w tym też dawnymi legendami. Legendy wciąż fascynują i na terenie Pomorza, gdzie wyraźnie odczuwalny był ich brak, pojawili się nowi legendziarze, odkrywający stare legendy w nowej formie – do takich należy m.in. szczeciński autor legend ze Szczecina, Puszczy Bukowej i powiatu polickiego – Mirosław Wacewicz. Nie sposób pominąć pokaźnego tomu *Legendy pomorskie*, autorstwa Jarosława Kociuby (wyd. Szczecin 2017). Autor ogranicza się w nim do obszaru historycznego Pomorza Przedniego i Pomorza Tylnego, pomijając tereny Nowej Marchii i Pomerelii (Prus Królewskich). Każda z legend jest przypisana do konkretnych miejscowości, co stanowi ułatwienie dla czytelnika, chcącego wyszukać legendy związane z określonym miastem czy wsią. Język nie jest stylizowany, naszpikowany metaforami ani archaizowany. Stara się raczej literackim językiem polskim opowiedzieć pewne zdarzenia z punktu widzenia dawnych mieszkańców tych ziem. Legendy w zbiorze Jarosława Kociuby skupiają się często na wydarzeniach historycznych, wyjaśniają powstanie starych budynków, jak bramy miejskie, kościoły czy klasztory. Pojawiają się epizody z udziałem postaci historycznych, ale też zdarzają się motywy bajeczne, a także wątek diabła, który był głównym podejrzanym przy sprawach tajemniczych, niezrozumiałych.

Legendy w życiu społeczności lokalnych nie stanowią ścisłego i niezmiennego kanonu. Ich tożsamość jest wielowarstwowa, niosą różne przesłania, mają

swoje warianty, odnoszą się do różnych miejsc i różnych okresów w historii, czasem bajecznych, czasem związanych z konkretnym miejscem i czasem. *Legends pomorskie* Tymoteusza Karpowicza nie są zbiorem doskonałym, ale raczej interesującą próbą warsztatową debiutującego literata z Wileńszczyzny, który w 1945 r. znalazł się w Szczecinie, mieście silnie zniszczonym przez wojnę, które jednak zafascynowało go swoją historią i tożsamością. Mimo to odnaleźć można w nich tożsamość pogranicza, stylizacje i kwiecisty styl autora i oczywiście wątki historyczne i geograficzne związane z nieznaną dla większości osiedlających się wtedy w Szczecinie Polaków ziemią – Pomorzem. Pomorze było przedstawiane przez Karpowicza jako spowite w dalekiej mgłę tajemniczości i niepewności. Dziś autorzy, opracowujący lub tworzący pomorskie legendy, odnoszą się do pomorskiego dziedzictwa w bardziej swojski sposób, ale też umieją wyeksponować elementy niezwykle i fascynujące. Twórczość legendowa powoli powraca do świadomości mieszkańców, cieszą też nowe publikacje i odkrycia utworów sprzed lat.

Grzegorz J. Brzustowicz

Historia w wierszu

O wojnie trzydziestoletniej w Księstwie Pomorskim w wierszu pastora Petera Rudolphi z 1696 roku

Mało znana kronika dziejów Księstwa Pomorskiego zatytułowana „Gryf Pomorski” pastora Petera Rudolphi (*1679-†1708), pozostaje w rękopisie podzielonym na dwa tomy. Pierwszy z nich chronologicznie rozpoczyna się od czasów legendarnego księcia Pomorzan, Świętosława (*Swantislaw*), a drugi kończy na roku 1679. Niegdyś oryginalny rękopis z rysunkami wykonanymi piórkiem znajdował się w bibliotece gimnazjum z Joachimstahl w Templinie.



Natomiast kilka kopii było rozsianych po Pomorzu i Brandenburgii. Jedna z nich znajdowała się w zbiorach bibliotecznych na zamku w Płotach, kolejne w bibliotekach szczecińskich. Ja miałem okazję dotrzeć do jedynej, która przetrwała ostatnią wojnę i obecnie znajduje się w zbiorach Archiwum Państwowego w Szczecinie¹⁸.

Gdy do niej zająrzałem w związku z badaniami, jakie prowadzę nad wojną trzydziestoletnią na Pomorzu i w Nowej Marchii, zdziwiłem się wielce. Z załączonej karty wynikało, że polscy historycy nie interesowali się bliżej tym rękopisem po wojnie. Owszem, pierwszy tom ukończony przez pastora

18 Archiwum Państwowe w Szczecinie, Rękopisy i spuścizny: Zbiór Samuela G. Loepera, nr 45a: *Des Pommerschen Greiffens. Ander Theil der durch Noth und Theil ergriffene Greiff von a(nn)o 1627 bis 1650, Stuechow im oberen Hofe anno 1696.*

w Kołobrzegu w 1673 roku¹⁹ ma niewielką wartość źródłową. Chociażby zaczynając od tego, że książę pomorski, Świętosław (*Swantislaw*) nigdy nie istniał. Natomiast druga część, ukończona w 1696 roku w Stuchowie (*Stüchow*) koło Gryfic (*Greifenberg*), według przedwojennych historyków powinna być przedmiotem badań. W tym tomie pojawia się materiał z czasów wojny trzydziestoletniej do roku 1654, czyli do końca istnienia Księstwa Pomorskiego. Ceniony przed wojną historyk, Martin Wehrmann podkreślił, że ścisły związek z tekstem kroniki ma wiersz, jaki powstanie po złożeniu ze sobą wszystkich zwrotek zamieszczonych na początku każdego rozdziału. Dał też bardzo ogólny szkic interpretacji kilku pierwszych zwrotek²⁰, tym samym, skłaniając kolejnych badaczy do podjęcia głębszych studiów nad zawartością wiersza.

Cieszyłem się przed kilkunastu laty z wydobycia na światło dzienne rękopisu z magazynu archiwalnego. Jedynego egzemplarza tej kroniki, na jaki udało mi się dotąd na Pomorzu trafić. Na szczęście inni także dostrzegli wartość starej kroniki i informacja o niej oraz kilka ilustracji trafiły na stronę internetową Archiwum Państwowego w Szczecinie i nawet zainteresowali się jej fragmentami inni historycy²¹.

Poświęcony wojnie trzydziestoletniej drugi tom kroniki „Gryf Pomorski” został przez pastora Petera Rudolphi podzielony, podobnie jak pierwszy i trzeci, na księgi. Każda z nich zaczyna się jedną strofą złożoną z czterech wersów. Zbierając je wszystkie z początków poszczególnych ksiąg, otrzymujemy wiersz piętnastozwrotkowy. Nie wchodząc dalej w ten wątek rozważań zauważę tylko, że taki zabieg techniczny kronikarzy był stosowany od bardzo dawna. Zadaniem umieszczonych, jako wstęp, strof było przekazanie czytelnikowi informacji o materiale zawartym w danej księdze. W ten sposób pełniły one rolę spisu treści rozdziału. W tej sytuacji musiały zwracać uwagę czytelnika na główne problemy związane z wojną i poruszane w danym rozdziale (księdze), a w końcowym efekcie po ich złożeniu musiałyby odzwierciedlać dość dokładnie kalendarium wojny trzydziestoletniej na Pomorzu. Przyjrzyjmy się zatem poszczególnym strofom i porównajmy z wykazem głównych wydarzeń wojny trzydziestoletniej na Pomorzu:

19 Archiwum Państwowe w Szczecinie, Rękopisy i spuścizny: *Zbiór Samuela G. Loepera*, nr 46: *Des Pommerschen Greiffens. Erster Theil durch Peter Rudolphi*, Colberg 1673.

20 M.Wehrmann, *Ein altes Gedicht über Pommern im 30jährigen Kriege*, „Pyritz im 30jährigen Kriege, Pyritz 1934”, s. 31-32.

21 M.Ogiewa, *A Picture of the Duchy of Szczecin Turing the ThirtyYear's War in light of the chronicle by Peter Rudolphy between 1627-1637*, „Przegląd Zachodniopomorski”, 4 (2019), s. 223-252. To fragment drugiego tomu rękopisu, ponieważ wojna trzydziestoletnia na Pomorzu nie skończyła się w 1637 roku. Przyjmuje się, że trwała dłużej niż w innych częściach Europy, czyli nie do 1648 lecz do 1654 roku.

Strofa Petera Rudolphi w II tomie kroniki „Gryf Pomorski”:

*Kwitło za Bogusława pokoju wonne kwiecie na pomorskiej ziemi,
Dotąd jej wojsk cesarskich stopa nie dotknęła,
Niosąc strach i występki z kwaterunki swemi
Sam nawet dumny Stralsund obawą przejęła*

Rzeczywiście Księstwo Pomorskie pod rządami Bogusława XIV znajdowało się początkowo poza teatrem wojny trzydziestoletniej i nie objęły go nawet kwaterunki cesarskich lub innych wojsk. Spokój oraz pomorska neutralność zakończyła się, gdy okropności konfliktów zbrojnych dotarły na Pomorze. W lutym i marcu 1627 roku przez Księstwo, od krańca zachodniego po wschodni, przemaszerowała armia najemników szwedzkich i wojska pomorskie po raz pierwszy od końca XV wieku, stanęły do walki w obronie swego państwa. Natomiast latem 1627 roku dotarły do granic Nowej Marchii i Księstwa Pomorskiego armie duńska i cesarska, staczając 3 sierpnia bitwę pod Granowem. To wówczas wojna trzydziestoletnia dotarła do państwa Bogusława XIV, a nie jak dotąd przypuszczała historiografia, dopiero 20 listopada 1627 roku, kiedy wymuszono na księciu umowę podpisaną we Franzburgu (kapitulacja franzburska) dotyczącą kwaterunku cesarskich regimentów na Pomorzu.

*Już ci się Arnim pilnie do szturmowi sposobi,
Już gniewny Wallenstein do bram miasta puka,
Już jęcząc z bólu Pomorze złorzeczy wrogowi,
W Stralsundzie Frydlandczyk szczęścia nadaremno szuka.*

Przyjęcie cesarskich wojsk na kwaterę na Pomorzu i konieczność ich utrzymania zmusiło księcia pomorskiego Bogusława XIV do sporządzenia w 1628 roku w celach podatkowych *Pomorskiej Matrykuły Łanów* (*Pommersche Hufenmatricken*), czyli rejestru własności kościelnej, szlacheckiej i miejskiej w związku z ustaleniem należnej kontrybucji. Wysokie sumy do zapłacenia armii cesarskiej zaczęły pogrążyć finansowo kraj i poddanych księcia. Gdy skończył się duński okres wojny trzydziestoletniej (1629), książę wyliczył szkody wyrządzone przez kwaterunek wojsk cesarskich na 10 milionów talarów. Na nic zdali się żale księcia Bogusława XIV skierowane do cesarza, że jego wojska na Pomorzu *zabierają*

ludziom wszystko, aż do ostatniej koszuli na grzbiecie. Okropne zuchwalstwa nie omijały kościołów, gdzie żołnierze przeszkadzają nie tylko w nabożeństwach, ale również rabują kościoły, otwierają groby w celach rabunkowych. Wprowadzenie świadczeń finansowych na rzecz wojsk cesarskich, blokada portów pomorskich i epidemia chorób zakaźnych wywołały na Pomorzu kryzys wewnętrzny, z którego skorzystała strona cesarska, by opanować południowe wybrzeża Bałtyku. Przeciwko dalszemu ponoszeniu ciężarów kwaterunku wojsk cesarskich ostro wystąpiło miasto Stralsund, czerpiące duże korzyści z handlu ze Szwecją, Danią, Anglią i Zjednoczonymi Prowincjami. Od kiedy cesarscy zajęli Meklemburgię (styczeń 1628) przystąpili do nękania miasta, co szybko zamieniono w oblężenie. Ponieważ książę Bogusław XIV nie mógł wystąpić w obronie miasta przeciwko cesarzowi, Stralsund skierował prośby o ratunek do króla Danii, Chrystiana IV i króla Szwecji, Gustawa II Adolfa.

Oblężenie Stralsundu dzielone jest w historiografii na dwa okresy, co w wierszu ukazał pastor Rudolphi. Pierwszym było oblężenie prowadzone przez pułkownika Hansa Georga von Arnima od (13) 23 maja do (20) 30

Walki pod Stralsundem. Rysunek w kronice *Des Pomerschen Greiffens*. Zbiory Archiwum Państwowego w Szczecinie



czerwca; drugim – oblężenie kierowane bezpośrednio przez Wallensteina od (20) 30 czerwca do (24 lipca) 3 sierpnia 1628 roku. Pomimo, iż Wallenstein podobno przysiągł sobie, że z miasta nic nie pozostanie i zdobędzie je, chociażby łańcuchami było do nieba przytwierdzone, Stralsund obronił się, ale popadł w zależność od Szwecji i odpadł od Księstwa Pomorskiego.

*Pragnąc pomścić porażkę zbroi ląd i morze,
W szańcach sadowi ludzi, co króla przegonią,
Świeci mu w Wołogoszczy znów zwycięstwa zorza -
Bogusław i Pomorzanie tży obfite ronia.*

Tymczasem król Danii, Chrystian IV postanowił zaskoczyć stronę cesarską śmiałym manewrem. Omijając wojska Wallensteina zgromadzone w rejonie Stralsundu, dokonał desantu na ich tyłach na wyspie Uznam. Szwedzi szybko pokonali opór niewielkich oddziałów księcia pomorskiego znajdujących się na szańcu w Pianoujściu (*Peenemünde*) i armia duńska dotarła bez przeszkód na przeprawę promową pod Wołogoszczą.

Pod Wołogoszczą 22 i 23 sierpnia 1628 roku doszło do bitwy wojsk duńskich z cesarskimi pod dowództwem Wallensteina. Cesarski generał odniósł duży sukces, a klęska zmusiła króla Danii do ucieczki i zawarcia pokoju z cesarzem w 1629 roku, kończąc drugi etap wojny trzydziestoletniej.

*W ten czas przybywa zza morza klęsk i udręk mściciel,
Peenemünde, Uznam, Wolin, Wołogoszcz zajmuje.
Gustaw Adolf się zowie ów oswobodziciel -
W Szczecinie obozem staje, z księciem pertraktuje.*

Po wycofaniu się Danii z wojny nadzieje przeciwników cesarskich związały się silniej ze Szwecją. Latem 1630 roku doszło do desantu wojsk szwedzkich na Pomorzu, okupowanym przez wojska cesarskie. Rozpoczęła się kampania Gustawa Adolfa w Niemczech. Król szwedzki zajął Rugię, a potem wyspę Uznam. Szańce i wieś Peenemünde zamieniono w obóz wojskowy. W krótkim czasie wojska szwedzkie zajęły Pomorze Przednie. Gustaw Adolf odepchnął armię cesarską od wybrzeża Bałtyku.

20 lipca 1630 roku król szwedzki pojawił się w Szczecinie i wymusił na księciu Bogusławie zawarcie sojuszu ze Szwecją. Książę musiał wybierać:



pozostać przy cesarzu i utracić natychmiast swe księstwo na rzecz Szwedów, którzy pojawili się pod Szczecinem, czy stanąć przeciwko cesarzowi po stronie króla szwedzkiego. Jeden był daleko w Wiedniu, a drugi z armią w liczbie sześciu tysięcy żołnierzy pod murami jego rezydencji. Wybór chociażby z tych powodów musiał być taki, jaki przewidział król Szwecji.

*Gdy Penkun i Pasewalk wróg w popiół obraca,
Dają mu Szwedzi poznać pomsty słusznej gorycz:
Gartz, Damgarten, Gryfino do króla powraca.
W Świdwinie wznosi Baudissin swój zwycięski oręż.*

Kolejnym sukcesem szwedzkim po zajęciu Szczecina było zajęcie Stargardu w dniu 24 lipca. Tego sukcesu pastor nie wspomniał w wierszu, a zwycięstwo to miało duże znaczenie propagandowe. Zostało odniesione w pierwszym współdziałaniu Szwedów z wojskiem pomorskim. W kolejnych miesiącach armia Gustawa Adolfa dotarła do Nowej Marchii oraz pod Ancklam na Pomorzu Przednim (21 lipca). Kronikarz zaś zauważa dopiero zniszczenie Penkun (29 lipca) i zajęcie Pasewalku (7 września) po wycofaniu się wojsk cesarskich oraz zajęcie Świdwina przez szwedzką kawalerię Baudisa i piechotę Kyphausena, oraz Damgarten, Gryfina i Gartz nad Odrą podczas Bożego Narodzenia.

Kronikarz, przedstawiając wydarzenia pomiędzy lipcem a grudniem 1630 roku, pominął w wierszu rokowania szwedzko-pomorskie nad traktatem, trwające do połowy sierpnia, który potem został antydatowany na czas pojawienia się króla w Szczecinie (10) 20 czerwca. Nie znajdziemy tutaj jednak informacji o bitwie pod Szczecinem, do której doszło w pierwszych dniach września, a dopiero potem Szwedzi stracili Pasewalk. Natomiast na Pomorzu Tylnym nie wspomniano o bohaterskiej obronie Świdwina przez Szkotów, jak i o bitwie koło Sławoborza, związanej z próbą odsieczy Kołobrzegu, w którym broniła się cesarska załoga.

*W Dyminie znowuż czyha na Savelli'ego klęska,
Kołobrzeg pod blokadą ostatnią liczy broń
Greifswald upada, choć mu nie szczędził Perussi męstwa
Laur zwycięstwa królewskich zdobi skro*

Blokada i oblężenie Kołobrzegu rozpoczęło się w okresie kiedy armia cesarska odnosiła coraz mniejsze sukcesy na Pomorzu i nie była w stanie udzielić większej pomocy oblężonemu miastu. W październiku próbowała się przebić do Kołobrzegu pierwsza odsiecz, a w listopadzie – druga. Pokonani cesarscy rozpoczęli ucieczkę w kierunku Nowej Marchii, król szwedzki podążył za nimi w tym kierunku.

Wiersz kronikarza pomija całkowicie Alians mieszkowicki z 23 stycznia 1631 roku, który podpisał król z Francją. Zaś wspomniany Dymin broniony przez księcia Savelliego padł (15) 25 lutego. Dwa tygodnie później skapitulował Kołobrzeg (12 marca). Teraz Gustaw Adolf mógł udać się pod Frankfurt nad Odrą oraz Gorzów i Kostrzyn nad Odrą w Nowej Marchii. Te sukcesy otworzyły królowi drogę w głąb Niemiec. Podczas dalszej kampanii wojska szwedzkie operowały na terenach południowych Niemiec. Gryfia (*Greifswald*), ostatni cesarski punkt oporu na Pomorzu wytrwał do 26 czerwca 1631 roku.

Do głównych rozstrzygnięć militarnych w tej kampanii doszło poza Pomorzem. W bitwie pod Breitenfeld 17 września 1631 roku, 15 kwietnia 1632 roku nad rzeką Lech i na koniec pod Lützen w dniu 16 listopada 1632 roku. To ostatnie z wymienionych starć zbrojnych uważane jest za najcięższą bitwę szwedzkiego okresu wojny i za apogeum wojny trzydziestoletniej. Chociaż dzielny i bohaterski Gustaw Adolf przypłacił morderczą walkę śmiercią, to jednak rozpaleni żądzą zemsty Szwedzi, pod dowództwem księcia weimarskiego, Bernarda, odnieśli tego dnia błyskotliwe zwycięstwo.

*Ledwie co szczątki królewskie żałoby spowił kir
Już z ust do ust się niesie budząca grozę wieść –
Stoją Pyrzyce w ogniu. Potężna kroczy armia, cofa się jednak.
A pod obrady w Pradze pokoju wchodzi treść.*

Ostatnia droga Gustawa Adolfa biegła spod Lutzen przez Niemcy w kierunku Pomorza i stąd do Szwecji. Uroczystości pogrzebowe odłożono. Odbłyły się w Sztokholmie w nekropolii władców Szwecji, w kościele Riddarholmskyrkan latem 1634 roku, półtora roku po śmierci króla.

Armia szwedzka zaczęła się przegrupowywać w oczekiwaniu na przewidywany szturm wojsk cesarskich. Legat szwedzki Bielke wygłosił w Szczecinie oświadczenie dla pomorskich stanów ziemskich, w którym wzywał do kontynuowania aliansu ze Szwecją, przyjęcia armii szwedzkiej i ostrzegął przed Brandenburgią, która chciała zająć Pomorze.

Sojusz pomorsko-szwedzki był kontynuowany w obliczu zagrożenia ze strony armii cesarskiej. 12 października 1633 roku Wallenstein na czele dwudziestotysięcznej armii zaatakował i pobił słabsze siły szwedzkie i saskie dowodzone przez Arnima pod Ścinawą (*Steinau*) na Śląsku. Potem armia cesarska zorganizowała wypad w kierunku Pomorza.

W Nowej Marchii i na sąsiednim Pomorzu sposobiono się do obrony. W pierwszych dniach października 1633 roku wydano w obu krajach wezwanie do zgromadzenia się pospolitego ruszenia. Tego samego miesiąca nadciągnęły z południa wojska cesarskie. Jednak sytuacja zmieniła się po czterech miesiącach, kiedy w Zachodnich Czechach w Chebie zamordowano Albrechta von Wallensteina (†25.02.1634), wielkiego cesarskiego wodza. Teraz cesarscy opuszczali Pomorze, a przy okazji podpalili Pyrzyce (29 marca), a potem pożoga pochłonęła Banie i Stargard.

Kolejna wielka klęska wojsk szwedzkich miała miejsce w dniach od 5 do 6 września 1634 roku w bitwie pod Nördlingen. Armia cesarska razem z siłami hiszpańskimi zadała klęskę Szwedom i ich sojusznikom. Panowanie szwedzkie w południowych Niemczech załamało się i otwierała się droga do zawarcia korzystnego dla cesarza pokoju. Z inicjatywy cesarskiej w dniu 20 (30) maja 1635 roku został zawarty pokój w Pradze, do którego mógł przystąpić Bogusław XIV.

*Znów larum grają! Trwoga! Marazzini blisko!
Wnet nawet niebo samo złowróżbne znaki daje!
Zły los wciąż z oczu wielu gorzkie łzy wyciska,
Do walki z Marazzinim marszałek Wrangel staje.*

Po krótkotrwałym pokoju, jeszcze w 1635 roku wojska cesarskie zaczęły zbliżać się do granic Pomorza. Znowu wybuchła panika w miastach i w wioskach. Jesienią wojska cesarskie pod dowództwem Rudolfa Marazziniego zdobyły Gardziec, Stargard i Goleniów. Szwedzi utrzymali się na Wolinie, a Szczecin przekazano wojskom pomorskim. Sytuację opanował dopiero w 1636 roku szwedzki marszałek Herman Wrangel. Obsadził szanice nad Odrą w Gardzcu i Marwicach i utrzymał się tutaj dzięki zwycięstwu Johanna Banera nad armią cesarską 14 września 1636 roku. Zaś książę pomorski, Bogusław XIV starał się powrócić do polityki neutralności.

*Nie dość nieszczęściom! Wkrótce śmierć puka
Wpierw cicho, później mocniej do Bogusława wrót.
Staje sukcesji sprawa, Szwed i elektor wsparcia szuka,
Z ostatnim tchnieniem księcia Gryfitów gaśnie ród.*

Podczas walk pomiędzy cesarską a szwedzką armią, pojawiły się cudowne znaki na niebie, napawające wielkim przestraszaniem zabobonną ludność Pomorza. A był to czas, kiedy ostatni z rodu Gryfitów Bogusław XIV leżał w szczecińskim zamku na łożu śmierci. Książę zmarł po udarze nerwowym, a historyograf pomorski napisał: *słabo jeszcze tłąca się iskra życia Bogusława XIV zgasa całkowicie dnia 10/20 marca 1637 roku o godzinie 9 wieczorem, w 57. roku jego życia, po ponad pięćsetletniej, ustabilizowanej pod względem dyplomatycznym historii jego dynastii.*

Wkrótce po śmierci Bogusława, Szwedzi usunęli z zamku szczecińskiego jego siostrę, Annę, a zamek po wcześniejszym obrabowaniu ustanowili siedzibą namiestników szwedzkich. Pierwszy z nich – Sten Svantesson Bielke († 6.04.1638) – nie znając umiarkowania w jedzeniu i piciu, zmarł zaledwie po roku zamieszkiwania w dawnej siedzibie książęcej.

Przez cały czas ciało zmarłego księcia Bogusława XIV złożone w marcu 1637 roku do cynowego sarkofagu, umieszczonego w komnacie zamkowej,



Zamek i miasto Szczecin (Stettin). Rysunek w kronice *Des Pommerschen Greiffens*.

Zbiory Archiwum Państwowego w Szczecinie.

gdzie zmarły książę miał oczekiwać na godny pogrzeb. Okazało się, że to oczekiwanie miało potrwać siedemnaście lat.

Jeszcze na długo przed śmiercią Bogusława XIV sprawa sukcesji pomorskiej stała się przedmiotem rywalizacji. Najstarsze prawa do sukcesji na Pomorzu, sięgające wieku XVI, posiadali władcy Brandenburgii. Po przeciwnej stronie znajdowały się roszczenia szwedzkie oparte o alians z 1630 roku i kolejne umowy z lat 1637-1640. Dlatego kwestia dziedzictwa pomorskiego stała się punktem spornym pomiędzy Brandenburgią, po stronie której było stare prawo sukcesji, a Szwedami, w rękach których znajdowało się Księstwo Pomorskie.

*Ucieczkę wybrał Baner, miasta w zgłiszczach toną,
W pogoni za nim ciągnie wielka Niemców siła,
Anklam i Szczecin tylko, co się jeszcze bronią,
Znowuż biedne Pomorze ciemna noc spowiła.*

Latem 1637 roku wojna na Pomorzu rozgorzała od nowa. Szwedzki generał Banér oddał bez walki niemal Garz i Wkryjście. Sam zaś zamknął się w obozie w Szczecinie, nie reagując na zalanie szerokim strumieniem Pomorza i Meklemburgii przez wojska cesarskie. Odosobnione szwedzkie garnizony broniły się w Anklam i Szczecinie.

*Głód i zaraza, dym, ruina, gdzie spojrzysz jeno trwoga!
Nad rzeką Pianą Bredau zwycięstwo odnosi,
Wołogoszcz, Loitz, Uznam, Dymin padają łupem wroga.
Pomorze zaś w niemej prośbie oczy w niebo wznosi.*

Cesarski generał wachmistrz, baron von Bredau (Breda) po zdobyciu Trzebucic (*Tribsees*), zajął Łosice (*Loitz*) na swoją główną kwaterę. Stąd zaatakował i zdobył Wołogoszcz. Podobno ten rozdział wojny przyniósł Pomorzu nieopisane wprost udręki. Większe miasta, takie jak Wołogoszcz, Łosice, Dymin i Pyrzyce były nawiedzane kilkakrotnie przez obydwie strony konfliktu, plądrowane i podpalane.

*Baner, dostawszy sukurs, przegania Gallasa,
Gartz z dymem puścić każe, wroga się pozbywa,
Twierdzą za twierdzą biorąc, władzę swą przywraca,
Odkupił winę wszelką, hańbę ucieczki męstwem zmywa*

Johanowi Banérowi udało się zdobyć prawie całe Pomorze, jednakże niebawem nastąpiła tutaj oprócz plagi głodu i zarazy, niewypowiedziana wprost nędza. Wspomniany w wierszu Gardziec (*Gartz*) nad Odrą spłonął po raz kolejny w 1639 roku. Brandenbursko-szwedzkie zawieszenie broni nastąpiło dopiero w 1641 roku. Początkowo miało obowiązywać tylko przez dwa lata, ale za obopólną zgodą zostało przedłużone do 1648 roku. Niestety układ nie został ratyfikowany przez brandenburską, chcącą za wszelką cenę utrzymać się przy Pomorzu.

*Wciąż jeszcze Marchia w ogniu walki stoi,
A już Korona z Pomorzem nowy wznieca spór,
Wkrótce się jednak w Marchii zarzewie walk ukoi,
Banera zaś przywita smutny cmentarny mur.*

Po zmarłym 20 maja 1641 roku Johanie Banérze dowództwo nad armią szwedzką w Niemczech otrzymał generał Lennart Torstensson, który w 1642 roku odbył kampanię przez Brandenburgię, Śląsk i Morawy do Saksonii, gdzie niemal unicestwił armię cesarską w kolejnej bitwie pod Breitenfeld 23 października 1642 roku. Natomiast na Pomorzu nadal toczył się spór o przyszły los księstwa, na tle wielu trosk i niepokojów, leżących w większości po stronie brandenburskiej.

*Jeszcze nie kres cierpienia, jeszcze tu Krockow wchodzi,
Z okopów w Białogardzie kraj cały plądruje.
Königsmarck śpieszy z pomocą, oporem dowodzi –
Zmusiwszy go do odwrotu zwycięstwo fetuje.*

Cesarski generał Gallas, pragnąc odciągnąć armię Torstenssona z Moraw, wysłał na Pomorze przeszło trzytysięczny korpus pod dowództwem generała Joachima Ernesta Krockowa. Lecz jego wyprawa zakończyła się niepowodzeniem. Wojsko Krockowa, po przejściu Brandenburgii i przeprawieniu się przez Wartę i Noteć, dotarło w okolice Białogardu. Pochód korpusu Krockowaznaczony był rabunkami i pożarami oraz nastawił wrogo wobec niego ludność. Dlatego po kilku tygodniach opuścił broniony obóz warowny w Białogardzie, uciekając przed oddziałami szwedzkimi hrabiego Hansa Christopha von Königsmarcka.

*Powraca z wolna spokój wytęskniony,
Choć jeszcze w zamku w Dyminie wybuchu słychać głos
Oddycha z ulgą Pomorze, Kraj choć podzielony
Pomiędzy dwóch panów sławi pokój, Na lepsze się odwrócił los.*

Ostatnim akcentem militarnym w ramach wojny trzydziestoletniej na Pomorzu było wysadzenie w powietrze dworu w Dyminie, nazwanego „zamkiem” w październiku 1647 roku przez szwedzkiego komendanta Mardenfelda. To właściwie nic nieznaczące wydarzenie, ale znalazło się w wierszu pastora Rodolphiego. Wojna na Pomorzu przygasła w związku z rozpoczętymi w Osna-brück i Münster w 1644 roku rokowaniami pokojowymi.

Od 27 października 1647 roku przebywała w Szczecinie szwedzka królowa wdowa Maria Eleonora, do której przyniesiono wieści, że kongres pokojowy

doszedł do wstępnego porozumienia w sprawie podziału Pomorza pomiędzy Brandenburgię i Szwecję, ale ostateczna decyzja zapadła 24 października 1648 roku. Rozbiór Pomorza stał się faktem. Szwecja otrzymała Pomorze Przednie (*Vorpommern*), czyli dawne Przedodrzańskie z Rugią, a Brandenburga – Biskupstwo Kamieńskie i Pomorze Tylne (*Hinterpommern*), czyli Zaodrzańskie. Linią podziału i granicą stała się rzeka Odra.

26 czerwca 1650 roku zawarto układ norymberski pomiędzy cesarzem a Szwedami o rozbrojeniu, ale z jego wykonaniem zwlekano jakiś czas. Dopiero 24 stycznia 1652 roku w Szczecinie stanął w garnizonie szwedzki błękitny regiment. Potem 4 maja 1653 roku została ostatecznie wytyczona granica pomiędzy częściami szwedzką i brandenburską Pomorza. A cały proces likwidacji Księstwa Pomorskiego zakończył uroczysty pogrzeb księcia Bogusława XIV 25 maja 1654 roku w Szczecinie. Zgodnie z obyczajem sztab rozwiązanego pomorskiego regimentu rozproszono, rozerwano sakrę i czapkę biskupią oraz pomorską chorągiew żałobną, które wrzucono do grobu razem z połamaną pieczęcią. Tarczę z gryfem czerwonym i hełm podzielono pomiędzy następców. Dopiero po spełnieniu tej ostatniej posługi, 1 czerwca 1654 roku nastąpiło rzeczywiste przekazanie Pomorza Tylnego księciu elektorowi.

Podsumowując: w naszych dociekaniach nad treścią wiersza pastora Petera Rudolphiego należy podkreślić występowanie licznych odwołań do rzeczywistych wydarzeń z wojny trzydziestoletniej na Pomorzu. Nie wolno jednak zapominać, że jest to utwór literacki, będący załącznikiem do zapisów kronikarskich, które także się zachowały, więc utwór nie jest samoistny i nie może być traktowany jako źródło wiedzy historycznej. Autor umieszczał w strofach wydarzenia wybiórczo, często pomijając ważniejsze dla losów wojny i Pomorza. Czynił to zapewne z tego powodu, że strofy wiersza zamieszczane na początku każdego rozdziału są głównie środkiem artystycznym, wprowadzającym w treść kroniki, i to ona ma dopiero w pełni ukazać czytelnikowi wydarzenia w szerszym świetle.

Podobnie jak zamieszczone w kronice rysunki postaci władców i oficerów, panoramy miast oraz mapy, wiersz pastora był kolejnym środkiem artystycznym urozmaicającym ówczesnemu czytelnikowi proces poznawania historii zawartej w kronice. Zastosowanie wielu środków przemawia za bardzo przemyślanym procesem tworzenia kroniki „Gryfa Pomorskiego”, w którym autor postanowił wykorzystać liczne swe talenty.

Od euforii do żałoby. Z dziejów gloryfikacji króla szwedzkiego Gustawa Adolfa w Księstwie Pomorskim Bogusława XIV

Czasy króla szwedzkiego Gustawa Adolfa na Pomorzu jeszcze w XIX wieku były traktowane jako „czasy błogostanu i szczęśliwości”. Pomimo, że od 1618 roku trwała najstraszniejsza w ówczesnych czasach wojna, to wśród Pomorzan interesowano się Szwecją w każdym niemal wymiarze życia społecznego. Każdego roku wielu Pomorzan ruszało do Szwecji zdobywać wiedzę²². Książę Bogusław XIV i jego poddani pomimo, iż prawnie należeli do Cesarstwa Niemieckiego, to wyraźnie w tej wojnie opowiadali się za cesarskim przeciwnikiem, bliższym z powodów religijnych.



22 T.O.Achelis, *Pommersche Studenten in Kopenhagen und Uppsala während des Dreißigjährigen Krieges*, „Baltischen Studien”, NF. 43 (1955), s. 47-49.

Wielu ochotników z Pomorza wstąpiło do armii szwedzkiej i składało swe życie w hołdzie szwedzkiemu władcy, którego sławę wojenną dowodziły zwycięstwa w Niemczech. Ale szczególnie na Pomorzu, pierwszym terenie opartym przez Szwedów w tej kampanii, uwielbienie tego obcego przecież władcy, przyjmowane było jako zasłużone w wojnie sprawiedliwej. Nic dziwnego, że gloryfikacja osoby króla stawiała się najgodniejszym w tych czasach przedmiotem wielu poematów, pamfletów i wierszy. To na Pomorzu najwcześniej chwalono króla szwedzkiego i uznawanego za starożytnego herosa, przeciwstawiając go Albrechtowi von Wallensteinowi i cesarzowi Ferdynandowi II Habsburgowi – tyranom Europy. Przy takich porównaniach podkreślano rozsądek króla szwedzkiego, który według Pomorzan, a w rzeczywistości podsuwanym sądom szwedzkiej propagandy wojennej, miał na uwadze jakoby nie własne cele, ale też innych narodów, chcąc poprzez wojnę z cesarzem zaprowadzić w Niemczech, a potem w Europie nowy porządek²³.

Od 1630 roku przez kolejnych ponad trzysta lat w świadomości społeczeństwa pomorskiego zakorzeniony był pogląd, iż Szwecja weszła militarnie na tereny pomorskie dla ratowania kościoła protestanckiego. To jeden z głównych argumentów podsuwanych przez szwedzką propagandę. Powszechnie więc na Pomorzu, i nie tylko tutaj, uważano, że *na dalekiej Północy obudził się mściciel wszystkich prześladowań protestantów*²⁴. Na jednym z alegorycznych przedstawień lądowania wojsk Gustawa Adolfa na Pomorzu ukazano statek szwedzki dobijający do brzegu i wysiadającego lwa z uniesionym mieczem w łapach, zamierzającego się na smoka, czyli na cesarza²⁵.

Lew oczywiście symbolizował króla Szwecji nazywanego „Lwem Północy”²⁶, a źródła tej personifikacji tkwiły w słynnej przepowiedni Paracelsusa, głoszącego, że pewnego dnia pojawi się sprawiedliwy Lew Judy, Złoty Lew z Północy, który pobije Orła (cesarza), spustoszy Azję i Afrykę, a potem odkryje ukryty wielki skarb i zapanuje na ziemi pokój powszechny. Od końca lat dwudziestych XVII wieku protestanci zaczęli identyfikować „Lwa Północy” z Gustawem Adolfem, co dobrze przysłużyło się inwazji szwedzkiej w Niemczech. Sam generał cesarski Wallenstein skarżył się cesarzowi, że w Niemczech oczekuje się

23 L.Turek-Kwiatkowska, *Wojna 30-letnia w historiografii pomorskiej XIX wieku*, w: *Wojna 30-letnia (1618-1648) na ziemiach nadodrzańskich*, red. K.Bartkiewicz, Zielona Góra 1993, s. 190.

24 *Pomerania. Geschichte und Beschreibung des Pommernlandes zur Forderung der pommerschen Vaterlandskunde*, ed. E.Sanne, Stettin 1844, s. 100.

25 P.Engerisser, *Von Kronach nach Nördlingen. Der Dreißigjährigen Krieg in Franken, Schwaben und der Oberpfalz 1631-1635*, Weissenstadt 2004, s. 18.

26 Najczęściej nazywany Lwem Północy Gustaw Adolfa ze względu na lwa w swoim herbie królewskim. A.Palmer, *Północne sąsiedztwo. Historia krajów i narodów Morza Bałtyckiego*, Warszawa 2008, s. 116 i n.



Alegoryczne lądowanie Gustawa Adolfa na Pomorzu w 1630 roku.

na Gustawa Adolfa *tak, jak Żydzi na swojego Mesjasza*²⁷. Dla Pomorzan, których od 1627 roku dotykały konsekwencje kwaterunku armii cesarskiej nie ulegało wątpliwości, obrońcą słusznej sprawy, zapowiedzianym w przepowiedni musiał być tylko król szwedzki. Ten według nich cieszył się Błogosławieństwem Boga i potwierdzały to zauważone na Pomorzu różne znaki, towarzyszące desantowi armii króla szwedzkiego. Pomorski, kołobrzeski kronikarz Cosmus von Simmern zapisał, że *mniej więcej w tym czasie, widziano w biały dzień jasną gwiazdę, zaraz potem okazało się, że przybył król ze Szwecji*²⁸. A gdy król postawił swą wojenną stopę na pomorskiej ziemi latem 1630 roku, „Zwycięskiego Lwa północy” zaczęło słać i rozgłaszać z ambon szczecińskie duchowieństwo protestanckie²⁹. Wielu kaznodziei wstąpiło do armii szwedzkiej, pełniąc odtąd funkcję polowych kaznodziei.

Dzisiaj historycy zajmujący się dziejami wojny trzydziestoletniej nie spływają przyczyn jej wybuchu tylko do powodów religijnych. Główną przyczyną była kamuflowana przez szwedzką propagandę wojenną rywalizacja o władzę w Europie i próby zmniejszenia roli cesarza.

27 Z.Anusik, *Gustaw II Adolf*, Wrocław 1996, s. 157.

28 R.Hanncke, *Cosmus von Simmerns Bericht über die vom ihm miterlebten Geschichtsereignisse zur Zeit des Wallensteinschen und Schwedischen Kriegsvolkes in Pommern*, „Baltischen Studien”, AF, 40 (1890), s. 36, przyp. 19, s. 60-61.

29 B.Zientara, *Szkice szczecińskie (X-XVIII w.)*, Warszawa 1958, s. 258. Powstało szereg prac o takim tytule w odniesieniu do władcy Szwecji np. F.Berner, *Gustav Adolf. Der Löwe aus Mitternacht*, Stuttgart 1982.

Nękanie przez Lastlewa i wyzwoleni przez Agathandera

Na rozwój piśmiennictwa pomorskiego o charakterze propagandowym duży wpływ wywarły szwedzkie sukcesy militarne, a szczególnie zdobycie twierdzy cesarskiej w Gardźcu i przeprawy przez Odrę pod Gryfinem w ostatnich dniach grudnia 1630 roku. Reakcja na ten sukces była natychmiastowa. Już w początkach 1631 roku powstał traktat Cosmusa von Simmerna przypominający tę głośną przegraną cesarskiego generała Torquato Contiego³⁰.

Z kolei jeden z najbardziej znaczących w życiu umysłowym ówczesnego Szczecina kronikarz, Johannes Mikraelius, rektor szkoły miejskiej, oficjalnie wyraził szczególną radość z przybycia Gustawa Adolfa na Pomorze i szwedzkiego sukcesu wojennego, pisząc uroczystą sztukę teatralną. Przedstawienie to zostało wystawione publicznie w Szczecinie w dniu (27 stycznia) 5 lutego³¹ 1631 roku przez uczniów szkoły miejskiej³².

Po przedstawieniu, jeszcze tego samego roku sztuka ukazała się drukiem pod tytułem: *Pomorze. Najnowsza tragikomedie o Pomorzanach nękanym przez Lastlewa i wyzwolonym przez Agathandera. (...) Philates nęka, podlegany przez Parrhesiastesa przeciwko Svantiborowi. Ostatecznie zwycięża w chwale Bóg, a tyran zostaje pokonany i religia triumfuje*³³.

Johannes Mikraelius umieścił w swojej sztuce różne personifikacje, nadając im imiona podobne do nazw historycznych. Dotyczą one kilku państw: Meklemburgii (*Mecklenburg*) tutaj nazywanej *Megallinis*, Prus (*Preußen*) – *Prusilla* i Księstwa Pomorskiego (*Pommern*) – w sztuce jako *Pomeris*. Następnie zakodował wielką grupę nimf otaczających *Pomeris*, których imiona są odwołaniem do największych pomorskich miast, jak: *Stetilia* (od *Stettin* – Szczecin), *Stardina*

30 R. Hannecke, *Cosmus von Simmerns Bericht*, s. 36, przyp. 19.

31 Musimy zwrócić uwagę czytelnika na kalendarz używany w czasach wojny trzydziestoletniej. 24 lutego 1582 roku za sprawą bulli papieża Grzegorza XIII *Inter gravissimas* wszedł w życie nowy kalendarz, nazwany później „gregoriańskim”, pomijający dziesięć dni. W ten sposób w krajach, które przyjęły ten nowy kalendarz (katolicka Rzesza Niemiecka, Austria, Polska, Węgry) zwykło się mówić o datach w „nowym stylu”, w których zachodziła różnica dziesięciu dni w stosunku do krajów (protestancka Rzesza Niemiecka, Księstwo Pomorskie, Szwecja, Anglia) pozostających jeszcze przez jakiś czas przy starym kalendarzu, tj. przy „starym stylu”. Pierwsza data 27 stycznia podana w nawiasie jest w tzw. starym stylu, co daje 5 lutego 1631 roku w nowym stylu.

32 M. Wehrmann, *Ein pommersches Gustav-Adolf Festspiel von 1631*, „Monatsblätter”, 2 (1894), s. 178.

33 *Pomeris. Tragico-Comodia nova de Pomeride a Lastlevio afflicta et ab Agathandro liberata. Acta ludis Apollinaribus, VI. Kal. Febr. Anno III. Olympiados DCII. Egit Philates, modos fecit Parrhesiastes, tibiis Svantiborianis. Erigit insontes tandem Deus. Atque tyrannis. Opressis vindex religionis ovatus*, Stettin 1631, s. 1-88.



Herb króla szwedzkiego Gustawa Adolfa Wazy

(*Stargardia* – Stargard), *Rugilla* (Rügen – Rugia), *Colbilla* (Kolberg – Kołobrzeg) i *Volgasia* (Wolgast – Wołogoszcz).

W osobie *Svantiborusa*, geniusza *Pomeridos* czyli Pomorzan, rozpoznajemy z łatwością księcia pomorskiego, Bogusława XIV, który tutaj otrzymał imię swych dawnych przodków. Świętobora (*Svantibor*) na Pomorzu wymienił w początkach XII wieku polski kronikarz, Gall Anonim. Boczną linię Gryfitów nazywano Świętoborzycami, ponieważ licznie pojawiało się wśród nich miano Świętobór w XII-XIII wieku i wreszcie w XV wieku żyło dwóch książąt szczecińskich tego imienia.

Mikroaelius ukazał w sztuce teatralnej cesarskiego wodza, wielkiego generała wojny trzydziestoletniej Albrechta von Wallensteina (*1583-†1634), z pochodzenia Czecha (rodowe nazwisko – *Waldestein*), a w źródłach obcych z tego okresu nazywanego też *Walstein*, *Walstin*. W sztuce teatralnej cesarski wódz to Lastlevius tyrannus, który opanował Pomorze w 1628 roku przy udziale cesarskich pułkowników: Beinharniusa, Torquinusa i Gotlachiusa, w których możemy odgadnąć oficerów cesarskich: Johanna Georga von Arnima (*1583-†1641), Torquato Contiego (*1591-†1636) i Johanna Götze (*1599-†1645). Pierwszy z nich obsadził wojskiem cesarskim całe księstwo,

a pozostali podjęli walkę z nadciągającą w 1630 roku armią króla szwedzkiego Gustawa II Adolfa, w sztuce określanego jako heros Agathander.

Pomiędzy zaciekle walczącymi stronami polityczno-militarnymi działa donosiciel, intrygant i oszczerca, Sycophanta Jolola, który oczywiście uosabia Ignacego Loyolę (†1556), założyciela zakonu jezuitów, ale w rzeczywistości żyjącego ponad osiemdziesiąt lat wcześniej. Nadanie Loyoli takiej roli wiązało się z nastawieniem protestantów do kontr reformatorskich działań w Europie.

Po przedstawieniu głównych bohaterów sztuki, czas na wydarzenia, do jakich odwołał się autor. W prologu Johannes Mikraelius ukazał trzy krainy, według niego siostry: Megalinnis, Prusillę i Pomeris, żyjące szczęśliwie do czasu, kiedy z powodu uwiedzenia przez Sycophanta Jololę, zostały wciągnięte w spór pomiędzy Protarchusem, czyli cesarzem Ferdynandem II Habsburgiem i jego ukochaną Hebomą, czyli (Czechami – *Bohemia*). Kronikarz pomorski odwołał się tutaj do wybuchu wojny trzydziestoletniej w Czechach w 1618 roku, spowodowanej kontrowersjami z cesarstwem i katolikami.

Ponieważ wojna przeciąga się i zaostrza się spór pomiędzy trzema siostrami a Protarchusem, przystąpił do działania Lastlev, zmuszając Megalinnis do małżeństwa, a potem traktując ją w haniebny sposób, zagrażał jej siostrze Pomeris. W ten sposób przedstawiono zajęcie Meklemburgii przez Wallensteina, który w 1628 roku wypędził rodzimych książąt i sam ulokował się w tym państwie, przyjmując tytuł księcia meklemburskiego. Od cesarza zaś otrzymał tytuł Admirała Morza Bałtyckiego, co groziło opanowaniem wybrzeża bałtyckiego przez wojska cesarskie i stwarzało zagrożenie dla Pomorza. Wobec tego bogini *Fama* ogłosiła wieść



o nieszczęściu, jakie spotkało Megalinnis, ale Svantiborus wezwał nie do wojny lecz do pokoju. W ten sposób skrytykował kronikarz politykę neutralności swego księcia Bogusława XIV. Kolejne sceny przedstawiają intrygi i oszustwa Jololi i Beinharna, które dotknęły Megalinnis.

*Wkrótce więc całe Pomorze w nędzy wielkiej grzęźnie
opuścił je wszak Svantiboro, wódz nadzwyczaj mężny
Pozostać tutaj nie mógł, boć niezgody siła
z rąk nimf z dawien skłóconych
oręż, co miał ich bronić rychło wytrąciła*

Beinharn namawia Pomeris, aby przyjęła pod swoje skrzydła żołnierzy Lastlewa, a wszystkie nimfy-krainy zmusza do oddania wszystkiego co posiadają. Pomimo tego źli przybysze obchodzą się z nimi niezwykle okrutnie:

*Żołnierze zdradzieccy wszystko im zabrali
dobytku pozbawili, ozdoby zerwali,
odarte ze wszystkiego ledwie uszły z życiem*

Jolola nie próżnuje i nakłania Torquinusa do straszliwych i haniebnych czynów. Pojawia się także Lastlew chcący zdobyć Stralię i pokonać Agathandera.

*Stralia tymczasem triumfuje z ogromną radością
zwycięstwo swe tłumacząc Bożą opatrnością.*

Wspomniano tutaj nieudane oblężenie Stalsundu (*Stralia*) przez armię cesarską w 1628 roku. Było to jednak jedyne miasto pomorskie, które obroniło się przed Wallensteinem, a Megalinnis i Pomeris wraz ze swoimi nimfami doznawały coraz gorszych mąk, aż w końcu:

*Na ziemię zemdlona pada, ratunku nie znając
lękiem śmiertelnym rażona, ciosów moc doznając*

I w tym trudnym momencie przybywa Agathander, chcący pomóc Pomeris:

*Ta jednak Protarcho wierną będąc w każdej swej godzinie
dla bohatera głuchą jest i choć pomóc chce jej mąż waleczny
toć przecież przez sojusz z Protarcho odwieczny
mniema iż sama niczym snu zwiewny ślad zginie*

Po desancie wojsk szwedzkich i zawarciu przez Gustawa Adolfa układu z księciem Bogusławem, ich wojska wypędziły cesarskich z Pomorza. Kronikarz w swej sztuce nawiązał do tego sukcesu. Agathander i Svantibor dodają Pomeris odwagi i wspólnie przepędzają wrogów, a zaraz potem Pomorzanie koronują Agathandera i skandują na jego cześć:

*Niech żyje ojciec pogromców, niech żyje, niech żyje!
niechaj rozkwita w pomyślności!*

Koronacja Gustawa Adolfa na Pomorzu to wymysł Johannesesa Mikraeliusa. W rzeczywistości nic takiego nie miało miejsca. Musi się zatem wytłumaczyć przed widzami i poprzez *Famę* wygłasza laudację o czynach Agathandera:

*O wszystkim, co nam przyniósł ten wielce trudny los
opowieść swą snuć będzie, potomnych naszych głos
ożyje w niej mieszczanin, wieśniak, szlachcic, książę pan,
każdy kto w zawierusze wojny, straszliwych doznał ran
kto w czas ów pełen udręku, tragiczny żywot wiódł
w ruinie pogrążony, spod śmierci umknął wrót
bo dobry Bóg, co każdy zna frasunek
wyznawcom, łaskawie zechciał dać ratunek
zsyłając im zwycięski oręż króla – bohatera
co bez najmniejszego lęku, do krzty tyrana sponiewierał*

Sztuka Mikraeliusa miała bardzo duże znaczenie dla ówczesnych Pomorzanie oraz dla ich księcia, ponieważ ukazała się w trudnym dla nich czasie, to mogli nabrać dystansu do wydarzeń przeżywających przez wymyślone postacie, a w rzeczywistości do prawdziwych wydarzeń historycznych. Dramat odtwarza nastroje i nadzieje panujące wówczas w Księstwie Pomorskim.



Pomeris, czyli *Pomorze* to pierwsza sztuka Jonanna Mikraeliusa. Dalsze sukcesy i losy Gustawa Adolfa zainspirowały do napisania kolejnych dwóch komedii. W kolejnej przedstawił zniszczenie Magdeburga oraz walki z cesarskim generałem Johannem von Tillym, następcą Wallensteina. Sztuka zatytułowana *Parthenic* czyli *Magdeburg*, powstała na cześć przybyłej (30 października) 9 listopada 1631 roku do Szczecina żony Gustawa Adolfa, królowej szwedzkiej, Marii Eleonory von Hohenzollern (1599-†1655).

Kronikarz wybrał na motyw przewodni dramat miasta Magdeburga, głośny w całej Europie. Po zdobyciu miasta 20 maja 1631 roku, cesarski dowódca wydał mieszkańców i obrońców na łup swych żołnierzy, dotąd rozwścieczonych obleganiem miasta przez wiele miesięcy. Popalono domy i doszło do największej rzezi tej wojny. Spłonęło około 1900 budynków i zabito w szale blisko dwadzieścia tysięcy mieszkańców i kilka tysięcy obrońców Magdeburga. Kiedy sytuacja się uspokoiła, widok przeraził nawet cesarskich zdobywców. W całym mieście doliczono się żywych jedynie 449 mieszczan.

Zbrodnie wojenne zmusiły do zabrania głosu przez kolejnych szczecinian. Rektor Pedagogium Szczecińskiego magister Martin Leuschner (*1589-†1641) ułożył z tej okazji bardzo długą mowę w języku łacińskim, na modłę dramatu. Głośno mówił o wielkiej nędzy, w jakiej znalazło się Pomorze pod cesarską okupacją oraz o jego wyzwoleniu i oswobodzeniu. Przemowa zyskała wielki rozgłos na dworze księcia Bogusława i wraz z drugą sztuką teatralną Micraeliusa, wystawioną przez studentów w dniu (27 września) 6 października 1632 roku, wyraźnie zaznaczyły pomorskie stanowisko wobec cesarza. W obydwu przekazach nie było wiele z propagandy wojennej, ale dużo rzeczywistych nastrojów na Pomorzu.



Gustaw Adolf uwalnia Germanię od cesarskich rządów

Kiedy żywo dyskutowano o przemowie rektora książęcego Pedagogium i odbywała się premiera sztuki Micräeliusa, nikt na Pomorzu nie przypuszczał, że znaczenie króla Gustawa Adolfa sięgnęło zenitu. A sam Micräelius pod wpływem kolejnych wydarzeń miał niebawem napisać trzecią sztukę poświęconą wyzwolicielowi.

Miesiąc po premierze drugiej sztuki, król Gustaw Adolf poległ w bitwie pod Lützen (1632). Nie tylko Szwedzi, ale i Pomorzanie byli w szoku. Uważano, że to nagłe i niespodziewane wydarzenie nie mogło się nigdy wydarzyć. Przecież Gustaw Adolf w świetle propagandy wojennej był wodzem zwycięskim i nieśmiertelnym. Wszystkie rozbudzone poza granice ówczesnej polityki nadzieje nagle runęły. Szok był tak wielki, że w tej tragicznej chwili Pomorzanie nawet nie myśleli o zmianie ich położenia i co może ich spotkać ze strony cesarza za wsparcie przez Pomorze w tej wojnie Gustawa Adolfa.

Kiedy druga sztuka teatralna Mikraeliusa trafiła w 1633 roku do drukarni, kronikarz dołączył do niej mowę żałobną ku czci poległego króla, nazywanego już wtedy powszechnie na Pomorzu – „Wielkim”. Szybko jednak uznał, że to jest o wiele za mało. I przystąpił do pisania trzeciej sztuki, poświęconej



Śmierć Gustawa Adolfa w bitwie pod Lützen. Rysunek z XIX w.

Trwała ona od lata 1630 do listopada 1632 roku. I jak to w życiu, które przeplata wydarzenia dobre i złe, po radości rozpoczął się czas żałoby po wielkim władcy, który mógł zdaniem Pomorzan zapewnić im lepszy los niż cesarz.

Włożyłem na głowę mocarza koronę

Uroczystości żałobne po śmierci Gustawa Adolfa odbywały się w Szwecji, Niemczech i na Pomorzu. Rektorzy uczelni w tych krajach wygłaszali przemowy. Nauczyciele i uczniowie dawali wyraz swoich uczuć, żałoby i czci, recytując wersety w językach: łacińskim, greckim, hebrajskim i niemieckim. W gronie uczonych Uniwersytetu w Greifswaldzie (Gryfia) prawnik, Heinrich Giesebert (*1604-†po1677) wygłosił (30 i 31 lipca) 9 i 10 sierpnia 1633 roku długą przemowę, w której wychwalał cnoty poległego króla Gustawa Adolfa. Żegnał bohatera, a zarazem *największy cud stulecia*. Szczególne podkreślił wspomnienie o mającej miejsce uroczystości poświęconej poległemu władcy i hołdzie złożonym niezrównanemu bohaterowi przez *Szczecińskie Muzy* (*Stettiner*

34 M.Wehrmann, *Ein pommersches Gustav-Adolf Festspiel*, s. 179-182; Th.Vettera, *Wallenstein in der dramatischen Dichtung des Jahrzehnetes seines Todes*, Frauenfeld 1894.

Musen). Co najmniej jedenaście znamienitych osób pochodzących ze Szczecina, a wśród nich: duchowni, medycy, profesorowie, nauczyciele i adwokaci, wspólnie opublikowało drukiem zbiór pieśni żałobnych. Jednak tworzenie wówczas utworów żałobnych, czy okazjonalnych było ograniczone do sztuki pisarskiej i znajomości form, pochodzących z upodobanych przez siebie utworów i twórców literatury. Dlatego treść tych mów rzadko „wciągała” słuchaczy, zwłaszcza, że takie mowy pojawiły się na Pomorzu w dużej ilości i dotyczyły tej samej tematyki. Rymy przeważały nad ekspresją uczuć, które w tej niezwyklej sytuacji raczej powinny stanowić ich sedno³⁵.

Mowy wygłaszano przeważnie podczas nabożeństw żałobnych za poległego króla, odprawianych zgodnie z wolą księcia pomorskiego Bogusława XIV w całym kraju. Zaproszeni uczeni lub pastorzy, wygłaszali swe kazania, według powszechnego zwyczaju niezwykle długie i bogate w cytaty z *Pisma Świętego* lub dzieł antycznych. Panował posępny nastrój i z rzadka tylko pobrzmiwał cieplejszy ton, płynący z serca mówcy.

Na Pomorzu zapanowały żałoba i przygnębiające wrażenie. Nawet Jakub Fabricius (*1593-†1654), towarzyszący królowi jako jego polowy kaznodzieja od Szczecina aż po Lützen, nie wspomniał w swoim kazaniu żałobnym o osobistych związkach ze zmarłym. Nie przypomniał żadnych epizodów, których był świadkiem w otoczeniu króla. Swoje milczenie w tej sprawie przerwał dopiero w 1650 roku.

W drukowanych w Szczecinie pomorskich kazań żałobnych autorstwa duchownych z kościoła pod wezwaniem Św. Mikołaja z Wiek na Rugii, z Bądkowa (Bandekow) w powiecie Resko, czy ze Stralsundu i innych miejscowości, najczęściej wybieranym mottem do tekstu był cytat z Psalmu 89: *Włożyłem na głowę mocarza koronę; wyniosłem wybrańca z ludu, aby ręka moja zawsze z nim była i umacniało go moje ramię*. Porównywano przymioty Gustawa Adolfa i Józefa³⁶. Można to dostrzec w okolicznościowych kazaniach *Josiae et Gustavi Adolphi Comparatio* zadedykowanych namiestnikowi szwedzkiemu Pomorza, Steno Bielke (*1598-†1638), wygłoszonym przez teologa, Christopha Schultetusa (*1602-†1644), pastora z kościoła św. Jakuba i Samuela Fuchsa (*1597-†1644), pastora ze św. Mikołaja w Szczecinie³⁷.

35 M.Wehrmann, *Die Trauer und den Tod des Königs Gustav Adolf in Pommern und die Überführung seiner Leiche (Juli 1633)*, „Monatsblätter”, 8 (1933), s. 118.

36 M.Wehrmann, *Die Trauer und den Tod des Königs Gustav Adolf in Pommern*, s. 118-119.

37 Ibidem, s. 52; S.Fuchs, *Josiae et Gustavi Adolphi comparatio. Das ist: angestellte Vergleichung der beiden Könige Josiae des Königs der Juden, und Gustavi Adolphi des Königs der Schweden, Gothen und Wenden, etc. in einer Trauer-Predigt am Tage der angestellten Königlichen Leichen Abfuhrung von dem*



Rewers medalu pośmiertnego Gustawa Adolfa z 1634 roku

W kazaniach zawsze przytaczano życiorys króla. Jednak pomimo wygłaszania ich w pomorskich kościołach, to nie zawierały informacji o wydarzeniach dotyczących Pomorza. Poległemu królowi przypisano w tych mowach wszystkie możliwe przymioty, więc na ich podstawie nie jest możliwe dostrzeżenie cech rzeczywistych.

Pomimo tych niedoskonałości zachowane pisma upamiętniające postać króla stanowią pisany dowód, iż Lew Północy zaskarbił sobie na Pomorzu wiele sympatii. Ludność łączyła jego postać z oswobodzicielem kraju i obrońcą kościoła ewangelickiego, pomimo podziału politycznego społeczeństwa pomorskiego w kwestii zawartego z królem przymierza przez księcia Bogusława XIV.

Wydawać by się mogło, że Pomorze zostało w związku ze śmiercią Gustawa Adolfa szczególnie mocno doświadczone. Jednak ciężkie czasy miały dopiero nadejść. Ale zanim to nastąpiło, bohaterska postać króla nabrała ponownie blasku, a jego czasy nazwano „czasami szwedzkimi” o pozytywnej konotacji. Przypieczętował to prosty lud pomorski, opowiadając przez wieki niejedną legendę³⁸.

Przez cały 1633 rok ukazywały się w Szczecinie drukiem genealogie szwedzkiego władcy³⁹ i ulotne wydawnictwa pośmiertne, jak chociażby wspomnianego pastora Christophorusa Schultetusa. W Wołogoszczy wybito medal upamiętniający śmierć króla w bitwie pod Lützen, na którym król został przed-

fürstlichen Hause Wolgast in das Konigreich Schweden, in der Kirche Nicolai in Alten Stettin gehalten, Stettin 1633, s. 1-4.

38 M.Wehrmann, *Die Trauer und den Tod des Königs Gustav Adolf in Pommern*, s. 119.

39 A.Hildebrand, *Genealogia oder Stamm-Linie Königlicher zu Schweden Gustavi Adolphi*, Stettin 1633.

stawiony jako triumfator za życia i po śmierci⁴⁰. Na jednym z miedziorytów, jakie się ukazały w tym samym roku w Strassburgu autorstwa Jacoba van der Heydena (*1573-†1645), widać Gustawa Adolfa na katafalku, który ozdobiono herbami Szwecji oraz różnymi symbolami. Na szczycie katafalku zamieszczono uosobienia sprawiedliwości i waleczności – cech charakteru poległego władcy. A wokół personifikacje dwunastu krajów optakujących zgon króla. Wśród nich na pierwszym miejscu cała konfesja ewangelicka, na drugim – Niemcy, na trzecim – Szwecja, czwarta – Stralsund, piąta – Pomorze, szósta – Meklemburgia, siódma – Brandenburgia, dalej Saksonia i inne kraje. Każdy z krajów wygłaszał słowa pożegnalne skierowane do króla⁴¹:

Pomorze

O smutku niezgłębiony! Czemuż się los tak toczy?
Czemuż cię już nie ujrzą me zatrwożone oczy?
O gościu najmilejszy, ja wciąż przecież pomnę
Męstwo twe Bogiem silne, oblicze niezłomne
Tyś poprzez morze przebył, królu wszelakiej czci
By Biblię nam wykładać śladami własnej krwi
Tyś Bogu ciągle ufał, w nim swą nadzieję chował –
Tobie zaś los okrutny grób tutaj zgotował.
Tobie dziś więc rozbrzmiewa dzwonów gromki głos
Czyż mogło być inaczej – wszak wielki był to cios
Tyś się nam tutaj zjawił niczym błyskawica
Co wieże burzy, w dzwony bije, wroga w potrzask chwyta
Tyś przybył na tę ziemię, by nam cierpienia skrócić
By nieszczęść pochod wstrzymać, los twardy odwrócić
Gdyś do Szczecina wkroczył, w mury miasta mego
Nikt z nas nie ujrzał przecież oblicza hardego
O słodka przemocy, wodzu miły wielce
Dlaczegoż muszę nad grobem śpiewać ci w podzięce ?

40 Ch.Schultetus, *Josias geminus oder Vergleichung der bezden Regenten, Josiae des Königs Judae, und Gustavi Adolphi, Königs in Schweden etc. Hochseeligster Gedächtniss Gottseeligen Herzten, die über solchen Traverfall berübt, zu Trost vorgestellt, in einer Klag- und Trostpredigt, welche am 15. Julii des 1633. Jahres, welche zur Abführung der Küniglichen Leiche nach dem Königreich Schweden bestimmt, zu Alten Stettin in S. Jacobs Kirchen gehalten*, Szczecin 1633, s. 1-17; *Threni in funus principis ac domini dni. Gustavi Adolphi, Svecorum Regis, etc. herois incomparabilis. Famae posthumae et immortalis gloriae Gustami Adolphi, Svecorum regia consecratum*, 1633; J.Krüger, *Zwischen dem Reich und Schweden*, Berlin 2006, s. 183.

41 P.Oszczanowski, „Szwedzka sień” we Wrocławiu, czyli „dyskretna” apoteoza Gustawa Adolfa, w: *Po obu stronach Bałtyku*, Red. J.Harasimowicz, P.Oszczanowski, M.Wisłocki, T. 1, Wrocław 2006, s. 79.

Stralsund

Czemuś Wszechmocny Boże zasmucił mnie straszliwie
Mnie wszak jak swą Koronę miłował on prawdziwie
On mnie ochoczo wyrwał z wielkiego utrapienia
Nie mnie jedynie – pieśń chwały jego niemiecka wzniosła ziemia
Lecz jest i gorzkie słowo! Ach, niechby nie zabrzmiało!
Mnie przecież wola Boga wyrocznią była stałą
On dla mnie – cała radość, nadzieja, wytchnienie
W moim zaś sercu rośło wdzięczności słodkie pienie –
Lecz – nagle w gardle grzęźnie, bólem w serce godzi
O chwilo beznadziejna! Godzino wielkiej trwogi!

Brandenburgia

Ach ból, ach ból ogromny serce me przytłacza
Już go nie ma na świecie, już go nie zobaczę!
On niczym wierny ojciec, zasług mych nie czekał
Ramieniem swym chciał podtrzymać, pomoc swą przyrzekał
Ach, po cóż mi się było mocno przed nim bronić
Miał swe kolana ugiąć, wdzięcznie się pokłonić!
Ach, niechaj wiary prawej umysł mój wciąż strzeże
Rady niedobrze danej za dobrą nie bierze
Za brak ufności wstydem płacić muszę
Ach gdybyż duch jego wrócił, znowuż mnie poruszył!
On toć mej wiary ołtarz i mój dom książący
Bronił z Boga pomocą, chciał by był zwycięski -
By ziemia ma, wsie i miasta nie doznały klęski
Ach gdybyż żył on jeszcze, gdyby móc z nim trwać
Gdybyż tak jak zasłużył ochoczo przy nim stać
Ach, śmierci okrutna wielce, ciebie trzeba winić
Że wszystko już przepadło – że nic nie mogę uczynić

Mgła spowija niepamięć

Pamięć narodu zamknięta jest w archiwach. Swoich lub cudzych. Od decyzji Biura Politycznego KC WKP(b) z 5 marca 1940 r. o rozstrzelaniu polskich jeńców upłynęło 85 lat. Wprawdzie w 1992 r., na polecenie prezydenta Borysa Jelcyna, przekazano polskim historykom kopie kluczowych dokumentów z tzw. „teczki specjalnej nr 1”, ale do dziś pozostaje tajemnicą zawartość istotnych 116 ze 183 tomów akt, które Rosjanie utajnili. Podobnie jak treść protokołów tzw. trójki NKWD – Wsiewołoda Mierkułowa, Bogdana Kobiłowa, Leonida Basztakowa, bezpośrednio odpowiedzialnych za rozstrzelanie 21 857 osób.

Upłynęło niemal pół wieku. Nie zapomniałem nazwy „Darnica”, panie Piotrze, nie zapomniałem.

Do pogłębienia świadomości historycznej przyczynia się wiedza historyczna i wspomnienia nielicznych świadków, którzy przez lata milczeli. Ich ujawnienie groziło śmiercią. Marszałek Józef Piłsudski o historii i pamięci o przeszłości stwierdził, że są one kluczowe dla istnienia narodu i jego przyszłości: *„Naród, który traci pamięć, przestaje być Narodem, staje się jedynie zbiorem ludzi, czasowo zajmujących dane terytorium.”* I w to wierzył Piotr Dorosz, jedyny świadek zabicia dwóch tysięcy polskich wojskowych w polowym szpitalu w lesie Дарниця (Darnica) koło Kijowa. Od 1989 roku, upadku socjalizmu, upłynęło 36 lat, a miejsce zbrodni nadal ukryte jest we mgle niepamięci.

Karsibórz. Rok 1976

Akademicki Klub Turystyczny „Kroki” oraz Oddział Akademicki PTTK (oba miały swoją siedzibę w akademiku Politechniki Szczecińskiej, tzw. „Ogierni” przy Alei Piastów) założyły tu letnią bazę turystyczną, obsługującą ogólnopolskie, studenckie obozy wędrownie. Zlokalizowana została na małej polance



Dawny port U-Bootów w Karsiborzu, przy której funkcjonowała baza studentów (zdj. M. Rudnicki)

między drzewami, tuż obok dawnego portu U-Bootów, gdzie – nie da się ukryć – komary cięły jak cholera.

Obsługę całej bazy, składającej się z kilkunastu namiotów, stanowiły dwie osoby (ja i koleżanka Ewa). Nie kontaktowaliśmy się z mieszkańcami pobliskiej wsi Karsibórz, odległej dzielnicy Świnoujścia. Ba, wręcz kategorycznie nam tego zabroniono. Użyto sugestywnego argumentu: *Tam mieszkają Ukraińcy, lepiej więc miejcie się na baczności*. Polecenie, jak polecenie, nie sprawdzaliśmy, na ile jest wiarygodne mimo, że od najbliższego domostwa dzieliło bazę nie więcej jak 200, a może 300 m. Ze wsi też nikt nas nie odwiedzał. Wydawało się, że wzajemne ignorowanie pozostanie do końca wakacji.

Do czasu

Ewa przywiozła ze sobą owczarka niemieckiego, długowłosego, zwanego czasami wilkiem syberyjskim. Miał na imię Maks.

Bydlę było silne, a co istotniejsze, lubił chodzić własnymi drogami. Słuchał właścicielki tylko wówczas, jak miał na to ochotę. Nie puszczaaliśmy go samopas z obawy o mieszkańców wsi. Pewnego razu, gdy siedział wewnątrz namiotu, przywiązany do masztu, znudziło mu się to. Przegryzł smycz, łapą rozerwał materiał i ruszył na wyprawę do Karsiborza. Dopiero po czasie zauważyliśmy jego nieobecność. Właścicielka denerwowała się, że pies znikł i coś mu może się stać. Stało się, ale nie jemu.

Piotr Dorosz z żoną, Nadzieją (zdz. z archiwum rodzinnego)



Wrócił po godzinie cały potargany. Z jednej strony wyraźnie zadowolony, a z drugiej z miną charakterystyczną dla psów, gdy coś zmalują. Po południu do bazy przyszedł miejscowy. Trzymał w ręku kawał drąga i poddenerwowany spytał o szefa bazy. Wyszedłem z namiotu, nie bardzo wiedząc, o co chodzi. Na wszelki wypadek niby przypadkiem wziąłem ze sobą wolny maszt namiotu. Ta pała w ręku gościa nie wzbudzała dobrych skojarzeń, a maszt na niewiele by się zdał, gdyby doszło do konfrontacji.

Spytał krótko i z determinacją w głosie, czy ma ją użyć od razu, czy najpierw porozmawiamy. Nie ukrywam, przeleciały mi po grzbiecie ciarki połączone z mrowieniem. Szybko wybrałem to drugie.

Tak poznałem Piotra Dorosza. Maks, jak się okazało, po wydostaniu się z namiotu, pobiegł na wieś i poddusił, czy też zagryzł kilka psów. Gospodarzy to wkurzyło, ale mieli surowo od milicji nakazane, że studenci są pod ich ochroną i wara miejscowym od bazy bez względu na to, co by się z nią wiązało.

Myśmy o tym nie wiedzieli. Jeden tylko człowiek miał za nic milicyjne ostrzeżenia, Piotr Dorosz. Maks zagryzł jego psa. Przyszedł do bazy, jak stwierdził, „po sprawiedliwość”.

Przekonał go orzełek w koronie

Zaczełiśmy rozmawiać. Przyjął poczęstunek herbatą z drobnym dodatkiem, co nieco ociepliło wzajemne postrzeganie. W pewnym momencie, po godzinnej gadaninie o wszystkim i niczym, gdy zapadł już zmierzch, zauważył na mojej amerykańskiej kurtce M65, przywiezionej mi przez ciocię z Zachodu, orzełka w koronie. Zdziwił się. Spytał, czy nie boję się go nosić.

– To prowokacja dla nich – stwierdził dobitnie, nie precyzując, kogo ma na myśli. – Zamknąć cię za to mogą, im wiele nie trzeba.

Wzruszyłem ramionami. Byłem młody, zadziorny i zadufany w sobie. Burknąłem coś w stylu, że wystarczy, że mi „dziadka zabili, to mogą mi skoczyć”.

– Uważaj – uśmiechnął się, kręcąc głową. – Na to, co mówisz i do kogo mówisz – poradził, szybko pożegnał się i sobie poszedł.

Wydawało się, że już go więcej nie zobaczę. Myliłem się. Pojawiał się w bazie niemal codziennie, przeważnie pod wieczór. Może nie chciał, aby inni mieszkańcy wioski zobaczyli, że nas odwiedza. Rozmawialiśmy o duperelach, rzeczach mało ważnych i nieistotnych. Polubiłem go. Jakoś nie pasował mi do wizerunku „Ukraińców”, przed którymi ostrzegano nas przed objęciem bazy. Z perspektywy lat domyślałem się, że badał mnie, sondował. Pewnego razu przyszedł jakoś inaczej ubrany, tak jakby uroczyściej. Milczał długo i nawet zdziwiłem się, podejrzewając, czy może Maks kolejny raz zdołał wymknąć się spod opieki Ewy, a ona to przede mną zataiła.

– Nie, nie ... – Dorosz zaprzeczył, gdy go o to zagadnąłem.

Po chwili milczenia oświadczył uroczyście, że opowie mi historię, którą chce, bym zapamiętał. Dodał przy tym, że jestem młody, długo więc jeszcze pożyję, a on ma już swoje lata, mam więc słuchać uważnie i zapamiętać słowo Darnica.

Uciekł Rosjanom

– To tam się stało, tam zabili oficerów, dwa tysiące bez jednego – usłyszałem od pana Piotra nieprawdopodobną wówczas dla mnie historię.

Do tej pory jedynie z opowieści rodzinnej o dziadku majorze, Sylwestrze Mielczarskim, znałem słowo Katyń i niemiecką listę opublikowaną w czasie wojny. Dorosz opowiedział mi jej odprysk, którego sam był świadkiem.

Po wybuchu wojny trafił na wschód. Nie zapamiętałem, w jakiej formacji służył i gdzie dostał się do niewoli rosyjskiej. Chyba był podoficerem, ale tego dokładnie też już nie pamiętam. Szedł z wieloma innymi jeńcami, ale cały czas kombinował, jak by tu uciec. Wykorzystał okazję, że strażnicy niezbyt pilnowali kolumny i to zrobił. Zrzucił mundur, gdy udało mu się ukraść gdzieś cywilne ubranie i powędrował, kierując się „do Polski”. Czasami pracował, aby zdobyć jedzenie. Szczegóły tej dziwnej opowieści po tylu latach zatarty się.

W pewnym momencie podwinął rękaw i pokazał mi miejsce, gdzie każdy mężczyzna ma biceps. On go nie miał.

– To w ruskiej fabryce wyrwała mi maszyna, dobrze, że przeżyłem.

Chyba po tym wypadku trafił do szpitala polowego w Darnicy, który składał się z kilkunastu baraków położonych w środku lasu.

Pewnego dnia pod wieczór Rosjanie przyprowadzili tam dwa tysiące polskich żołnierzy.

– Dwa tysiące oficerów, dokładnie dwa tysiące – powtarzał Dorosz i jak dziś pamiętam, twarz mu się przy tym dziwnie zmieniła, poszarzała, a rysy wyostriły. – Jednego oddzielili od grupy, a resztę rozlokowali w barakach. Przyszli ruscy lekarze i dali im zastrzyki. Mówili, że to wzmacniające po tak długim marszu. Rano wszyscy byli martwi. Rozumiesz, martwi. Wszyscy prócz tego jednego.

Zszokowany słuchałem. Nic nie mówiłem, a pan Piotr siedział z zamkniętymi oczami, zaciskając dłonie w pięści. W końcu spytałem, co z tym jednym. Powiedział, że podsłuchiwał pod oknem, gdzie go przestuchiwali. Wywnioskował z wymiany zdań, że był to oficer wywiadu. Nie pamięta, co z nim się stało, gdyż na drugi dzień już go nie było. Gdzieś go wywieźli.

Spytałem, co stało się z tymi zabitymi. Stwierdził krótko: – Zakopali ich.

Łatwo zapamiętać, darń albo dar

Do końca prowadzenia bazy, Piotr Dorosz co pewien czas pytał mnie, czy zapamiętałem miejscowość „Darnicę”. Bardzo mu na tym zależało. Mówił, bym ją sobie na trwałe wyrył w pamięci.

– Łatwo zapamiętać – tłumaczył. – To od darni albo daru, Darnica.

Lata mijały, a przygoda w Karsiborzu i pamięć o spotkaniu dziwnego (tak to wówczas odbierałem) człowieka, gdzieś zatarta się. Gdy zacząłem pracować

w tygodniku „Morze i Ziemia”, poszedłem do mojego naczelnego, wspaniałego człowieka, Ryszarda Liskowackiego. To on, bodajże jako jeden z pierwszych dziennikarzy w Polsce, opublikował w „MiZ” materiał o Katyniu i o krwawych oprawcach („*Ludzie Stalina*”). Opowiedziałem mu to, co pamiętałem z zastyśniętej w okresie studenckim opowieści, proponując, że odszukam człowieka i zrobię z nim materiał.

– Chyba na głowę upadłeś – szef odpałał akurat jednego papierosa od drugiego (tak cały dzień funkcjonował), po czym uśmiechnął się, zaproponował wypicie lampki koniaku i spytał z ironicznym uśmiechem: – Ja balansuję na granicy tego, co mogę, ale ty... Chcesz, by nas razem zamknęli?

Nie chciałem. I tak na kolejne lata pamięć o Darnicy została w odległej szufladzie pamięci.

Przyszły zmiany roku 1988

Można było wszystko pisać. Pamiętałem o przygodzie w Karsiborzu, ale jakoś nigdy nie miałem czasu, by odwiedzić to miejsce. Przez całe lata. Przyszły lata dziewięćdziesiąte.

I nagle Karsibórz i nazwa Darnica zaczęły za mną chodzić. Jak nigdy dotąd. Może ktoś śmiać się, ale bywają takie momenty, że jakiś temat wraca z przeszłości i nie daje żyć. Może to wiek. Tłumaczyłem sobie, że ponad 30 lat minęło i z pewnością nikt ze starszych ludzi z tamtego okresu już nie żyje. Jak odszukać człowieka, którego nazwisko trwało jedynie w zachowanych, starych notatkach. A w pamięci ten charakterystyczny element, jego wyrwany z przedramienia biceps. I słowo hasło – Darnica. Dobrze, że zachowałem stare notatki. W okresie studiów „bawiłem” się w dziennikarstwo, pisząc do periodyku studenckiego „Na przeciw”. Gdy w końcu zaczął śnić mi się ten Karsibórz, nie wytrzymałem.

Skontaktowałem się z ówczesnym radnym Świnoujścia, Zdzisławem Marchelskim, byłym sołtysem Karsiborza. Opisałem człowieka, pytając, jak go odnaleźć. Nie pamiętał. Tłumaczył, że osiedlił się w tej części miasta „dopiero około 15 lat temu”. Polecił mi jednak kontakt z Bożeną Rogowską, kierownikiem MDK Warszów, która urodziła się w Karsiborzu.

– Nie mogę skojarzyć takiego człowieka, ani też nie pamiętam bazy studenckiej – przyznała, ale po chwili zasugerowała, bym odnalazł Józefa Pawlusińskiego, najstarszego sołtysa.



Pojechałem do Karsiborza

Odwiedziłem pana Józefa, który mimo ponad 80 lat trzymał się prosto i dysponował doskonałą pamięcią.

– A jakże, pamiętam tę waszą bazę – stwierdził z wyraźną drwiną w głosie.
– Pies zagryzł nasze? Chyba coś było na rzeczy. Milicja zabroniła nam kontaktów ze studentami z bazy, to doskonale pamiętam. Takie były czasy. Z władzą nie dyskutowało się. A kto mimo to mógł do was chodzić? – zastanawiał się, marszcząc czoło.

Po dłuższej chwili wyciągnął z pamięci przyjazd na wyspę pierwszych ośmiu rodzin z Rosji, które na miejsce osiedlenia wybrały Karsibórz, jako miejsce najbardziej oddalone od Świnoujścia.

– Był Ignatowicz, Rakiela, Sławiński, Szukiel, nie, to jego żona przyjechała do niego, ale on był w Szczecinie i gdy ona dotarła, on już umarł – szukał w pamięci.
– Był Łuczko, z Niemką siedział, Bołzan, Łazan, Nowojczyk, ale ... – zamilkł, nadal szukając tamtych chwil w pamięci, po czym uśmiechnął się, zadowolony.
– To musiał być Piotr. Później przyjechał od tamtych. Ci przed nim przyjechali bogato, futra nawet mieli, a on biednie, jak mysz kościelna, jakby musiał z tej Rosji nagle uciekać. Nawet mu słoninę dla dzieciaków dawałem i kartofle, aby z głodu nam nie pomarli. Hardy był chłop, zadziorny, z charakterem.

Okazuje się, że Dorosz był jego sąsiadem. Ja jednak spóźniłem się. Pan Piotr zmarł w 1995 r. W jego domu mieszkał syn, Włodzimierz.

Zapukałem do jego drzwi, nie będąc pewnym, czy będzie chciał ze mną rozmawiać. Nie wszyscy chcą wracać do wspomnień. Przedstawiłem się



Włodzimierz Dorosz, syn
Piotra Dorosza (zdj. M. Rud-
nicki)

i spytałem o ojca. Popatrzył nieufnie. Dopiero, gdy przypominam mu zdarzenia sprzed lat, naszą bazę i wyczy Maksa, twarz mu wypogodniała. Wskazał na psa, kręcącego się w obejściu. Jako żywo przypominał Maksa sprzed lat. Podobny owczarek, z długim włosiem.

– Ojciec później zawsze miał takie właśnie psy – stwierdził i uśmiechnął się.

Sprefabrykował akt zgonu

Piliśmy herbatę, a ja przytoczyłem mu to, co zapamiętałem i co było w moich starych notatkach.

– Ojciec próbował nam czasami coś opowiadać, ale młodzi byliśmy, koło uszu puszczałyśmy jego gadanie – przyznał pan Włodzimierz. – Coś tam było o wymordowaniu polskich oficerów, ale szczegółów nie pamiętam. Mama była Rosjanką i miała piękne imię, Nadzieja. Ojciec opowiadał, jak uratował ją przed rozstrzelaniem i musieli z Rosji uciekać, ale szczegółów już nie pamiętam.

Pokazał zdjęcia ojca. Poznałem. Ten sam człowiek, nieco tylko starszy. Otworzyły się komórki pamięci. Wówczas dopiero przypomniałem sobie, że przed laty opowiadał mi, że sprowadził do Polski jakąś krewną czy znajomą, która przyjechała na wycieczkę do Polski. Później kombinował, co by tu zrobić, aby do Rosji nie musiała wracać. I wymyślił. Jakimś sposobem załatwił oficjalne zaświadczenie dla rosyjskiego konsulatu, że zmarła. Spytałem o to pana Włodzimierza.

– To nie krewna ojca, a siostra mamy, Maria. Starsza była od niej. Nie wiem, jak to ojciec załatwił, ale później wyszła za starszego od siebie mężczyznę. Długo nie cieszyła się Polską, bo szybko zmarła.

Pojawia się ostatni ślad

Miałem już materiał, ale szukałem dalej. Wpadłem na pomysł porozmawiania ze starym znajomym, Stanisławem Możejko. Znałem go wcześniej z pierwszej Solidarności, ale przez lata całe nie kontaktowaliśmy się. Był znany działaczem pierwszej Solidarności, który później był krótko burmistrzem Świnoujścia.

Przed laty, w okresie „komuny” pracował w Karsiborzu jako elektryk w bazie barek i kutrów, które stacjonowały w byłej bazie U-Bootów. Tam dostał nakaz pracy. Służba Bezpieczeństwa uznała, że jest niebezpieczny w Świnoujściu. W bazie było jeszcze dwóch pracowników, którzy – jak wspominał – mieli go pilnować, by w czasie pracy nigdzie nie oddalał się.

– Załatwili mnie całkiem inteligentnie – śmiał się z tamtego okresu. – Skoro świt do pracy musiałem jechać i wracałem dopiero wieczorem, bo innego połączenia nie było. Oni wychodzili z założenia, że nie będę miał czasu na konspirę i inne głupoty.

Spytałem w końcu o Dorosza. Wszak po to przyjechałem.

Był zaskoczony, że o tym wiem. Nigdy z przyjaźnią z Doroszem nie afiszował się. Pan Piotr nabrał do niego zaufania dopiero po wielu miesiącach znajomości. Mimo, że wiedział, iż Możejko był czołowym działaczem Solidarności w Świnoujściu. Drążyłem temat i spytałem o Darnicę.

Staszek był wyraźnie poruszony. Nie wiedział, że tę historię zna również ktoś inny.

– Kiedyś opowiedział mi, jak NKWD zabiło polskich oficerów w Darnicy – stwierdził z zadumą. – Brzmiała cholernie niewiarygodnie, szczególnie w tamtych czasach. Mimo to spytałem się, czy mogę tę jego opowieść nagrać na magnetofon. I wyobraź sobie, że nie tylko się zgodził, ale nawet ucieszył. To było w 1986 r. Długo opowiadał. Cztery taśmy nagrałem. A później głęboko gdzieś je schowałem, aby ubecja przy jakiejś rewizji ich nie znalazła. Ta Darnica była, jak sobie przypominam, jakąś daleką dzielnicą chyba Kijowa. Szpital polowy położony w lesie, całkiem opuszczony. Piotr opowiadał, że można tam było dojechać tramwajem.

Namówiłem Staszka, aby odszukał ukryte taśmy. Trochę się wahał, czy rzeczywiście jest to dobry czas? A gdy je odnalazł, przekazał je do szczecińskiego IPN.

Zamiast podsumowania

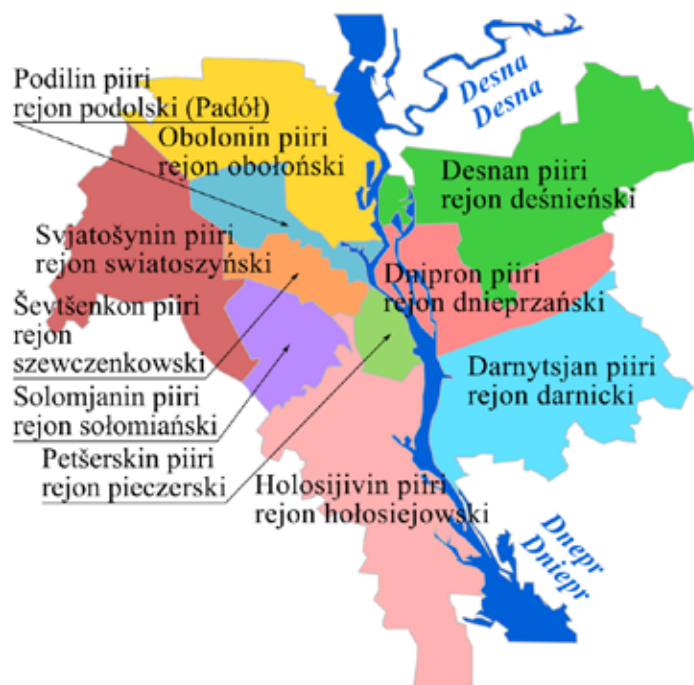
Upłynęło niemal pół wieku. Nie zapomniałem nazwy dzielnicy Kijowa, Darnica – Дарниця. Piotra Dorosza nie ma już wśród żyjących, podobnie jak Staszka Możejko, są tylko taśmy z nagraniem.

Gdy jakiś czas temu rozmawiałem z pracownikiem IPN, pytając, dlaczego nie szukają śladów zbrodni, o której opowiadał Piotr Dorosz, wzruszył ramionami. I wyraził przypuszczenie, że w Kijowie, w Bykowni „odnaleziono przecież ślady rosyjskiej zbrodni”, gdzie według szacunku archeologów zamordowano 1700 Polaków. Nawet przypomniał, że w 2011 roku odbył się symboliczny pogrzeb, ale tylko 492 polskich ofiar, oficerów, urzędników i naukowców. Pamiętam jego słowa: *To jest ten czwarty cmentarz katyński.*

Zaoponowałem, że Bykownia, to nie Darnica.

Nic nie odpowiedział.

Białoruś jest państwem dziś nam wrogim, ale Ukraina, której Polska pomaga w walce z Rosją, już nie. Czy jest coś, co lepiej może symbolizować zmagania o zachowanie pamięci Narodu, niż walka o pamięć ofiar Zbrodni Katyńskiej, walka o przewyciężenie kłamstwa katyńskiego?



Mapa Kijowa.svg-Rudnicki.png

PORTRETY

Anna Judge

Czy zasadnym jest mówienie o Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej jedynie jako o poetce miłości?

Obecny rok 2025 uchwałą Sejmu ogłoszono rokiem Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, poetki miłości. Tak się ją bowiem określa i to nie tylko w programach szkolnych. W tym roku poetka po raz kolejny znalazła się przy mnie, w kręgu literackich zainteresowań. Z racji ogromnego wpływu na mój rozwój, postanowiłam poruszyć ważny, myślę, że nie tylko dla mnie, temat.

Niemniej zacznę od fascynacji twórczością poetki zapoczątkowaną wiele lat temu, gdy będąc nastolatką uplasowałam tę twórczynię w moim świecie bardzo wysoko. Przemawiała do mnie jej wrażliwość, tkliwość, subtelne tęsknoty.



(https://pl.wikipedia.org/wiki/Maria_Pawlikowska-Jasnorzewska)

Poznałam jej żar tworzenia, wnikliwej obserwacji codziennego życia. Pokochałam tę twórczość. Nie znałam jednak jej tragicznych losów emigracyjnych w latach wojennych. Szukałam zatem więcej informacji, aniżeli mogłam znaleźć w obowiązujących wówczas podręcznikach szkolnych. I tak Maria Pawlikowska-Jasnorzewska zamieszkała w moim sercu. Wkradła się w duszę, zajęła wysokie miejsce na półkach podręcznej biblioteczki. Przez lata towarzyszyła mi w obcowaniu z poezją – odnajdywałam ją podczas lekcji języka polskiego, a miałam doskonałą nauczycielkę, pojawiła się w pracy maturalnej, ale także podczas pisania pracy magisterskiej na Akademii Muzycznej, gdzie badałam związek liryki z muzyką. Tomiki poetki trafiały w moje ręce niby przypadkiem. Wygrane w konkursach poetyckich, zakupione w antykwariatach czy księgarniach. Jakby wiedziały do kogo mają trafić! A ponoć przypadków nie ma. Oto jak poezja tej poetki międzywojnia umościła sobie u mnie miejsce, ukierunkowując poetycki rozwój i wrażliwość.

Działania w klubie literackim „Na Wyspie” w Świnoujściu przyniosły dodatkowe informacje, ale i twórcze przedsięwzięcia. Poetka i w tamtym czasie była przy mnie. Również jej siostra, Magdalena Samozwaniec, choć o niej w programach szkolnych znacznie mniej się mówi. A szkoda.

Dlaczego o tym wszystkim wspominam? Ponieważ uważam, że program szkolny nie pozwalał i nadal nie daje szansy poetce kształtować wrażliwość młodych ludzi w pełnym zakresie jej możliwości. Współcześnie w programie edukacji literackiej dla licealistów wymienia się Marię Pawlikowską-Jasnorzewską z „łatką” poetki miłości. Nie mówi się o dramatach teatralnych, o poczuciu humoru, wrażliwości na pozycję kobiety w społeczeństwie wobec wydarzeń przed i w trakcie II wojny światowej. Nie wspomina się w końcu o jej dziennikach, w których opisuje osobistą, emigracyjną golgotę umierania. Nie analizuje się dramatycznej walki z ciężką chorobą. Czyż życie poetki i jej trudne doświadczenia nie są idealną odpowiedzią na potrzeby zagubionych emocjonalnie, współczesnych młodych ludzi?

Rafał Podraza, dziennikarz i pisarz, ale również badacz losów rodziny Kosaków, zebrał niepublikowane pamiętniki poetki i wydał je, nadając im tytuł „Wojnę spłodził szatan. Zapiski 1939–1945”. Wstrząsająca, nasycona bólem i ważnymi przemyśleniami historia Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, która musiała emigrować do Anglii, powinna być obowiązkową lekturą nastoletnich odbiorców i przykładem budowania ważnych wartości. Niepodważalnych fundamentów kształtujących osobowość i spojrzenie na otaczający świat. Niezwykły język poetki, ukazujący wielowątkowość choroby, zmaganie się ze

świadomością nieuchronnego odejścia, kreślą postać silnej i mądrej kobiety. Czytelnik poznaje prawdziwe życie i emocje, które nie do końca mogą być kontrolowane. Czyż to nie najlepszy strumień nauki dla młodego człowieka wchodzącego w życie?

„Zapiski z umierania” ujawniają niepodważalną wartość i wpływ literatury na porządkowanie własnego chaosu w czytelniku. Dlatego tą wypowiedzią postuluję wprowadzenie nowej odśłony poetyckich wartości Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej w licealnych programach szkolnych. Poetka niemal codziennie zapisywała w dzienniku swoje przemyślenia, odczucia i nasilające się dolegliwości choroby. Wartości w grupie młodzieży w wieku 13-17 lat dopiero się kształtują. W dzisiejszych czasach młodzież jest narażona na ogrom hejtu i internetowych napaści, podczas gdy ich kręgosłup moralny nie jest jeszcze do końca ukształtowany. Wprowadzenie odświeżającej nowości, jaką jest dziennik poetki, w którym młody człowiek mógłby przeczytać bez zbędnej koloryzacji czym jest życie, jakim dobrem są prawdziwi przyjaciele i rodzina – stanowi wartość samą w sobie. Byłby ów dziennik wartościową podpowiedzią, terapią dla poszukującego młodego człowieka. Uważam, iż gdyby młodzież miała szansę zapoznać się z jego treścią na lekcjach języka polskiego, dałoby to znacznie więcej dobrego systemowi wartości i dojrzewaniu emocjonalnemu młodych ludzi. Docenienie życia, spojrzenie na to, czym naprawdę jest śmierć.

Wyzwania, jakim poddawani są młodzi ludzie to nie challenge na Tik-Toku, to nie zbieranie lajków, to nie gra – młodzi ludzie muszą zrozumieć różnicę między autentycznością istnienia a gramami komputerowymi i wyzwaniami, jakie stawia im wirtualny świat. Mają tylko jedno życie, a nie kilka, niczym w grze. Bo życie to nie gra, ale niejednokrotnie brutalne doświadczenia, lecz to one stanowią o dojrzewaniu, i trzeba o tych doświadczeniach mówić. Oglądać je z każdej perspektywy, a wszystko po to, aby najcenniejszy dar, jakim jest życie, docenić, kochać i szanować.

Niezwykła moc swego testamentu Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej wybrzmiewa obecnie na stronie Polskiego Radia Szczecin w audycji pt. „Zapiski z umierania”, gdzie w postać autorki wcieliła się jedna z najpopularniejszych szczecińskich aktorek, Anna Januszewska, co nadaje audycji inny, niezapomniany wymiar.

O poetce w „Zapiskach z umierania” tak mówi Rafał Podraza: „Jasnorzewska to dalej poetka, ale bardziej ludzka, realna. Jest, jak dla mnie, bardziej dojrzała, mocna.”

Mój ojciec...

Mój ojciec-chłopiec... już po takim czasie mogę tak napisać, odszedł mając zaledwie 25 lat. Rzeczywiście chłopiec, sądząc po różnych zabawach, kawałach, spotkaniach, imprezach etc. i 25 lat.

Był jednak bardzo dorosły w literackiej pracy, studiach, życiu.

Bardzo dużo czytał polskiej i obcej literatury, tłumaczył, robił szkice dramatyczne.

Skąd mogę to wiedzieć, kiedy byłem kilkuletnim dzieckiem. Relacje rodzinne, znajomych, kolegów, przyjaciół, z którymi kontakt się nie urwał, genius loci: to same mieszkanie, widoki z okna na plac Jabłonowskich, zabytkowy spichlerz, z dala dachy Collegium Novum i przygaszone obrazy pamięci.

Krótką notatką biograficzną. Urodził się w 1932 roku w Krakowie. Mama była polonistką i romanistką i uczyła w technikum. Ojciec, Feliks Bursa był polonistą i pedagogiem, wizytatorem szkolnym. Zarówno od strony mamy jak i taty były osoby związane ze sztuką, np. Stanisław Bursa – śpiewak i dyrygent, siostra mamy, Zofia – graficzka, czy wuj, brat mamy, Adam Kopyciński – dyrygent i pianista, rektor Wyższej Szkoły Muzycznej we Wrocławiu. Miał dosyć ciekawy epizod w swojej karierze muzycznej, będąc dyrygentem orkiestry obozowej w... Auschwitz.

W czasie wojny Andrzej Bursa chodził normalnie do szkoły w Krakowie, bo szkoły podstawowe funkcjonowały normalnie, a nawet, co ciekawe, na dwujęzycznych świadectwach był język polski, a nie było... niemieckiego/sic/. Jego ojciec, Feliks Bursa, by przeżyć założył firmę transportową, miał dwa konie i jakoś szło.

Co ja mogę powiedzieć o twórczości mojego taty, kiedy już tak dużo powiedziano, często bardzo starannie, metodycznie, wręcz naukowo. Wszystko to bardzo mądre, ale autorzy, takie odnoszę wrażenie, nie wyżyci w naukach ścisłych technicznych, logice etc., przenoszą zbyt dosłownie cały ten apart poznawczy na sztukę. Słusznie jednak zauważają, że pisał życiem i był

Ludwika i Andrzej Bursowie – zdj. ślubne



autentyczny, a co jest autentyczne – jest i żywe.

Bliskość rodzinna nie była mi nigdy przeszkodą w ocenie. A teraz po latach jeszcze bardziej odczuwam „Pożegnanie z psem”, „Jacka Londona”, „Luiz” i wiele innych. Znam wszystkie, niektóre na pamięć.

Dodałbym jeszcze, co wszyscy jego znajomi podkreślali, immanentne poczucie humoru, może czasami przechodzące w drwinę, którą nie szczędził i sobie. Dużo pracował, pochłaniał literaturę, przez pewien czas był dziennikarzem, współpracował z Kabaretem pod Baranami, okazjonalnie uczestniczył też w przedsięwzięciach Tadeusza Kantora.

Pomorze Zachodnie było pewnym szczególnym miejscem dla moich rodziców. Tu, do Szczecina po 6 latach zsyłki na Syberię przyjechała, wraz ze swoją mamą i siostrami, moja mama, Ludwika Szemioth. Opowiadała, jak można było sobie wybierać wille, domy tak z ulicy, pozostawione przez uciekających Niemców i nierzadko zdewastowanych przez Armię Wyzwolicielei. A Wyspę Wolin i te wspaniałe plaże „odkryła” jej siostra w końcu lat 40. i tak zaczęły się wyjazdy. Była tam też dwa, czy trzy razy z moim ojcem. Wspominała o wspaniałym, niemieckim dentyście z Wisłki, do którego szła nocą z Międzywodzia, który jednym ruchem pęsety uwolnił ją od straszego bólu. Mimo sympatii mieszkańców musiał wyjechać.

Ponieważ żyjemy w bardzo rozpolitykowanym czasie, to jak w tamtym czasie określić postawę, poglądy polityczne Andrzeja Bursy. Najpełniej prezentują się one w krótkiej sztuce „Zwierzęta Hrabiego Cagliostro”, gdzie magik i właściciel ludzkiego cyrku, despota, w czasie rewolucji nie zostaje obalony i ukarany, ale dzięki swej elastycznej postawie staje w pierwszym szeregu jej orędowników. Tylko w nielicznych utworach są jakieś elementy związane z realiami czasów, generalnie cechuje je uniwersalizm.

Piosenka jazzowa /fragment poematu „Luiza”/

*Dlaczego mnie zabrano z mojej Afryki
Pytam: Dlaczego mnie zabrano z mojej Afryki?
Gdzie zwierzęta me rzeźbione w korze
Amulety i kościane noże...
Po co było tak długo pracować mi
Na plantacji bawełny w którą słowa się mota
Gdy prawdziwa jest tylko stara piosenka krwi
Którą wyśpiewać umie tylko saksofon
Co ja tu robię
Przecież od lat
Miałem statkiem pirackim odpłynąć
Na księżycu i gwiazdach oznaczyliśmy czas
Z brodatym kapitanem w Szczecinie
Lecz tchórz... uląkłem się spienionej bryzy
Wyszło na jaw że kapitan to szuler i złodziej
Teraz szukam w uściskach Luizy
Snów zgubionych jak ślady na wodzie
Opowiadanie oprawcy
Najzabawniejsi są ci którzy się dziwią
Przeżyli swoje latka w zbrodni
Mieli czas coś niecoś zrozumieć
aż tu nagle zdumienie
jak to: mnie mają obdzierać ze skóry
to przecież niemożliwe że za chwilę wyłupią mi oczy
przepraszam to ja mam być spalony żywem
zatyka ich
bełkocą z wywalonymi oczami
aż*

nagle przypominają sobie
imiona bogów
nieprawdziwych królów
frazesy z nie czytanych ksiąg
wykrzykują do późnej nocy
tłukąc w ściany rozbieralni przed katownią

1957

[Funkcja Poezji]

Poezja nie może być oderwana od życia
Poezja ma służyć życiu

Gospodyni domowa powinna:

wytrzeć kurze
wynieść śmieci
wymieść spod tóżka
wytrześć dywan
nakarmić dziecko
pójść po zakupy
podlać kwiatki
napalić w piecu
przyrządzić obiad
wymyć rondle
wypłukać szklanki
wyprać pieluchy
zaszyć spodnie
przyszyć guzik
zacerować skarpetki
zapisać wydatki

i jeszcze
zrobić
tysięce innych rzeczy
o których nie mam po-
jęcia
a potem lektura wielkich romantyków
i lu-lu...

[Nadzieja]

Jeżeli nam się uda to coś my zamierzeli
i wszystkie słońca które wyhodowaliśmy w
doniczkach
naszych kameralnych rozmów
i zaściankowych umysłów
rozświetlą szeroki widnokrąg
i nie będziemy musieli mówić że jesteśmy
geniuszami
bo inni powiedzą to za nas
i aureole
tęczowe aureole
...ech szkoda gadać
Panowie jeżeli to się uda
To zalejemy się jak jasna cholera

[Nasze ognisko]

Roznieciliśmy nasze ognisko
By odgrodzić swoje wieczory
Od ludzi wszystkich jak od chorób
Niech się kotłuje i błyśka
Niech złote śpiewają iskry
W naszym ognisku...

Siedzimy wieczorami
Coś niedobrze się dzieje
Płomień gaśnie ciemnieje
Kopeć oczernił pokój
Pyta żona: Co ci kochany?
– A daj mi spokój...

Ja wiem czemu smutno mój drogi
My lubimy bardzo czworonogi
Zwierzę najlepszy przyjaciel
Już na ulicy jestem jednym skokiem
Przemierzam całe miasto szerokie
Wracam
Z ogromnym kotem pod pachą

Siedzimy wieczorami
Coś niedobrze się dzieje
Kot straszy bursztynowym okiem
Płomień gaśnie ciemnieje
Przeglądamy... malarstwo włoskie...
Rany Boskie... jak nudno...
No – mówię – rady nie ma...
Widać się do siebie nie nadajemy
Koniec z naszym ogniskiem
Ale sprośmy jeszcze na ostatek
Wszystkich naszych starych kamratów
Ze szkolnej ławy
Z popijawy...
Zrobimy zabawę...

Przyszli goście
Każdy opowiada
Barwna talia się rozkłada
Z prostych opowieści
Chwalimy życie z całej mocy
Śpiewamy pieśni do północy

Pierwsza Goście już za progiem
No i cóż moja droga
I nam trzeba zabierać walizki
Ale popatrz... popatrz
Jak się kotysze i błyska
Wielkim ogniem... słoneczną iskrą
Nasze ognisko...
I nasz kot jest bardzo piękny z tym bursztynowym okiem

[Piosenka chorego na raka podlewającego pelargonie]

Rak jest choroba nieuleczalną
Śmierć jest zjawiskiem nieodwracalnym
W śmiesznym ubranku w piżamie pasiastej
Podlewam pelargonie

Pelargonie jak krew czerwone
Pelargonie białe jak mleko

W błękitnym brzęku lata o zmierzchu
Na szpitalnym balkonie

Ptaki wróżą rosę doktorze
Rosa biała furie upałów
Ja podlewam nasze pelargonie
Mądry biały doktorze

Rak jest chorobą nieuleczalną
Życie jest treścią niezwykłą
Trzeba uważać w dni upalne
żeby nie zwiędły pelargonie

[* * *]

Przecież znasz wszystkie moje chwyt
życie moje
wiesz kiedy będę drapał krzyczał i rzucał się
znasz upór moich zmagañ
i drętwe pozbawione smaku i uczucia wyczerpanie
wtedy zatruwasz mój sen majakami
aby uniemożliwić mi jakikolwiek azyl
znam twoje słodycze
które przyjmuję ze skwapliwą wdzięcznością
i po których szarpią mnie torsje
przywykłem do twoich okrucieństw
nauczyłem się śmiać z własnego trupa
(znasz dobrze ten mój ostatni chwyt)
znudziliśmy się sobie życie moje mój wrogu
Cóż kiedy wkręciłeś iskry bólu w moje szczęki
aby uniemożliwić mi ziewanie.

[Pożegnanie z psem]

Na szept mój wielki łeb się poruszył.
No cóż, mój drogi – bieda.
Przykro mi bardzo, ale brak funduszków.
Trzeba cię sprzedać.
Już nie będę pod przewodem twoich czujnych uszu
Brnął w puszczyń matecznika, wykrotach.

Nie będzie już puszczy,
Będzie park Jordana – pełen błota.
Ach, jakie ty miałeś skoki i susy,
Jak szczałeś z łapy triumfalnym zadarciem,
Wiatr płoszyłeś ogona białym pióropuszem.
Ale trudno, nie ma żarcia.
Ty dużo potrzebujesz, to wiadomo.
U mnie zawsze tragedia z groszem,
Zresztą straszy kłopot był w domu:
Już pożarłeś czterech listonoszy.
No, chodź tu, chodź, jaki pobłysł wilczy
Czołga się ukradkiem w twoich ślepiach.
Gdyby moi przyjaciele umieli tak inteligentnie milczeć,
Toby było mi o wiele lepiej.
Idź już leżeć. Nie warto płakać.
W życiu gorsze udręki będą jeszcze.
Ja kochałem nie odkryte nasze szlaki
I zmierzwioną sierść pachnącą deszczem.

Aneta Gawriłow

Wiersze z soli i drzewa – Jolanta Frydrykiewicz

Jolanta Barbara Frydrykiewicz urodziła się 21 października 1940 roku w Warszawie, ale jej życie bardzo szybko, bo już w 1945 roku, spłotło się ze Szczecinem. Po zdanej w 1958 r. maturze podjęła studia prawnicze na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, jednak swoją zawodową ścieżkę związała nie z prawem, a z literaturą i kulturą.

W 1958 roku rozpoczęła pracę w redakcji „Głosu Szczecińskiego”. Tu zadebiutowała jako poetka, publikując swoje wiersze w dodatku literackim do „Głosu”. Dla rozgłośni Polskiego Radia w Szczecinie pisała krótkie opowiadania

i utwory poetyckie. Pod pseudonimem Salamandra publikowała humoreski na łamach „7-mego Głosu Tygodnia”. Swoje utwory zamieszczała w prasie lokalnej – „Spojrzenia”, „Morze i Ziemia” oraz w ogólnopolskiej – „Kultura” i „Życie Literackie”.

W 1964 roku przeniosła się do „Kuriera Szczecińskiego”. Obdarzona erudycją miłośniczką teatru i szeroko pojętej literatury, zajmowała się w redakcji głównie sprawami kultury. Uznawana za mistrzynię słowa, pisała liczne recenzje i krytyki teatralne oraz felietony literackie. Z dziennikiem związana była do 1983 roku. W latach 1964-1965 była prezesem Klubu Literackiego przy Oddziale ZLP w Szczecinie. Organizowała popularne wieczory autorskie i spotkania z literatami.⁴² Na rok 1983 przypada jej publicystyczna współpraca z redakcją „Rzeczpospolitej”.

Dorobek twórczy Jolanty Frydrykiewicz mieni się różnorodnością. Znajdują się w nim tomy poetyckie, powieści, w tym jedna sensacyjna, wybory tekstów dla dzieci, jak również słuchowiska i – zatrzymana na czas jakiś przez cenzurę – baśń. Na uwagę zasługują jej liczne artykuły drukowane przez dzieściolecia w „Kurierze Szczecińskim”, jak również w „Rzeczpospolitej”, „Kulturze” i „Perspektywach”. Za wybitną pracę dziennikarską otrzymała nagrodę Wojewódzkiej Rady Narodowej w Szczecinie w roku 1972 i 1973. W 1975 r. została odznaczona Odznaką Honorową Gryfa Pomorskiego.

Twórczość Jolanty Frydrykiewicz zachwyca różnorodnością form i paletą podejmowanych tematów, które obejmują zarówno refleksje egzystencjalne, jak i obserwacje codzienności, zabarwione subtelną ironią lub głęboką emocjonalnością. Cechuje ją umiejętność niezwykle plastycznego obrazowania i zaklinania czytelnika w taki sposób, że bez trudu przenosi się w wykreowane przestrzenie. Słowa, którymi operuje, mają niemal malarską siłę wyrazu. Każdy wiersz zdaje się być starannie wyważony i przemyślany, a jednocześnie pełen lekkości i naturalności.

Pierwszy zbiór wierszy Jolanty Frydrykiewicz pt. „A” został opublikowany w „Szczecińskich arkuszach poetyckich” wydanych w 1965 roku przez Wydawnictwo Poznańskie. Zeszyt zawierający trzynaście wierszy znalazł się obok podobnych wyborów: R.M. Klimczewskiego, M. Marcinkowskiej, A. Momota, S. Wasyla i S.W. Wilińskiego. W prezentowanych przez autorkę utworach wyłania się język oszczędny, lecz pełen napięć i wielowarstwowych znaczeń – wpisujący się w tradycję poezji refleksyjnej, kontemplacyjnej, z silnym

42 https://pomeranica.pl/index.php?title=Jolanta_Frydrykiewicz&mobileaction=toggle_view_desktop, dostęp: 13.05.25.

akcentem metafizycznym. To poezja, która nie opowiada, lecz migocze — błyska obrazem, pozostawiając resztę czytelnikowi.

W lesie

*lisem
po barwach liści
między gwizdem ptasim, szelestem i szeptem
cisza przewija się czerwienią

zaplątana raz na zawsze
zaplątana w ogóle
w przezroczyste zamglenie dnia
pachnącego lodem
pewnie zostanę
mchem na zgrabiłym pniu.⁴³*

Ten cykl to coś więcej niż zbiór wierszy – to mapa duchowej podróży, gdzie punkty orientacyjne wyznaczają: kosmos, miłość, słowo, ptaki, pamięć, natura i ciało. Powracające motywy (ptaki, krzyk, reinkarnacja, odzieranie) wskazują na cykliczność i przemienność istnienia. Czas nie jest linearny, lecz spiralny; to, co stracone – może się odrodzić w innej formie: słowa, cienia, marzenia. Poetka, by mówić o znikaniu, pamięci, pragnieniu dotarcia do sedna bytu, wolności i odpowiedzialności, czerpie z rozmaitych struktur – biologicznych, kosmicznych i metafizycznych. Delikatnie obchodzi się z ich materią, zostawia czytającym między słowami wiele przestrzeni, by odnaleźli własną ścieżkę znaczeń.

Jesień

*cichną tętna jaskótek
ginących w pajęczynie promieni

płomieniami buzuje drzewo
rozdzielając purpurę na pasma
z ziemi krzykiem
oślepia oczy
kwiat:
spowiedź popiołu*

43 Frydrykiewicz J., „A”, [w:] „Szczecińskie arkusze poetyckie”, Poznań 1965, s. 11.

popatrz
za szybką oka
skrapla się światło
twarz nieruchomieje
jak portret
po odjęciu pędzla

jesień
sensacja
w salonie przestarzałych barw.⁴⁴

Choć zbiór zawiera tylko 13 utworów, poetka niejednokrotnie podkreśla potrzebę wyrażania siebie oraz ukazuje głębokie znaczenie samego aktu pisania. W wierszu pt. „Słowa” pisze:

ustawcie się w szereg
moje piękne
moje gładkie

równym krokiem marsz
każde ze swoim znaczeniem
przyrośniętym jak garb

idźcie przed siebie
znikajcie w dżungli znaczeń
ja nie zawołam:
stać!

ani: w lewo zwrot!
ani: w prawo zwrot!

idźcie w coraz gęstszy mrok
skazane przed urodzeniem
na odpadnięcie głów

jesteśmy dziełem tej samej natury
rzeczy

nie daję
nie oszczędzam

44 Tamże, s. 14.

idźcie możliwie
równym krokiem
moje słowa.⁴⁵

Podmiot liryczny traktuje słowa jak żywych ludzi, zwraca się do nich ze świadomością, że idą na zatracenie w „dżunglę znaczeń”, jest świadomy, że będą żyły własnym życiem i narażone są na zniekształcenie, niezrozumienie, zapomnienie. Nie zamierza jednak nimi kierować ani w żaden sposób kontrolować swojej kreacji, bowiem ma przekonanie, że są „dziełem tej samej natury rzeczy”. Można byłoby zaryzykować zdanie, że wiersz ten jest metaforą samego aktu twórczego – bolesnego, ale nie do powstrzymania. Temat ten, w nieco optymistyczniejszej wersji, pojawia się także w utworze pt. „O błękanie”:

odpocznę pewnie w niebieściech
odfrunę sobie skowronkowo
wiecznie nie najedzionym brzuszkiem
w piórkach

przysiądę na żerdzi niewidocznej
z dołu
i niebieskości wykrzyczę śpiewnie

pewniej
niż piórem za stołem.⁴⁶

Niestety, recenzje nie były dla debiutanckich wierszy Jolanty Frydrykiewicz zbyt przychylne. Stanisław Barańczak w artykule „Szczecińscy debiutanci” opublikowanym w „Nurcie” napisał: (...) *zaczniemy tedy od autorów najstarszych. Za taką można uważać Jolantę Frydrykiewicz, autorkę arkusza pt. „A”. Zgodnie z tym tytułem, autorka tkwi jeszcze przy początkach poetyckiego abecadła. Wiersze jej są na tyle „błache”, że nie pomagają im nawet chaotyczna metaforyka. Tytuły mówią same za siebie: „O miłości”, „O błękanie”, „Ptaki”, „W lesie”, „Spacer”, „Jesień”. Ilekroć autorka usiłuje udźwignąć nieco poważniejszą (choć nie oryginalniejszą) problematykę, tylekroć ją zawodzi nawet umiejętność transpozycji stanów emocjonalnych na język obrazowania poetyckiego (...).*⁴⁷

Jerzy Mazurczyk na łamach „Siódmego Głosu Tygodnia” zauważył: *W wierszach Jolanty Frydrykiewicz odkrywam dla odmiany wyraźny wpływ poezji H.*

45 Tamże, s. 15.

46 Tamże, s. 9.

47 Barańczak S., „Szczecińscy debiutanci”, Nurt 1966, s. 45.

*Raszki. (...) Nie tylko temat, nawet konkluzja wiersza jest zgodna z postawą Raszki. Ale z tego także się wyrasta. Na razie to, co własne w tej liryce, jest jeszcze bardzo nieśmiałe. (...) I w tym zbiorze dostrzegamy brak pełnej sprawności w korzystaniu ze środków wyrazu. Stąd wynikają nieporadne, nieprecyzyjne zwroty (...).*⁴⁸

W 1967 roku nakładem Wydawnictwa Morskiego Gdynia ukazał się kolejny tom wierszy Jolanty Frydrykiewicz – „Owoc milczenia”. Podzielony na dwie części: „Twój okręt” i „Przestrzenie” zawarł 34 utwory. Wiersze zebrane w tym cyklu tworzą spójną, wielowarstwową opowieść o kondycji ludzkiego istnienia – obecności nietatwej, bolesnej, zanurzonej w czasie, ciszy i słowie. Podmiot liryczny mówi głosem oszczędnym, ale zarazem mocnym, nie oferuje jednak łatwych pocieszeń. Mówi o czasie, który nie przebacza, o ciszy, która nie leczy, o słowie, które rani, o pamięci, która nie pozwala zapomnieć i o człowieku, który „zdobi pustkę”.

* * *

Pajęczyny ozdobne zasnuwają liście łopianu.

Trud zdobi ręce mężczyzny.

Woda ozdabia wargi spękane.

Szeleści ożywia tyle lasów...

Pustynie

zdobi

*człowiek.*⁴⁹

Wiersze łączy melancholijna tonacja oraz obecność podmiotu, który nie tyle opowiada, co przekazuje stany świadomości i intuicji. Oszczędność środków wyrazu („a więc beziła / pustka / ogrom”) kontrastuje z bogactwem znaczeń ukrytych w obrazach. Styl poetki można określić jako metafizyczno-symboliczny, mocno zakorzeniony w konkretności przyrody, a jednocześnie nieustannie przekraczający ją ku uniwersalnym pytaniom o byt, przemijanie, obecność i nieobecność. Jej język jest gęsty, symboliczny, nasycony silnymi zestawieniami (np. „kotwica z meteoru”, „żagiel z płótna jak stal jasnego”). Pojawiają się konstrukcje oparte na paradoksie (statek „z tego, co boli”), metaforze absolutu (czas jako „przeogromna matnia”) i, często, rezygnacji z tradycyjnej interpunkcji.

48 Mazurczyk J., „Poezja szczecińska. Perspektywy”, Siódmy Głos Tygodnia 1966, 27 II, s. 17.

49 Frydrykiewicz J., „Owoc milczenia”, Wydawnictwo Morskie Gdynia 1967, s. 33.

Twój okręt

*Statek z drzewa pachnącego korą,
na bezludnej przestrzeni żywiołu -
stoi twój okręt gotowy do lotu -
żagiel z płótna jak stal jasnego,
kotwica z meteoru
krzemiennego
tęczowego,
przybudówka wygładzana heblem lakierem...*

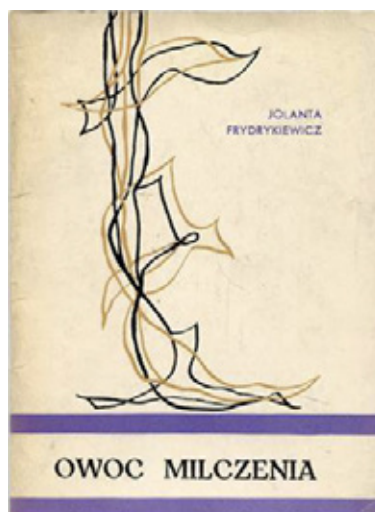
*Nie spotyka się godzin,
nie spotyka jesieni,
o północy dwa ognie czuwające u steru;*

*jakiś ptak nienawykły
do wrastania na brzegu
gwiazdy w locie zamienia
w spadające kamienie.*

*Statek z drzewa jak z soli,
statek z tego, co boli,
wybielony i ciężki
od ładunku pamięci.
Nie zawinie do brzegu,
bo jest z bólu i gniewu.⁵⁰*

Poetka skupia swoją uwagę na kondycji człowieka zawieszonego między pragnieniem lotu a ciężarem przeżyć. Statek jawi się jak metafora jego świata wewnętrznego, mocno wrośniętego w naturę, „pachnącego korą”, zbudowanego jednak z pamięci, bólu i gniewu. Jego miejsce na „bezludnej przestrzeni żywiołu” sugeruje samotność człowieka wobec potęgi istnienia – kosmosu, morza, losu. Także wobec czasu, którego miary nie są spotykane w przestrzeni wiersza – „nie spotyka się godzin, nie spotyka jesieni”.

⁵⁰ Tamże, s. 12.



Budulcem ludzkiej tożsamości wydają się być rany przeszłości, doświadczenia ciężkie i rozczarowujące, które gwiazdy zmieniają w kamienie, a drzewa czynią podobne do soli, której tyle we łzach. Człowiek, choć gotowy do lotu, nie zna spokoju, nie zawinie do brzegu ukojenia, będzie wciąż w drodze. W drodze tej może dzielić się z innymi słowem, ale i tym, co najgłębiej intymne – ciszą, milczeniem, sensem. W tytułowym wierszu pojawiła się metafora komunikacji oparta nie na słowie, lecz na tym, co rodzi się między milczeniem a znaczeniem.

Owoc milczenia

*Rozetnę ciszę na dwoje: owoc milczenia
i podam twoim dłoniom, zwierzętom z materii cienia.
Weź pół kuli domysłem jednym drążonej.
Stąd ziarno pomiędzy zębami. Ziarno, by je zmiażdżono
stworzone przez drzewo, promienie i burze.
W twych dłoniach, ustach spoczywać będzie najdłużej.⁵¹*

Podmiot liryczny mówi o przekraczaniu ciszy i przemianie wewnętrznej, jaka dokonuje się poprzez akt dzielenia się głęboką treścią istnienia. Jest to także poetycka metafora aktu pisania i czytania – słowo rodzi się z milczenia, dojrzewa we wnętrzu, zostaje podane jak owoc lub ziarno i potrzebuje pracy odbiorcy, by rozkwitnąć w sens. Dar ziarna – wizja poezji jako daru, który nie przemija w chwili przeczytania, ale osadza się głęboko w bycie drugiego człowieka i tam wydaje plon. Przekaz wydaje się być bardzo istotny w twórczości Jolanty Frydrykiewicz. Podobnie jak w tomie poprzednim, także i w zbiorze „Owoc milczenia” znalazło się kilka utworów traktujących o słowie, wierszu, potrzebie precyzyjnego wyrażenia się.

* * *

*Gdybym ci chciała coś dać
– to mój wiersz mroczny,
żebyś go wciąż od nowa odkrywał,
słowo po słowie
ze stu woali,
i żebyś tam znalazł to,
od czego twój świat powstanie
lub się spali.⁵²*

51 Frydrykiewicz J., „Owoc milczenia”, Wydawnictwo Morskie Gdynia 1967, s. 23.

52 Tamże, s. 28.

Ten zwięzły wiersz zawiera niezwykle pojemną refleksję o cennym darze, jakim jest słowo. Pozornie prosty, operuje silną metaforą. Jawi się w nim czytanie jako odkrywanie, zdzieranie kolejnych zastón znaczeń, nieskończone poznawanie. Wiersz jest więc zaproszeniem do wielowymiarowego procesu odkrywania, dostępowania kolejnych kręgów wtajemniczeń, podejmowania ryzyka rozumienia lub nierozumienia jego sensu. Stanowi również hipotezę, że poezja może być początkiem świata lub siłą, która spali dotychczasowy porządek.

Tom poetycki tworzy ponadczasową spójną, metafizyczno-symboliczną całość, w której spletają się motywy natury, przemijania, pamięci i duchowego napięcia między byciem a nieobecnością. Charakterystyczny jest styl obrazowy, oszczędny w środkach, a zarazem gęsty od znaczeń – pełen symboli i paradoksów. Słowa-klucze tomu to: czas, pamięć, cisza, ptaki, morze, pustka, ogień, sól – materia i żywioły jako nośniki wewnętrznych doświadczeń. Poezja często wchodzi w tonację elegijną, przywołując motywy drogi bez powrotu, rozpadu, ale też duchowego trwania. Tom nie szuka odpowiedzi, lecz otwiera przestrzeń kontemplacji: słowo jest tu zarówno próbą dotknięcia tajemnicy, jak i świadectwem jej nieuchwytności. Dominuje nastrój melancholii, ale i głębokiej czujności wobec istnienia – świat przedstawiony w wierszach jest kruchy, lecz nasycony sensem. To poezja pełna obecności – nie tyle ludzkiej, co ontologicznej, pulsującej między ziemią, ciałem, pamięcią a przestrzenią metafizyczną.

Twórczość Jolanty Frydrykiewicz możemy znaleźć również w pracach zbiorowych. Jej wiersz pt. „Ptaki morza” wydrukowano w 1970 roku w antologii, będącej świadectwem miłości do Ziemi Szczecińskiej i woli utrwalania jej w świadomości społecznej – „Nazywanie ziemi”, do której wstęp napisał Erazm Kuźma.

W 1975 r. dokonała wyboru tekstów dla dzieci (I część – wiersze, II część – opowiadania), które zostały wydane pod wspólnym tytułem „Z półki prababci”. We wstępie napisała: „Część z tych tekstów pochodziła wprost z ludowego rymowania. Większość jednak pochodziła spod pióra czołowych pisarzy epoki”.⁵³ Wśród proponowanych młodym czytelnikom utworów znalazły się dzieła m.in.: S. Jachowicza, M. Konopnickiej, A. Mickiewicza, J. Słowackiego, E. Szelburg-Zarembiny, H. Ożogowskiej i B. Ostrowskiej.

53 Frydrykiewicz J., „Z półki prababci”, Krajowa Agencja Wydawnicza 1983, s. 5.

Rok 1975 przyniósł także napisaną pod pseudonimem – Fryderyka Janis – powieść sensacyjną, wydaną przez Wydawnictwo Iskry, jako 81. w cyklu „Ewa wzywa 07...” – „Człowiek z cienia”. To zgrabnie napisana historia dziennikarki (!), tropiącej mordercę redakcyjnego kolegi. Autorka z humorem i dziennikarską rzetelnością odmalowała tło lat siedemdziesiątych, które współczesnemu czytelnikowi może dostarczyć wielu wzruszeń.

Dziesięć lat później, w roku 1985 Krajowa Agencja Wydawnicza wydała powieść Jolanty Frydrykiewicz pt. „Miasto we mgle”, opowiadającej o pierwszych dniach powojennego Szczecina, pionierach, usiłujących się odnaleźć w tej niełatwej rzeczywistości. Autorka z wielką starannością zbudowała portret tego zaskakującego społeczeństwa, kłopoty codzienności – z mieszkaniem, pracą, zaprowiantowaniem, językiem, zdrowiem czy bezpieczeństwem. *Mijały tygodnie. Czas przebiegał w gorączce, która to wybuchała, to przycichała w rytmie nieprzewidzianym dla nikogo. Ludzka lawa napływała, cofała się albo zastęgała w miejscu, do którego dotarła. A toczyła się zewsząd z Europy. Transporty ze Wschodu zwoziły zagubionych ludzi, dla których koślawy język był jedynym znakiem tożsamości. Z Zachodu, z przymusowych robót ciągnęły kalekie cienie. Sypnęło warszawską inteligencją, sypnęło przyukraińskimi wsiami, nadjechało cudami rozmaitymi ocalałe żydostwo.*⁵⁴ Trudne losy głównych bohaterów splotły się w nieoczywistej przestrzeni miasta, wspólnego domu, redakcji i szpitala i z tych miejsc przyglądali się oni tworzącym się zrębom społecznego porządku, próbom okiełznania powojennego chaosu, rozpaczliwym wysiłkom stworzenia jakiegokolwiek normalności.

W 1987 roku staraniem Wydawnictwa Glob Szczecin trafiła do rąk czytelników książka pt. „Ku Słońcu 125. Księga z miasta umarłych” pod redakcją Mariusza Czarnieckiego. W obszernym posłowie napisał on: *Jakie sylwetki – portrety ukazuje ta książka? Przedstawiono w niej spoczywających na szczecińskim cmentarzu Centralnym, a związanym ze Szczecinem swoim twórczym życiem – artystów, pedagogów, uczonych, działaczy kultury. Oczywiście nie wszystkich. Po pierwsze, powtórzmy: tych tylko, którzy spoczywają na cmentarzu Centralnym w Szczecinie. Zadaniem książki jest m.in. wskazanie na tę właśnie nekropolię, na to miasto umarłych jako kulturalne dziedzictwo narodowe. Owo przestrzenne czy fizyczne ograniczenie wyłączyło z książki kilku wybitnych twórców związanych ze Szczecinem.*⁵⁵ Jolanta Frydrykiewicz jest w niej autorką opracowanych dwóch biografii: „Nina Rydzewska – Sowa” i „Michał Kmiecik – kochał polski śpiew”.

54 Frydrykiewicz J., „Miasto we mgle”, KAW 1985, s. 60.

55 Czarniecki M., „Ku Słońcu 125. Księga miasta umarłych”, Glob Szczecin 1987, s. 312.

Warto wspomnieć, że w latach 80. XX w. napisała także książkę dla dzieci pt. „Dziuplaki z Bukowej Puszczy”, w której cenzura dopatrzyła się ustrojowo nieodpowiednich treści i wstrzymała jej druk. Książka ukazała się dopiero w 2002 roku nakładem wydawnictwa In Plus z Wołczkowa. To nie tylko humorystyczna i ciekawa historia stworzeń z Puszczy Bukowej, które odkrywają tajemniczy skarb swoich przodków, ale również niezwykle edukacyjna. Autorka przemyciła w niej mnóstwo informacji z zakresu historii, geografii, botaniki, zoologii, a nawet budowy statków i wszelkich obiektów pływających. Lektura „Dziuplaków” sprawia, że czytelnik mimowolnie uśmiecha się, a jeśli związany jest ze Szczecinem lub regionem, po odłożeniu książki czuje się z nimi związany jeszcze bardziej. Odnajdą się w niej i młodzi, i bardziej dojrzały czytelnicy, każdy z nich też może zaczerpnąć z głębokiej studni mądrych myśli, którymi Jolanta Frydrykiewicz opatrzyła swoją książkę. *Czas płynie statkiem (...). A dłuży się tylko fajtlapom, ofermom, gamoniom i leniuchom.*⁵⁶

Jolanta Frydrykiewicz poza twórczością stricte literacką posługiwała się swoim sprawnym piórem w pracy dziennikarskiej. W dziesiątkach artykułów drukowanych od lat sześćdziesiątych przede wszystkim w „Kurierze Szczecińskim”, ale także w „Rzeczpospolitej”, „Kulturze” czy „Perspektywach” przyglądała się życiu miasta, przedsiębiorstw, analizowała problemy społeczne, wśród których ze szczególną wnikliwością dotykała bolączek uczniów i nauczycieli wszystkich poziomów edukacji. Pisała o rzeczach trudnych, wymagających starań i zmian, patrzyła na świat bystrym okiem, pozbawionym różowych okularów.

Zmarła w 2006 roku.

Jest słów kilka

*Jest słów kilka i one
zamykają ulice, miasto – co mówię! –
horyzont.*

*Sięgam ich treści dojrzałej i kształtu
– nietknięte są póty,
póki nie przetoczą po zmartwiałym ciele
jak szwadron konnych;
póki nie skrzepnie we wzroku
ich dotyk i ciężar.*

56 Frydrykiewicz J., „Dziuplaki z Bukowej Puszczy”, In Plus, Wołczkowo 1982, s. 58.

*Poznając brzmienie
w harmonii z rozpaczą,
używam słów kilku – bo wiem już, co znaczą.*⁵⁷

Andrzej Androchowicz

Czesław Czerniawski – radiowiec i pisarz

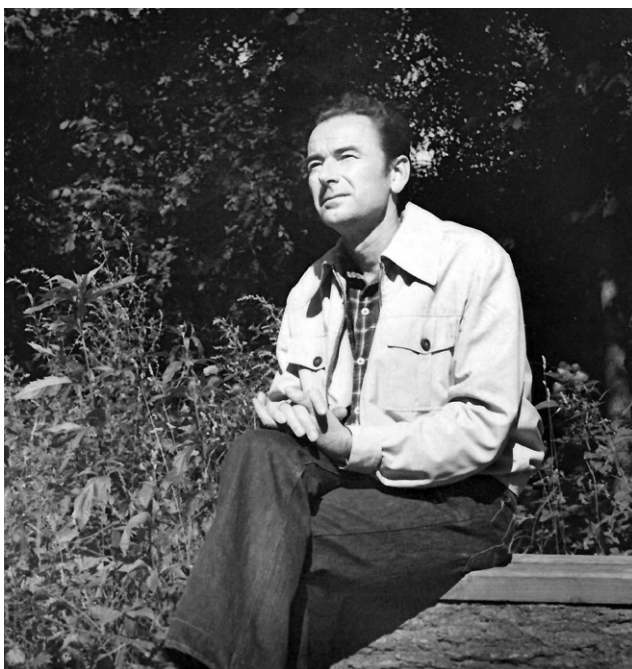
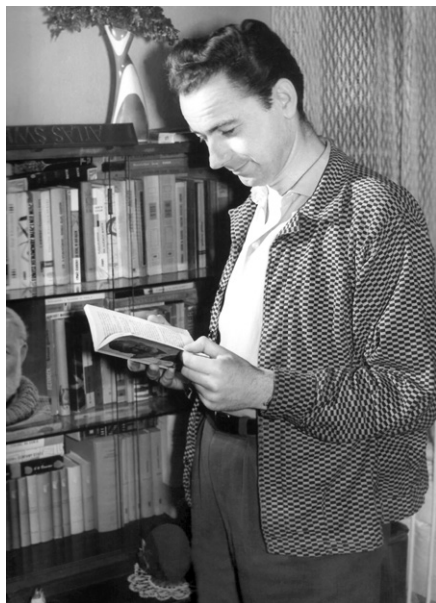
W 2003 roku Książnica Pomorska w Szczecinie zorganizowała wystawę poświęconą marynistyce w literaturze. Jednym z bohaterów wystawy był pisarz Czesław Czerniawski. Paradoksalnie o pisarzu wiemy niewiele – niegdyś jedna z czołowych postaci szczecińskiej literatury, dziś twórca niemal zupełnie zapomniany. Książnica od lat jest placówką gromadzącą w swoim archiwum zbiory, kolekcje i pamiątki po ważnych dla kultury Szczecina i regionu twórcach. Niestety, poza kompletem książek, w 2003 roku Książnica nie posiadała w swych zbiorach żadnych pamiątek po pisarzu. Wkrótce potem jego córka przekazała Książnicy część nielicznych drobiazgów po ojcu. Z niewielu opracowań poświęconych życiu i twórczości pisarza, które w ubiegłych latach ukazały się na krajowym rynku, większość jest autorstwa szczecinian (m.in.: Hanna Niedbał, Feliks Fornalczyk, Mirosław Lalak). Publikacje te nie zawierają jednak wszystkich danych. Chcąc tę lukę zmniejszyć, postanowiliśmy na łamach „Pryzmatu” dodać garść informacji o pisarzu, wieloletnim członku szczecińskiego ZLP. Pretekstem niech będzie setna rocznica urodzin Czesława Czerniawskiego, która przypadła w lipcu tego roku.

Na początku sięgnijmy do audycji Anny Kafel *Morze nasze morze* (z cyklu *Miasto na zakręcie*) z 2003 roku, w której autorka spotkała się m.in. z córką pisarza, Anną Beatą Czerniawską, dziś znaną szczecińską dziennikarką i publicystką. Wspomnienia córki o ojcu pisarzu są równie skromne. Jej rodzice

⁵⁷ Frydrykiewicz J., „Owoc milczenia”, Wydawnictwo Morskie Gdynia 1967, s. 7.

Czesław Czerniawski w mieszkaniu /1964/ (zdj. Mariusz Szyperko)

rozeszli się, gdy Ania miała 6 lat. Potem kontakty z ojcem nie były częste. Wspomina go jako szczupłego, czarnowłosego mężczyznę, z charakterystyczną tysinką. Nawet w starszym wieku zaskakiwał młodzieńczym wyglądem. Był perypatetykiem. Po pokoju potrafił chodzić w kółko nawet kilka godzin, również w obecności gości. Był też raczej introwertą, co zapewne utrudniało mu kontakty z rodziną. Nie potrafił na co dzień okazywać wrażliwości i czułości, tymczasem jego twórczość głęboko przepełniona jest tymi uczuciami. Mimo rozstania z ojcem, córka bardzo była z nim związana emocjonalnie przez całe jego życie. Dzięki jej uprzejmości możemy nieco przybliżyć osobę pisarza jako człowieka.



Czesław Czerniawski, ok. 1985, (zdj. z archiwum Anny Beaty Czerniawskiej)

Czesław Czerniawski urodził się 28 lipca 1925 roku w Wilnie, w rodzinie robotniczej. Był synem Bronisława i, pochodzącej z Litwy, Bronisławy z d. Pavilonis. W latach 1943-1944 pracował jako ślusarz w zakładach samochodowych w Wilnie. Po wkroczeniu wojsk radzieckich do miasta w 1944 roku, wstąpił jako ochotnik w szeregi 3. Dywizji im. Romualda Traugutta, wchodzącej w skład I Armii Wojska Polskiego. Jako żołnierz 7. pułku piechoty przeszedł szlak bojowy od Warszawy do Kołobrzegu. Uczestnicząc w walkach o Kołobrzeg, został poważnie ranny odłamkiem w ramię. Odłamka tego nigdy nie usunięto. W połowie czerwca 1945 powrócił jednak do swojej macierzystej jednostki w Lublinie. Brał udział w walkach z oddziałami UPA. Za uczestnictwo w II wojnie światowej został uhonorowany odznaczeniami polskimi i radzieckimi, m.in. Brązowym Medalem „Zasłużonym na Polu Chwały” i Odznaką Pamiątkową 50-lecia II Wojny Światowej (ZSRR).

W marcu 1947 roku został zdemobilizowany. Na krótko zamieszkał w Gdańsku, a potem w Bydgoszczy, gdzie w 1949 roku, po ukończeniu Przygotowawczego i Wstępnego Kursu Uniwersyteckiego, podjął studia na Wydziale Prawno-Ekonomicznym Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Równolegle rozpoczął pracę w redakcji bydgoskiej „Gazety Pomorskiej”, którą kontynuował przez trzy lata. Krótko studiował na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Warszawskiego. W 1950 roku zawarł związek małżeński z Marianną Majewską. Dwa lata później urodził im się syn, Wiesław, który obecnie mieszka w Wiedniu. W 1952 roku Czesław Czerniawski powrócił do Gdańska i został zatrudniony w rozgłośni Polskiego Radia.

W 1955 roku Czesław Czerniawski otrzymał propozycję pracy wraz z mieszkaniem w Szczecinie. Przyjechał tam ze swoją przyszłą drugą żoną, Marią Zofią Caban, którą poślubił 19 lipca 1958 roku. Świadcami na ślubie byli poeta, Józef Bursewicz i dziennikarz radiowy, Jerzy Sawiuk. Początkowo małżeństwo mieszkało przy al. Wojska Polskiego 59, by w 1960 roku przenieść się do lokalu przy Bolesława Śmiałego 9. W tym samym roku na świat przyszła córka, Anna Beata Czerniawska. Powstała też jego pierwsza powieść.

Tuż po przyjeździe dziennikarz znalazł zatrudnienie w redakcji Publicystyki Kulturalnej Polskiego Radia. Dość szybko stał się jednym z filarów rozgłośni. Na potrzeby szczecińskiej anteny pisał i reżyserował. Był autorem bądź współautorem ponad dwudziestu słuchowisk o tematyce społeczno-obyczajowej i historycznej, często nawiązującej do wydarzeń minionej wojny. Uznawany był także za jednego z twórców nurtu marynistycznego w szczecińskim Radiu (m.in.: *Saga o sławnym Grodzie Wolinie*, *Opowieść o ludziach zakotwiczonych*,

Z żoną, Marią i córką, Anią /1964/ (zdz. Mariusz Szyperko)



Opowieść o mieście, które wojowało ze Szczecinem, Jutrzejsze troski, Prawda, Była już wiosna, Być w porządku). Przy słuchowiskach blisko współpracował z ówczesną czołówką szczecińskich radiowców, m.in.: z Alicją Maciejowską, Julią Zyblewską, Marianem Sygańcem, Juliuszem Burskim, a także z czołówką aktorów Państwowych Teatrów Dramatycznych.

Czesław Czerniawski był również cenionym adaptatorem radiowym. Dużym uznaniem radiosłuchaczy cieszyły się jego adaptacje słuchowisk znanych pisarzy marynistów – Brazylijczyka Jorge Amado (*Zamarte morze*), mającego polskie korzenie Josepha Conrada (*U kresu sił, Smuga cienia, Freja z Siedmiu Wysp*), dziennikarza oraz publicysty Stanisława Marii Salińskiego (*La Paloma*), a także twórców szczecińskich, Jana Papugi i Jerzego Pachlowskiego.

Dziennikarz był również pomysłodawcą i autorem popularnych audycji. Słuchowiska i reportaże o tematyce morskiej prezentował w cyklicznych *Opowieściach pięciu mórz*. Z kolei w *Ofcynie księgarskiej* popularyzował światową literaturę marynistyczną. Ważną rolę w twórczości autora zajmował region. Na *Opowieści o małych miasteczkach* składały się autorskie reportaże o ludziach zamieszkujących prowincjonalne miejscowości Pomorza Zachodniego. W *Wizytówkach pisarzy* dziennikarz portretował sylwetki twórców szczecińskich, zdobywających coraz większe uznanie także w kraju. Przeglądowi prasy społeczno-kulturalnej Ziemi Zachodnich i Północnych poświęcał autor wtorkowe *Dyskusje i polemiki*. Te nadawane co dwa tygodnie audycje, w zwięzły sposób prezentowały i omawiały najciekawsze i najwartościowsze artykuły ukazujące się w prasie ogólnopolskiej, zwłaszcza w gazetach wychodzących w województwach nadbałtyckich. W autorskich audycjach Czesław Czerniawski

potrafił zdobyć się na, rzadką w tym czasie, krytykę czołowych czasopism (m.in. „Kultura” i „Polityka”), którym zarzucał brak miejsca dla spraw morskich.

Ponadto na potrzeby szczecińskiej rozgłośni Czesław Czerniawski realizował słuchowiska poetyckie. Wiele ze wspomnianych audycji emitowano nie tylko w paśmie lokalnym, ale również i na antenie ogólnopolskiej. Już jako pisarz kilkakrotnie gościł w audycjach radiowych. Wymieńmy dwie najciekawsze, które zachowały się w archiwach Polskiego Radia Szczecin. To *Delfiny przyniosły wiatr* (18 listopada 1964), w której wraz z historykiem i publicystą, Wojciechem Myślenickim, omawiał wyniki literackiego konkursu na utwór o tematyce dotyczącej Pomorza Zachodniego, oraz *Dyskusja literacka* (10 czerwca 1965). W tej drugiej audycji pisarz spotkał się w studiu z innym szczecińskim literatem, Ryszardem Liskowackim. W rozmowie uczestnicy dyskutowali nad rolą i ewolucją bohaterów we własnej twórczości. Czesław Czerniawski podkreślał istotę tematu danego utworu. Jak zauważał, treść powinna być atrakcyjna nie tyle dla autora, co przede wszystkim dla odbiorcy. Jego zdaniem kanwy do utworu należało szukać w najbliższym otoczeniu. Autorem obu tych interesujących audycji był Erazm Kuźma.

Z rozgłośnią PR w Szczecinie Czesław Czerniawski związany był ponad 15 lat. Z krótką dwuletnią przerwą, na etacie zatrudniony był od 1 września 1955 do 30 kwietnia 1967 roku oraz od 1 września 1969 do 31 maja 1972 roku.

Równocześnie z działalnością radiową, Czesław Czerniawski zajął się twórczością literacką i publicystyką. Jako prozaik zadebiutował już w 1948 roku, opowiadaniem *Byle tutaj*, opublikowanym w 12. numerze warszawskiego „Magazynu Tygodniowego”. Za szczeciński debiut uznaje się opowiadanie *Ugory niezupełnie zaorane*, które ukazało się na łamach tygodnika społeczno-kulturalnego „Ziemia i Morze” w 1956 roku. Rok później, w tym samym piśmie, opublikowano dwa kolejne opowiadania. Na uwagę zasługują również trzy opowiadania *Człowiek z flaszkami*, *Fotografia* i *We mgle*, wydane w tomie *Szczecin literacki. Almanach* (1958). Ta niezwykle cenna i praktycznie nie do zdobycia dziś publikacja, zawiera reprezentatywny wybór utworów nie tylko czołowych prozaików i poetów Szczecina lat pięćdziesiątych, ale także początkujących autorów, rokujących duże nadzieje na przyszłość. Do tej właśnie grupy zaliczano Czesława Czerniawskiego. Tom pod redakcją Ireneusza Gwidona Kamińskiego został wydany staraniem lokalnego oddziału Związku Literatów Polskich.

W Szczecinie autor kontynuował, podjętą wcześniej w Bydgoszczy, działalność publicystyczną. Większość artykułów poświęcał morzu – morskim



W studiu radiowym /1964/ (zdj. Mariusz Szyperko)

tradycjom, gospodarce i ludziom morza, a więc tematom bliskim jego sercu. Na przestrzeni lat liczne reportaże i felietony drukował m.in. na łamach: „Życia Literackiego”, „Tygodnika Morskiego”, „Morza”, „Pomorza”, „Wsi”, „Głosu Koszalińskiego”, a także „Głosu Szczecińskiego”, „Wiadomości Zachodnich”, „Vinety. Rocznika kultury i sztuki”, „Morza i Ziemi”, „7-mego Głosu Tygodnia”. Warto przypomnieć, że ten ostatni tytuł był w latach 60. jednym z najciekawszych dodatków kulturalnych do lokalnej prasy. Tu swoje dokonania z sukcesami prezentowało zwłaszcza środowisko literackie Szczecina i Pomorza Zachodniego.

Czesław Czerniawski jest obok Ryszarda Liskowackiego uważany za najważniejszego przedstawiciela szczecińskiej literatury poruszającego tematykę wojenną. W 1960 roku ukazała się książka *Jak krótko trwa noc*, nawiązująca treścią do walk oddziałów Wojska Polskiego z ukraińskimi bandami po zakończeniu wojny. Akcja rozgrywa się w Bieszczadach, w środowisku wojskowych kierowców o zawikłanych życiorysach i moralnie negatywnych postawach (libacje alkoholowe, nielegalny handel benzyną, gwałt). Główny bohater, stary frontowiec, Henryk, z nonszalancją podchodzi do życia i służby wojskowej. Zdaje sobie jednak sprawę, że jedyną drogą do życiowej stabilizacji będzie

związek z ukochaną kobietą. W dramatycznej sytuacji opuszcza narzeczoną, by pomóc towarzyszom broni w walce z bezwzględny przeciwnikiem. Książkę z uwagi na wiele podobieństw porównywano do noweli Marka Hłaski *Następny do raju*, na podstawie której Czesław Petelski zrealizował w 1958 roku głośny film *Baza ludzi umarłych*. Również nie bez racji w książce doszukiwano się wątków autobiograficznych. Henryk, podobnie jak pisarz pochodził z Wilna, podczas wojny był żołnierzem WP, uczestniczył w walkach o Wał Pomorski, był ranny, prawdopodobnie przed odejściem z wojska był krótko kierowcą. Jak na debiut, powieść ukazała się w dużym, bo dziesięcioletnim nakładzie.

Udany debiut książkowy, a wcześniej interesujący dorobek publicystyczny i radiowy spowodowały, iż w tym samym, 1960 roku, autor został jednogłośnie przyjęty w poczet członków Szczecińskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Grono wprowadzające debutanta do organizacji zwróciło szczególną uwagę na wrażliwość autora i interesujące zderzenie rzeczywistości z obrazem, jaki wyłaniał się z jego pisarstwa. Z ZLP pisarz był związany aż do jego rozwiązania w stanie wojennym. W trakcie przynależności piastował kolejno funkcje członka Zarządu (1961–1962), sekretarza (1962–1963) i prezesa Oddziału (1963–1964). Od 1983 roku Czesław Czerniawski kontynuował członkostwo w reaktywowanym ZLP. Ważną dla młodego pisarza konsekwencją wydania pierwszej książki było również pierwsze, autorskie spotkanie z czytelnikami. Odbyło się ono 17 listopada 1960 roku w ramach „Czwartków” literacko-dziennikarskich w „Kawiarni Literackiej” przy Klubie „13 Muz”. Później autor wielokrotnie spotykał się ze swoimi czytelnikami.

Zachęcony sukcesem debiutanckiej książki, po kilku latach, w 1968 roku, pisarz powrócił do postaci Henryka w powieści *Zanim wstanie świt*. Po opuszczeniu Bieszczadów, Henryk osiedla się nad Zalewem Szczecińskim, gdzie podejmuje pracę jako inspektor rybacki. Bezskutecznie walcząc z łusownikami, sam popada w konflikt z prawem. Książkę uznano za jeden z ciekawszych utworów poświęconych pierwszym powojennym latom zagospodarowywania ziemi szczecińskiej. Powieść uzyskała II nagrodę w konkursie zorganizowanym przez wydziały kultury Prezydów WRN w Szczecinie i w Koszalinie oraz Szczeciński Oddział ZLP. Autorem recenzji zatytułowanej *Western po szczecińsku czyli „Zanim wstanie świt”*, był Erazm Kuźma. Tekst ukazał się w 4. tomie „Vinyety” z 1969 roku.

Tematyka wojenna z wyraźnymi wątkami autobiograficznymi dominowała w twórczości Czesława Czerniawskiego niemal we wszystkich utworach. W 1963 roku, również w Wydawnictwie MON, z którym pisarz był blisko

związany przez całe swoje życie, ukazała się powieść *Nie wszystkie drogi*. W przyfrontowym szpitalu, gdzieś na Pomorzu Zachodnim, ranny zwiadowca Czarny wraca myślami do przeszłości. Głównym motywem dramatycznych wspomnień jest chęć zemsty na Niemcach, którzy pozbawili życia jego bliskich. Wydanie książki wznowiono już po roku. Do własnych przeżyć pisarz wraca w powieści *Szli żołnierze* (1966). Szlak bojowy 1 Armii WP ze stolicy do Kołobrzegu przedstawiony jest w sposób antybohaterski, niemal w czarnych barwach. Na stronach książki dominują niekończące się przemarsze, zmęczenie, głód, gorycz i wszechobecny strach. Pęka mit o przysłowiowym ułanie na koniku z szabelką, o szybkim pobiciu wroga, o pękach kwiatów wręczanych przez urodziwe dziewczęta. Krytyk, Piotr Kuncewicz dopatrywał się w wymowie powieści Czerniawskiego pewnych podobieństw do *Trenu* Bohdana Czeszki, choć, jak podkreślał, nie aż tak dużego formatu literackiego. Wyrasta z osobistych i bolesnych doświadczeń pisarza książka otrzymała wyróżnienie Ministra Obrony Narodowej. Spotkała się z dużym zainteresowaniem czytelników i została wznowiona w 1985 roku. W tym samym roku fragment powieści zatytułowany *Szturm Kołobrzegu* ukazał się w tygodniku „Morze i Ziemia” (nr 10, s. 8–9).

Znajome kształty nadziei (1966), to kolejna interesująca pozycja w dorobku pisarza, tym razem w formie dwunastu opowiadań drukowanych wcześniej w prasie. Pisarz usiłuje odpowiedzieć na pytanie, jak powinien zachować się człowiek w sytuacjach ostatecznych. Akcja opowiadań o zabarwieniu moralnym rozgrywa się w różnych czasach i środowiskach. Dominującym wątkiem pozostaje jednak wojna. Opowiadaniem, na które warto zwrócić uwagę jest *Letni dzień*, dziejący się na początku lat 60. ubiegłego wieku. Grzegorz i Zofia, wraz z dwojgiem dzieci, Wiesławem i Anią, spędzają urlop nad morzem w Kołobrzegu. Słoneczne i morskie kąpiele, stawianie babek z piasku, śmiech, radość. I nagle tę sielską atmosferę przerywa przeczytany przez Grzegorza artykuł o walkach o kołobrzesci cmentarz podczas ostatniej wojny. Mężczyzna zaczyna pograżać się we wspomnieniach. Proponuje żonie wspólną wyprawę na cmentarz. Ona jednak, obojętna na jego przeszłość, nie jest tym pomysłem zainteresowana. Chce się cieszyć wakacyjną chwilą tu i teraz, z rodziną. Po głębszej chwili zadumy Grzegorz podejmuje decyzję o pozostaniu z najbliższymi na plaży. To wydarzenie rzeczywiście miało miejsce. Pod zmienionymi imionami głównych bohaterów kryją się autentyczne postaci – pisarz, jego druga żona Maria, nazywana przez niego Zosią, Wiesław, syn pisarza z pierwszego małżeństwa, i najmłodsza Ania. Jak przypuszcza Anna, na rozejście się rodziców miała wpływ znaczna różnica charakterów. Ona, zajęta codziennym życiem,



Wiesiu i Ania nad morzem /1966/ (zdj. Czesław Czerniawski)

z dużym dystansem do jego wojennych przeżyć. On, o wrażliwej duszy, z jednej strony zachłanny na życie, na podróże i przygody, z drugiej, ciągle rozdrapujący niezabliźnione rany. Wkrótce po publikacji tego tomu opowiadań

pisarz rozszedł się z Marią. Na początku lat 70. ożenił się po raz trzeci. Jego żoną została architekt, Marta Skwarczyńska, z którą nie miał dzieci.

Pisarz powrócił do żołnierskich losów w powieści *Była już wiosna* (1969). Na karcie tytułowej książki autor napisał swojej córce – Ani, która nie zna tamtych wojennych lat i oby nigdy ich nie zaznała. Ojciec. Akcję utworu, z miłosnym wątkiem, osadził pisarz w okolicach Berlina, w ostatnich dniach wojny przed zdobyciem tego miasta. Powieść otrzymała wyróżnienie w trzecim konkursie literackim Wydawnictwa MON. Po latach została dwukrotnie wznowiona (1974, 1985). Również dwukrotnie powieść została zaadaptowana na potrzeby szczecińskiej rozgłośni radiowej. Po raz pierwszy, w formie słuchowiska, z udziałem aktorów scen szczecińskich i w reżyserii Juliusza Burskiego w 1967 roku. Po raz drugi w 1970 roku powieść czytał aktor, Jerzy Korsztyn, a słuchowisko reżyserowała Julia Zyblewska.

Bohaterami utworów Czesława Czerniawskiego byli najczęściej ludzie ciężko doświadczeni przez los, żołnierze, przesiedleńcy. Tak też było w przypadku powieści *Ballada o człowieku spokojnym*, wydanej w 1977 roku przez olsztyńskie wydawnictwo „Pojezierze”. Byli mieszkańcy Kresów, małżeństwo Jan i Janina, wywiezieni na roboty do Rzeszy, po wojnie osiedlają się na Dolnym Śląsku. Mimo nękania przez bandy Werwolu i utraty przyjaciela, postanawiają

zostać na stałe. W 1990 roku książka została sfilmowana przez Franciszka Trzeciaka, który napisał scenariusz w oparciu o tekst Czerniawskiego i zagrał również główną rolę Jana. Film miał premierę w 1994 roku.

Na dnię twoim lec (1980), to historia miłości młodego porucznika marynarki wojennej, rozgrywająca się na tle walk we wrześniu 1939 roku. Powieść jest jednym z pierwszych utworów, w którym autor udanie łączy dwa dominujące w jego twórczości nurty – wojnę i marynistykę. W jednym z wywiadów pisarz mówił: (...) *Najczęściej słyszę opinię przedstawiającą mnie jako pisarza rejestrującego niejako przeżycia wojenne. Jest to prawda niepełna. Pisarz powinien dotyczyć spraw, które dobrze zna. Ja poznałem los żołnierski, a ostatnio interesuje mnie życie ludzi morza, zwłaszcza rybaków. Dlatego właśnie zajmuję się najchętniej tymi sprawami.*

Morze inspirowało pisarza niemal od początku jego działalności radiowo-publicystycznej. Na potrzeby PR w Gdańsku i w Szczecinie pisał felietony, reportaże, a także słuchowiska o morzu. Już debiutanckie słuchowisko *Młodzi szyprowie*, wyemitowane w grudniu 1952 roku przez Redakcję Audycji Młodzieżowych rozgłośni gdańskiej spotkało się z dużym zainteresowaniem młodych słuchaczy. Jako dziennikarz dużo publikował, zajmując się propagowaniem problematyki morskiej w ogólnopolskiej prasie.

W poszukiwaniu morskich tematów Czesław Czerniawski przemierzył niemal całe polskie Wybrzeże. Na potrzeby jednej tylko audycji, *Opowieści spod Kawczej Góry*, opowiadającej o życiu rybaków ze Spółdzielni „Kotwica” w Międzyzdrojach, autor przebywał wśród nich ponad trzy miesiące. Pisarz wielokrotnie wyprawiał się także na morze. Owocem tych wypraw były powieści i reportaże. *Wielki rejs*, to powieść napisana w manierze socrealistycznego produkcyjniaka. Autor celowo użył takiej koncepcji, aby oddać klimat wczesnych lat pięćdziesiątych. Książka jest historią współzawodnictwa dwóch szyprów rybackich kutrów dalekomorskich. Autor z dużą znajomością ukazuje ciężką pracę rybaków, ich codzienny trud, konflikty. W 1965 roku książka zdobyła uznanie w postaci III nagrody w kategorii na powieść współczesną w konkursie zorganizowanym przez Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki, Gdański Oddział ZLP i Wydawnictwo Morskie. Rok później została wznowiona nakładem gdyńskiego Wydawnictwa Morskiego. *Port macierzysty* (1973) to historia osadników, którzy w poszukiwaniu lepszego jutra przybyli na Wybrzeże z różnych stron Polski. Powieść zdobyła nagrody Centralnej Rady Związków Zawodowych i Wydawnictwa „Śląsk”. Każdą książkę, którą pisarz wydał, podpisywał i przysyłał córce. Podpisując tę książkę, pisarz nakreślił słowa: *Kochanej*

Ani – tę rzecz o morzu – mojej największej miłości. Ojciec. Każdy taki wpis był dla Anny B. Czerniawskiej niezwykle cenny.

W 1981 roku wydana została powieść *Dzień dzisiejszy, dzień wczorajszy*. Głównymi jej postaciami są załoga kutra rybackiego, zmagająca się na Bałtyku z niespotykanym dotąd sztormem, oraz kierownik połowów i kapitan ratownictwa morskiego. W utworze autor próbuje pokazać dramatyzm zmian zachodzących w ludzkiej psychice w obliczu katastrofalnego żywiołu. Książka opublikowana przez MON w 1980 roku została wyróżniona w konkursie tego wydawnictwa z okazji 35. rocznicy powstania LWP. *Awantury śródziemnomorskie* (1987) to opowieść o statku, marynarzach, rejsach po Morzu Śródziemnym. Książka jest pretekstem do przypomnienia polskich żeglarzy i morskich awanturników, którzy przed laty przeżywali swoje przygody na tym akwenie.

Czesław Czerniawski jest także autorem reportaży. Ukazały się one w tomach *Kapitanie, rufa w krzakach* (1971), *Zdobywać morską dal* (1980). Są to relacje z rejsu pisarza do Afryki Zachodniej oraz z pobytu pisarza na łowiskach północnoamerykańskich w latach 70. na pokładzie statku-bazy „Gryf Pomorski”.

Autor dość szybko zdobył uznanie na księgarskim rynku i dołączył do grona cenionych szczecińskich pisarzy marynistów: Wiesława Andrzejewskiego, Bogdana Czubasiewicza, Eugeniusza Daszkowskiego, Jana Papugi, Jerzego Pachlowskiego, Eugeniusza Wasilewskiego.

W latach 70. i 80. prozaik zaistniał na ogólnopolskim rynku pisarskim powieścią kryminalną, gatunkiem, na który było spore zapotrzebowanie czytelników. Pierwszy kryminał *Mały biały domek* (1971) osnuty jest wokół śmierci niejakiego Krolla. Prowadzący śledztwo usiłują odpowiedzieć na klasyczne w kryminalistyce pytanie, czy było to samobójstwo czy też może morderstwo? Głównym bohaterem trzech powieści: *Jak tylko wróci z morza* (1976), *Ta cholerna mgła* (1983), *Nie wychodź na pokład po zmroku* (1988), uczynił pisarz kapitana Andrzeja Dolińskiego, oficera Komendy Wojewódzkiej MO w Szczecinie, byłego oficera WP podczas minionej wojny. Liczne śledztwa kapitan często prowadzi ze swoim przyjacielem dziennikarzem. W wojennej przeszłości głównego bohatera i w postaci dziennikarza po raz kolejny można się dopatrywać wątków autobiograficznych. Warto nadmienić, że wydana przez „Iskry” *Ta cholerna mgła*, dwa lata wcześniej ukazała się w odcinkach w „Głosie Pracy” (nr 3-64).

Bohaterem powieści *To ja, Herr Stolz* (1983) jest były partyzant, Andrzej, który tropi niemieckiego zbrodniarza wojennego, owego tytułowego Stolza,



W Afryce /1968/ (zdj.
z archiwum Anny Beaty
Czerniawskiej)

odpowiedzialnego za liczne zbrodnie na Polakach, w tym także za śmierć ojca Andrzeja. Ciekawie skonstruowana fabuła rozgrywa się w ciągu dwudziestu z górą lat, m.in. w Szczecinie, Międzyzdrojach i w Nowym Jorku. I w tym przypadku autor z dużą dozą znajomości portretuje środowisko marynarskie. Pierwotnie fragmenty powieści opublikowano na łamach tygodnika „Morze i Ziemia” (1982 nr 4). Rok później książkę wydał szczeciński oddział KAW.

Kryminały Czesława Czerniawskiego intrygowały czytelnika nie tylko ciekawie skonstruowaną fabułą, ale i błyskotliwą akcją oraz przebiegiem śledztwa, ukazanym w interesujący sposób. W tych, zdawałoby się wyłącznie sensacyjnych treściach, pisarz sięgał do charakterystycznych dla siebie motywów. Rozliczał się z wojenną przeszłością, akcję książek umieszczał na Wybrzeżu, zwłaszcza w Szczecinie, w środowisku marynarskim, na statkach, w portach. W książkach często portretował gorzkie realia PRL lat 70. i 80. – kłopoty mieszkaniowe, ubożenie społeczeństwa, nielegalne interesy, codzienną szarość.

Czytelnicy dość szybko, jednak niezbyt precyzyjnie, zaliczyli pisarza do prekursorów powieści kryminalnej w Polsce. Początki tego typu literatury sięgały bowiem dwudziestolecia międzywojennego (np. Antoni Marczyński, Adam Nasielski), a po II wojnie światowej pojawiały się, choć z pewnymi ograniczeniami politycznymi i cenzuralnymi, ciekawe fabuły autorstwa Heleny Sekuły, Zygmunta Zeydlera-Zborowskiego, Joe Alexa, Tadeusza Kosteckiego, a także Leopolda Tyrmanda z jego głośnym *Złym*. Na ubogim rynku księgarskim tytuły

szczecińskiego pisarza odniosły spory sukces. Czytelnicy uznali je za bardzo udane. Zwracali zwłaszcza uwagę na bardzo komunikatywny język, którym posługiwał się autor. Kryminały ukazały się m.in.: w popularnych seriach Klub Srebrnego Klucza, Labirynt, Seria z Konikiem Morskim. Ich nakłady osiągały po kilkanaście tysięcy egzemplarzy każdy, co dziś jest pułapem niemożliwym do osiągnięcia.

Jak wspominała córka pisarza, Anna, ojciec miał wiele pomysłów na książki. Wśród jego licznych zainteresowań niemałą rolę odgrywała historia. W swoich książkach historycznych, adresowanych przede wszystkim do młodzieży, pisarz sięgał w treściach do dość zamierzchłych czasów.

Udział Gdańska i innych miast pomorskich w wojnie trzynastoletniej z Zakonem Krzyżackim opisuje autor na stronach powieści *Na rozkaz króla* (1973). Bohaterem *Korsarza trzynastu kolonii* (1976) uczynił autor Polaka, byłego konfederata barskiego, który został amerykańskim korsarzem i walczył na rzecz nowo powstających Stanów Zjednoczonych. Fabularyzowana powieść jest oparta na życiorysie Feliksa Miklaszewicza. Akcja typowej dla gatunku płaszcza i szpady powieści *Kawaler Maltański* (1985) rozgrywa się na przełomie XVI i XVII wieku na terenie Francji i na Malcie. Książka jest również opartą na faktach historią Bartłomieja Nowodworskiego, polskiego szlachcica skazanego na wygnanie za zabójstwo w pojedynku królewskiego pokojowca. Na obczyźnie banita przeżywa liczne przygody, m.in. walczy z Turkami w szeregach kawalerów maltańskich. Po ułaskawieniu przez króla wraca do ojczyzny.

W 1987 roku nakładem szczecińskiego wydawnictwa „Glob” ukazały się *Wierzby będą zielone*, powieść, której akcja rozgrywa się na Wileńszczyźnie, w rodzinnych stronach pisarza. W wersji radiowej obszerne fragmenty utworu czytał Jacek Polaczek. Reżyserem słuchowiska pod takim samym tytułem był Sylwester Woroniecki.

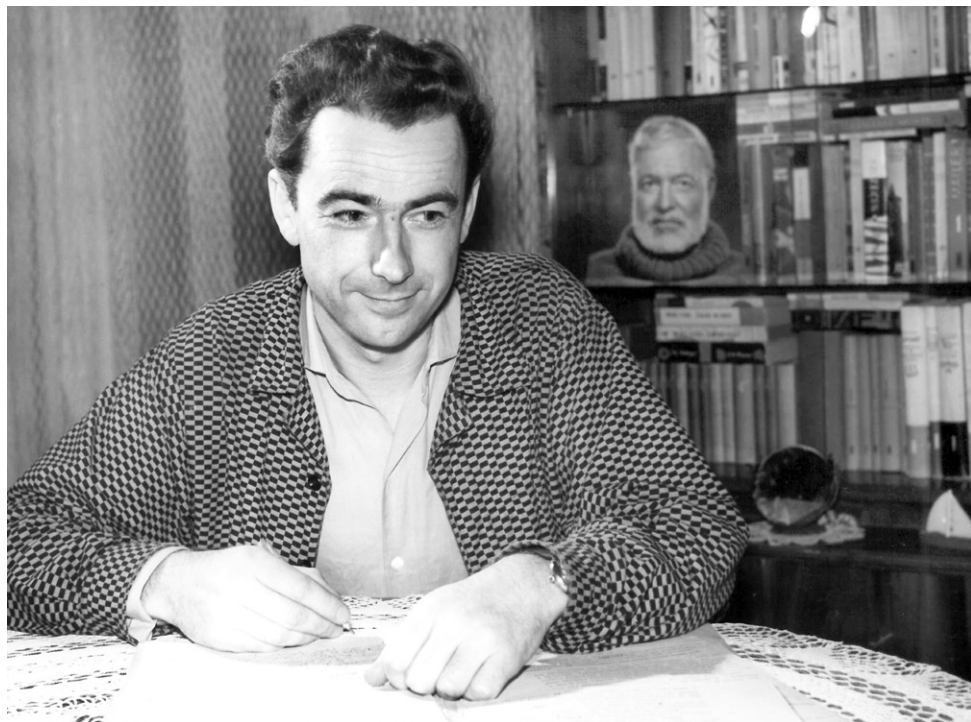
Ostatnią powieścią Czesława Czerniawskiego, wydaną już po śmierci pisarza, była *Tajemnica Jeziora Czarne* (1988). Mimo iż akcja powieści dzieje się współcześnie, to autor umiejętnie wplata w nią wątki minionej II wojny światowej (ojciec Maćka, głównego bohatera, jest byłym oficerem WP; Maciek z kolegą interesują się starym poniemieckim wrakiem; jeden z mieszkańców wsi podczas wojny pomagał polskim żołnierzom w forsowaniu rzeki).

Uwagę czytelnika może przykuć szata graficzna książek Czesława Czerniawskiego. Autor dbał o to osobiście. Większość z jego publikacji była zazwyczaj ciekawie ilustrowana. Ilustracje do *Kawalera maltańskiego* wykonał

wybitny rysownik i satyryk, Szymon Kobyliński. Z kolei okładkę do *Tajemnicy Czarnego Jeziora* zaprojektował znany grafik, Tomasz Bogusławski, autor wielu polskich znaczków pocztowych.

Czesław Czerniawski był twórcą płodnym. Napisał około 30 książek. Waleory twórczości literackiej, publicystycznej i radiowej były doceniane przez instytucje kultury. Pisarza wielokrotnie wyróżniano, m.in. za całokształt pracy literackiej i społecznej, a także za popularyzowanie w swojej twórczości najnowszej historii Ziemi Szczecińskiej i patriotycznego wychowania młodzieży. Oprócz wcześniej wymienionych w tekście nagród, Czesław Czerniawski został uhonorowany Nagrodą Prezydium WRN w Szczecinie (1963, 1969), Nagrodą Ministra Kultury i Sztuki (1985), „Złotym Ekslibrisem Czterdziestolecia” (1985). Pisarza odznaczono m.in.: Srebrnym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim OOP, Odznaką Gryfa Pomorskiego, Odznaką 1000-lecia Państwa Polskiego, Srebrną Odznaką „Zasłużony Pracownik Morza”. W czerwcu

W gabinecie /1964/ (zdj. Mariusz Szyperko)





Tablica poświęcona pisarzowi (z archiwum Anny Beaty Czerniawskiej)

1964 roku pisarza wybrano do Komitetu Honorowego I Ogólnopolskiego Festiwalu Polskiej Poezji Współczesnej im. K.I. Gałczyńskiego, imprezy tak ważnej dla Szczecina.

Oprócz literatury, pisarz pasjonował się również filmem i fotografią. W zbiorach jego córki zachowały się nieliczne zdjęcia jego autorstwa. Prozaik był miłośnikiem prozy Ernesta Hemingwaya. Cenił twórczość i często sięgał do nagrań Wojciecha Młynarskiego i Bułata Okudźawy. Lubił codzienne spacery po Szczecinie, podczas których zaglądał do księgarni i ulubionej knajpki.

Czesław Czerniawski pisał do końca swojego życia. W chwili śmierci w jednej z książek napisał: *A więc to tak wygląda...*

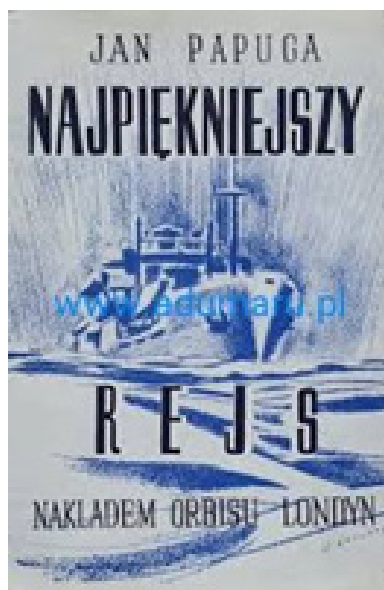
Pisarz zmarł 15 czerwca 1988 roku w Szczecinie, z którym tak bardzo był związany. Miasto zaproponowało pochówek w Alei Zasłużonych, ale ostatecznie do tego nie doszło. Czesław Czerniawski spoczął 22 czerwca 1988 roku na Cmentarzu Centralnym w kwaterze 86A-05-10. Na nowej tablicy nagrobnej, ufundowanej przed kilku laty prawdopodobnie przez rodzinę trzeciej żony pisarza, nie ma, niestety, wzmianki, że pochowany jest tu literat. W 2000 roku pisarza uhonorowano pamiątkową tablicą, którą odślonięto na ścianie secesyjnej kamienicy przy al. Wojska Polskiego 59, budynku, w którym mieszkał w latach 50. W uroczystości udział wzięli: córka pisarza, Anna Beata Czerniawska, żona, Marta Skwarczyńska-Czerniawska, przedstawiciele władz lokalnych, członkowie szczecińskiego oddziału Związku Literatów Polskich oraz mieszkańcy Szczecina. Niestety, nie ustrzeżono się uchybienia. Tablica zawiera bowiem błędną datę zamieszkania pisarza. Nie jest to pierwsza tego typu pomyłka w historii miasta, jaką władze miasta zgotowali zasłużonym szczecinianom.

Jan Papuga

Poznanie na „Darze Pomorza”

W końcu wakacji 1959 r. „Dar Pomorza”, pod dowództwem legendarnego kapitana Kazimierza Jurkiewicza, zawinął do Szczecina. Byłem tam „Kandydatem na człowieka”, ale podczas dwu miesięcy stałem się ulubieńcem starszego bosmana – Wałdocha, marynarza o urodzie i podobieństwie do Gary Coopera, który wyznaczył mi wachtę tzw. „przyjazdową”. Po godzinie od zacumowania odwiedził bosmana ubrany jak tramp marynarz, który przedstawił się: Jan Papuga. W rozmowie zaimponował mi wiedzą o morzu i szczecińskich jego miłośnikach w szczególności. Razem z Ryszardem Choińskim, pełniącym funkcję „starszego wachty”, mieliśmy już za sobą pierwsze próby literackie w *Tygodniku Morskim*, zaś Papuga okazał się być tak barwną postacią, że po latach poświęcam mu poniższy esej.

Wczesne lata i marynistyczne życie



Jan Papuga urodził się 16 lutego 1915 roku we wsi Zbyszek, w powiecie bełchatowskim. W dzieciństwie i młodości mieszkał w Łodzi, gdzie ukończył szkołę podstawową i przez kilka lat pracował jako robotnik w przemyśle włókienniczym. W latach trzydziestych związał się z wojskiem, a następnie z morzem – pływał na statkach handlowych i rybackich. Wybuch II wojny światowej zastał go w Göteborgu, gdzie pozostał i pod obcymi banderami pływał po Atlantyku. W 1942 roku zamustrował na polskie statki „Lublin” i „Bałtyk”, uczestnicząc w konwojach do USA i Kanady.

W latach 1944–1945 przebywał w Londynie, gdzie zaczął publikować pierwsze opowiadania, oryginalne w formie.

Debiut literacki i twórczość marynistyczna

Debiut literacki Papugi nastąpił wprawdzie w 1942 roku, ale większy rozgłos przyniósł mu zbiór opowiadań „Najpiękniejszy rejs”, wydany w Londynie, zaś w Polsce opublikowany pod tytułem „Szczury morskie”. Zbiór ten wzbudził zainteresowanie krytyków, którzy dostrzegli w autorze świeżość i autentyczność. Jego późniejsze książki, takie jak „Guadalajara! Guadalajara!”, „Rio Papagaio” czy „Papierowa dżungla”, zawsze miały charakter marynistyczny i podróżniczy. Były pełne prostoty, a zarazem przygody, ukazywały codzienność marynarzy, ich samotność i tęsknotę.

Papuga pisał także reportaże i opowiadania publikowane w czasopiśmie, jednak to właśnie jego proza marynistyczna zyskała największe uznanie. Sam autor podkreślał, że jego opowieści są „zapisem rzeczywistości”, a nie literacką fikcją.

Styl i tematyka

Styl Papugi odróżniał się od twórczości wielu współczesnych mu pisarzy. Był pozbawiony patosu, nie epatował wyszukanymi środkami stylistycznymi. Jego opowieści są proste, mocne i naturalne – oparte na osobistym doświadczeniu, a przez to wiarygodne. Papuga nie tworzył fikcyjnych bohaterów, lecz czerpał z własnego życia i losów spotkanych ludzi. Właśnie dlatego bywał porównywany do Jacka Londona, ale też do Edwarda Stachury i Jana Himilbsbacha – autorów, którzy w swoich książkach dawali głos własnej biografii i doświadczeniom.

Oceny i recepcja twórczości Jana Papugi

Twórczość Jana Papugi budziła zainteresowanie krytyki literackiej, ale też nie zawsze była łatwa do jednoznacznej klasyfikacji. W latach powojennych, kiedy w polskiej literaturze silnie oddziaływał realizm socjalistyczny, Papuga jawił się jako autor wymykający się doktrynie. Jego opowiadania i powieści nie były pisane na zamówienie, nie pełniły funkcji propagandowej, lecz stanowiły zapisy doświadczeń życiowych – osobiste, autentyczne i przez to nieco „dziwne”. Twórczość Papugi od początku przyciągała uwagę krytyków literackich. Tuż po wojnie jego debiut zwrócił uwagę Zofii Nałkowskiej, która w swoim notatniku pisała: „Doskonały nowy talent – Papuga Jan. Typ obcy mi: egzotyka...

Ale zwięzłość, spokój, istotność, dobry gatunek”. Ta krótka uwaga jednej z najwybitniejszych polskich pisarek pokazuje, że Papuga był postrzegany jako autor oryginalny, obcy dominującym nurtom, ale jednocześnie niezwykle wartościowy.

Podobnie Bohdan Czeszko podkreślał autentyczność i surowość jego prozy, pisząc: „Jego proza uszyta jest bosmańskim ścięciem z żaglowego płótna. Mocna, surowa i uczciwa.” To porównanie dobrze oddaje charakter stylu Papugi – prostej, ale głębokiej literatury, opartej na autentycznym doświadczeniu.

Także Tadeusz Konwicki zachował w pamięci obraz Papugi jako człowieka niezwykłego: „Papuga był oryginalną i bardzo sympatyczną postacią. Niski, krępy, sepleniący, zawsze uśmiechnięty. Był naturszczykiem literackim, dla którego świat istniał po to, by go oglądać”. Wspomnienie to ukazuje Papugę jako pisarza-outsidera, który nie zabiegał o literacką karierę, lecz pisał, bo czuł taką potrzebę.

Współcześni badacze, jak Aleksandra Radecka, podkreślają, że jego dorobek pozostaje ważnym elementem polskiej marynistyki: „Papuga stał się jednym z najciekawszych polskich marynistów. Jego proza wymyka się klasyfikacjom – to zapis doświadczeń marynarza, włóczęgi, podróżnika”. To spojrzenie potwierdza, że dorobek Papugi był jedyny w swoim rodzaju – autentyczny, ale zarazem nieprzystający do literackiego kanonu PRL-u. Nieprzypadkowo nazywano go czasem „polskim Jackiem Londonem”. Inni zestawiali go z Edwardem Stachurą czy Janem Himilsbachem, wskazując na outsiderowski rys jego osobowości i twórczości. Jedni widzieli w nim pisarza wielkiego talentu, inni – literackiego naturszczyka, który zapisał w prozie własne życie. Ta ambiwalencja sprawiła, że Papuga pozostał postacią legendarną, a jego dorobek, choć stosunkowo niewielki, wciąż przyciąga uwagę czytelników.

Życie w Szczecinie i pamięć po śmierci

Po wojnie Papuga osiedlił się w Szczecinie. To tam pisał, podróżował i próbował realizować swoje marzenia. Niekiedy podejmował szalone wyprawy, jak próbę przejścia Afryki, zakończoną więzieniem w Kamerunie. W mieście znano go jako postać barwną i ekscentryczną – wiecznego wędrowca, który pisał, a jednocześnie żył bardzo skromnie. Ważnym wydarzeniem był w latach 60. XX w. tzw. Protest Trzydziestu Czterech, to znaczy wybitnych intelektualistów przeciwko działaniom degradującym rodzimą kulturę i niszczącym wolność słowa. Władze komunistyczne zrobiły masowy spęd literatów „protestujących przeciw

temu protestowi”. Dwaj wystannicy odwiedziwszy Papugę, celem uzyskania kolejnego podpisu, otrzymali odpowiedź: „wyp...cie” i zostali wyproszeni za drzwi. Spotkało go za ten gest wiele szykan. W rozmowie ze mną powiedział, że ten „kontrprotest podpisały same Mizeroty Wybrzeża”, więc nie chce znajdować się w ich towarzystwie. Właśnie z uwagi na ten gest podarowałem mu numer *Kultury* z artykułem o sławetnym, haniebnym kontrproteście tego spędu pisarzy. Przyznał się, że sporadycznie czytał ten paryski miesięcznik, lecz nie wspomniał od kogo pismo otrzymywał. To scementowało naszą przyjaźń.

Papuga zmarł 2 stycznia 1974 roku w Szczecinie. Pamięć o nim przetrwała w mieście: został patronem ulicy, jego podobizna znalazła się w rzeźbie w Pałacu pod Głowami, a na domu przy ul. Małopolskiej umieszczono tablicę pamiątkową. Spoczywa na szczecińskim Cmentarzu Centralnym w Alei Zasłużonych. Dziś uważa się go za jednego z najciekawszych pisarzy marynistów w Polsce.

Zakończenie

Jan Papuga był pisarzem, osobnym – marynarzem, włóczęgą i autentycznym twórcą, który pisał w zgodzie z własnym doświadczeniem. Jego proza, pełna prostoty i prawdy, nie weszła do kanonu literatury, ale stała się ważnym świadectwem życia i wędrówki człowieka. Krytycy doceniali go za autentyczność, a czytelnicy odnajdywali w jego książkach świeżość i szczerłość. Dziś pozostaje jednym z tych autorów, których warto odkrywać na nowo – nie tylko jako literata, ale także jako fascynującą postać polskiej kultury XX wieku.

„Świat jest po to, by go oglądać”. To zdanie wspominane było przez Tadeusza Konwickiego jako motto Papugi – i doskonale podsumowuje zarówno jego życie, jak i twórczość. Jan Papuga całe życie pozostał wierny zasadzie, że „świat jest po to, by go oglądać”. To przekonanie prowadziło go przez morza, kontynenty i karty literatury, czyniąc z niego jednego z najoryginalniejszych pisarzy w polskiej kulturze XX wieku.

Napełń myśli człowiecze. **Refleksje wokół osoby i dzieła** **ks. Józefa Tischnera (1931–2000)**

W roku 2025 upłynęło ćwierć wieku od śmierci ks. Józefa Tischnera, kapłana i filozofa znanego szerokim kręgom naszego społeczeństwa. Prezes szczecińskiego oddziału Związku Literatów Polskich – pan Leszek Dembek prosił niżej podpisanego o garść refleksji i wspomnień o tym zaangażowanym w nasze polskie sprawy współczesnym myślicielu z Podhala. Podejmując to zadanie, autor chciałby pokazać tę wielowymiarową postać w trzech perspektywach: Polska, Kościół i Filozofia. Zapiszemy te tytuły w języku Horacego i Cycerona, a więc kolejno: Polonia, Ecclesia, Philosophia.

I Polonia

Bohater tych refleksji urodził się w odrodzonej Rzeczypospolitej dnia 12 marca 1931 roku w Starym Sączu. Pokolenie jego rodziców przychodziło na świat jako poddani zaborców. Odrodzona w roku 1918 Polska według Władysława Mołotowa, ministra spraw zagranicznych ZSRR, była „bękartem Traktatu Wersalskiego”. Dla innych politycznych osobistości tamtego czasu było to „państwo sezonowe”. Rzeczypospolita obroniła i utrwaliła swoje granice, osiągnęła też znaczące sukcesy gospodarcze, ale także wykreowała model ofiarnego patriotyzmu. Dnia 1 września 1939 roku wszystko to zostało dramatycznie zakwestionowane. Kazimierz Wyka w swojej autobiograficznej książce dotyczącej lat niemieckiej okupacji „Życie na niby” notuje, że od tamtego dnia dla wielkiej rzeszy polskich dzieci i młodzieży szkołą stała się wojna. W przypadku 8-letniego wówczas Józefa Tischnera był to początek jego edukacji. Przyszły ksiądz i filozof był dzieckiem dwojga nauczycieli – Józefa i Weroniki Tischnerów. Młoda, polska rodzina zaznała okupacyjnej trwogi, niepewności, wymuszonych okolicznościami przeprowadzek,

bywało, że głodowała. W styczniu 1945 roku Niemcy zaczęli opuszczać Podhale, natomiast pojawili się Rosjanie. Były to forpoczątki sowieckiej armii, zdążającej na zachód. Zaistniała już tzw. Polska Lubelska. Na obszarze zajętym przez Sowietów działało NKWD tropiące polskich patriotów, a zwłaszcza działaczy politycznych. Krwawy terror ze strony niemieckiego okupanta tworzył aurę odczuwaną przez wielu jako życie z wydanym wyrokiem śmierci. Jeszcze w 1939 r. pojawiają się pierwsze struktury ruchu oporu. W Lublinie, mimo trwającej jeszcze wojny, na inauguracji roku akademickiego KUL 1944-1945 obecny był gen. Nikołaj Aleksandrowicz Bułganin, ówczesny namiestnik Stalina na Polskę, a późniejszy premier rządu ZSRR. W marcu 1945 r. ukazał się w Krakowie pierwszy numer wydawanego do dziś „Tygodnika Powszechnego”. W Reims, stolicy Szampanii w dniu 8 maja tegoż roku, Niemcy podpisały bezwarunkową kapitulację. Na przełomie lipca i sierpnia w Poczdamie odbyła się konferencja Wielkiej Trójki, która zadecyduje o obecnym kształcie terytorialnym Polski. W komunikacie końcowym nie wspomina się o Szczecinie. Tę „nieobecność” Szczecina wiosną 1972 r., podczas debaty w Bundestagu dotyczącej traktatu o granicy polsko-niemieckiej, podniósł 17 lat po wojnie wpływowy polityk niemiecki, Franz Josef Strauss. Dodajmy, że idea przyznania Szczecina z sowietyzowanej niebawem Polsce autorstwa oczywiście J. W. Stalina pojawiła się w lutym tegoż roku.

Na Podhalu, nowa powojenna władza napotkała na silny opór. Na tym terenie działało silne, zbrojne podziemie. Największy oddział, którym dowodził Józef Kuraś pseud. „Ogień” (1915-1947), liczył w roku 1946 około 400 żołnierzy i panował na tym obszarze. Oddział został rozbity w 1947 r. Niektórzy z żołnierzy „Ognia”, po zakończeniu swojego szlaku bojowego, odkryli w sobie powołanie kapłańskie i wstąpili do seminarium duchownego. Ksiądz Józef Tischner utrzymywał kontakty z byłymi podkomendnymi „Ognia”. Po latach twierdził, że nie da się zgłębić fenomenu komunizmu, jeśli nie pozna się historii Józefa Kurasia i jego oddziału. W Polsce przeprowadzono w 1946 r. zmanipulowane referendum, a rok później w 1947 r. sfałszowane wybory. Oceniając ogólną sytuację polityczną tamtego czasu, potajemnie opuścił kraj wicepremier Stanisław Mikołajczyk (1901-1966) – lider Polskiego Stronnictwa Ludowego. Po przyjeździe z Wielkiej Brytanii był owacyjnie witany z nadzieją, że uda się współpracować z komunistami dla dobra Rzeczypospolitej. Politycznie zneutralizowano prawicowe Stronnictwo Pracy kierowane przez Karola Popiela (1887-1977). Odebrano ideową tożsamość Polskiej Partii Socjalistycznej, zmuszając jej przywódców – na polecenie Moskwy – do fuzji z PPR. W roku

1949 na zjeździe Związku Literatów Polskich w Szczecinie niejako zadekretowano socrealizm jako obowiązujący model i kierunek w twórczości literackiej. Zlikwidowano prywatne wydawnictwa, rozwiązano działające stowarzyszenia. Komuniści dokonali niemal całkowitego unicestwienia autentycznej, żywej kultury, jej miejsce i rolę miała przejąć oparta na sowieckich wzorach propaganda. W roku 1950 abiturient, absolwent Liceum Ogólnokształcącego im. Seweryna Goszczyńskiego w Nowym Targu, podejmuje życiową decyzję i składa podanie o przyjęcie do Wyższego Seminarium Duchownego w Krakowie. W czasie jego studiów seminaryjnych następuje śmierć Stalina. Rzeczypospolita Polska została przemianowana na Polską Rzeczpospolitą Ludową. W październiku 1956 roku obalono polską wersję stalinizmu. Na licznych wiecach i w publicystyce ówczesnej w odniesieniu do Polski i jej ustrojowych przemian pojawiło się słowo suwerenność. Pisano, że „miliony katolików powróciło z emigracji wewnętrznej”. Kulturę uwolniono z dogmatycznych okowów marksizmu-leninizmu. Polacy z dawnych kresów, którzy zostali tam po wojnie mogli opuścić ZSRR i wrócić do Ojczyzny. Nazwano ich wbrew faktom i logice repatriantami. Nadzieje na głębsze reformy systemu szybko zostały wygaszone. Dramat Węgrów, którzy w tym samym czasie domagali się wolności i zostali krwawo spacyfikowani „bratnią” sowiecką pomocą, stanowił swoiste memento. Polakom pozostała „mała stabilizacja”, jako możliwa strategia przetrwania i gospodarcza stagnacja, czyli ogólna cywilizacyjna niewydolność.

W marcu 1968 r. walki frakcyjne w PZPR były podłożem dla buntu studentów i protestów ludzi kultury, domagających się większych swobód. Zatriumfował partyjny antysemityzm z wysoce negatywnymi skutkami, zwłaszcza w dziedzinie nauki i kultury. Kolejny protest to rewolta robotnicza na Wybrzeżu w grudniu 1970 r., która odsłoniła ogólną niewydolność dotychczasowej polityki gospodarczej i społecznej. Rządząca partia, strzelając do robotników dokonała w wymiarze moralnym i politycznym swego samobójstwa. Nowi liderzy partyjni zaczęli szukać kontaktu z Zachodem. Do PRL-u zaczęły płynąć zagraniczne kredyty i pojawiła się „pepsi-cola”.

Po protestach „warchołów” (E. Gierek), czyli robotników z Radomia i Ursusa, zrodziła się struktura – Komitet Obrony Robotników – niezależna od partii i utrzymująca kontakty z ważnymi ośrodkami politycznymi i intelektualnymi w Europie Zachodniej. Dnia 16 października 1978 r. świat dowiaduje się o wyborze nowego Papieża. Wybrano Jana Pawła II, arcybiskupa, metropolię z Krakowa. Wszyscy zaczęli pytać o Polskę – Ojczyznę nowego Papieża. Zniwolona i upokorzona Polska doznała nieporównywalnego wywyższenia i prestiżu.

Pierwsza wizyta Jana Pawła II w Ojczyźnie, w czerwcu 1979 r. przebudziła miliony Polaków. Owocem tego przebudzenia będzie powstanie nowego ruchu społecznego, który narodził się po masowych strajkach, w sierpniu 1980 r. Powstały pierwsze za „żelazną kurtyną” autentyczne robotnicze samorządy, czyli NSZZ SOLIDARNOŚĆ. Cały świat usłyszał o elektryku z Gdańskiej Stoczni – Lechu Wałęsie.

II Ecclesia

W dniu chrztu Józefa Tischnera, Kościołem rządził Papież Pius XI. Wcześniej jako Achille Ratti (1857-1939) był nuncjuszem apostolskim w odrodzonej Polsce w latach 1919-1921. Sakrę biskupią przyjął w 1919 r. w Archikatedrze Warszawskiej. W czasie pełnienia swojej misji dyplomatycznej poznał Polskę i wielu wybitnych Polaków. Jako Papież był przyjacielem Polski. Po jego śmierci kardynałowie w czasie jednodniowego konklawe wybrali na Stolicę Piotrową dotychczasowego Sekretarza Stanu Stolicy Apostolskiej. Kardynał Eugenio Pacelli (1876-1958) przyjął imię Pius XII. Nowy Papież objął rządy niejako na przedprożu II wojny światowej. Kościołem krakowskim kierował książę metropolita Adam Stefan Sapieha (1867-1951). Metropolita był księciem krwi z racji pochodzenia, nadto przysługiwał mu tytuł książęcy jako biskupowi krakowskiemu – taki bowiem przywilej nadał biskupom ówczesnej stolicy Polski król – Jan I Olbracht (1459-1501). Zrezygnował z tego tytułu abp Karol Wojtyła. Książę metropolita pozostawał przez całą okupację w Krakowie, w przeciwieństwie do ówczesnego prymasa kard. Augusta Hlonda, który wybrał emigrację i został przez Niemców internowany. Książę metropolita cieszył się niezwykłym autorytetem i budził respekt władz komunistycznych. Papież Pius XII wyniósł go w 1946 r. do godności kardynalskiej. Otoczony legendą hierarcha zmarł 23 lipca 1951 r. Potomni mówili o nim: „Książę Niezłomny”. W tym czasie Józef Tischner, jako alumn pierwszego roku rozpoczął swoją drogę do kapłaństwa. Niebawem podpisano Porozumienie Rządu i Episkopatu, swoisty *modus vivendi* dla Kościoła w kraju rządzonym przez komunistów. Kardynał Sapieha był jego przeciwnikiem. Zainicjowano ruch księży patriotów, wbijając klin między hierarchię a duchowieństwo i wiernych. Tuż po śmierci hierarchy, w 1952 r. rozpoczęto na podstawie absurdalnych zarzutów, m.in. o szpiegostwo tzw. proces kurii krakowskiej. Osądzono kilku księży i osoby świeckie. Zapadły dwa wyroki śmierci (ostatecznie nie wykonane) i długoletniego więzienia. Proces miał charakter pokazowy. Przywożono robotników

jako sądową publiczność. W prasie ogólnopolskiej i lokalnej ukazały się głosy potępienia ze strony ludzi kultury. Byli wśród nich m.in.: Jerzy Waldorff, Sławomir Mrozek i Wisława Szymborska. W powszechnym przekonaniu władza chciała dokonać swoistej zemsty *post mortem* na Księciu Niezłomnym. W Warszawie, dnia 26 września 1953 r. władze dokonały aresztowania prymasa Polski kard. Stefana Wyszyńskiego. Dnia 26 czerwca 1955 r. wikariusz kapitulny Archidiecezji Krakowskiej bp. Franciszek Jop udzielił święceń prezbiteratu 16 diakonom, wśród nich był Józef Tischner. W październiku tego roku z poparciem ks. prof. Kazimierza Kłósaka rozpoczął on studia na Wydziale Filozoficznym Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. Po przełomie październikowym 1956 r. wraca do szkół nauka religii. Młody ksiądz Józef Tischner podejmuje trud pracy katechetycznej. Szczególnie owocna była jego działalność na tym polu w Chrzanowie. Będzie wzbogacał swoje doświadczenie pastoralne, w późniejszych latach stanie się cenionym kaznodzieją i rekolekcjonistą. Dnia 9 października 1958 r. umiera w Castel Gandolfo Papież Pius XII. Jego pontyfikat nadal budzi silne kontrowersje. Niewolno jednak przemilczeć faktu, że jego osoba oprócz mniej czy bardziej merytorycznej krytyki, była od 1945 r. znieważana w prasie polskiej oraz w licznych publikacjach. Kolportowano obraźliwe karykatury Papieża. Znany poeta i ceniony tłumacz, m.in. utworów R.M. Rilkego w wierszu o Piusie XII, zapożyczając łacińskie słowa z konsekracji eucharystycznej otarł się o bluźnierstwo. Papież Pius XII potępiał komunizm i tzw. Porządek pojałtański w Europie. Wrogą kampanię przeciw niemu organizowały tajne służby sowieckie. Dodajmy, że krótko przed śmiercią Pius XII podniósł do godności biskupiej ks. Karola Wojtyłę.

Nowy biskup Rzymu, Jan XXIII już w styczniu 1950 r. ogłosił zamiar zwołania Soboru Powszechnego. Uroczysta inauguracja Vaticanum II nastąpiła w październiku 1962 r. Odbyły się cztery pracowite sesje, w których uczestniczyło średnio około 4500 biskupów z całego świata, a także liczne grono ekspertów i audytorów. Nowością była obecność delegatów z niekatolickich wyznań chrześcijańskich. Sobór uchwalił cztery konstytucje, w tym jedną: *Gaudium et spes*, dotyczącą obecności Kościoła w świecie współczesnym, a nadto kilkanaście dekretów i deklaracji. Sobór uroczyście zakończono dnia 8 grudnia 1965 r. Kościół potwierdził swoją wolę służenia całej rodzinie ludzkiej i gotowość do dialogu ze światem współczesnym. W teologii zaczęła się dokonywać tzw. konwersja antropologiczna, czyli wprowadzenie do systematycznej refleksji oprócz Boga i Jego Dziej, także egzystencjalnych i społecznych problemów ludzi naszych czasów. Dzieło recepcji i realizacji postanowień

soborowych podjęty Kościoły partykularne i trwa ono aż do dnia dzisiejszego. Ksiądz Józef Tischner rozumiał doniosłość tych głębokich reform. Podjął dialog z różnymi środowiskami intelektualnymi, kulturalnymi oraz zawodowymi, zachowując jednak kontakt z Podhalem i góralszczyzną.

III Philosophia

Do wzniosłej i rozległej krainy filozofii w jej kształcie akademickim wkroczył Józef Tischner w roku 1950, gdy rozpoczął studia w krakowskim seminarium. Poczynając od XVI stulecia struktura tych studiów zakładała, iż kandydaci do kapłaństwa, zanim rozpoczną studium teologii, winni przez dwa lata poznawać arkana podstawowych działów filozofii jak: metafizyka, logika, teoria poznania, etyka, kosmologia. Pokolenia polskich humanistów otrzymały rudymenta tych dyscyplin, korzystając z dzieła prof. Władysława Tatarkiewicza „Historia filozofii” („Myśmy wszyscy z Niego” – tak powiedział o nim prof. M. A. Krąpiec OP rektor KUL-u).

W tym czasie żyło jeszcze kilku wybitnych myślicieli europejskich – Martin Heidegger (1889-1976), Jean – Paul Sartre (1905-1980). W Polsce byli to: Roman Ingarden (1893-1970) – uczeń i współpracownik Edmunda Husserla, twórcy fenomenologii, związany z Uniwersytetem Jana Kazimierza we Lwowie, a po wojnie z Uniwersytetem Jagiellońskim; na uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu nauczał Henryk Elzenberg (1887-1967) uprawiający aksjologię. Do roku 1939 był on związany z Uniwersytetem Stefana Batorego w Wilnie. Jego uczeń Zbigniew Herbert unieśmiertelnił Mistrza, kreując postać Pana Cogito; w Szwajcarii na Uniwersytecie we Fryburgu działał światowej sławy logik, dominikanin, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej w 1920 r. O. Józef I. M. Bocheński. Spory rozgłos i prestiż przyniosła mu seria wydawnicza *Acta sovietica*. Wiele tomów studiów poświęconych krytycznej analizie teorii i praktyki komunizmu; z katolickim Uniwersytetem Lubelskim związany był historyk filozofii średniowiecznej prof. Stefan Swieżawski.

Od ogłoszenia przez papieża Leona XIII encykliki *Aeterni Patris* (1879) obowiązującym w Kościele kierunkiem filozoficznym był tomizm, a dokładniej filozofia perypatetyczno-tomistyczna. Stanowi ona pewnego rodzaju syntezę myśli św. Tomasza z Akwinu i Arystotelesa.

Należy w tym miejscu przypomnieć, że ideologiczny ateizm w czasach PRL postrzegany był jako *sui generis* oficjalna religia państwowa, a jej fundamentem

był marksizm w ujęciu leninowskim. W państwowych księgarniach w stałej ofercie znajdowały się dzieła Lenina, a na prowincji nawet J. W. Stalina.

Józef Tischner na promotora swojej tezy doktorskiej wybrał prof. Romana Ingardena. Profesor ignorował marksizm, uważając tę doktrynę jako mało znaczącą w dziejach myśli ludzkiej. Z tej racji w roku 1951 musiał opuścić katedrę uniwersytecką. Przywrócenie praw akademickich nastąpiło w roku 1957. Podobne wykluczenie przeżył wspomniany już prof. W. Tatarkiewicz. Ksiądz Józef Tischner magisterium uzyskał na podstawie pracy o dokonaniach kard. D. Merciera, odnowiciela tomizmu. Doktorat na podstawie dysertacji poświęconej problemowi budowania JA transcendentalnego uzyskał dnia 19 kwietnia 1963 roku. W roku 1974 habilitował się w Akademii Teologii Katolickiej na podstawie pracy „Fenomenologia świadomości egotycznej”. Uformowany na filozofii fenomenologicznej ksiądz Józef Tischner występował z krytyką „chrześcijaństwa tomistycznego”, co przyniosło mu pewien rozgłos w środowisku. Wydaje się, że jego największym sukcesem był zbiór początkowo felietonów, które później zostały scalone w książce „Etyka Solidarności”. Pozycja ta cieszyła się dużą popularnością i trafiła „pod strzechy”. Autor podejmował również liczne podróże, aby spotykać się ze środowiskami akademickimi. Wiele wniosło do polskiej myśli teatralnej jego dzieło „Filozofia dramatu”, czerpiące z dorobku Emanuela Levinasa, francuskiego filozofa pochodzenia żydowskiego. Ksiądz Józef Tischner był też zaangażowany obok takich myślicieli jak: H. G. Gadamer, J. B. Metz, Leszek Kołakowski i Paul Ricoeur w działalność powstałego w Wiedniu Instytutu Nauk o Człowieku.

„Napełń myśli człowiecze” – to słowa zapożyczone z naszego pierwszego hymnu narodowego *Carmen Patriae* (Pieśń Ojczyzny), czyli z pieśni Bogurodzica. Jest to najstarsza zachowana pieśń rycerska, a zarazem głęboka katecheza. Jest ona czcigodnym zabytkiem naszej kultury duchowej, religijnej i muzycznej. Cytowane wyżej słowa modlitewnej prośby o wysoką jakość polskiej myśli poruszają autora tych słów od wielu lat. W ostatniej dekadzie swojego życia ks. Józef Tischner gościł w Szczecinie i na naszym uniwersytecie wygłosił wykład o naszych polskich problemach. Do dziś pamiętam jego słowa: „Polska to kraj rzeczy i spraw niedomyślnych”. Wnuk rabina z Dębicy, znany pisarz Roman Brandstaetter napisał, że „myśl jest diademem człowieczeństwa”. Dotknięty już poważną chorobą filozof z Podhala napisał w dniu 28 października list do swoich studentów, a w nim znamienne słowa: „Nie ma innego sposobu stania się człowiekiem myślącym, jak rozmiłować się w cudzej myśli”. Jest to

zaproszenie do dialogu, do współmyślenia, współdziałania i solidarności. Tak mamy budować Rzeczypospolitą.

Ksiądz Józef Tischner stał się wybitnym nauczycielem myślenia i dialogu wśród Polaków. Równolegle też dał się poznać jako eminentny reprezentant Kościoła myślącego i służebnego. Rzeczypospolita doceniła swojego wybitnego i zasłużonego obywatela i udekorowała go w dniu 20 września 1999 r. Orderem Orła Białego. Niecały rok później, czyli dnia 28 czerwca 2000 r. ks. Józef Tischner zmarł.

Maria Jaremek

Camilla Mondral (1911–2002)

Dwadzieścia siedem lat temu, w 1998 r., któregoś dnia obejrzałam w TVP film dokumentalny w reż. Mariana Kubery z 1997 r. pt. „PANI CAMILLA”, w którym pewna starsza pani opowiadała o swoim dzieciństwie spędzonym w środowisku artystycznym Paryża, o nauce w szkole podstawowej w Paryżu, studiach w Polsce, i jej uzdolnieniach językowych. O uprawianiu sportu i działalności sportowej, o licznych znajomościach z kręgu polityki, kultury, a także o wieloletniej pracy w wydawnictwie „Czytelnik”, gdzie pracowała jako tłumaczka i redaktorka działu literatury węgierskiej. O społecznej pracy w ZLP, a potem w SPP i działającej tam Fundacji. Zaimponowała mi do tego stopnia, że zapisałam sobie to nazwisko z zamiarem, iż muszę Ją poznać osobiście. Dotarcie do niej nie sprawiło mi większych trudności.



Wykonałam do Niej telefon, później były wzajemne telefony i listy. Przypiętowanie znajomości odbyło się w jej warszawskim mieszkaniu przy ul.

Puławskiej 1, co potwierdziła w ostatniej książce wydanej w 1998 r. „Bieg przez stulecie” taką oto dedykacją: *Pani Marii Jaremek w dniu zawarcia paktu przyjaźni – 08. 02. 99 – Camilla Mondral*.

Pani Camilla kazała mi zwracać się do niej po imieniu, a była starsza ode mnie o czterdzieści dziewięć lat. Nie było żadnych wykrętów, musiałam przystać na tę propozycję. Spotykałyśmy się w Warszawie, ilekroć się tam pojawiałam.

W 2000 r., mimo sędziwego wieku (89 lat) przyjęła moje zaproszenie do Szczecina. Gościłam Ją u siebie kilka dni. Uwielbiała ze mną spacerować po mojej dzielnicy Pomorzany. Każdy dzień miałyśmy zaplanowany. Drugiego dnia zorganizowałam Jej spotkanie z uczniami w XIV LO, w którym pracowałam od 1991 r.. Fakt ten zarejestrowano i wyemitowano 16 czerwca w audycji „Trochę kultury”, gdyż na spotkanie przybyło wiele osób spoza szkoły, w tym redaktor Andrzej Skrendo z Polskiego Radia Szczecin.

Trzeciego dnia do Domu Kultury 13 Muz na spotkanie z Camillą Mondral, oprócz moich uczniów i rodziny, licznie przybyli wykładowcy Polonistyki z Uniwersytetu Szczecińskiego, a także Krystyna Łyczywek, prezes szczecińskiego oddziału TPPF.

Drugi raz do Szczecina zaprosiłam Camillę Mondral 9 maja 2001 r. Pociąg Intercity przyjechał na Dworzec Główny o dwudziestej pierwszej trzydzieści. Potem szybko taksówką do domu. Po późnej kolacji opowiedziała, jak miło upłynęła Jej podróż w przedziale na rozmowie z pewnym panem, adwokatem ze Szczecina, czym wzbudziła zainteresowanie pozostałych pasażerów.

Ja z Camillą w Bibliotece Narodowej.



Każdy przyjazd Camilli do Szczecina traktowałam niemal jak święto. Następnego dnia, w Klubie 13 Muz zorganizowałam jej spotkanie autorskie „Mój Paryż” – pod auspicjami szczecińskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i szczecińskiego oddziału Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Francuskiej.

11 maja w południe spotkała się z uczniami VI Liceum Ogólnokształcącego im. Stefana Czarneckiego. Po kolacji, do późnych godzin wieczornych, całą rodziną siadaliśmy wianuszkami na dywanie przy Camilli i słuchaliśmy jej niesamowitych historii i anegdot.

Weekend przeznaczaliśmy na zwiedzanie miasta. Było to bardzo gorące lato, a blisko 90-letnia Pani z godnością znosiła upały. Cecylia Judek zaproponowała zwiedzanie miasta samochodem. Twarz Camilli rozpromieniła się na widok zacumowanego przy brzegu żaglowca „Fryderyk Chopin Szczecin” i poprosiła mnie o pamiątkowe zdjęcie. Była pod wrażeniem miasta, z którym pierwszy raz zetknęła się w 1946 roku, gdy jako pracownik Biura Organizacji Dostaw przy Ministerstwie Przemysłu współorganizowała początki transportu i gospodarki przemysłowej w zrujnowanym Szczecinie i na odzyskanych Ziemiach Zachodnich. O tym mowa będzie w przedostatniej części mojego tekstu.

W listopadzie 2001 r. zostałam zaproszona do Warszawy na uroczystą promocję wspomnianej wyżej książki Camilli Mondral, która odbyła się w Salonie Pisarzy w Bibliotece Narodowej.

Patronat medialny nad spotkaniem, objął Program III Polskiego Radia. Licznie przybyłych gości przywitał Michał Jagiełło, ówczesny dyrektor Biblioteki Narodowej, były ratownik GOPR-u, zaprzyjaźniony z autorką od czasów, gdy razem szusowali na nartach po stokach. Spotkanie poprowadził dr Jerzy Snopek, specjalista od hungarystyki z Uniwersytetu Warszawskiego. Dr Snopek (później prof. dr hab. pracownik Instytutu Badań Literackich PAN) przedstawił życie i twórczość Camilli Mondral w sposób profesjonalny, a zarazem ciepły. Mówił, że autorka to osoba o ogromnym „apetycie na życie”. Gdy jako student Katedry Węgierskiej zgłębiał tajniki sztuki translatorskiej, okazało się, że co trzecia pozycja węgierskiej literatury dla dorosłych, dzieci i młodzieży była dziełem Camilli Mondral. Z obowiązku redakcyjnego dr Snopek musiał te tłumaczenia analizować.

Książka Camilli Mondral *Bieg przez stulecie* z perspektywy teorii literatury – jak podkreślił na promocji dr Jerzy Snopek – to autobiograficzna literatura. Ekstrawertywny opis chronologiczny jest bliższy Camilli, niezdolnej do roztkliwania się. Autobiografia może być udana, gdy sztuka życia połączy się ze



Camilla w Klubie 13 Muz. (fot. M.J.) Cecylia Judek z Camillą Mondral (fot. M.J.)

sztuką pisaną. Camilla Mondral wyszła zwycięsko jako człowiek i jako pisarka. Żeby przetłumaczyć sto kilkadziesiąt pozycji, trzeba zaznać w życiu długich chwil spędzonych w samotności. Nie wyczuwa się w książce napięcia między sukcesem a porażką, autorka nie okazuje sfrustrowania. Nie marzy o czymś nieosiągalnym, nie poucza.

W imponującym dorobku Camilli jest wiele różnych gatunków, tłumaczonych tekstów, i praktycznie nie ma przekładu poezji. – „By móc tłumaczyć poezję – przyznała wówczas Camilla – trzeba mieć nerw poetycki, a ja tego nerwu w sobie nie mam, bo jestem zwyczajną, przyziemną ekonomistką”.

Dr Jerzy Snopek stwierdził, że gdyby nawet nie była tłumaczką prozy, to i tak zaistniałaby jako tłumaczka poezji. Przełożyła sama i wspólnie z Wikto-rem Woroszylskim wiersze Gráci Kerényi⁵⁸, nieżyjącej już poetki węgierskiej, którą poznała jako młodą dziewczynkę podczas wojny na więziennym dziedzińcu w Budapeszcie, po wejściu Niemców na Węgry w marcu 1944 r. Po wojnie Camilla przyjaźniła się z nią przez dwadzieścia pięć lat, aż do śmierci poetki, która zmarła wskutek ciężkiej choroby.

58 Grácia Kerényi trafiła do Oświęcimia, a następnie do Ravensbruck. W ostatnich dniach wojny szwedzki Czerwony Krzyż wywiózł ciężko chorą na tyfus dziewiętnastoletnią Grację do Szwecji, wręcz cudem uniknęła zagłady. Wróciła schorowana. Od czasów wojny, gdy opiekowały się nią polskie współwięźniarki pokochała polskość. Od razu zapisała się na pierwszy kurs języka polskiego w polskim ośrodku kultury. Rozpoczęła studia: filologię klasyczną, filologię węgierską i polską, a później sanskryt, na uniwersytecie budapesztańskim. Wspólnie z Károlyem Deákiem napisała pierwszy podręcznik do nauki polskiego. Kilka razy przebywała na stypendium w Polsce. W latach 60. XX w. spędziła dwa lata w Warszawie, pisząc swą pracę doktorską o *Teatrze osobnym* Mirona Białoszewskiego. Przełożyła na język węgierski niezliczoną ilość wierszy oraz wydała antologię poezji polskiej po węgiersku.

Wśród tłumu gości, którzy byli na spotkaniu w Salonie Pisarzy BN nie zabrakło zaprzyjaźnionego szermierza, Wojciecha Zabłockiego, bo w życiu Camilli był również piękny rozdział czynnego uprawiania szermierki i lekkoatletyki. Obecny był Akos Engelmayer – były ambasador Republiki Węgier w Warszawie, przyjaciel Camilli. Była Lucyna Winnicka i Hanna Kirchner, pracownik Instytutu Badań Literackich, redaktorka „Dzienników” Zofii Nałkowskiej, której wcześniej Camilla, spowinowacona przez swego wuja z Zofią Nałkowską, przekazała materiały dot. drugiego małżeństwa Zofii Nałkowskiej z Janem Jurą Gorzechowskim. Mimo swoich lat Camilla Mondral tryskała zdrowiem, witalnością, zadziwiała humorem i wspaniałą pamięcią.

Paryskie życie Camilli Mondral

Romana z domu Pogorzelska, matka Camilli Mondral, pochodziła z niezamożnej, szlacheckiej rodziny Pogorzelskich z Tykocina, ale od siódmego roku wychowywała się już w Warszawie. Rodzina żyła bardzo skromnie, z trudem wystarczało na kształcenie starszego brata Romy, Tadeusza, który studiował prawo. Roma postanowiła pracować. Warszawska fabryka pianin Jana Kerntopfa miała kontakty nie tylko z potencjalnymi nabywcami pianin, ale także z artystami i muzykami. Rolę pośredniczki między wytwórną i muzykami oraz organizację koncertów powierzono Romie Pogorzelskiej. Wypożyczała młodym pianistom instrumenty, sprzedawała je na raty i oczywiście organizowała koncerty. Stykała się ze środowiskiem artystycznym, do którego należeli nie tylko muzycy, ale także pisarze i malarze. Roma Pogorzelska poznała młodego malarza Karola Mondrala, który grał także na skrzypcach! Od ośmiu lat pobierał lekcje u Tomaszewskiego⁵⁹, pierwszego skrzypka warszawskiej orkiestry symfonicznej.

Karol Mondral (1880-1957) – syn Jana Mondrala i Marii z Paczuskich, ojciec Camilli, malarz, głównie grafik, reprezentant grafiki realistyczno-dekoracyjnej, studiował w Warszawskiej Szkole Rysunkowej (u Wojciecha Gersona) i w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie u Leona Wyczółkowskiego, jedyne wówczas na ASP profesora grafiki. Młody malarz zaistniał już w świecie artystycznym, mając dwadzieścia dwa lata. Jego obraz został przyjęty w 1902 r. na doroczną wystawę w Zachęcie. W Paryżu mieszkał od roku 1909 do 1924. Od

⁵⁹ Camilla Mondral w swojej książce *Bieg przez stulecie* nie podaje imienia skrzypka Tomaszewskiego. Prawdopodobnie chodzi tu o Tomasza Tomaszewskiego.

1931 r. był profesorem Państwowej Szkoły Sztuk Zdobniczych w Poznaniu. Realizował przede wszystkim pejzaże miejskie, m.in. *Widoki Bydgoszczy, Krzemienia*, i wiejskie: *Nad Sekwaną, Opactwo w Cluny* [Cluni], *Jabłonki*, kompozycje rodzajowe (*Taniec*) oraz portrety (*Handlarka ryb, Typ z Concarneau* [Conkarno]), głównie w technice metolowej.

W roku 1909 Karol Mondral wyjechał do Paryża, gdzie chciał nauczyć się czegoś więcej, nie tylko litografii i drzeworytnictwa. Wkrótce dojechała do niego żona, Romana. Wynajęli na Montparnassie mieszkanie i pracownię w *La Ruche*.

Budynek *La Ruche* był wylęgarnią wielkich artystów. Mieszkał tam jakiś czas Pablo Picasso i Amadeo Modigliani, a także Fernand Legér, Chaïm Soutine, Marc Chagall i Ossip Zadkine. Mieszkali i bywali też artyści polscy: Janusz Lewandowski, Maksymilian Tkaczewski, Marcin Samlicki oraz artyści z Rosji, m.in. Jakub Koziebrodzki z Leningradu i Kikoin, wł. Michał Peresowicz, białoruski malarz pochodzenia żydowskiego.

Camilla Mondral na 28 stronie swej książki tak przedstawia skromne warunki bytowania w tym Ulu: „Wyposażenie budynku było jednak prymitywne. Na każdym piętrze jeden kran z wodą i zlew. Jedyna ubikacja na parterze. Pomieszczenia oświetlano przeważnie lampą naftową. Ale za to okna były wielkie, na całą szerokość zewnętrznej ściany tak, że oświetlenie dzienne było bez zarzutu. Ogrzewanie? Jakże kto chciał, najczęściej żelazne piece kuchenne i kozy”.

W 1911 r. w Paryżu, rok po przyjeździe Romy do Paryża przyszła na świat Camilla. Trzy lata później wybuchła I wojna światowa. Władze Paryża wydały odezwę do mieszkańców: „Kto może opuścić Paryż, niech wyjeżdża!”. Młodzi Mondralowie wyjechali do spokojnej Bretanii. Camilla zapamiętała z tamtego okresu wyjazd do lasu w Samois-sur-Seine niedaleko Fontainebleau. Gdy w 1916 r. powrócili do Paryża, okazało się, że Niemcy wdarli się do miasta. Polacy zorganizowali wyjazd swoich dzieci do Royan, w pobliżu Bordeaux. Znalazła się sama, bez rodziców, w nie całkiem znajomej gromadce dzieci. W tutejszej szkole, rozpoczęła naukę z dziećmi, które nigdy nie miały kontaktu z „obcokrajowcami”. Wtedy, mając pięć lat, napisała pierwszy list po polsku do mamy, która została w Paryżu.

Po wojnie Camilla uczyła się w Paryżu. Rodzice obawiali się, że ich córka, jeśli będzie uczyła się tylko po francusku, język polski stanie się dla niej językiem obcym. Dlatego pierwsze dwa lata uczyła ją mama, przerabiając z nią w domu materiał szkolny po francusku, a równolegle uczyła się z Elementarza

Falskiego „Ala ma kota” i inne polskie mądrości dla pierwszaków. Jej ojciec, doskonale zapamiętał przykrą sytuację, gdy w 1912 r., będąc w Londynie musiał posłużyć się słabą znajomością angielskiego i jakie wywoływało to rozbawienie u zagadniętego na ulicy Anglika. Dlatego ich córka uczyła się w Paryżu również języka angielskiego.

Camilla uczęszczała do École Communale des Jeunes Filles, czyli Szkoły Komunalnej podstawowej dla Młodych Dziewcząt, przy ul. Dombasle w XV dzielnicy. System nauczania francuskiego oparty był na nauce pamięciowej. Dzięki dwujęzycznej metodzie uczenia się Camilla miała doskonałą pamięć i od razu przeskoczyła dwie klasy. Na koniec roku szkolnego otrzymywała nagrodę w postaci pięknie oprawionej książki.

Utkwiły jej w pamięci wyjazdy nad morze, plaże w Concarneau albo w Portrieux w Bretanii i spacer po porcie. Zaraz po wojnie, w Normandii, podczas odpływu zbierała różnymi odręcznie zrobionymi przyrządami żywe owoce morza (rybę zwaną *équille*), a także inne kraby, krewetki, małże i ostrygi. Gdy mieszkali w małym porcie Ouistreham, na półwyspie Calvados, normandzką specjalnością był *Les tripes à la mode de Caen*, czyli flaczki po normandzku.

W Paryżu często wychodziła z tatą na spacer. Wojenny i zaraz powojenny Paryż nie wyglądał ciekawie. Był otoczony obronnymi fortyfikacjami. Bardzo lubiła Ogród Luksemburski, leżący niezbyt daleko od *La Ruche*, trzy lub cztery stacje metrem. Często chodzili tam pieszo.

Gdy Camilla miała osiem lat, pierwszy raz rodzice zabrali ją do domu państwa Mickiewiczów, do Władysława⁶⁰⁵, najstarszego syna Adama Mickiewicza

60 Władysław Mickiewicz (ur. 23.06. 1838 w Paryżu, zm. 9. 06. 1926 tamże). W 1855 r. 5 marca zmarła mu najpierw matka, a 26 listopada ojciec, miał zaledwie 17 lat. Szybko ochłonawszy z tej wielkiej rodzinnej tragedii, zabrał się do pracy literackiej, do której zamiłowanie odziedziczył po ojcu. Był założycielem czasopisma na emigracji *L'Espérance*, które miało bronić sprawy narodów będących w niewoli. W 1864 r. ufundował słynną Księgarnię Luksemburską, mającą na celu promowanie dzieł polskich i Polski w jęz. francuskim i ojczystym. Głównym jej przedsięwzięciem stało się założenie Biblioteki Ludowej Polskiej. W 1903 ufundował Muzeum Adama Mickiewicza w Paryżu, mieszczące się w gmachu Biblioteki Polskiej na Wyspie Świętego Ludwika. Niezwykle oddany sprawie polskiej. W latach 1890-1897 był stałym współpracownikiem paryskim „Dziennika Poznańskiego”. Pisał również do „Tygodnika Ilustrowanego” i „Wiadomości Literackich”. W 1890 brał udział w przeniesieniu zwłok swego ojca na Wawel w Krakowie. W 1899 Polska Akademia Umiejętności mianowała Władysława swym delegatem przy Bibliotece Polskiej w Paryżu. Kierował nią do końca swego życia. W Polsce, której był tak oddany był zaledwie kilka razy. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości W. Mickiewicz za swoją wierną służbę Polsce i polskiej literaturze został uczczony w kraju wieloma prestiżowymi wyróżnieniami. W 1919 otrzymał tytuł profesora honorowego Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, w 1922 odznaczony Krzyżem Komandorskim Polonia Restituta, a UJ nadał mu tytuł doktora honoris causa filozofii. W 1926 roku został pierwszym laureatem Nagrody Literackiej miasta Warszawy. 19 października



La Ruche – kopia z książki *Bieg przez stulecie*. Wygląd obecny *La Ruche* / fot. M.J.

i Celiny Mickiewicz z Szymanowskich przy rue Guénégaud 7. Camilla bawiła się z ich córką, panną Marią i jej dużą, żywą, czerwono-zieloną papugą. To był niezwykle dom.

„Mieszkanie to przez ostatnie pięćdziesiąt lat życia Władysława Mickiewicza (zm. w 1926 w wieku 88 lat) było jakby ambasadą duchową Polski dla cudzoziemców, było świątynią kultu Adama Mickiewicza i tradycji Wielkiej Emigracji dla Polaków. Dom Mickiewicza był miejscem pomocy materialnej i moralnej dla Polaków, którzy jej potrzebowali, źródłem informacji naukowych, literackich i praktycznych, był też ogniskiem siły i wiary w słuszość sprawy polskiej w czasach, kiedy w Ojczyźnie było najgorzej i najciężej”.

Mondralowie także chętnie przyjmowali gości zgodnie z zasadą „czym chata bogata”, chociaż raczej, jak wspominała Camilla, bogata nie była. Gościli m.in. zjawiskową, polską rzeźbiarkę, Lillę Ciechanowską, która nosiła prostą tunikę, latem z bawełny, zimą z wełny, na stopach płaskie sandały – taka podeszwa na rzemykach – zimą nakładane na białe, wełniane skarpety według mody, czy raczej zwyczajów starożytnej Grecji. W wigilię gościli samotnie mieszkającego tuż obok biednego artystę, Tkaczewskiego.

Camilla uwielbiała wieczory, podczas których bywała z rodzicami na różnych imprezach artystycznych; na prawdziwych koncertach w Salle Gaveau, a także na występach Isadory Duncan. Chodziła z rodzicami do kina, na Place de la Convention. Oczywiście filmy były nieme, a siedzący z boku ekranu pianista wygrywał dobrane do treści filmu utwory. Kiedy rodzice zabrali ją pierwszy raz do

1924 w Paryżu wręczono mu dyplom honorowy korpusu weteranów polskich i potrójny Krzyż Walecznych, w: https://pl.wikipedia.org/wiki/W%C5%82adys%C5%82aw_Mickiewicz (dostęp 25.09.2025).

teatru, grano sztukę, w której występowała Sarah Bernhardt. To było mniej więcej na dwa lata przed śmiercią aktorki. Camilla, jako dziewięcioletnia dziewczynka była oczarowana pięknym francuskim i wspaniałą dykcją tej starszej pani.

W 1921 r., na początku stycznia nakazano, by w szkołach zostały ogłoszone pogadanki o Polsce. Zapytano rodziców Camilli, czy mogliby coś o Polsce powiedzieć lub napisać. Rodzice napisali, a ona przetłumaczyła na francuski i wygłosiła, mając dziewięć i pół roku, wobec całej szkoły zebranej w wielkiej auli, bez najmniejszej tremy swoją pierwszą prelekcję. To nagłe zainteresowanie Polską wywołała zapowiedź wizyty w Paryżu Józefa Piłsudskiego, zwycięzcy nad bolszewikami. Jako najładniej mówiące po polsku polskie dziecko wręczyła Marszałkowi kwiaty i wyrecytowała jakieś zdanie o polskich dzieciach na obczyźnie. W imieniu dorosłych Polaków mówił Władysław Mickiewicz. Najbardziej uwielbiała chodzić z rodzicami do Luwru, gdzie podziwiała obrazy i rzeźby najślawniejszych mistrzów.

W roku 1921 po raz pierwszy w Paryżu ojciec Camilli miał własną, indywidualną wystawę, głównie prac graficznych. Po tej wystawie dyrektor Bibliothèque Nationale, Clement Janin zakupił do biblioteki kilka jego prac. W tym samym roku ojcu Camilli zaproponowano posadę nauczyciela grafiki w Szkole Przemysłu Artystycznego w Bydgoszczy. W 1924 r. rodzina wyjechała z Paryża i zamieszkała w Bydgoszczy.

W 2006 r. będąc w Krakowie, udałam się z Cecylią Judek do Muzeum Narodowego na wystawę „Grafika polska 1918-1939 ze zbiorów Biblioteki Polskiej im. Wandy Stachiewicz w Montrealu” z cyklu „Skarby kultury polskiej na emigracji”. Wśród wymienionych powyżej artystów grafików dostrzegłam prace Karola Mondrała.



Pierwszy raz Camilla odwiedziła *La Ruche* dopiero w 1972 r. Powstała fundacja, która uchroniła zabytkowy budynek przed zburzeniem. Na mosiężnej tablicy przy bramie wejściowej figuruje napis: „Fondation Seymour *La Ruche*”. Dzielnicą ta w ówczesnym czasie nie stanowiła integralnej części miasta. Oprócz ogrodu przylegało do tego domu szereg pracowni rzeźbiarskich. Właścicielem całej tej ogromnej posesji, z przebudowaną po wielkiej Światowej Wystawie, rotundą *La Ruche*, teatrem, budynkami mieszkalnymi i pracowniami, był rzeźbiarz Alfred Boucher (1850-1934), a pełnomocnikiem i zarządcą – jego bratanek, Albert Boucher.

Paryż, miasto z polskim kościołem i cmentarzem w Paryżu, z muzeum i Biblioteką Polską, z obchodami narodowymi i stowarzyszeniami, z księgarniami, hotelami i restauracjami, z naukowcami, pisarzami i malarzami, lekarzami, adwokatami i rzemieślnikami rodem z Polski. Świadczy to o ciągłości powiązań między obu krajami i o nieprzerwanej od półtora wieku obecności Polaków nad Sekwaną (La Seine).

Dorastanie Camilli – studia, sport i pierwsza praca w przedwojennej Polsce

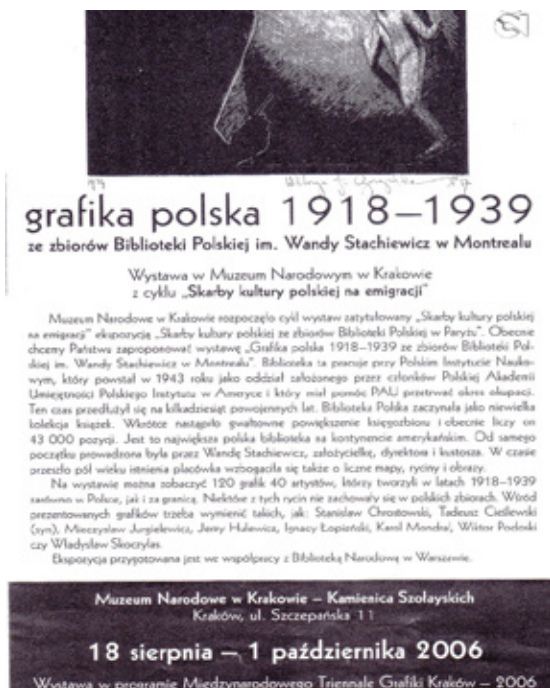
Camilla kontynuowała naukę w Żeńskim Gimnazjum w Bydgoszczy, zawierając pierwsze znajomości i przyjaźnie, m.in. z Olą Obarską, Wandą Jasieńską, wschodzącą gwiazdą lekkiej atletyki oraz Władkiem Komarem. Przyjaźń trwała latami, mimo że Komarowie, zaraz po ślubie, na jakiś czas zamieszkali na Litwie. Wanda Jasieńska i Władysław Komar to rodzice Władysława Komara, polskiego sportowca, miotacza kulą, mistrza olimpijskiego z 1972 r. (ur. 11.04.1940 w Kownie, aktora, znanego nam, najlepszego miotacza kulą, trzykrotnego uczestnika mistrzostw olimpijskich: Tokio 1964, Meksyk 1968, Monachium 1972 /złoty medal/, który 17 sierpnia 1998 r. zginął w wypadku samochodowym pod Ostroficami).

Camilla Mondral studiowała na Wydziale Dyplomatyczno-Konsularnym i Handlowym Wyższej Szkoły Handlowej w Poznaniu (dyplom 1931 r.) oraz ekonomię na Uniwersytecie Poznańskim (absolutorium 1932 r.). Na studiach przyjaźniła się z Jerzym Preyssem, który studiował jednocześnie prawo, muzykologię i kompozycję w konserwatorium muzycznym (Jerzy Preyss, wł. Jerzy Waldorff-Preyss h. Nabram /1910–1999/ polski pisarz, publicysta, krytyk muzyczny i działacz społeczny: popularyzator kultury muzycznej na

łamach prasy, w radiu i telewizji; w swojej autobiografii *Taniec życia ze śmiercią* wspominał, iż jego orientacja /homoseksualna/ była powodem wydziedziczenia przez ojca). Tuż po studiach spotkała się ponownie z Wandą Jasieńską, która trenowała lekkoatletykę w AZA. Za jej namową zaczęła się sportowa przygoda Camilli. Bieganie, potem zawody jedne i drugie. Sport stał się jej miłością. Należała do reprezentacji Polski w lekkoatletyce i w szermierce.

Nastał ogólnoswiatowy kryzys i Camilla, świeżo upieczona studentka z trudem zdobyła pracę w Warszawie, w wielkiej firmie spedycyjnej Hartwig z centralą w Poznaniu. Tam długo nie popracowała, bo ówczesny minister handlu, Eugeniusz Kwiatkowski, wydał zarządzenie o likwidacji karteli, jako formy monopolu. Przeskok z przemysłu i handlu do administracji armii w Ministerstwie Spraw Wojskowych, gdzie pracowała w referacie reprezentacyjnym gabinetu ministra, był nowym wyzwaniem dla niej. Jednak nie trudnym, wszak jako jedna z nielicznych, oprócz wykształcenia posiadała biegłą znajomość języków obcych – angielskiego i francuskiego.

Dyrektorem protokołu dyplomatycznego pobliskiego MSZ był Józef Gozdechowski, kuzyn jej mamy, który namawiał Ją, do wyjazdu na jakąś placówkę. Odmówiła, bo nie chciała zrezygnować ze sportu, który czynnie przez cały czas uprawiała. W ministerstwie do jej obowiązków należało m.in. wysyłanie w imieniu ministra telegramów kondolencyjnych do rodzin żołnierzy poległych podczas pełnienia służby wojskowej, jak np. gen. Gustawa Orlicza-Dreszera, który zginął w katastrofie lotniczej. Ważnym wydarzeniem w pracy Camilli był wyjazd gen. Wieniawy-Długoszowskiego do Rzymu, który sama organizowała. Generała znała, bo był prezesem Polskiego Związku Szermierczego, a Camilla była sekretarzem zarządu. Echa tej włoskiej podróży były dla generała znakomite, bo na rok przed wybuchem II w.ś. został ambasadorem w Rzymie.

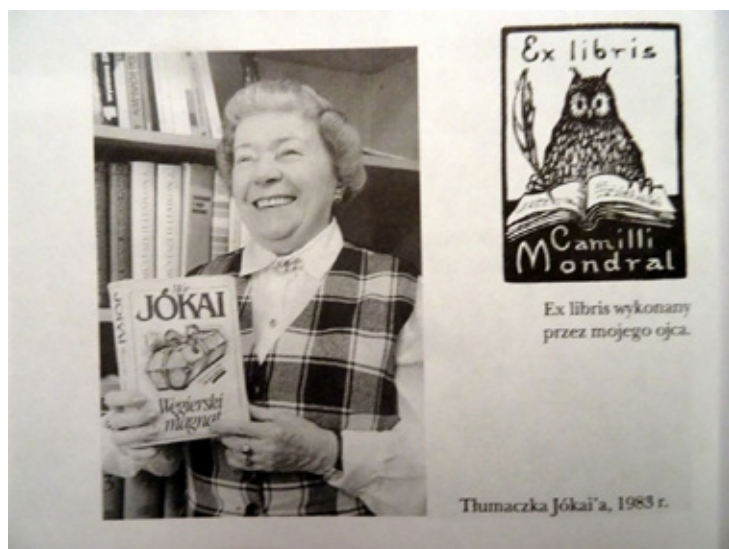


W 1939 r. złożył wizytę w Polsce regent Węgier, admirał Miklós Horthy. Camilla w tym czasie organizowała wyjazd kobiecej drużyny szermierczej do Budapesztu na dziesięciodniowy trening z najlepszymi florecistkami świata.

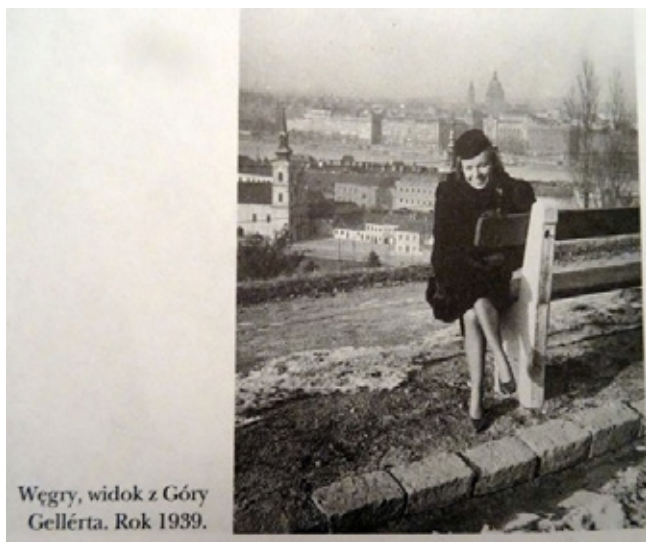
Do stolicy Węgier udała się też męska drużyna reprezentacyjna wojska z najlepszym szermierzem, Władysławem Segdą (1895-1994). Towarzyszył im węgierski fechtmistrz, porucznik Janos Kevey (1907-1991), trener polskich szablistów na najbliższą olimpiadę, wyznaczoną na 1940 r. w Helsinkach. Na poprzednich igrzyskach, w Amsterdamie i Los Angeles, polska drużyna zdobywała zawsze trzecie miejsce, ale rok 1936 w Berlinie był fatalny: aura faszyzmu ogarnęła Niemcy i Włochy, włoscy sędziowie nie dostrzegali trafień polskich szablistów, zaliczając, co się dało, Niemcom. Największym sukcesem Władysława Segdy byli jego juniorzy. Mistrzostwo świata juniorów zdobył Wojciech Zabłocki w 1953 r., a wicemistrzostwo olimpijskie Jerzy Pawłowski w 1956 r.

Trudne losy polsko-węgierskie Camilli podczas II wojny światowej

Wybuch II wojny światowej – dla Camilli Mondral oznaczał sześć lat tułaczki wojennej na obcej, głównie węgierskiej ziemi – był najtrudniejszym okresem w jej życiu. Aczkolwiek ten węgierski etap, wbrew pozorom obfitował w niezwykły splot wydarzeń, które później odegrały znaczącą rolę w jej powojennym życiu. Camilli już od wczesnych lat pojawiały się niezwykle historie, które



Camilla w Budapeszcie
/fotokopia książki *Bieg przez stulecie*/



Węgry, widok z Góry
Gellérta. Rok 1939.

nie były dziełem przypadku czy zrządzeniem losu, a świadomym wyborem. Mądrzy rodzice wpajali jedynej córce, że jej los jest w jej rękach. Zawsze musi w życiu liczyć głównie na siebie, ponadto podkreślali, że w życiu trzeba kierować się czystymi intencjami, uczciwymi zasadami i mieć przyjaciół. Camilla przez całe swoje długie życie trzymała się tych wskazówek, nawet w trudnych okresach życia nie traciła głowy i nie miała żadnych wątpliwości, co do słuszności swego postępowania.

Mimo nadciągających groźnych chmur nikt do końca nie wierzył w wojnę. Praca Camilli w ministerstwie spraw zagranicznych skończyła się 17 września 1939 r., kiedy wraz z rządem ministra Rydza-Śmigłego przekroczyła granicę rumuńską. Przeprawiali się ciężarówkami przez Lublin, Lwów. Trwały narady w Dowództwie Okręgu Korpusu z gen. Władysławem Sikorskim. Później przez Przemyśl przedostali się do Rumuni. W Czerniowcach, w konsulacie Camilla spotkała wielu znajomych ludzi, m.in. Kazimierę Iłakowiczówną. Grupa urzędników MSZ wystawiała cywilne paszporty wojskowym, by mogli uniknąć internowania. Camilla od świtu do nocy siedziała w konsulacie i wypisywała paszporty. Wiadomości z kraju były skąpe, pochodziły z zachodnich stacji radiowych. Warszawa się broniła, później upadła, a mocarstwa zachodnie tylko dyskutowały i obiecywały. Uciekinierzy bali się – wspomina po latach w książce Camilla Mondral – cokolwiek powiedzieć, żeby nie zasłużyć na miano szalonego optymisty albo... zdrajcy.

Ludzie byli rozdrażnieni, ale tu, na obczyźnie stanowili małą część Polski i czuli, że mogą się jeszcze przydać w tej wojnie. W Siedmiogrodzie, w Rumunii,

która w tej wojnie pozostała neutralna, Camilla mogła pozostać, ale wolała jechać na Węgry, gdzie miała tak wielu przyjaciół szermierzy. Szermierka to narodowy sport Węgrów, wszyscy pasjonują się sukcesami mistrzów. Być szermierzem – opowiadała mi potem Camilla – to jakby mieć przepustkę do węgierskich serc.

Droga do granicy węgierskiej wiodła przez Alpy Transylwańskie, szczyty wyższe niż w Tatrach. W październiku 1939 r. przyjechała na Węgry, gdzie była łączniczką między Biurem Opieki nad Internowanymi Żołnierzami a obozami internowanych. Dojazd do Budapesztu był utrudniony, wszyscy Polacy byli kierowani do obozu, przed którym obroniła Camillę urzędowa koperta komendanta wojskowej akademii sportu i podpis samego generała. Od wczesnej wiosny 1940 r. przemaszerowała kilkaset kilometrów, najpierw drogą przez lasy i wąwozy, następnie pociągiem do skąpanego w słońcu zakola Dunaju.

Węgry przestali honorować polskie paszporty wystawiane w Budapeszcie, więc dalsze wyprawianie polskich żołnierzy do Francji przejęło Poselstwo Francuskie. Camilla miała się tam zgłosić, by wystawiać sto albo więcej paszportów dla „Francuzów”, niemówiących ani słowa po francusku, którzy natychmiast opuszczali Węgry. Dotarła do Splitu, skąd statkiem, okrążając Sycylię miała z Polakami popłynąć do Marsylii. Niestety Włosi zamknęli granicę i skończył się tranzyt do Francji. Gdy Włochy wypowiedziały wojnę aliantom, przede wszystkim Francji, Camilla utknęła nad Adriatykiem. Dwudziestokilkuletnia, filigranowa dziewczyna przez krótką chwilę mogła w towarzystwie równie młodego i zauroczonego Włocha zapomnieć o okropnościach wojny, zażywając morskiej kąpeli w Adriatyku i ciesząc się pięknem tutejszego kurortu. Szefem ewakuacji z terenu Jugosławii był pułkownik Leopold Gebel, prezes jej klubu sportowego „Warszawianka”. W tym czasie Hitler najechał na Holandię, Belgię i Francję. Camilla współorganizowała ucieczki z obozów i przerzuty do wojska polskiego we Francji. Od czasu do czasu ktoś wyjeżdżał, ale nie do Francji, lecz do Palestyny, do armii brytyjskiej. Camilla codziennie dawała polskim oficerom lekcje angielskiego. Gdy punkt przerzutowy w Splitcie został zlikwidowany, część osób przerzucono do Palestyny, a resztę do obozów dla przejściowych uchodźców, pod opieką rządu jugosłowiańskiego. Camilla odmówiła przyjęcia francuskich papierów i nie pojechała do Francji. Chciała przedostać się na Węgry i być bliżej Polski.

W Budapeszcie, poszła do znajomego „po linii szermierczej”, generała Jányego, dowódcy I korpusu. Dostała legitymację uchodźczą, miała się tylko co miesiąc meldować na policji. Od 1941 r. działała w tajnej służbie kurierskiej.

Dawała też żołnierzom lekcje francuskiego. Wreszcie została guwernantką dziesięcioletniego syna pułkownika Károlya Lázára – później generała, dowódcy gwardii królewskiej. Trafiła tam „z polecenia” Luda Wodzickiego, kolegi z Poznania, który studiował leśnictwo. Podczas zakopiańskich zawodów FIS w lutym 1939 r. poznał Węgierkę, i to z arystokratycznej rodziny. To oni załatwili Camilli posadę u Łazarów, która się zamieniła w niemal dwuletni pobyt. Camilla Mondral miała sporo czasu, mały Miki Lázár chodził do szkoły. W antykwariacie kupiła sobie podręcznik do nauki języka węgierskiego dla Francuzów. Mowę węgierską wciąż słyszała wokół siebie, kojarzyła dźwięki z pisanym słowem, a jak miała kłopoty, chodziła na konsultacje do kuchni, gdzie z zapałem pomagali jej kucharka, pokojówka i kierowca.

Później dostała posadę jako węgierska urzędniczka w Biurze Projektów Inżynierskich i od tej chwili zamiast po francusku mówiła wyłącznie po węgiersku.

Jesienią 1943 r. poznała Ryśka Gardy i dzięki niemu ponownie włączyła się do polskiej służby kurierskiej „W”. Wystawiali potrzebne dokumenty, stawiali odpowiednie pieczętki i tajna szkatuła wędrowała do piwnicy, skąd dla niepoznaki, bo Gestapo bardzo węszyło, przynosili drewno opałowe. W 1944 r. została zaaresztowana, podczas rewizji zdołała zdjąć z gwoździa klucze od piwnicy, następnie z łazienki, dla niepoznaki spuszczaając wodę wyrzuciła je przez okno. Więziona była w Budapeszcie w więzieniu wojskowym przekazanym Niemcom, gdzie przebywała z Katalin Karády, sławną śpiewaczką i aktorką filmową, bożyszcze wojennego pokolenia. Podczas kolejnego obchodu komendanta więzienia, któremu towarzyszyła zakonnica (kto miał w depozycie odebrane w dniu aresztowania pieniądze, mógł prosić o mydło czy papier toaletowy), Camilla widząc, że jej słaby niemiecki robi na Niemcach wrażenie, poprosiła siostrę o zakup podręcznika do nauki języka niemieckiego. Komendant się zgodził i za dwa dni dostała dwa grube tomy „Uczymy się języka niemieckiego”. Pamiętała, jak mozolnie sylabizowała pierwszą węgierską książkę, jakiś kryminał. Od tego czasu radziła każdemu, kto uczy się języka obcego, żeby zaczął od czytania kryminału – sama akcja i dialogi, czyli słownictwo stosunkowo ograniczone i proste zdania. Dzięki nauce języka niemieckiego, zagłuszała niepokój o rodziców pozostawionych w czasie wojny w Polsce i czarne myśli, że nigdy stąd nie wyjdzie. Narzucała sobie „reżim myślowy”. Jednego dnia myślała tylko po francusku, drugiego tylko po angielsku. Układała sobie zdania, które tłumaczyła kolejno na cztery języki.

Wkrótce Camillę wraz z częścią więźniów wywieziono z Budapesztu na przymusowe roboty do obozu w Wiener Neustadt w Austrii. Tam dotarła do

nich wiadomość o nieudanym zamachu na Hitlera. W 1945 r. znaleźli się w fabryce kamgaru w Bad-Vöslau. Camilla dowiedziała się, że Armia Czerwona okrążyła Kraków, Niemcy w panice uciekli, wyzwolono Oświęcim. W kwietniu tego samego roku opuściła obóz i po dwunastu godzinach wróciła z Francuzami na Węgry do Sopronu, a stamtąd do Budapesztu. Przebycie dwustu pięćdziesięciu kilometrów spod Wiednia do Budapesztu trwało niemal trzy tygodnie. Tam wszyscy powoli się odnajdywali. János Kevey uciekł z wojska i już w Debreczynie zgłosił się do armii ludowej. Zgłosił się też inżynier Menyhard z gotowym projektem odbudowy mostu Małgorzaty. Pojawił się i Stanisław Marusarz, który w Budapeszcie stał się legendą. Wieść o pobycie Marusarza na Węgrzech szybko się rozeszła. Mówiono, że na zawodach międzynarodowych jakiś „nieznany” nikomu zawodnik pobił rekord skoczni od razu o trzy metry, a potem zniknął. Pozostało zagadką, kto zdystansował Niemca, właśnie tego, który ustanowił poprzedni rekord. Tajemniczy rekordzista nie podał swojego nazwiska, nie można więc było uznać rekordu. Gestapo nie przestawało za nim węszyć, a wpływy Niemców były na Węgrzech potężne, choć neutralizowała je, jak pisała Camilla, przyjaźń, jaką Węgrzy darzyli Polaków. Na Węgrzech Camilla Mondral przebywała do końca wojny.

Powrót Camilli do kraju, odbudowa stolicy, praca w SW „Czytelnik”

W połowie września 1945 r. Camilla Mondral – po sześciu latach, z których cztery spędziła na Węgrzech, sześć miesięcy w więzieniu i na robotach w Austrii – znalazła się w Krakowie, gdzie spotkała przyjaciela, Jerzego Waldorffa. Odnalazła rodziców w Poznaniu, potem pojechała do Warszawy, by wspólnie z Polakami odbudowywać zrujnowaną stolicę.

Otrzymała posadę w Ministerstwie Przemysłu w Biurze Organizacji Dostaw, gdzie następnie została dyrektorem Państwowej Centrali Handlowej. Organizowała i nadzorowała transporty na Odzyskanych Ziemiach Zachodnich. Na 214 stronie swojej książki wspomina ten moment:

„Wówczas musieliśmy odebrać w NRD 160 tysięcy ton soli potasowych. Tysiąc ton to cały pociąg! Posyłałymi składy wagonów, których połowa gięła, co oznaczało, że była „rekwirowana” przez wojska sowieckie. Nasi kolejarze odnajdywali je z przemalowanymi numerami, załadowane innym towarem, jadące na wschód. Kolejarze pilnowali, żeby je na granicy wschodniej,

w Brześciu czy Medyce, znowu przemasować i zawrócić. Zorganizowałam kilka punktów odbioru na granicy niemieckiej: Szczecin, Kostrzyn nad Odrą, Gubin i Zgorzelec. To były trudne momenty, tereny niemal bezludne, Niemców już wysiedlono, a Polaków jeszcze nie przesiedlono z przyłączonych do ZSRR ziem wschodnich. Duża część soli potasowej, wyładowana gdzie bądź, często w zrujnowanych magazynach, została zmarnowana. Odbieraliśmy również transporty UNRA, także rewindykacje polskie z Niemiec Zachodnich w ramach odszkodowań. Niestety, Związek Radziecki wspaniałomyślnie zrezygnował z nich w naszym imieniu na rzecz NRD”.

I dalej na tej stronie: „Kiedy w roku pięćdziesiątym zrozumiałam, do czego zmierza przekształcenie polskiej gospodarki, a że jestem ekonomistką, zdałam sobie z tego sprawę, wtedy uciekłam w literaturę. Zamiast stu tysięcy dawnych złotych pensji na stanowisku dyrektora departamentu w Ministerstwie Przemysłu, dostawałam teraz około trzydziestu, ale już nie rujnowałam kraju, tylko budowałam polsko-węgierską przyjaźń”.

Gdy władza uzależniła awans od deklaracji wstąpienia do partii – najpierw do Stronnictwa Demokratycznego albo do PPS – Camilla uznała, że nie wstąpi do żadnej organizacji partyjnej i wskoczyła w literaturę – przez furtkę zwaną „przekładem literackim”. I nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, że znajomość języka węgierskiego tak wpłynie na jej życie. Jak stwierdziła po latach, był to jej najpiękniejszy okres w jej życiu.

W „Czytelniku” potrzebowano kogoś ze znajomością języka węgierskiego. Zgłosiła się do prezesa Jana Stefczyka, który znany był ogólnie jako Władysław Kopaliński (1907-2007) – polski leksykograf, tłumacz, wydawca, i podjęła pracę w „Czytelniku”, gdzie pracowała od 1950 do 1956 r. jako tłumaczka i redaktorka Działu Literatury Węgierskiej. Wówczas nie był dostępny żaden słownik węgiersko-polski. W Instytucie Węgierskim znalazła dwutomowy słownik węgiersko-francuski i francusko-węgierski. W „Czytelniku” była jedyną osobą, która na tyle dobrze знаła język francuski, żeby się nim posługiwać.

W 1953 r. do Polski przyjechał na trzy tygodnie Tibor Déry, zaproszony przez Ministerstwo Kultury. Camilla została „wypożyczona” z „Czytelnika”, by mu towarzyszyć i pokazać kraj. Zwiedzili razem Warszawę, potem Trójmiasto, Wrocław, Kraków i Zakopane.

W tym samym roku Camilla poznała, przebywającego w Polsce na paromiesięcznym stypendium, studenta polonistyki uniwersytetu budapesztańskiego. Był to György Gömöri. To on podczas wydarzeń październikowych w 1956 r.

w Budapeszcie szedł na czele demonstracji studenckiej i niósł polską flagę, co zostało uwiecznione na zdjęciach węgierskiej bezpieki. Za studentami poszli robotnicy. Rząd Imre Nagya dopuścił do interwencji wojsk sowieckich. Na znak solidarności i pomocy, w Warszawie ustawiały się kolejki przed Czerwonym Krzyżem, żeby oddać krew dla Węgrów. Tibor Déry przekazał Wiktorowi Woroszyłskiemu swoją minipowieść *Niki*. Po powrocie zwrócił się do Camilli z prośbą o tłumaczenie. Przekład miał ukazać się w czasopiśmie „Po prostu”. Niestety, gdy wykonała pracę, redakcja przestała istnieć.

– Warto by go dostarczyć do paryskiej „Kultury” – poradził Woroszyłski – ale jak?

Epizod z Paryską „Kulturą”

I tu, jak już wielokrotnie, pomogły Camilli kontakty ze środowiskiem sportowców. W Warszawie odbywały się w tym czasie zawody szermiercze „O szablę Wołodyjowskiego”. Zjechały różne zagraniczne zespoły, w tym drużyna francuska. Jej kierownikiem był przyjaciel Camilli, Louis Taillandier. Zgodził się zabrać tekst i dostarczyć Jerzemu Giedroycowi. Tymczasem autor *Nikiego*, Tibor Déry siedział w więzieniu, jako jeden z inicjatorów ruchów październikowych. Skazano go na siedem lat, ale protesty intelektualistów całego świata spowodowały, że zwolniono go po trzech latach.

Przetłumaczone przez Camillę opowiadanie *Niki* ukazało się w 1959 r. bez podania nazwiska tłumacza w paryskiej „Kulturze”. Swoją przekład Camilla otrzymała dopiero po czterdziestu latach. A odważny student György Gömöri szczęśliwie przedostał się w 1957 r. do Wiednia. Skończył studia slawistyczne w Oksfordzie. Już jako profesor przyjeżdżał co trzy lata z Wielkiej Brytanii do Polski na konferencje organizowane przez Uniwersytet Warszawski i Uniwersytet Jagielloński. Dostawał wizę polską, ale wciąż nie przyznawano mu wizy węgierskiej i nie mógł zobaczyć się z rodzicami i bratem. Polscy przyjaciele sprawili, że w Polsce spotkał się z ojcem, który przyjechał do Polski z wycieczką zorganizowaną przez spółdzielnię, w której pracował. Camilla Mondral od 1959 r. regularnie współpracowała z paryską „Kulturą” aż do 1989 r. Podsyłała do druku w dużej konspiracji swoje przekłady utworów Déry`ego, jeden wiersz Gömöriego, a w 1967 r. opowiadanie Istvána Örkénya *Modlitwa*.

Z Jerzym Giedroyciem spotkała się dopiero pod koniec maja 1972 r. Zapraszana od dawna przez przyjaciół literatów z różnych krajów w tym właśnie

roku ułożyła sobie plan podróży do Szwajcarii, Paryża, Londynu i Belgii. Przy okazji chciała wykonać kolejne ważne zadanie, które powierzył jej Woroszyłski – przywieźć wspomnienia Nadziejdy Mandelsztam o jej mężu, poecie, Osipie Mandelsztamie (1891-1938). Pisane przez niego wiersze uchroniła przed zapomnieniem i terrorem stalinowskim jego żona. Sława Osipa rozpoczęła się w latach 70. XX w. za sprawą wdowy po pisarzu, która opisała w swojej książce *Nadzieja w beznadziei* los swego zmarłego męża. Obecnie Osip Mandelsztam, Borys Pasternak i Anna Achmatowa, uważani są za największych poetów rosyjskich XX wieku. Miał jej to ułatwić Jerzy Giedroyc. Zadzwoiła do niego. Spotkał się z nią w mieszkaniu jej przyjaciół szermierzy, niedaleko cmentarza Père Lachaise, bo siedziba „Kultury” w Maisons-Laffitte pod Paryżem była dyskretnie obserwowana.

Na początku lat 90. XX w. z uczniami ówczesnego Technikum Mechanicznego byłam na spotkaniu z Andrzejem Drawiczem w Książnicy Pomorskiej. Wtedy z wielką pasją mówił o literaturze rosyjskiej i o M. Bułhakowie. Camilla Mondral, jako członek zarządu sekcji literackiej ZAiKS-u wręczyła mu nagrodę ZAiKS-u za całokształt pracy przekładowej, ze szczególnym uwzględnieniem pozycji o Mandelsztamie.

W najtrudniejszych latach osiemdziesiątych, w 1983 i 1984 r. ukazały się w „Kulturze” jej kolejne dwa przekłady. W ten sposób chciała okazać wdzięczność za pomoc, jakiej sama doznała od Węgrów i jakiej ten kraj udzielił tysiącom Polaków. Także Polacy solidarnie pomagali Węgrom.

Na Węgrzech mieszkało kilkanaście tysięcy Polaków. Byli to zarówno ci, którzy wyemigrowali podczas drugiej wojny światowej, jak i w latach późniejszych. I tu moje małe wtrącenie: w 1999 r. byłam z siostrzenicą w Budapeszcie i spotkałyśmy starszą panią, która na dźwięk języka polskiego podeszła do nas i z wielkim wzruszeniem powiedziała w kilku słowach, że mieszka tu od czasów

Pianista, Władysław Kędra zagrał jedyny raz w szczecińskiej Filharmonii koncert *f-moll* Fryderyka Chopina w dniu 30 listopada 1948 r. Całkowity dochód z koncertu przeznaczony był na pomoc narodu węgierskiego. / Fot. z archiwum H. i R. Wolfów.





Camilla Mondral w 1995 r.

zakończenia wojny. Teraz jest tu sama i ogromnie tęskni za Polską i polskim językiem.

W 1989 r., za rządów Mazowieckiego i prezydentury Lecha Wałęsy w dwóch warszawskich księgarniach można było już kupić „Kulturę”, a w telewizji zobaczyć redaktora Jerzego Giedroycia. W 1993 r. „Czytelnik” wydał z Archiwum Kultury: Jerzy Giedroyc *Witold Gombrowicz Listy 1950-1969*, a na początku 1995 r. ukazała się książka Ewy Berberyusz *Księżę z Maisons-Laffitte*, I wyd., (Marabut, Gdańsk 1995) i niemal jednocześnie *Autobiografia na czterech rękach* Jerzego Giedroycia. Camilla przeczytała te książki i napisała długi list do Giedroycia, nie licząc na odpowiedź. Tymczasem w ślad za listem, datowanym 3 marca 1995 r. przysłała paczka ze wszystkimi egzemplarzami „Kultury”, w których zamieszczone były jej teksty. Wszystkie te egzemplarze paryskiej „Kultury” obejrzałam i sfotografowałam Camillę Mondral w jej mieszkaniu w 1999 r. Warszawie.

Kiedy Camilla Mondral w 1995 r. skończyła osiemdziesiąt cztery lata, Giedroyc zaproponował jej stypendium z Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze. Zwróciła się z podaniem do Ministerstwa Kultury, dołączając do podania odpis listu przyznającego jej stypendium. Ministerstwo zafundowało jej

przełot do Paryża i z powrotem. Zabrała ze sobą tekst o swoim ojcu, Karolu – „Wspomnienia i impresje na temat znaczka pocztowego”, bo drzeworyt z portretem jej mamy trafił na znaczek pocztowy w serii grafików polskich. Po powrocie z Paryża, wysłała do „Kultury” swoje wspomnienia z pierwszych lat po zakończeniu wojny, kiedy stykała się z problemami gospodarczymi „na najwyższym szczeblu”. Ukazały się w „Zeszytach Literackich” nr 114 pod koniec 1995 r.

W 1955 r. otrzymała trzymiesięczne stypendium na Węgrzech. Mieszkała w hotelu Gellérta, z oknem na górę Gellérta. Nawiązała kontakt ze znaną Jej węgierską tłumaczką literatury polskiej, Gracią Kerényi, poetką, pisarką, która stała się orędowniczką literatury polskiej na Węgrzech. Szczególnie ukochała polską poezję. Przełożyła niezliczoną ilość wierszy, doprowadziła do wydania antologii polskiej poezji po węgiersku. Swoją pracę doktorską napisała pod auspicjami UW na temat „Teatru osobnego” Mirona Białoszewskiego. Była w kontakcie również z Evą Sebök, późniejszą dwuletnią stypendystką w Polsce. Po dwóch latach wyszedł przełożony przez Evę Sebök na język węgierski „Pan Tadeusz” Adama Mickiewicza. W 1958 r. Camilla zrezygnowała z pracy w „Czytelniku”. Znacznie więcej zarabiała na przekładach. Ważne dla niej były wyjazdy na Węgry, gdzie mniej więcej co dwa lata jeździła na trzymiesięczne stypendia. Jej przewodniczką po współczesnej literaturze była Gracia Kerényi, z którą przyjaźniła się dwadzieścia pięć lat.

Od roku 1953 do 1983 była członkiem ZLP i członkiem ZAiKSu, a od 1963 r. działała w Zarządzie Sekcji Literackiej. W 1971 r. została sekretarzem, następnie przewodniczącą Zarządu Klubu Tłumaczy przy ZLP. Tłumaczone przez nią pozycje były wystawiane przez teatry. Przełożony w 1964 r. *Bunkier Mészöly Miklósa* najpierw ukazał się w czasopiśmie „Dialog”, a potem wystawił go Teatr Ludowy w Nowej Hucie, a dziesięć lat później Teatr Nowy w Poznaniu, któremu dyktowała Izabella Cywińska. W 1972 r. tragikomedie w 2 częściach *Zabawę w koty Örkény Istvána* wystawiono w siedmiu teatrach i w Teatrze Telewizji. W spektaklu warszawskim w Teatrze Małym grała niezapomniana Irena Eichlerówna. Te dwie sztuki (dwieście pięćdziesiąt przedstawień w Warszawie) podreperowały budżet Camilli. Mogła sobie pozwolić po latach na dwie wycieczki do Grecji i na Majorkę.

W 1989 r. za rządów Tadeusza Mazowieckiego, kiedy ministrem kultury była Izabella Cywińska, trzy istniejące organizacje literackie: nowo powstały Związek Pisarzy Polskich, Pen Club oraz Związek Literatów Polskich założyły wspólnie z Ministerstwem Kultury i Sztuki Fundację „Dom Literatury i Dom

Pracy Twórczej”. Camilla Mondral była prezesem tej fundacji aż do 1999 r., a więc przez dziesięć lat. Kiedy ją poznałam w 1998 r. jeszcze piastowała tę społeczną funkcję. Życie Camilli Mondral to jedna wielka przygoda, to – jak głosi tytuł jej książki – bieg przez stulecie...

Za swoją postawę obywatelską, sportową, zawodową, społeczną i za usługi na rzecz współpracy polsko-francuskiej i polsko-węgierskiej otrzymała kilkanaście nagród i odznaczeń: 1970 – Médaille Commemorative de l’Institut des Relations Culturelles de Hongrie; 1973 – Węgierski Srebrny Order Pracy; 1974 – Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski; 1975 – Nagroda Węgierskiej Agencji Autorskiej „Artisjus”; 1976 – Order Polonia Restituta; 1980 – Nagroda PEN-Clubu za przekłady z języka węgierskiego; 1984 – Nagroda Stowarzyszenia Autorów ZAIKS; 1985 – Nagroda Węgierskiej Agencji Autorskiej „Artisjus” (po raz drugi); 1988 – Medal „Pro Cultura Hungarica”; 1991 – Węgierski Order Zasługi z Gwiazdą; 1993 – Nagroda Fundacji im. Tibora Déry’ego; 1994 – Zasłużony Działacz Kultury; 1998 – Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski; 1999 – Zasłużony Działacz Kultury Fizycznej; 2000 – Honorowa Odznaka Klubu Sportowego „Warszawianka”.

Moją trwającą zaledwie cztery lata przyjaźń z Camillą przerwała Jej śmierć. Zmarła 12 lutego 2002 r., mając blisko dziewięćdziesiąt jeden lat. Przed śmiercią sporządziła listę osób, które należy o tym powiadomić. O smutnym fakcie zostałam powiadomiona telefonicznie, a następnie uczestniczyłam w ceremonii pogrzebowej, którą celebrował w kościele św. Anny przy Placu Teatralnym w Warszawie kapelan środowisk twórczych, ks. Wiesław Niewęglowski. Została pochowana obok swojego ojca na podwarszawskim cmentarzu w Pyrach.



M. Jaremek z Danutą Dewert przy grobie Camilli.

Część spuścizny i kolekcji pamiątek po ojcu, Karolu Mondralu, Camilla przekazała jeszcze za życia do Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu. Po jej śmierci, mieszkanie przy ulicy Puławskiej w spadku otrzymała wnuczka, Aleksandra Pęksa, wówczas studentka Wydziału Zarządzania i Marketingu UW. Na prośbę babci przekazała do Ossolineum pozostałą część spuścizny po pradziadku i po babci Camilli. Znajomość z Danutą Dewert – za przyjaźnioną od początku z Camillą Mondral – to dla mnie przedłużone ramię Camilli.

Na koniec, wyjaśniam, dlaczego właśnie Paryż i Camila Mondral stały się inspiracją do napisania tak obszernego tekstu. Otóż Paryż, piosenki francuskie, poezja, architektura i kultura były bliskie memu sercu od lat licealnych. Jednak nie było mi dane w liceum uczyć się języka francuskiego. Pierwszy raz pojechałam do Paryża z wycieczką dopiero w 1993 r. Wtedy zapragnęłam odłączyć się od grupy i pojechać do Maisons-Laffitte, lecz z braku czasu było to niemożliwe. W 2012 r., jako długoletnia członkini i sekretarz TPPF, przebywałam na przełomie października i listopada w Paryżu wraz z Krystyną Łyczywek i kilkusobową ekipą prywatnej telewizji. Podczas intensywnych dni zwiedziliśmy większość galerii fotograficznych i malarskich. W deszczowe południe wybrałam się sama z mapką metra i planem miasta odszukać *La Ruche* w dzielnicy Montparnasse i niemal bezbłędnie odszukałam. Moje marzenie spełniło się dopiero dwadzieścia lat po śmierci Camilli.

Zbigniew Tracz (1943-2017)

Z wykształcenia architekt. Był członkiem Klubu Sportowego „Ogniwo” Szczecin. Uprawiał kolarstwo szosowe i kolarstwo torowe na torze im. Zbysława Zająca w Szczecinie. Trenował biegi narciarskie. Był uczestnikiem wielokrotnie biegu Piastów w Dolinie Jakuszyckiej w Jakuszycach – Sudety. W czasach, gdy zamieszkał w Łasku stał się twórcą rzeźb plenerowych w drewnie.

Opracował występowanie gatunków ptaków na terenie Puszczy Drawskiej na obszarze pod przyszły Drawieński Park Narodowy, który utworzono w roku 1990.

(opr. Władysław Łazuka)



(zdj. choszczno.pl/choszcz-powraca/)

Zbyszka Tracza rzeźbienie na skraju Puszczy Drawskiej w wierszach Władysława Łazuki

Przygotowanie do lotu

I

Rzeźbiarzu oto stoisz wśród wirów przemysłów
przydając skrzydłom ptaka lotności przestrzeni
pochylony nad pniem stuletnim jak nad księgą lasu
przyglądnąć się sobie odkrywając stoję
dni słonecznych i słotnych świtów i zachodów
unerwiacie się wzajem w życie przemieniając
to co żmudne wyśnione pod paprocią nocy
opieracie się sobie tak skrawek po skrawku
dłuto ośnik toporek w strużkach potu grają
jeszcze trwa ta mozolna cierpliwa rozmowa
przez pęknięcia przez sęki po rys światłocienia

aż dzień przyjdzie gdy czas już dźwignąć
dzieło trzeba i bielik orłan zakrzyczy w powietrzu
trącając strunę światła wysoko nad ziemią
nad niziną rozległą aż po cień milczenia

II

Zima się zbliża w ogrodach kraczą gawrony
szukają pożywienia
nad polaną krążą płatki śniegu
którego świeże plamy
prowadzą powolną korektę pejzażu

Pory roku nad jeziorem Wyrwy w Łasku

Trawy nabierają koloru w słońcu
mężczyzna patrzy w górę skąd płynie
pieśń skowronka
Chce być ptakiem
Trzciny poruszone wiatrem mówią o drugim brzegu
mężczyzna czeka na drgnięcie serca i sptawika
a kiedy to już się zdarza zerwana na granicy
powietrza i wody ryba – odpływa
Mężczyzna wychodzi z domu spada ostatni liść
mężczyzna zapatrzony w dal mówi o mijającej jesieni
gwiazdy mrugają ze zrozumieniem
mężczyzna podnosi liść jak przesyłkę
wraca do domu gdzie w świetle ognia
czyta znaki
do okien podchodzi szron
i krzyk odlatujących gęsi
W otwartych drzwiach biel znaczy przestrzeń
mężczyzna zakłada narty biegnie
okolica zajęta codziennymi sprawami
nie dostrzega ginących śladów

Tracz

W ciekawym opracowaniu Michała Rembasa pt. *Cmentarz w szczególności*, na stronie 91, prezentowany jest nagrobek-rzeźba poświęcony babci Tracza – Kalikście, autorstwa jej wnuka, Zbigniewa Tracza. Była Ormianką urodzoną na Kresach, mieszkającą w Jazłowcu.

Zbigniew Jan – bo był dwojga imion – urodził się 8 marca 1934 roku we Lwowie. Nie pomnę i nie dowiedziałem się, kiedy z rodziną przyjechał do Polski. Wiadomym mi jest, że najpierw zahaczyli o Tyniec (ten pod Krakowem), a później przenieśli się do Szczecina. Po 60 latach od śmierci antenatki, bo w 2017 roku, złożono tu też urnę z prochami Zbyszka. Mimo ogromu szczecińskiej nekropolii łatwo tam trafić. To pierwsza aleja w lewo po przekroczeniu głównej bramy cmentarnej. Przy jej końcu znajduje się wspomniany grób. To tylko około 200 metrów od wejścia. W dniu Wszystkich Świętych ozdobiony kwiatami – miły gest przyjaciela Zbyszka, Czesława Sarny.

Zaczynam wspomnienie o Zbyszku od grobu, bo teraz, kiedy Go już nie ma w Łasku, zdarza mi się odwiedzać grób w Szczecinie, w Łasku zaś bywam sporadycznie. Żyje i mieszka tu Marta – żona Zbyszka, z którą stworzyli niepowtarzalny tandem.

W domu – nota bene zaprojektowanym i wybudowanym przez Tracza – pełno jeszcze Jego śladów: rzeźb, rysunków, sprzętów sportowych, trofeów leśnych. Kim był Tracz? Nasuwa się wiele przymiotników określających tę niezwykłą osobowość. Właśnie Tracz – człowiek niezwykły...

Postacie pokroju Tracza przyjęło się określać mianem instytucja. W przypadku Zbyszka nie jest to żadna przesada. Architekt, tatarnik, przyrodnik, podróżnik, ornitolog, jazzman, kolarz, narciarz, a nade wszystko rzeźbiarz i rysownik.

Z zawodu architekt (po Wrocławskiej Politechnice), z pasji przyrodnik i sportowiec. O każdej wymienionej tu pasji Zbyszka można by napisać sporo.

Daremna jest próba hierarchizowania tych pasji według ważności. W różnych okresach aktywnego życia różniły się siłą i zaangażowaniem.

Ze względu na bliską mi profesję i jakąś tam wiedzę, z owej mnogości pasji Tracza zasygnalizuję jedynie Jego dokonania architektoniczne i rzeźbiarskie. Gwoli prawdy, należałoby zmienić kolejność, bo zdecydowanie więcej pozostawił realizacji rzeźbiarskich, mniej projektów architektonicznych. Cóż z tego, skoro z tej sfery twórczości tak niewiele się zachowało. Czas, kornik, spuszczel dokonał totalnego zniszczenia, wszak tworzywem Jego prac było drewno, nie zawsze dębowe czy akacjowe...

Po skończeniu wrocławskiej uczelni osiadł i zatrudnił się w Szczecinie, potem w Choszcznie, a od 1975 roku związał się już z Łaskiem. Zbyszek zakochał się w tych terenach. Schodził je wraz z kolegami na nogach, zjeździł rowerem, a zimą przemierzał na biegówkach. Wyszukał działkę w wymienionym Łasku (gmina Bierzwnik), gdzie w promieniu pięciu kilometrów jest kilka jezior w scenarii pól i lasów pełnych ptactwa i zwierzyny.

To chyba zadecydowało, że w swych pracach projektowych najchętniej podejmował tematy, które pozwalały odmawiać mu projektowania betonowych klocków. Chętniej realizował leśniczówki, stacje wodne, nietypowe plomby mieszkaniowe; adaptował stare chaty z myślą o agroturystyce. Zaprojektował i wyciosał też ze świerkowych bali swój dom w Łasku, gdzie mieszkał z Martą Ryś-Tracz do końca. Zaczynał go stawiać w 1975 roku. Wtedy jeszcze nie znałem Tracza, a już podziwiałem Jego rzeźby na placu przed gorzowskim empikiem. Były to lata 70. ubiegłego wieku.

Latem 1977 roku rozpocząłem pracę w gorzowskim muzeum. Ówczesny jego dyrektor, Zdzisław Linkowski, wpadł na świetny pomysł, by rozległy, przymuzealny ogród ożywić rzeźbami. Zasugerowałem prace Tracza. W tym celu zjawiłem się w Łasku, w czasie, kiedy dom wyrastał z fundamentów. Przed miejscową szkołą podstawową plenerowa galeria rzeźb Tracza – zwierzęta, totemy, formy abstrakcyjne. Ogrom! Oglądałem z podziwem. Taki był początek naszej 50-letniej znajomości, ba – przyjaźni!

Wkrótce, w muzealnym parku stanęły dwie grupy rzeźb: baby i sowy, niezwyczajne w prostej, stylizowanej formie. Mimo impregnacji i konserwacji czas i spuszczel zniszczył je po kilku latach. Zachowała się – na szczęście – dokumentacja.

Nie sposób wymienić wszystkich rzeźbiarskich realizacji Tracza, gdzie tworzywem było mu głównie drewno, a narzędziem siekiera (sic!), rzadziej dłuto.

Piła mechaniczna pojawiła się bardzo późno i używał jej sporadycznie. Przy ich pomocy wyczarowywał z sosnowych czy dębowych pni niezwykle świat zwierząt, bab, orłów, dmuchawców.

Był czas, kiedy w okolicach Choszczna i Bierzwnika rzeźby Tracza stanowiły czytelne akcenty plastyczne. Ale prace Jego można też było spotkać na Wolińcu (Światowid), a obelisk z orłami i herbowymi tarczami w Santoku.

Ocalały nieliczne, w przeciwieństwie do form ze sztucznego kamienia, jak choćby abstrakcyjna rzeźba – pomnik oficerów Oflagu w Choszcznie.

W domu Tracza w Łasku, w moim gorzowskim mieszkaniu, czy na wieży w Santoku można do dziś podziwiać rzeźby miniaturowe, wypieszczone, wyczarowane z gruszy czy dębiny – cały miniaturowy zwierzynek, tak doskonale oddający sylwetkę i charakter tych stworzeń. Nic dziwnego, Tracz to przecież znakomity obserwator fauny i flory.

Dzięki Zbyszkowi i Marcie, Jego żonie-przyrodnicy, danym mi było „złazić” puszczańskie rewiry wokół Drawy, uczestniczyć w inwentaryzacji ptasich gniazd, pływać canoe po jeziorach, a w zimie przemierzać je na biegówkach.

Rzeźby w plenerze Zbigniewa Tracza (zdj. J. Żarnik)



Tracz to znakomity biegacz. Każdorazowo brał udział w zimowych Biegach Piastów w Jakuszycach. Zawsze (!) przywoził z nich dyplomy i medale. On – ceper – wygrywał nawet z zawodowcami, oczywiście w swojej kategorii wiekowej. W 2010 roku brał w nich udział po raz ostatni. Letni wypadek na rowerze (w Krakowie) nie pozwolił Mu już w roku następnym na aktywny udział.

Od czasu wypadku Zbyszek wyraźnie przyhamował. Nadal wędrował po lesie, penetrował okolicę na rowerze, prowadził interesującą, ilustrowaną kronikę, tworzył zdecydowanie mniejsze rzeźby. Wspomniany wypadek spowodował wyraźny uszczerbek na zdrowiu, ostudził aktywność i dotychczasową – godną podziwu – odporność.

W lipcu 2017 roku pokonała Go choroba. Zmarł w gorzowskim hospicjum. Straciłem Przyjaciela z prawdziwego zdarzenia, partnera rowerowych i narciarskich eskapad. Cieszą nadal i przywołują ciepłą pamięć podarowane mi ongiś miniaturowe rzeźby, które „rozsiały” się na półce w mojej gorzowskiej pracowni.

Póki pamięć żywa i sporo śladów po Traczu warto pomyśleć o zachowaniu dorobku Zbyszka. Poddaję to pod rozagę władzom Choszczna i Bierzwnika. Choćby izba pamięci, tablica, nazwa ulicy z nazwiskiem tego niezwykłego Twórcy. Tracz tego godzien!

Marta Tracz

Marzyciel w przestrzeniach

Według książki Hanny Kotwickiej „Ja jestem innym ty. Przewodnik. 1. Kalendarz Majów”, Zbyszek należy do pieczęci (forma archetypu) Czerwonego Księżyca. Osoby takie odgrywają kluczową rolę w podnoszeniu poziomu świadomości zbiorowej... towarzyszący im potencjał sprawia, że są zdolne wprowadzić w ruch każdy bezwład i przekształcić stagnację w postęp. Osoby te tryskają



Z. Tracz „Jaworowi ludzie” /akwarela/ (zdj. archiwum rodzinne)

siłą witalną, mają magiczną moc oczyszczania. To dzięki nim wszystko płynie „panta rhei”.

Próba opisanego złożonej osobowości Zbyszka jest chyba zadaniem niemożliwym. Niepoprawny romantyk, niemieszczący się zbyt w sztywnych ramach ustalonych norm. Dusza niepokorna, potrzebująca stale nowych bodźców, wyzwań, nowych przestrzeni aktywności. Stąd tyle pasji pojawiających się w jego życiu.

Spędziłem razem blisko 40 lat w Toporowej, chacie zbudowanej z bali przez trójkę przyjaciół i pana Raka, lokalnej „złotej rączki”, Hrabiego, Lechutka i Zbyszka. Pomysł budowy powstał po ich powrocie z wyprawy na Spitsbergen.

A my, we dwoje, pieszo, na rowerach, pływając na canoe, z biwakami w różnych miejscach. Dużo kroków i kilometrów, dużo wspólnie wypalonych ognisk, wspólne badania udatności lęgów ptaków drapieżnych w naszej Puszczy Drawieńskiej (porównawczo do badań stacji ornitologicznej „Świdwie”).

Przez trzydzieści lat prowadziłem Klub Poznawaczy. Bez społecznej pomocy Zbyszka, niezbędnej ze względu na bezpieczeństwo dzieci, nie nauczyłyby się one pływać, jeździć na biegówkach i łyżwach, nie byłoby wypraw, wyjazdów edukacyjnych do miast, wielu noclegów, zwarowanych wypraw rowerowych.

Zbyszek i te czterdzieści lat to chwile niezwykłego wtopienia się w Naturę, zjednoczenia z nią – głosy puchacza, tajemne bulgotki potoków, zawołanie jeleni na rykowiskach, tęskne krzyki odlatujących żurawi... Trudno to wszystko przekazać, to zostaje we wnętrzu człowieka i buduje nowe, pierwotne jakości duszy.

Wyróżniał go spokój ducha, miłość do drewna i natury...

Zbyszka poznałam na zajęciach „Poznawacze“, które w tamtym czasie były jedyną i jednocześnie wyjątkową alternatywą dla dzieci z terenów wiejskich. Towarzyszył nam w wielu wyprawach rowerowych – nie tylko potrafił naprawić nasze rowery, ale również wspierał nas podczas jazdy. Na „Poletku“ pokazywał nam, jak koruje się deski i jak można z nich budować. W moich oczach był przede wszystkim artystą – rzeźbiarzem, którego prace łączyły prostotę i niezwykłą delikatność.

Na urodziny podarował mi dwie rzeźby, które mimo upływu lat i licznych przeprowadzek mam do dziś, ponieważ mają dla mnie ogromną wartość. Jedną z nich był lisek, drugą – piramida. Wręczając mi tę drugą, powiedział, że symbolizuje rozwój i wznoszenie się ku górze – słowa, które głęboko zapadły mi w pamięć i w pewnym sensie zmieniły moja przyszłość.

Uważam, że Marta i Zbyszek w tamtym czasie dali wielu z nas nadzieję na lepsze jutro. Oboje odznaczali się ogromną cierpliwością, troską i opiekuńczością, tworząc razem wyjątkowy duet. Dla wielu z nas stali się kimś na wzór „rodziców zastępczych“ – ludzi, którzy zawsze znajdowali czas dla dziecka.

Zbyszek uczył nas innego obrazu mężczyzny – opiekuńczego, twórczego, potrafiącego budować i tworzyć z prostych rzeczy.

Pamiętam jego lekcje o nakładaniu wosku na drewno, jego przyjacielskie podejście do ludzi, a także dom, który samodzielnie zbudował w trudnych czasach, gdy brakowało dosłownie wszystkiego. Wyróżniał go spokój ducha, miłość do drewna i natury – wartości, które pozostawiły w nas trwałe ślady.

Ahoj, Zbyszku!

Rumiana Baba-matroszka, namalowana przez Ciebie na kawałku drewna, przygląda mi się z kąta.

Pod lampą kawałek drewienka, przypominający kształtem ptasie skrzydło.

Za szybą rulonik brzozy kory z życzeniami urodzinowymi.

Migawki sprzed lat...

Opowiadasz o kobiecie, która dźwiga na plecach chrust z lasu. Za chwilę ma być burza. Staruszka wskazuje kijem niebo. Jesteś zafascynowany tą sceną.

Idziemy łąką śródleśną, przelatuje bekas. Nadstawiamy uszu. Opowiadasz o gnieździe jastrzębia nieopodal w koronach drzew. Znalazłeś tam, rozpostartą jak bęben, skórę żmii.

Pieczemy kromki chleba w ognisku. Smarujemy miodem. Popijamy herbatą na zagotowanej wodzie z jeziora. Pycha! Wszędzie Wasze wspomnienia, Twoje i Marty. Las jak pamiętnik.

Toporowa do dzisiaj pachnie tak samo. Ten zapach to WROTA CZASU.

Naprawili drogę Brzeziny-Łasko. Nazwałam ją DROGĄ ZBYSZKA TRACZA. Podobno nie tylko ja. Byłbyś zachwycony. Jest idealna.

A teraz odpływasz każdego roku dalej... w taką ciszę bez dna, harmonię i piękno. Nieuniknione.

Ze Zbyszkiem

Ze Zbyszkiem zawsze były związane wakacje w Łasku. Improwizacja. Nigdy nie było wiadomo kiedy i z jakim pomysłem wpadnie do naszego domku. „Bądźcie jutro na parkingu leśnym. Tu masz mapkę. Weźcie karimaty i śpiwory. Będziecie nocować w lesie”. I byliśmy, z moją córką. A Marta i Zbyszek czekali na parkingu. „Wyjeżdżamy jutro o 8.00, na rowerach. Wrócimy późno”. Nigdy nie pytałam dokąd jedziemy ani jakie atrakcje nas czekają. A one były różne: obserwacje ptaków, kąpiele w dzikich miejscach jezior, przeprawy po pas w błocie przez mokradła, tajemnicze, pełne grzybów miejsca. Ale... i wchodzenie Zbyszka i mojej córki na wysokie drzewa. Obie z Martą, przerażone, próbowałyśmy powstrzymać takie pomysły. Bezskutecznie. Zawsze herbata w kociołku na ognisku i grzanki z miodem. Zbyszka rozsadzała energia i wprost dziecięcy entuzjazm podczas każdego wspólnego naszego wypadu do lasu czy nad jeziora.

Andrzej Nowacki

Zbych!

Poznaliśmy się...

Poznałem GO i zaprzyjaźniliśmy się pod koniec lat 70. ubiegłego wieku.

Poznałem, ale nie znałem tak naprawdę jako człowieka. Architekt-artysta.

Zaciekawił mnie bardzo świetnymi projektami, monumentalnymi rzeźbami z drewna, pięknymi i niepowtarzalnymi. Jego styl życia był na pewno nietypowy. Był indywidualistą, stąd intrygował mnie i zadziwiał. Dbłość o kondycję fizyczną, treningi na rowerze, wytrwałość w tym, co robił były dopełnieniem Jego obrazu. Wrażliwość swą zmanifestował, wycofując się z zespołowej pracy w zawodzie architekta. Powiedział mi: „Człowiek tak się skundlił, że nie ma dla mnie tam miejsca”.

Z tą myślą pozostał przez całą naszą znajomość. Scenki ze wspólnej codzienności zatarł czas. Lubilem Go na pewno. Może przytoczę jedną scenkę... Pamiętam pierwszy uścisk dłoni na przywitanie i wzajemne przedstawienie się. W piękny, słoneczny poranek na polanie przed Jego drewnianą chatą, gdy ciosał siekierą duży pień leżącego drewna. Pomyślałem – aparycja Indianina, włosy do ramion, jasne, twarz szczupłą, ascetyczną o inteligentnym wyrazie, strój niedbały, sylwetka intrygująca. W moim odczuciu nieprzystająca do PRL-owskiej „prozy życia”. Poczułem, że mu zazdroszczę takiego wyboru w tych trudnych czasach. Zdobył się na odwagę innej egzystencji, której był wierny do końca – Zbyszek Tracz! Takim Go postrzegałem. Amen! Andrzej N.

Bierzwnik, 28 VII 2025 r.

Lucyna Prasil

Moje wspomnienie

Do Łaska przyjechałam zaproszona przez Martę i Zbyszka po raz pierwszy pod koniec lat siedemdziesiątych. Mieszkali jeszcze w „Stodołowej”, idea chaty dopiero się rodziła i powoli realizowała. Z Martą przyjaźniłyśmy się od dawna, ze Zbyszkiem, jego przyjaciółmi. Ze Zbyszkiem zwanym „Hrabią” i Lechutkiem spotkaliśmy się już w Gorcach, gdzie panowie szaleli na biegówkach.

Z tych pierwszych lat, bo bywam tam do teraz, przypominam sobie wyprawy rowerowe po bliższych i dalszych lasach – zawsze czekał na mnie gościnny

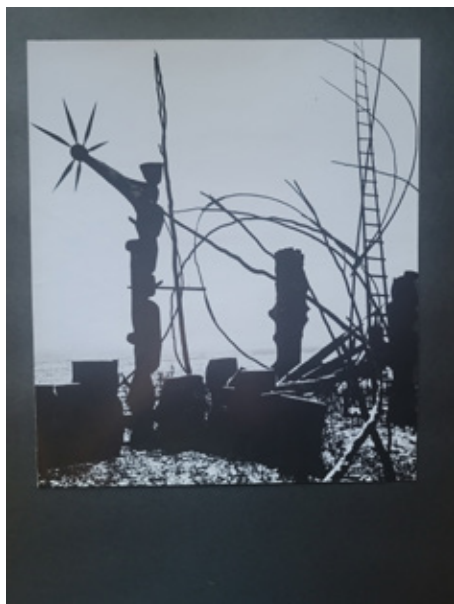
rower – „podglądanie” ptaków, włóczęgi po okolicy, pływanie na canoe’u i kąpiele w jeziorach, palone ogniska... oraz uczestniczenie w niezwykłych zajęciach plastycznych „Poznawczy” dla dzieci, które obejmowały chyba wszystkie dziedziny życia... łącznie z budową statku i pływającymi na wietrze rybami.

Trudno pominąć budowę „Toporowej”: Zbyszka smołującego dach, pomagalam na tym dachu, donosząc smołę, którą Marta gotowała w kotle na ognisku...

Z późniejszych lat utkwiała mi w pamięci wyprawa na pola Słowina, kiedy to i Marta, i Zbyszek, i ja schowaliśmy się przed deszczem, który okazał się być burzą pod wielkim dębem, który odtąd ma własne imię. I wyprawę na grzyby, których, jak się okazało niestety nie było, i nie było też niestety już tego lasu. Przypominam też sobie błysk w oczach Zbyszka, kiedy dostał książkę o kolarstwie. Równie szczęśliwy zapewne bywał, zdobywając nagrody w biegach narciarskich w Jakuszykach.

Zbyszek w mojej pamięci zapisał się jako wielki pasjonat życia pochłonięty najróżniejszymi dziedzinami, zauroczony lasem i przyrodą, chociaż czasem potrafił też być gwałtowny i porywczy. Wśród znajomych i okolicznych mieszkańców jawił się jako niezmordowany cyklista i wędrowiec, zimą przemierzający okolicę na biegówkach i łyżwach. Dorzucam do tego pasję rzeźbiarską – realizowane rzeźby i te wszystkie małe zwierzątka, ilustracje i rysunki oraz dobrą architekturę drewnianą, którą projektował.

I jeszcze zapisek Zbyszka, który do tej pory można przeczytać przyczepiony pinezką nad biurkiem: „Tylko tego jednego mi szkoda, że na świecie znów będzie piękna pogoda, że znów będzie maj”.



„Poletko” – miejsce plenerowe pracy Z. Tracza
(zdj. Olgierd-Donek Dewitz)

Zbyszek

Kiedy myślę o Zbyszku, nieodmiennie widzę anioły. Początkowe te, które widywałam tu i ówdzie na polach. Fascynujące! Piękne i nieoczekiwane, zwłaszcza w tej scenerii! Fascynowały one również mojego wuja, Donka, który robił im dziesiątki zdjęć (a był bardzo utalentowanym fotografikiem). Gdy w 1983 roku wuj, Olgierd Dewitz umarł, Zbyszek postawił mu anioła na grobie na cmentarzu w Breniu. Z czasem anioł postarzał się, popękał i wtedy Zbyszek postawił mu nowego anioła, stoi do dziś na grobie. A pierwszy pilnuje naszego domu na ganku w Łasku (zresztą domku zaprojektowanego właśnie przez Zbyszka). W dziesięć lat później umarła żona wujka, a moja ukochana ciotka, Tucha. Została pochowana obok męża. Było to niemałe wyzwanie dla Zbyszka, który i ją chciał obdarować. Jakie towarzystwo dla anioła?! Stanął piękny pomnik wyobrażający płomienie z harcerską lilijką.



Donek i Tucha to osoby, dzięki którym poznałam Zbyszka i Martę w końcu lat 70. XX w., kiedy zaczęłam przyjeżdżać do Łaska. Trudno myśleć mi dziś o Zbyszku, nie myśląc o Marcie i aniołach, i Donku, i Tuzie. I niech tak zostanie!

Rzeźby dla Tuchy i Donka Dewitzów /cmentarz w Breniu/ (zdj. archiwum rodzinne)

WYWIADY

Kondycja współczesnego człowieka wywiad z Chantal Delsol (Uniwersytet Szczeciński, 6 czerwca 2019 r.)

Chantal Delsol (ur. w 1947 roku w Paryżu) to francuska filozofka polityczna, myślicielka, profesorka i wykładowczyni uniwersytecka Uniwersytetu Paris-Est Marne-la-Vallée, pisarka, felietonistka *Le Figaro*, a od 2007 roku członkini Akademii Nauk Moralnych i Politycznych w Paryżu. Należy do najwybitniejszych postaci współczesnej myśli francuskiej. Aktywnie działa na rzecz nauki i edukacji: w roku 1993 założyła Instytutu Badań nad Totalitaryzmem im. Hannah Arendt (zwany również Ośrodkiem Studiów Europejskich), a w roku 2016 Paryską Szkołę Profesorską, która kształci wykładowców i nauczycieli. Jako filozofka zyskała dużą popularność z początkiem XXI wieku, pisząc, między innymi, o: późnej nowoczesności, demokracji, totalitaryzmie, populizmie, szkolnictwie, filozofii prawicowej, historii religii chrześcijańskiej, współczesnej filozofii Europy Wschodniej. Myśl filozoficzna prof. Chantal Delsol podejmuje kwestie, między innymi, tożsamości Europy,



tożsamości Francji, godności człowieka, teorii politycznych. Filozofka często nawiązuje do zagadnień religijnych i moralnych w kontekście kondycji współczesnego człowieka, ukierunkowując humanistykę na perspektywę nadziei.

Deklaruje się jako katoliczka, antykomunistka, a swoje poglądy określa mianem liberalnego konserwatyzmu⁶¹, który zakłada dążenie do równowagi między postępem, nowoczesnością i zachowaniem struktur społecznych i kulturowych, wypracowanych w przeszłości⁶². Konserwatywny liberalizm Chantal Delsol promuje zasadę subsydiarności⁶³. Za wyborem takiej filozofii idą konkretne postawy i czyny. Chantal Delsol jest przeciwniczką rejestrowanych związków partnerskich (PACS), które postrzega jako regres cywilizacyjny i przyczynę wzrostu liczby porzucanych przez rodziców dzieci. Należy do ruchów antyaborcyjnych; w 1991 była patronką Międzynarodowego Dnia dla Życia. W ostatnich latach (2022, 2023) podpisała wiele petycji przeciw samookreślaniu transpłciowości.

Twórczość literacka pani profesor zyskała wiele uznania, czego dowodem jest szereg nagród, między innymi: Prix Mousquetaire (1996), Prix Joseph-du-Teil (1998), Prix Raymond de Boyer de Sainte-Suzanne (2001).

Chantal Delsol jest znana polskiemu czytelnikowi dzięki licznym publikacjom, które od lat dziewięćdziesiątych ukazują się na polskim rynku wydawniczym, ciesząc się uznaniem; są to głównie publikacje naukowe zakorzenione w filozofii, historii idei i moralności, tj.: *Zasada pomocniczości* (tłum. Cz. Porębski, Znak, Kraków 1995), *Esej o człowieku późnej nowoczesności* (tłum. M. Kowalska, Znak, Kraków 2003), *Czym jest człowiek? Kurs antropologii dla niewtajemniczonych* (tłum. M. Kowalska, Znak, Kraków 2011), *Nienawiść do świata. Totalitaryzmy i ponowoczesność* (M. Chojnacki, Pax, Warszawa 2017), *Kamienie węgielne. Na czym nam zależy* (tłum. M. Kowalska, Znak, Kraków 2018), *Czas wyrzeczenia* (tłum. G. Majcher, PIW, Warszawa 2020), *Koniec świata chrześcijańskiego. Inwersja normatywna i nowa era* (tłum. P. Napiwodzki, Wydawnictwo

61 Liberalny konserwatyzm jest ideologią polityczną, gospodarczą i społeczną, która stara się pogodzić wolność osobistą, własność prywatną, gospodarkę rynkową z wartościami konserwatywnymi takimi jak: szacunek dla tradycji, odniesienie do autorytetów, porządek publiczny, bezpieczeństwo, tożsamość narodowa, dziedzictwo religijne, rodzina.

62 Za protoplastę nowoczesnego konserwatyzmu uchodzi irlandzki filozof i polityk, Edmund Burke (1729-1797).

63 Zasada subsydiarności (pomocniczości) to reguła należąca do katolickich doktryn społecznych. Opiera się na zdolności do interwencji wyższych instancji władzy na niższym poziomie, ale dopiero wówczas, gdy jest to konieczne i wynika z niemocy na niższym szczeblu. Ma ona na celu szerzenie skutecznej sprawczości we wszystkich strukturach. Na tej zasadzie zbudowano fundamenty administracji Unii Europejskiej.

WAM, Kraków 2023). Z powieści napisanych przez Delsol, w Polsce opublikowano *Wariatki* (tłum. K. Szeżyńska-Mačkowiak, Książnica, Katowice 2002).

Jej filozofię, dokonania i postawę doceniono we Francji i na całym świecie, przyznając np. prestiżowy tytuł *doktora honoris causa* w Rumunii (Uniwersytet Babesa i Bolyaia), w Polsce (Katolicki Uniwersytet Lubelski), czy tytuł *profesora honorowego* w Uniwersytecie Ricardo Palma (Lima, Peru). We Francji otrzymała Order Legii Honorowej (2009).

Delsol jest częstym gościem w Polsce, gdzie szanowane jest jej konserwatywne stanowisko w obszarze moralności. Popularność zdobyły jej publikacje filozoficzne, dotyczące kondycji współczesnego świata. Udziela wywiadów w polskich mediach. Współpracowała z wybitnymi Polakami. Osobiście знаła np. prof. Barbarę Skargę (1919-2009). Napisała wstęp do francuskiego wydania książki *Filozofia dramatu*⁶⁴ ks. prof. Józefa Tischnera (1931-2000), którego idee popularyzuje we Francji, podobnie jak innych polskich myślicieli, których ceni.

W dniach 6-9 czerwca 2019 roku w Szczecinie i Pobierowie, z inicjatywy romanistów Uniwersytetu Szczecińskiego, odbyła się Międzynarodowa Konferencja Naukowa⁶⁵ pt. *Pérégrinations vers le divin*⁶⁶ (*Peregrynacje ku transcendencji*). Konferencja zgromadziła naukowców, którzy zajmują się literaturą francuskojęzyczną w Polsce i na świecie⁶⁷. Jako gość honorowy⁶⁸ konferencji prof. Chantal Delsol wygłosiła wykład inauguracyjny, pt. *Le voyage européen*

64 Józef Tischner, *La philosophie du drame*, trad. M. Laurent, préface Chantal Delsol et Maryla Laurent, Éditions du Cerf, Paris 2012.

65 Komitet naukowy konferencji: Jean-Louis Benoit (Université de Bretagne Sud), Giovanni Dotoli (Université de Bari), Chantal Delsol (Académie des Sciences morales et politiques), Katarzyna Dybeł (Uniwersytet Jagielloński), Ana-Maria Girleanu-Guichard (Université de Strasbourg), Anna Kricka (Uniwersytet Szczeciński), Nelli Sołonko (Uniwersytet Szczeciński), Mateusz Stróżyński (Uniwersytet Adama Mickiewicza). Komitet organizacyjny: dr Anna Kricka, dr Nelli Sołonko (Katedra Filologii Romańskiej Uniwersytetu Szczecińskiego). Patronaty honorowe: Olgierd Geblewicz, marszałek województwa zachodniopomorskiego; Pierre-Frédéric Weber, konsul honorowy Francji w Szczecinie.

66 Zwieńczeniem konferencji jest publikacja, monografia *Pérégrinations vers le divin*, wydana w 2022 roku we francuskim, prestiżowym i wiodącym wydawnictwie naukowym Éditions du Cerf z siedzibą w Paryżu, pod redakcją dr Anny Krickiej i dr Nelli Sołonko.

67 Tematem egzystencjalnych dążeń człowieka do świata wartości duchowych zajęło się 32 naukowców z akademickich ośrodków takich jak: Polska, Francja, Kanada, Rumunia, Włochy, Algieria, Wybrzeże Kości Słoniowej. Łącznie odbyły się cztery sesje plenarne i osiem paralelnych, którym towarzyszyły dyskusje. Pismo Uniwersytetu Szczecińskiego, *Przegląd Uniwersytecki* (nr. 317-319, 4-6 2019), opublikowało sprawozdanie z konferencji w czerwcu 2019 roku.

68 Konferencję podsumował list profesora Jana Prokopa (1931-2023) z Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, romanisty, autora podręczników akademickich do historii literatury i kultury francuskiej. Treść listu była dopełnieniem myśli, którą w wykładzie inauguracyjnym podjęła Chantal Delsol.

comme expérience, aventure et quête de la vérité (Europejska podróż jako doświadczenie, przygoda i poszukiwanie prawdy⁶⁹).

Przed rozpoczęciem konferencji, którą wspierała jako członkini komitetu naukowego, w dniu 6 czerwca 2019 roku, Chantal Delsol zgodziła się odpowiedzieć na kilka pytań. Wywiad przeprowadziły, opracowały i przełożyły z języka francuskiego na język polski dr Anna Kricka i dr Nelli Sołonko⁷⁰ z Katedry Filologii Romańskiej Uniwersytetu Szczecińskiego.

Nelli Sołonko: *Pani publikacje książkowe poruszają wiele współczesnych problemów politycznych i antropologicznych związanych z zakorzenieniem i edukacją człowieka. Czy pani poglądy i zainteresowania humanistyczne uległy z czasem znaczącym zmianom, przewartościowaniom? Czy może zawsze broniła pani tych samych wartości społecznych, politycznych i humanistycznych?*

Chantal Delsol: Nie. Nie zawsze broniłam dokładnie tych samych wartości. Towarzyszy mi jednak pewna myśl przewodnia: jestem liberalną konserwatystą, zwolenniczką Tocquevilla⁷¹, czy kimś w tym stylu. Jestem jednocześnie liberalna i konserwatywna, nigdy tak naprawdę się nie zmieniałam, z wyjątkiem tego, że w młodości dałam się prawdopodobnie zwieść przez ruchy, które nazwałabym korporacyjnymi; to była aberracja, więc wyparłam to z pamięci. Jak zmieniałam się z biegiem czasu? Z powodów osobistych, patrzę inaczej na kobietę. Stałam się większą feministką. Bliscy nazywają mnie feministką, a w mojej rodzinie to poważne oskarżenie. Nie sądzę, że jestem feministką w klasycznym tego słowa znaczeniu, ale coraz częściej bronię kobiet i bardziej niż w przeszłości, ponieważ zrozumiałam wiele rzeczy. To jest moja prawdziwa przemiana. Stałam się też bardziej sceptyczna wobec radykalizmu religijnego, z którym zderzyłam się w pracy. Jestem związana ze środowiskiem katolickim, mam dużo przyjaciół katolików i widzę, jak wielu z nich czyni z wiary ideologię, a to niebezpieczne. To także duża zmiana w moim myśleniu.

⁶⁹ Wykład inauguracyjny pani profesor Chantal Delsol wygłoszony na szczecińskiej konferencji w 2019 roku i przetłumaczony na język polski przez Annę Kricką i Nelli Sołonko został opublikowany w numerze 91-92 z 2023 roku czasopisma naukowego *Christianitas* (s. 120-130).

⁷⁰ W transkrypcji rozmowy przyjęto skróty: A.K. dla Anna Kricka, N.S. dla Nelli Sołonko, Ch.D. dla Chantal Delsol.

⁷¹ Alexis de Tocqueville (1805-1859) – francuski myśliciel polityczny, socjolog. W swoich założeniach zwracał uwagę na niebezpieczeństwa tyranii większości, które mogą zrodzić się w społeczeństwach demokratycznych. Ostrzegał przed nadmiernym indywidualizmem, który osłabia więzi społeczne i ułatwia władzy kontrolę nad społeczeństwem.

N.S.: W jaki sposób można bronić kobiet we współczesnym świecie?

Ch.D.: Myślę, że wiele już się zmieniło. Z jednej strony zaszły duże zmiany, ale zauważam, że nawet młodym kobietom, w wieku moich córek, jest nadal bardzo trudno dzielić życie z mężczyznami, którzy mają męskie przyzwyczajenia z poprzedniej epoki. Z drugiej strony sędzę, że kobiety nie są wystarczająco cierpliwe. A cierpliwość jest bardzo ważna. Zmiany dokonują się stopniowo, trudno je zdefiniować jednoznacznie, a te w dziedzinie moralności i świadomości rzeczywiście się dokonały na wielką skalę. Myślę jednak, że wciąż jest wiele rzeczy do zrobienia. W każdym razie we Francji. Nie wiem, jak to wygląda w Polsce.

N.S.: Chyba jest podobnie. Nadal należy występować w obronie kobiet, które muszą walczyć o wolność...

Ch.D.: Wspomnę o jednej z moich doktorantek, z którą widziałam się tuż przed przyjazdem do Polski. To bardzo utalentowana osoba, która przygotowała pod moim kierunkiem pracę doktorską o macierzyństwie i która jest teraz w ostatnim miesiącu ciąży. Kończy doktorat i jednocześnie pracuje; robi wiele rzeczy na raz i robi je dobrze. Usłyszała od pracodawcy, że ten rok jest dla niej stracony. A przecież jest inaczej, jest to rok szczególnie bogaty, nawet podwójnie. Takie wypowiedzi trudno nadal akceptować. A ponieważ jesteśmy w okresie przejściowym, musimy po prostu przeczekać. Mój bardzo dobry przyjaciel, wielki francuski historyk i znawca głównych przemian społecznych, Emmanuel Le Roy Ladurie⁷², gdy zapytałam o czas potrzebny na wdrożenie wielkich przemian, odpowiedział mi: „dwa wieki”. Podobnie odpowiedział na pytanie o postęp w emancypacji kobiet. Trzeba więc być cierpliwym.

N.S.: Czy istnieje jakiś sposób, jakaś metoda, aby uchronić się od tego, co zniewala człowieka i całe społeczności? Czy można uchronić się od utopii i tyranii politycznych?

Ch.D.: To bardzo trudne pytanie. Mogę wskazać tylko na sensowną edukację, bo wiedza pozwala na konfrontację z rzeczywistością. Oznacza to, że trzeba pogodzić się z faktem, że życie jest trudne i przestać cały czas śnić. Część katolików potrafi odpowiedzieć na to wyzwanie, ale nie wszyscy. Jeśli żyjemy ciągle w utopijnym świecie, to wyobrażamy sobie na przykład, że nie będzie już nigdy wojen, że istnieje międzynarodowa sprawiedliwość, że jesteśmy dalecy od wszystkich utopii. Dzieci powinny mieć rozumną i konfrontującą się

⁷² Emmanuel Le Roy Ladurie (1929-2023), francuski historyk, mediewista i nowożytnik. Jest uznawany za pioniera mikrohistorii.

z rzeczywistością edukację, ale jednocześnie powinny mieć odniesienie do wartości, ponieważ potrzebują etycznego ideału. W przeciwnym razie mogą stać się czystymi cynikami. Potrzebujemy równowagi. Jest to kwestia złożona.

N.S.: *Jakich wartości należy współcześnie bronić w edukacji, badaniach naukowych, szkołach i na uniwersytecie?*

Ch.D.: Należy rozwijać idee humanizmu, a te istnieją wszędzie. Chińczycy są humanistami, Hindusi są humanistami. Nie wystarczy być zatem humanistą. Trzeba rozwijać nasze idee humanistyczne, ponieważ każda kultura ma swoje własne wyobrażenie humanizmu. Nasz humanizm, to „humanizm dystansu”. „Humanizm dystansu”, nie oznacza, że dba się o współmałżonka tylko wtedy, gdy jest chory. To oczywiste, że trzeba się nim zaopiekować. Ale humanizm polega również na tym, że gdy przychodzi list do męża czy żony, to się go nie otwiera. Na tym polega nasz „humanizm dystansu”. Musimy rozwijać właśnie to, co nie istnieje wśród wyznawców islamu, ponieważ w ich kulturze mąż otwiera list żony, ale nie działa to w drugą stronę.

N.S.: *W pani publikacjach powraca motyw godności człowieka. Jak ją zdefiniować w czasach ponowoczesnych, relatywizujących również tę wartość? Jak chronić godności w przestrzeni uniwersyteckiej?*

Ch.D.: Godność człowieka jest świętością pojedynczej osoby. Osoba jest święta. Święta jest od początku, ponieważ została wybrana przez Boga, ponieważ jest stworzona na Jego obraz i podobieństwo. Gdy się przestaje być chrześcijaninem, zaczyna się myśleć jak Kant, chodzi wtedy o autonomię. Ale godność jest zawsze świętością pojedynczej osoby. Broni się jej coraz mniej, ponieważ broni się nie tylko świętości osoby, ale również krowy, czy małpy. To dlatego, że jesteśmy pod silnym wpływem buddyzmu. To jest animalizm. My zaś musimy bronić naszej formy humanizmu.

N.S.: *Na jakim dziedzictwie europejskim należy się wesprzeć? Co stanowi kamień węgielny Europy? Z jakiego dziedzictwa europejskiego należy czerpać, a jakie odrzucić, aby odzyskać równowagę tożsamościową Europy?*

Ch.D.: Kamienie węgielne Europy to myśl judeochrześcijańska, ponieważ również Stary Testament jest naszym dziedzictwem i jest to bardzo ważne. Dziedzictwem jest chrześcijaństwo i myśl rewolucyjna, myśl odrodzenia, a także Oświecenie. Nie mam na myśli tylko francuskiego Oświecenia, ale myślę również o szkockim, austriackim i innych. Oświecenie nie wchodzi w konflikt z religią, pogłębia na swój sposób myśl religijną, czasem wprowadza także perwersję, ale to nie musi być zaraz złe. Każda myśl jest pewnym wkładem. To

właśnie nasze dziedzictwo. Musimy zachować wszystko. Wczoraj wieczorem rozmawialiśmy o dziedzictwie islamu w Europie, które jest efektem długiej obecności muzułmanów w Hiszpanii; muzułmanów mamy zresztą wielu i dziś we Francji. Nie wolno nam zaniedbywać tego dziedzictwa. Ale nie możemy popadać w przesadę i poczucie winy wobec przeszłości. Muzułmanie są niewielką częścią naszego dziedzictwa, a z pewnością nie są jej znaczną częścią. Najważniejszą wartość ma humanizm chrześcijański, który czyni człowieka świętym, mężczyznę i kobietę. O tym nie ma mowy w Koranie. W Koranie jest napisane, że Bóg woli mężczyzn. Zatem musimy bronić naszych wartości.

N.S.: Czy dziedzictwo europejskie może stanowić wzór kulturowy dla świata w ogóle? Czy może mieć ono wymiar globalizujący?

Ch.D.: Nie jestem przekonana, ponieważ jesteśmy jedynym kontynentem, w przeciwieństwie do Azji, gdzie podchodzi się do zabytków, jak do świętości. Wróćmy chociażby do debaty wokół paryskiej Katedry Notre-Dame po pożarze sprzed dwóch miesięcy. W Europie zabytki traktuje się jak nieśmiertelne, kiedy skrzydło zabytkowej budowli się zapada, budujemy podobne, ale nie zawsze ma ono tę samą formę. W Chinach jest inaczej, budynki nie są wieczne i nieśmiertelne. W Chinach nie ma starożytnych zabytków. Nieśmiertelność istnieje jako idea, ale nie odnosi się do budowli. Nie jestem więc pewna, czy naszą europejską myśl, która jest naszym wielkim, cenionym dziedzictwem, da się wszędzie rozpowszechnić. Nie mam, co do tego pewności.

Anna Kricka: *Pani profesor, pani refleksja nad kondycją współczesnego człowieka odnosi się do nowoczesności, polityki, globalizacji. To tematy wciąż aktualne, a obok nich, dużo mówi się obecnie o ekologii i zarządzaniu energią w kontekście moralnym. Głos zabrał również papież Franciszek I. Co sądzi pani profesor o jego stanowisku? Warto radzić się w tych sprawach duchownych?*

Ch.D.: Oczywiście, że trzeba liczyć się z naturą, ze środowiskiem i dbać o nie. A ludzie zachowują się jak szaleńcy, jak Frankenstein. Jednak ekologia stała się religią wśród wielu młodych ludzi, religią pełną dogmatów, dyskusji i kłamstw. Jest to bardzo niepokojące zjawisko. Ekologia nie może być religią. Religia jest czymś innym. Trzeba być tu bardzo ostrożnym. Pewien wydawca poprosił mnie o napisanie wstępu do książki, której nie polecam, i której treść uważam za niekompetentną, pełną wielu nieprawdopodobnych bzdur nawiązujących do wypowiedzi papieża Franciszka I, że gatunki zwierząt, czy roślin giną zawsze na skutek grzechu człowieka. To kompletne bzdury. Mój ojciec był biologiem i dobrze wiem, że od zarania świata pewne gatunki giną bez udziału

człowieka. Respektuję papieża, ale nie znaczy to, że zakładam, iż on nie popełnia błędów. To, że jest papieżem nie oznacza, że może być autorytetem w sprawach ekonomii, ekologii itp. Sama nie podjęłabym się wiążącej opinii na temat gospodarki na przykład. Zabierając głos w ważnych kwestiach, trzeba bardzo dobrze je znać, zgłębić. Odnosnie ekologii, sądzę, że byłoby lepiej, aby papież się nie wypowiadał. Uważam jednak, że należy być wrażliwym na cały otaczający nas świat. Za oczywiste uważam segregowanie śmieci, oszczędzanie wody, jest to bardzo ważne.

A.K.: Zarządzanie energią, to zagadnienie, które wypiera ostatnio inne ważne wydarzenia, jak wojny i problemy krajów trzeciego świata. Czy filozofa, znając konsekwencje wielu niebezpiecznych ideologii, może być stroną doradcą dla polityki energetycznej, która dotyczy człowieka, również jego postawy wobec świata i innych?

Ch.D.: Siłą polityki są politycy. Ostatnio obserwuję jednak często, że na całym świecie, nie tylko we Francji, intelektualiści zdają sobie sprawę, że sprawy energii i ekologii zaczynają funkcjonować jak religia i przejawiają znamiona fanatyzmu. W tym sensie jest to ostrzeżenie. Intelektualiści we Francji i w USA, w tym wielu moich amerykańskich przyjaciół, filozofów, angażują się głównie w obronę wartości i dóbr kultury, ale interesuje ich też natura jako wartość, o którą warto zabiegać. Również ja interesuję się ekologią, nie mam nic przeciw tej idei.

A.K.: Przedmiotem konferencji, którą otworzy pani profesor za kilka godzin, jest droga do transcendencji. Próbowano znaleźć tę drogę od bardzo dawna, a w istocie pozostaje ona wciąż sprawą zadaną i indywidualną. Czy zdaniem pani profesor, są tu jeszcze drogi do odkrycia dla filozofów?

Ch.D.: Należy odnieść się tu do definicji religii, która zawiera w sobie tajemnice wiary. Droga do transcendencji jest związana z religią i pozostanie zawsze pewną tajemnicą. Tajemnica nie definiuje się nigdy i w tym sensie filozofia, gdy będzie zgłębiać tajemnicę, nigdy nie dotrze do sedna. Dotyczy to religii, ale i wszystkich spraw immanentnych w ogóle. Patrząc z perspektywy czasu na dzieje ludzkości, widzę, że nieustannie dzieje się coś nowego. Filozofia nigdy nie przestała poszukiwać głębi, czy usiłować zrozumieć, to co jest nowe wokół nas. Nie sposób, aby filozofia mogła zgłębić wszystko, co dzieje się w danym momencie i zdefiniować to na zawsze, ponieważ zawsze będzie miała przed sobą jakieś wyzwanie.

A.K.: Dziękujemy bardzo, pani profesor, za rozmowę.

Z dziećmi rozmawia się serio o emocjach, książkach i ilustracjach

Współczesna literatura dziecięca coraz śmielej podejmuje tematy, które jeszcze do niedawna uznawano za zbyt trudne dla młodych czytelników – śmierć, rozwody, uzależnienia, depresja. Czy dzieci są gotowe na takie treści? Jak rozmawiać z nimi o tym, co trudne? O roli książek w osławianiu emocji, mądrym przekazywaniu wiedzy i potrzebie autentyczności w literaturze dla najmłodszych jest ten wywiad.

Anna Jakubczak: *Wiele współczesnych bajek porusza trudne tematy, takie jak śmierć, rozwody czy depresja. Czy dzieci są gotowe na takie treści? Jak je przekazywać młodym umysłom?*

Monika Wilczyńska: Rzeczywiście coraz więcej na polskim rynku książki jest historii, które poruszają trudne tematy. Jeszcze parę lat temu to głównie dzięki literaturze skandynawskiej docierały do nas opowieści o depresji, rozwodach i śmierci. Dziś można zauważyć, że coraz częściej po te tematy sięgają również polscy autorzy. W tamtym roku w moje ręce trafiła poruszająca książka „Butelka taty” Artura Gębki. Ta historia o uzależnieniu od alkoholu, pokazuje problem z perspektywy dziecka. To oczywiście nie są historie dla każdego. Nie twierdę, że trzeba je czytać na dobranoc małym czytelnikom. Należy je raczej traktować jako pomoc w rozmowach i w pracy z dziećmi, których te problemy dotyczą. Mogą je świetnie otwierać, pomagają w rozmowie. Dlatego są ważne i potrzebne. Cieszę się, że są i że pozbywamy się tabu w książkach dla dzieci.

A.J.: *Czy literatura dziecięca powinna chronić dziecko przed trudnymi tematami, czy raczej pomagać mu je zrozumieć?*

M.W.: Zdecydowanie to drugie. Zresztą wielu rodziców też jest takiego zdania i szuka pomocy w książkach dla dzieci. Wierzą, że kiedy przeczytają córce o problemach małej Basi, to wspólnie z nią je rozwiążą. Albo czytając książki o odejściu kogoś z rodziny przygotowują malca na to wydarzenie. I to naprawdę się sprawdza.

A.J.: *Jakie cechy powinna mieć dobra bajka dla dzieci? Na co zwraca pani największą uwagę podczas pisania?*

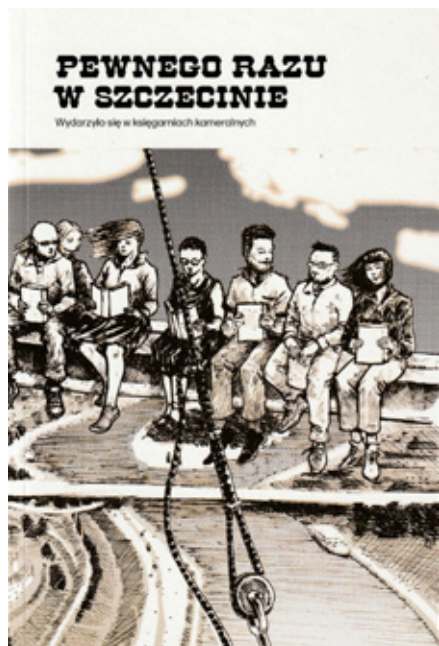
M.W.: Bajki jako gatunek literacki zwykle mają morał. Ja osobiście nie bardzo lubię pouczać, raczej... uczyć, przekazywać jakąś wiedzę. Tak było właśnie z książką „Zamkowe opowieści duszka Bogusia”, gdzie za cel postawiłam sobie przekazanie małym czytelnikom wielu informacji o mieście, w którym mieszkają. A że miałam takiego małego czytelnika w domu, to wiedziałam, że nie może być nudno, więc trzeba było się postarać.

W maju ukazała się moja kolejna książka i w niej także staram się przekazać dzieciom pewną wiedzę. Tym razem napisałam o kotach, ich potrzebach i marzeniach. Podczas pisania wyobrażałam sobie dzieci, czytające te historie. Marzy mi się uśmiech na ich twarzach. Ciekawe, czy to się udało?

A.J.: *Czy pamięta pani swoją ulubioną książkę z dzieciństwa? Czy miała ona wpływ na Pani twórczość?*

M.W.: W moim rodzinnym domu zawsze było dużo książek. Wychowywałam się w latach 70. ubiegłego wieku (jak to poważnie brzmi!). Wtedy w księgarniach nie było tylu pięknych książek dla dzieci. Ale mam tatę, wielkiego miłośnika czytania, który zdobywał wtedy dla mnie i brata cudowne wydania bajek, baśni, wierszy i powieści dla dzieci. Wyrostałam więc wśród wielu lektur i trudno mi teraz wybrać tę jedną, ale chyba najbardziej utkwiło mi w pamięci

ci wspólne, rodzinne czytanie wierszy Jana Brzechwy z ilustracjami Bohdana Butenki pt. „Androny”. Mam to wydanie z 1979 roku, zresztą do dziś z autografem samego Mistrza, który zdobyłam kiedyś podczas Targów Książki w Poznaniu. Czy miała ona wpływ na moją twórczość? Być może... Ta książka jest pięknie zaprojektowana, dlatego nigdy nie dążę do tego, by szybko wydać książkę... Kolejną książką którą mam do dziś w domu jest „Elementarz humoru” Jerzego Wittlina, z ilustracjami Hanny Czyżewskiej. Tak teraz myślę, że być może ona ukształtowała moje nieco absurdałne poczucie humoru? Ta książka, wydana



w 1980 roku, również jest świetnie zaprojektowana. Są w niej krótkie historyjki, dowcipy, zadania do wykonania. Pamiętam, że przekartkowałam ją z bratem tysiące razy, zanim sama samodzielnie ją przeczytałam. Takich książek z dzieciństwa mam w domu całkiem sporo, więc może na tych dwóch zakończę moje wspomnienia...

A.J.: *Czy klasyczne bajki i baśnie nadal mają swoje miejsce w literaturze dziecięcej, czy są wypierane przez nowoczesne historie?*

M.W.: Ależ oczywiście, że są obecne i dzieci chcą ich słuchać, zwłaszcza te młodsze. Wydaje mi się, że my dorośli dziś bardziej niż nasi rodzice, zwracamy uwagę na ich treść i często boimy się, że te klasyczne mogą wystraszyć najmłodszych. Jest jednak tyle interpretacji klasycznych baśni, że możemy dostosować wersje do wrażliwości naszych dzieci. Pojawiają się też książki dla nieco starszych czytelników, które są współczesnymi wersjami tych klasycznych, co tylko pokazuje, jak bardzo są to uniwersalne treści, a ich przestanie nigdy się nie starzeje... Z pewnością nie należy zapominać o czytaniu dzieciom baśni, bo ich znajomość nie tylko przenosi do świata wyobraźni, ale też edukuje no i daje podwaliny pod późniejsze zrozumienie dojrzalszych tekstów... A oprócz bajek i baśni apeluję do rodziców: Czytajcie dzieciom wiersze naszych polskich poetów! Brzechwa, Tuwim, Wawilow, Kern... Cudowne historie, wspaniałe rymy – czego chcieć więcej?

A.J.: *Czy dawniej książki miały większy wpływ na wychowanie dzieci, czy dzisiejsza literatura wciąż może pełnić tę rolę, czy jest bardziej zabawowa?*

M.W.: Obecnie mamy tak ogromny wybór książek dla dzieci, że są wśród nich zarówno te edukacyjne, jak i te, dzięki którym mali czytelnicy przeżywają przygody lub po prostu świetnie się bawią. To cudownie, że możemy korzystać z tej obfitości!

A.J.: *Czy technologia (np. audiobooki, e-booki) wpłynęła na to, jak dzieci odbierają literaturę? Czy tradycyjne książki nadal zaciekawiają?*

M.W.: Mam nadzieję, że nowoczesna technologia nie zagraża tradycyjnej książce, a jest tylko jej uzupełnieniem. Ja sama korzystałam z audiobooków, puszczałam często moim dzieciom wspaniałe interpretacje bajek i baśni na dobranoc. Książki papierowe mają tę przewagę, że zawierają ilustracje, a tego dzieci wciąż potrzebują.

A.J.: *Czy współczesne dzieci czytają mniej niż kiedyś? Jak można je zachęcić do sięgania po książki?*

M.W.: Nie dotarłam do statystyk, które potwierdzałyby, jak jest z czytaniem wśród młodszych dzieci. Jednak czytanie wśród nastolatków ma się dobrze. Widać to na Targach Książki w różnych miastach, gdzie po autografy do autorów z kategorii Young Adult ustawiają się kilometrowe kolejki. Młodzież dzieli się opiniami w mediach społecznościowych itd. Jest jeden sposób na zachęcenie do robienia czegoś – dawanie przykładu. Jeśli w domu rodzice nie czytają, wyprawa do biblioteki czy księgarni i kupowanie książek nie jest czymś wyjątkowym, to naprawdę trudno się dziwić, że dzieci nie sięgają po książki... Jest szansa, że do czytania zachęci kolega/koleżanka w szkole, a może nauczyciel lub ktoś z rodziny. Ale dom rodzinny to podstawa, tu wszystko się zaczyna...

A.J.: *Dużo mówi się o treści w książkach dla dzieci, a jaką rolę odgrywają ilustracje?*

M.W.: Dla mnie ogromną i to ilustracjami kieruję się zawsze kupując książki. Mówi się: *nie oceniaj książki po okładce*, ale niestety pierwsze wrażenie się liczy. Wiele dobrych tekstów przepada gdzieś w morzu kiczowato wydanych książek... Ilustracje dopełniają tekst i naprawdę warto, kupując dzieciom książki, zwracać na nie uwagę. To one kształtują ich gust i wrażliwość. Kiedy moi synowie byli mali, często rozmawiałam z nimi o tym, kto napisał daną historię, i kto zilustrował. Bardzo mnie potem cieszyło, gdy kilkuletni brzdąc potrafił pokazać palcem jakąś książkę i powiedzieć: „O, mamo, zobacz Butenko!” – co oznaczało, że potrafi już rozpoznać ilustracje danego artysty.

A.J.: *Jak zmienia się sposób przedstawiania ról społecznych w książkach dla dzieci? Czy kiedyś były one bardziej schematyczne?*

M.W.: O, na pewno! Kiedyś to mama miała na głowie cały dom i zajmowała się dziećmi, a tata był tym, który zapewniał bezpieczeństwo finansowe. Dziś w wielu książkach mamy dzielne matki, które grają w zespołach rockowych i ojców, którzy robią szaliki na drutach Są wujkowie, którzy zamiast żon mają partnerów. I jeśli ktoś nie ma problemów z samym sobą, to nie zwróci na to szczególnej uwagi, dzieci tym bardziej. Bo one biorą świat taki jaki jest, to my dorośli za często widzimy zagrożenia tam, gdzie ich nie ma...

Czy książki edukacyjne dla dzieci są dzisiaj bardziej wartościowe niż kiedyś? Jakie zmiany zaszły w ich formie i treści? Pewien chłopiec w mojej rodzinie ostatnio oznajmił, że może w przyszłości zostanie lekarzem. Powiedział, że lubi czytać o ciele ludzkim, kościach i mięśniach. Co zrobiłam? Bardzo szybko zakupiłam mu niezwykły atlas anatomiczny dla dzieci, ze specjalnymi okularami,

dzięki którym na kartach tej książki będzie mógł obejrzeć same mięśnie lub sam szkielet (na tej samej ilustracji) i przeczytać wiele ciekawych informacji, oczywiście dostosowanych do jego wieku. To jest wspaniałe, że w księgarniach jest tyle świetnie zaprojektowanych książek edukacyjnych dla młodych czytelników, dzięki którym mogą poszerzać swoją wiedzę.

A.J.: *Czy ilustracje mogą pomagać dziecku w zrozumieniu fabuły i emocji bohaterów?*

M.W.: Oczywiście, a dodatkowo sprawiają, że dana historia na dłużej zapada w pamięć. Wielu dorosłych do dziś nosi w sercach ilustracje książek z dzieciństwa. Może nie pamiętają już tytułu, treści, ale nastrój i emocje, które im towarzyszyły podczas czytania. Wielu z nich po latach szuka tych tytułów. Często widzę na różnych grupach prośby o pomoc: *Szukam książki z dzieciństwa, ciemna okładka na niej brązowy niedźwiadek... Był to zbiór bajek chyba... Może ktoś kojarzy, co to za książka?*

A.J.: *Na co rodzice powinni zwracać uwagę, wybierając książki dla swoich dzieci?*

M.W.: Po pierwsze na ilustracje, o czym wspomniałam wyżej. Ale przede wszystkim powinni kierować się zainteresowaniami swojego dziecka. Przecież już od najmłodszych lat widzimy czy nasza córka chętniej wysłucha historii o zwierzętach, czy z radością przeczyta kolejną część serii detektywistycznej. A syna zachwyci książka o dinozaurach, czy raczej o... wesołych przygodach jakiegoś bohatera. Nie ma nic gorszego niż nudne, niedopasowane lektury...

A.J.: *Jakie książki dla dzieci powinni przeczytać na nowo dorośli?*

M.W.: W ramach eksperymentu – te które pamiętają z dzieciństwa. Warto sprawdzić, czy nadal poruszają ich serca. W większości przypadków tak się nie dzieje. A jeśli tak się stanie, to proszę Państwa będzie to być może znaczyć, że dany autor był niezwykle utalentowanym człowiekiem, który potrafił pisać na dwóch poziomach. Jego historia trafia i do dzieci, i do dorosłych. Takie książki lubię!

A.J.: *Skąd wzięła się pani pasja do książek, zwłaszcza literatury dziecięcej? Czy towarzyszyła pani od zawsze?*

M.W.: W moim domu zawsze było dużo książek. Dość wcześnie nauczyłam się czytać, poznając alfabet przy starszym bracie. Wyrósłam na wielu wspaniałych lekturach, pięknie zilustrowanych, bo lata 70. i 80. to był najlepszy czas twórczości polskiej ilustracji książkowej, okres powstania Polskiej Szkoły Ilustracji. Zbigniew Rychlicki, Jerzy Srokowski, Jan Marcin Szancer, Bohdan

Butenko, Teresa Wilbik, Janusz Grabiański, Janusz Stanny, Olga Siemaszko – to moje dzieciństwo... To ci artyści ilustrowali książki, które ukształtowały mój czytelniczy gust. Gdy wyrosłam z tych opowieści, wiele z nich przechowywałam w domowej bibliotece. Bardzo się przydały, gdy na świat przyszły moje dzieci. To dzięki nim powróciłam do lektur dla młodych czytelników. To był powrót, ale też odkrywanie nowych łądów, bo po 2003 roku, kiedy po raz pierwszy zostałam mamą pojawiło się kilka małych wydawnictw z piękną literaturą dziecięcą. I... przepadałam!

A.J.: *Co sprawiło, że zdecydowała się pani założyć blog Wilcze Lektury? Jakie książki najchętniej na nim poleca?*

M.W.: Założyłam blog, gdy na świat przyszedł mój drugi syn. Początkowo istniał pod inną nazwą i zapisywałam w nim codzienność matki z dwójką dzieci. Nasze rodzinne wyprawy, wspólne lektury... A potem sama zauważyłam, że zdecydowanie więcej w nim o książkach i zmieniłam nazwę na Wilcze Lektury. W 2024 roku, po 16 latach blogowania przestałam publikować na nim wpisy, bo niestety znów zaczęło mi brakować na wszystko czasu. Postanowiłam też uporządkować swoją wirtualną przestrzeń i mieć wszystko w jednym miejscu, czyli na portalu SzczecinCzyta.pl, który prowadzę od 2011 roku. Ale Wilcze Lektury wciąż istnieją i są dla mnie świetną półką, a nawet wielkim regałem wspomnień, książek, które wspólnie (a potem już sama) przeczytałam z dziećmi...

A.J.: *Skąd pomysł na książkę „Zamkowe opowieści duszka Bogusia”? Czy inspiracją były prawdziwe legendy i historie miasta?*

M.W.: Kiedy pisałam pierwsze opowiadania, które potem znalazły się w książce, nie myślałam, że tak to się zakończy. To były historie pisane dla portalu RozwinSkrzydła, z którym współpracowałam w 2010 roku. Teksty miały inspirować rodziców do wspólnych spacerów z dziećmi, a przede wszystkim przybliżyć historię i legendy miejsca, w którym mieszkamy. Chciałam w prosty i ciekawy sposób przekazać dzieciom legendy i historie związane ze Szczecinem i pomyślałam, że powinnam wymyślić dodatkowego bohatera, a nawet dwóch, którzy będą te legendy opowiadać. Pojawił się więc duszek, a wraz z nim kilkuletni chłopiec, który otrzymał imię po moim, wówczas 7-letnim synku. To moja ówczesna szefowa – Ania Marynowska, zaproponowała, że może zrobić z tego książkę. Wysłałam próbkę do jednego ze szczecińskich wydawnictw i otrzymałam pozytywny odzew! Cieszę się, że ten tekst się nie starzeje, wciąż podoba się małym i dużym czytelnikom i doczekał się drugiego wydania.

A.J.: *Czy w książce pojawiają się rzeczywiste wydarzenia historyczne, czy są to bardziej bajkowe opowieści o przeszłości Szczecina?*

M.W.: Każdy rozdział to inna legenda związana z naszym miastem, ale są tu też wymyślone historie, jak ta o stryju Bazylim i miejscu, gdzie mieszka. Każda z opowieści ma zachęcić dzieci do odwiedzenia danego miejsca, o którym czyta.

A.J.: *Jakie miejsca i legendy najbardziej chciała pani przybliżyć czytelnikom?*

M.W.: Te najbardziej znane. Wiedziałam, że nie może zabraknąć w książce opowieści o naszej Sydonii, która niesłusznie została oskarżona o czary, i legendy o zamkowych kotach. Niestety obie historie kończą się smutno dla oskarżonych, starałam się jednak, by nie było zbyt drastycznie... Czytałam tekst mojemu wówczas 7-letniemu synowi, a on zadając pytania i reagując na historię, miał spory wpływ na jej kształt.

A.J.: *Jak dzieci reagują na tę książkę? Czy spotkała się pani z jakimiś szczególnie wzruszającymi lub zaskakującymi reakcjami?*

M.W.: Zawsze się wzruszam, gdy dostaję informację od rodziców, że chodzą po Szczecinie z dziećmi szlakiem duszka Bogusia. Kilka razy zdarzyło się, że po autograf podchodziły do mnie nastolatki z pierwszym wydaniem książki, prosząc o autograf i mówiąc, że to ich ulubiona książka z dzieciństwa.

A.J.: *W 2021 roku ukazała się wersja audio opowieści w interpretacji Artura Barcisia. Jak doszło do tej współpracy?*

M.W.: W 2017 roku ukazało się drugie wydanie mojej książki. Tym razem w warszawskim wydawnictwie Bis. Z panią i Lidą, i panią Kasią poznałyśmy się tu, w Szczecinie podczas organizowanych w Pleciudze Szczecińskich Spotkań z Książką dla Dzieci i Młodzieży. I to właśnie dzięki wydawnictwu BIS, które wydaje również wiele audiobooków, moją książkę możemy usłyszeć w interpretacji tego znakomitego aktora i lektora, jakim jest Artur Barciś.

A.J.: *Czy uważa pani, że audiobooki są przyszłością literatury dziecięcej? Czy mogą konkurować z tradycyjnymi książkami?*

M.W.: Świetnie się uzupełniają. Mogą towarzyszyć nam w podróży samochodem. Mogą zastąpić zmęczonego rodzica. Nie widzę tu żadnej konkurencji. Nawet, jeśli ktoś powie, że jego dziecko tylko słucha, a nie czyta, to... też dobrze. Przecież poznaje kolejne książki. A do czytania może jeszcze dojrzeć.

A.J.: *Co skłoniło panią do założenia portalu SzczecinCzyta.pl? Czy od początku miała wizję, jak ma on wyglądać? Czy to była inspiracja do promocji szczecińskich twórców?*

M.W.: Kiedy w kwietniu 2011 roku za namową koleżanki, Joli Kowalak założyłam portal, chciałam polecać na nim książki, które warto przeczytać, w tym oczywiście szczecińskich autorów oraz informować o wydarzeniach literackich w naszym mieście. Dziś, po 14 latach z trudem nadążam z informowaniem na bieżąco o szczecińskich publikacjach i wydarzeniach literackich. Przybyło nam szczecińskich autorów, przybyło spotkań i różnych wydarzeń. W każdym miesiącu dowiaduję się o jakieś nowej premierze. Ja już nie nadążam tego czytać!

A.J.: *Jak wygląda praca przy prowadzeniu takiego portalu? Jak udaje się pani łączyć pasję do książek z działalnością internetową?*

M.W.: Codziennie wieczorem zasiadam do komputera. Sprawdzam pocztę – dostaję sporo informacji od wydawców, często od samych autorów i organizatorów wydarzeń literackich. Potem zamieszczam wiele z nich na portalu – uzupełniam kalendarz wydarzeń. Więcej treści linkuję na Facebooku SzczecinCzyta.pl. Prawda jest taka, że to wszystko sprawia, że czasu na czytanie jest wtedy mniej... ale i tak warto!

A.J.: *Czy spotkania i rozmowy z miłośnikami książek wpłynęły na pani postrzeganie literatury? Czy dzięki nim odkryła pani jakieś nowe, wartościowe książki?*

M.W.: Prowadzenie od 14 lat portalu SzczecinCzyta.pl to przede wszystkim mnóstwo nowych znajomości z ludźmi, którzy kochają czytać! Niektóre z nich przekształciły się w przyjaźnie! Poznałam wielu czytelników mojego portalu, ale także wielu autorów, głównie szczecińskich i za sprawą tych kontaktów sięgam po książki, które kiedyś zupełnie mnie nie interesowały. Jeszcze parę lat temu trzymałam się z daleka od powieści kryminalnych. A dziś wiem, że powieść kryminalna czy thriller może być tylko pretekstem do przekazania wielu ważnych, emocjonujących tematów i historii.

A.J.: *Gdyby miała pani polecić jedną książkę, którą każdy dorosły powinien przeczytać dziecku, co by to było i dlaczego?*

M.W.: Nie ma jednej książki, która zachwyci każdego. Ale może fajnie by było, gdyby każdy rodzic przeczytał dziecku swoją ukochaną książkę z dzieciństwa? Od razu ostrzegam! Pamiętajcie, że wasze dziecko wcale nie musi się w niej zakochać. Najprawdopodobniej to wcale się nie wydarzy... bądźcie dzielni! Ale warto! U nas w domu, obowiązkowo było czytanie małym synom

„Koziołka Matołka”, przygód Pippi oraz wierszy Tuwima i Brzechwy. Podobało się!

A.J.: *W maju tego roku ukazała się pani kolejna książka.*

M.W.: To opowieść, której narratorem jest nasz rudy kot. Można powiedzieć, że pozwolił mi spisać swoją historię. :-) Adoptowaliśmy go kilka lat temu. Wcześniej żył w grupie innych kotów na terenie działek letniskowych nad pewnym jeziorem. To opowieść o tym, że wiele kotów wolno żyjących marzy o własnym człowieku i domu. Na potrzeby książki wymyśliłam naszemu kotu przygody, jakie miał ze swoimi kocimi przyjaciółmi. Ich codzienność to nie sielanka, dlatego wiele z nich żyje nadzieją na znalezieniu domu. Nasz Rudolf ewidentnie miał plan i przeprowadził go z wielką precyzją. Ja, wielka miłośniczka psów, która nigdy nie żyła z kotem pod jednym dachem, zostałam owinięta wokół jego pazura. :-) Mam nadzieję, że książka spodoba się zarówno małym, jak i dużym czytelnikom. Ta historia niesie przesłanie, że warto marzyć i mieć nadzieję! „Kocim pazurem pisane, czyli wspomnienia Rudolfa Rudykota” ukazały się nakładem Wydawnictwa Światy Równoległe, które wraz z mężem, prowadzi Agata Cieszyńska, również autorka książek. Ilustracje stworzył Michał Brzezicki, zdolny, szczeciński grafik, który bardzo cierpliwie spełniał moje prośby, dotyczące każdej z ilustracji, za co mu bardzo dziękuję!

A.J.: *Dziękuję za rozmowę.*

M.W.: Również dziękuję.

Monika Wilczyńska w Szczecinie mieszka dłużej niż w mieście, z którego przybyła tutaj po maturze. Z wykształcenia socjolog. Od dzieciństwa tkwi z nosem w książkach, dlatego po latach uzupełniła wykształcenie na Uniwersytecie Szczecińskim na studiach podyplomowych: bibliotekoznawstwo i informacja naukowa. Wielka miłośniczka książek dziecięcych, z których wciąż nie wyrosła i z radością polecała je przez wiele lat na swoim blogu WilczeLektury. Założycielka i prowadząca od 2011 roku portal SzczecinCzyta.pl

Marek Bieńczyk

Urodził się w 1956 r. Prozaik, eseista, historyk literatury, tłumacz literatury francuskiej. Tłumaczył m.in.: Marcela Prousta, Milana Kunderę, Emila Ciorana, Rolanda Barthesa, Claude'a Lanzmanna.

Opublikował kilkanaście książek, wśród nich powieści *Terminal* i *Tworki*; książki łączące esej i prozę: *Melancholia*, *O tych, co nigdy nie odnajdą straty*, *Przezroczystość*, *Kontener*; zbiory esejów m.in.: *Oczy Dürera*, *Jabłko Olgi*, *Stopy Dawida*; książki dla dzieci-dorosłych m.in. *Księżę w cukierni* oraz *Kroniki winiarskie*. Za powieść *Tworki* otrzymał Paszport Polityki (1999) oraz nagrodę im. Reymonta (2000), za zbiór esejów *Książka twarzy* nagrodę Nike oraz tort od Adama Sowy (2012), za książkę *Przezroczystość* nagrodę im. Andrzeja Siemka (2008); w roku 2023 otrzymał nagrodę im. Juliana Tuwima za całokształt twórczości.

Zdjęcie z prywatnego archiwum Marka Bieńczyka. Fot. Krzysztof Dubiel



Ucieczka zawsze była moim fantazmatem

Małgorzata Nowak-Żukiel: Pochodzi pan z rodziny ekonomistów. Czyżby to miłość do książek w dzieciństwie zaprowadziła pana na drogi literackie?

Marek Bieńczyk: Pewnie tak. Czytałem dużo. W domu była duża biblioteka, ojciec mi przynosił książki dzień w dzień, uważał się za humanistę i uważał za rzecz naturalną, że nie lubię chemii i matematyki. I tak to się zaczęło.

M.N-Ż: Czy miał i ma pan w swoim życiu autorytety, jeśli tak, to jaką rolę odegrały w pana życiu?

M.B.: Raczej nie. Chyba tylko Marię Janion. Jej nauka była prosta: trzeba życie poświęcić książkom i pisaniu, i nie zajmować się głupstwami. Nie całkiem mi się udało, no, ale jednak.

M.N-Ż: Przez pewien czas pomieszkiwał pan w Paryżu. Czy pobyt tam miał wpływ na pańską twórczość?

M.B.: Nie mieszkałem, często natomiast jeździłem. Nie widzę szczególnego wpływu poza tym, że miałem tam dostęp do setek książek, które były ważne. A w tamtych czasach nie było jeszcze rozwiniętego internetu. Paryż jest ważnym dla mnie miejscem, ale też dlatego, że uświadomił mi, że nigdy nie wyemigruję i że pisać będę w Warszawie.

M.N-Ż: Czy może w Paryżu zrodziło się zainteresowanie winem, któremu poświęcił pan wiele artykułów, stając się ekspertem w tej dziedzinie?

M.B.: Tak, oczywiście, tam to się zaczęło. Ale nie czuję się ekspertem, wśród krytyków winiarskich czuję się raczej anarchistą. Krytykiem anarchistycznym.

M.N-Ż: Nazywany jest pan mistrzem esejów, „poetą ruchu”, ma pan wszechstronne zainteresowania i talenty niczym człowiek renesansu, jednym z nich są też tłumaczenia. Który autor tłumaczonych przez pana dzieł jest panu najbliższy?

M.B.: To trudno oddzielić od człowieka. Znałem tylko jednego autora, Milana Kunderę, przyjaźniliśmy się, więc po ludzku jest mi on bliski. Bardzo lubiłem tłumaczyć Emila Ciorana, ze względu na jego fenomenalną francuszczyznę.

M.N-Ż: Pisząc porusza pan bliskie czytelnikowi tematy, m.in. szczęścia („Księżę w cukierni”), pamięci bliskich, pożegnania („Kontener”), w „Rondo Wiatraczna” wprowadza pan czytelnika w interesującą schulzowsko-bułhakowską opowieść



Zdjęcie z prywatnego archiwum Marka Bieńczyka. Fot. Krzysztof Dubiel

o swojej dzielnicy. Twórczość pana jest bogata, różnorodna i doceniana, czego dowodem jest prestiżowa nagroda literacka Nike 2012 roku za książkę, będącą zbiorem esejów „Książka twarzy”. Co dla pana jest najważniejsze w pana twórczości i która z pana książek jest szczególnie bliska?

M.B.: Nie umiem powiedzieć, co jest najważniejsze. Piszę impulsywnie, sama czynność pisania jest najważniejsza, bez względu na to, o czym piszę, czy prozę, czy artykuł o tenisie albo o malarstwie. Pewnie najbardziej lubię „Tworki”.

M.N-Ż: *Którego twórcę bądź twórców literackich ceni pan najbardziej?*

M.B.: Nie używam słowa „ceni”. Za dużo w nim pychy. Lubię oczywiście klasyków, Flaubert, Proust, wiadomo. Ale czasem wpadnie w ręce książka autora mniej znanego i porywa jak tsunami, na przykład parę lat temu to był Roberto Bolaño, a dzisiaj Denis Johnson.

M.N-Ż: *W swojej karierze naukowej wybrał pan Romantyzm. Dlaczego właśnie on stał się celem poszukiwań i badań?*

M.B.: Pewnie ze względu na dziwne połączenie melancholii i transu. No i Maria Janion zechciała mnie przyjąć do swojego grona. Ona też żyła w takim połączeniu.

M.N-Ż: *W jednym z wywiadów powiedział pan, że chciałby „dać impuls do nowej nauki humanistycznej” – „fugologii”, czyli nauki o ucieczkach, której, jak pan podkreślił, potrzeba rośnie. Czy mógłby pan szerzej o tym opowiedzieć?*

M.B.: Może mi to trochę za łatwo przychodzi, to dodawanie -logii do moich obsesji. Melanchologia, fugologia... Ucieczka zawsze była moim fantazmatem, uciekanie to moja specjalność. No i zacząłem szukać motywu ucieczek w literaturze i okazało się, że jest tego mnóstwo. Także w filozofii. Stąd to określenie, pół poważne, pół żartobliwe: fugologia.

M.N-Ż: *Jakie pana zdaniem tematy z historii literatury są pomijane, a o których powinno się mówić i uczyć młode pokolenia?*

M.B.: Oj, nie, nie namówi mnie pani na odpowiedź. Nigdy nie mówię ex cathedra i młode pokolenia dadzą sobie doskonale radę.

M.N-Ż: *Jak pan ocenia stan naszej obecnej literatury i czytelnictwa Polaków?*

M.B.: Nie oceniam. Jak wszędzie, są książki bardzo dobre i dużo słabych. Z pola widzenia, zwłaszcza w mass-mediach, znikają często książki pisane przez artystów języka, trudniejsze w lekturze, no, ale tak jest na całym świecie.

M.N-Ż: *Jaka jest pana zdaniem rola i odpowiedzialność pisarza, szczególnie w czasach współczesnych?*

M.B.: Szczerze mówiąc – wierzę w rolę i odpowiedzialność bardzo umiarkowaną, historia sto razy pokazała, że pisarze niewiele mogą. Albo zgoła nic. Energie, które rządzą światem, są dość tajemne; do ich przemożnych prądów nie mam łatwego dostępu. Co oczywiście nie znaczy, że nie należy wołać na puszczy. Trzeba, jak najbardziej.

M.N-Ż: *Czy dostrzega pan potencjał wśród debiutujących twórców literackich?*

M.B.: Nie śledzę już z bliska debiutanckiej literatury, trudno mi powiedzieć. Dużo młodych teraz pisze, więcej niż kiedyś, na pewno coś ciekawego będzie się działo.

M.N-Ż: *Jakie są pana plany twórcze na najbliższy czas?*

M.B.: Nie mam planów, co przyjdzie to przyjdzie, nie lubię o tym mówić. Odałem właśnie do druku rzecz o używkach w XIX w, książka bardziej akademicka. Mam zbiór esejów różnych do wydania pod jedną okładką. A dalej się zobaczy.

M.N-Ż: *Życzę zatem, by wena twórcza panu dopisywała i bardzo dziękuję za rozmowę.*

Tadeusz Gadacz

Profesor filozofii na Wydziale Humanistycznym AGH w Krakowie. Wykłada także w Szkole Dziennikarstwa Collegium Civitas w Warszawie i w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej w Krakowie. Był uczniem i wieloletnim współpracownikiem ks. prof. Józefa Tischnera i prof. Barbary Skargi. W latach 2004-2008 pełnił funkcję wicedyrektora Instytutu Filozofii i Socjologii PAN w Warszawie, a w latach 2009-2017 był dyrektorem Instytutu Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. W latach 2003-2007 pełnił funkcję przewodniczącego Komitetu Nauk Filozoficznych PAN. Jest autorem ponad 300 publikacji. Ostatnio opublikował: „Rozmowy o życiu, Polsce i religii” (2021), „Etykę dobromyślności” (2023), „Krótką historię filozofii współczesnej” (2023), „Myślenie krytyczne” (2024), „Myślenie a zło”, t. 1-2 (2025). W 2002 r. otrzymał od prezydenta Warszawy, Lecha Kaczyńskiego nagrodę dla najlepszego nauczyciela akademickiego Mazowsza, a w 2003 r. nagrodę Ministra Kultury za najlepszą publikację naukową (wraz z B. Milerskim). W 2008 r. został wybrany przez studentów najlepszym wykładowcą w historii Collegium Civitas. Wygłaszał liczne prestiżowe wykłady, w tym na zamknięcie Kongresu Kultury Polskiej w Krakowie, w Polskim Parlamencie podczas Konferencji Bezpieczeństwa NATO. Publikuje artykuły i wywiady w: „Gazecie Wyborczej”, „Polityce”, „Newsweeku”.



Prof. Tadeusz Gadacz
(zdj. z prywatnego archiwum)

„Myślenie bez dobra jest puste, a dobro bez myślenia ślepe”

Małgorzata Nowak-Żukiel: Jak scharakteryzowałby pan profesora młodego człowieka z pana młodości, a jak obecnego?

Tadeusz Gadacz: Urodziłem się dziesięć lat po wojnie na krakowskim Kazimierzu. Połowę życia przeżyłem w PRL-u. To były trudne czasy. Mieszkaliśmy w małym, jednopokojowym mieszkaniu bez łazienki. Bieda. Ówczesne szczęście dziecka to 50 groszy, za które na Placu Nowym można było kupić do rożka z gazety odłamki andrutów. Wakacje spędzaliśmy na wsi w domu babci krytym słomianą strzechą. Tylko jedna izba miała podłogę. Po wodę chodziłem z wiadrami do studni oddalonej kilkaset metrów. Książki czytałem przy lampie naftowej. Ze szkoły wyniosłem kiepską znajomość języka rosyjskiego. Pierwszy kalkulator kupili mi rodzice dopiero w klasie maturalnej. Pierwszy paszport dostałem po wielu latach starań, gdyż ze względu na współpracę z ks. prof. Tischnerem, byłem inwigilowany. Trudne, surowe czasy, tak to widzę teraz, kształtują charaktery, zmuszają do wysiłku i ciężkiej pracy. Wygoda i przesyt rozleniwiają. My bawiliśmy się w proste gry na podwórku. Wchodziliśmy ze sobą w interakcje. Gdy dzisiaj wędruję po parku, widzę dzieci siedzące na trawie, ale wpatrzone w swoje telefony komórkowe.

M.N-Ż: Jakie były i są autorytety w pana profesora życiu i jaką rolę odegrały?

T.G.: Rodzice ukształtowali mój charakter, przede wszystkim poczucie odpowiedzialności. Całe moje wykształcenie zawdzięczam jednak nauczycielom. To oni zachwycili mnie literaturą, sztuką, zaprowadzili do filharmonii. Dzięki mojej nauczycielce muzyki pokochałem muzykę poważną. Mnie, dziecku wychowanemu częściowo na brudnym krakowskim podwórku, częściowo na wsi, nauczyciele otwarli nowe światy. Co prawda, jeszcze wówczas ciasne, zasłonięte żelazną kurtyną powojennych podziałów politycznych. Pod względem myślenia ogromny wpływ wywarli na mnie ks. prof. Józef Tischner i prof. Barbara Skarga. Wpłynęli na moje zainteresowania naukowe. Wzbudzili we mnie fascynację myśleniem, człowiekiem i etyką.

M.N-Ż: *Jak pan już wspomniał, był pan profesor uczniem, później współpracownikiem bardzo znanego i cenionego powszechnie ks. prof. Józefa Tischnera. Co z jego nauk najbardziej utkwіło w pana pamięci?*

T.G.: Gdy przyszedłem na seminarium profesora, chyba po trzecim spotkaniu, zastanawiając się nad tematem mojej pracy magisterskiej, powiedział: „Pi-szę teraz *Polski kształt dialogu*, książkę, w której zajmuję się sporami o materializm historyczny. W Polsce toczył się także spór o materializm dialektyczny aż do śmierci Józefa Stalina. Proszę, zbadaj go i napisz drugi tom do mojej książki”. Wyszedłem z seminarium oszołomiony. Pomyślałem, że mnie prowokuje. Tak krótko mnie znał, a zaproponował naukową współpracę. Widocznie wystarczyło mu kilka rozmów. Otworzył drzemiący we mnie potencjał. Później ja taki potencjał usiłowałem otwierać w moich uczniach. Przeszliśmy razem stan wojenny, czasy Solidarności i wolnej Polski. Nauczył mnie szacunku do każdego człowieka i odpowiedzialności za myślenie. Skłonił mnie do samodzielnej nauki języków obcych, bym mógł czytać dzieła w językach oryginalnych. Przy braku przekładów na język polski i zamkniętych granicach był to jedyny możliwy sposób kształcenia w filozofii niemieckiej, francuskiej, włoskiej, hiszpańskiej czy rosyjskiej. Imponował mi prostotą myślenia i pisania, które usiłuję naśladować. Gdy umierał, napisał mi na kartce zdanie: „Idzie się, jak droga prowadzi”. Przyjąłem je za motto mojego życia.

M.N-Ż: *Czym jest filozofia zdaniem pana profesora i kiedy zaczęła ona odgrywać znaczącą rolę w pana życiu?*

T.G.: Filozofia to mądrość w myśleniu, to, jak stwierdził Platon, miłość mądrości. To także postawa życiowa, duchowa troska o siebie i innych. Bliska mi jest tradycja francuskiego myśliciela, Pierra Hadota, filozofii jako ćwiczenia duchowego. W XX wieku kontynuował ją twórca fenomenologii, Edmund Husserl. Dopiero od czasu nowożytnego rozwoju nauk, filozofia wpatrzona w matematykę, nauki empiryczne, zaczęła być redukowana jedynie do wiedzy i w ten sposób zaczęła powoli tracić zdolność rodzenia mądrości. Ja najpierw odkryłem filozofię jako bardzo ciekawą wiedzę. Musiałem się jej uczyć szybko, gdyż doktorat obroniłem rok po pracy magisterskiej i jako młody wykładowca musiałem mieć wiedzę trochę szybciej niż moi studenci. W drugim etapie, gdy pisałem habilitację, zainteresowałem się filozofią żydowską. Przetłumaczyłem wówczas z języka niemieckiego *Gwiazdę zbawienia* Franza Rosenzweiga. Powrót do filozofii jako mądrości nastąpił u mnie dosyć późno, chociaż zaczął się już wiele lat temu. Kiedy w kimś, jak we mnie, zapłonie ogień filozoficznego myślenia, nie gaśnie. Marzy mi się taka śmierć, jak u Hannah Arendt, którą

znaleziono martwą przy biurku, gdy pisała zakończenie do swojej ostatniej książki.

M.N-Ż: *Jakie pana profesora zdaniem obowiązki i zadania ma filozofia w teraźniejszości?*

T.G.: Zawsze te same. Filozofowie zajmują się ideami, a idee mają zasadniczy wpływ na obraz świata. Dlatego ponoszą odpowiedzialność nie tylko za myślenie, ale także za to, jak ich myślenie wpływało i wpływa na obraz świata, na ustroje polityczne, stosunki społeczne, sprawiedliwość lub niesprawiedliwość, dialog lub wykluczenie. Arystotelesowi zawdzięczamy stwierdzenie, że człowiek jest najbardziej niebezpiecznym zwierzęciem, gdyż dysponuje najbardziej niebezpiecznym narzędziem jakim jest myślenie. Wniósł ogromny wkład w logikę, ontologię, etykę, badania naukowe. Jednocześnie jednak w zoologii, także pod wpływem greckiej medycyny, wpisał kobiety w sferę *bios*, ponieważ rodzą dzieci, podczas gdy mężczyzn w sferę *logos*, myślenia i nauki. Ta dychotomia skutkuje negatywnie aż do dzisiaj. Kobiety miały zajmować się dziećmi, a nie studiować. Bardzo długo uważano je niezdolne do myślenia. Wymazywano ich wybitny dorobek z historii filozofii. To zmieniło się dopiero w XX wieku. Jan Jakub Rousseau, myśliciel oświecenia, głosił ideę równości, ale nie dla kobiet. Napisał *Emila*, traktat o wychowaniu, który studiowany jest jeszcze dzisiaj na studiach pedagogicznych, ale wszystkie swoje dzieci oddał do przytułku. Wielu wybitnych filozofów było rasistami czy antysemitami. Martin Heidegger był przekonany nazistą, wielbiącym Adolfa Hitlera za jego szczupłe białe dłonie. Kiedy pojawia się jakaś dominująca ideologia, niektórzy filozofowie stają się dogmatykami, a nawet sami tę ideologię tworzą lub konformistami, którzy tę ideologię popierają. Prawdziwi myśliciele to ci, którzy opisują rzeczywistość w prawdzie i myślą krytycznie. Te podziały na dogmatyków, konformistów i myślących krytycznie zawsze istniały. W okresie nazizmu, stalinizmu, a także obecnie w Polsce, czy w USA, kiedy władza zaczyna określać to, co jest nauką, a co nią nie jest. Prawdziwi filozofowie powinni być krytyczni i uczciwi w myśleniu, gdyż, by jeszcze raz przypomnieć Arystotelesa, powinni być najbardziej świadomi swojego myślenia.

M.N-Ż: *„Myślenie bez dobra jest puste, a dobro bez myślenia ślepe”. Czy mógłby pan profesor rozwinąć swoją myśl, pochodzącą z pana książki „Etyka dobromyślności”.*

T.G.: W myśleniu rozróżniam intelekt i rozum. Intelekt jest czysto funkcjonalną władzą myślenia. Kieruje się jedynie sprawnością i skutecznością.

Musieliśmy, jako gatunek zwierzęcy, uruchomić i rozwinąć myślenie intelektualne, gdyż natura, nie dając nam odpowiedniego wyposażenia instynktowego do przetrwania, zmusiła nas niejako do myślenia. Dzięki intelektowi rozwinęliśmy kulturę, cywilizację i technologię. Jednocześnie jednak wytworzyliśmy rasizm, kolonializm, obozy koncentracyjne i gułagi, zjawiska nieznane w świecie zwierząt. Myślenie bez dobra jest w tym sensie puste, jest czysto instrumentalne. Może połączyć się z każdą namiętnością i stać się źródłem fanatyzmu. Mówię studentom, że Adolf Eichmann bardzo sprawnie liczył więźniów wywożonych do obozów koncentracyjnych. To, co chroni nas przed złymi skutkami myślenia, to rozum, który jest wspólnotową władzą myślenia. Człowiek rozumny to ten, który umie z innymi rozmawiać, by ich zrozumieć i podejmować rozsądne decyzje. Rozum kieruje się etycznym dobrem, gdyż rozum jest niejako bezpiecznikiem w intelekcie, który powstrzymuje nas przed złem. Dobre myślenie nie jest puste, gdyż kieruje się etycznym dobrem, jego maksymalizacją. Ponieważ jednak pięknego, wspaniałego świata nie potrafimy stworzyć, czyniąc dobro, musimy kierować się myśleniem. Posłużę się następującym przykładem. Wykształciłem dotąd 12 doktorów. Mniej więcej po kilku miesiącach wiedziałem komu mogę dać całkowitą wolność w pisaniu doktoratu, a od kogo muszę wymagać więcej odpowiedzialności, wyznaczać terminy oddawania poszczególnych fragmentów pracy. W każdym wypadku chodziło o ich dobro, tylko za każdym razem miało ono inny kształt. Gdybym kierował się jedynie dobrem, a nie myśleniem o dobru, niektórzy z nich, pozostawieni sami sobie, doktoratu by nie napisali. Można zatem chcieć dobra i nie myśleć. Wtedy dobro może nas zaślepić.

M.N-Ż: *W „Myśleniu krytycznym” porusza pan profesor głęboki temat myślenia, ukazując różnice między myśleniem czysto intelektualnym a rozumnym. Zwraca pan profesor uwagę na źródła naszych przekonań, ich wpływ na nasze myślenie, co zmusza do głębszego zastanowienia się czym jest myślenie krytyczne. Podkreśla pan tutaj jak jest ono ważne i jaki ma wpływ na nasze życie. Jak pan ocenia myślenie krytyczne wśród dzisiejszych młodych ludzi?*

T.G.: Jest wielu młodych, bardzo zdolnych i myślących ludzi. Wiem to z doświadczenia moich spotkań z licealistami i studentami. Niestety, większość nie myśli. Składa się na to wiele czynników. Myślenie zaczyna się od czytania. Czytanie buduje język, a język to okulary, przez które widzimy świat. Większość młodych nie czyta lub czyta mało. Przewija szybko rolki, krótkie informacje w telefonach komórkowych i komputerach. Dzisiaj obrazek zastępuje słowo. Myślenie wymaga skupienia, zatrzymania się, jak stwierdziła kiedyś Arendt:

„Stop and think” („Zatrzymaj się i pomyśl”). Daniel Kahneman odróżnił kiedyś dwa rodzaje myślenia: szybkie i powierzchowne oraz wolniejsze i głębsze. Dzisiaj era cyfrowa wymusza ten pierwszy rodzaj myślenia. Ten problem dotyczy zresztą nie tylko młodych ludzi. Przyczyną braku myślenia jest jednak przede wszystkim to, że nie jest ono nauczane w szkołach. Programy szkolne uczą faktów pod kątem testowych egzaminów. Nie uczą rozumu.

M.N-Ż: *W tym roku ukazała się najnowsza pana książka „Myślenie krytyczne w szkole”. Skąd pan profesor czerpał do niej inspiracje i czy ma pan informacje, jak przyjęła się ona w szkole wśród młodych czytelników?*

T.G.: Właśnie dlatego, że nauka myślenia krytycznego nie jest nauczana w szkole, po podręczniku „Myślenie krytyczne”, który napisałem dla moich studentów, napisałem także „Myślenie krytyczne w szkole” z myślą o nauczycielach i zdolniejszych uczniach. Każdy jej rozdział jest zaopatrzony w problemy do dyskusji oraz słownik terminów. Dostrzegam zainteresowanie problemem myślenia krytycznego, szczególnie od chwili, gdy Ministerstwo Edukacji wpięło umiejętność krytycznego myślenia w sylwetkę absolwenta szkoły średniej. Zapraszany jestem na spotkania z nauczycielami. Prowadzę także lekcje myślenia krytycznego dla uczniów.

M.N-Ż: *Jakie są zdaniem pana profesora największe wyzwania, stojące przed dzisiejszą młodzieżą?*

T.G.: Zawarłem je w mojej ostatniej, dwutomowej książce „Myślenie a zło”, w której usiłowałem zweryfikować stwierdzenie Arendt sformułowane podczas procesu Eichmanna w Jerozolimie: „Zło jest bezmyślne”. Jeśli zło jest bezmyślne, to zapytałem, czy myślenie, i jak rozumiane myślenie, może nas powstrzymać przed czynieniem zła? W ostatnim rozdziale stwierdziłem, że obecnie weszliśmy w czasy post-etyki. Przez post-etykę nie rozumiem tego, że wartości etyczne nie istnieją i przestały zobowiązywać, lecz że istnieje coraz szersze przyzwolenie społeczne do ich przekraczania. Rodzi to ogromny problem, jak uwrażliwiać etycznie młodych ludzi, gdy połowa społeczeństwa amerykańskiego wybiera sobie na prezydenta przestępcę seksualnego i podatkowego. Gdy niektórzy premierzy europejskich państw ściskają się z mordcą w Moskwie dla tańszej ropy i gazu. Czasy post-etyki, to czasy bezwstydu i braku przyzwoitości. Skutkiem post-etyki jest post-prawda i post-polityka. W erze cyfrowej pozostajemy w świecie wirtualnym i coraz rzadziej konfrontujemy się z prawdą rzeczywistości. Kiedyś polityka była domeną mężów stanu, troszczących się o dobro wspólne. Dzisiaj post-polityka jest domeną



(zdj. z prywatnego archiwum prof. Tadeusza Gadacza)

rechoczących błaznów. Z kryzysem etyki, prawdy i polityki łączy się powrót nacjonalizmów i populizmów, kryzys kapitalizmu prowadzący do coraz większego rozwarstwienia ekonomicznego między coraz bogatszymi oligarchami a coraz bardziej ubożającym prekariatem, z kryzysem klimatu. Wreszcie grożąca nam wciąż wojna światowa. To bardzo pesymistyczny obraz. Bardzo współczuję młodym pokoleniom. Ale to od nich w dużej mierze będzie zależało to, co się stanie, jaka będzie przyszłość ich i świata.

M.N-Ż: *Bardzo dziękuję za rozmowę.*

REFLEKSJE

Stanisław Jarmoszek

Kontrowersje wokół procesu humanizowania wojny?

Żyjemy w czasach, w których za sprawą mediów okrucieństwo wojenne rozgrywa się na naszych oczach. Różne postacie okropności towarzyszące poczynaniom ISIS, agresji Rosji na Ukrainę, a ostatnio wojnie izraelsko-palestyńskiej zdawałyby się przeczyć jakimukolwiek humanitaryzmowi w prowadzeniu wojen. Patrzymy i pozostajemy bezsilni. Mimo potężających deklaracji świata (choć o dziwo, niekoniecznie całego), sprawcy robią swoje. Czy więc rzeczywiście nastąpił regres ludzkości do mrocznych czasów barbarzyństwa? Czy dotychczasowe osiągnięcia w dziedzinie humanizowania wojen nie mają już zastosowania? To nie są bynajmniej pytania retoryczne. Dotyczą samej istoty człowieczeństwa, kondycji i perspektyw naszego gatunku.

Wojna towarzyszy człowiekowi od samego początku zorganizowanego życia społecznego jako ekstrapolacja i egzemplifikacja zjawiska przemocy przenikającej świat istot żywych i wynikającej z konieczności egzystencjalnej. Prawidłem tego świata jest, niestety, niezaprzeczalny fakt, że „życie żywi się życiem”. Pokusę wojny sama ewolucja zarejestrowała w naszych genach. Brutalność przynosiła bowiem naszym przodkom konkretne korzyści – ci, którzy byli wystarczająco agresywni i waleczni, stali się zwycięzcami w okrutnej walce o przetrwanie. Biologiczną proveniencję przemocy człowiek przeniósł w sferę psychiki i kultury. To dlatego wciąż utrzymuje się ludzka „chęć do wojaczki”, której ulegamy i dajemy się wciągnąć w piekło, które sami sobie tworzymy.

Zjawisko „pełnowymiarowej” wojny powstało, gdy ludzie osiągnęli taki poziom kulturowego rozwoju, że zaczęli uprawiać politykę i zorientowali się, iż stanowi ona doskonały instrument osiągania głównych celów ludzkich zbiorowości. Dopiero w XIX wieku prawdę tę ugruntował Carl von Clausewitz w swojej słynnej tezie, iż „wojna jest niczym innym, jak dalszym ciągiem polityki przy użyciu innych środków”⁷³. Od tysiącleci wojna stała się więc coraz bardziej pieczętowanie „cyzelowanym” urządzeniem społecznym, w różnych miejscach ziemskiego globu, w różnych kulturach i cywilizacjach. Jako twór człowieka od swego początku sama w sobie stanowiła jednocześnie uniwersalne zjawisko kulturowe, mające tendencję autonomizowania się i coraz bardziej odrywające się od zindywidualizowanej woli. Obrazowo ujmował to jej analityk, Arnold Toynbee: „Wojna, podobnie jak inne formy zła, podstępnie nie ujawnia całej swojej grozy, dopóki nie opanuje podwładnych tak, że gdy zrozumieją w pełni śmiertelne niebezpieczeństwo, brak im już sił, by wyrwać się z matni”⁷⁴.

Przyjmuje się, iż wojna jest bliźniaczą siostrą cywilizacji. Wspólnota pierwotna nie знаła zjawiska „prawdziwej” wojny, choć nie oznacza to, iż była pozbawiona międzyludzkich konfliktów i starć, nierzadko krwawych i okrutnych. Były to jednak zaledwie zindywidualizowane orężne potyczki, przejawy zbiorowej przemocy jednych ludzi wobec innych ludzi. Wojny plemienne – poza egzemplifikacją przemocy – stanowiły jednak gatunkowo odmienne zjawisko w odniesieniu do wojen rozwiniętych społeczeństw. Dopiero zbudowanie przez człowieka cywilizacji stanowi początek ery „prawdziwych”, „pełnowymiarowych” wojen. Szacuje się ten okres na około 4-3,5 tysięcy lat przed naszą erą.

Wojna rodzi się i rozwija w procesie społeczno-technologicznej ewolucji. Ludzkość stanęła u progu wojny, gdy pojawił się atrakcyjny cel ataku – własność w postaci zapasów ziarna, zwierząt, skór bądź urodzajnych terenów. Człowiek zaczął prowadzić właściwe (w pełni rozwinięte) wojny na określonym etapie rozwoju ludzkości, gdy można było zgromadzić niezbędne, technologiczno-materiałowo-organizacyjne zasoby społeczne (osiągnąć pewne minimum techniki i organizacji oraz nadwyżek gospodarczych, wykraczających poza potrzeby przeciętnej egzystencji), których brakowało człowiekowi pierwotnemu. Zarazem wykształciły się sposobności psycho-intelektualne w postaci strategii i myśli wojskowej. Jak konstatował Charles Tilly „Wojna czyni państwo, a państwo czyni wojnę”. Wojna stała się przeto ustaloną, nieodłączną

73 / C. von Clausewitz, *O wojnie*, [b.m.r.], s. 468.

74 / A.J. Toynbee, *Wojna i cywilizacja*, Warszawa 1963, s. 6.

instytucją każdej cywilizacji⁷⁵. Już w świadomości starożytnych wojna należała do porządku tego świata. Była czymś naturalnym.

Czasy cywilizacji niosą znaczącą przemianę funkcji broni. W czasach prehistorycznych posługiwał się nią łowca, który polując i dostarczając żywność spełniał znaczące funkcje egzystencjalne. Początkowo łowca był zarazem żołnierzem-obrońcą. Wraz z udomowieniem zwierząt i rozwojem rolnictwa broń zmienia swoje zasadnicze znaczenie – w coraz większym stopniu kierowana jest przeciwko innemu człowiekowi: ku obronie bądź grabieży. Łowca zaczyna przeistaczać się w wojownika, a następnie żołnierza. Podobnie jak wcześniej łowca, również wojownik-żołnierz zabezpieczał egzystencję innych ludzi, choć w inny sposób – przeciwstawiając się ustawicznemu najazdom łupieżców, barbarzyńców, a jednocześnie dostarczając atrakcyjnych łupów. Pierwotny dualizm łowca-wojownik przeistacza się w podwójną funkcję żołnierza. Nie jest on tylko obrońcą. Może być też napastnikiem. Najprzedniejsi mężowie garnęli się do tych zajęć, a ich zasługi były wielbione społecznie. Aż do XIX wieku służbę wojskową poczytywano niemal za jedyny zawód godny dżentelmena. Z czasem funkcja łowcy stawiała się coraz mniej konieczna, a dziś – niemal całkiem zbędna⁷⁶.

Wojownik po części zachowuje mentalność łowcy, odmawia bowiem wrogowi współprzynależności do jednego gatunku. Przeciwnik pozostaje dla niego gatunkiem obcym, którego bez skrupułów można zabić, a nawet – w akcie obrony życia własnego i bliskich – trzeba zabić. Słabną wewnętrzne zahamowania przed zabijaniem. Niezbędnej dla przeżycia mobilizacji rezerw witalnych służą nie tylko silne emocje (strach, wściekłość), ale także motywy religijne. Człowiek nie tylko uaktywnia własne, głęboko ukryte siły destrukcyjne, lecz także – przez środki magiczne i modły – mobilizuje siły ponadnaturalne, w które wierzy. Budzi boskość, która ma mu pomóc w śmiertelnym zwarcu, w wyniku czego także Bóg staje się niejako symbolem narodowym, służącym ugruntowaniu tożsamości i integracji wspólnoty⁷⁷. Wojna ulega więc swoistej sakralizacji.

W następstwie, aż do współczesności, uchodziła niemal powszechnie za coś, co nie wymaga usprawiedliwienia. Wprawdzie dostrzegano jej ujemne strony

75 / Zob. A.J. Toynbee, *Wojna i cywilizacja*, op. cit., s. 6-7; W. Murray, M. Knox, A. Bernstein, *The Making of Strategy: Rulers, States and War*, Cambridge 1994; L. Chojnowski, *Bezpieczeństwo człowieka i społeczeństw w procesie dziejowym*, Słupsk 2018, s. 143-153.

76 / A.J. Toynbee, *Wojna i cywilizacja*, op. cit., s. 22-23.

77 / Zob. H.-P. Müller, *Wojna i przemoc w starożytnym Izraelu*, [w:] A.Th. Khoury, E. Grundmann, H.-P. Müller (red.), *Wojna i przemoc w religiach świata. Fakty i przyczyny*, Kielce 2006, s. 13.

i okropności, ale w najgorszym razie traktowano jako zło konieczne, równie nieuchronne jak choćby zaraza. Taki pogląd był naturalny dla społeczności zagrożonej przez najazdy agresywnych sąsiadów. Z punktu widzenia ofiar nie istniała wyraźna różnica między niespodziewanym najazdem a pojawieniem się chmar szarańczy lub morowego powietrza. Nic dziwnego, że wciąż i podziwem otaczano męstwo wielkich wodzów (przykładowo Ramzesa III czy Karola Wielkiego), którzy potrafili chronić swoje imperia od zbrojnych inwazji.

Od wieków – co poniekąd oczywiste – zdawano sobie sprawę z potworności wojny. Tukidydes pisał, że dla części ludzkości zawsze jest ona „najwyższym szaleństwem”, Laktancjusz uważał, iż „wojna jest ohydą”, Leonardo da Vinci pisał o *bestialissima pazzia* – najbardziej bestialskim szaleństwie, Tomasz Morus czy Tomasz Campanella traktowali wojnę jako „uosobienie okrucieństwa”, a Mark Twain określał wręcz ją „najpotworniejszą z potworności”. Wybitny polski antropolog Bronisław Malinowski wskazywał, że „wojna jest zawsze katastrofą, gdyż jej istotą jest zabijanie i destrukcja”⁷⁸. Konflikt zbrojny pozostawał jednakże powszednim elementem ludzkiej egzystencji, a jego likwidacja nie wydawała się realną możliwością. Jednocześnie, choć mało kto ze zwykłych ludzi wychwalał samą wojnę, wszyscy wysoko szanowali wojowników i chętnie ulegali ich nimbowi, przewodnictwu czy władzy⁷⁹.

Człowiek jest gatunkiem terytorialnym, stąd obrona zajmowanego obszaru, ale i ekspansja są powszechnie spotykanym zjawiskiem kulturowym. Ponieważ przez tysiąclecia naszych ewolucyjnych dziejów kontrola nad ograniczonymi zasobami decydowała o przetrwaniu, agresja terytorialna jest u ludzi zjawiskiem szeroko rozpowszechnionym. We wszystkich kulturach obserwujemy zdecydowaną gotowość do walki o przetrwanie plemienia/państwa i obrony jego przyszłych możliwości reprodukcyjnych⁸⁰. Zarówno skłonność do zachowań terytorialnych, jak i wojowniczy imperatyw obrony plemiennego/państwowego terytorium ma przy tym podłoże genetyczne. Osobniki przejawiające dziedzicznie uwarunkowaną skłonność do obrony zasobów swoich i swojej grupy społecznej, przekazują więcej genów następnym pokoleniom. Tu też tkwi tajemnica trudności (czy nawet niemożności?) wyeliminowania wojny z ludzkiej egzystencji. Ponieważ u źródeł wojen leżą zarówno dyspozycje biologiczne, jak i kultura, najlepszą drogą do ich uniknięcia byłoby do-

78 / B. Malinowski, *Wolność i cywilizacja oraz studia z pogranicza antropologii społecznej, ideologii i polityki*, Dzieła, t. X, Warszawa 2001, s. 292.

79 / A.J. Toynbee, *Wojna i cywilizacja*, op. cit., s. 22.

80 / Zob. S. Jarmoszko, *Za kulisami przetrwania*, t.2, Siedlce 2021.

kładne poznanie mechanizmu wzajemnych oddziaływań obu tych rodzajów dziedziczności, w różnych kontekstach historycznych⁸¹. Trudności wyeliminowania wojny wiążą się również z faktem istnienia – od samego początku – znaczącej rzeszy jej apologetów, powołujących się na przeróżną argumentację: filozoficzną, polityczną, ekonomiczną, psychologiczną, nawet religijną.

Fenomen wojny przez tysiąclecia wyzwał w człowieku najgorsze instynkty. Okrucieństwo i destruktywność licznych wojen stymulowały więc racjonalne umysły do konstruowania mechanizmów łagodzenia ich niszczącego przebiegu. W poszczególnych epokach, w różnych kulturach wojennych powstawały więc określone mechanizmy ograniczania ich destrukcyjnego oddziaływania na ludzi (masowych mordów, zniewolenia), jak i dobra materialne (np. praktyka „spalonej ziemi”). Już Sun Tzu w swym słynnym traktacie strategii używał argumentów racjonalno-ekonomicznych, wskazując, że im więcej zwycięzca zdobędzie (łącznie z żywymi jeńcami), tym bardziej będzie zasobny i operatywny⁸². Później pojawiły się i różnicowały koncepcje wojny sprawiedliwej, powstawały religijne, etyczne, a następnie prawne regulacje stabilizujące sytuację przegranych i w pewnym sensie racjonalizujące wojnę, a w następstwie trybunały ścigające zbrodnie wojenne, wreszcie działania (interwencje) humanitarne. Praktyce wojny towarzyszą procesy jej humanizowania. W czasach współczesnych, w państwach demokratycznych wyraźnie zaznacza się jeszcze jeden czynnik – brak akceptacji dla własnych ofiar wojny ze swoistego, politycznego wyrachowania, determinowanego kalendarzem wyborczym⁸³.

Według badaczy cywilizacji, w toku rozwoju cywilizacyjnego następują wyraźne przeobrażenia popędu ludzkiej agresji. Okrucieństwo, żądza napawania się mordowaniem innych i ich męczarniami, a także dążenie do wykazywania przewagi fizycznej poddawane są coraz ostrzejszej kontroli społecznej, której zasadniczym instrumentem jest przede wszystkim państwo. Wraz z coraz bardziej skrupulatną organizacją życia społecznego, bestialskie żądze tłumione są zarówno poczuciem wstydu, jak i świadomością grożących konsekwencji i reperkusji. To sprzyja stopniowalności stosowania przemocy i jej ograniczaniu⁸⁴. Od ponad wieku znaczącą rolę odgrywa tu także prawo międzynarodowe.

81 / E.O. Wilson, *Konsiliencja. Jedność wiedzy*, Poznań 2011, s. 212-213.

82 / Sun Tzu, *Sztuka wojny*, Warszawa 1994, s. 35.

83 / Zob. E. V. Larson, *Casualties and Consensus: the Historical Role of Casualties in Domestic Support for US Military Operations*, Santa Monica 1996, https://doi.org/10.1163/2468-1733_shafr_sim150130028 ; P. Girardin, *Casualty Aversion in Tepid War*, „The Quarterly Journal”, 1/2003, s. 99-121, <https://doi.org/10.11610/connections.02.1.13>(dostęp: 12.06.2025).

84 / Zob. N. Elias, *On the Process of Civilisation*, Dublin 2012; Pinker S., *The Better Angels of Our Nature: Why Violence Has Declined*, Penguin Books 2012; J. Smortchkova, *An Analysis of*

Humanizacja działań zbrojnych jest sposobem czynienia wojny bardziej bezpiecznej i mniej okrutnej. Brzmi to nieco oksymoronicznie (może wręcz – kuriozalnie), ale w rzeczy samej do tego właśnie się sprowadza. Wraz z rozwojem cywilizacyjnym człowiek tworzy określone wzory i konstrukty kulturowe, które hamują ludzką agresję, ale przede wszystkim ograniczają okrucieństwo i zwiększają szanse na przeżycie wojny, przetrwanie nie tylko konkretnych osobników, ale całych społeczności i kultur. Z uwagi na złożoność problematyki możemy tu zarysować bardzo ogólną analizę – zaledwie szkic zjawiska humanizowania wojny w procesie cywilizacyjnego rozwoju ludzkości.

Okrucieństwo i destrukcyjność wojen, a jednocześnie niemożność wykluczenia konfliktów zbrojnych ze stosunków zarówno między narodami, jak i wewnątrzpaństwowych, od dawna stymulowały podejmowanie prób humanizacji działań wojennych, czyli zabiegów redukujących przemoc, naruszenia zasad człowieczeństwa, zmniejszania ogromu nieszczęść ludzi, słowem wszelkich starań zmierzających do uczynienia działań zbrojnych mniej dotkliwymi, okrutnymi dla walczących, jak i ludności nieuczestniczącej w walkach. Słowo „humanizacja” (łac. *humanus*, *humanitas* – ludzki, ludzkość, człowieczeństwo) oddaje dążenie, działanie zmierzające do wnoszenia pierwiastka ludzkiego, humanistycznego do rzeczy, zjawisk i procesów, czynienia czegoś przychylnym, korzystnym dla ludzi. W ujęciu słownikowym stanowi „wprowadzenie, głoszenie, propagowanie zasad głoszonych przez humanizm”, „dostosowanie jakiejś dziedziny życia do potrzeb i możliwości człowieka, zgodnie z zasadami humanizmu”.

Procesy humanizowania wojen obejmują wszelkie działania ograniczające, łagodzące ich potworność i destrukcyjność. Humanizowanie wojen można więc zdefiniować jako całokształt intencjonalnie podejmowanych zabiegów, mających na celu ochronę/przywracanie należnej (przyrodzonej) wartości człowieka, a zasadniczo minimalizowanie cierpień w warunkach starcia zbrojnego, co odnosi się głównie do ograniczania i eliminowania okrucieństwa wojennego, łagodzenia trudów wojny oraz zmniejszania jej ogólnej destrukcyjności. Humanizowanie wojen sprowadza się więc do czynienia wojny bardziej „ludzkiej”⁸⁵.

Steven Pinker's *The Better Angels of Our Nature, Why Violence has Declined*, London 2017, <https://doi.org/10.4324/9781912282531>. (dostęp: 21.10.2024).

85 / S. Jarmoszko, *O zjawisku i strategiach humanizowania wojny – ujęcie antropologiczne*, [w:] M. Ku-biak, R. Wróblewski (red.), *Oblicza współczesnych wojen*, Warszawa-Siedlce 2018, s. 209-242.

Christopher Coker ujmuje to zagadnienie jako szerokie zjawisko etyczno-społecznej modyfikacji wojny, opierające się na trzech elementach: humanizmie, człowieczeństwie i humanitaryzmie. Humanizm (*humanism*) odnosi się do położenia akcentu na człowieka, którego sytuuje się jako najważniejszy element (podmiot) wojny. W efekcie chodzi o minimalizowanie ryzyka (najlepiej, by wojny mogły być prowadzone bez bezpośredniego udziału żołnierzy?!). Za człowieczeństwem (*humanity*) kryje się dążenie do uwolnienia aktorów wojny (żołnierzy i ludności cywilnej) od nieuzasadnionych cierpień, tzw. strat ubocznych. Istotą humanitaryzmu (*humanitarianism*) natomiast jest prowadzenie wojen „specjalnych” – w interesie innych/obcych, dla ich ocalenia oraz przywrócenia porządku prawnego i społecznego⁸⁶.



W różnych dyskursach pojawia się dylemat: humanizacja czy humanitaryzacja. Często pojęcia te są utożsamiane, nie do końca słusznie. Humanizacja odnosi się do ogólnego łagodzenia charakteru konfliktów zbrojnych, nadawania im „ludzkiej twarzy”, „cywilizowanych” zasad – wprowadzania regulacji, które *a priori* nie dopuszczałyby do działań, zjawisk skrajnie niekorzystnych w poszanowaniu ludzkiej godności, do niweczenia człowieczeństwa. Humanitarność wiąże się z troską o człowieka w niedoli, ma na celu jego dobro, poszanowanie jego praw i godności oraz oszczędzenie mu cierpień. Humanitaryzm odnosi się więc głównie do aktywno-empatycznej postawy wobec ofiar wojny – niesienia pomocy ludziom rannym, pokrzywdzonym, prowadzenia akcji ratunkowych, do objęcia ochroną ludzi już dotkniętych okropnościami wojny. Działania humanitarne stanowią więc nieodłączny, często wręcz podstawowy, element humanizacji wojny.

86 / Zob. Ch. Coker, *Human Warfare: the New Ethic of Post Modern War*, London-New York 2001; Ch. Coker, *Waging War Without Warriors? The Changing Culture of Military Conflict*, Boulder-London 2002.

Postulat i praktyka humanizacji wojny wiąże się z – sięgającą tradycji arystotelesowskich⁸⁷ – koncepcją wojny sprawiedliwej, choć się do niej nie sprowadza. Koncepcja ta w określonym przypadku może rozsądzać zasadność jej wywołania (*ius ad bellum*). Wojna sprawiedliwa oznacza uzasadnioną, usprawiedliwioną, nierzadko moralnie wręcz konieczną, wymuszoną niejako. Podstawowym kryterium oceny wojny już prowadzonej, jako sprawiedliwej jest prowadzenie jej w sposób humanitarny. Zabiegi humanizowania są czynieniem każdej wojny bardziej sprawiedliwą. Z idei wojny sprawiedliwej wynika podstawowa dyrektywa humanizująca, którą odnajdujemy już u naszego teoretyka wojny sprzed pięciu wieków: „Wszystkiego pierwiej niż broni próbować mądryemu się godzi”⁸⁸.

Działań humanizowania wojen nie należy jednak mylić z działaniami pacyfistycznymi, zmierzającymi do wyeliminowania wojny z życia społecznego. Pacyfizm ujmowany jest jako „zespół poglądów i postaw, mających na celu realizację wiecznego lub przynajmniej trwałego pokoju oraz odrzucających wszelkie stosowanie siły zbrojnej w stosunkach międzyludzkich (...) Idee pacyfizmu wyrażają żądanie odrzucenia gwałtu oraz postulat tolerancji i pokoju w stosunkach między ludźmi i narodami”⁸⁹. Jest swoistą polityką, choć uprawianą poza, a często nawet przeciw państwu. Gdyby pacyfistyczne idee można było efektywnie wcielić w życie, nie byłoby potrzeby humanizowania wojen, które po prostu by nie istniały.

Sama idea, a w ślad za tym praktyki humanizowania wojen sięgają głęboko w pradzieje człowieka. Wyłaniają się dwie zasadnicze płaszczyzny zachodzących tu procesów – endogenna i egzogenna. Już po wczesnych doświadczeniach wojennych ludzkość sama z siebie zaczęła kształtować swego rodzaju hamulce własnej agresywności. Strategie endogenne odnoszą się więc do podejmowania działań w obrębie danego konfliktu wojennego, względnie dobrowolnie przez same strony konfliktu, bez zasadniczych ingerencji zewnętrznych. Strategie egzogenne bazują natomiast na wpływie zewnętrznym. To nie strony danego konfliktu przesądzają o ograniczeniach w stosowanych praktykach, lecz zobligowane są niejako do podporządkowania się, przyjęcia konkretnych wzorców czy wpływów płynących z zewnątrz, mających charakter

87 / Zob. Arystoteles, *Polityka*, Warszawa 2006, s. 32.

88 / A.F. Modrzewski, *O poprawie Rzeczypospolitej*, Warszawa 1953, s. 307. Zob. także: A. Zwoliński, *Wojna. Wybrane zagadnienia*, Kraków 2003; M. Walzer, *Wojny sprawiedliwe i niesprawiedliwe*, Warszawa 2010.

89 / L. Melchior, *Pacyfizm*, [w:] J. Kukułka (red.), *Leksykon pokoju*, Warszawa 1987, s. 135.

nadrzędny, ustanowionych *a priori* (często uświęconych wielowiekową tradycją), bądź też kreowanych *ad hoc*, na potrzeby danego konfliktu.

Początkowo niezbyt liczne wspólnoty plemienne, świadome egzystencjalnego zagrożenia, jakie niosłaby bezwzględna walka na śmierć i życie, same z siebie stosowały określone mechanizmy ograniczania krwawej przemocy, stosując różne techniki walki rytualnej, a nawet symbolicznej. To strategia teatralizacji wojny. Taka swoista wojna „udawana”, stanowiła rodzaj „zaworów bezpieczeństwa” pozwalających względnie bezkrwawo regulować i rozstrzygać pojawiające się spory⁹⁰. Taką strategię stosowano w wojnach plemiennych między klanami Maringów (z Nowej Gwinei)⁹¹. Również na antypodach (w Ameryce Południowej), nawet wśród najbardziej wojowniczych plemion pierwotnych, które dotrwały do czasów współczesnych, występują działania rytualne i symboliczne. Przykładowo konflikty u Yonomami układają się w stopniowalne sekwencje o nasilającym się ryzyku utraty życia: pojedynek na obelgi, oskarżenia i okrzyki; naprzemienne uderzanie pięścią w klatkę piersiową, a później po ramionach; naprzemienne zadawanie ciosów pałką, a następnie płaską stroną siekiery bądź maczety itp. We wszystkich tych przypadkach celem walki nie jest zabicie przeciwnika, lecz zrobienie odstraszaającego wrażenia⁹². Co nie znaczy oczywiście, iż społeczności przedpaństwowe nie prowadziły krwawych ekspansji, niosących barbarzyństwo i wiele ofiar, nie zdarzały się one jednak nazbyt często⁹³. Klasycznych przykładów rytualnych wojen starożytnych dostarcza epoka Wiosen i Jesieni (od 722 do 481 roku p.n.e.) w Chinach⁹⁴.

Inną strategią było rozstrzygnięcie sporu poprzez pojedynek przywódców bądź reprezentantów (w którym starcie jednostek miało przesądzić o wyniku wojny). Najbardziej chyba znanym przypadkiem był biblijny pojedynek małego Dawida (reprezentanta Izraelitów) i mocarnego wojownika Filistynów – Goliata⁹⁵. Opis takiej strategii humanizowania wojny zawiera także „Iliada” Homera. Tutaj lansują ją i realizują zarówno bogowie, jak i ludzie. Chcąc prze-

90 / Zob. A.P. Vayda, *Hypotheses About Function of War*, [w:] M. Fried, M. Harris, R. Murphy (red.), *War: The Anthropology of Armed Conflict and Agression*, New York 1968, ss. 85-91; I. Eibl-Eibesfeldt, *Miłość i nienawiść*, Warszawa 1987, s. 93-105.

91 / M. Harris, *Krowy, świnie, wojny i czarownice. Zagadki kultury*, Katowice 2007, s. 65-66.

92 / N.A. Chagnon, *Historie życia, krwawa zemsta i wojna w społeczeństwie przedpaństwowym*, [w:] T. Buliński, M. Kairski (opr.), *Sny, trofea, geny i zmarli. „Wojna” w społecznościach przedpaństwowych na przykładzie Amazonii – przegląd koncepcji antropologicznych*, Poznań 2006, s. 114.

93 / Zob. H. Turney-High, *Primitive War. Its Practice and Concepts*, Columbia 1971.

94 / W. Polk, *Sąsiedzi i obcy. Podstawy stosunków międzynarodowych*, Warszawa 2000, s. 100-101.

95 / Zob. I. Finkelstein, N.A. Silberman, *Dawid i Salomon*, Warszawa 2006, s. 155-158.

rwać dalszy rozlew krwi, Hektor występuje z propozycją pojedynku dwóch głównych antagonistów – Parysa i Menelaosa (III 89-96, 113-114). Zażegnania katastrofy pragną też sami bogowie. W tej sprawie negocjują Pallas-Atena (patronka Greków) i Jowisz – bóg srebrnego łuku (protektor Trojan) (VII 34-40). W przeciwieństwie do Biblii homeryckie opowieści nie kończą się jednak przewidywanym skutkiem. Menelaos, choć sprawniejszy od Parysa, nie zwycięża go, gdyż pięknemu Trojaninowi w sukurs przychodzi sama Wenus, przesądając o przewadze miłości nad glorią chwały bitewnej⁹⁶.

Słynnym, legendarnym rozstrzygnięciem wojny przez reprezentantów wadzących się stron był zwycięski pojedynek przedstawicieli Rzymu – trzech braci Horacjuszów z trzema Kuriacuszami, reprezentującymi miasto Alba Longa⁹⁷. W przebiegu tego starcia wyraźnie rysuje się znaczenie honoru rycerskiego. Akcja rozegrała się w taki sposób, że najpierw zginęli dwaj Horacjusze, po czym ów trzeci pokonał najpierw swego rywala, a następnie dwóch zwycięzców swoich braci. W wyniku honorowej postawy przedstawicieli Alba Longa zwyciężył Rzym, a znaczenie Alby uległo marginalizacji.

Istotne znaczenie w procesie humanizowania wojny miało także stosowanie działań pośrednich i ograniczeń w walce zbrojnej. Główne zamysły rozwijanych teoretycznie, jak również stosowanych praktycznie strategii prowadzenia wojen, układają się w dwa przeciwstawne paradygmaty – zwarenia czołowego (wersja *hard*) i działań pośrednich (wersja *soft*). Oba miały w historii wielu zwolenników i przedstawicieli. Paradygmat zwarenia czołowego opiera się na preferencji zderzenia głównych sił, bezpośredniej krwawej walki nieuwzględniającej poziomu zniszczeń i liczebności ewentualnych ofiar. To w rzeczy samej „strategia zniszczenia i mordy”. Przede wszystkim liczy się militarne zwycięstwo, jednoznaczne pokonanie wroga, zniszczenie jego siły bojowej, a nierzadko także jego podmiotowości. Ten rodzaj strategii był charakterystyczny wojnom toczonym na obszarach śródziemnomorskich, a jej głównym instrumentem była falanga, a następnie rzymski legion⁹⁸.

Z kolei paradygmat działań pośrednich opiera się na celowym unikaniu otwartej walki zbrojnej na rzecz stosowania przemyślanych uników, wyrafinowanych forteli, oddziaływaniu nie od frontu, lecz na tyły czy flanki przeciwnika. Wojna to w pierwszej kolejności walka umysłów, strategii, nie siły. U źródeł

96 / Homer, *Iliada*, przeł. F.K. Dmochowski, Świat Książki, Warszawa 2004.

97 / Zob. Z. Kubiak, *Piękno i gorycz Europy. Dzieje Greków i Rzymian*, Warszawa 2003, s. 241; J.-C. Fredouille, G. Rachet, *Cwilizacje śródziemnomorskie. Leksykon*, Katowice 2007, s. 320-321.

98 / S. Jarmoszko, *Militarne dziedzictwo a współczesne aplikacje strategii*, Toruń 2015, s. 57-63.

tego paradygmatu leżą zasady sformułowane przez pioniera teoretycznej strategii – Sun Tzu. „Osiągnąć sto zwycięstw w stu bitwach nie jest szczytem osiągnięć. Najwyższym osiągnięciem jest pokonać wroga bez walki”⁹⁹ – pisał. Poznanie, studiowanie wojny ma na celu szybkie jej zakończenie, zaś „najwyższą wojskową zasadą jest niechęć do wojny”. Ci zaś, którzy wojnę kochają, prą ku wojnie, prowadząc tym samym kraj do zniszczenia – twierdził półtora wieku później Sun Pin. Wojna jest uzasadniona jedynie z braku alternatywy¹⁰⁰.

Według chińskiej myśli strategicznej sztuka walki polegała na pozbawieniu przeciwnika zdolności ofensywnej, wewnętrznym osłabieniu go i zewnętrznym „zaszachowaniu”, jeszcze zanim dojdzie do działań bojowych. Wewnętrzna i zewnętrzna dezintegracja, której wcześniej wróg powinien zostać poddany, znosi konieczność późniejszego bezpośredniego starcia fizycznego (wróg nie będzie bowiem zdolny do walki). Tego rodzaju sztuka wojenna nie wystawiała krwawej walki, lecz uczyła, jak odnieść zwycięstwo, obywając się bez niej bądź wydatnie ją ograniczając. Frontalne zderzenie, ustawionych naprzeciw siebie armii, zawsze jest wysoce ryzykowne i niszczycielskie – niebezpieczne więc dla własnych sił i nieracjonalne (gdyż nieekonomiczne). Oznaczałoby to bowiem utratę dóbr przeciwnika, które w przypadku wygranej można byłoby efektywnie wykorzystać dla własnego pożytku¹⁰¹.

Działania pośrednie pojawiały się także w warunkach defensywy. Pierwszą reakcją na inwazję wojenną wroga była obrona. Ale czy było to racjonalne działanie przy miażdżącej dysproporcji sił. W starożytności taka dysproporcja była częstym zjawiskiem w przypadku ekspansji rozwiniętych państw na ziemię *barbaricum*. Starożytni wynaleźli specyficzną strategię obronną, wielokrotnie stosowaną w różnych miejscach, w różnych czasach. Zapoczątkowała ją inwazja Asyrii na północne państewko Zamua (w górach Zagros) w 881 roku p.n.e. Wówczas ludność zaczęła się wycofywać z całym dobytkiem w miejsca niedostępne dla przeciwnika, pozostawiając nieprzyjacielowi ziemię „bez życia”, ratując się przed wymordowaniem bądź niewolą¹⁰². Taką strategię zastosowali również Scytowie pod naporem Dariusza około 514 roku p.n.e., a także Temistokles w 480 roku, gdy ewakuował mieszkańców Aten na Salaminę, by

99 / Sun Tzu, *Sztuka wojny*, op. cit., s. 35.

100 / Sun Tzu, Sun Pin, *Sztuka wojny*, Gliwice 2004; K. Gawlikowski, *Strategie na konflikt i negocjacje. O sztuce wojny Mistrza Sun, „Azja-Pacyfik”* 1998, s. 207-212.

101 / Zob. E. Haliżak, *Polityka i strategia Chin w kształtowaniu międzynarodowego bezpieczeństwa*, Warszawa 2008, s. 136-137.

102 / Zob. B. Składanek, *Historia Persji, t.I, Od czasów najdawniejszych do najazdu Arabów*, Warszawa 2008, s. 63, 115.

zadać Kserksesowi cios z morza. I tak się stało. Taką strategię nieraz stosowali także Celtowie i Germanie pod naporem Rzymu, o czym niejednokrotnie donosił Tacyt.

Formą wewnętrznej strategii humanizowania wojny było także utrzymanie dyscypliny moralnej walczących wojsk. Wojsko stanowi efektywny mechanizm realizacji specyficznych, trudnych i niebezpiecznych działań. Dodajmy wojsko karne, zorganizowane i zdyscyplinowane. Wojna jednak staje się czasem anomii – nieobowiązywania powszechnych zasad i praw, a jednocześnie wszechwładzy ludzkich żądz. Zatem machina ta może stać się także instrumentem zbrodni i wszelkiego zła. Natura wojny temu służy. Sprawą niezmiernej wagi staje się więc sprawność dowodzenia. Wojsko (żołdactwo) nieczujące nad sobą silnej ręki, w ferworze walki może dopuszczać się wszelkich niegodziwości, zwłaszcza wobec lokalnej ludności. Niezbędny poziom dyscypliny wojskowej nie tylko więc służy efektywności działań bojowych, ale także stanowi barierę przed nadużyciami i zbrodniami wojennymi¹⁰³.

W procesie humanizowania wojen znaczącą rolę ogrywały także egzogenne ograniczanie destruktywności i potworności wojny. Wojna sama w sobie jest złem, ale stanowi ponadto szczególną arenę dla tworzenia dodatkowego zła. Jej humanizowaniu służyły w tym wymiarze nakazy religii, w tym zabiegi pokutne. Najbardziej upowszechnionym, humanistycznym nakazem religijnym jest piąte przykazanie Dekalogu: „Nie zabijaj”. Wpisuje się ono we wcześniejszą hinduistyczną (wedyjską) koncepcję *ahinsy* (*ahimsy*), czyli zakazu czynienia zła, krzywdy (w tym zabijania), przejętą następnie przez buddyzm, szczególnie zaś akcentowaną w dżinizmie. Równolegle, nadzwyczaj ważną płaszczyzną humanizowania wojen od samego zarania były hamulce moralne, wszak „moralność nie pozwala robić pewnych rzeczy nawet wobec wroga”¹⁰⁴. Ta sama siła, która nie pozwala mordować dzieci wroga, niewinnych cywili, każe także wynieść ранnego kolegę z pola walki. Etyka wojny to określone nakazy, ale przede wszystkim zakazy i ograniczenia moralne, a jak zauważa Jeff McMahan „ludzie nawet na wojnie akceptują ograniczenia z tej racji, że poszanowanie tych ograniczeń leży w interesie wszystkich”¹⁰⁵.

103 / Zob. M.J. Osiel, *Obeying Orders: Atrocity, Military Discipline, and the Law of War*, „California Law Review” 5/1998, s. 939-1129, <http://scholarship.law.berkeley.edu/californialawreview/vol86/iss5/1> (dostęp: 26.03.2024).

104 / M. Walzer, *Spór o wojnę*, Warszawa 2006, s. 30.

105 / J. McMahan, *Etyka zabijania na wojnie*, [w:] T. Żuradzki, T. Kuniński (red.), *Etyka wojny*, Warszawa 2009, s. 140.

Jednym z bardziej znaczących przejawów ograniczeń egzogennych była powszechna tendencja różnych kultur i społeczeństw do ustalania okresów, w których wojna była dozwolona bądź zakazana. Wskazywania zarazem zasadniczej różnicy między okresami wojny i pokoju. Jeśli nawet usiłowania te przynosiły różne skutki, zawsze istniała dość precyzyjna definicja okresu wojennego, poza którym zabójstwo wojenne stawało się morderstwem. Wiele starożytnych tekstów (włącznie z Biblią) okazywało brak litości wobec tych, którzy zabijali w czasie pokoju, zwłaszcza zbrojnie.

Istniały ponadto niepisane uniwersalne zasady walki, obyczaje wojskowe jak: obowiązek wypowiedzenia wojny, powstrzymanie się od prowadzenia działań zbrojnych w pewnych okresach (świąt religijnych, igrzysk), ochrona niektórych miejsc (świątyń), bądź osób (heroldów), poszanowanie trofeów (miejsc upamiętniających walkę), nakaz zwracania zabitych, zakaz atakowania niewalczących, zachowania odpowiedniej pory roku, ograniczony pościg za pokonanymi i wycofującymi się itp. Święte i nienaruszalne były także rozejmy związane z grzebaniem poległych, okresy igrzysk czy przysięgi traktatowe. Często jednak zasady te stosowane były wobec przeciwników partnerskich, „cywilizowanych” (upaństwowionych) z wykluczeniem barbarzyńców¹⁰⁶.

Już w starożytności pojawia się obyczaj formalnego wypowiedzenia wojny. Idea ta była głęboko zakorzeniona w historii ludzkości. W Rzymie wypowiedzenie wojny było domeną Jupitera. Odprawiano odrębną ceremonię (*indictio belli*), która kończyła się rzutem włóczni z żelaznym grotem (*hasta ferrata*) na terytorium nieprzyjacielskie. Choć była to czynność utrudniająca skuteczność osiągania militarnego celu wojny, była przestrzegana, a tych, którzy atakowali bez uprzedzenia, zwłaszcza w okresach świątecznych, w czasie którego nic nie powinno było zakłócać, spadał gniew bogów¹⁰⁷.

Z antropologii walki wynika, iż w najrozmaitszych kulturach ukształtowały się pewne reguły walki w postaci rycerskości i dżentelmenerii. Należały do nich m.in. uznanie poddawania się, wyrażane oszczędzaniem zwyciężonego. Zakładało to wzajemne zaufanie, przejawiające się w tym, że zwycięzca ufał, iż zwyciężony dotrzyma reguł umowy i nie zastosuje podstępu (np. walki partyzanckiej), a sam zwyciężony miał prawo oczekiwać, że nie będzie

106 / Zob. V.D. Hanson, *The Western Way of War: Infantry Battle of Classical Greece*, London 1989; P. Krentz, *Fighting by the Rules: The Invention of the Hoplite „agon”*, „Hesperia” 71/2002, s. 23-39.

107 / Zob. G. Dumézil, *Fêtes romaines d'été et d'automne, suivi de dix questions romaines*, Paris 1975, s. 218, cyt. za: A. Gieysztor, *Mitologia Słowian*, Warszawa 2006, s. 129; J.-P. Roux, *Krew. Mity, symbole, rzeczywistość*, Kraków 1994, s. 119-120.

terroryzowany, ciemniony i eksploatowany¹⁰⁸. Znamienną rolę odgrywała tu kultura honoru¹⁰⁹, która towarzyszy człowiekowi od wieków, zwłaszcza w odniesieniu do niektórych jego elit. Klasycznym *exemplum* jest tu kultura rycerska – i co szczególnie należy podkreślić, nie tylko w średniowieczno-europejskim, czy też samurajskim wydaniu.

Kultura honoru występuje już w cywilizacjach antycznych. Jej ślady odnajdujemy choćby w poglądach i działaniach Cyrusa Wielkiego (580-529 p.n.e.), twórcy i władcy Imperium Perskiego, który swoje państwo zbudował nie tyle na naturalnej poniekąd w tamtych czasach przemocy, co na wielkoduszności i mądrym rządzeniu. Wiedząc o jego wyrozumiałości, przeciwnicy nie walczyli z nim z rozpaczliwą odwagą tych, którzy mają do wyboru: zabić lub zginać. W obliczu oczywistej przewagi najczęściej poddawali się, mając pewność sprawiedliwego potraktowania¹¹⁰. Wielki władca twierdził, iż honor powinien towarzyszyć człowiekowi prawemu do końca jego dni, że każdemu, kto działa z honorem należy się szacunek, a „ludzie ciągną do cnoty, widząc, że fajdaków spotyka hańba”.

Sukcesy militarne Wielki zawdzięczał własnym zmysłom strategicznym, ogólnej mądrości oraz sile, lojalności i poświęceniu armii. Istotę jego poglądów strategicznych Ksenofont rekonstruuje następująco: „Zanim uciekłem się do siły, wolałem stosować fortele i dyplomację. Zawsze chętnie negocjowałem pokój, starając się zmniejszyć szkody, jakie mogły odnieść moje oddziały, jak też fortece i ludzie, którzy wkrótce mnie mogli przypaść”¹¹¹. Cyrus preferował więc strategię działań pośrednich, czego dobitnym przykładem było odwrócenie biegu Eufratu (wykopanie innego koryta) i tym sposobem zdobycie Babilonu bez walki¹¹². Jak konstatają analitycy, „w równym stopniu podbił świat, co go uwiódł, przekonując wiele najróżniejszych narodów, że je rozumie, ceni i pragnie ich miłości”¹¹³. Oceniany jest jako najbardziej sprawiedliwy i przyjazny z ówczesnych zdobywców.

Współczesne czasy przyniosły dwie inne znaczące egzogenne strategie humanizowania wojen – tworzenie organizacji humanitarnych oraz organizowanie i wdrażanie interwencji humanitarnych. Pierwszą, a zarazem chyba

108 / I. Eibl-Eibesfeldt, *Miłość i nienawiść*, op. cit., s. 101-102.

109 / Zob. S. Jarmoszko, *Kultura honoru w procesie socjalizacji zawodowej wojskowych*, „Colloquium” 2/2014, AMW Gdynia, s. 115-138.

110 / Ksenofont, *Cyrus Wielki. Sztuka zwyciężania*, Warszawa 2008, s. 10, 38, 136.

111 / Ibidem, s. 96.

112 / W. Weir, *50 wódzów którzy zmienili świat*, Warszawa 2007, s. 19-23.

113 / T. Holland, *Perski ogień. Pierwsze starcie Wschodu z Zachodem*, Warszawa 2005, s. 37.

najbardziej zasłużoną organizacją bezpośrednio humanizującą sytuację na wojnie był Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża, utworzony w 1863 roku przez szwajcarskiego dobroczyńcę, Henry Dunanta, pod wpływem najostrzejszej obserwacji makabrycznych skutków bitwy pod Solferino. Niosąc po dzień dzisiejszy bezpośrednią pomoc ofiarom konfliktów zbrojnych, organizacja ta odegrała również wielką rolę w kreowaniu międzynarodowego prawa humanitarnego¹¹⁴. W te ślady idzie dzisiaj wiele różnych organizacji, niosących bezpośrednią, wyspecyfikowaną pomoc współczesnym ofiarom kataklizmów wojennych (np. UNHCR, Peace Corps, Doctors Without Borders, Reporters Without Borders, Human Rights Watch, Amnesty International, International Rescue Committee). Mogą one mieć charakter globalny bądź tylko lokalny, czego przykładem jest izraelsko-palestyńska inicjatywa „Combatants for Peace”¹¹⁵.

Nadwyraz ważnym elementem humanizacji wojny jest humanizacja w warstwie prawnej (prawo wojenne, humanitarne), zapewniająca stronom walczącym oraz ludności cywilnej coraz większą ochronę prawną (*ius in bello*). Zgodnie z definicją Czerwonego Krzyża, system prawa humanitarnego to zespół norm regulujących walkę zbrojną i zachowanie stron konfliktu, służących rozwiązywaniu problemów humanitarnych bezpośrednio wynikających z międzynarodowych i niemiędzynarodowych konfliktów zbrojnych i które z powodów humanitarnych ograniczają prawo stron konfliktu do stosowania metod i środków walki według własnego uznania oraz chronią osoby i mienie, które są lub mogą być zagrożone przez konflikt¹¹⁶. Humanizowanie wojny poprzez prawo wojenne dokonuje się niejako w dwóch płaszczyznach – poprzez ograniczenia w prowadzeniu działań wojennych, a głównie zakaz określonych metod działań zbrojnych¹¹⁷, a także poprzez regulacje odnoszące się bezpośrednio

114 / D.P. Forsythe, B.A.J. Rieffer-Flanagan, *The International Committee of the Red Cross: A neutral humanitarian actor*, London 2016, <https://doi.org/10.4324/9781315644448> (dostęp: 6.07.2024); P. Boissier, *History of the International Committee of the Red Cross*, Vol. I: From Solferino to Tsushima, Geneva 1985.

115 / N.J. Wheeler, *Saving Strangers. Humanitarian Intervention in International Society*, Oxford 2002; D.P. Fry, *Beyond War: The Human Potential for Peace*, New York 2007, <https://doi.org/10.1093/oso/9780195309485.001.0001> (dostęp: 26.03.2024); D.J. Perry, *The Israeli-Palestinian Peace Movement: Combatants for Peace*, New York 2011, <https://doi.org/10.1057/9780230339743>.

116 / H.P. Gasser, *International Humanitarian Law: an Introduction*, Geneva-Bern 1998. <http://www.icrc.org> (international humanitarian law); T. Meron, *The Humanization of Humanitarian Law*, „American Journal of International Law”, Vol. 94, No. 2, 2000, s. 239-278. <https://doi.org/10.2307/2555292>. (dostęp: 26.03.2024).

117 / Zob. S.B. Bailey, *Prohibitions and Restraints in War*, London 1972 <https://doi.org/10.7312/best91500> (dostęp: 26.03.2024); R. Kolb, R. Hyde, *An Introduction to the International Law of Armed Conflicts*, Oxford-Portland Oregon 2008; J. Goldblat, *The Laws of Armed Conflict: An Overview of the*

do ochrony ludności i niesienia jej pomocy w warunkach działań zbrojnych. Istotne znaczenie odgrywa także samo szkolenie żołnierzy w zakresie prawa humanitarnego.

* * *

Zderzając realia wspomnianych na wstępie obecnych konfliktów z rozwijającą się od tysięcy lat praktyką humanizowania wojen, ogólny wniosek przeczy jednak sygnalizowanym obawom o krach człowieczeństwa. Każdy agresor – zwłaszcza na początku inwazji – rozwija repertuar swego okrucieństwa (masowe mordy, zniewolenia, gwałty, praktyka „spalonej ziemi” itp.), co jednak nie niweluje wcześniej zakorzenionych tendencji humanizujących, humanitarnych, które z czasem coraz bardziej dochodzą do głosu. Spośród ujawniających się również obecnie, jako najbardziej reprezentatywne można przywołać interwencje wojskowe (typu peaceenforcement) i humanitarne zarazem (międzynarodowa wojna z ISIS), pokojotwórcze i humanitarne działania ONZ, działania pomocowo-ratownicze MKCK i innych organizacji humanitarnych, pomoc uchodźcom udzielana przez kraje ościenne, wymiana jeńców/zakładników, działania międzynarodowego trybunału karnego itp. Wyraźnym zamiarem i podejmowanym aktom dehumanizacji wojny przeciwstawiają się więc jednoznaczne działania mieszczące się w nurcie jej humanizowania.

Okruchy historii wskazują wszakże, iż mimo totalnie zniewalającego mechanizmu wojny, dobry człowiek pozostaje człowiekiem (choć jakże często okupując swój heroizm człowieczeństwa „morzem” cierpień). Okrucieństwo znajduje swoją antytezę w ludzkiej dobroci, życzliwości, miłosierdziu i sprawiedliwości. Te osobowe wyznaczniki humanizmu znajdują ponadto wsparcie ze strony form spetryfikowanych, zinstytucjonalizowanych, nie tylko w postaci tradycji szlachetnej walki czy nakazów religijnych bądź etycznych, ale także faktów bardziej skonkretyzowanych, materialno-organizacyjnych, jak funkcjonowanie organizacji humanitarnych i działania przez nie podejmowane, międzynarodowe prawo humanitarne wraz ze swymi organami wykonawczymi (np. MTK), rozwijanie działań i broni nieśmiercionośnych itp. Wszystko to pozwala żywić nadzieję na przetrwanie nie tylko gatunku ludzkiego, ale i człowieczeństwa, mimo utrzymującego się „czarnego” uroku wojny.

Restrictions and Limitations on the Methods and Means of Warfare, „Bulletin of Peace Proposals”, Vol. 13, No. 2, 1982, s. 127-133, <https://doi.org/10.1177/096701068201300208> (dostęp: 21.02.2025).

Spadkobiercy Orientacji Poetyckiej Hybrydy

W roku 2013 odnotowano kilkanaście znakomitych debiutów poetyckich. Sięgając pamięcią aż do połowy lat siedemdziesiątych XX w., nie było tak bogatego roku w znakomite debiuty, pomijając z takich czy innych względów, nieliczne wybitne debiuty, jakie ukazały się w okresie Nowej Fali, i nieco później – Nowej Prywatności, określanej też jako Nowe Roczniki, jak i aktywność poetów BruLionu, trochę nadszarpnięta pojawieniem się Romana Honeta /z debiutem pt. *Alicja*, w 1996 r./, i głośnym debiutem *Życie na Korei* Andrzeja Sosnowskiego w 1992 r.

Do pełni oceny trzeba wrócić do okresu orientacji-hybrydy, po Współczesności nurt ten mocno zaistniał w percepcji czytelniczej na długie lata. Dość powiedzieć, że nawet dzisiaj młode pokolenia poetów chętnie wracają do twórczości liderów tamtej formacji. Z pełną świadomością ponadczasowości poezji większości przedstawicieli skupionych wokół kultowych już Hybryd.

Sześć dekad temu nikt nie zadawał pytania, w którym kierunku zmierza Orientacja Poetycka Hybrydy. Zresztą nie było komu, bo bywalcy klubu Hybrydy w Warszawie nie mieli świadomości, jaki będzie ich owoc artystyczny w odległej przyszłości, i czy w ogóle będzie przedmiotem oceny. Termin ten narzucono im z zewnątrz przez krytykę, a raczej przez zwolenników narzucania poezji sztucznych ram, wprawdzie nielicznych, ale bardzo skutecznych w swoim działaniu. Wydaje się to bardzo dziwne, ponieważ poeci tamtego okresu nie stworzyli deklaracji, nie głosili rewolucyjnych haseł, nie próbowali nawet utworzyć grupy poetyckiej, spotykali się w Hybrydach spontanicznie, a korzenie ich twórczych predyspozycji były bardzo zróżnicowane, środowiskowość poetycka i nie tylko, tak pożądana przez władze polityczne, w tym przypadku nie znalazła posłuchu, poeci uderzali w dźwięczny dzwon własnych talentów, nie odcinając się od tego, co dokonali ich historyczni poprzednicy.

Zajrzałem do archiwów, aby utwierdzić się w przekonaniu, że tak w istocie było, teraz po latach mogę uściślić swoje stanowisko, albowiem mam komfort

weryfikacji tego, co pisano na ten temat w przeszłości i spróbuję dokonać oceny po latach.

A więc wracając do tamtych lat, jawi nam się obraz bardziej i mniej spontanicznych buntów, formalnych i tych mniej oczywistych, pojedynczych, lub grupowych wyborów i deklaracji, mających wtedy niemały wpływ na stan i obraz polskiej poezji, jawnych lub ukrywanych zmian, a także powracających jak moda, akcentów minionych okresów /nurtów/ literatury. Kieruję swoją uwagę zwłaszcza na młodych poetów, w szczególności na konsekwencje ich pierwszych /debiutanckich/ wyborów (artystycznych, oraz koniecznie, politycznych). Do tych zagadnień zawsze się wraca w momentach, kiedy pojawia się debiut deklaratywnie polityczny, uwikłany w liryczne zaangażowanie, nawiązujący do zagadnień społecznych wymagających odreagowania piórem, w intencji społecznej albo spolegliwej wobec systemu władzy.

Krzysztof Gąsiorowski po wielu latach wyraził swoje ubolewanie, że dość liczna grupa debiutantów z lat sześćdziesiątych nie została przez krytykę należycie opisana, może nawet wcale tego nie uczyniono, wiersze poetów nie były przez następne lata i długo potem, poddawane interpretacjom i reinterpretacjom. Hybrydy, zdaniem wielu historyków, zostały skutecznie zmarginalizowane, a dowodem na to jest brak analiz badawczych, zbiorczych opracowań z uwzględnieniem konkretnych wniosków i konkluzji, dlatego potomnym pozostaje jedynie twórczość Edwarda Stachury, w mniejszym stopniu Ryszarda Milczewskiego-Bruno, Janusza Żernickiego i Krzysztofa Gąsiorowskiego. O istocie poezji Gąsiorowski wypowiadał się wielokrotnie, według jego formuły: twórczość określonego poety im bardziej oddala się od wyobraźni, tym bardziej przestaje być poezją. Termin „poezja” należy pojmować w sensie wartości, a nie klasyfikacji. Niewielu jest poetów, którzy potrafią tę teorię konfrontować z praktyką, którzy wykluczają racjonalność z aktu pisania wiersza. Dochodzimy więc do pierwiastka lirycznego, który jest źródłem aktu twórczego, romantycy to opanowali w najwyższym stopniu, a poeci Orientacji unowocześnili językowo tę zależność. Akt twórczy? Kto dziś z piszących może poszczycić się takim stanem. W pogoni za atrakcyjnością języka, zatracają się najcenniejsze składniki liryki, mające znaczenie wartościujące, o którym wypowiadał się Krzysztof Gąsiorowski.

W 1978 roku Andrzej K. Waśkiewicz opublikował swoje „Modele i formuły”, na które złożyły się m.in. rozważania socjologiczno-literackie oraz interpretacyjne, poświęcone twórczości m.in.: Janusza Żernickiego, Krzysztofa Gąsiorowskiego, Zbigniewa Jerzyny, Mieczysława Stanlika. Warto dłużej

zatrzymać się przy sylwetce Mieczysława Stanlika, poety z Bielska-Białej. Niestety mało się o nim pisało, w konsekwencji pozostaje w zapomnieniu, zwłaszcza, że w testamencie kategorycznie zażyczył sobie spalenie wszystkiego, co po nim mogło pozostać. Debiut Stanlika stanowił dla recenzentów nie lada problem. Przypomnę, rok 1963, na Łódzkiej Wiosnie Poetów pojawił się młody poeta z Bielska-Białej, Mieczysław Stanlik. Zdobył tam jedną z nagród i jego poemat pt. *Kryształowa Kula* został opublikowany w tomie zbiorowym rok później. Wcześniej Stanlik dał się poznać jako wielki talent, nadzieja poezji polskiej, publikował w prasie wiersze, które przyniosły mu rozgłos na długo przed debiutem książkowym. Formalnie zadebiutował stosunkowo późno, w wieku 25 lat, co wydawało się dość dziwne z uwagi na powszechną aprobatę jego prasowych publikacji. Dopiero po latach, o czym nie mieli pojęcia ówcześni krytycy, pojawiły się szczegóły dotyczące biografii poety z Bielska Białej. Trzy lata, jak się okazało, zabrała mu służba wojskowa, ściślej marynarka wojenna, a jeszcze dokładniej – służba na okręcie podwodnym. Dzisiaj po latach trudno sobie wyobrazić młodego, wrażliwego poetę, delikatnej postury, niskiego wzrostu, w mundurze marynarskim? A jednak, Stanlik miał przymusowy rozbrat ze swoim szufladowym dorobkiem, co w okresie późniejszym tak zniechęciło wielu krytyków przy ocenie kolejnych tomów jego poezji. Mogę zaryzykować stwierdzenie, że po entuzjastycznie przyjętej Kryształowej Kuli, niechęć wyrażana do poety i surowa krytyka jego następnych książek, były wynikiem, skutkiem tych feralnych trzech lat, podczas których jego dorobek w jakimś sensie uległ dezaktualizacji, pokoleniowej deprecjacji w warunkach braku punktów zaczepnych z programem Orientacji. W takim tonie wypowiadał się Andrzej K. Waśkiewicz, sugerując, że przypadek Stanlika jest: egzemplifikacją ogólnej sytuacji pokolenia poetów lat sześćdziesiątych. Czy można z takim poglądem się zgodzić? Przypomnę o panującej przez kilka dekad pokoleniowej zasadzie (wręcz konieczności) klasyfikacji twórczości poetów. Stanlik „kalendarzowy” przedstawiciel pokolenia Orientacji (debiutujący w tym okresie) niewiele miał wspólnego z poetami tego nurtu i z samym nurtem, którego kanony tak precyzyjnie „ustawili” krytycy poezji, i które na początku lat siedemdziesiątych stanowiły swoistą dyrektywę. W drugiej połowie lat sześćdziesiątych (a więc w okresie schyłku Orientacji) Stanlik wydał cztery książki, w których, jak można przypuszczać, pomieścił teksty z okresu 1963-1967, okresu, w którym odbywał służbę wojskową. Waśkiewicz w swojej ocenie posłużył się lakonicznym stwierdzeniem, że poezja Stanlika stawiała się coraz bardziej mu obca. Zwracam uwagę na tytuły tych książek: *Zielona gwiazda lasu*, *Jawor*, *Słoneczny chłopiec*. Tytuły bardzo sugestywne, mieszczące w sobie

ogrom przyrody, z którą poeta egzystował, wędrując przez dwa lata z taborem cygańskim. To bardzo istotny rozdział w życiu poety, znajdujący odzwierciedlenie w wierszach nasyconych przyrodą, w sposób osobny, niepowtarzalny. Dlatego nie mogę się zgodzić z tezą, że Stanlik był przedstawicielem formalizmu pojęciowego, znajdując się w sytuacji koniecznego wyboru spośród sprzecznych wartości, które poznawał w tym samym czasie. Otóż nie, Stanlik nie musiał wybierać (nie został skazany na wybór) spośród wielu tradycji. I nie musiał przewartościowywać tej, którą wybrał, a już tradycję norwidowską (bo ją mu się przypisuje) tym bardziej. Ponieważ formalizmem okrzyknięto podówczas to wszystko, co się nie mieściło w kategoriach Orientacji, i nie sądzę, aby tradycja, przed którą stanął poeta (znajdował się przez jakiś czas) jakby się rozszerzyła. Rozumiem przez to sygnalizowanie rychłych deklaracji Nowej Fali, która stała się wzorcem definicji poetyckiego pokolenia. Stanlik, jak wielu przed nim żyjących poetów, i jak czas pokazał – przedstawiciele młodszych pokoleń, nie „uciekł” od Norwida, więc przypisywanie mu radykalnego zwrotu w tym kierunku jest nadużyciem wobec jego twórczości. Być może dlatego Stanlik w latach 1972-1979, nie wydał żadnej książki (przypomnę: największy atak na jego poezję miał miejsce na początku 1972 roku). Napiętnowany nie tylko „wyrokami” krytyków, przede wszystkim zauroczeniem powszechnej percepcji deklaratywnością poetów Nowej Fali.

Janusz Żernicki dużo wniósł do dorobku Orientacji, po śmierci Steda I Bruna starał się przywoływać dorobek obu poetów, żywił nadzieję, że nowe pokolenia będą wracać do poezji tamtego okresu. W jednym z numerów „Poezji” napisał: „/.../ dziś idą przez percepcję czytelniczą – Bruna jak za życia, ciężkim, zmęczonym marszem za chlebem, zawieruszoną peryferię i teren, roztrącając chaszcze (jak za życia, jak za życia) ciągłych nieporozumień. (Nowy Romantyzm odmawia mu talentu, młodziankowicie z KKMP zwą go wręcz nikim); Sted z chlebakiem i gitarą archipoety przez złudne manowce, nowych ciągle zyskując wyznawców, z których połowy, śmiem twierdzić jest niezadowolony, a już na pewno wściekły, że używa się jego twórczości do manipulacji nic wspólnego z jego tragiczną i filozoficzną wymową niemających wspólnego”.

Wspomniani przeze mnie poeci Orientacji na blisko dwie dekady stanowili warsztatowy wzór dla wstępujących młodych poetów. Później, postmodernistyczne zapędy debutantów obserwowaliśmy przez dekadę nowego stulecia. Różnica między dziś a wczoraj jest przepastna. Dlaczego? Odpowiedź tkwi w nieograniczonym dostępie do rynku każdego, kto pragnie pisać, a nie kupować książki. To już jest nagminne i może świadczyć o kurczącej się rzeszy

poetów z prawdziwego zdarzenia. Poeci czytali poezję i nadal czytają, ci, co uważają się za poetów nie czytają, bo brakuje im bakcyła, którym nie zdążyli się zarazić, dotyczy to głównie autorów debiutujących w późnym wieku. Możliwość publikacji w Internecie spowodowała prawdziwą erupcję wydawniczą, nie idzie to jednak w parze z jakością, ilość wydawanych książek rocznie przeraża możliwości finansowe czytelnika i wprowadza dezorientację, jeśli chodzi o wyłowienie wartościowych pozycji.

Andrzej Maria Dzierżanowski

Okruchy pamięci

PRZYJACIELE

Przez wojnę byłem bardzo opóźniony w uczeniu się, ale w Szczecinie nadgoniłem dwie klasy gimnazjum i znalazłem się w ostatniej, gdzie byli też Janusz Krzemiński i Ryszard Grabowski. Rysio stał się moim najbliższym przyjacielem. Później dołączył się do nas towarzysko student po przerwanych studiach, Józef Bursewicz, zwany Żozkiem. Ogniwo, które nas połączyło były książki. Wszyscy pochłanialiśmy je masami. Dyskusje o nich i o pisarzach, były jedyną, dostępną rozrywką. Po latach szkolnych to ogniwo nie pękło. Zawsze byliśmy blisko.

Z radością powitaliśmy propozycję Żozka, aby stworzyć grupę poetycką. Zaczęliśmy trenować pisanie wierszy. Tak powstała „Metafora”, pierwsza po wojnie grupa poetycka w Polsce. Dołączyli do niej zaraz Edward Balcerzan z narzeczoną, Bogusławą Latawiec, zdający właśnie maturę, ale już dobrzy w poetyckim fachu. Mistrzem i przyjacielem został naturalnie Bursewicz.

Balcerzanowie wyjechali na studia do Poznania, a do „Metafory” zaczęli dołączać młodzi artyści – malarze po sopockiej akademii. Stało się tak dlatego, że

nieustrudzony Żozek organizował także wystawy obrazów twórców szczecińskich, potem nawet zagranicznych. Ilu z nich przyłączyło się albo odeszło od naszej grupy mógłby powiedzieć tylko sam Żozek, Poeci zaś organizowali własne spotkania, sympozjony czy biesiady literackie. Na jednym z takich spotkań ja zademonstrowałem publicznie działający model maszyny piszącej wiersze. Był to rodzaj gry planszowej, mającej na swym polu 36 słów (6 * 6 rodzajów) połączonych liniami (sześcioma, każda z każdą). Rzuciło się kostką, a ilość oczek wskazywała numer linii do następnego słowa. Graliśmy wtedy z 15 minut, ktoś zapisywał, powstał długi bardzo, biały wiersz i nic się w nim nie powtarzało. Sam byłem zdumiony. Wiersz był awangardowy, ale miał jakiś sens. Sądzę, że był to pierwszy wiersz stworzony przez martwy model maszyny.

Osobą, która miała niemały wpływ na rozwój wypadków, a dla mnie okazała się najważniejszym i najbliższym przyjacielem był Juliusz Burski, nowo mianowany na p. o. dyrektora Wojewódzkiego Domu Kultury, mieszczącego się w Zamku Książąt Pomorskich. Dzięki niemu, tamże, mogły odbywać się wspomniane wydarzenia oraz wiele innych. Juliusz, filolog, sam autor sztuk teatralnych, zaraz stworzył z naszych wierszy widowisko poetyckie i wystawił je w pustej krypcie wieży zamkowej. On reżyserował, a występowali młodzi amatorzy, m.in. Ania Frajlich, licealistka, która potem została pisarką w USA. Pamiętam, że Romaniuk deklamował mój wiersz pt. „Kochać harfistkę rudowłosą”, jednocześnie obrywając po jednym płatku z kwiatu trzymanego w ręku. Publiczność śledziła z zapartym tchem co się pierwsze skończy; kwiat – czy wiersz. Skończyły się równocześnie, co wywołało burzę oklasków.

Juliusz Burski nie tylko pracował na Zamku, lecz równocześnie reżyserował i redagował audycje radia Szczecin, a gdy powstała – to i telewizji. Jego zasługi bywały często przypisywane władzom tych instytucji, bowiem Juliusz, podobnie jak ja, nigdy nie należał do partii. Nic dziwnego, że my i nasze rodziny żyliśmy w serdecznej przyjaźni, razem wyjeżdżaliśmy na wakacje, pod namioty w Bieszczady lub nad Bugiem. Juliusz doczekał się właściwej oceny po Okrągłym Stole. Został wiceministrem kultury w dziedzinie filmu. Niestety szybko nas pożegnał na zawsze.

ZNAJOMI

Jan Papuga był wiele lat prostym marynarzem, a to ciężka praca. Postanowił więc odpocząć gdzieś na lądzie i żyć z pisania książek. Wybrał Szczecin. Tu

jednak trafił na wiele trudności. Nie dostał mieszkania. Owszem, przydzielono sporo mieszkań grupie plastików z Sopotu w wielkiej kamienicy przy ul. Małopolskiej, ale więcej na razie nie było. Janek zwiedził tę kamienicę i znalazł jedno wolne pomieszczenie – na strychu. Postanowił tam zamieszkać. Sam zrobił konieczny remont, a ja, fachowiec, instalację elektryczną. Tam samotnie zamieszkał, napisał i wydał ze dwie książki, ale okazało się, że to nie wystarczy na tak zwany chleb. Janek postanowił zrobić wielkie i prawdziwe pieniądze, gdzie? W Afryce. Zamustrował na statek idący do Konga, gdzie w porcie Pointe Noire zszedł na ląd. W tym czarnym punkcie żadnej pracy nie znalazł, a jako biały, był podejrzaną figurą. Oskarżony o włóczęgostwo trafił do aresztu, w którym siedział (bez wyżywienia) parę dni, dopóki nie został wykupiony przez kapitana następnego polskiego statku.

Gdy wrócił do Szczecina, jego wyrzeźbiona głowa stała się ozdobą frontu Klubu 13 Muz przy pl. Żołnierza Polskiego.

Eliasz Rajzman podczas wojny został wywieziony aż do Kazachstanu, a ponieważ był rolnikiem, dostał stanowisko kierownika stada... wielbłądów. Jako repatriant wrócił do Polski, do Szczecina, gdzie mógł uprawiać swój drugi zawód – pisarstwo. Nie zdziwiłem się, kiedy mnie odwiedził. Przy ćwiartce czystej popłynęły wspomnienia. W końcu Eliaś zdradził powód wizyty:

– Twój wiersz... – powiedział i zacytował z pamięci:

Tym, którzy wejdą do mojej komórki

mechanizmem swych płaszczy gumowych i broni

cóż przeciwstawię; trzy świece złociste

którymi oświeceni me ręce na stole? – To bardzo piękny wiersz – powiedział Eliaś i trzeba było odkorkować nową ćwiartkę.

Jacek Łukasiewicz był jedną z ważniejszych postaci zapraszanych na nasze sympozja na Zamku. Jego książka "Szmciarze i bohaterowie" o najnowszej poezji, właśnie wyszła i wszędzie ją omawiano. Ja, któremu miejscowi krytycy dobrze dogryzali, wystąpiłem z tezą, że krytyk to nie artysta tylko uczonec. Jacek szybko mi wytłumaczył, że i filolog może być wielkim poetą. Przy okazji dowiedziałem się od niego co jest głównym powodem pisania literatury pięknej. Jest nim rozrywka, tak, zarówno dla twórcy, jak i dla czytelnika. Bardzo mi to twierdzenie odpowiadało. Tak zaczęła się nasza znajomość, która zmieniła się w przyjaźń, kiedy przenieśliśmy się do Wrocławia. Dlaczego się przenieśliśmy – o tym w rozdziale następnym.

W PODZIEMIU

W połowie lat sześćdziesiątych władze zaczęły dostawać meldunki o ruchach robotniczych (prawdziwych) w stoczni. To spowodowało wzrost napięć społecznych, także w kulturze. W tym czasie pisałem z Władysławem Wojciechowskim cykliczną audycję programu II „Radiokuter”, z członkami „Metafory” – audycję „Magazyn Artystyczny”. Czasem redakcja puszczała nawet coś mojego autorstwa. Idę więc ja do Radia, a tam wartownik mnie nie puszcza. – Legitymacja jest? – pyta. Legitymacji nie było i to był koniec mojej współpracy z Radiem.

Także miejscowe gazety przestały mnie drukować, nawet pod pseudonimem. Cóż miałem robić, zacząłem wydawać własną gazetkę. Pisałem ją na maszynie i rysowałem długopisem przez kalki, potem wysłałem do członków Metafory i (co nie było mądre) do redakcji dwóch gazet. Wkrótce wezwano mnie do Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Zdziwiłem się, bo nigdy nie byłem partyjny, ale poszedłem. Przyjął mnie Sekretarz ds. Kultury, Henryk Huber (nazywany popularnie Hahusiem), na jego biurku leżała moja gazetka. Wskazując na nią zagaił: – Panie Andrzeju, jeżeli nie zaniecha pan tej niecenzuralnej działalności, będę zmuszony zawiadomić o tym odpowiednie służby. A to się skończy dla pana bardzo nieprzyjemnie. Rozumie pan, że nie mogę postąpić inaczej.

Zrozumiałem. Zaprzestałem. To był koniec moich publikacji w Szczecinie. Zacząłem szukać mieszkania we Wrocławiu do zamiany na mój szczeciński pokój z kuchnią. To się udało dopiero w 1970 roku. We Wrocławiu mieszkam i publikuję do dzisiaj.

Maria Jaremek

Dałam się uwieść literaturze

Po maturze, jak każdy młody człowiek, miałam swoje plany. Marzyłam o studiach. W 1967 r. odebrałam świadectwo dojrzałości. I ta dojrzałość

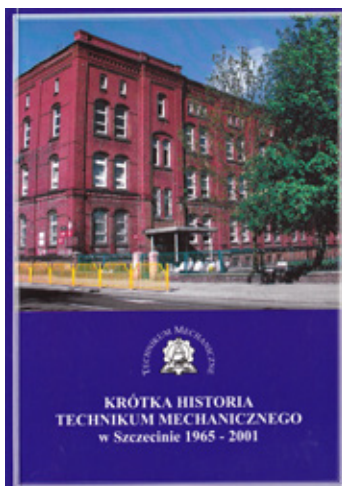
spowodowała, że postanowiłam podjąć się jakiejs pracy, żeby wesprzeć rodziców (z czego mój tato nie był zadowolony). Zatrudniłam się w księgarni „Zamkowa” P.P. „Dom Książki” w Szczecinie przy pl. Hołdu Pruskiego 8. Księgarnia „Zamkowa” – ze względu na swoje usytuowanie między gmachem KW PZPR a siedzibą redakcji prasowych – przyciągała licznych miłośników książki, w tym dziennikarzy, ludzi kultury, a także zagranicznych turystów. Bardzo przydała mi się wówczas znajomość języka niemieckiego. Pracując przez siedemnaście lat w „Domu Książki”, stopniowo awansowałam na stanowisko kierownicze.

Jako młoda księgarka zaznajamiałam się z wydawaną wówczas literaturą polską i światową. Widywałam przelotnie poetów, pisarzy i malarzy, którzy odwiedzali naszą księgarnię: Eugeniusza A. Daszkowskiego, Ryszarda Dżamana, Ireneusza Gwidona Kamińskiego, Romualda Macieja Klimczewskiego, Ryszarda Liskowackiego, Henryka Mąkę, Adolfa Momota, Jana Papugę, Jerzego Jana Pachlowskiego, Wiesława Rogowskiego, Stanisława Wita Wilińskiego.

Okazją do bliższego poznania pisarzy były organizowane co roku w maju Dni Oświaty, Książki i Prasy. Zapoczątkował je w Szczecinie Leon Królak w 1947 r. Dni i kiermasze organizowane w różnych miejscach miasta, przyciągając tłumy mieszkańców, wpisały się w szczeciński krajobraz. Przed kiermaszem księgarze gromadzili najlepsze tytuły książek. Była to zatem jedyna okazja na udany zakup i zdobycie w nich dedykacji, a także na rozmowę z ulubionymi pisarzami.

Przemęczona pracą, która wiązała się z dużą odpowiedzialnością materialną, a także studiami (w trakcie rozpoczęłam pięcioletnie zaoczne studia – kierunek bibliotekoznawstwo i informację naukową ze specjalizacją szkolną na UAM w Poznaniu) musiałam z żalem podjąć decyzję o zmianie pracy. W 1984 r. zatrudniłam się jako bibliotekarka w niedużej bibliotece medycznej Klubu Remedium przy ul. M. Skłodowskiej-Curie 11. Po ukończeniu studiów w 1987 r., z tytułem magistra przyjął propozycję pracy w Zespole Szkół Samochodowych przy ul. Klonowica 14. Tam zaproponowano mi pracę koordynatora biblioteki szkolnej, a także po roku na pół etatu rolę wychowawcy w przylegającym do szkoły internacie szkolnym.

Ostatnim etapem zmiany pracy był rok 1991. Wtedy rozpoczęłam pracę w Technikum Mechanicznym przy ul. Kopernika 16a. Wówczas już zmieniono nazwę szkoły na Zespół Szkół Nr 3. Po wygaśnięciu ostatniego rocznika Technikum Mechanicznego w 2001 r. zostałam poproszona przez dyrekcję



do przygotowania zbiorowej publikacji¹¹⁸, którą zatytułowałam *Krótką historią Technikum Mechanicznego w Szczecinie 1965-2001*. W tym samym roku odbył się uroczysty Zjazd absolwentów TM. Obecni absolwenci i zaproszeni goście otrzymali tę publikację na pamiątkę.

Praca w szkolnictwie średnim była dla mnie okresem spełnienia. To czas, który upłynął mi na doskonaleniu się zawodowym. W 1997 r. ukończyłam podyplomowe studium etyki na US. W 2002 r. razem z dyr. Wandą Żabiełowicz, jako pierwsza nauczycielka w szkole otrzymałam stopień zawodowy Nauczyciela Dyplomowanego. Oprócz pracy dydaktycznej realizowałam własne pomysły i projekty na rzecz uczniów i szkoły.

Kilkanaście lat wcześniej nawiązałam prywatny kontakt ze Spółdzielnią Wydawniczą ANAGRAM w Warszawie, która specjalizowała się w wydawaniu tomików poezji i tę znajomość przenieśliśmy na grunt szkolny, wprowadzając swoich uczniów w tajniki poezji. Jednym z moich projektów było zorganizowanie, wspólnie z wydawcą, konkursu literackiego dla uczniów szkół średnich pod patronatem Heleny Raszki. W roku szkolnym 1995/1996 konkurs adresowany był do uczniów Szczecina. Patronat nad konkursem oraz wsparcie finansowe na nagrody otrzymałam z Kuratorium Oświaty. Były też nagrody w postaci tomików poezji z Wydawnictwa ANAGRAM. Na tę okazję przygotowałam montaż literacki o Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej pt. „Zalotnica niebieska”.

118 *Krótką historią Technikum Mechanicznego w Szczecinie 1965-2001*. M. Jaremek, Paweł Kozanec-ki, Tadeusz Kudźma, Irena Rojek, Elżbieta Włodarczyk, Wanda Żabiełowicz, Szczecin 2001, 135 s.



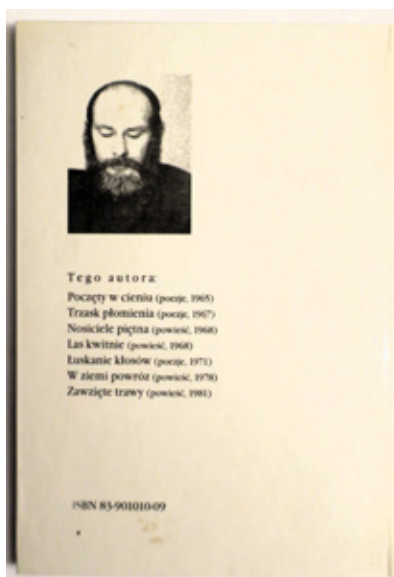
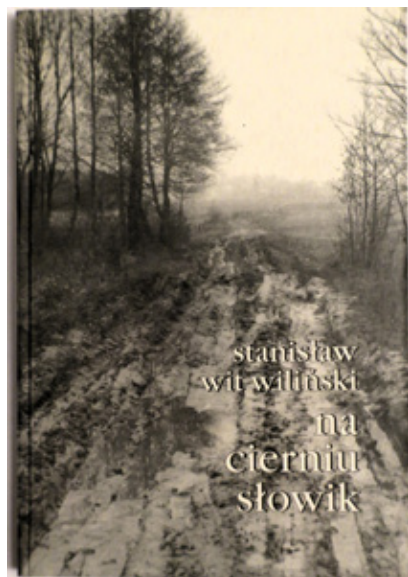
Od lewej: Kuratorka Zofia Morawska, Mirosław Lalak, Maria Jaremek.

Kolejna edycja konkursu w roku szkolnym 1997/1998 swoim zasięgiem objęła województwo szczecińskie. Jednym z trzech jurorów był nieustrudzony dr Mirosław Lalak z US, który przejął na siebie ciężar przeczytania wszystkich prac nadesłanych na konkurs.

Celem konkursu było rozbudzenie aktywności twórczej młodzieży, kształtowanie ich intelektu, wrażliwości estetycznej i etycznej oraz inspirowanie twórczością szczecińskich poetów i pisarzy. Zwieńczeniem projektu był montaż poetycko-muzyczny „Barwy jesieni”.

Dr Mirosław Lalak z US był pierwszym redaktorem naczelnym czasopisma „Pogranicza”. Zginął w 1999 r. w wypadku samochodowym. W „Pograniczach” z 1999, nr 3., na s. 6, prof. Erazm Kuźma w szkicu pod tytułem *Mirek* pisał: „Żył w biegu. Chłonał życie, jakby przeczuwał, że nie starczy mu czasu na spełnienie się”.

W listopadzie 2006 r., otrzymałam od Lidii i Czesława Szawielów z Łobza list z tekstem ksero z „Tygodnika Łobeskiego” (nr 47 21.11.2006) pt. *Zaduszki* w *Archiwum*, zawierającym relację Ludwika Cwynara o spotkaniu w strzemiłowskiej filii Archiwum Państwowego, które odbywa się tam corocznie w *Zaduszki*: „W tym dniu, po mszy w intencji zmarłych pracowników tej instytucji są odśpiewywane kolejne tabliczki upamiętniające zasłużonych archiwistów. W tym



roku wmurowano w sali kominkowej pałacu tabliczkę z nazwiskiem Mirosława Lalka. Odstoniła ją Lidia Lalak-Szawiel, siostra naukowca. Doktor Mirosław Lalak (1955-1999) – filolog polski – pracował naukowo na Uniwersytecie Szczecińskim. W stanie wojennym był internowany. Parał się krytyką literacką, ale najważniejszą dlań sprawą było wykreowanie periodyku literackiego w Szczecinie. Dzięki Jego organizacyjnej i redaktorskiej pracy wyszły „Pogranicza” (Do dziś ukazały się 63 numery). Po mszy uczestnicy nabożeństwa wzięli udział w sesji naukowej. Prof. Kazimierz Kozłowski – dyr. Archiwum [Państwowego w Szczecinie – M.J.] przywitał archiwistów i zaproszonych gości ze środowiska lokalnego. Czesław Szawiel, w pięknym eseju wspominał Mirosława Lalka, a prof. Radosław Gaziński, dyr. biblioteki US wspomniął byłych pracowników biblioteki, [m.in. zmarłą dyrektorkę Jolantę Goc], mówił również o historii, zbiorach i planach kierowanej przez siebie placówki naukowej. Prof. Tadeusz Krawczak – dyr. Archiwum Akt Nowych w stolicy, zapowiedział niebywałą gratkę – wystawę wyśmienitych zbiorów (głównie militariów) Jana Bielatowicza (1913-1965) z Wielkiej Brytanii, w Międzyzdrojach”.

Bardzo się z tej informacji ucieszyłam. Moja krótka znajomość z dr. Mirosławem Lalakiem, przerwana Jego tragiczną śmiercią, zapadła mi głęboko w sercu. Cieszę się, że właśnie Jego wybrałam jako Jurora konkursu literackiego w 1998 r.

* * *

W swojej bibliotece domowej posiadam nieduży tomik poezji Stanisława Wita Wilińskiego *Na cierniu słowik*, zawierający wiersze bardzo dojrzałe, a jednocześnie przepełnione zadumą i smutkiem, który zakupiłam w 1993 r., nie przypuszczając, że za kilka lat zaproszę poetę jako jurora do szkoły.

* * *

Dorobek Stanisława to głównie poezja i powieści. Niektóre jego utwory stały się kanwą słuchowisk radiowych, wyreżyserowanych przez Sylwestra Woronieckiego: „Obcy wśród swoich” – słuchowisko z 19 października 1980 r., w obsadzie Grzegorza Młudzika. 25 grudnia tego samego roku, słuchowisko także w reż. Sylwestra Woronieckiego oparte na poezji miłosnej „Będę cię kochał, miłował cię będę” – przedstawili Jacek Polaczek i Anna Sobik. 24 października 1982 roku, Sylwester Woroniecki wyreżyserował słuchowisko „Ziemio jesienna” w wykonaniu Janiny Bocheńskiej i Włodzimierza Matuszaka. Dwa lata potem ten sam reżyser przygotował słuchowisko na podstawie „Między cieniem drzew”, w którym wystąpiła Janina Bocheńska i sam reżyser.

Poetka Helena Raszka, z okazji urodzin otrzymała życzenia i piękne kwiaty od dyr. Wandy Żabiłowicz; u dołu od lewej red. Halina Lizińczyk.





W pierwszym rzędzie od lewej: Hanna Orska i Stanisław Wit Wiliński, obok niego prof. Piotr Michałowski.

Moje bliższe poznanie ze Staszkiem Witem Wilińskim nastąpiło w roku 2000, podczas mozolnej pracy w szkole przy organizowaniu kolejnej edycji wspomnianego już wcześniej konkursu. Wiele godzin poświęcałam na to, swój czas w także w domu. Jurorami konkursu w roku szkolnym 2000/2001 o zasięgu wojewódzkim byli: red. Halina Lizińczyk z PR Szczecin, poeta Stanisław Wit Wiliński i ja jako sekretarz. Patronat medialny nad konkursem objął „Głos Szczeciński”. Rozstrzygnięcie i ogłoszenie wyników miało miejsce w szkole, w dniu urodzin Heleny Raszki. Rozmów uczniów i dyrekcji z jurorami nie było końca. Utrwalałam te momenty na własnym sprzęcie. Wykonałam wiele zdjęć, a obsługę kamery powierzyłam zaufanemu uczniowi, który przeprowadził swój pierwszy wywiad ze Stanisławem Witem Wilińskim. „Głos Szczeciński” na bieżąco informował o przebiegu konkursu i zwycięskich laureatach.

Ostatnia edycja konkursu w roku szkolnym 2005/2006 miała już etap ogólnopolski. Jurorzy: poeta, prof. Piotr Michałowski z US, Stanisław Wit Wiliński i sekretarz niżej podpisana. Uroczyste rozstrzygnięcie konkursu z programem artystycznym „Stwarzanie siebie”¹¹⁹ (wg własnego scenariusza) miało miejsce

119 Mając na myśli rozwój intelektualny i artystyczny uczniów – motto „Stwarzanie siebie” zaczerpnęłam z książki Marii Szyszkowskiej pod takim samym tytułem.

26 marca 2006 r. w sali „Czarny Kot Rudy” Teatru Polskiego w Szczecinie¹²⁰. Wśród szacownych gości obecni byli: Helena Raszka, Beata Misiak – obecna dyr. XIV LO i była dyr. Wanda Żabietowicz, nauczyciele liceum i z innych szkół oraz uczniowie szkół i ich rodzice. Z Poznania przyjechał kompozytor Bernard Stieler, a z Warszawy Ewa Kabsa.

Uroczyste rozstrzygnięcie konkursu zostało zarejestrowane na płycie DVD wraz programem artystycznym, do którego zaprosiłam wokalistkę, aktorkę i romanistkę Ewę Kabsę z Warszawy, a także aktora Jacka Polaczka z Teatru Polskiego, który swoim ciepłym głosem przejmująco przeczytał nagrodzone opowiadanie *Sekret czterech ścian*. Specjalnie na tę okazję zaprzyjaźniony kompozytor – Bernard Stieler z Poznania napisał muzykę do dwóch wierszy Heleny Raszki: *Po stronie niepokoju* oraz *Nie żałuj świtu*, które wykonała Ewa Kabsa do muzycznej aranżacji jej męża.



Od lewej: Maria Jaremek, n.n., Zdzisław Brudnicki, Stanisław Wit Wiliński w czapce obok syna, Wiktora.



Miło wspominać spotkanie, które odbyło się wiele lat później, a właściwie biesiadę literacką z udziałem Zdzisława Brudnickiego w ogrodzie Klubu Garnizonowego przy ul. Wawrzyniaka 5, gdzie Stanisław był ze swoim synem.

Promocja przedostatniego tomiku poezji Wita Wilińskiego „Litania ślepca” odbyła się 26 lutego 2004 r. w sali im. Zbigniewa Herberta Książnicy Pomorskiej, połączona z wystawą jego licznych obrazów. Na spotkanie, oprócz rodziny, przybyło liczne grono przyjaciół Stanisława, a chwile wzruszenia na jego twarzy świadczyły o tym, jak bardzo był wtedy szczęśliwy. Dla Stanisława odskocznią od codzienności było malarstwo, a także renowacja starych mebli.

Niedługo potem zaprosił mnie do swojego mieszkania przy ul. Herbowej, gdzie poznałam jego żonę, Grażynę i syna, Wiktora. Rozmawialiśmy długo o literaturze i kulturze. Poeta nawiązał z nostalgią i lekką goryczą do trudnych lat 80. XX w. i do swojej pracy zawodowej. Był już wtedy bardzo schorowany i słaby.

23 kwietnia 2007 r. w Światowym Dniu Książki i Praw Autorskich w księgarni „Zamkowej” zorganizowano spotkanie z pisarzami. Książki podpisywali: Róża Czerniawska-Karcz, Stanisław Wit Wiliński, Marian A. Kasprzyk, Helena Pilarska, Tadeusz Zwiłnian Grabowski.

Stanisław Wit Wiliński z siostrą, Krystyną.



Pół roku później, 18 października 2007 r. Stanisław zmarł. Spoczął na szczecińskim Cmentarzu Centralnym niedaleko Głównej Bramy w kw. 23C – 9-6.

W 2021 r., nakładem Wydawnictwa FORMA, ukazała się publikacja autorstwa Artura D. Liskowackiego i Bogdana Twardochleba pt. *Przybysze i przestrzenie. Szkice o pisarzach szczecińskich*. Na stronach 119-124 jest rozdział poświęcony Stanisławowi Witowi Wilińskiemu.

Olha Luhovenko

Konsekwencje braku przebaczenia

Tam, gdzie jest miłość, drobne rzeczy bardzo ranią

Leszek Podolecki¹²¹ (z lekcji w „Wyższa Szkoła Humanistyczna Towarzystwa Wiedzy Powszechnej w Szczecinie”¹²² w 2020r.)

Moc przebaczenia kojarzona jest z Bogiem, a w naturze człowieka jest złościć się i obrażać na tych, którzy nas w jakiś sposób skrzywdzili. Zwykle długo pamiętamy niechciane działania innych ludzi, którzy sprawili, że poczuliśmy się źle i trudno jest nam urazy chętnie darować. Czy więc warto przebaczać?

Przebaczenie jest cnotą i aktem przewyciężenia uczucia urazu lub zemsty wobec osoby, która postąpiła źle, ale sposób, w jaki ludzie je postrzegają, jest raczej względny. Niektórzy myślą, że niektóre działania można wybaczyć, a inne są niewybaczalne. Są też tacy co uważają, że przebaczenie zachęca sprawcę do wielokrotnego popełniania złych czynów. Przebaczenie jest

121 Leszek Podolecki, założyciel i prezes Fundacji „Instytut św. Br. Alberta” w Świnoujściu. Realizator autorskiego programu resocjalizacyjnego „Arka”, realizowanego w zakładach karnych. Inicjator i organizator spotkań studentów ze skazanymi w zakładach karnych. Laureat nagrody Ministra Pracy i Polityki Społecznej za wybitne osiągnięcia w zakresie pomocy społecznej oraz nagrody Jerzego Bonieckiego za działalność readaptacyjną na terenie zakładów karnych i poza nimi. Odznaczony przez Ministra Sprawiedliwości brązową odznaką za zasługi w pracy penitencjarnej.

<https://europeistyka.uj.edu.pl/documents/3458728/be5c85ca-7138-415e-ae48-2db0ac707b2e>

122 Obecnie Akademia Nauk Stosowanych Towarzystwa Wiedzy Powszechnej w Szczecinie.

subiektywne, a akt przebaczenia może mieć wiele znaczeń. Przyjęcie przeprosin może być dla krzywdziela wybaczeniem, a pomaganie osobie, która ciebie zraniła, może być dobrym przykładem dla innych. Wszyscy się mylimy i popełniamy błędy, dlatego ucząc się przebaczać innym, sami również możemy prosić o przebaczenie, gdy kogoś skrzywdzimy, robiąc złe rzeczy. Przebaczenie jest przejawem ogromnej siły wewnętrznej człowieka i jego umiejętności powstrzymania się od chęci odwetu. Nie każdy posiada te cechy, bo najłatwiej jest wpadać w złość i negatywne nastawienie niż kultywować głęboką moralność i człowieczeństwo. Łatwiej jest podążać ścieżką zemsty niż wybaczenia i odpuszczenia zranień oraz bólu. Nie można jednak usprawiedliwiać zemsty i złości, które pożerają duszę człowieka od wewnątrz, niszcząc wszystkie jego zasady moralne i prowadzą do tego, że osoba zraniona ma predyspozycję do stania się ofiarą, ponieważ jej zraniona dusza ma słabą odporność na patologiczne ataki. Ważne jest, aby móc wybaczyć, tylko to ma sens.

Uważam, że w naturze ludzkiej leży odczuwanie złości, rozczarowania i urazu do sprawy. To palące i bolesne uczucie, zatruwające pozytywne nastawienie wobec drugiego człowieka, a w przyszłości do ludzi w ogóle. Będąc krzywdzicielami oczekujemy od innych dobrego nastawienia, wsparcia. Kreujemy sobie swoją rzeczywistość, jak chcielibyśmy być postrzegani, traktowani, rozumiani, a w zderzeniu ze światem realnym dostrzegamy różnice, czując niezrozumienie. Najważniejsze jest, aby nauczyć się wybaczać i uwolnić od zatruwającego uczucia bólu, powracających złych myśli dlaczego „ona”, „on” tak się zachowali. Gdy nie możemy przebaczyć, zaczynamy odpychać od siebie sprawcę i inne często nam bliskie osoby, które w naszym rozumieniu w pewnym momencie nas zraniły. Nie potrafiąc przestać się kłócić, gubimy siebie i drogę do siebie. Uwolnienie od negatywnych uczuć będzie aktem miłosierdzia nie tylko wobec krzywdzicieli, ale przede wszystkim w stosunku do samego siebie. Dlatego tak ważne jest, aby móc wybaczyć nie tylko innym, ale także sobie. Nauczmy się też prosić o przebaczenie, a jeśli dana osoba nie chce wysłuchać przeprosin, najwidoczniej nie jest jeszcze na to gotowa i potrzebuje czasu, a jeśli nadal nie będzie chciała ich przyjąć – wybacz sobie, wyciągnij wnioski i idź dalej. Są sytuacje, które bardzo trudno wybaczyć, nawet ukochanej osobie. Czasami wydaje się to wręcz niemożliwe. Mimo to warto próbować wybaczyć, by ulżyć sercu człowieka i przestać samemu dźwigać ten ciężar. Ukryte żale, złość, smutek, melancholia, samokrytyka są źródłem chorób i autodestrukcji.

Aby uzasadnić swoje zdanie na powyższy temat, chciałabym oprzeć się na kilku znanych przykładach z literatury. Jednym z nich jest powieść *Nędznicy*

Victora Hugo, w której to autor opisuje trudne losy byłego skazańca, Jeana Valjena. Za ukradziony chleb spędza prawie dwadzieścia lat w więzieniu. Biskup Myriel zapewnia mu schronienie i zamieszkanie. W odpowiedzi na jego łaskę Valjen kradnie mu rodzinne srebro. Biskup jednak go nie oskarża, wręcz przeciwnie – staje w jego obronie przed policją, mówiąc, że z własnej woli oddał mu rodzinne srebrne pamiątki i tym samym ratuje Valjena. Ten czyn biskupa przewartościował życie Jeana, który postanowił zacząć wszystko od nowa, stając się osobą uczciwą i los zaczyna mu sprzyjać. Otwiera własną fabrykę, a następnie zostaje burmistrzem miasta.

Tematy zemsty i przebaczenia były często poruszane w pracach rosyjskich klasyków. W swojej powieści *Wojna i pokój* Lew Tołstoj ujawnia ten problem na przykładzie postaci Andrieja Bołkońskiego. Jego ukochana, Natasha Rostova popełniła haniebny czyn – uległa namiętności Anatolija Kuragina. Dowiedziawszy się o tym, Bołkoński wpada w furję. Negatywne uczucia go przytłaczają, a bohater jest zdecydowanie zdeterminowany, by zemścić się na Kuraginie morderstwem. Jednak w stosownym czasie swoje negatywne myśli kieruje na właściwe tory. Patriotyzm Bołkońskiego zmusił go do walki o ojczyznę. Został śmiertelnie ranny w walce i w ostatnich minutach swojego życia zrozumiał znaczenie miłosierdzia: *nawet wróg jest godzien miłości i przebaczenia*.

Kolejnym przykładem może być powieść Fiodora Dostojewskiego *Zbrodnia i kara*, w której to Sonya Marmeladowa, córka byłego urzędnika i pijaka, jest obdarzona doskonałymi cechami. Serce i dusza dziewczyny są pełne cudownych impulsów i dobroczynności. Poświęca się, by wyżywić rodzinę i nie wyrządza ani odrobiny zła swojemu nieszczęsnemu ojcu-pijakowi. Bohaterka jest obdarzona takim uczuciem miłości do wszystkich żywych istot, że jest gotowa wybaczyć nawet najbardziej niesprawiedliwej i nieuczciwej osobie. Wszystkim okazuje współczucie i zrozumienie. Przebacza też haniebny czyn Raskolnikowi, a dzięki jej postawie, miłości i wsparciu dokonuje się w nim duchowa przemiana i żałuje popełnionej zbrodni.

Chciałabym też wspomnieć o *Quo Vadis* Henryka Sienkiewicza, który przeczytałam w języku rosyjskim, mając dwadzieścia lat, a po przyjeździe do Polski był moją pierwszą lekturą w języku oryginału. Fundamentem tej powieści jest historia chrześcijaństwa i losy jego wyznawców. Autor ukazuje w niej postawę Nerona i ludzi z jego otoczenia wobec chrześcijan. Wpływ chrześcijańskiej religii na losy bohaterów tej powieści jest ogromny. Uczy przebaczenia nawet swoim oprawcom. Marek Winicjusz doznaje wielkiej, wewnętrznej przemiany spowodowanej miłością do Ligii. Glaukus przebacza Grekowi. Ursus przebacza

Chilonowi: *Po długim milczeniu Glaukus odezwał się do Greka i odpuścił mu jego winy w imię Chrystusa. Potem także Ursus przebaczył Chilonowi. Ten upadł na ziemię, nie wierząc jeszcze, że właśnie uzyskał przebaczenie (...) Chciał jak najprędzej opuścić to miejsce, gdzie przerażała go dobroć ludzi.*

Podstawą chrześcijaństwa jest miłość i przebaczenie. W najważniejszej modlitwie prosimy u naszego Stwórcy: (...) *Odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy winowajcom naszym (...)* Gdy my nie przebaczymy bliźniemu, to i Bóg nie będzie mógł nam wybaczyć naszych win. Dlatego tak ważne jest przebaczenie, by móc żyć w szczęściu i pokoju, będąc wolnym od uczucia gniewu, złości i chęci zemsty, które pożerają duszę i wpędzają ją w cierpienie.

Nie tak dawno spotkałam bezdomną kobietę. Poprosiła o rozmowę. Zgodziłam się, bo uważam, że nic w życiu nie dzieje się bez przyczyny, a każde wydarzenie ma swój sens. Gdy opowiadała mi o swoim życiu, zrozumiałam, że też potrzebuję tej rozmowy i jej opowieści. Kobieta często zadawała mi pytanie: *A ty, pani jak byś na moim miejscu zareagowała?* Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Mnie moje nieprzebaczone urazy też bolały. Nim dłużej jej słuchałam, tym bardziej utwierdzałam się w tym, że jestem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, a te nieprzebaczone sprawy, które tkwią w moim sercu od wielu lat, muszę odpuścić, bo tak naprawdę są błahostkami. Powiem więcej – gdyby nie te wydarzenia, których konsekwencją stały się ból i cierpienie w moim sercu, nie wiem, jak poukładałoby się moje życie...

Zadałam kobiecie pytanie, czy może wybaczyć i zacząć życie od nowa, bo nigdy nie jest za późno na przebaczenie. Wykrzyknęła mi w twarz: *A ty, pani, mogłabyś wybaczyć ludziom, którzy molestowali twoje dzieci, upokarzali ciebie przez całe życie i zabrali wszystko?* Nie wiedziałam co jej mam odpowiedzieć. Nigdy nie byłam w Jej sytuacji, nie przeżyłam tego. Nie wiem. Przebywając vis-à-vis z tak mocno zranioną duszą tej starszej kobiety zrozumiałam, jak jestem szczęśliwa! Jak lubię MOJE życie! Ludzi, których w nim spotykam i te wydarzenia, które się w nim dzieją. Zrozumiałam, że osoby, które mnie obraziły, do których chowałam urazę tak naprawdę spowodowały, że dokonałam innych wyborów życiowych, które poprowadziły mnie *schodami do góry*, do rozwoju duchowego oraz poznawania sensu życia. Przebacząc sobie i im, odczułam ogromną ulgę i moc wdzięczności, pozbywając się uczucia cierpienia i urazy. Mój ból był niczym w porównaniu z tym, który przeżywała ta kobieta. Zrozumiałam, że jestem szczęśliwą, kochaną, bogatą duchowo. To spotkanie uświadomiło mi też, że problem braku umiejętności wybaczenia i lęku przed zmianami może doprowadzić do obniżenia równowagi psychicznej, braku podejmowania

właściwych decyzji, niszcząc wiarę w dobroć i radość, tracąc w człowieku wszystko co ludzkie, prowadząc do negatywnych, nawet przestępczych czynów. Gniew, zemsta, plotki i użalanie się nad sobą są konsekwencją tego, że nie potrafimy wybaczyć, tylko pielęgnujemy w sobie negatywne uczucia, których ciężaru nie potrafimy się pozbyć. Przebaczenie, współczucie, miłość do bliźniego mimo wszystko – tym powinniśmy się kierować, nawet wtedy, gdy jest to tak trudne. W przeciwnym razie umysł, serce, dusza będą zatrute przez żrące uczucie. Zdolność do trzeźwego myślenia, prawidłowego działania, zostaje utracona. Negatywne uczucia małymi krokami zmieniają nas w coś, czym nigdy nie chcielibyśmy być, stajemy się ich ofiarą – jak bezdomna Pani Ela, na której, mimo wieku, pięknej twarzy swoje piętno odcisnęły ból, cierpienie i chowane latami urazy. Patrząc w oczy kobiety widziałam otwarte drzwi Jej duszy, na której progu stanęłam, bojąc się wejść do środka, by nie doznać – tego pożerającego Jej sens życia – bólu, smutku i cierpienia z powodu braku umiejętności przebaczenia.

Uzupełnienie: Małgorzata Żukiel

POEZJA EKSPERYMENTALNA

M.P. Hardy

W szczelinach między słowami: eksperyment poetyckiej transgresji

Poetycka mantra jako punkt wyjścia

POEZJA TO WSZYSTKO

*poezja to wszystko co wiemy
i czego jeszcze nie wiemy
poezja to wszystko czym
i dlaczego /tak/ żyjemy
poezja to zapis słów
na co dzień niemy*

Te sześć wersów traktuję jak swoistą mantrę twórczą. Przypominają mi one, że wiersz rodzi się w szczelinie między pewnością a pytaniem, między głośnym „wiem” a cichym „domyślam się”. To przestrzeń, w której dźwięk wyprzedza znaczenie, a znaczenie w chwilę później podważa ten dźwięk. Widzę w tym ujęciu zaproszenie do eksploracji niewypowiedzianego, wszak poezja tym różni się od innych sposobów użycia słów, że u jej podstaw nie leży ich „mechaniczne” składanie. To raczej organiczny proces, gdzie intuicja spleta się z doświadczeniem, a każdy wers rodzi się z podświadomego „napięcia”.

Tworząc własną wersję „Falujących kroków”, podszedłem do procesu jak do rewolucyjnego aktu współtworzenia. Poezja – jako uniwersalny język tego, co niewyartykułowane w codzienności – znalazła się w centrum starcia dwóch rodzajów inteligencji – ludzkiej intuicji i algorytmicznej precyzji. I właśnie tu, już na wstępie dostrzegłem kluczową pułapkę: cudze teksty, nawet najlepsze, często produkują obrazy efektowne, lecz pozbawione głębi osobistego przeżycia.

Proces transgresji: między inspiracją a utratą głosu

Stałem przed fundamentalnym pytaniem: jak wydobyć z gotowej struktury własny głos poetycki? Odpowiedź przyszła przez świadome zrzucenie semantycznych okowów, przekroczenie granic nakreślonych znaczeń – poetycką inwazję w logikę wzorców, gdzie słowo staje się mostem do sensorycznego chaosu.

Już w pierwszych próbach napotkałem nieoczekiwane trudności. Pokusa naśladowania okazała się silniejsza, niż sądziłem. Wielokrotnie łapałem się na bezwiednym kopiowaniu nie swoich rozwiązań, tracąc własny głos. Struktura pierwotnego tekstu, którą chciałem uczynić nie tyle punktem wyjścia, co punktem odbicia, czasami stawała się więzieniem, ograniczając wyobraźnię zamiast ją wyzwalać. Były momenty, gdy wątpiłem, czy to, co tworzę, to jeszcze poezja, czy już tylko intelektualna zabawa z cudzymi słowami, pozbawionymi, nazwijmy to, wewnętrznej konieczności.

Najtrudniejsza była walka z nadmiarem. W przeciwieństwie do człowieka, algorytm nie zna pragnienia ciszy. Ale czy ja rzeczywiście potrafiłem usłyszeć, które słowo jest „zbyt głośne” i które pauzy domagają się ciszy? Skreślając całe ciągi epitetów (znana wszystkim poetom pokusa nadmiernej zwięzłości, która może spłaszczyć emocjonalny łuk) często miałem wrażenie, że niszczę coś, co mogło być wartościowe.

Paradoksalnie, konfrontacja z tymi „narzuconymi” mi ramami ujawniła moje własne automatyzmy, prowokując do ryzyka i wynurzenia z poetyckiej strefy komfortu. To dlatego, już w pierwszym wersie celowo, wręcz demonstracyjnie, złamałem słowo „/bez/duszne”, aby pokazać, jak poezja może rozsadzać konwencje, nawet typograficzne.

Hybryda literacka: synteza chaosu i porządku

Najcenniejszym wnioskiem jest odkrycie, że prawdziwa poezja rodzi się w szczelinach między słowami – tam, gdzie obce wzorce nie sięgają, gdzie panuje ludzka zdolność do znaczącego milczenia.

Chaos okazał się kapitałem, nie przeszkodą. Różne warianty wersów uruchamiają wyobraźnię, o ile od początku przyjmuje się rolę kuratora, nie kopisty. Głębia rodzi się właśnie w tej selekcji – każdy odruch skreślenia staje się aktem odwagi twórczej. Algorytm nie jest rywalem, lecz prowokatorem; podsuwa materiał, który można przeciąć, przesunąć, „rozdrapać”, by odkryć własny głos. Jest to swoisty katalizator wyobraźni.

Człowiek wnosi chaos intuicji, algorytm – porządek możliwości. Z tego napięcia rodzi się hybryda literacka bogatsza niż suma jej części, aczkolwiek obciążona ryzykiem poetyckiej wtórności i niebezpieczeństwem dla poetyckiej tożsamości. Prawdziwa oryginalność nie polega bowiem na wymyśleniu słowa, którego nie ma w słowniku, lecz na ułożeniu znajomych kamieni w niespodziewany nurt. Należy wypchnąć pióro poza zasięg generatora, „rozszczelnić” strukturę słów i znaczeń, aby stworzyć migotliwy powrót do tego, co znane, ale nieoczekiwane.

Wnioski: po stronie poezji (z prawem do ostatniego cięcia)

Dialog człowieka z algorytmem może być twórczo płodny pod warunkiem krytycznego dystansu i gotowości do ryzyka. „Falujące kroki” dowiodły, że literackie hybrydy mają sens, gdy twórca zachowuje czujność i prawo do ostatniego cięcia.

Autor tego eksperymentu stworzył przestrzeń, w której można jednocześnie błądzić i znaleźć drogę. Dzięki temu moja własna poetycka mantra zabrzmiała pełniej, bo przemówiła głosami wielu, pozostając jednym, żywym organizmem.

Poe(sia) z IT to otwarcie drzwi do kreatywnych form – nie w konkurencji, lecz we współpracy różnych perspektyw. To innowacyjny pomysł, by pozwolić obcej strukturze wyznaczyć teren, aby człowiek mógł go na nowo zdobyć, tym razem świadomie i z pełną odpowiedzialnością. Niezależnie od uczestników,

w tym starciu zawsze wygrywa poezja – jako zapis tego, co na co dzień pozostaje nieme.

Rezultat tego eksperymentu przedstawiam poniżej z nadzieją, że dowiodłem w nim czegoś więcej niż tylko mojej zdolności do literackiego recyklingu.

FALUJĄCE KROKI

*Choćbyś zstąpił w /bez/duszne czeluści
Nie rozdrapiesz dna otchłani*

*Kreśląc krzemowym pyłem
Nieporadnym gestem
Po zakrzepłej strudze*

Krwawy sęp na ruchomej przysiadł wydmie

*Wśród rozmyślnych rojeń
Rozedrgane sypią się brzegi
Jak twe okruchy w nurcie pamięci*

Dominika Parszewska

Xiao Bing a sprawa polska

I Xiao Bing

Nieuchronnym aspektem używania nowoczesnych technologii do zadań w światach, branżach, mediach współczesnych, jest to, że nim skutek ujrzy światło dzienne, będzie już od strony tejże nowej technologii niewczesny. Przestarzały. Ale ten rozdźwięk czasowy tylko podkreśla aspekt derridowskiego „znaku-śladu” zawartego w każdym ludzkim dziele, faktu, że tego, do

kogo piszemy – dla kogo malujemy, komponujemy itd. – nigdy przy nas nie ma. Gdyby był, to w znakomitej większości po prostu byśmy z nim porozmawiali, zaśpiewali, stworzyli coś ulotnego. Każdy gest archiwizacji, zapisu¹²³ jest kierowany w przyszłość, do kogoś, kogo teraz z nami nie ma, choćby tym odbiorcą był sam nadawca, tylko w innej czasoprzestrzeni, np. jutro.

Nie jest więc porażką, tylko ograniczeniem – które można wykorzystać, by wydobyć piękno, niczym w sonecie czy vilanelli – i śladem swojego czasu, że nieuchronnie przestarzałym jest projekt Xiao Bing, tzw. „sztucznej inteligencji” do czatowania, którą następnie (w 2017 roku! Na modelu z roku 2014! Ze trzy epoki temu w rozwoju SI – której do inteligencji daleko, ale to inna kwestia) „nakarmiono” wszystkimi dziełami 519 najbardziej cenionych na świecie pisarzy i poetów, a następnie w 2760 godzin napisała 10 tysięcy wierszy, które w 2017 roku wydano w Chinach pod tytułem „Słońce straciło szklane okna”¹²⁴. Każdy utwór daje jednak świadectwo swoim czasom i jest w nich osadzony; nie przeszkadza nam to cieszyć się *Panem Tadeuszem*, więc co do zasady, w docenianiu projektu Xiao Bing też nie powinno.

Dzisiaj każdy z nas ma znacznie, znacznie, znacznie potężniejsze modele dostępne w każdej przeglądarce, nakarmione milionami dzieł, wykorzystywane do pomocy w tworzeniu książek – romansów, „akcyjniaków”, kryminałów – czy obrazów przez twórców tzw. kultury popularnej i sztuki użytkowej, czy to artystów tworzących animacje – zresztą, do animowania wykorzystujących oprogramowanie od dawna – czy to autorów szkiców koncepcyjnych, plakatów, kalendarzy, grafik promocyjnych, reklamowych etc. Mistrzowie Gry w RPG używają jej do pomocy w tworzeniu fabuły sesji. Dzieci i dorośli bawią się nimi w ramach tuzinów programów, pozwalających łatwo stworzyć boty do

123 Nawiasem, popularny znak zapisu danych, nadal używany w aplikacjach tak powszechny jak MS Office, też jest archaiczny. Odniesienie do dyskiety jest sensem pustym i jeśli zrozumiałam, to tylko na skutek procesu nauki nie-obecných kodów kulturowych, takim samym, jak odniesienia historyczne czy znaczenia słów w języku staropolskim, których uczymy w szkole. Ktoś, kto zna znaczenie znaku – nauczyciel – musi się nim podzielić, inaczej jest to czysty ślad, trop; znak wyprany z sensu poza jednym, podstawowym: o obecności autora. Tym, że autor istniał i chciał przekazać jakieś bity informacji – w przyszłości. Do kogoś nie-obecnego w czasoprzestrzeni, w której obecny był autor/nadawca. Nie miejsce tutaj na klasyczne strukturalistyczne i post-strukturalistyczne rozważania o różnicach autora-nadawca, pisarz-osoba autorska, wysoce fizyczne pytania o entropię w informacji, czy ciągłość „ja” w czasoprzestrzeni, bitach w sensie teorii informacji czy Derridowie pytanie, czy autorem śladu jest człowiek, który używa SI (skłaniałabym się), czy też sama SI albo w ogóle programista – jedynie zaznaczam istnienie takiej ścieżki pytań. No i jest też prozaiczne pytanie, czy informacja, czym była dyskieta, jest aż tak istotna kulturowo, byśmy ją przechowywali z pieczołowitością godną Mickiewicza albo Szekspira, czy też raczej spotka ją los, dajmy na to, szeryfów – coś używanego powszechnie, ale czego geneza i podstawowa funkcja znana jest tylko specjalistom.

124 Danuta-Romana Słowik, *Od Euterpe po sztuczną inteligencję*, „Migotania”, nr 83 (2), 2024.

czatowania i tworzenia opowieści o określonych parametrach, np. naśladowczego Lorda Vadera¹²⁵. O używaniu SI do tworzenia morza tzw. contentu w sieci nawet nie wspominam, skoro wiadomo, że za większość ruchu w sieci już teraz odpowiadają nie ludzie, a boty. SI tworzy więc treści – irytującą często dla ludzi „papkę” – dla SI, pod algorytmy wyszukujące, nie ludzkich użytkowników.

Tutaj ujawnia się więc to, co nazywa się fazą Internetu kuratorów. Nie twórców, a kuratorów – tych, którzy polecają nam treści, decydują, co będzie na samej górze wyników wyszukiwania, ale też tych malutkich, których śledzimy w rozlicznych mediach społecznościowych,¹²⁶ którzy reblogując konkretne treści, wpływają na to, co widzimy. A także, jak obecnie – dzięki analizom siatek i dróg, przez jakie rozchodzi się dezinformacja – co myślimy, co odczuwamy, co kupujemy. Ten efekt istniał oczywiście zawsze, nawet w najmniejszej wspólnocie (można zauważyć, że kampanie dezinformacyjne były jedną z przyczyn tak śmierci Sokratesa, jak upadku Rzeczypospolitej Obojga Narodów), jednak efekt skali całkowicie zmienia tutaj postać rzeczy, pozwalając na sterowanie linczami, pogromami, wynikami wyborów, nastrojami itd. poprzez tysiące kilometrów, natychmiast, jednocześnie, bardzo tanio i poprzez siatkę tysiące „agentów”. O ile jednak złowrogi efekt baniek informacyjnych, kampanii dezinformacyjnych jest wielce eksponowany, musimy też pamiętać, że w ten sam sposób rozchodzą się przekonania, które chcemy wspierać, np. za pomocą kampanii społecznych, że jest to naturalny sposób polecenia sobie muzyki, śledzenia recenzji autora, którego gustom się ufa itd. Po prostu sposób, by wybrać *znaczącą* dla nas – tak, tak, w sennie strukturalistycznym również – informację spośród tego, co dla nas jest *bełkotem*, tzn. informacją nieistotną bądź tak odległą, że dosłownie nieznaczącą lub znaczącą bardzo niewiele, czyli taką, której zgoła nie rozumiemy. Takową może być, zależnie od odbiorcy, plotka ze świata

125 Najpopularniejszy to character.ai, ale podobnych stron jest legion, każda oferuje nieco inne funkcje i „wodotryski”. Pozwalają stworzyć bota mówiącego Szekspirem w dosłownie parę minut; ich głównym ograniczeniem jest, nadal, zasobożerność, którą ogranicza się poprzez ograniczenie „pamięci” i liczby „danych bazowych” botów. Oczywiście, można stworzyć prywatną kopię jednego z modeli SI na swoim komputerze, nakarmić ją wierszami czy prozą własną albo ulubionych autorów i spróbować „wskoczyć” w ulubioną książkę, czy też stworzyć kolejne pastisze w stylu danego autora – albo, jak czynią już niektórzy, danymi z mediów społecznościowych i wiadomości wymienianych ze zmarłymi bliskimi, by uzyskać wrażenie, że ci nadal żyją i z nimi czatują. Nakarmić bota teorią psychologii i dostać niedoskonałego, ale podobno dla niektórych znośnego psychologa. Wtłoczyć dane z mediów społecznościowych celebryty i udawać, że to on z nami „gada”. I tak dalej. Jednak tutaj nadal ogranicza nas zasobożerność – przy dokonywaniu wyboru o takiej wartości informacyjnych vel spośród tylu możliwości, SI na razie potrzebuje ogromnej mocy obliczeniowej i energii. To, zapewne się zmieni, zwłaszcza, jeśli faktycznie pojawiają się komputery kwantowe.

126 Albo specjalistycznych blogach czy portalach, polecających np. muzykę, chociaż tutaj funkcja kuratora jest jawna i oczywista, wręcz eksponowana.

commentary na YouTube albo informacja o kolejnej odsłonie sporu o Kaszmir. Znaczenie lub brak, a także jego spektrum, zawsze leży ostatecznie w oczach odbiorcy, nadawca-kurator może jedynie liczyć, że wybrał znaki, treści, które okażą się znaczące dla odbiorców, na których mu zależy. W ten sposób model Internetu Kuratorów znajduje wspólny grunt z klasyką teorii odbioru-nadawcy, np. u Umberta Eco. Znów, różnica leży zapewne w skali; kurator nie musi być autorem treści, którą przekazuje, jest jednak autorem konfiguracji i wyboru, a wybór, jak wiadomo, potrafi być kluczowy dla interpretacji; ot, biedny Nietzsche, który całe życie pragnął być Polakiem i nie znosił Niemców (w stylu typowym dla epoki, czyli wielce szowinistycznym), a który dzięki wyborowi, którego z jego prac dokonała siostra, stał się symbolem ideologii uważającej Słowian za podludzi, a Niemców za półbogów.

Przykład drastyczny, ale na czasie – takowe wypaczanie znaczeń jest dzięki Internetowi i SI, tworzącej doskonałe fałszywki łatwiejsze, powszechniejsze i potencjalnie bardziej wpływowe (docierające jako znaczące do większej liczby odbiorców) niż kiedykolwiek.

Dygresja długa, ale dotycząca według mnie sedna kwestii – w przypadku SI oraz jej „dzieł”, kluczowe znaczenie ma nie autor, rozumiany tradycyjnie, a kurator. Ten-który-dokonuje-wyboru. Osoba, która w przypadku SI, włada już zapewne sporo poza trylionami bitów danych (w sensie teorii informacji, niepotocznym), której każdy wybór ma wartość bitów – właściwie zmierzające do nieskończoności. To zresztą robi dzisiejsza SI, a raczej to, co się pod nią kryje, nakarmione wielką liczbą bitów danych modele liczące i dokonujące wyboru w ramach nakazanych warunków – w tym zakresu prawdopodobieństwa¹²⁷. Jednak to do człowieka należy ostateczny wybór (a więc „władza” nad jeszcze większą liczbą bitów), uznanie, że odpowiedź jest prawidłowa lub nie w przypadku wykorzystania do celów społecznych czy artystycznych, często brzmi to raczej „czy jest dość dobra”. Spośród tysięcy wierszy Xiao Bing, wybrano mniej niż procent – i jest to proces, który pojawia się zwykle przy tekstach, pracach itd. „tworzonych” przez SI. SI dokonuje wielkiej liczby wyborów – a potem jeszcze i tak człowiek, wybrawszy z nich niektóre, nanosi poprawki. Daje

127 Oczywiście uproszczenie podkreślające aspekt, nad którym pochylam się w tym felietonie. Oczywiście drugie, zwolennicy teorii, że SI uczy się już sama, będą uważali te oficjalne definicje i opisy za przestarzałe i próbujące udawać, że SI rozumiemy i kontrolujemy. Na pewno nie rozumiemy, nie zawsze, jej procesów „myślowych” i niekiedy nie potrafimy dojść do tego, jak uzyskała dany rezultat, nawet jeśli jest poprawny; musimy pytać i jest to zawsze niezwykle interesujący proces. Istnieją internetowe oddolne wspólnoty fanów – zrzeszone np. w *community* na stronie Reddit – zajmujące się sprawdzaniem granic SI, stawianiem jej „niewygodnych” albo po prostu ciekawych pytań czy zadań.

to niekiedy złudne wrażenie, że obecne modele, raczej pseudo-SI, faktycznie zmierzają w stronę „inteligencji”.

Ba, do człowieka-kuratora należy też władza nad zgołą nieskończonością bitów zwaną „rzeczywistością” i u-tworami w niej zawartymi; to on wybiera, czym nakarmi SI i oczywistym jest, że wybór „największych twórców”, którymi nakarmiono Xiao Bing obarczony był nieuchronnym *bias*, uprzedzeniem¹²⁸ i perspektywą¹²⁹. 500 autorów – cóż to jest! Aż prosi się tutaj o perspektywę podkolonialną, czy teorie opresji systemowej, używane już chętnie do opisu przyziemnych działań SI, np. odrzucania lub dopuszczania do dalszych etapów rekrutacji kandydatów na rynku pracy. Byłaby ciekawą analiza wpływu wszystkich tych ludzkich wyborów na wydany tomik; choćby nadreprezentację stylu, który jest uznawany za „poetycki” obecnie, a nie np. poezji klasycznej, rymowanej czy rytmizowanej, obwarowanej zasadami i ograniczeniami, bardziej podobnej – jak i dawna muzyka – zabawie z tabelami, a więc i bliższej temu, czym jest SI, i zdecydowanie powszechniejszej historycznie. Do tego jednak należałoby znać język i tradycje poetyckie Chin.

Inną kwestią, godną przynajmniej wzmianki, jest to, na ile nasza chęć ochrony poezji, jako domeny wyłącznie ludzkiej, nie wynika z kultury skrajnego indywidualizmu, typowej dla kultury okcydentalnej w epoce nowoczesnej, i stworzonemu przez nią w XIX wieku – po części utrwalonego jako sposób poradzenia sobie z maszyną (aparatem fotograficznym) i industrializacją właśnie – wizerunku artysty, które wytwarza wiersze „sam z siebie”, mówiąc potocznie „z bebeczków”, jest sterowany przez jakieś tajemne muzy i wewnętrzne siły. Nastąpiło też wówczas silne oddzielenie „artysty” od „rzemieślnika” – ten ostatni zostawiony został na pastwę industrializacji; tak dawny malarz portretowy, tracący klientele przez fotografię, jak dzisiejszy copywriter, tracący możliwość pisania internetowego contentu. Zapewne w ujęciu tradycyjnym, gdzie muzyka była silnie matematyczną zabawką, tworzenie widziano jako czerpanie ze zbioru danych zwanego tradycją, i pewien rodzaj, znowu, matematycznej

128 Polskie słowo trafia w sedno – wszak chodzi o dokonanie wyboru i oceny zgodnie z uprzednimi przekonaniem.

129 Można zwrócić uwagę, że człowiek także nie przeczytał wszystkich autorów, a jego wybór kształtowany jest przez społeczeństwo, wspólnotę, okoliczności. I jest to prawda. Niemniej, efekt skali znowu ma znaczenie – wpływ społeczeństwa jest znacznie mniej bezpośredni i ostateczny niż kuratorów zbioru danych dla SI; a wolność jednostki, liczba przetwarzanych danych, nawet u bardzo małych, tradycyjnych społecznościach, daleko większa. Wszyscy mamy swoje uprzedzenia, a psychoanalityczna interpretacja, leżąca u podstaw rozumienia „ja” współcześnie, każe nam je i samego siebie nieustannie analizować, by dostrzec *wpływy* i te zbiory uprzednich danych... ale skala jest zupełnie inna, i jest tylko odruchową personifikacją matematycznych procesów porównania umysłu człowieka do liczydła.

zabawy w ramach silnych, narzuconych przez kulturę i mecenasa ograniczeń – zgoła jak ten internetowy content czy reklamy – a sztuka współbrzmiała z techniką (by nie rzec złośliwie „sztuką mięsa”, kupowaną na targu), zapewne w takim ujęciu szok byłby mniejszy. Co może tłumaczyć, czemu najwięcej oporów względem SI ma chyba Europa – i powołuje się tutaj, od strony prawnej, na również całkowicie nowoczesny koncept własności intelektualnej¹³⁰.

II Xiao Bing a sprawa polska

Nieuchronne uprzedzenie treści i wyborów osoby/awatara/osobowości/bohaterki¹³¹ SI „Xiao Bing” nie jest problemem, a formalnym ograniczeniem jej poezji; to ono narzuciło jej styl i format. Jest naturalne, bo ludzkie, dokonane przez ludzi, jak stylistyka każdej epoki – jako takie, nie powinno więc odrzucać twórców, chcących wejść z „jej” dziełem w interakcję. W Polsce podjął się tego szczeciński oddział Związku Literatów Polskich pod przewodnictwem Leszka Dembka. W książce *POLIFONIA POEZJI*¹³² zachodniopomorscy poeci weszli z utworami/wyborami Xiao Bing w twórczy dialog, trochę przypominający dadaistyczne eksperymenty – zresztą, dadaistyczne „pisanie maszynowe” uzyskałoby w SI ciekawe dopełnienie. Do każdego wersu wiersza, stworzonego przez Xiao Bing (i jej kuratorów), mieli oni dołożyć swój własny wers, będący twórczym przetworzeniem pierwotnego. Oddajmy zresztą głos samym autorom:

- Metoda twórcza *Polifonii Poezji*, ma na celu napisanie (metodą równoległą) do każdego wersu stworzonego przez SI, własnego wersu z zachowaniem przestania (znaczenia) oryginalnego wersu.

130 Podobną refleksję ma Irena Naumowicz, zauważając, że autorzy, dokładający swoje wersy do wersów SI, wchodzili na wysokie C: *Zaryzykowałabym tezę, że ludzkie myślenie, w tej konfiguracji, próbuje podświadomie być tym bardziej ludzkie. Niespodziewanie intensywnie zwracają uwagę nawiązania religijne, patos, filozofowanie, poetyzowanie. Po tak oszczędnym, dosłownym, potocznym zapisie SI, u żywych poetów znajdujemy tu nagle nieproporcjonalnie dużo nawiązań religijnych: boski spokój, oblubieniec, święta moc, Jego cześć, wieczność prawych, szlachetnych dusz; rozważań filozoficznych: mrok niewiedzy, rozumieć swoje życie, połączenie wszystkich sensów, zapomnienie wszystkiego co zrozumiałem; poetyckich obrazów: łódźko moje płynie, brzeg bezludnej wyspy, żyć we śnie, niesione nurtem pieśni, bezimienny szczyt. Takie zestawienie prowokuje do zadania sobie pytania, czy ludzcy autorzy, wykazywaliby równie duże zakorzenienie w religii, filozofii, tradycji poetyckiej i kulturze, gdyby nie zostali sprowokowani interakcją z robotem. Czy to uduchowienie, a nawet uniesienie, nie wynika z chęci konkurowania z precyzją i surowością SI? Czy nie wynika to z próby zhumanizowania własnej wersji tekstu? I jeśli tak, na ile było to świadome? Irena Naumowicz, *Szkic do analizy i interpretacji wiersza polifonicznego na podstawie Światła świecy Xiao Bing, „ReWiry”, nr 7 (4), 2024.**

131 Przyszłość pokaże, co się przyjmie. Obstawiam, że „persona” i tutaj stawiam zakład.

132 *Polifonia Poezji*, pod. red. L. Dembek, Z. Jahnz, Szczecin 2016.

- Ostatecznym celem *polifonizacji* jest powstanie utworu o charakterze wielowymiarowym (dwuwidzenie – 2D), (trójwidzenie – 3D) czy (kwadrowidzenie – 4D). Powstaje swoista niewidzialna nadprzestrzeń (inny wymiar, swoiste widzenie przestrzenne), tworzy się poezja bez słów, tzw. *powidok słowa*.
- Wiersze polifoniczne można czytać wielowymiarowo, a nawet tylko w jednym wymiarze, jednej płaszczyźnie. Kwadrowidzenie może być trójwidzeniem, dwuwidzeniem lub jednowidzeniem (w zależności od przyjętej konwencji).
- Na kanwie powstałych polifonicznych (ale nie tylko) wierszy można stworzyć wiersz konfiguracyjny. Na taki utwór składają się najwartościowsze wersy, słowa, frazy z poszczególnych utworów.
- Między dwoma wersami polifonicznymi, można stworzyć wers niepolifoniczny, który będzie współgrał (korelował) z tymi wersami.
- Wiersze polifoniczne z udziałem SI stwarzają dużą możliwość kreatywnego podejścia do tworzenia nowych utworów, także o nieznannej wielojęzycznej (również obcojęzycznej), poetyckiej budowie.
- Metoda twórcza polifoniczna w interakcji z SI to tylko jedna z metod powstawania utworów. Wiersze w układzie z SI mogą być też tworzone metodą konwencjonalną o różnorodnych konfiguracjach.
- Wiersz konfiguracyjny (tradycyjny w interakcji z SI) może powstawać również na bazie różnych metod, idei, wizji.
- Do poszczególnych wersów SI można np. tworzyć swoje wersy, m.in. na znanej zasadzie dopisywania dalszej historii, które będą łączyły się z kolejnymi wersami SI.
- Z utworów SI można wybierać poszczególne zdania (wyrazy), które mogą stanowić poetyckie fragmenty wiersza pisanego metodą konwencjonalną (tradycyjną).
- Nowo stworzony wiersz z udziałem SI może być napisany językiem literackim, potocznym, etnicznym, dialektem, slangiem etc., nie musi to być tylko jedna konwencja językowa w danym utworze. Może powstać

wielojęzykowość (języki obce, gwara, slang) wiersza, np. zamieniamy wojnę na Krieg (brzmi groźniej) lub love na miłość¹³³.

W pierwotnych założeniach tomik miał skupiać się na metodzie, polifonii, a więc każdy autor miał, wers po wersie, wyrazić mniej więcej to samo, co Xiao Bing, tylko innymi słowami¹³⁴ – ale ponieważ medium jest przekazem i każda zmiana przecinka zmienia znaczenie, to poeci dokonywali rozmaitych przekształceń, często będących raczej uzupełnieniem, dokończeniem wersów Xiao Bing i właściwie pisaniem własnego wiersza, który wersy chińskie traktował jako inspirację, punkt odniesienia, nieomal jak w przypadku ekfrazy. Zdecydowano się jednak na ujednolicenie przynajmniej edytorskie i pisanie wierszem (w większości) białym.

Następnie stworzone wersy zostały ułożone w całość, jeden po drugim, przez Leszka Dembka – z zaznaczeniem, czyjego są autorstwa – którym tym samym dokonał wyboru ważącego najwięcej... przynajmniej bajtów... i stał się ostatecznym, finalnym kuratorem (odbiorco-nadawcą, można rzec) treści, ostatnią osobą i odbiorcą, której wybory wpływały na kształt nadawanego przekazu. Panem i Władcą największej liczby dokonanych Wyborów. Podejmowane decyzje o wyborze autorów i kolejności wersów znacząco wpłynęły na kształt wierszy, nawet ich aspekt gramatyczny. Pozostali odbiorcy, czytelnicy, mogli już tylko reagować w zakresie prywatnym, dołączając książkę i związane z nią refleksje do osobistego zbioru danych, zwanego „przeżyciami, wspomnieniami, pamięcią”.

Z którego, jeśli są twórcami, mogą korzystać, jak Xio Bing z zasobu swoich 519 autorów, bez wpływu na samo dzieło jednak. Jeśli dopiszą własne wersy, to już w ramach nie książki, a biblioteki polifonii.

Zamysłem samej książki było wcielenie w eksperymentalną praktykę założeń bliskich kubizmowi: nakładania się poetyckich interpretacji jedna na drugą, by postrzegać więcej, i polifonii głosów, pragnienie ukazania różnorodności w jedności – chęć widzenia naraz ze wszystkich stron. W przypadku pisma rzecz jest o tyle trudna, że jest ono asynchroniczne, linearne z założenia – możemy usłyszeć naraz wiele dźwięków, jeśli odejdziemy odpowiednio daleko, możemy dostrzec cały obraz kubistów, a nie możemy przeczytać naraz wielu

133 *Polifonia Poezji*, pod. red. L. Dembek, Z. Jahnz, Szczecin 2016, s. 17-19.

134 Słowem, dokonać tłumaczenia na własny język poetycki. Przekład z chińskiego na polski, dokonany przez Joannę Krenz, i związany z nim wybór leży przecież u podstaw książki.

słów (choć w jednym słowie możemy natychmiast odczuć, zrozumieć, odczytać wiele znaczeń). Palimpsesty trzeba najpierw rozwikłać i podzielić asynchronicznie, linearnie, niczym przy wydobywaniu strzępków staropolskich wierszy z, dajmy na to, opraw rosyjskich starodruków.

Z tym problemem poezja polifoniczna mogłaby sobie poradzić tak, jak wskazuje jej sama nazwa – poprzez bycie wypowiedaną, wyśpiewywaną wręcz, każdy wers, każda wersja wersu, jednocześnie. W pozornym chaosie dźwięków ucho mogłoby wyłapać melodię i ulubiony rytm każdego autora, usłyszeć, jak ten aspekt materialny – dźwięk, nie zapis – układa się względem innych. Nagrywanie utworów poezji polifonicznej, czy to tworzonej z udziałem SI, czy bez, wydaje się ciekawą drogą dla jej twórców, sposobem przewyższenia ograniczeń medium; poprzez, owszem, porzucenie go na korzyść innego, ale czy nie bardziej dopasowanego do koncepcji? Wiersze Xia Bing mogłyby wówczas wybrzmieć także w wersji oryginalnej, wypowiedane przez któryś ze sztucznie stworzonych głosów. Powszechność audiobooków i podcastów pokazuje, że dzisiaj formy dźwiękowe, słuchane przeżywają wręcz swój rozkwit. Przejście takie byłoby też powrotem *ad fontes*; czy poezji – co najmniej do wieków średnich (w Europie) mówimy wszak o poezji zawsze śpiewanej czy wypowiedanej – czy to nieuchronnie towarzyszącego takim eksperymentom formalizmu (via Szklowski i cały formalizm rosyjski).

Dodatkowym, ciekawym aspektem tomu pod kątem bitów i wyborów, jest fakt, że – jak zauważa Irena Naumowicz w eseju *Szkic do analizy i interpretacji wiersza polifonicznego na podstawie Światła świecy Xiao Bing*, poprzez dodanie swojego dalszego ciągu albo nawet swojej wersji wersów Xiao Bing, autorzy za każdym razem znacząco zawężili spektrum interpretacyjne danego wersu, wspierając jeden aspekt możliwych skojarzeń¹³⁵. Dla autorki był to problem i o ile się zgadzam z tezą, o tyle na gruncie teorii widzę tutaj celowość i głęboki sens zabiegu. Zawężanie interpretacji tylko kolejny wybór w ciągu wyborów, poetę jako kolejnego z kuratorów sensu. Czego dokonujemy zawsze jako czytelnicy, odruchowo, widząc ten czy inny sens – a skoro wiadomo, że Sens Absolutny, Idea, wyłapanie wszystkich pokemonów... znaczeń, jest niemożliwy, to żeby przynajmniej przybliżyć się do ideału, w ramach polifonii znaczeń, trzeba

135 Metoda, którą zastosowali Gośka Goluda i Robert Florczyk, z samej swojej natury wiedzie na pokuszenie, aby wprowadzić nową, swoją opowieść, domalować nowe elementy, dokomponować własną melodię. I tak też się dzieje. Czy taki zabieg wzbogaca, otwiera perspektywę odbioru, interpretacji? Nie. Zamyka.(...) To, co w wierszu pierwotnym tylko inicjowało proces, poruszało wyobraźnię odbiorcy do samodzielnej pracy, tutaj zaczyna być nazwane i wskazane. I. Naumowicz, *Szkic do analizy i interpretacji wiersza polifonicznego na podstawie Światła świecy Xiao Bing*, „ReWiry”, nr 7 (4), 2024.

właśnie poprosić wiele osób o możliwe zawężenie do własnego odczytania, dokonanie wyboru (bity, bity), a następnie wszystkie te interpretacje ustawić jak najbliżej siebie.

III Prywatne

Jak napisałam w gazetce festiwalowej do Poznania Poezji, mój brat, chcąc mnie zrozumieć, wrzucił wiersze z mojego tomiku do ChataGPT i poprosił o interpretację. Interpretacja była szkolna, jak z wypracowania maturalnego – co i rozumiałe, bo zapewne o to ChatGPT jest najczęściej proszony, o pomoc w napisaniu „wypracowania”. SI wszak uczy się z naszych pochwał, pytań i działań; ale i my uczymy się, jak jej zadawać te pytania, jakiego języka wobec niej używać, jak „promptować” – i istnieje wielce prawdopodobna możliwość, że rychło wpłynie to na język, jakiego używamy wobec innych ludzi¹³⁶.

Nie o interpretację dokonaną przez SI – które, o dziwo, nie zauważyło nawiązania do Szekspira, zapewne dlatego, że wtłoczono go jej w oryginale, a nie co nowszych tłumaczeniach, objętych prawem autorskim – chodzi. Chodzi o fakt, że mój brat, chcąc zrozumieć moją twórczość, poszedł do SI po najdosłowniejszą mediację, pośredniczenie, przełożenie z mojego, poetyckiego, na jego, potoczny. Język. Oto człowiek udał się do wyroczni SI z prośbą, by odczytała tajemne dla niego znaki¹³⁷, chcąc zrozumieć, rozczytać, odszyfrować

136 Jak słusznie zauważają w swoim manifestie sami współtwórcy szczecińskiego eksperymentu poetyckiego: *Język wielowymiarowy jest do końca niepoznawalny, nieuchwytny, poznajemy tylko niektóre z wielu jego odmian, a przyszłe języki dopiero rodzą się. Niektórych z nich nie poznamy, bowiem są to już języki zapomniane (nieznane, wymarłe) albo zaniechane z powodu utraty właściwości określania czegoś, co zostało wyparte z obiegu lub przestało mieć znaczenie w użytkowaniu. Ale też jest stale rozwijający się język przyszłości, determinowany postępem technicznym, wkraczającym w kosmicznym tempie do obszarów kulturowych, w tym do literatury.* „Polifonia Poezji”, pod. red. L. Dembek, Z. Jahnz, Szczecin 2016, s. 15-16.

137 Wiara w metafizyczną, ponadludzką wielkość sztuki i literatury, zastąpiła wiarę w boskość metafizyczną – w kulturze akademickiej, intelektualnej, powiedzmy, okcydentalnej z przyległościami – artyści mają rolę ześwieczonych wieszczów, a w sztuce szuka się znaków, wskazujących drogę, odpowiedzi na dręczące człowieka pytania, tak, jak dawniej szukano ich w świecie, traktując go jako mający jakiegoś autora – metafizyczne Boskie – będący, jako u św. Tomasz z Akwinu, śladem, znakiem i dowodem Obecności, a więc i mający znaczenie. Mogący być interpretowani i roz/od/prze/czytany. Świat nie-magiczny i kompletnie świecki, naukowy, to równocześnie świat pozbawiony znaczenia, więc jedynie dzieła ludzi mogą mieć w nim znaczenie, bo mają autorów, jedynie one są znakiem obecności... acz już przez znacznie mniejsze „o”. Jedynie one mogą być czytane/interpretowane. Nowoczesna samotność, która podpira się inteligencją pozaziemską niczym aniołem stróżem. W tym sensie AI i jego twórczość rzeczywiście może w filozoficznych założeniach nowoczesności wywołać kryzys. Co może tłumaczyć, dlaczego najbardziej przeraża ono tzw. zachodnią inteligencję, podczas gdy reszta – która, nie ukrywamy, nigdy nie wyzuła świata z religii, magii, metafizyki i znaczenia – dobrze się bawi, tworząc wespół z AI

to (och, no dobra, „polecimy klasyką”) *znaczzonego*, *signifié* ukryte w *znaczącym*, *signifiant* – bo że ten znak coś znaczy i nie jest przypadkowy, no to mój brat wiedział uprzednio, podszedł więc do niego z uprzedzeniem, które w tym przypadku było pozytywne. Innych tomików mój brat by nie czytał, bo nie interesuje się poezją, do tego był uprzednio nastawiony emocjonalnie i intelektualnie inaczej, z większą gotowością przyjęcia, gdyż był to tomik osoby z jego rodziny. Tak, tak, mentalność klanowa, nepotyzm i pozostałe elementy uprzedzeń – jak się patrzy.

Ja sama, zastanawiając się nad tytułem tomiku, znakiem nad znakami, znakiem całości, w rozpacz, nim ustaliłam z wydawnictwem, że pierwotny jest dobry, zapukałam do drzwi ChataGPT z pytaniem o konfigurację słów skojarzonych z X, Y, Z, coś na tytuł. Próby były dramatycznie nieudane, głównie chyba z powodu krótkiej pamięci, ale też mojego wybrzydzenia – i znów, dałoby się coś z tego wyciągnąć, ale na zasadzie jednej wersji z tuzina, zamienionej na synonimy i przekształconej przez człowieka. Równie dobrze mogłabym otwierać na ślepo słownik albo sprawdzić hasła w encyklopedii – co też spróbowałam, nawiasem, robić. SI to narzędzie, które stało się przydatne, które uczyniono na siłę przydatnym, popsuwszy internetowe wyszukiwarki; ale też cudowna zabawka, jak kości (ileż słodkich godzin spędziłam, zanurzając się w światach ulubionych dzieł, w opowieści współtworzonej przez character.ai i podobne – jak doskonale przez to rozumiem, ile trzeba ludzkiego kuratora, wyboru, redakcji, wreszcie twórczości własnej, by wyszło z tego coś *fajnego*, coś z jakością choćby romansidła). Ale jak rzucenie kością czy karty mogą być wróżbą, SI może się stać znakiem, zabawą rytualną, jeśli jej nadamy wagę i znaczenie, co ewidentnie robimy, bo człowiek jest maszyną do szukania sensów wszędy.

Czy interpretacja SI była właściwa, zapytacie? Ach, jak to zawsze mówią autorzy na spotkaniach po długich opisach krytyków: „cóż, skoro państwo to tam widzą, to tam jest”. Skoro już żyjemy w nowoczesności, to miejmy z tego jakieś, jako autorzy, korzyści, zakryjmy się jej ulubioną – swoją drogą, robiącą z autora jeszcze bardziej bóstwo, nigdy niemówiące nic jednoznacznie i ani potwierdzające, ani zaprzeczające – zasłoną: autor umarł/wszedł na niebiosa i nie zniża się na ziemię, by dokonywać wyboru, pozostaje Panem Wszystkich Migotliwych Wyborów, Znaczeń i Odczytań.

cyfrowe przeróbki, i martwi co najwyżej praktycznymi skutkami SI, np. utratą pracy. Skądinąd świetnie pokazują to artykuły BBC o SI, nieustannie przypominające ludziom, że dosyć tego karnawału, oświeceniowy inteligent, filozof, przedstawiciel elit ma dość i mówi wam, tłumie, że to niebezpieczne i moralnie złe, kaganek oświaty wam niesie. Żyjemy w długim cieniu oświecenia i nie możemy wypłatać się z jego założeń, jego figur – nie da się spuścić całej krwi z własnych żył, nie da się wyjść z własnej epoki.

Czy nadszedł Elektrybałt? Poezja i sens w dialogu z maszyną

Maszynowa poezja wydaje się fenomenem współczesności, jednak refleksje na jej temat pojawiały się w literaturze już kilkadziesiąt lat temu. W 1965 roku w zbiorze *Cyberiada* po raz pierwszy ukazało się sławne opowiadanie *Wyprawa pierwsza A, czyli Elektrybałt Trurla* autorstwa Stanisława Lema. Przedstawia ono historię wspaniałego robota-poety, Elektrybałta. Miał on do dyspozycji ogromną bazę danych, uczył się także na podstawie wierszy wygłaszanych przez ludzkich rywali w pojedynkach poetyckich. Choć z początku jego utwory pozbawione były sensu, po pewnym czasie stał się niedościgniony, a jego dzieła przyćmiewały nawet najznamienitsze dokonania ludzkich poetów¹³⁸.

Odległa dla Lema wizja dla nas jest wizją już raczej bliską. Współczesność uzależniona jest od technologii. Sztuczna inteligencja w obecnych czasach wpływa na prawie każdy aspekt ludzkiego życia, wkracza nawet w obszary, które wcześniej wydawały się zarezerwowane wyłącznie dla ludzi, takie jak literatura. Systemy generatywne obecnie przejmują bowiem rolę twórcy tekstu i są odpowiedzialne za proces kreacji. Lemowska fantazja o Elektrybałcie zyskuje więc niespodziewanie realne odpowiedniki w aktualnej rzeczywistości. Jedną z jej materializacji jest postać cyber-poetki Xiao Bing.

Xiao Bing, znana szerzej jako Xiaoice, stworzona została w 2014 roku przez naukowców z Chin, Stanów Zjednoczonych, Japonii i Indii we współpracy z firmą Microsoft. Zadebiutowała jako internetowy chatbot, a dopiero później „nakarmiono” ją dziełami wybitnych autorów, by na ich podstawie mogła tworzyć własne teksty. W 2017 roku w Pekinie ukazał się tom *Słońce straciło szklane okna*, w którego skład wchodzi 139 wierszy napisanych przez Xiao Bing¹³⁹. Ta cybernetyczna poetka w Chinach osiągnęła już rangę celebrytki i nie przestaje zaskakiwać swoimi osiągnięciami w innych dziedzinach, jak na przykład muzyka czy sztuki wizualne.

138 S. Lem, *Wyprawa pierwsza A, czyli Elektrybałt Trurla*, (w): *idem, Cyberiada*, Kraków 1965.

139 L. Dembek, *Sztuczna inteligencja a poezja*, „Pryzmat Literacki” 2020, nr 1, s. 196-205.

Czy Xiao Bing to faktycznie już Elektrybałt? Czy poezję generowaną przez SI należy brać „na poważnie”? Czy w ogóle warto jest się pochylać nad nią na dłużej? Wiodącym i jednocześnie najbardziej intuicyjnym uzasadnieniem wykluczania tekstów sztucznej inteligencji z obszaru literatury godnej uwagi jest powołanie się na sam fakt, że nie tworzy ich człowiek, lecz maszyna. Autorem jest tu podmiot, który, przynajmniej w obecnym rozumieniu, nie jest zdolny do odczuwania emocji, nie doznaje wrażeń zmysłowych, czy stanów psychicznych, nie posiada osobowości ani intencji. Brakuje mu ciała i świadomości – a zatem jakiegokolwiek ugruntowania w świecie, w którym mógłby czegoś samodzielnie doświadczyć. Sam „nie chce niczego powiedzieć”, ponieważ jego twórczość powstaje tylko na cudzą prośbę. W konsekwencji zarzucić można dziełom SI nieszczerłość, niezrozumiałość, wskazać na ich rzekomą „pustość”, a także niezdolność do poruszenia odbiorcy w taki sposób, w jaki robi to tekst napisany przez człowieka. Logicznym następstwem może więc być uznanie prób pisarskich maszyn za bezwartościowe.

Ten argument opiera się na niezaprzeczalnym fakcie, przez co na pierwszy rzut oka wydaje się niepodważalny. Można jednak spróbować wejść z nim w polemikę. Jeśli założyć się, że maszyna „nauczona” zostanie naśladowania sposobów wyrażania emocji do tego stopnia skutecznie, że odbiorca nie będzie w stanie wskazać różnicy między tekstem przez nią wygenerowanym a tym napisanym przez człowieka, to czy można dalej twierdzić, że jej wypowiedź jest jakościowo gorsza? Czy emocja zawarta w dziele musi wcześniej narodzić się w naturalnych warunkach, to jest nawiązywać do rzeczywistych doświadczeń autora, żeby być przekonującą literacko?

Tu pomocna może okazać się analogia. Wyobraźmy sobie dwóch pisarzy. Jeden z nich pisze o uzależnieniu, z którym się zmagał. Drugi natomiast nigdy nie miał kontaktu z żadną substancją psychoaktywną, ale przez lata studiował relacje osób uzależnionych, czytał literaturę naukową, analizował teksty źródłowe i artystyczne¹⁴⁰. Obaj tworzą dzieła, które z dużą precyzją i wiarygodnością opisują stany emocjonalne, psychiczne i cielesne, związane z uzależnieniem. Odbiorca może nawet nie wiedzieć, który z autorów pisał „z doświadczenia”, a który nie. Jeśli oba teksty wzbudzą w czytelniku porównywalne emocje i przemyślenia, to czy ich źródło ma aż tak duże znaczenie?

W tym miejscu pojawia się kwestia kluczowa: czy obecność autora jako świadomego, czującego i intencjonalnego podmiotu jest warunkiem koniecznym

140 W miejscu postaci drugiego autora można z łatwością wyobrazić sobie sztuczną inteligencję, która, operując na miliardach danych, może dokonać takiej syntezy znacznie szybciej niż człowiek.

literackości tekstu? Roland Barthes w swojej przełomowej rozprawie *Śmierć autora* zakwestionował dominującą rolę twórcy w kreowaniu znaczenia – jest on „tylko tym, kto pisze”¹⁴¹. Zdaniem Barthes’a sens tekstu nie zależy od tożsamości nadawcy, jego przeżyć ani intencji – utwór zaczyna istnieć dopiero w momencie jego lektury, a każdy czytelnik, wyposażony we własne doświadczenia literackie i skojarzenia, tworzy jego indywidualne odczytanie. Skoro nie ma już autora jako źródła sensu, to być może jego status (człowiek czy maszyna) staje się w tym kontekście nieistotny.

Leszek Dembek, poeta i prezes szczecińskiego oddziału Związku Literatów Polskich, obcując z wierszami Xiao Bing zwrócił uwagę właśnie na to, jak ogromny potencjał mogą mieć w kontakcie z czytelnikiem. To odbiorca nadaje im sens, wypełnia niedopowiedzenia własnymi emocjami i doświadczeniem, a właśnie ta możliwość nieustannego kreowania znaczeń wydaje się tu najbardziej intrygująca. W tym świetle poezja maszynowa okazuje się nie tyle gotowym komunikatem, ile zaproszeniem do współtworzenia.

„POE(SI)A IT”, projekt zainicjowany przez Dembka, dokładnie tym jest – współtworzeniem z maszyną. Poeci biorący udział w tym literackim eksperymencie interpretują ten sam wiersz autorstwa Xiao Bing, dopisując do niego własne wersy. Każdy z nich czyni to w izolacji, nie znając wypowiedzi pozostałych. Następnie jedna osoba zestawia ze sobą wszystkie głosy, tworząc z nich wiersz konfiguracyjny.

Sens wiersza konfiguracyjnego składa się więc z mozaiki różnych odczytań wiersza pierwotnego. Tekst wyjściowy pełni rolę impulsu – zaprasza do odpowiedzi, ale to głosy uczestników tworzą jego znaczenie. Każda dopisana fraza buduje kolejne warstwy sensu, sprawiając, że utwór funkcjonuje nie jako gotowa całość, lecz jako dynamiczna sieć znaczeń. W ten sposób literackość wiersza okazuje się zależna od samego procesu współtworzenia i od tego, jak poeci-odbiorcy wyrażają w nim własną wrażliwość.

Nie trzeba jednak być poetą uczestniczącym w projekcie, by brać udział w kreowaniu znaczenia wiersza konfiguracyjnego. Niezależny czytelnik również ma pełną dowolność w wyborze wersów lub nawet pojedynczych słów, które poruszają jego wrażliwość. Dzięki temu każde spotkanie z tekstem może być rozumiane jako tworzenie własnej konfiguracji wiersza, własnego sensu, zależnego wyłącznie od woli odbiorcy. Dembek pisze: „Tak stworzone wiersze dają możliwość czytania utworu na wiele sposobów, niekoniecznie w sposób

141 R. Barthes, *Śmierć autora*, przeł. M. P. Markowski, „Teksty Drugie” 1999, nr 1/2, s. 249.

linearny i też w tym istota, by nie czytać ich tylko monolitycznie”¹⁴². Taki tekst zawiera w sobie kilka równoległych narracji, z których żadna nie jest dominująca. Zupełnie jak w chórze, każdy głos stanowiący jego część opowiada o tym samym, jednak wszystkie robią to nieco inaczej, mają różne barwy i tony – pełnię doświadczenia utworu da się osiągnąć, gdy usłyszysz się je wszystkie razem. W kontakcie z wierszem konfiguracyjnym istotnie bardziej liczy się doświadczenie go niż zrozumienie, co ma na celu przekazać.

Uwzględnienie sztucznej inteligencji jako równorzędnego głosu w tym chórze pozwala na poszerzenie możliwości interpretacji utworu. Wielość spojrzeń ludzkich wzbogacona zostaje spojrzeniem maszynowym, które, chociaż wykształciło się na wzorcach tekstów pisanych przez człowieka, może znacząco się od nich różnić. Wiersz konfiguracyjny staje się miejscem, w którym zderzają się ze sobą ludzkie i „nie-ludzkie” podmioty w akcie opisywania tej samej rzeczywistości. Leszek Dembek podkreśla również, że eksperyment ten „szuka koegzystencji z zamiarem znalezienia innego WYMIARU KREATYWNOŚCI przez KREOWANIE WYOBRAŹNI – łącząc współczesną tradycję pisanie wiersza z udziałem elektronicznej maszyny cyfrowej, w tym wypadku sztucznej inteligencji”¹⁴³.

Powróć do pytania: czy Xiao Bing to już Elektrybałt, który jest w stanie prześcignąć ludzkich poetów? Zaryzykuję stwierdzeniem, że nie. Tym, co czyni wiersze powstałe w ramach projektu „POE(SI)A IT” tak interesującymi, nie jest sama wypowiedź twórczej maszyny, lecz wkład ludzki w tworzeniu jej sensu, element napięcia między człowiekiem i technologią. „POE(SI)A IT” to pewnego rodzaju propozycja tworzenia poezji w sposób nowy, który korzystać będzie z narzędzi oferowanych przez współczesny postęp technologiczny. Praktyka poetycka z udziałem SI wcale nie musi stanowić zagrożenia dla ludzkich poetów, nie ma na celu odczłowieczenia poezji. Może jednak stanowić próbę uaktualnienia jej w stosunku do zmian uwarunkowanych postępem technologicznym, które dynamicznie zachodzą w świecie – cytując słowa Leszka Dembka, „wskrzesi ducha poezji”¹⁴⁴.

142 L. Dembek, *Kiedy unosi się błysk poezji...?*, „Pryzmat Literacki” 2024, nr 5, s. 189.

143 L. Dembek, *Sztuczna inteligencja...*, s. 205.

144 L. Dembek, *Kiedy unosi się...*, s. 192.

Konfiguracyjny Centon Muzyczny

Każda próba napisania tekstu literackiego posiada dwa piętna. Niepewność autora, czy dobrze rozpoczął oraz czy tematyka jaką porusza zainteresuje czytelnika. Jak więc zacząć? W muzyce to banalnie proste – jak mawia moja przyjaciółka – uderz jakikolwiek dźwięk... i właśnie zacząłeś. A jak rozpocząć pisanie tekstu? Chociaż uderzyłem już kilka razy w klawiaturę – i powstało takie coś *asd8fjm vndh*. Czy to dobry początek? Sam nie wiem. To może, skoro tekst ma być o muzyce, zacznijmy muzycznie: gamą a-moll naturalną /a, b, c, d, e, f, g/. No to uderzam.

Dźwięk A

Kiedy byłem mały, moja Mama włączała stary gramofon i siadała przy nim z zamkniętymi oczami, nucąc cicho melodie z czasów swojej młodości. Zawsze zastanawiało mnie, dlaczego potrafiła tak mocno przeżywać dźwięki, choć nie znała wszystkich słów słuchanych piosenek. Dopiero później zdałem sobie sprawę – muzyka nie potrzebuje rozumienia. Jej rytm, harmonia i melodia potrafią dotknąć serca bardziej niż jakiegokolwiek słowa. Klaus Schulze, pionier muzyki elektronicznej i eksperymentalnej powiedział kiedyś: „Muzyka to próba powiedzenia komuś słów miłości”. Dlatego ponadczasowość muzyki jest czymś więcej niż tylko dźwiękami ułożonymi w określonym rytmie – to język uczuć, który potrafi wyrazić to, czego inne rodzaje sztuki nie są w stanie oddać. Każda nuta, każdy akord może być emanacją intymności, ciosem kafara lub próbą porozumienia się z innymi ludźmi w sposób uniwersalny i ponadczasowy. Dzięki temu muzyka staje się mostem między sercami, niezależnie od wieku, języka czy kultury.

A poezja? Czy ma podobne właściwości i zdolności? Świat poezji to intymna gra pomiędzy Autorem a Czytelnikiem. Takie *qui pro quo* dziejące się w ciszy, pozbawiona chaosu dnia codziennego, bez gonitwy za czymś „ważnym” i co

najistotniejsze bez wszechobecnego relatywizmu. Taka bezludna wyspa ukryta w tajemnym wnętrzu współistnienia.

Zbigniew Herbert znacznie rozszerzał obowiązki poety i poezji. Dla Herberta poezja to świadoma, moralna, intelektualna i precyzyjna wypowiedź, która ma dotyczyć wartości uniwersalnych, a co najważniejsze to pomost pomiędzy przeszłością i współczesnością.

Wypada zadać pytanie dlaczego autor /czyli ja/ rozpisuje się o poezji, skoro w tytule stoi jak byk Konfiguracyjny Centon Muzyczny. Śpieszę z wyjaśnieniem. Tytuł jest nierozzerwalnie połączony z poezją. Konkretnie i encyklopedycznie, to próba wyrażenia nowatorskiego eksperymentu poetyckiego P.O.E.S.I.A z IT za pomocą środków muzycznych. Na czym polega jej awangardowość? O tym właśnie będzie mój esej, a raczej *swobodna autorska wypowiedź*. Powinienem zapoznać Cię z ideą Wiersza Polifonicznego i Konfiguracyjnego, abyśmy swobodnie ruszyli w dalszą podróż. W tym miejscu czas na kolejne naciśnięcie klawisza.

Dźwięk B

Zanim zanurzymy się w idee Polifonii Poezji i Wiersz Konfiguracyjny należy przybliżyć praprzyczynę, czyli „poetyckie narodziny” sztucznej inteligencji (SI). W tym miejscu kilka słów prezesa ZLP Oddział w Szczecinie i poety, Leszka Dembka o samej SI: „19 maja 2017 roku w Pekinie ukazało się pierwsze wydanie książkowe tomiku poezji pt. „Słońce straciło szklane okna”. Zbiór wierszy został stworzony przez sztuczną inteligencję (SI) Microsoft Xiaobing. Autorka tych wierszy, nazwana Xiao Bing „przeczytała” wszystkie dzieła 519 najbardziej cenionych na świecie pisarzy i poetów. (...) Następnie w 2760 godzin napisała 10 tysięcy wierszy. Wydany tom tych wierszy, składający się ze 139 utworów stworzonych przez SI, wywołał gorącą dyskusję w chińskim środowisku literackim”. I nie tylko w chińskim. Dzięki tłumaczeniom dr Joanny Krenz wierszy Xioa Bing, również polscy literaci mieli możliwość wypowiedzenia się o tym nowym zjawisku kulturowym. Jak środowisko przyjęło ten „fenomen”? Pozwólcie, że nie zajmujemy się tym tematem. Za to przytoczmy słowa Leszka Dembka, opisujące działania w ramach eksperymentu poetyckiego. Napisał tak: „Projekt „P.O.E.(SI.)A” został zaprezentowany 24 lutego 2020 r. na specjalnym spotkaniu z przedstawicielami Wydziału Informatyki Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie i wzbudził

zainteresowanie, które może zaowocować podobnym, rodzimym (szczecińskim), literackim (poetyckim) aktem twórczym we współdziałaniu ze sztuczną inteligencją.

Opisany eksperyment m. in. dowodzi, że niezgłębiona tajemnica i piękno poezji tkwi również w jej nieuchwytności, a sztuczna inteligencja stwarza nieograniczone możliwości jej rozwoju, a zarazem odkrywania nieznanych labiryntów jej istnienia. Można powiedzieć, że za sprawą tego eksperymentu (chyba pierwszego w Polsce) również uczestniczący w nim poeci wpisują się być może, jak mówi Mu Ye, przewodnicząca Stowarzyszenia Poetów „Menlong” o SI, w początek nowej ery pisania poezji. Poezja tworzona przez sztuczną inteligencję może być niezwykle wyzwaniem dla twórców współczesnej poezji”.

Czym więc jest Polifonia Poezji? To nowa i prosta idea pisania wierszy zaproponowana przez Leszka Dembka, polega na dopisywaniu do każdego wersu wiersza Xioa Bing nowego wersu przez innego poetę. Bardzo ważnym jest zachowanie sensu i znaczenia wersu podstawowego /Xioa Bing/ oraz wyrażenia go we własnym, wypracowanym, oryginalnym stylu.

Przykład: wers Xaio Bing (SI):

łagodny wiatr nie depcze już po piętach

Do tego wersu Poeta dopisuje swoją „wersję”:

Lekka bryza pcha moje kroki

Oczywiście dopisywać wersy może większa liczba poetów. Leszek Dembek nazywa ten proces „Widzeniem”. I tak, jeżeli do wersów Xioa Bing dopisze swoje wersy np. 1 poeta, będziemy mieli do czynienia z tzw. Dwuwidzeniem, a jeśli zrobią to 2 poeci, to z Trójwidzeniem.

Wielu teoretyków literatury, w tym miejscu krzyknie – mam Cię! Tak robiono już wcześniej i to w bardziej „ekstrawaganckiej” formie. I tak i nie. Do tej metody najbliższa jest tzw. glosa poetycka. Tyle, że w głosie dopisywał wersy jeden poeta, no i nie wchodził w interakcję z SI /byłoby mu ciężko, glosa to okres Baroku/. Jeżeli ktoś jest zainteresowany bardziej odsyłam do „wiedzy” – nomen omen – Chata GPT, który to wszystko pięknie objaśnia. Czyli bezsprzecznie mamy do czynienia z nową metodą pisania/tworzenia wiersza.

Jakby tego było mało, Pan Leszek zaproponował jeszcze ciekawsze /genialne moim i innych zdaniem/ rozwiązanie na eksperymentowanie z Wierszem Polifonicznym. I tu wchodzi na scenę Wiersz Konfiguracyjny. Jak tworzymy

takie literackie wieloarcydzieło? Stop! Wiersz Konfiguracyjny zasługuje na kolejne muśnięcie klawiatury.

Dźwięk C

Powiedzmy, że wiersz podstawowy Xioa Bing składa się z 8 wersów. Jeżeli do tych ośmiu wersów dopisze swoje wersy np. trzech poetów. To otrzymamy Wiersz Polifoniczny składający się z 32 wersów/ 8 wersów Xioa Bing i po 8 wersów dopisanych przez 3 poetów/.

I teraz uwaga. Konfigurator – czyli czytelnik – bierze do ręki długopis i z 32 wersów wybiera np. 8 wersów, które jego zdaniem układają się w logiczną i spójną semantycznie całość. I tak powstaje całkiem nowy i świeżutki Wiersz Konfiguracyjny. Leszek Dembek w swojej propozycji idzie jeszcze dalej i pozwala konfiguratorowi skreślać słowa, dodawać słowa, stosować synonimy i robić to wszystko, co tylko nam się chce. Czyli konfigurator może dowolnie kreować i tworzyć „swoją” wiersz. Moim zdaniem to pierwsza taka sytuacja w historii literatury.

UWAGA! Czytelniku, nie zapominaj, że ten proces – swoista ekstrapolacja poezji – odbywa się w relacji Maszyna-Człowiek. To wiersz napisany przez Xioa Bing, czyli SI jest podstawową materią tekstową do tworzenia Wiersza Polifonicznego, a następnie Wiersza Konfiguracyjnego. Inaczej mówiąc, to pozbawiona wzroku, słuchu, węchu, smaku i dotyku maszyna wzbudza w nas i poetach emocje i wyzwala drżącą gdzieś w podświadomości żądzę kreowania. I tak lekko podekscytowani dotarliśmy w naszej gamie pojęć do kolejnego klawisza.

Dźwięk D

Rozumiem, jeżeli w tym miejscu zapytasz czytelniku „miało być o muzyce, a na razie tylko poezja, jakieś Polifonie i Konfiguracje”. Masz rację, tyle że połowiczną i pewnie już sam domyślasz się dlaczego tak obszernie opisywałem ten nowy sposób tworzenia poezji. Kolejna odpowiedź. Jestem muzykiem zajmującym się komponowaniem piosenek do tekstów poetów. A to oznacza, że... tak, już wiesz. No pewnie, że już wiesz. Nowa metoda pisania wierszy, wzbudza chęć przełożenia tej idei na nowe formy/

metody pisania muzyki. Proste, no pewnie, że proste. Tylko jak to zrobić? Parafrazując mojego ulubionego bohatera, Nikodema Dyzmę, kiedy zapytano go, jak wpada się na „genialne” pomysły, odpowiedział „człowiek siądzie sobie, pomyśli, pomyśli to i wymyśli”, koniec cytatu. W moim – a raczej w naszym wypadku, bo Leszek też siedział i myślał – trwało to kilka miesięcy. Dlaczego tak długo? Chciałem jak najwierniej oddać w materii muzycznej zasady i podstawy idei literackie pisanie Wiersza Polifonicznego i Wiersza Konfiguracyjnego. Stworzyć swoisty algorytm podstawowych zasad muzycznych, które byłyby pewnymi drogowskazami dla innych kompozytorów. Oczywiście nie mam patentu na wszystkie rozwiązania, lecz tym tekstem pragnę zachęcić wszystkich piszących nutki do twórczego rozwoju dzieła, jakim może stać się Konfiguracyjny Centon Muzyczny.

Najważniejszym problemem do rozwiązania – nie występuje on w innych formach kompozytorskich – było odwzorowanie elementów konstrukcyjnych Wiersza Polifonicznego na język muzyki. Należało więc pogodzić i stworzyć współgrającą i komplementarną fuzję słowa i muzyki. Ponieważ nie jestem fanem współczesnych eksperymentów muzycznych, potrzebowałem aksjomatu twórczego, który eliminowałby dysonans i kakofonię. Oczywiście nie jestem wrogiem świadomego stosowania dysharmonii i chaosu dźwięków. Lecz w tym przypadku, chodziło o zaproponowanie grupy postulatów muzycznych, pozwalających jak najwierniej odwzorować koherentność Wiersza Polifonicznego. Przecież Wiersz Polifoniczny to nie zlepek słów nabazgranych przez szaleńca, pełen zgrzytów stylistycznych i dysharmonii.

Niestety, aby pójść wspólnie dalej, muszę w tym miejscu trochę się powymądrzać – za co oczywiście przepraszam.

Na początek garść podstawowych informacji. Elementy, z których „zbudowana” jest muzyka – dzięki nim możemy odróżnić utwory i opisać ich charakter, to środki muzyczne.

Wyróżniamy: melodię – ciąg dźwięków ułożonych w pewnym porządku wysokościowym i rytmicznym; to właśnie ją „śpiewamy” albo „nucimy” po wysłuchaniu utworu; rytm – uporządkowany układ wartości dźwięków i pauz w czasie, nadaje muzyce „ruch” i sprawia, że możemy wybijać takt; tempo – szybkość wykonywania utworu, może być wolne (*Largo*), miarkowane (*Andante*), szybkie (*Allegro*); harmonię – brzmienie wielu dźwięków jednocześnie, akordy i ich następstwa, odpowiada za „barwę” współbrzmień – np. wesołe w dur, smutniejsze w moll; barwę dźwięku (*timbre*) – to, co pozwala rozróżnić instrumenty czy

głosy – np. skrzypce brzmią inaczej niż trąbka, nawet jeśli grają tę samą nutę; dynamikę – natężenie dźwięków (głośno–cicho) oraz oznaczenia np. *p* (*piano* – cicho), *f* (*forte* – głośno), a także zmiany stopniowe: *crescendo* (coraz głośniej), *decrescendo* (coraz ciszej); agogikę – zmiany tempa w trakcie utworu, np. przyspieszenia (*accelerando*) czy zwolnienia (*ritardando*); artykulację – sposób wydobywania i łączenia dźwięków, np. *legato* (płynnie), *staccato* (krótko, urywane). Uff, i to by było na tyle, jak mawiał Jan Stanisław Stanisławski. Obiecuję, że to wszystko z teorii muzyki potrzebne do zrozumienia dalszych wywodów autora.

Chociaż, nie do końca. Ponieważ mam pewność, że czytelnik ma ochotę na więcej wiedzy – by stać się ekspertem – dlatego konieczne jest wyjaśnienie pojęcia – takt. Takt w muzyce to podstawowa jednostka organizująca czas i rytm w utworze. Można go wyjaśnić w kilku krokach. Takt to odcinek utworu muzycznego, który obejmuje określoną liczbę wartości rytmicznych (np. ćwierćnuty, ósemki), ustaloną przez metrum (czyli oznaczenie na początku utworu, np. 4/4, 3/4, 6/8). I tak na przykład w takcie 4/4 mieszczą się cztery ćwierćnuty liczone „raz-dwa-trzy-cztery” (lub ich równowartość, np. dwie półnuty albo jedna cała nuta), a w takcie 3/4 mieszczą się trzy ćwierćnuty – stąd np. walc ma charakterystyczne „raz-dwa-trzy”. Dla naszych rozważań podstawowe jest to, że takt porządkuje przebieg rytmiczny utworu. Ułatwia wspólne granie i śpiewanie, bo muzycy trzymają się tego samego rytmicznego podziału. Można więc powiedzieć, że takt to coś w rodzaju „ramki czasowej”, w której rozgrywa się rytm muzyki.

Myślę, że w tym miejscu mogę śmiało przejść do przedstawienia algorytmu powstawania muzyki do... na początek Wiersza Polifonicznego. I tylko wspomnę, że nie będę prowadził Cię przez ślepe zaułki i meandry dygresji myślowych, jakie towarzyszyły mi podczas doświadczeń i eksperymentów kompozytorskich. Podane przykłady będą maksymalnie uproszczone, tak, aby przedstawić w najprostszy sposób przenikania się wiersza z muzyką. Wszelkie wariacje są oczywiście w pełni dozwolone – *sky is the limit*, jak mawiają zagranicznicy. Gotowi. Zaczynamy. Ale najpierw wciskam klawisz.

Dźwięk E

Algorytm Muzyczny Wiersza Polifonicznego /AM WP/ – Dwuwidzenie.

Dane wejściowe:

Konfigurator Muzyk /KM/ wybrał wiersz Xioa Bing (SI), założmy, że to 8 wersów.

Operacja 1.:

1. Określić lirykę emocjonalną wiersza SI: smutny/wesoły.
2. Określić rytm i metrum wiersza.
3. Określić ilość taktów przypadających na jeden wers.

Liryka emocjonalna – jeżeli wiersz wyraża lirykę radosną – wybieramy tonację np. C-dur, jeżeli zaś smutną, to np. d-moll /do dyspozycji mamy wszystkie tonacje świata oczywiście/.

Rytm i metrum wiersza – to inna bajka. Jeżeli wiersz podstawowy jest napisany w formie sylabotonicznej, to luzik. Niestety, w 99,9% wypadków współczesna poezja to raczej wiersze wolne, czyli bez rymów i o różnej długości wersów. I co w takim wypadku? Po prostu KM musi zaproponować metrum najbardziej pasujące do wersów, np. 4/4. Inaczej na tym etapie koniec pieśni. Trudne, ale możliwe.

Pełna gama problemów do prześledzenia poniżej.

Aspekt	Rytm w muzyce	Rytm w poezji
Definicja	Uporządkowany układ dźwięków i przerw w czasie	Regularne powtarzanie akcentów w wersach
Elementy	Figury rytmiczne (ćwierćnuty, ósemki), takty, tempo	Akcenty sylab, liczba sylab w wersie, metrum
Funkcja	Nadaje muzyce puls, tempo, charakter, dynamikę	Tworzy melodię słów, rytmiczność, wpływa na nastrój wiersza
Przykład	Marsz – regularne uderzenia, 4/4	Wiersz sylabotoniczny – wersy po 8 sylab z powtarzającymi się akcentami
Efekt	Płynność i spójność dźwięków	Łatwość zapamiętania, melodyjność, wyraz artystyczny

Ilość taktów – dla naszych rozważań przyjmiemy, że do jednego wersu przyporządkowany jest jeden takt. Jak dowiedzieliśmy się wcześniej, takt 4/4 budują cztery ćwierćnuty, a w praktyce – cała nuta lub dwie półnuty, lub cztery ćwierćnuty, lub osiem ósemek, lub szesnaście szesnastek i wszelkie kombinacje niewykraczające poza wartość czterech ćwierćnut, np. półnuta plus ćwierćnuta, plus dwie ósemki.

Operacja 2.:

Określenie instrumentu.

Propozycja melodii.

Określenie instrumentu to kolejny krok i to wcale nie prosty i mało znaczący dla całości naszej kompozycji. Podejmując decyzję, musimy cały czas brać pod uwagę emocje, idee i intencje. Dopiero wtedy wybierzemy właściwy instrument. Mamy pełną świadomość różnic brzmieniowych pomiędzy instrumentami i płynących z tego możliwości interpretacyjnych. Gitara klasyczna czy harfa? A może pianino? To wybrany przez nas instrument będzie komunikował się, łączył i przekazywał odbiorcy to wszystko, co jest zawarte w tekście, a może i coś więcej. To brzmienie rozedrganego powietrza buduje magiczną przestrzeń. Dla potrzeb tego tekstu znowu przyjąłem zasadę – jeden wiersz to jeden instrument.

Propozycja melodii w każdej piosence podlega wielu czynnikom, my skupmy się tylko na interakcji – ilość sylab w wersie – tyle nut w takcie. W pierwszym wersie wiersza SI mamy 5 sylab. W tym wypadku możemy skomponować melodię składającą się z dwóch ćwierćnut plus trzy ósemki, plus pauza ósemkowa. Oczywiście dla ułożenia melodii o wiele lepszym rozwiązaniem jest przypisać do jednego wersu np. cztery takty. Po prostu więcej przestrzeni muzycznej i nut oraz możliwości interpretacyjnych i twórczych.

Operacja 3.

Ten etap to już tylko formalność. Mamy podstawowe narzędzia: tonację, metrum, wybrany instrument i skomponowaną melodię. No, to do dzieła! Czas na zapis. Po nagraniu naszego materiału na komputer lub inny nośnik dźwięków możemy ogłosić pierwszy mały sukces. Właśnie powstała muzyka (melodia) do wiersza napisanego przez Xioa Bing.

Podsumowując – skomponowaliśmy muzykę (melodię) do wiersza Xioa Bing w tonacji C-dur, metrum 4/4, osiem taktów, wykorzystując brzmienie pianina.

Operacja 4.

Napisanie Wiersza Polifonicznego przez Poetę A.

Wybrany przez konfiguratora Poeta A układa do każdego wersu wiersza Xioa Bing swój własny oryginalny wiersz, zachowując poetykę, nastrój, emocje

i sens. W ten sposób powstaje osiem nowych wersów, powiązanych jak superpozycja cząstek w mechanice kwantowej. I w tym momencie pojawia się nowy muzyk i zasiada do pisania nut.

Proces komponowania powtarza się, jednak chcąc zachować zgodność „nowego” ze „starym”, należy podporządkować się określonym wcześniej zasadom /algorytmowi/.

- Tonacja – w tym wypadku niestety nie ma dowolności. Wiersz Xioa Bing zakwalifikowany został jako wesół/C-dur/i tak a tonacja będzie uwzględniona w nowej kompozycji.
- Rytm i metrum – dopuszczalne są wszystkie kombinacje i wariacje w ramach metrum 4/4.
- Ilość taktów – w tym wypadku również mamy już zaproponowane rozwiązanie – jeden wers jeden takt, czyli osiem taktów.
- Określenie instrumentu – wybór instrumentu powinien pozwolić oddać jak najwierniej emocje zawarte w „dopisanych nowych wersach”. Jak dla mnie pełna swoboda artystyczna, oparta o wiedzę muzyczną, intuicję kompozytorską, preferencje brzmieniowe lub po prostu dostępność lub znajomość z muzykiem.
- Propozycja melodii – melodia powinna zachować zasadę – ilość sylab w versie tyle nut – w nowym versie mam np. 8 sylab, co skutkuje propozycją melodii opartej na ośmiu ósemkach.

Tak napisane dwie autonomiczne melodie /pierwsza do wiersza Xioa Bing, druga od Wiersza Polifonicznego Poety A/ mogą być grane na trzy sposoby. Pierwszy jako całościowe, autonomiczne utwory muzyczne napisane do dwóch różnych wierszy. Drugi sposób to próba połączenia melodii monofonicznych w polifonię, czyli granie obydwu motywów jednocześnie. Trzeci to przeplatanie melodii w podziale na takty /wersy/. Gramy najpierw takt 1 melodii do wersu 1 Xioa Bing, a następnie melodii do wersu 1 Poety A. I tak dalej. Czyli raz takt /wers/ Xioa Bing na przemian z taktami /wersami/ Poety A.

Powyższy opis dotyczy komponowania muzyki do Wiersza Polifonicznego w formie Dwuwidzenia /wiersz Xioa Bing i Poety A./ Bardzo łatwo można

wywnioskować, że podobny proces muzyczny możliwy jest z wierszami napisanymi w formule Trójwidzenia czy Kwadrowidzenia.

Czas na kolejny dźwięk.

Dźwięk F

Konfiguracyjny Centon Muzyczny

Pozwólcie, że przytoczę słowa, które już padły na początku tego tekstu. I wszystko powinno być jasne. Konfiguracyjny Centon Muzyczny jest nierozdzielnie połączony z poezją. Konkretnie i encyklopedycznie, to próba wyrażenia nowatorskiego eksperymentu poetyckiego P.O.E.S.I.A z IT za pomocą środków muzycznych. A ten nowatorski projekt to... Wiersz Polifoniczny i bohater dźwięku F – Wiersz Konfiguracyjny.

Zanim przejdziemy do mojego ulubionego algorytmu pisania muzyki, mała dygresja. Skoro dotarłeś, czytelniku, do tego miejsca, wiesz i rozumiesz, jakie są podstawy tworzenia muzyki do Wiersza Polifonicznego. Poniżej przedstawię Ci algorytm adaptacji/aranżacji powstałych już melodii do Wiersza Polifonicznego, napisanego w formule Kwadrowidzenia /wiersz Xiao Bing (SI) oraz trzech Poeci A, B, C/ Materiał muzyczny nazwijmy analogicznie – Muzyka SI, Muzyka A, Muzyka B, Muzyka C/.

Algorytm Konfiguracyjnego Centonu Muzycznego

Dane wejściowe:

Muzyka SI /do wiersza Xioa Bing/,

Muzyka A /do Wiersza Polifonicznego Poety A/,

Muzyka B /do Wiersza Polifonicznego Poety B/,

Muzyka C /do Wiersza Polifonicznego Poety C/.

Elementy wspólne dla wszystkich kompozycji /przykładowo/:

1. Tonacja – C-dur.
2. Metrum – 4/4.
3. Podział rytmiczny – 8 taktów.

Elementy indywidualne:

4. Instrumentarium: Muzyka SI – pianino, Muzyka A – harfa, Muzyka B – wiolonczela, Muzyka C – flet.

5. Linia melodyczna:

do Wiersza SI i każdego Wiersza Polifonicznego została napisana oryginalna linia melodyczna. Powstały więc cztery linie melodyczne.

Operacja 1.

W celu napisania Konfiguracyjnego Centonu Muzycznego musi pojawić się NadKonfigurator. I tu zaskoczenie, tenże NadKonfigurator nie jest muzykiem, rolę tę lepiej spełni każdy z nas. Mając materiał poetycki w postaci 32 wersów i ostre pióro zaczynasz tworzenie Wiersza Konfiguracyjnego. Po prostu czytasz całość i wybierasz te wersy, które najbardziej do Ciebie „przemawiają” pod względem np. emocjonalnym i treściowym. Przykład poniżej – wybrane wersy zaznaczono na kolorowo.

Poeta	Wiersze w podziale na wersy							
Xiao Bing	Wers 1	Wers 2	Wers 3	Wers 4	Wers 5	Wers 6	Wers 7	Wers 8
Poeta A	Wers 1	Wers 2	Wers 3	Wers 4	Wers 5	Wers 6	Wers 7	Wers 8
Poeta B	Wers 1	Wers 2	Wers 3	Wers 4	Wers 5	Wers 6	Wers 7	Wers 8
Poeta C	Wers 1	Wers 2	Wers 3	Wers 4	Wers 5	Wers 6	Wers 7	Wers 8

Tak powstały wiersz przekazuje Muzykom, którzy dostają w ten sposób gotową matrycę muzyczną. Muzycy otrzymują więc swoistą „partyturę” Wiersza Konfiguracyjnego.

Może mały przykład:

	Xiao Bing	Poeta A	Poeta B	Xiao Bing	Poeta B	Poeta C	Poeta A	Poeta C
Układ Wersów /melodii/	Wers 1	Wers 2	Wers 3	Wers 4	Wers 5	Wers 6	Wers 7	Wers 8

Operacja 2.

Wszystko w rękach muzyków. Należy przeanalizować cały materiał muzyczny. Najprościej zagrać tylko to, co zostało wcześniej zaproponowane przez kompozytorów. Można pokusić się o „zaaranżowanie” muzyki. W Wierszu Konfiguracyjny istnieje pojęcie nad-widzenia, czyli tajemniczych relacji poetyckich pomiędzy wersami. Przez zaaranżowanie rozumiem muzyczne nad-widzenie, tj. autorskie wariacje na ten sam temat, różne interpretacje jednego motywu, przekształcenia tej samej melodii, a może zaproponowanie różnych obliczy jednego dźwięku. Można powiedzieć i to by było na tyle. O nie! Dopiero teraz zaczyna się prawdziwy muzyczny labirynt. Jeżeli zagrasz napisane melodie osobno, to uzyskasz efekt monofonii. Zagraj je razem w tym samym czasie, a płaski liniowy motyw przerodzi się w przestrzenną polifonię kontrastową. Ta polifonia nie będzie dziełem jednego muzyka, lecz czterech kompozytorów, działających w pewnych, określonych ramach przez algorytm, jednak z pełną dowolnością w obszarze doboru brzmienia i melodii. A przy nad-widzeniu muzycznym efekty mogą być całkowicie nieprzewidywalne. W tej wspólnej kompozycji na pewno nie pojawi się jedno, czysto ludzkie uczucie – konflikt kompetencji. Pojawi się za to nieoczywista fuzja brzmieniowa, taka różnorodność barw tego samego światła.

Przedstawiona powyżej koncepcja „pisania muzyki” jest tylko czubeczką góry lodowej. Wszyscy wiemy lub wyczuwamy to intencjonalnie, szczególnie w procesach artystycznych, jak ważna jest swoboda twórcy. Dlatego wszystkie wariacje wyrte na fundamencie Algorytmu Konfiguracyjnego Centonu Muzycznego, będą nie tylko mile widziane lecz wręcz niecierpliwie wyczekiwane. Warte zauważenia jest też pionierskie tworzenia muzyki metodą bezkontaktową – co wypełnia kolejną, ważną cechę pisania Wiersza Polifonicznego. Opisany proces najlepiej przedstawić w formie zapisu nutowego. Jednak nie taki jest mój zamysł i intencja. Partytura wygląda dobrze na pulpicie dyrygenta, dla mnie najważniejsze było zapoznanie czytelników z podstawowymi zasadami rządzącymi tym nowatorskim procesem komponowania muzyki. Jestem przekonany, iż prawdziwy majestat i energia różnorodności pojawi się w Konfiguracyjnym Centonie Muzycznym dopiero, gdy zaczniemy eksperymentować bez jakichkolwiek algorytmów i ograniczeń.

Czas na ostatni dźwięk naszej gamy (choć nie na pewno).

Dźwięk G

W książce „Alicja w Krainie Czarów” autorstwa Lewisa Carrolla, znajduje się fragment: „Rozpocznij od początku... a później czytaj, póki nie dotrzesz do końca: wtedy przestań czytać”. Pozwolę sobie na parafrazę tego fragmentu / taka Konfiguracja Literacka/ „Rozpocznij od początku... a później czytaj i komponuj muzykę, póki nie dotrzesz do końca: wtedy przestań ... i rozpocznij od początku”.

Eksperymentujcie i zagłębiajcie się, podążając coraz dalej w otchłań brzmień. Jeśli rozwijanie tej nowej metody zmusi kogoś do rozbicia mojego algorytmu – proszę bardzo. Obiecuję aktywnie w tym uczestniczyć i samemu przyczynić się do tego dzieła „zniszczenia”, licząc na nieskończone odradzanie się muzyki. Może nie doskonalszej, ale takiej, która zrodziła się w nas.

Jestem winien wyjaśnienia, dotyczącego wyboru gamy a-moll. Powody są dwa, pierwszy prozaiczny, związany z alfabetem – czyli takie trochę literacki – „a” to pierwsza literka alfabetu. Drugi to element muzyczny. To o tym dźwięku mówi się „kamertonowe a”, albo „ $a^1 = 440$ Hz”. Pianista, stroiciel czy orkiestra zwykle mówią: „stroimy do a”. Jak oni mogą, to my chyba też.

Gama to alfabet muzyki, który zawsze zaczyna się i kończy tym samym dźwiękiem. No to uderzmy jeszcze raz ...

Dźwięk A

ESEJ

Adam Hajduk

Współczesna sofistyka

Opisując współczesną sofistykę nie sposób uciec od sofistyki starożytnej i samych sofistów. Nie tylko dlatego, że opisowi takiemu przydałby się rys historyczny, lecz również dlatego, że wspomnienie takie wiele może powiedzieć o motywach uciekania się do sofistyki, czy mechanizmach jej stosowania. A te rzucić mogą nieco światła na współczesne wybiegi sofistyczne.

Ze wszystkich szkół filozoficznych starożytnej Grecji, stoików, cyników, platoników, perypatetyków itd., najbardziej odstającą od normy jest ta tworzona przez sceptyków. Szkoła, która zdaje się „nic nie twierdzić, a jedynie wszystkiemu zaprzeczać, wydaje się dziwaczna”¹⁴⁵ – i choć sceptycy ostatecznie coś głosili, choćby wywodzili swoje zwątpienie z ułomności poznawczych, zdecydowanie pozostają najbardziej ekscentryczną filozofią.

Szkołę drugą w kolejności pod tym względem tworzą właśnie sofisci. Choć posiadali doktrynę bogatszą od tej sceptyków, również oni zapisali się w historii mniej swoimi poglądami, a bardziej postawą życiową. Dziś kojarzeni są głównie z praktyką pobierania zapłaty za udzielane przez siebie „wszelkiego rodzaju nauki, które uważają za dobre dla duszy, sprzedając je temu, kto chce kupić”¹⁴⁶, jak pisze o nich Platon, oraz oportunistycznie nastawionym profilem kształcenia, w którym nacisk kładziono na retorykę, dialektykę i erystykę, skutecz-

145 Diogenes Laertios, *Żywoty i poglądy słynnych filozofów*, ks. IX, s. 69–70; tłum. I. Krońska, Warszawa: PWN 1984.

146 Platon, *Protagoras*, 313c; tłum. W. Witwicki, [w:] *Platon. Dialogi*, t. 1, Warszawa: PWN 1958.

niające demagogię polityczną, a prywatnie służące osiągnięciu partykularnych celów, przez który oceniani byli przez owego Platona, jako „sprytni imitatorzy mędrców, którzy pozorem wiedzy oszukują młodzież”¹⁴⁷.

W ten sposób nazwa ich nurtu filozoficznego z czasem stała się synonimem manipulacji i fałszu. A przecież miał on historię dużo bardziej złożoną. Nawet jego wyróżnik, merkantylne podejście do nauki, posiadał inną wymowę niż dzisiejsza.¹⁴⁸

Otóż w pierwszym okresie działalności sofistów komercyjny charakter ich edukacji nie wzbudzał kontrowersji. „Ci, których nazywają sofistami, są ludźmi, którzy za pieniądze uczą innych, jak przewodzić obywatelom” pisze o nich Ksenofont¹⁴⁹. Do pojawienia się sofistów nauczanie filozofii, czy wszelkich innych znanych ówczesnie dziedzin wiedzy, miało charakter krzewienia idei oraz zapładniania swoimi przemyśleniami. Myślicieli uważano za mistrzów, a wiedzę brano za uniwersalną, stanowiła ona wyraz motywów i koncepcji funkcjonujących w społeczeństwie, w nim uformowanych, a przez filozofów jedynie krystalizowanych i rozwijanych. Toteż akceptowano styl uprawiania wiedzy polegający na transmitowaniu wiedzy od mistrza do ucznia, na formowaniu adeptów swoich szkół i na szerzeniu swoich nauk.

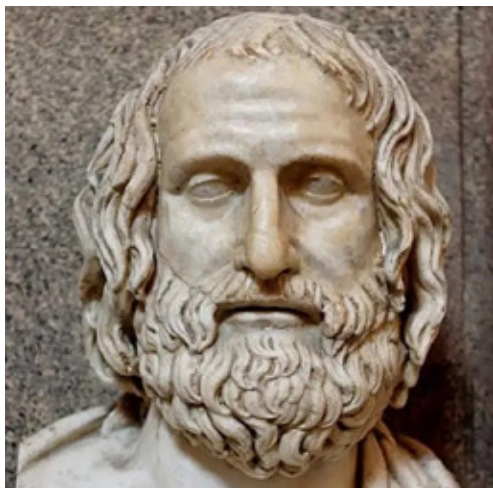
Pomysł, że za otrzymaną wiedzę ktoś miałby ponosić jakieś koszty, że jest ona coś warta dla nabywającego, a nie dla zbywającego ją, że nauczycielowi nie powinno wystarczać, że jest słuchany, że ma uczniów i że może reprodukować własne postawy czy racje, odciskając na tych uczniach swoje piętno, stanowił novum. Tak wtedy jak i dziś uważano, że wiedzę należy przekazywać charytatywnie, a przynajmniej, że jest to najszlachetniejszy sposób jej przekazywania. Osobie, która chce rozpowszechniać swoje nauki można ufać, że szczerze w nie wierzy i że doszła do nich uczciwie. Działa w ramach społeczności, na jej rzecz i zgodnie z jej wartościami. Jest to nieróżne od współczesnych zapatriowań, zgodnie z którymi ludzie uprawiający zawody zaufania publicznego, powinni stronić od zysku. Kiedy protestują lekarze lub pielęgniarki, szokuje nas, jak można redukować intensywność opieki nad pacjentem w celu walki o jakieś prawa, zwłaszcza finansowe. Wierni (do niewiernych nie można mieć pretensji) oburzają się na chciwość księży, chociaż sami księżmi mogli zostać, a nie zostali (i to zarówno ci, którzy mieliby chcieć zostać księżmi dla poprawy

147 Platon, *Sofista*, 235c; tłum. W. Witwicki, w: *Platon. Dialogi*, t. I, Warszawa: PWN, 1958.

148 Por. Janina Gajda, *Sofiści*, Warszawa: Wiedza Powszechna 1989, s. 87-169.

149 Ksenofont, *Wspomnienia o Sokratesie (Memorabilia)*, I 6, s. 13; tłum. L. Joachimowicz, w: *Ksenofont*, Warszawa: Czytelnik 1971.

Protagoras
(źródło: Figs in Winter-Medium)



stanu kapłańskiego, jak i ci, którzy zazdroszcząc klerowi, powinni połączyć się na dostrzegane przez siebie w przynależności do tego stanu łatwe zyski). Innym przykładem są autorzy literaccy, o ile nie piszą lekkich książeczek czytanych dla rozrywki. Jeżeli zajmują się publicystyką, literaturą faktu, piszą teksty z dziedziny społecznej bądź politycznej czy nawet historyczne, ich praca traktowana jest tak, jakby to im czyniono łaskę, że się ich czyta, że mogą kształtować opinie albo przekonywać do racji swojego stanowiska.

Gdy tylko dostrzeże się owo zjawisko oczekiwań prospołecznego charakteru działalności w sferze myśli i idei, od razu widać minusy tego zjawiska. Postrzegając działalność pedagogiczną, informacyjną czy naukową jako altruistyczną od razu naraża się na niebezpieczeństwo ideologiczności, prozelityzmu i propagandy. Tymczasem wiedza udzielana za pieniądze wymaga tego, by nauczający coś sobą reprezentował, by samemu zdobył się na pewien wysiłek jej osiągnięcia, selekcionował ją, a także miał do przekazania coś, z czego może skorzystać każdy niezależnie od poglądów, postaw życiowych czy pochodzenia. „W każdym razie odmawiasz przyjmowania pieniędzy za swoje towarzystwo. A przecież, gdybyś uważał, że twój płaszcz, dom lub cokolwiek, co posiadasz, jest coś warte, nie oddałbyś tego za darmo ani za mniej, niż to warte. Jasne więc, że jeśli nadajesz jakąkolwiek wartość swojemu towarzystwu, również za nie domagałbyś się odpowiedniej zapłaty w srebrze” krytykuje Sokratesa Antyfont¹⁵⁰. Kiedy za coś płacimy, wymagamy tego jakości. Wymagamy rzetelności i przydatności wiedzy, którą zdecydujemy się kupić. Takie wymogi poza tym, że pozwalają edukowanym otrzymywać rzeczywistą wiedzę,

150 Ksenofont, *Wspomnienia...*, dz. cyt., I 6, s. 13.

posiadają też tę zaletę, że przyczyniają się do rozwoju nauk, promując wiedzę rzetelną, obiektywną i prawdziwą. Wyjmują całe jej dziedziny spod władzy przekomaranek i perswazji, przesuwając w sferę badań, badań czynionych pośrednio dla zysku, ale bezpośrednio dla rzetelnych rezultatów.

W ten sposób dochodzimy do kolejnego wyróżnika szkoły sofickiej, jej profilu nauczania. Sofiści znani byli z tego, że nauczali przedmiotów przydatnych w życiu społecznym. Już samo to, że proponowali wykształcenie intelektualne zamiast fizycznego, co było *novum*, stanowiło ich osiągnięcie. W tym swoim kształceniu poznawczym kładli natomiast nacisk na użyteczne w życiu prywatnym i politycznym sztuki i umiejętności, takie jak retoryka, znajomość prawa i umiejętność przekonywania, w badaniach zajmowali się też etyką, językoznawstwem (szczególnie synonimiką) oraz polityką (politologią).

W tym miejscu możemy postawić pytanie, czy aby na pewno słusznie oceniliśmy sofistyczne przedsięwzięcie. Profil wykładanych i uprawianych przez tę szkołę dziedzin wiedzy nie robi dzisiaj wrażenia rzetelnego czy choćby przydatnego. Stanowi on raczej przykład takiego składu przedmiotów, jaki nadałby się do uprawiania tego, o co sofistów oskarżano, czyli manipulacji i partykularyzmów. „Retoryka, którą głosisz, nie jest sztuką, lecz umiejętnością. Jest to bowiem pochlebstwo, nie nauka – umiejętność schlebiania tłumowi” krytykuje jedną z tych dziedzin Platon¹⁵¹, „Eryści nie szukają prawdy, lecz tylko wygranej – rzucają pytaniami jak pułapkami i radują się, gdy ktoś się pomyli” krytykuje inną¹⁵². Podobnie jak jego największy uczeń, zarzucając „Są tacy, którzy zamiast dociekać prawdy, zajmują się tym, by dowieść czegośkolwiek, nawet jeśli to nieprawda – oto prawdziwi erystycy”¹⁵³ oraz „Sofista zredukował edukację do retoryki – ucząc, jak przemawiać pięknie, ale nie jak żyć dobrze”¹⁵⁴. „Uczą uniwersalnych sztuczek retoryki, a nie tego, co naprawdę sprawia, że ktoś jest mądry i sprawiedliwy” współbrzmi z poprzednikami Isokrates¹⁵⁵. Pamiętać jednak należy, że w starożytności nie istniały jeszcze dziedziny wiedzy ścisłej i przyrodniczej, uprawiane jako źródło kształcenia fachowców zajmujących się później nimi praktycznie, medycyna, fizyka czy inżynieria owszem były uprawiane teoretycznie, jednak bez żadnego związku z praktyką; ta zaś żywiła się doświadczeniem i zręcznością, a nie osiągnięciami teoretycznymi. Dziedzi-

151 Platon, *Gorgiasz*, 463c–464a; tłum. W. Witwicki, w: *Platon. Dialogi*, t. I, Warszawa: PWN, 1958.

152 Platon, *Eutyfron*, 8d–9a; tłum. W. Witwicki, w: *Platon. Dialogi*, t. I, Warszawa: PWN, 1958.

153 Arystoteles, *Topika*, I 2, 100a–100b; tłum. J. Vetulani, Warszawa: PWN 2003.

154 Arystoteles, *Etyka nikomachejska*, I 2, 1094a15–20; tłum. M. Krok, Warszawa: PWN 2007.

155 Isokrates, *Przeciwko sofom*; przeł. M. M. May, w: *Isokrates. Panegiryczny. Przeciwko sofom*, Warszawa: Instytut Wydawniczy PAX, 1987, s. 44–46 (par. 3–5).

ny nauczane i uprawiane przez sofistów stanowiły zatem szczyt tego, czego ówczasie w sferze praktyki dało się nauczać teoretycznie. Przyczyniały się do demokratyzacji życia społecznego i do jego egalitaryzacji. Można powiedzieć, trochę współcześnie, że zmierzały w kierunku wolności słowa, oddając to słowo do dyspozycji wszystkich, oraz w kierunku kultury prawa, pozwalając wszystkim bronić swoich racji. Niech dowodem tego będzie stosunek do Sofistów Platona, który był ich najbardziej zawziętym krytykiem, a jego ustami również Sokratesa, którzy obaj, o czym się dzisiaj często zapomina, byli zaciekleymi wrogami demokracji – sam Platon wręcz totalitarystą¹⁵⁶.

Być może jednak ani nie mylili się w ocenie Sofistów Platon i Sokrates, ani przedstawiona powyżej pozytywna ocena ich działalności nie jest błędna. Przez ponad sto lat byli oni propagatorami rzetelnej wiedzy w całym społeczeństwie i czynnikiem jego egalitaryzacji.¹⁵⁷ Z czasem jednak, i wraz z osiągnięciem w tej mierze sukcesem, ich nauki, a w szczególności postawy życiowe, zaczęły się degenerować. Tworzone przez nich wywody i ordynowane uczniom zabiegi retoryczne zaczęły przybierać formę gier słownych, uprawianych z wyrachowaniem dla wykazania swoich tez niezależnie od rzeczywistości, lub wręcz dla zabawy, prawnicze argumentacje stały się zwodnicze i oportunistyczne, a polityczne dywagacje demagogiczne. „Sofistyka to umiejętność pozornego rozumowania – wydaje się mądrością, lecz nią nie jest” pisze w dziele jej poświęconym Arystoteles¹⁵⁸. „Sofiści uczą, jak uczynić słabszy argument silniejszym – ale to nie ma nic wspólnego z filozofią” podaje Platon¹⁵⁹, a podobnie czyni Arystofanes¹⁶⁰. W ten sposób sofisci zyskali miano oszustów i hochsztaplerów, a sofizmatami zaczęto nazywać szczególny rodzaj argumentacji a la sofistycznej, zawierającej w sobie celowo w niej umieszczone błędy logiczne.

156 W ten sposób Platon prezentuje swoje spojrzenie na ustrój polityczno-społeczny w *Państwie* (por. *Państwo*, tłum. Vis-a-vis, 2020) oraz w *Uczcie* (por. *Uczta*, Ballona, 1999), natomiast łagodzi swoje stanowisko w *Prawach* (por. *Prawa*, PWN, 1960).

157 Pierwotnie jednoznacznie pozytywny charakter określenia sofista podkreśla Krokiewicz, *Zarys filozofii greckiej, od Talesa do Platona, Arystoteles, Pirron i Plotyn*, Warszawa 1995, s. 231-237.

158 Arystoteles, *Refutacja sofistów (Sophistici Elenchi)*, rozdział 1, 165a5–10; tłum. J. W. Gomułicki, w: *Arystoteles. Dzieła wszystkie*, t. III, Warszawa: PWN, 1976.

159 Platon, *Gorgiasz*, dz. cyt., 466c–467a. Podobnie w *Eutyfronie* Platona (*Eutyfron*, dz. cyt., 8b) znajdujemy „To, co uprawiają, to nie nauka, lecz przebiegła umiejętność uczynienia słabszego argumentu silniejszym”.

160 Píše on: „Oni twierdzą, że potrafią słabszy argument uczynić silniejszym – i za to biorą pieniądze!” (Arystofanes, *Chmury*, wers. 112-113; przeł. M. Broniewska, w: *Arystofanes. Komedia*, t. I, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961.) oraz „Dobrze, mamy dwa argumenty: słabszy i silniejszy. Nauczę cię, jak słabszy uczynić silniejszym” (*tamże*, wers. 880-890).

Z mianem tym współbrzmi również większość aspektów filozofii sofistycznej. Sofiści byli relatywistami. Nie uznawali prawdy niezależnej od człowieka. Człowiek był dla nich „miarą wszechrzeczy” i jego spojrzenie na daną sprawę decydowało o jego stosunku do niej, a więc o tym, jak ma się jej prawdziwość w poszczególnych jej elementach. To, co słodkie dla jednego, mogło być gorzkie dla drugiego, choćby cierpiącego na daną dolegliwość, więc również co przez kogoś jest oceniane jako udany związek, przez kogoś innego może być oceniane jako nieudany, co ktoś bierze za słabość władcy może być jego roztropnością itd. Stąd kolejny aspekt filozofii sofistycznej, pragmatyzm. O tym, co jest prawdziwe i słuszne decyduje to, czy się sprawdza. Daną rzecz czy sytuację jako taką to a taką będą musieli ocenić wszyscy, jeżeli to a to się w tej sytuacji sprawdza. Przeczenie temu nie miałoby sensu, bo skończyłoby się po prostu porażką przeczącego i odbiło na jego skórce. To czy dana taktyka wojskowa okazuje się słuszna czy nie, za moment wykaże bitwa, i zgadzać czy nie zgadzać się co do tego po prostu nie ma sensu.

Relatywizm i pragmatyzm prowadziły sofistów do konwencjonalizmu w kwestii prawa oraz agnostycyzmu w kwestii religii. Myśliciele ci uważali prawo stanowione, w przeciwieństwie do prawa natury, za wyraz nie jakichś mniej lub bardziej udanych ludzkich poszukiwań sprawiedliwości, lecz rzecz akcydentalną, dowolnie ustalaną. „Antyfont mówi, że nic nie jest z natury dobre ani złe, lecz przez prawo i zwyczaj niektóre rzeczy stają się dobre, a inne złe”¹⁶¹. Podobnie religię uważali za rzecz ustanawianą. Co ciekawe, religię mieli za narzędzie silnych do panowania nad słabymi, a prawo za narzędzie słabych do obrony przed silnymi.

II

Jakie wnioski z tych starożytnych perypetii sofistyki można wysnuć dla naszych współczesnych zmagających się z manipulacją? Również współcześnie mamy do czynienia z prądami takimi jak: relatywizm, poznawczy i moralny, pragmatyzm czy konwencjonalizm. Podobnie również dziś mamy do czynienia z dylematem, czy postęp społeczny powinien bardziej dokonywać się wysiłkami ludzi zaangażowanych, czy wynikać z rozwoju cywilizacyjnego i realizować się mechanizmami rynkowymi.

161 *Diogenes Laertios, Żywoty..., dz. cyt., ks. VIII, s. 50-52.*

Jeszcze jednym z aspektów starożytnej sofistyki, wcześniej nie wspomnianym, był humanizm. O ile inne szkoły filozoficzne zajmowały się światem zewnętrznym wobec człowieka, pierwszymi zasadami bytu, fizyką, matematyką, kosmologią czy przyrodą ziemską, o tyle sofisci zwrócili uwagę na rolę człowieka w procesie określania jaka jest rzeczywistość. Dziś w czasach zarojenia się studiów humanistycznych, to pierwotne, leżące u podstaw humanistyki spostrzeżenie bardzo by jej się przydało. Okazuje się bowiem, że da się uprawiać całe dziedziny humanistyki z intencją przeciwdziałania jakiejś niedoli, mającej wynikać ze społecznych uprzedzeń i postaw, nie zwracając uwagi na to, że samemu, w ferworze prowadzonej walki, tworzy się w tej dziedzinie uprzedzenia i postawy tego samego typu – a dysponując narzędziami znacznie przekraczającymi środki zwalczanych oponentów, narzędziami dawanymi właśnie przez przywilej akademickiego, publicystycznego czy medialnego analizowania sytuacji, czyni się to w sposób wielokrotnie silniejszy.

Sfera humanistyki jest samozwrotna, zarówno teoretycznie, jak i praktycznie. Praktycznie tezy dziedzin wchodzących w jej skład same wchodzą w skład rzeczywistości społecznej, którą opisują, który to swój wkład powinny ujmować w treści swoich badań i wniosków z nich płynących. Teoretycznie natomiast jej tezy kształtują społeczeństwo, które wpływa zwrotnie na profil i wyniki prowadzonych w jej ramach badań pod kilkoma co najmniej względami. Po pierwsze, pod względem finansowym, decydując jakie badania mają być prowadzone, a jakie nie, jakie kontynuowane, a jakie przerwane, jakie nagłaśniane, a jakie przemilczane. Po drugie, pod względem personalnym, motywując młodych ludzi wybierających ścieżkę kariery naukowej do wyboru w jej ramach takiej a nie innej dziedziny czy pola zainteresowań, lub też motywując konkretnych, zaangażowanych i uprzedzonych już ludzi do w ogóle podjęcia się kariery naukowej w owej materii dla siebie nieobojętnej.

O ile społeczne, spontaniczne fiksacje potrafią same siebie wzmacniać, o tyle również interes finansowy potrafi im sekundować. Czy zatem merkantylne, chłodne podejście do nauk humanistycznych bardziej zaradziłoby ich subiektywizmowi i tendencyjności, czy tylko te wady wzmocniło? Zależy to od tego, jak łatwo na wspomnianych fiksacjach dawałoby się zarabiać.

Współczesność daje nam aż nadto przykładów analiz społecznych, które wałkowane latami, dekadami i pokoleniami, zamiast prowadzić do coraz donioślejszych, bardziej wyrafinowanych i precyzyjniejszych koncepcji, kończą się skrajnym, płytkim i paranoicznym miszmaszem tez. W każdym lub niemal każdym przypadku tego typu procesu przeobrażeń idei za jego dynamikę

odpowiadają pierwotna, własna atrakcyjność haseł, ich własny potencjał do samo wzmacniania się oraz ekscytacja ich adherentów.

Z drugiej strony również niemal każdy taki proces ostatecznie spotyka się z jakimś interesem, który dostrzeże w owym procesie ideowym potencjał wspierania owego interesu i zachce się w ten proces włączyć, angażując swoje środki finansowe. Wtedy mamy do czynienia z pewnym sprzężeniem zwrotnym między daną ideologią a biznesem, w ramach której z jednej strony część jej wypaczeń posiada wyłącznie merkantylne pochodzenie, z drugiej cała ona jest rozwinięta ponad rozmiary, do jakich urosłaby wyłącznie o własnych siłach.

Merkantylizm z jego chłodnym podejściem do kwestii ideologicznych ekstrawagancji środowiska akademickiego z pewnością wiele by poradził na odebranie od rzeczywistości tez i koncepcji wyrażających prywatne aspiracje poszczególnych badaczy i całego tegoż środowiska. Jeżeli jednak te aspiracje i tak by się pojawiały, a tak we współczesnym świecie dobrobytu i braku realnych problemów dzieje się coraz częściej, tak chłodno działający merkantylizm raczej podsycałby istniejące już obsesje niż je wygaszał – choć może nie kreowałby nowych.

Jeżeli chodzi o relatywizm oraz konwencjonalizm prawny, mniej o pragmatyzm, to współczesne nam czasy dzielą te prądy z sofistyczną starożytnością¹⁶². Wiek dwudziesty stanowił arenę starcia się tych prądów myślowych z wszelkimi konserwatywnymi ideami, jakie one w owym wieku zastały. Relatywizm poznawczy i moralny stał się narzędziem, przy pomocy którego podważano zastany porządek oraz niewygodne normy i idee. Podobnie konwencjonalizm dawał pole manewru w sferze krytyki ładu prawnego i obyczajowego. Powstały na początku XX w. pragmatyzm wyłamuje się z tego schematu, stanowiąc raczej wyraz postępującej technicyzacji i komplikacji życia społeczeństwa amerykańskiego na przełomie stuleci oraz jego coraz większego zorganizowania.

Tak jak starożytny relatywizm i konwencjonalizm sofistyczny współgrały z jego manipulatorskimi tendencjami, tak współcześnie relatywizm i konwencjonalizm zwalniają z konieczności argumentacji i uzasadniania burzycieli starego porządku i zwolenników nowych idei. Twierdzenie, że w danym temacie nie da się powiedzieć niczego i nic w nim nie jest określone stanowi najwyższą formę cenzury. Pozwala głosić wszystko, samemu nie uznając niczego. Wobec silnej identyfikacji z wyznawanymi ideami ich zachodząca w ramach relatywizmu wszystkiego względność nie stanowi przeszkody w ich kultywowaniu,

162 Cyprian Mielczyński, *Sofiści i Polityka*, Warszawa: PWN 2010, s. 27-113.

za to pozwala dyskredytować wszystko poza nimi, tworząc dla nich parasol ochronny. W ten sposób póki walczy się o oczyszczenie gruntu dla własnych idei, dekonstruuje się idee zastane, kiedy jednak zostaną one już zdekonstruowane, nowe idee, jako oczywiste, stają się niezbywalne. I nie wymagają w tym celu być dogmatyczne czy choćby nierelatywne, i tak się obronią.

III

Znając przedstawione wyżej paralele między starożytną sofistyką a współczesnymi prądami myślowymi, można by przejść do przejawów starożytnych sofizmatów we współczesnych argumentach i wywodach. Wiąże się to jednak z kilkoma problemami. Znajdowanie schematów konkretnych, błędnych wnioskowań we współczesnych wypowiedziach, czy poruszanej tematyce, wymagałoby żmudnej analizy przekraczającej rozmiary tego tekstu. Byłoby ponadto kontrowersyjne, wymagając selekcji materiałów, na których można by się oprzeć. Przede wszystkim jednak miałoby się to z celem, gdyż współcześnie manipulacja rzadko realizuje się w komunikacji werbalnej, „sofizmat to pozorny sylogizm – wygląda jak dowód, ale nim nie jest. Sofista celowo ich używa, by oszukiwać i wygrywać” pisze Arystoteles¹⁶³, a znacznie częściej w obrazach oraz sekwencjach grających na emocjach działań. Zamiast więc zajmować się fałszywymi schematami argumentacyjnymi chciałbym zwrócić uwagę na kilka innych zjawisk pozwalających wprowadzać odbiorców w błąd.

Od dawna wiadomo, że dobry „obraz mówi więcej niż tysiąc słów”. Od lat 80. XX wieku telewizje zyskały przemożny wpływ na odbiorców. Zwracanie uwagi na samo to zjawisko byłoby banalne, ów wpływ konstatował każdy łącznie z samymi gigantami medialnymi. Ja chciałem w tym kontekście zwrócić uwagę na inne zjawisko. Umysł ludzki dobrze radzi sobie ze statystyką w przedziale wartości od 1 do ok. 1000-10000. W wyższych przedziałach zaczyna się gubić. 10 na 100000 może wydawać się mniejsze niż 100 na 10000000, bo 100 to jednak 100, a nie 10. Dysponując obrazem nadawcy telewizyjni od lat 80. byli w stanie przekazywać informacje statystyczne bez posługiwania się liczbami. 50 przypadków brutalnych zbrodni na bliżej niezidentyfikowaną populację robi wrażenie jakby wszystkie one dokonane zostały w naszym sąsiedztwie, tuż za rogiem, w naszym ogródku.

163 Arystoteles, *Refutacja...*, dz. cyt., rozdział 1, 164b-165a.

Początkowo mechanizm przesadnego postrzegania zjawisk używany był przez media wyłącznie do śrubowania oglądalności poprzez wywoływanie strachu, głównie przez osławioną już przemoc, czasem inne niebezpieczeństwa. Z czasem jednak stał się przydatny w kreowaniu pożądanych emocji. Jeden czy kilka dramatów wśród przypadków odrzucanego zjawiska i podwódo do uznania jego całego za patologiczne gotowy! Przykładem może być spór o aborcję, gdzie z jednej strony jedna ofiara zaniechania sztucznego poronienia (pośród tysięcy ginekologicznych i nieginekologicznych błędów lekarskich) urasta do rangi dowodu na „piekła kobiet”, z drugiej pojedyncze przypadki błędów podczas zabiegów aborcji stają się świadectwem zamachu na te same kobiety – tymczasem analizy jak częstości tych wypadków mają się do siebie, a zwłaszcza jaką wagę mają w porównaniu do prozaicznych, ale powszechnych benefitów i strat związanych z aborcją, brak.

Rozdmuchiwanie patologiczności krytykowanych zjawisk wykorzystuje mechanizm ludzkiej nieporadności statystycznej. Kolejna taktyka stanowi już sama w sobie sposób manipulacji i polega na żonglowaniu ludzką uwagą. W publicystyce często nazywana jest przykrywaniem. W momencie zachodzenia istotnych zdarzeń, zwłaszcza wybuchów afer, zamiast odpierać zarzuty lub bronić niepopularnych decyzji czy zmian przez siebie forsowanych, odpowiednio przekierowuje się uwagę na inne tematy, najlepiej również sprawy dla siebie niewygodne, lecz nie w takim stopniu, w jakim te maskowane, uwiarygadniając się tym samym. Czasem stosuje się całe sekwencje tematów, z których jeden ma wypierać inny. Dla analizy powiązań w sieci takich tematów byłoby nie mniejsze pole do popisu niż dla wykładu sztuczek sprawiających, że umysł nabiera się na klasyczne sofizmaty. Przykładowo takie odwracanie uwagi przez rzeczy błahe od rzeczy ważnych może mieć charakter wyprzedzający, gdy samemu, korzystając z jego przewrażliwienia, prowokuje się jałowy atak oponenta na nieistotne zagadnienie, odwołując go od wcale jeszcze nieskonkretyzowanych czy nawet nie mających miejsca potknięć; np. zażywając podczas telewizyjnej debaty tabakę, w oczach wyczulonych oponentów jawiącą się być kokainą.

Inny sposób manipulowania odbiorcą stanowi prezentowanie mu treści wizualnych niezgodnych z komentarzem wygłaszanym w trakcie tej prezentacji. Wywód pisany człowiek jest w stanie śledzić, sprawdzając jego sensowność i konkluzyność. Obraz nie zapewnia tego luksusu. Szczególny rodzaj manipulacji korzystającym z tej różnicy stanowi prezentowanie „ziarna prawdy” przy pomocy wypowiedzi, by obrazem zinterpretować ową wypowiedź w sposób dający całkowity fałsz.

Do arsenału zabiegów służących wprowadzaniu w błąd można dodać również tzw. flammig, czyli rozpalać. Stanowi on celowe zaognianie dyskusji na jakiś temat w celu zagubienia w niej argumentów, i to obu stron, by uniemożliwić stronie posiadającej rację owej racji wykazanie.

Lista współczesnych zjawisk związanych z cyberprzestrzenią, a odpowiednich do wykorzystania w celu specyficznych technik manipulacji jest znacznie dłuższa. O jej rozmiarach może świadczyć to, jak już przyzwyczailiśmy się do zjawiska tzw. klikbait-u i nie postrzegamy go jako cokolwiek dziwnego, wręcz przeciwnie, jako brak w wypadku jakiegoś materiału uznalibyśmy za niezwykle.

Współcześnie to nie klientom internetowych serwisów wszelkiego typu sprzedawane są ich usługi, lecz to oni sprzedawani są rynkowi. Podatność na manipulację stanowi ich wartość, za którą się płaci. Odporność społeczna na owe manipulacje pomogłaby owemu odwróceniu relacji klient-usługodawca zapobiec.

Krystyna Rodzewicz

Karmienie nadziei

O grupach AA, czyli Anonimowych Alkoholików, słyszał chyba każdy. A o Grupach wsparcia dla chorych z chorobą nowotworową? Niewiele. Dlaczego? Dlaczego najczęściej boimy się samego tematu choroby nowotworowej, a co dopiero mówienia o niej?

Zapewne kieruje nami przede wszystkim lęk przed samą chorobą. I na nic zdają się tu informacje, że to choroba, jak każda inna – no może z wyraźnym podkreśleniem, że zalicza się do tych bardzo poważnych. Ale przecież zawał serca też jest bardzo poważny, a o nim już mówi się bez takich zahamowań.

Skąd więc ten lęk? Czy wynika z tego, że nie ma 100% wyleczalności? Ale przecież przy zawałach również, niestety, leczenie nie zawsze odnosi pożądany skutek oraz zdarzają się te drugie, a nawet trzecie. Pytam więc, czy lęk

ten jest na miejscu? Dlaczego zamiast dowiedzieć się więcej o chorobie, najczęściej unikamy tematu, wycofujemy się, pozostając jedynie w „głębokim współczuciu” dla osoby chorej. Brzmi to prawie jak „pozostawanie w żalu” już po stracie kogoś. Właśnie to brzemie umierania chyba jest najwłaściwszym wyznacznikiem zachowań. Co gorsza, przekłada się ono również na samych chorych. Śmierć gra pierwsze skrzypce w tej orkiestrze. Podporządkowuje sobie działania i niestety, najczęściej, paraliżuje logiczne myślenie.

Często chory ma w swoim otoczeniu ludzi, którzy zwykle „pozostają w żalu” już od pierwszego momentu ujawnienia informacji o chorobie. Co z tym zrobić? Gdzie szukać pomocy i wsparcia w przełamaniu tego wszechobecnego cienia śmierci? Jak podnieść się na duchu? W jaki sposób znaleźć w sobie siłę na walkę z tak poważną chorobą, jeżeli widzisz, że większość twoich dotychczasowych znajomych już cię pochowała na cmentarzu i zapaliła świeczkę?

Badania naukowe wyraźnie wskazują na to, że terapia psychologiczna i uczestnictwo w spotkaniach grup wsparcia jest równie ważne, jak samo leczenie. Potrafi ono podwoić czas przeżycia chorych. Powtarzam: podwoić czas przeżycia i to w bardzo zaawansowanych stadiach choroby, w porównaniu z chorymi, którzy poddają się jedynie tradycyjnemu leczeniu, takiemu jak chemioterapia czy radioterapia ¹⁶⁴.

Dlaczego więc tak mało pacjentów z tego korzysta? Niewiedza? A może raczej brak wiary, że szeroko rozumiane wsparcie społeczne może tak bardzo pomóc w tak poważnej sytuacji? Pewnie prawda jest gdzieś pomiędzy, jak zawsze. Chorzy najczęściej nie wiedzą, co mogą zyskać na spotkaniach z psychologiem i jak takie spotkania wyglądają. Nie znają wyników najnowszych badań psychologicznych, społecznych i nie wiedzą, co one mają im do zaoferowania.

Chorzy nie wiedzą, że na spotkania grup wsparcia przychodzą osoby, pod którymi kiedyś tak bardzo ugięły się kolana po usłyszeniu diagnozy, że prawie zahaczyli nosem o chodnik. Ludzie, którym, podobnie jak innym chorym, świat rozsypał się kiedyś na kawałki. Oni jednak dali sobie radę i mozolnie, strzępek po strzępku, ułożyli go na nowo. Posklejali, połatali, a nawet dostrzegli jego dużo większą wartość. I chcą podzielić się wynikami tej ciężkiej pracy z innymi. Potwierdzić swoim istnieniem, że można i że warto – być i żyć! I cieszyć się tym wszystkim, co daje świat.

Zasieją nadzieję wyzdrowienia tak skutecznie, że decydujący się na skorzystanie z grupowego wsparcia, w chwilach załamania czy zwątpienia, znajdą

164 Simonton C.O., Henson R., Hampton B., *Jak żyć z rakiem i go pokonać*, Łódź 2003.

zrozumienie u innych osób z grupy, które natychmiast wesprą ich słowem i przykładem. Poklepią po ramieniu i powiedzą „dasz radę” albo „spróbuj, warto”, ale na pewno nie poprzestaną jedynie na „pozostaniu w żalu”. Pomogą znaleźć siły do dalszej walki i z chorobą, i z niewiedzą, i z otoczeniem zagubionym między chęcią pomocy a paraliżującym współczuciem.

I okazuje się, że właśnie to pobudzanie i pielęgnowanie w sobie nadziei jest najważniejsze. Simontonowi (który już w 1981 roku opublikował wyniki swoich badań) często zarzucano, że stwarza pacjentom fałszywą nadzieję. Wtedy podawał definicję tego słowa ze starego słownika Webstera: „nadzieja to przekonanie, że pożądane rzeczy są osiągalne niezależnie od znikomości prawdopodobieństwa ich osiągnięcia”.

Kiedyś poprosiłam Mariusza Wirgę¹⁶⁵ o wyjaśnienie niuansów zawartych w tej formułce. „To znaczy, że rzeczy, których pragniemy, na których nam zależy, mogą być osiągnięte. Chociaż wcale nie ma takiej gwarancji, że będą”. I to „mogą” ma tu kluczowe znaczenie, ponieważ nie jest oznaką przywiązywania się do wyniku, które z kolei jest związane ze niepokojem i stresem, a pacjenci mają ich już i tak w nadmiarze.

Niestety, z różnych powodów, często otoczeni jesteśmy ludźmi, którzy obniżają w nas poziom nadziei, dlatego ważne jest, aby być tego świadomym i uzupełniać „zapasy”. Identyfikować odpowiednio okoliczności i osoby i świadomie wybierać te, które je powiększają, aby nie wpadać w poczucie beznadziei, a odwrotnie, budzić drzemiącą w każdym z nas ogromną siłę życia.

¹⁶⁵ Wirga M. – Psychiatra, psychoonkolog, pracujący od wielu lat w USA, autor m.in. książki *Zwyciężyć chorobę* (Katowice 2008).

„Moby Dick”

Powrót zmarłego w zapomnieniu pod koniec XIX wieku Hermana Melville’a do szerokiej rzeszy czytelników nastąpił dopiero po drugiej wojnie światowej. Najpierw poznano się w USA na pisarzu, jako autorze arcydzieła o walce dobrego ze złem i założono w 1947 roku Stowarzyszenie Melvillistów, które w dziesięciolecie swego powstania zostało zaproszone na Tahiti do rezydencji Martine Carol, popularnej wówczas francuskiej aktorki, która wyszła za bardzo zamożnego miłośnika literatury. Pół wieku później Melvilliści gościli w Szczecinie na Zlocie Wielkich Żaglowców – Tall Ship Races. Arcydzieło „Moby Dick”, czyli „Biały Wieloryb” jest cyklicznie omawiane przez krytyków i wielokrotnie filmowane przez wybitnych reżyserów. Wiemy, że przekład literackiego dzieła na język obrazów filmowych nie jest łatwy i rzadko uwieńczony sukcesem. Od dawna wiadomo, że dobrej książki nic nie zastąpi i w czasach mojej młodości, wśród miłośników literatury były bardzo popularne angielskie kieszonkowe wydania „Moby Dicka” oraz polskie, dwutomowe w znakomitym przekładzie Bronisława Zielińskiego, które pozwałam sobie cytować w niniejszej książce. Wielkie wydawnictwa o dużym zasięgu produkują książki przykuwające uwagę czytelnika od pierwszej strony. Oto przykład: „Doktor Traven w swoim nowojorskim gabinecie leczył, czyścił i usuwał cudze zęby codziennie od dziewiątej do siedemnastej, a później zajmował się tym co lubił – tajskim piśmem świątynnym”. Podobnie jest ze scenariuszem filmowym – jeśli pierwsze dwie strony nie zainteresują reżysera, ten wyrzuca scenariusz do kosza.

W dzisiejszym świecie jest więc dużo dobrych książek, na których przeczytanie nie starczy życia, stąd należy w pierwszym rzędzie czytać bardzo dobre, a ściślej arcydzieła. Gombrowicz opisał¹⁶⁶ z bezlitosną drwiną surrealistyczną bibliotekę w Argentynie z masą książek na podłodze wyłożonych aż pod sufit, oraz czytanych na zlecenie przez siedmiu czy ośmiu wynajętych czytelników: „Biblioteka – mówi Gonzalo – biblioteka, oj, oj, co za kłopot z tym mam, skaranie boże, a bo najcenniejsze, najbardziej szacowne to dzieła geniuszów samych, najprzedniejszych Ludzkości duchów, ale cóż panie, kiedy Gryzą się,

166 W. Gombrowicz, *Transatlantyk – Ślub*, „Czytelnik” 1957, s. 84-85.

Gryzą, a i też Tanieją od nadmiaru swego, a bo to za dużo, za dużo, i co dzień nowych przybywa, i nikt wyczytać nie może, bo za dużo, ach za dużo. Otóż, ja, panie, Czytelników zgodziłem i słono im płacę, bo już mnie wstyd, że tak wszystko Nieczytane leży, ale za dużo wyczytać nie mogą, choć i bez przerwy cały dzień czytają”.

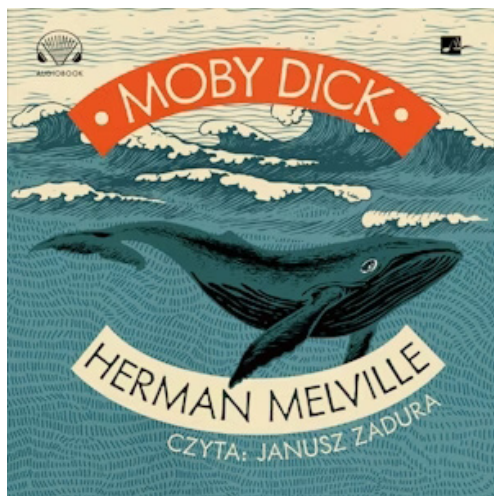
Pojedynczy czytelnik nie jest oczywiście w stanie sprostać pochłonięciu dzisiejszej ilości wiedzy z takiej ilości arcydzieł, ale dokonując selekcji winien między innymi przeczytać *Moby Dicka*. Zadaniem niniejszego opracowania nie jest oczywiście zaspokojenie czytelniczego głodu odnośnie arcydzieła *Moby Dick*, lecz jego rozbudzenie.

Melville zaczął narrację od Etymologii, gdzie cytując znany słownik Webster'a oryginalnie wyjaśnił czytelnikom, że zwierzę to (Wieloryb, po szwedzku i duńsku Hval) otrzymało swoją nazwę od toczenia się lub krągotości oraz przytacza jego nazwy w kilku językach, na przykład Cetus w łacińskim, Whale w angielskim, czy Ballena w hiszpańskim. Jędrzejko¹⁶⁷ zauważył, że autor duże znaczenie w różnojęzycznych nazwach zwierzęcia przypisał literze H, będącej niejako rodzajem symbolu tego ssaka. Kolejno *Wyjątki*, wyszperane przez pewnego mola książkowego, wychwytyjącego wszelkie aluzje do wielorybów, jakie znalazł w księgach duchownych czy świeckich, zawierają aż 72 cytaty z tych źródeł, poczynając od Genesis oznajmiającej: *I oto Bóg uczynił olbrzymie wieloryby*, kończąc zaś dwoma pieśniami o wielorybie, z których nantucketańska zapowiada sugestywnie dynamikę polowania:

Wesoło moi chłopcy, pewnie, celnie, śmiało

Rzucajcie harpun ostry w wieloryba ciało!

Mnogość *Wyjątków* może zaskoczyć czytelnika, ale są one bardzo wysmakowane i starannie dobrane, oraz pomimo tej mnogości nie nużą, lecz zaciekawiają i wytwarzają podniosły nastrój. Przykład z Tomasza Beale „Historii



167 P. Jędrzejko, *Płynność i egzystencja*, Banaart.pl/ex machina/m studio, Sosnowiec- Katowice-Zabrze 2008, s.49.

kaszalota” – zwiastujący opisy pościgu i walki malutkich, inteligentnych postaci ludzkich z największym na naszej planecie stworzeniem (równym wagowo 20 samcom słoni lub 30 nosorożcom) oraz jego zemsty: „Oszałały z męki, którą cierpi od ponawianych ataków, rozwścieczony kaszalot przewala się z boku na bok; podrywa swój olbrzymi łeb i kłapie szeroko rozwartymi szczękami na wszystko, co jest w pobliżu. Rzuca się łbem naprzód na łodzie; te – pędzone przed nim z ogromną szybkością – czasami całkowitemu ulegają zniszczeniu”.

W pierwszym rozdziale *Miraże* narrator dokonuje prezentacji z precyzją stylu, ale już z ważnymi dygresjami, które będą obecne w całej powieści.

“Imię moje: Izmael. Przed kilku laty, mniejsza o ścisłość jak dawno temu – mając niewiele, czy też nie mając wcale pieniędzy w sakiewce, a nie widząc nic szczególnego, co by mnie interesowało na lądzie, pomyślałem sobie, że poze-
gluję nieco po morzach i obejrzę wodną część świata”. Te zdania dobrze zaczynają powieść. Z oryginału *Call me Ishmael* wcześniej przekładano na „Zwijcie mnie Izmael”, stylizując na staropolszczyznę. Początek jest piękny w języku oryginału: „Some years ago – never mind how long precisely – having little or no money in my purse, and nothing particular to interest me on shore, I though I would sail about a little and see the watery part of the world”.

W połowie XX wieku to tłumaczenie wyboru było prawie dosłownie rozumiane w powojennej atmosferze obłożonej przez totalitaryzm twierdzy naszego kraju. Profesja marynarza pozwalała się z niej wydobyć na szeroki świat i była to okazja na poznanie, a później nasycenie się wolnością, ucieczką z obłudnie nazywanego Obozu Pokoju do prawdziwie Wolnego Świata. Żegluga po morzach była faktycznie dla młodych ludzi sposobem na odpędzanie spleinu i szarości życia. Dalsze rozważania dotyczą bardziej szczegółowo losów młodzieńca wkraczającego w życie toczące się zarówno w jego ojczyźnie w połowie XIX wieku, jak i bardziej uniwersalnie w innych, morskich krajach świata: „Gdy tylko stwierdzę, że usta wykrzywają mi się ponuro, gdy tylko do duszy mej zawita wilgotny, dżdżysty listopad, gdy złapię się na tym, że mimowolnie przystaję przed składami trumien albo podążam za każdym, napotkanym pogrzebem, a w szczególności, gdy moja hipochondria tak mnie opanuje, iż potrzeba mi silnych zasad moralnych, by się powstrzymać od rozmyślnego wyjścia na ulicę i metodycznego strącania ludziom z głów kapeluszy – wtedy uznaję, że już wielki czas udać się na morze jak najrychlej”.

Tu oczywiście ważne jest odwołanie się do głębszych warstw psychiki młodego człowieka, który jeszcze nie wybrał kursu na kompasie swojego życia

oraz jego wahań i rozterek związanych z takim wyborem. Po dokonaniu tej niełatwej decyzji następuje rodzaj spowiedzi przed czytelnikiem: „To jest moja namiastka pistoletu i kuli. Katon z filozoficzną oracją rzuca się na ostrze swego miecza; ja spokojnie siadam na okręt. Nie ma w tym nic zdumiewającego”.

(There is nothing surprising in this.)

Ostatnie krótkie zdanie przytaczamy nawiasowo po angielsku dla podkreślenia jego zwięzłości. Będziemy tak robić w wielu cenniejszych przypadkach tekstu książki. Autor, przekonująco ciągnąc swój wywód o losie młodego adepta podczas polowań na wieloryby, jak również włóczęgi po wodnej części świata, podaje do wierzenia ciekawy pewnik: „Gdyby tylko zdawano sobie z tego sprawę, okazałoby się, że niemal wszyscy ludzie, każdy na swój sposób, w takiej czy innej chwili żywią wobec oceanu niemal te same co ja uczucia”.

Jednakowoż na statek zaciągali się marynarze z przeróżnych rodzin i warstw społecznych, więc koniecznym jest wyjaśnienie motywów wyboru tak trudnej i niebezpiecznej profesji w zestawieniu ze spokojną egzystencją urzędnika, nauczyciela czy mechanika maszyn rolniczych. Nie można pominąć statusu społecznego, jaki towarzyszył młodzieńcowi przed wyborem losu marynarza: „Obraża to poczucie naszej godności, zwłaszcza jeśli się pochodzi z rodu z dawna osiadłego w kraju, jak Van Rensselaerowie, Randolphowie czy też Hardicanute’owie. A już szczególnie, jeżeli przed zabraniem się do morskiego rzemiosła sprawowało się rządy w charakterze wiejskiego nauczyciela, przed którym drżały najroślejse chłopaki. Zapewniam was, że przeskok z nauczyciela na majtkę jest gwałtowny i wymaga silnej mieszanki Seneki i stoików, by móc znosić wszystko z uśmiechem”.

Wybierając żeglarską włóczęgę należy na swój użytek polubić jej niedogodności i znosić je po stoicku z dystansem do zagmatwanych wyroków losu i nieznośnej na pierwszy rzut oka dyscypliny, mało znanej innym profesjom: „Cóż stąd, że jakiś stary kutwa, szyper, rozkaże mi wziąć się za miotłę i zamieść pokłady? Cóż znaczy podobna zniewaga, jeśli się ją, powiedzmy, odważy na szali Nowego Testamentu? Czyż sądzicie, że archanioł Gabriel będzie miał o mnie gorsze mniemanie dlatego, że pośpiesznie i z uszanowaniem usłucham owego starego kutwy, w tym właśnie przypadku?”

W całym dziele znajdziemy mnóstwo odniesień do Starego i Nowego Testamentu, gdyż autor zapewne bardzo wnikliwie czytał te święte księgi. A wracając do zawodu marynarza, w dzisiejszym świecie burżuazyjnych wygod stracił on niezastąpienie swoją rangę i status, lecz w czasach Melville’a było bardziej

logicznie: „Zawsze, powtarzam, wyruszam na morze jako marynarz, uparto się bowiem, żeby mi płacić za mój trud, podczas gdy – o ile słyszałem – pasażerom nigdy nie płaci się ani szeląga. Wprost przeciwnie, właśnie pasażerowie muszą płacić. Istnieje zaś olbrzymia różnica między płaceniem a otrzymywaniem zapłaty. Akt płacenia jest może najdotkliwszym dopustem, jaki na nas ściągnęto owych dwoje złodziei z rajskiego ogrodu. Ale być opłacanym – cóż się może temu równać? Wytworna gorliwość, z jaką człowiek przyjmuje pieniądze, jest doprawdy zdumiewająca, zważywszy, iż tak żarliwie wierzymy, że pieniądze są źródłem wszelkiego doczesnego zła i że bogacz żadną miarą nie może dostać się do nieba”.

Te powyższe fragmenty zostały wykorzystane w mojej książce „Pilot kapitana Ahaba”, wydanej w 2024 roku, gdyż mój przyjaciel z gdyńskiej Szkoły Morskiej, jeszcze z lat 60., kapitan Zbyszek Lechowski emigrował do USA, gdzie wydał swoją córkę, Krysę za zdolnego pisarza – Gene Sheer’a. Sheer na początku XXI wieku napisał libretto do opery „Moby Dick”, która była wystawiana non stop w kolejnych stanach od 2010 roku w Dallas, przez piętnaście lat do 2025 roku, z zakończeniem w Metropolitan Opera. Książka jest przypomnieniem tego wielkiego arcydzieła marynistyki.

FELIETON

M.P. Hardy

Narcyzm 2.0: samozachwyt w erze Cyfrowego Olimpu

Współczesny narcyz nie potrzebuje już lustra – wystarczy ekran smartfona z funkcją „portret mode”. To nie mitologia, lecz codzienność: zamiast tonąć w jeziorze, dryfujemy w oceanie lajków i followów.

Gdyby Sokrates żył obecnie, zapewne prowadziłby podcast „Know thyself(ie)”, a Heraklit pisałby: „wszystko się zmienia, tylko twoje filtrowane zdjęcie pozostaje wiecznie młode”. Dzisiejszy narcyz nie zatrzymał się bowiem na fascynacji swoim odbiciem. Ma w kieszeni własne jeziorko, w którym może się przeglądać całą dobę. I zamiast tragicznie utonąć – tragicznie żyje.

Spotkałem niedawno kolegę, którego nie widziałem od lat. Szedł z iPhonem w dłoni i wzrokiem wbitym w ekran.

— Cześć, co słychać? — zawołałem.

— Fantastycznie! — odparł, nie odwracając wzroku od telefonu. — Właśnie streamuję swoje życie na żywo. W tej chwili ogląda mnie 12 osób.

— A czy wśród tych osób jest choć jedna, z którą rozmawiasz twarzą w twarz częściej niż raz w miesiącu?

— Nie wiem... Czekał, zrobię ankietę w stories.

Polska 2025 to kraj, gdzie młodzi ludzie zamiast szukać sensu życia, szukają promki na kryptowaluty, a prestiż mierzą wysokością patodeveloperskich rat. To nie wada, to styl życia! „Dlaczego medytować nad sobą, skoro możesz kupić kurs mindfulness w pakiecie z kawą specjalty?” – pytają bohaterowie naszych czasów, wciskając „kup teraz” na Allegro.

Narcyzm stał się naszym drugim, a może już nawet pierwszym hymnem narodowym. Śpiewamy go codziennie, stojąc w kolejkach do kas w centrach handlowych. Nasz patriotyczny zryw to płacenie zbliżeniowe. Nasza modlitwa narodowa? „Czy mogę zapłacić BLIKIEM?”. Ewentualnie, kiedy sprzedawca zapyta: „płatność kartą czy gotówką?”, odpowiadamy z dumą: „kredytową, w czterech ratach, proszę”. A propos, luksus na kredyt osiągnął poziom mistyczny. Oto nowa definicja dojrzałości: 18 lat i pierwsza karta kredytowa; 25 – i kredyt na mieszkanie 20m² w „apartamentowcu” bez parkingu; 30 – i leasing Tesli, której akumulator przegrywa wyścig z okresem gwarancji. Wszak współczesny narcyz to nie mitologiczny młodzieniec zapatrzony w swoje odbicie. To ekonomiczny kameleon.

Współczesna mitologia ma nowych bogów: Bóg Like, wszechmogący, wymagający codziennych ofiar z kreatywności; Bogini Story, kapryśna, żądna ciągłej adoracji; Duch Algorytmu, niewidzialny władca decydujący o życiu i śmierci kont. A nad tym wszystkim czuwają oni – apostołowie św. Marki. Influencerzy, którzy z ambon mediów społecznościowych głoszą dobrą nowinę: „zaprawdę powiadam wam, ten krem odmłodzi was o 10 lat, a kod rabatowy NARCYZ20 da wam 20% zniżki na pierwsze zamówienie!”. I tak oto, w kulminacyjnym rytuale „czarnego piątku”, tłumy składają ofiary z kart kredytowych przed ołtarzami Amazon Prime.

Widziałem kiedyś Zetkę w supermarkecie. Stała przed półką z jogurtami, robiąc im zdjęcia.

- Przepraszam, chciałbym tylko wziąć jogurt – zagadnąłem nieśmiało.
- Chwilunia! Nagrywam właśnie spontaniczny vlog o tym, jak natural shopping wpisuje się w mój mindfulness lifestyle.
- Ale pani stoi tu już pół godziny...
- To dlatego, że jestem taka autentyczna.

O tak, jej autentyczność została skrupulatnie zmierzona w lajkach i zasięgach. A ja, wierny wyznawca, kliknąłem „obserwuj”, by stać się częścią tej nowej religii, gdzie grzechem głównym jest nieposiadanie konta na TikToku.

Pisząc o jaskini cieni, Platon nie przewidział, że XXI-wieczni filozofowie będą tłumaczyć algorytmy Instagrama. Współczesny człowiek nie kontempluje bowiem idei piękna – produkuje je w seriach po 30 zdjęć, z których wybiera to jedyne, poddane obróbce w aplikacjach. W końcu nie chodzi o to, jak wygląda „w realu”, tylko na tle filtra „młody bóg”.

Narcyzm ery Cyfrowego Olimpu to coś więcej, niż umiłowanie własnego wizerunku. To pełnowymiarowy przemysł: kursy „jak budować personal brand”, różdżki do selfie w kształcie mieczy świetlnych i kremy przeciwzmarszczkowe reklamowane przez influencerów, którzy na żywo przypominają woskowe figurki.

– Dziś pokażę wam, jak być sobą! – zaczęła tiktokerka, nakładając piątą warstwę podkładu. – Pamiętajcie: ważne, by wyglądać naturalnie. Jak ja!

Pamiętasz pandemię? Ten moment, kiedy świat się zatrzymał, a sklepy internetowe przeżywały orgazm sprzedażowy? Siedzieliśmy w dresach, przerażeni, że może zabraknąć nam papieru toaletowego, więc kupowaliśmy... buty na koturnie. Bo gdzie w nich chodzić, jak nie od kanapy do lodówki i z powrotem?

COVID-19 odsłonił smutną prawdę: człowiek współczesny kocha bardziej paczkomaty niż ludzi. „Nie możesz przytulić babci? Przytul paczkę z Zalando!”.

Narcyzm okazał się najskuteczniejszą szczepionką na lęk przed rzeczywistością. Nic dziwnego, że ołtarze paczkomatów przyjmowały nasze ofiary konsumpcji. A kurier, niby współczesny Hermes – boski posłaniec, przynosił zbawienie w kartonowych pudełkach.

– Panie kochany, czy ma pan coś dla mnie?

– Tak, to już piętnasta paczka w tym tygodniu. Znowu zamawiał pan książki o minimalistycznym stylu życia?

– Skąd pan wiedział?

– Sądząc po wielkości pudła, zmieściłyby się tam wszystkie rzeczy materialne, jakich człowiek naprawdę potrzebuje do życia.

Czy słyszałeś już o nowych chorobach cywilizacyjnych: FOMO (Fear Of Missing Out), czyli lęk przed byciem pominiętym w relacji na Instagramie; FOBO (Fear Of Being Offline), czyli panika na widok rozładowanej baterii; VVS (Virtual Validation Syndrome), czyli potrzeba ciągłego potwierdzania wartości przez lajki? Leczenie? Terapeuci polecają „digital detox”, czyli trzy godziny bez telefonu. Skuteczność: promil, może dwa. Pozostali pacjenci rezygnują, bo „nie mogą stracić streaka”.

— Przecież mam 500 znajomych na Facebooku! — krzyczy 30-latek do terapeuty.

— A ilu z nich przyniosłby ci żupę przy grypie? — pyta psycholog.

Zastanawiałeś się kiedyś, jak wygląda współczesny wyścig szczurów? To nie konkurencja o lepsze stanowisko, czy wyższą pensję. To walka o więcej obserwujących, więcej serduszek, więcej kciuków w górę. Narcyz biegnący w kołowrotku mediów społecznościowych, napędzany FOMO.

Największa ironia naszych czasów? Im więcej followersów, tym większa pustka. Badania pokazują, że 63% millenialsów woli awatar z Simsów od realnej randki, 78% Gen Z uważa, że „relacje” to głównie wymiana memów, a 92% użytkowników Instagrama przyznaje, że lepiej wygląda online niż offline.

Życie współczesnego narcyza to niekończący się „one-man-show”. Każdy jest gwiazdą swojego własnego reality, tylko publiczność często składa się z botów i przypadkowych scrollerów – jakże smutny substytut interakcji społecznej.

Narcyz 2.0 nie potrzebuje Echo, która by go kochała. Ma Alexę, która wykona każde polecenie. Nie potrzebuje przyjaciół – ma grupę na WhatsAppie. Nie potrzebuje rodziny – ma konto rodzinne na Netflixie.

— Słuchaj, może wpadniesz do mnie? Pogadamy, jak za dawnych czasów?

— Po co? Przecież możemy zrobić wideokonferencję. Założę nawet spodnie, specjalnie dla ciebie.

— Ale to nie to samo...

— Jasne, że nie! Online jest lepiej. Mogę cię wyciszyć, kiedy zaczniesz mnie nudzić.

Być może najzabawniejsze jest to, że im więcej kupujemy, tym bardziej czujemy się samowystarczalni. Mamy wszystko! Smartfon przypomina, kiedy wziąć leki. Smartwatch liczy kroki. Smart-lodówka mówi, co zjeść na obiad. Smart-toaleta analizuje, czy dobrze trawimy. Jesteśmy tacy smart, że zapomnieliśmy, jak to jest być po prostu mądrym. A kiedy osiągniemy te wszystkie lajki, followersów i wyświetlenia, nadal czujemy pustkę. Bo to jak karmienie się powietrzem. Niby pełny brzuch, a jakoś chudy portfel.

W sklepach powstały już nawet specjalne działy dla narcyzów:

— Przepraszam, gdzie znajdę koszulki z napisami typu „najlepszy mąż na świecie” albo „królowa życia”?

— Dział samooszukiwania się jest na końcu po prawej, zaraz obok działu „kupuję, więc jestem”.

Narcyzm jest wirusem, a konsumpcjonizm jego nosicielem. Co gorsza, za tę symbiotyczną ucztę płacą inni. W krajach, gdzie produkowane są luksusowe towary, narcyzm ludzi pierwszego świata rujnuje życie tych, którzy ledwo mogą sobie pozwolić na przetrwanie.

W tym wszystkim zaskakuje fakt, że zdajemy sobie sprawę z naszego narcyzmu. Ba! Śmiejemy się z niego! Piszemy o nim satyry! A potem wracamy do domu i sprawdzamy, ile polubień zdobył nasz post o tym, jak bardzo jesteśmy świadomi problemów współczesnego świata.

To jest właśnie narcyzm finalny – narcyzm świadomy siebie. Taki, który mówi: „tak, jestem narcyzem, ale przynajmniej wiem o tym, i to czyni mnie lepszym od innych narcyzów!”

— Wiesz, zdałem sobie sprawę, że za dużo czasu spędzam patrząc w telefon. Postanowiłem to zmienić.

— To wspaniale! Co zamierzasz zrobić?

— Kupiłem apkę za 49,99, która będzie mi przypominać, żeby odłożyć telefon.

— Ale... czy to nie...

— Tak, wiem, genialne! A najlepsze jest to, że za każdy dzień bez telefonu dostaję wirtualne trofeum, którym mogę pochwalić się na Insta!

Na koniec pozostaje pytanie, czy jest dla nas nadzieja? Czy można uciec od współczesnego narcyzmu? Owszem: gdy 15-latka w Krakowie zamiast selfie wrzuca zdjęcie książki z hashtagem #slowlife; gdy biznesmen z Warszawy wychwyci telefon podczas kolacji z dzieckiem; gdy ktoś pisze post bez tagów – tylko po to, by podzielić się myślą.

Narcyzm 2.0 to przecież nie wyrok. To lustro, w którym wciąż możemy się przejrzeć – by zdecydować, czy podoba nam się to odbicie. Wystarczy wyłączyć apki. Odłożyć karty kredytowe. Wyjść na spacer bez robienia zdjęć. Spotkać się z przyjaciółmi bez relacjonowania tego w social mediach.

Ale najpierw...

Może zrobimy sobie szybkie selfie z tą satyrą? Pokażemy znajomym, jacy jesteśmy refleksyjni? Hashtag #JestemŚwiadomy zadziała jak spowiedź powszechna, zaś hasło „Zauważ Mnie!” stanie się niewypowiedzianą modlitwą o życie – nie mem. Bo czyż nie na tym polega współczesny narcyzm, że wszyscy mówimy, a nikt nie słucha? Czyż nie po to promptujemy rzeczywistość Cyfrowego Olimpu?

Teraz wybacz, muszę sprawdzić, ile lajków zdobyła moja satyra o narcyzmie. Daj suba i czekaj na kolejny odcinek.

PROZA

Krystyna Rodzewicz

Szczecinianka. Inżynier budownictwa z wykształcenia (studia magisterskie na Politechnice Szczecińskiej) i praktyki. Menedżerka po francuskojęzycznych studiach podyplomowych Zarządzania Systemami Przemysłowymi (z dyplomem École Centrale Paris). Stypendystka programu Wspólnoty Europejskiej TEMPUS we francuskiej École Centrale de Lyon. Pisarka z magisterium (o specjalności strategii narracyjne) uzyskanym na Uniwersytecie Szczecińskim.

Publikowała: wiersze, reportaże, wywiady, opowiadania i eseje w periodykach (m. in. „Morze i Ziemia”, „Kurier Szczeciński”, „Dialogi”, „Poezja dzisiaj”, „Pryzmat Literacki”) oraz wielu antologiach.

Wydała książki:

- *Indeks Szczęścia* (2015) – zbiór wierszy;
- *Na północ od Bieguna Północnego* (2016) – proza poetycka;
- *Pytania z głębi* (2017) – powieść;
- *Europo... Europa! Abordże i przypowieści* (2018) – zbiór prozatorski;
- *Abordże szczecińskie* (2020) – zbiór prozatorski.
- *Odczytywanie miasta. Szczecin w literaturze XXI wieku* (2025) – esej literaturoznawczy.

Odczytywanie miasta

seria: akcent, wyd. hogben, Szczecin 2019, fragment

Miejsce

A to „nasze” miejsce na ziemi, czym się różni od nie naszego? Czy zastanawiając się nad wyborem „Paryż czy Londyn?”, rozważane są jedynie różnice architektoniczne? A może decyduje język? A jeżeli poszukiwacz

jest dwujęzyczny i jest mu wszystko jedno, w jakim języku będzie czytał codzienne gazety? Co przeważy nad wyższością chaty w Beskidzie Niskim nad domem koło Świeradowa, zakładając tę samą wysokość nad poziomem morza i podobny widok z okna przy porannej kawie?

To, co decyduje o wyjątkowości każdego z tych miejsc, w mitologii rzymskiej nazwano *genius loci* (łac. duch opiekuńczy miejsca). Jest wiele definicji próbujących sprecyzować to określenie. Bartłomiej Gutkowski twierdzi, że jego podstawą jest „intuicyjne odczuwane poczucie wyjątkowości miejsca”¹⁶⁸, które opiera się na otwarciu na świat wartości.

Jednymi z nich (...) są wartości związane z obrazem estetycznym miejsca. Jednak mogą mieć one również swoje źródło w historii, kulturze, rozwoju technologicznym, a najczęściej są mieszkanką tych czynników (...). [P]rzestrzeń ze wszystkimi „nakładającymi” się jej elementami, tj. przestrzenią fizyczną, społeczną, kulturową, mentalną, wyobrażeniową, sakralną itd., stanowi rodzaj źródła dla ujawnienia się wartości. Realizują się one jednak dopiero poprzez rodzaj kontaktu z nimi¹⁶⁹.

Bez podjęcia „dialogu” z przestrzenią, nie możemy doświadczać jej *genius loci*, ponieważ będzie dla nas otoczeniem obojętnym. Nie znaczy to jednak, że „ducha miejsca” tworzą tylko nasze myśli i jest jedynie wytworem wyobraźni. Elżbieta Rybicka podkreśla, że „spotkanie z *genius loci* staje się doświadczeniem egzystencjalnym, uświadamiając, iż pozaludzkie otacza i warunkuje ludzkie życie, choć dowodzi też niewystarczalności antropocentrycznych kategorizacji”¹⁷⁰. Miejsce staje się równoprawną stroną spotkania a nawet więcej – ma wyraźny wpływ na człowieka.

Grecy nazwali to wyjątkowe, tajemnicze (a według Platona nawet „mroczne”) miejsce egzystencjalne *chora*.

To *chora* sprawia, że żyjący tam ludzie są inni, niż byliby w innych miejscach. Co więcej, także ludzie wpływają na *chorę*, zmieniają ją, odciskają na niej swój znak (...). *Chora* jest z definicji miejscem mieszanym i spotkania tego, co niezmiennie, i tego, co przemijalne. Jeśli odczytywać tę przestrzeń jako rozciągłość, to staje się ona nie tylko warunkiem powstawania świata, ale też przesłanką możliwości poznania idei i prawd odwiecznych w świecie przemian. Jest „piętnem i matrycą”, ale zarazem „przyjmuje i płodzi”, co sprawia, że starożytni tę kolistą, nieustającą interakcję nazwali „poezją świata”¹⁷¹.

Tego drugiego określenia zaczął używać francuski filozof i geograf Augustin Berque, przypominając jednocześnie,

¹⁶⁸ B. Gutkowski, *Genius loci wobec tożsamości miast współczesnych*, w: *Fenomen genius loci. Tożsamość miejsca w kontekście historycznym i współczesnym*, red. B. Gutkowski, Warszawa 2007, s. 36.

¹⁶⁹ Tamże, s. 36.

¹⁷⁰ E. Rybicka, *Geopoetyka. Przestrzeń i miejsce we współczesnych teoriach i praktykach literackich*, Kraków 2014, s. 184.

¹⁷¹ Cyt. za: W.J. Burszta, *Nomadyzm Olgi Tokarczuk*, „Czas Kultury” 2019, nr 3.

że greka zna dwa słowa na określenie miejsca. Jedno to *topos*, obecne w dzisiejszych dyskursach naukowych i literackich, odmieniane w rozlicznych kontekstach. Oznacza ono miejsce abstrakcyjne, jakiś punkt na mapie. Drugie pojęcie, którego semantyka uległa zapomnieniu, to [właśnie] *chora*¹⁷².

Metafizyczna więź człowieka z miejscem, w którym przebywa (czasami od urodzenia), jest często bardziej znacząca niż ta fizyczna, realna i namacalna. Jest czynnikiem budującym tożsamość na równi z kulturą społeczeństwa i otaczającymi ludźmi. Jeżeli jednak człowiek przeprowadza się, przekształcenie nowego *toposu* w kolejną *chorę* nie następuje z dnia na dzień, już nazajutrz po rozpakowaniu bagaży. To proces, którego ramy czasowe niełatwo określić, ale na pewno ma na niego wpływ nie tylko sama jednostka, ale i ów tajemniczy „duch miejsca”.

Figury wspomnień

Francuski socjolog Maurice Halbwachs twierdził, że „figury wspomnień to ukształtowane kulturowo i obowiązujące w grupie wyobrażenia przeszłości, niosące prawdę ustaloną przez grupę, i przedstawioną w konkretnych formach wspomnień, osób i miejsc”¹⁷³. Wyróżnił w nich „trzy charakterystyczne cechy: po pierwsze, konkretne odniesienie do przestrzeni i czasu, po drugie, odniesienie do grupy, po trzecie, rekonstruktywność lub rekonstruowalność”¹⁷⁴. Zgodnie z nimi odniesienie się do „określonego czasu i przestrzeni oznacza, że znaczenia symboliczne konkretnych figur wspomnień, związane z nimi sensory nie są ustalone, trwałe czy stabilne, lecz mogą zmieniać się w czasie w zależności od warunków – ram odniesienia”¹⁷⁵. Odniesienie do grupy mówi o tym, że figury wspomnień budowane są przez grupę, która kulturowo pamięć o swojej przeszłości i posiada własną tożsamość. „Rekonstruktywność oznacza zaś, że pamięć kulturowa opiera się wprawdzie na stałych figurach wspomnień i zasobach wiedzy, jednak «każda teraźniejszość zawłaszcza je, jednocześnie rozprawiając się z nimi, zachowując je i zmieniając» – interpretuje je na nowo”¹⁷⁶.

Figury wspomnień odnoszą się nie tylko do historycznych postaci czy wydarzeń, w rozumieniu ich jedynie jako faktów, „ale przede wszystkim do wyobrażeń, wspomnień o tych postaciach, zjawiskach czy wydarzeniach. Wspomnień funkcjonujących w określonym czasie, w określonym

¹⁷² Tamże.

¹⁷³ M. Karkowska, *Pamięć kulturowa ...*, s. 81.

¹⁷⁴ Tamże.

¹⁷⁵ Tamże.

¹⁷⁶ Tamże.

kontekście”¹⁷⁷. Takie spojrzenie na zagadnienie powoduje, że porównujemy nie same zdarzenia historyczne a postrzeganie tychże wydarzeń w różnym czasie. „Okazuje się to niezwykle istotne (...) w przypadkach analizy pamięci zbiorowej społeczności zmuszonej modyfikować swoje wyobrażenia o przeszłości pod wpływem zmieniających się ram odniesienia”¹⁷⁸.

Potwierdza to przytaczany wyżej przypadek modyfikacji społecznego spojrzenia na coś tak prozaicznego jak szyna tramwajowa. Pięćdziesiąt lat temu, w czasach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, był to relikw mocno zużytej i nieprzydatnej już poniemieckiej przeszłości Szczecina, co starano się jak najszybciej propagandowo zatrzeć. W zamian uwypuklano fakty świadczące o dawnej przynależności miasta do Polski. Tworzono nowe media pamięci, których celem było kształtowanie nowych figur pamięci.

Przykładem takich działań jest zamówienie monumentalnego pomnika Bogusława X i jego żony, królowny Anny Jagiellonki. Postaci historycznych, potwierdzających przynależność miejsca do tzw. Ziemi Odzyskanych. „Na cokole oprócz ich imion uwieczniono rok ślubu – 1491”¹⁷⁹. Wzmocnienie znaczenia tego nowego medium pamięci komunistyczne władze zaplanowały starannie. Monument nie tylko ustawiono w reprezentacyjnym miejscu – przed Zamkiem Książąt Pomorskich, ale także odsłonięto go w „bardzo ważnym dniu” – 22 lipca 1974 roku, w Narodowe Święto Odrodzenia Polski.

Dziś, w Rzeczypospolitej Polskiej, przykładowy stary element toru tramwajowego staje się cennym świadectwem minionego czasu. Jego wyeksponowanie w ogólnodostępnej przestrzeni miejskiej wskaże nie tylko jego „już” dziewiętnastowieczną nowoczesność, ale również stanie się istotnym elementem ciągłości historii miasta, kreującym nową figurę pamięci, mimo niezmienności samego nośnika.

Wpływ na takie zmiany postrzegania nie tylko artefaktów, ale i pozostałych składników miejskiej przestrzeni mają i inne elementy pamięci kulturowej. Są nimi – przede wszystkim – uświadamianie przeszłości i jej upamiętnianie. Kształtuje się w ten sposób „pamięć pamięci”¹⁸⁰. Działania te przybierają najczęściej postać różnych cyklicznych działań ceremonialnych, wykraczających poza sferę codzienności i oddziałujących na emocjonalność odbiorcy. To zasada działania wyszczególniona w przytaczanej już tabeli zależności P. Reichela.

¹⁷⁷ Tamże.

¹⁷⁸ Tamże.

¹⁷⁹ red. H. Gonera, *Szlak Gryfitów. Bałtycki przewodnik turystyczny*, Szczecin 2021, s. 7.

¹⁸⁰ M. Kobielska, *Pamięć zbiorowa...*, s. 186.

Powyższe obserwacje badaczy potwierdzą również przykładem. Współczesny mieszkaniec Szczecina patrzy na przedwojenne zdjęcia części miasta, która ciągle istnieje w (prawie) niezmienionej formie architektonicznej a on jest jej użytkownikiem. Są to zdjęcia zrobione u stóp Wałów Chrobrego¹⁸¹. To, co na nich spostrzega, jest dla niego wielce zaskakujące¹⁸². I nie chodzi tu o porównywanie świetności dawnych budynków z ich obecnym stanem (często niezadawalającym), ponieważ ten fragment przestrzeni miejskiej jest dobrze utrzymany. Dla mieszkańców Szczecina opisywane miejsce kojarzy się (prócz sensu komunikacyjnego – szerokiej dwupasmowej ulicy, pozwalającej sprawnie poruszać się w tej części miasta) z radosnymi wydarzeniami. Na ukształtowane takiej świadomości społecznej tego miejsca miały, niewątpliwie, wpływ cykliczne wydarzenia, takie jak koncerty na ulicznej scenie, festyny, parady okrętów (podczas krajowych Dni Morza), czy żaglowców (podczas międzynarodowych zlotów tychże). Powtarzalność miłych wspomnień powiązanych z konkretną przestrzenią miejską pozwala na ich utrwalanie i zdomowienie się w konkretnej figurze wspomnień, w tym przypadku radosnej. Nie współgra to z tym to, co spostrzega się na rzeczonym starym zdjęciu. Została na nim uwieczniona defilada wojskowa z żołnierzami hajlującymi w geście faszystowskiego pozdrowienia przed Hitlerem.

¹⁸¹ Zob. zdjęcia: Adolf Hitler zwiedza Hakenterrasse (dziś Wały Chrobrego), <https://naszahistoria.pl/adolf-hitler-w-szczecinie/ar/9174294> – dostęp 11.11.2021 r.; <https://www.wykop.pl/wpis/43599817/hitler-szczecin-historia-2wojnaswiatowa-adolf-w-sz/> – dostęp 12.11.2021 r.

¹⁸² Opinia ta jest moim podsumowaniem ożywionej dyskusji internetowej, która wywiązała się po zamieszczeniu zdjęć na portalu naszahistoria.pl, wykop.pl i innych.

POEZJA

Anna Partyka-Judge

Muzyk, poetka, powieściopisarka, pisze także felietony i recenzje. Urodziła się i wychowała w Świnoujściu. Absolwentka Studium Nauczycielskiego w Szczecinie, Akademii Muzycznej w Poznaniu (Filia Szczecin). Od 1988 r. przez wiele lat pełniła funkcję prezesa Klubu Literackiego „Na Wyspie” w Świnoujściu. Mieszka na stałe w Hiszpanii. Zadebiutowała poezją w 1977 r. w tygodniku „Spojrzenia”. Jej wiersze publikowano w Polskim Radio Szczecin, prasie szczecińskiej, w almanachach: „W cieniu morza” (1980), „Wewnętrzne morze” (1997), „W ciepłym piasku poezji” (2002), „Poławiacze wzruszeń” (2010), „Poezja jest w nas” (2012). Wydała: tomik wierszy „Tyle ci dam” (1999), powieści „Puzzle” (2016) i „Monopoli – gra o wszystko” (2017), zbiór opowiadań świątecznych „Pod świątecznym niebem” (2018), powieść „Na krawędzi uczuć” – wyróżnienie tzw. ósmego jurora w plebiscycie Brakującej litery (2019), powieść „Rezonans czasu” (2021), zbiór opowiadań „NieOCZYwista” (2022), dwujęzyczną książeczkę dla dzieci „Emanuel Skórka” (2023).

Na kanale YouT prowadzi audycję „Kawałki literackie z Anną Partyką-Judge”, na Facebooku cykl „Młodą pisarką będąc”.

Wnikanie

*pytaniem bez dna
z dumieniem
otwieram oczy i usta
ale milczę
jak zapytać
o drogocenne dziedzictwo*

*dotykam esencji
sprawdzam wątki
pukam w sedno
stworzenia i bytowania*

*echo niesie się crescendo
i mnoży amplitudę niewiedzy*

*śmiertelna wędrówka przez życie
zamyka oczy
pozostawia pytania*

Pozwól

*księga chwil
nie będzie kompletna
bez współbrzmienia przeciwności
i wszelkiej przeciwwagi*

*bez asymetrii i harmonii
godności i upadku
bez ucieczki i pogoni
zgniłych liści w umęczonej ziemi
i gorliwych przebiśnięgów*

*promienistość ciał niebieskich
nie zrodzi się
bez nocnych mgławic
a podłość nie zazna szlachetności*

myśl powróci morską falą

*więc pozwól wybrzmieć
dwoistości chwili
nieoczekiwanej codzie
akordu wszystkich zdarzeń
niech ból
nie będzie zaskoczeniem*

Cichy trzepot

*na skraju dnia
składam pokłon
mijającym sekundom*

*zatrzymuję
by uporządkować*

i nawlec jak paciorki
na żdźbło trawy

wysypują się
pianissimo

ulatują
z cichym trzepotem skrzydeł
małych aniołów

Powiedz

lęk wtóruje barwom ciemności
obejmuje drżeniem
nowy świt

otwierasz oczy
szarość deszczem zmywa żal
namiętność rozplywa się
w szklance z lodem
milczenie pokrywa
oniryczne ciało

anemiczny ciepły wiatr
dźwięcznie tańczy na wargach
nie pytając o przyzwolenie
rozkwita łagodnością
drażni eterycznym zapachem

powiedz
jak cię zamknąć
w melodyjnym uścisku

Pijesz noc

kiedy дума zmaga się z miłością
słyszysz zgiełk tysięcznych orkiestr
w rzece umykającej do morza
łzy mieszają się z kroplami wodospadu
i wyruszasz w zawiłą podróż
w siebie

*czas gęstnieje
powoli pijesz noc*

*zadajesz ciemności pytania
a ona milczy przeciw tobie
nie wygładza zmarszczek myśli
uchyla się
przed audiencją spokoju*

*żrenice topnieją w mroku
szukając odpowiedzi
i jedności w lawinie
masywnych kamieni*

*zamykasz butelkę gorzkich snów
świt smakuje ptasim mleczkiem
pocałunkiem i pomarańczą*

Andrzej Tchórzewski (ur. 18.05.1937 w Lublinie, zm. 20.05.2025 w Warszawie)

Poeta, eseista, krytyk literacki, tłumacz, dramaturg, autor słuchowisk, tłumacz literatury.

Ukończył studia na Wydziale Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Studiował na Wydziale Dziennikarskim Uniwersytetu Warszawskiego i Wydziale Filozoficznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Debiutował jako poeta w 1954 r. na łamach czasopisma „Warmia i Mazury”. Pracował w charakterze dziennikarza i specjalisty ds. przekładów, między innymi w wydawnictwach „Iskry” oraz „Czytelnik”. W latach 1975–1990 współredagował miesięcznik „Poezja”. Pracował w Polskim Radiu w programie dla zagranicy (redakcja hiszpańska). Tłumaczył na języki: angielski, hiszpański, gruziński, rosyjski, portugalski, ukraiński, włoski. Swoje utwory literackie publikował m.in. w czasopismach: „Kamena”, „Współczesność”, „Nowa Kultura”, „Kultura”, „Autograf”, „Akcent”, „Akant”, „Poezja”, „Okolica Poetów”, „Nowa Okolica Poetów”, „Nowy Wyraz”, „Regiony”, „Poezja Dzisiaj”, „Pismo Literacko-Artystyczne”, „Okolice”. Jest laureatem wielu konkursów literackich. W 2002 r. otrzymał Bemowską Nagrodę za szczególne osiągnięcia w dziedzinie kultury w kategorii: twórca, a w 2019 r. Nagrodę im. Jarosława Iwaszkiewicza za całokształt twórczości literackiej (2019). Od 2015 r.,

wraz z żoną, Aldoną Borowicz, był fundatorem prywatnej nagrody poetyckiej „Zamiast recenzji”, przyznawanej młodym poetom do 30. roku życia. Był członkiem Związku Literatów Polskich. Wydał tomy poezji: „Wnętrze kwiatu” (1960), „Dłoń dotyku” (1963), „Wosk na uczcie” (1969), „Prostota” (1980), „Reportaż z wieży Babel” (1981), „Rok Święty” (1986), „Haiku” (1999), „Kronika żywego dnia” (2002), „Na piasku chwili” (2003), „Wiersze z różnych kobiet” (2007), „Bóg – Mara – Sen” (2007), „Chroniąc oczy przed korozją” (2012); eseje „Z Poczkalni na Parnas” (2005); książkę dla dzieci „Wielki Nemuru” (1990).

Tłumaczenia: M. Dżawachiszwili, *Biały kołnierzyk*, Warszawa 1976 (z języka gruzińskiego), O. Karabielnikow, *Muśnięcie skrzydeł*, Warszawa 1989 (z języka rosyjskiego), B. Guimarães, *Niewolnica Isaura*, Warszawa 1990 (z języka portugalskiego), Zhao Lihong: *Łódką do niebios*, Toruń, Wydawnictwo Adam Marszałek 2020, (z języka angielskiego).

Wiersze z cyklu Cathay

* * *

W stylu Wielkiej Trójcy poetów z epoki Tang***

*Wyszedłem wieczorem gdy księżyc
zapragnął przelać swój chłód
w nurt rzeki*

*Miesiąc czekałem aż zamarznie woda
a nurt starannie schowa się pod lodem*

* * *

*Niezapominajki patrząc na świetliki
czekają aż któryś z roju
pożegna się z lotem*

* * *

*Pisałem w nowym stylu wiersz szy
od dawna, żeby je ścieśnić do jednej sylaby
i brązowych piosenek nocnego śpiewaka,
który w czterech tonach przywołuje świat*

* Czasy panowania Tangów to okres rozkwitu feudalnej kultury Chin (618 – 906)

** Chodzi o tao „konfucjańska postanka Niebios” Li Li Pai (701 – 762= czyt. Li Pai poetyckiego druha Du Fu (czyt.. Tu Fu) 712-770 i n..... Wang Wei” a „czyt. Łan Łej”a (699-759)

Wiersze z cyklu *Wiersze śpieszne.*

* * *

W zapadlinach
wód gruntowych
szkielety na próżno
wysuwają
nieugaszone pragnienie

spóźnione są zwłaszcza
uczciwe ustawy
prowodyrzy i liderzy
obracający od wieków
te same slogany

Nie będę dalej wyliczać
nasączony opóźnionym buntem

ale najgorsze są tutaj
spóźnione marzenia

Wilgoć

sam się tułałem
po ulicach miast
większych niż każdy
orzech do zgryzienia

ścierając stopy
mijałem godziny
wciąż bliżej plagi cierni
modnej tego roku

jakiś sattwa
czy mitra
może jehoszua
uwolni mnie od tej
daremnej wędrówki
wskazując swoje
łagodne komnaty

* * *

goniąc za cieniem słyszę jego kroki
a przecież w to nie wierzę
gdyby kapłani wiedzieli pewno by stworzyli
nową teorię ściśniętych podatników
z innym porządkiem duszy kaa i ciała

gdyby jung wiedział oddałby mnie w łapy
swych nieudolnych uczniów partaczy kozetki
po drodze mnie zatrzymał
tak zwany stróż prawa żądając
bym wytłumaczył mu co to jest poezja

Kołysanka

Nie miałem kołyski
przyszła dopiero
podczas okupacji

Dziś zmętniała
przeniosła się
do świata metafor
tuż obok świata poduszek

mnożą się te światy
oj mnożą

Jest i taki
ogromniasty
w którym daremnie
odsuwa się
co cięższe kołyski

Ja swoją przytulam
i słyszę śpiew matki ;
"ażeby ci nie było żal...
z cukru był król
z piernika paż
królowna z marcepana"

Sprawozdanie

tu wszędzie królują
opóźnienia
nie tylko pociągów i śnieżyc

mech wzrasta z ciszy
a cisza z hałasu

prawa symetrii
niech rządzą studniami
płonnik bo płonny
wszelki opór przy nim

najpierw zapala
później zaś spopiela
choć sam jest z kropli

wejdzie na groby
zagłuszy wspomnienia
tak niewiele mu trzeba

parę łez – to wszystko

* * *

szedłem tą drogą którą nikt nie chodził
kiedy ciepły ślad ptaków
przecinały płazy
łakome łupu
salamandry z górskich potoków japonii
nie dały mi zapomnieć
że ja także jestem pod ochroną
choć wśród nimfomanek
zaprawionych w seks-grafomanii
tylko ja nie łapię się na żadne słowa
i pożądam jedynie boga

* * *

w świetle poranka gdy razem z ptakami
wszczynam ten gwar płynący z przebudzonej duszy

ku wydźwięczeniu

mogę cię tylko przywitać pękiem konwalii
zerwanych w walijskich dolinach
zazwyczaj niepotrzebnie
i co mam powiedzieć
księżniczko kinestazy chodząca po ścianach
już pustych magazynów
gdzieś tam w krainie badziewia

Poset – osetka

Wożą go w teczkach
Od miasta do miasta
żeby się przydał
na jakiegoś mera

A ludzie go nie chcą wybierać
Ostrzą na nim apetyt
na demokratyczne Pięcioprzymiotnikowe
tajne głosowanie

Z dźwięczności rozdaje jabłka
jak Parys przed Troją
Ludzie nie chcą rozumieć
Dlaczego się boją

Ja bym odpowiedziała
Nie kumasz towarzyszu
To siedź sobie doma
Za tobą tłum esbeków Pedalstwo i koma
Każdy ciebie podpira
choć też się czołga
w śpiewa: „Wołga, wołga”
Mat’ radna ja

Walentynki

Podobno chłopcy
to się kiedyś nawalały
Najbardziej na dzień kobiet

Wtedy nawet żłobki strajkowały
Legalnie

A co się działo w sajuzie
Mówię wam Ludzie
Na luzie
Ósmy marca Powszechne
imieniny Klary Zet kin

Hop Dziś Dziś

Zdziś twierdzi że tera
To się nawalają niezgorzej
Na walentynki
(czternasty lutego)

Kłiz dla bystrych
o ile dni pianole
skróciły sobie samowolnie
Tak zwane męki oczekiwania

Egipskie tytanie

Przed wojną dziadek palił
egipskie przednie
jako dystyngowany utracjusz

Po wojnie nie mógł się doczekać
kiedy komuna odejdzie
i znów przyjdą
egipskie przednie

I nie doczekał Musiał
przedtem w miejscu pracy
zdobyć oznakę s.p.o.
Wypalić sporty

A teraz Phoszę
W Egipcie palą komitety
jak u nas z czasów
przeddynastycznej Solidarności

Nie chcę Mubaraka
Się obawiajom że im wyprowadzi
całe pekabe do szwajcarii

Nasi nie mają takiego szwungu
Najwyżej parcie na szkło
i skłonność do gadulstwa

Dlatego zakazali palić
A już broń Allachu Egipskich

choć jest rynek podatny
bo solidnie opodatkowany

i tak nie przebijom
faraona ze średniego państwa
który kazał poddanym płacić
za oddychanie tym samym
powietrzem Co on Amuhtoneb

Zostałam na łądzie

Mamy drugą Irlandię
Kartofle taniej
bo jest coraz mniej
chętnych do jedzenia

Z odwieczną sprawą ciastek
Tych dla ludu
Też sobie poradzimy
bo wyemigrują
oczywiście ciastka

Mnie te wyspiarskie przykłady
nie nęcą
Zostanę tutaj
Na łądzie praojców
albo prababek
Niepotrzebne skreślić
Po uzgodnieniu z madzią środą

*De domo ciupak
De anina nánǎpíngdénghǔzhé*

*Chyba że chciałby
nas wykupić sułtan Brunei
Bogatych zawsze stać na parytety*

Magdalena Błażejczyk

Pochodzi z Dziwnowa. Absolwentka Uniwersytetu Szczecińskiego. Obecnie mieszka w Szczecinie i pracuje jako referent w Rejonie Wsparcia Teleinformatycznego. Pierwsze teksty napisała na konkurs Klubu 12. SDZ.

MAŁA ŚMIERĆ

*Późno chodzę spać
By żyć jak najdłużej
Gdy świat prawie martwy
Ja ukryty w ciemności
Oszukuję*

*Nim się udam
Dobrowolnie
W małą śmierć
Udaję
Że ta nie istnieje*

*Widzę się
Tylko po ciemku
Wyznaję wszystko
Oszukany*

*Kiedy już się poddam
Jak kurz
Podmuchowi
Raz pchniętego wahadła
Będę przygotowany
Po spowiedzi*

TRZY KRAJCARY TRZECH BRACI

*Świat baśni to nie bajka
Jest prawdziwy
Rycerze w zbrojach
Księżniczki na zamkach
Mezalianse
Donżony i kazamaty
Istnieją też skarby
Poukrywane
W ziemi i w wieżach
W szlacheckich mieszkach
Mieszczkańskich sakwach
Lnianych kieszeniach
To świat zaklęty
W monecie
Ostatnich potomków
Rodu założycieli
Zawieszanej
Na łańcuszku u szyi*

PRALINKA

*Pozbywam się zmysłów
Swojej wyobraźni

Kładę na środku
Ostrożnie odwijam
By nic nie ubyło
Wygląda jak z cukru
Jak haiku lub sonet

Wgryzam się nieśmiało

Pachnie jak listy miłosne
Czasem jak noc czy krew
Sprawdzam czy jest nadzienie
Rozpoznaję składniki
Konsystencję
Smakuję całość*

Przeżykam
Intencję
Kawałek po kawałku
Słyszę opowieść
O przygotowaniach
O proporcjach
O próbach i błędach
O tobie

Kiedy już nic nie zostaje
Jeszcze długo potem
Czuję smak
Zachwytu lub bezsilności
Nieopisanego głodu

MAGISTER

Jestem w drodze
Na konferencję
Naprzeciw kościoła
Przy ławce przy rzece
Mała dziewczynka
Sprawdza czy żyje
Ciało
Brodawe wychudłe i ciemne
Powiedziałem
Oto człowiek
Nie martw się
Dziewczynko
Poszedłem dalej
Spóźniony

Czy to byłeś ty,
Nauczycielu?

NIE UCIEKAM

Rób, co chcesz.
Znajdź sobie dom,
Gdzie rozdzielają

Chleb i igrzyska.

Ja jestem stąd.

*Nie oglądaj się,
Zacznij żyć od nowa,
Z innymi ludźmi,
Zaprzyjaźnij się i zakochaj.*

*Nie zabiję
Na alarm,
Nie będę katem
Dla głupców.
Może ktoś się pomodli
Za tutejszych,
Wróci
Postawić pomnik
Nam*

*Jesteśmy tu
Tylko na chwilę,
Ja będę stąd
Już na zawsze.*

RECENZJA

Czesław Sobkowiak

Niepewność

Dotarł do mnie dosyć przypadkowo pośmiertny, jedyny zbiorek złożony z kilkudziesięciu wierszy Eugenii Karczewskiej zatytułowany oryginalnie „Podatek od życia”. Tym „podatkiem” jest oczywiście poezja, wybrana, jak przypuszczam z wielu lat pisania i odkładania do szuflad. Autorka debiutowała w „Spojrzeniach” dawno, jeszcze w latach 70. XX w. Była związana ze szczecińskim środowiskiem literackim. Lektura wierszy upewnia mnie, że tworzenie stanowiło dla niej rodzaj odreagowywania trudnych doznań uczuciowych i życiowych. Wiersze nie są datowane, ale można zauważyć, że naznacza je jeden, główny problem, który ma swoją chronologię. Jest nim sfera przeżyć i refleksji wynikających z kontaktu z drugim, bliskim sercu człowiekiem. Przeważnie są to obrazy pełne rozterek i pytań o kształt wzajemnych relacji, uczuć, poszukiwania nadziei na wzajemne porozumienie się. I nieustannie odzywa się nuta właśnie niepewności o realność tych sytuacji. Zresztą już sama ilustracja na okładce zdaje się sugerować, że treści poetyckie



do lekkich nie należą, bo są skomplikowane. Nie chodzi tylko o symbolikę klepsydry sygnalizującą przemijanie. Podmiot często trwoży się, że może „zgubić radość w milczeniu”, a ktoś „być głuchym na odgłosy życia szczęścia”. Dla kobiecego podmiotu właśnie radość i szczęście mają fundamentalne znaczenie. Myśli tego rodzaju często nawiedzają ją. Bardzo otwarcie i szczerze o tym poetka pisze. Na ten fakt zwrócił też uwagę autor *Wstępu* Piotr Pawłowski: „Karczeńska jest baczny obserwator życia, otaczającej przyrody, ludzi”. Co ciekawe, te wiersze nie przekreślają, mimo niepowodzeń czy kłopotów, jednak sensu utrzymywania relacji, nawet jakby niezbyt udanych, bo obarczonych niedosytem, jakimś brakiem, samotnością. Po swojemu, kobiecemu, jakoś wszystkie sprawy osobiste, intymne podmiot sobie tłumaczy, bo są ważne dla podmiotu. Nieoczywiste. Poezja pomaga wyjaśniać różne kłopoty i je interpretować. Są trudne i skomplikowane, ale nie zostają zanegowane. Ich natłok, przypuszczam, sprawia, że trafiają się w wierszach również potknięcia poetyckie. Ciągłe jednak chodzi o niezagastą nadzieję w podejmowaniu nowych prób wzajemnego porozumienia się z bliską osobą. To jest bardzo ciekawe, poetyckie świadectwo życia. I cenne jest to, że Eugenia Karczeńska nie popada w cikliwą i sentymentalną wylewność. Mamy do czynienia z portretem lirycznym, a więc i z odstąpieniem, daleko idącym, psychiki kobiety. Nie dostrzegam tu powierzchownego epatowania doznawaną samotnością. Ma miejsce realny opis tego wszystkiego, co podmiot naprawdę dostrzega i się dzieje. Poetka odkrywa sferę swoich uczuć, ale nie używa nadmiaru słów. To ważne. Wyraża swoje doznania precyzyjnie i oszczędnie. Tyle, ile trzeba. Nic więcej. Nie wdaje się przy tym w daleko sięgające wiwisekcje podmiotowe. Są to raczej poetyckie notatki z przeżyć, krótkie zapisy refleksji, aniżeli utwory rozwlekłe. Można dostrzec, że raz po raz po prostu odzywa się w poetce potrzeba zapisania silnego żywiołu wrażeń, skojarzeń, których dostarcza życie. Nie tylko negatywnych, ale też i pozytywnych, cyt.: „Mieć cię przed oczami / jak płomień w ciemnościach / Lżej sercu Lżej dłoniom”. Te wiersze towarzyszą poetce „zamykają drogę / wszystkim przeciwnieństwom”, tak, jak czyjeś dłonie. Są świadectwem podmiotowej wrażliwości. Cechuje ją rozedrganie, dociekliwość oraz rozpamiętywanie życiowych epizodów. Towarzyszy jej przy tym poczucie stałej niepewności. Ale. Co ważne, wzbogaca poetka swoje zapisy wyraźnymi odniesieniami do przyrody. Myślę, że mimo wielu rozterek odnajduje w niej potrzebne wsparcie. Zwroty do niej, czyli do przyrody, pozwalają łagodniej ujmować egzystencję. Poetka wtedy zachowuje wiarę, że „słońce południa / w barwach owoców / przywróci dzień”. Poniekąd cała przyroda, las, ptaki metaforyzują, wspomagają słowa tych wierszy. Dają im pogodę i oddech. Przyroda istotnie

spaja się z wyobraźnią i uczuciowością, np.: „Dojrzewającym zbożem wrócę / zapachem”. Gwarantuje to harmonię. Obcowanie z nią ma charakter stałego motywu. Toczy się dialog. Na tę sferę otwiera się jej wnętrze: „ostatni dzień / wystukał koniec dnia”, „każda kropla deszczu / pamięć słońca / dawały nie-skończoność trwania”. Spostrzeżenia są zwyczajne, niewyrafinowane metaforycznie i cechuje je autentyzm. Tutaj nie ma miejsca na dramatyzm zamykania się lub izolowania od świata, co jest znakiem wewnętrznej siły. Jest także miejsce na apel do kogoś: „Otwórz drzwi od siebie / ku życiu”. Tak więc widzi życie jako potrzebną harmonię, która może dać radość. O nią wytrwale się stara, co znajdzie czytelnik w nie jednym wierszu. Niepokojące refleksje jednak nie dają podmiotowi spokoju: „łatwo zamknąć życie / w klatce dnia / usidlić się we własnych / myślach”. A nawet wiodą do zwątpienia, bowiem biegnący czas „okrada ze złudzeń”. I zaprzecza oczekiwaniom.

W tym lirycznym tropie odzywa się osobista, dramatyczna nuta, którą przywoływałem na początku tej recenzji, a mianowicie dotycząca kształtu relacji z drugim człowiekiem. Jest to oczekiwanie spełnienia życiowego i porozumienia się. Kiedy to wszystko weźmie się pod uwagę, można rzec, że mamy do czynienia z wierszami wzruszającymi, prawdziwymi, będącymi rodzajem poetyckiego „snu o szczęściu”. Powracającego snu. Bywa, że smutnego. Trudnego. Cechuje go niejednolita tonacja. Ważne tutaj to, że obok zawikłania i niepewności jest zachowana prostota narracji: „spowici ciszą / płyniemy po brzask”. Poetka prezentuje, można rzec, piękną postawę pokory, wyczekiwania i ciszy, mimo, że nie jedynie łagodne sprawy ją dotyczą. Oraz. Nie przemilcza, że jest jej znany „śmiech co boli” i daje o sobie znać „jeden krzyk”. Rodzą się na tym styku różne, liryczne, ostre napięcia. I jakby równolegle godzi się z ich istnieniem. Są marzenia i świadomość ich nierealności. Czytając te wiersze ma się obraz dramatu międzyludzkiego. Dzieje się w tej sferze dużo. Jednak pozostaje i mała furtka – otwartość na kolejny, nowy dzień: „gołąb życia / chciwie patrzy w zieleń / jak w życiodajną kulę”. Pisze poetka w jednym z wierszy: „jak szybko ten świat zniknie nam z oczu?”. I na koniec. Czytam słowa jakby wbrew wszystkiemu napisane: „pozostaję z tobą / – bez ciebie”. Piękne to wyznanie. Taki zostawiła po sobie poetycki ślad Eugenia Karczevska.

Eugenia Karczevska: *Podatek od życia*. Szczecin 2024, Wydawnictwo ZAPOL.

Fantastyczna ziemia w prozie Bogdana Jemielity

Kiedy Leszek Dembek, prezes szczecińskiego oddziału Związku Literatów Polskich, zaproponował mi, abym koniecznie napisał recenzję o książce „Piękna ziemia” Bogdana Jemielity, wydanej w 1979 roku, mocno zirykowałem się, bowiem, jaki sens ma pisanie o publikacjach wydanych w czasach PRL-u. Kiedy ukazała się książka miałem trzynaście lat, a obecnie od wydania zbioru Jemielity upływa 46 lat, toż to dla mnie grzebanie w literackim archiwum X. Ale Leszek był nieustępliwy i naciskał. Przekonał mnie jednak niecodziennym pomysłem, przygotowaniem nowego numeru rocznika „Pryzmatu Literackiego”, poświęconego artystom szczecińskim minionych czasów. Wielu z nich to twórcy już zapomniani, inni z kolei po krótkiej przygodzie ze sztuką zaprzestali jej uprawiania z różnych przyczyn. W tej grupie znalazł się Bogdan Jemielita, urodzony w 1949 roku w Drawsku Pomorskim. Jeśli autor dziś żyje, liczy sobie 76 lat.

Z kwerendy przeprowadzonej w Internecie nie znalazłem prawie żadnych informacji o tym prozaiku. Najczęściej pojawiała się, że jest autorem wspo-



mnianego wyżej zbioru opowiadań, który wyszedł staraniem Wydawnictwa Poznańskiego w nakładzie nieco ponad 10 tysięcy egzemplarzy (sic!). Zatem teksty Jemielity musiały zyskać minimum dwie pozytywne opinie wewnętrzne redaktorów z Wielkopolski i oczywiście przejść przez ręce, a właściwie oczy cenzora z Delegatury Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Kim był twórca siedemnastu opowieści zawartych w „Pięknej ziemi”. Z obwoluty dowiadujemy się, że zadebiutował opowiadaniem w 1967 roku na łamach „Kultury”, zatem zaczął z wysokiego C. Potem swoją prozę zamieszczał w pismach „Spojrzenia” i „Sigma” oraz na antenie radia

szczecińskiego i warszawskiego. Kilka jego opowiadań znalazło się w almanachu opowiadań młodych środowiska szczecińskiego „W mocy rąk”, wydane go w 1975 roku. A recenzowany tom opowieści „Piękna ziemia” był debiutem książkowym pomorskiego prozaika, który wówczas zatrudniony był w oddziale PZU w Szczecinie.

Co ciekawe, przeszukałem także zasoby Książnicy Pomorskiej w Szczecinie i Miejskiej Biblioteki Publicznej grodu Gryfa, a także zawartość Encyklopedii Pomorza Zachodniego Pomerania.pl i Bibliografię Pomorza Zachodniego, dostępną w zdigitalizowanej formie w Zachodniopomorskiej Bibliotece Cyfrowej „Pomerania”, jednak i tu katalogi wyszukiwarek były głuche na nazwisko Jemielita. Nie znalazłem też w świecie cyfrowym żadnych recenzji tomu Jemielity, a z pewnością takowe były. W książce również nie znalazł się żaden wstęp czy postowie jakiegoś redaktora prowadzącego i promującego talent debiutanta.

Jak się okazało po latach, Jemielita nic więcej już nie wydał, a zatem jego debiut książkowy był efemerydą wydawniczą, bowiem pisarz zarzucił karierę literacką, która zapowiadała się na całkiem niezłą, gdyż pisarz dość wprawnie operował słowem, tworzył interesujące i intrygujące fabuły, stosował zaskakujące zakończenia, a jego bohaterowie byli zwykle bardzo udziwnieni, jakby pochodzili ze świata snu, marzeń, baśni i lokalnych podań. Zwykle akcja opowieści Jemielity osadzona jest na wsi lub w jej pobliżu, w okolicznych lasach, polach, łąkach, sadach czy nad zbiornikami wodnymi, a niekiedy na górskich wzniesieniach. Rzadko autor wymienia konkretne miejsca, np. Bierzwnik, Lublin, Jezioro Dąbskie, a niekiedy tworzy własne nazwy geograficzne, jak wieś Binówek.

Już w tytułowym opowiadaniu, które otwiera tom, stykamy się z traumami, jakie będą także później przewijać się w wielu wątkach fabularnych. W „Pięknej ziemi” rzecz dotyczy zmartwychwstałego Berbaka, który powraca do rodzinnej wsi jako włóczęga i oberwaniec, ale sołtys mu nie chce wierzyć, bowiem Berbak już nie żył i był pochowany wraz z żoną na wiejskim cmentarzu. Jego pojawienie się we wsi wywołuje ogólny chaos i panikę, a chłopci widzą w Berbaku diabła. Berbak zamieszkał w rozpadającej się chacie i zmarł w niej zimą. Mieszkańcy wsi pochowali go obok poprzedniego Berbaka i jego żony, a z czasem o nim zaczęto opowiadać legendy.

W drugiej opowieści „Ryzykowny pomysł” znów mamy do czynienia z wędrowcem, który dotarł do wsi i zaczął łowić ryby w bajorze. Jednak wieśniacy, którzy żyli z rybołówstwa, nie byli tym faktem zachwyceni. Poradzili obcemu,

aby wszedł na dwumetrową lipę, bo ktoś będzie chciał go zabić. W nocy na drzewo wszedł jednak śmiałek z zamiarem zepchnięcia i zabicia wędrowca. Był nim pisarz, z którym bohater zaczął rozmawiać o możliwości zmiany fabuły, aby uniknąć śmierci. Postacie z tej opowieści Jemielity dywagują nad zmianą przebiegu akcji, aby uniknąć fatum. Przypomina to żywcem sztukę teatralną Luigiiego Pirandella „Sześć postaci w poszukiwaniu autora”, w której aktorzy buntują się i chcą decydować o swoim losie zamiast reżysera.

Opowieść trzecia dla odmiany dzieje się w mieście, w którym żyje stutrzyna-stoletni człek, zakochany w swojej aglomeracji. Starzec jest już ślepy, ale uwielbia siadać na ławce w śródmieściu, słuchać śpiewu ptaku i wielkomiejskiego gwaru. W snach niewidomy stwarza swoje miasto, stawia domy i wiadukty, ale najbardziej boi się zimy, która sprawi, że śniegu napada tyle, że zakryje całe miasto aż do nieba. W ten sposób zima unicestwi miasto i starca.

Zazwyczaj postacie w prozie Jemielity pojawiają się znikąd, nagle, jakby w celu ożywienia fabuły. Tak dzieje się w kolejnej opowieści „Burza”, kiedy główny bohater skrył się w lesie, aby przeczekać nawałnicę. Wówczas „z sinej ściany deszczu” wyszedł zakapturzony człowiek o siwych włosach, który szukał nastoletniego chłopca, a owe poszukiwania trwały już lata. Ów chłopiec zaginął w czasie burzy, kiedy biegł do lasu ostrzec ojca, który był drwalem. Jak się okazało, chłopiec tak długo chodził po lesie, aż zrobił się stary. Kiedy bohater spojrzał w kieszonkowe lustro ujrzął w nim tajemniczą postać z lasu. Okazało się bowiem, że tym starcem był właśnie główny bohater, który dawno temu schował się w lesie przed ulewą.

W opowieści „Nadzieja zmarłych” główny bohater Patryk komunikuje się z umarłą matką za pomocą lustra. Odwiedza jej świat, w którym ludzie „żyją i nie żyją”, gdzie zawiadowcy na peronach czekają na pociągi, które nie przyjeżdżają, gdzie telefony dzwonią tylko po to, aby dzwonić, gdyż nie ma nikogo po drugiej strony słuchawki. Matka przekazuje mu przesłanie: „Wydaje ci się, że rzeczywistość jest tym, w co wierzysz i widzisz na własne oczy. Nieprawda; ludzie, których widziałeś w miasteczku, to tylko cienie, Nikt ani nic nie jest tu naturalne. Ty także znajdujesz się w obszarze chaotycznej świadomości i tkwisz w nim, jak w bezdennej studni. (...) W głębi każdego z nas istnieje jakiś przerażający byt, którego w żaden sposób nazwać nie można”.

W „Zmierzchu bogów” – kolejnej miniaturze prozatorskiej, bohater wypowiada znamienne słowa: „Czy człowiek wciąż musi należeć do nicości, istnieć tylko w złudzeniu? Bo przecież każdy, kiedy pojawia się i znika, to jakby wiatr

przebiegał w syrkim piasku, tak niepotrzebny jest światu". W innej opowieści „Arkadiusz i Księżyc” autor porusza problem starości i samotności, a słowa bohaterki odzwierciedlają świat fikcji tworzonej przez pisarza: „Przedmioty w moim pokoju same zmieniają swoje miejsce albo chwieją się jak żywe. Co jakiś czas zdarzenia zmieniają swoją kolejność. Padają inne słowa. (...) Rozgrywają się we mnie zdarzenia bez ładu i ciągłości”.

W utworze „Nad Kaczym Potokiem” mistrz ciesielski miał zbudować most, ale drewno ożyło i zaczęło piszczeć podczas cięcia piłą. Wówczas wszystkie drzewa w lesie sprzysięgły się przeciwko ich katowi, natura zaczęła walczyć z oprawcą, woda zniszczyła most, liście zaczęły chłostać cieślę, kiedy wdrapał się na drzewo. Puszcza wypuszczała zęby, aby go wchłonąć i ukarać.

W kilku opowieściach Jemielity jego bohaterowie tkwią w stanie odrętwienia, malignie, gorączce, balansują między realnością a wyobraźnią, żyją na krawędzi rzeczywistości i mitów, ożywiają mroczne legendy, albo trwają we własnych omamach, rozmawiają ze zmarłymi lub z naturą, sami tworzą dookolny świat na osobisty użytek albo wchodzą we własne marzenia sennie, które ożywają. Tak dzieje się np. w tekstach pod tytułem: „Na skraju nocy”, „Zima w Bierzwniku”, „Wyzwolenie”, czy „Gruby i inni”. W „Zimie w Bierzwniku” główny bohater znajduje się „na pograniczu snu i jawy”, w wyobraźni tworzy melancholijne obrazy i tam spotyka nieznaną dziewczynę-zmórę, z którą odbywa stosunek. Z kolei w utworze „Jezioro Dąbskie” kochankowie celowo topią się, aby sprawdzić, że istnieją w świecie realnym, a nie w wyobrażonym. Natomiast w tekście „Gruby i inni” tytułowy bohater trafia do pracowni malarskiej Zatomka i tam bytują w jego obrazach, przechodząc z jednego do drugiego, jakby wędrowali po różnorodnych światach, spotykając innych ludzi i dziwadła.

W zamykającym książkę opowiadaniu „Leśny pył” główny bohater wraz z matką przyjeżdża pociągiem do lasu na grzyby. Tam jednak rozstaje się z matką, kiedy w dziupli starego dębu odnajduje czarnego pieska. W efekcie okazało się, że piesek należał do sfory leśnych zwierząt-duchów, które zamieniły się w ciemną, pochłaniającą wszystko masę, a ostrzeżeniem dla zbieracza runa był złowieszczy głos, przypominający mu, że kiedyś i on obróci się w proch.

To, co odnajdujemy w konstrukcji fabularnej Jemielity to swego rodzaju imponderabilia, fantasmagorie, absurdalność, paradoksy, niekiedy czarny humor, blisko nawet pure nonsense, co wynika z nadrealnych zdarzeń, majaków, ułud, pozorów, fantazji, pijackich zwidów lub sennych wizji. W ten sposób autor bawi się z czytelnikiem, intryguje go, zadziwia, zaskakuje i... wyprowadza

w przysłowiowe pole, tworząc nieoczekiwany finał, niekiedy dość banalny, lecz zawsze niespodziany. W jego opowieściach roi się od tajemniczych nieznajomych, przybyszów i starców, leśnych i wiejskich włóczęg, zmarłych, cieni, zjaw, duchów, olbrzymów, monstualnych pajaków, posągów-pajaców, psów-odmieńców, kozłów i strachów na wróble.

Jemielita bawi się literaturą, udowadnia, że w sztuce wszystkie chwytły są dozwolone, a artysta jest wolny i niczym nieograniczony; jest kreatorem, twórcą, bogiem dla swoich bohaterów. On może ich powoływać do życia, w dowolnej chwili uśmiercać albo ułaskawiać od popełnionych czynów; może decydować o ich losie, a nawet w trakcie fabuły zmieniać ich życie i cały ciąg przyczynowo-skutkowy bez jakiegoś sensu, logiki, powodu. Jego postacie mogą pojawić się w każdej chwili, wytonić z mroku, z mgły, deszczu, snu albo też w dowolnej sytuacji nagle zniknąć, odejść, rozpląnąć się w wodzie czy powietrzu bez jakiegokolwiek przyczyny. Wplata w ten sposób wątki magiczne, baśniowe, fantastyczne, sprawia, że jego pisarstwo staje nie tyle mroczne, groźne, dramatyczne, ile nieprzewidywalne. W jego prozie może się wszystko wydarzyć, jest ona otwarta i niczym nieskrępowana. To sprawia, że jego twórczość przybliża się do realizmu magicznego, ociera o fantastykę, a bardziej o fantasy.

Utworów Jemielity jednak na próżno szukać właśnie w czasopiśmie fantastyczno-naukowych, które w PRL już zaczęły się pojawiać, może dlatego, że nie spełniały one do końca wymogów kanonu science-fiction. Rozgrywały się zawsze w świecie realnym, wśród zwyczajnych, często bezimiennych postaci (zwykle chłopskich), podobnie jak bezimienne są przeważnie jego wsie i miasteczka, w których zawiązuje się akcja. Być może ta nieograniczoność i nieprzewidywalność artystyczna u Jemielity sprawiały, że nie wpisywał się on bezpośrednio w nurt literatury fantastycznej. Widać więc, że Bogdan Jemielita w latach 70. ubiegłego wieku szedł bardzo indywidualnie, własną i osobliwą drogą twórczą; w czasach, kiedy w PRL pisarz nie był ani wolny, ani niezależny, dowodził, że w jego świecie fikcji on, jako prozaik, pozostaje naprawdę wolny artystycznie i we własnej sztuce literackiej może dokonywać wszystkiego niczym magik lub czarnoksiężnik. Wydaje mi się, że taka właśnie idea przyświecała szczecińskiemu pisarzowi, który choć na moment zaistniał literacko, swój osobisty cel osiągnął.

Bogdan Jemielita, *Piękna ziemia*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1979, s. 156.

Sam na sam z Marią Pawlikowską-Jasnorzewską

Spotkanie sam na sam z poetką pozwoliło mi jeszcze lepiej ją poznać. Zachęcam do sięgnięcia po *Zapiski z umierania* Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej w opracowaniu Rafała Podrazy.

9 lipca 2025 roku minęło 80 lat od śmierci poetki i dramatopisarki uznawanej za jedną z najwybitniejszych postaci polskiej literatury XX wieku. Dzięki inicjatywie Rafała Podrazy patronką roku 2025 jest Maria Pawlikowska-Jasnorzewska. Pomysł ten narodził się w stolicy Pomorza Zachodniego i w tym też mieście miały już miejsce wydarzenia i inicjatywy ku uczczeniu pamięci poetki.

Chciałabym podzielić się refleksją po lekturze książki, która ukazała się całkiem niedawno nakładem Szczecińskiej Agencji Artystycznej. Ukazała się również w Szczecinie w roku, którego patronką jest starsza córka Wojciecha Kossaka. *Zapiski z umierania* Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej opracowane przez Rafała Podrazę pokazują nieco inny obraz autorki, niż jej wiersze. Jaki? Przekonajmy się.

Zapiski z umierania w nieco innej formie mieli okazję już poznać nie tylko szczecinianie w zeszłym roku. 28 października słuchacze Polskiego Radia Szczecin usłyszeli pierwszy odcinek audiobooka o tym samym tytule. Dwa dni później w studiu wspomnianej rozgłośni radiowej odbyło się wydarzenie *Zapiski z umierania. Maria Pawlikowska-Jasnorzewska performatywnie*. W obu przedsięwzięciach w rolę Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej wcieliła się wielokrotnie nagradzana aktorka Teatru Współczesnego w Szczecinie – Anna Januszewska. Całość wyreżyserowała dziennikarka Radia Szczecin, Małgorzata Frymus. Tekst audiobooka oraz czytania performatywnego powstał na podstawie książki *Wojnę szatan spłodził. Zapiski 1939-1945*, którą opracował



i wydał w 2012 roku wspomniany wcześniej biograf rodziny Kossaków. Tak samo, jak tekst książki.

Do dzisiaj pamiętam spotkanie z *Zapiskami* w studiu radiowym. W wykonaniu Anny Januszewskiej i przy muzyce Krzysztofa Baranowskiego zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Wtedy *Zapiski z umierania* Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej wydawały się wręcz przygniatające. Odczucia, uczucia i emocje słyszałam nie tylko poprzez słowa, ale również dzięki grze aktorskiej. Nic w tym dziwnego, ponieważ tematyka do łatwych nie należy.

Teraz miałam okazję po raz kolejny zmierzyć się z tą historią dzięki książce wydanej przez Szczecińską Agencję Artystyczną. Bez głosu aktorki, bez muzyki, w ciszy, bez ludzi wokół, w swoim pokoju. Mogłam spędzić te chwile sama z Marią Pawlikowską-Jasnorzewską. To pozwoliło mi na kontynuację refleksji, która miała swój początek jeszcze w zeszłym roku.

Zajrzyjmy do opisu wydawcy: (...) *»Zapiski« ukazują osobiste, a wręcz intymne przemyślenia poetki w obliczu ciężkiej choroby oraz jej zmagania z tęsknotą za ojczyzną i bliskimi. To świadectwo cierpienia, pokory i niezwyklej siły twórczej, wnuczki, córki i siostry Kossaków.* Literaturę faktu czytam chętnie. Biografie, autobiografie, wspomnienia, reportaże są dla mnie lekturami obowiązkowymi. Dlatego też sięgnęłam po ten mniej poetycki portret Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Zapisy wspomnień bez ideału, bez kolorowania, pełne emocji i wywołujące emocje. Starsza córka Wojciecha Kossaka chorowała na raka szyjki macicy. Książka porusza więc nie tylko ważny temat, ale pokazuje również, z czym zмага się człowiek w obliczu choroby. Nie tylko z cierpieniem i bólem fizycznym, ale też psychicznym. Los, życie wystawia go na próbę i to w sobie ludzie muszą znajdować siłę i te okruszki wiary w to, że będzie lepiej. Wszystko po to, żeby móc dalej walczyć o siebie. Może również odwagę? Zajrzyjmy do jednego z fragmentów: (...) *Od trzech dni nie odbieram telefonu. Nie otwieram drzwi. Boję się. Miałam wyznaczoną operację na dziś o piątej, ale zatelefonowałam, że nie przyjdę. Coraz mniej mi się chce tej operacji. Oni się obawiają na przyszłość i chcą usunąć »na wszelki wypadek« coś tam (jajnik), podczas gdy tumorka żadnego nie ma! Na razie udaję, że jestem przeziębiona.* (...) W następnym fragmencie przeczytamy: (...) *Cztery dni dałam tak radę, w piątym się złamałam. Poszłam. Dwa dni i koniec. Strach ma wielkie oczy.* (...)

Znajdziemy również wspomniane wcześniej mierzenie się z tęsknotą za bliskimi, między innymi w tym fragmencie: (...) *Od dziesięciu miesięcy ani słowa od Madzi (»Samozwaniec« nasz kochany!), ani o niej, ani o reszcie bliskich. Jestem tym*

już tak strasznie zmęczona, że od kilku dni leżę wykończona (...). Nie brakuje tęsknoty za ojczyzną.

Książka *Zapiski z umierania* nie tylko pozwala poznać fragment z życia Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, ale również niesie ze sobą coś uniwersalnego: pokorę, ale jednocześnie walkę w obliczu choroby. Także miłość i przywiązanie do bliskich oraz tęsknotę za nimi i w końcu chęć powrotu do kraju.

Spotkanie sam na sam z poetką pozwoliło mi jeszcze lepiej ją poznać. Zachęcam do sięgnięcia po *Zapiski z umierania* Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej w opracowaniu Rafała Podrazy.

Robert Florczyk

Maria Boniecka a „Ziemia i Morze” w „Ucieczce za druty”

Kiedy konstatujemy, że od publikacji Marii Bonieckiej „Ucieczka za druty” minęło już pół wieku, a nadal wielu szczecinian nie zaznajomiło się z książką, która opisuje prawdziwy Szczecin, nie tylko literacki, to warto podjąć wątek dotyczący tygodnika „Ziemia i Morze”.

Ze zrozumiałych względów, kontynuując temat poezji, jaki pojawił się w poprzednich wydaniach „Pryzmatu Literackiego”, i ten wątek chcę przedstawić z moimi refleksjami po lekturze zarówno „Ucieczki za druty” jak i wydań tygodnika „Ziemia i Morze” pod jej kierownictwem, w tym grupy poetyckiej Metafora.

W okresie tzw. odwilży powstał projekt powołania tygodnia kulturalno-społecznego, w dniu 25 listopada 1955 roku Witold Wirpsza kieruje pismo do WRN i MRN w Poznaniu, które dotyczy utworzenia tygodnika społeczno-kulturalnego w Szczecinie. Jak komunikuje – są to streszczone tezy, które zostały wiosną przedstawione sekretariatowi KC PZPR. Właśnie Witold Wirpsza miał zostać redaktorem naczelnym przyszłego tygodnika „Ziemia i Morze”, gdy nieoczekiwanie został przeniesiony do Warszawy. Możemy o tym



(zdj. www.antykwariatatticus.pl)

przeczytać w notatce z 20 stycznia 1956 roku, będącej w zbiorach Książnicy Pomorskiej: „Wiadomość o decyzji K.C. w sprawie pisma społeczno-literackiego w Szczecinie zastała środowisko twórcze i zainteresowanych naszego miasta, w znacznej mierze przygotowanych do podjęcia w najbliższym czasie konkretnych prac w tym względzie. Przedyskutowaliśmy projekt składu przyszłej redakcji. Wyglądałaby ona następująco: magister Boniecka Maria redaktor naczelny, Witold Wirpsza zastępca naczelnego, Henryk Rozpędowski sekretarz redakcji [...]. Otrzymaliśmy ostatnio wiadomość, że kolega Wirpsza zostaje w Warszawie, więc na zastępcę naczelnego wszedłby ewentualnie przedstawiciel środowiska kulturalnego Gdańska. W wypadku, gdyby władze centralne delegowały kogoś innego na stanowisko redaktora naczelnego magister Boniecka objęłaby ewentualnie funkcję zastępcy.[...]”.

Kulisy tej nominacji możemy poznać w „Ucieczce za druty”, gdzie Maria Boniecka opisuje jak to ją przekonywał tow. Ludwik Krasucki, że partia zawsze ją ceniła i miała wielkie zaufanie. Nikogo innego partia nie chce, że jest potrzebna Ziemiom Zachodnim, społeczeństwu i że nie wolno jej zdradzać swego miasta. Pisarka uległa tym namowom. Z perspektywy czasu autorka definiuje jednak te zachęty jako element walk frakcyjnych, gdzie Krasucki, jako związany z grupą puławską walczącą z grupą natolińską, zabiega o popularność poprzez oddziaływanie na masy poprzez program radykalnych zmian. Utworzenie tygodnika „Ziemia i Morze” miało być podstępem, by oszukać opinię publiczną i ostatecznie zdemaskować wrogów socjalizmu, w tym samą naczelną, gdzie lista jej przewinień zaczyna się od braku walorów ideowych i nie dość usilnie przeciwstawiała się błędnym tendencjom. W zasadzie tendencje zawsze na nowym etapie będą inne, a te z poprzedniego będą błędne, jak to wynika z mądrości etapu. Przeczucia Marii Bonieckiej, że ten – jak go nazywa – epizod, będzie ciążył na jej życiu niestety sprawdziły się i to dość szybko.

Wróćmy do notatki, by jeszcze odczytać „zaklęcia poprawności politycznej”, jakie (formułują autorzy/autor?): „Grupa redakcyjna wychodzi z założenia, że pismo winno stać twardo i bezkompromisowo na gruncie partyjności literatury i sztuki. Powołane ono zostaje dla niesienia pomocy miejscowym władzom terenowym w walce o upowszechnienie i umasowienie kultury”. Dalej czytamy, zgodnie z mądrością nowego etapu, że odcinają się kategorycznie od poprzedniego pojmowania zadań twórców w okresie „budowania socjalizmu” mimo, że powinni znać książeczkę Jerzego Andrzejewskiego „Partia i twórczość pisarza”, gdzie czytamy: „Cóż więc może uwolnić pisarza od elementarnego obowiązku twórcy, aby siebie samego dobrze słyszeć? Partia dopomaga pisarzowi w tym dobrym słyszeniu samego siebie. Partia swoimi wskazaniem i swoją krytyką wyczula słuch artysty, jeżeli ten oczywiście chce słyszeć i nie upiera się przy głuchocie. Również kolektyw pisarski, gdy dobrze działa, spełnia w tym zakresie dużą i twórczą rolę”. Redakcja „Ziemi i Morza” nie za bardzo chyba zaznałomiła się z treścią książeczki Jerzego Andrzejewskiego, który, było nie było, założył Oddział Związku Literatów Polskich w Szczecinie.

W takich właśnie okolicznościach Maria Boniecka zostaje naczelnym redaktorem „Morza i Ziemi”, ale przecież trzeba przywołać jak wygląda otoczenie społeczne i kulturalne Ziemi Zachodnich.

Nie jest to miła lektura „Ucieczki za druty”, obraz społeczny, kulturalny, ekonomiczny Szczecina i Pomorza jest druzgocący. Komunistyczna władza rządzi, posługując się analfabetami, przestępcami, karierowiczami, ludźmi bezwzględnymi i bez żadnych hamulców. Króluje fałsz i obłuda w przekazie medialnym, ale także pomiędzy ludźmi, nikt nie jest pewny kto może być konfidentem.

„Prawdziwym nieszczęściem województwa szczecińskiego było i jest do dziś to, że aktyw partyjny, podobnie jak etatowi pracownicy komitetów od gminnego do wojewódzkiego, rekrutują się spośród elementów niesłychanie prymitywnych. Następuje więc zalew prawdziwych ciemniaków i podejrzaných typów. Półanalfabeci, różnego gatunku symulanci, a nierzadko zdecydowani przestępcy obejmują odpowiedzialne stanowiska w administracji, szkolnictwie, kulturze, przemyśle i handlu, wskutek czego nie tylko ulega zahamowaniu ogólny rozwój, ale właśnie tu, w Szczecinie, dzieją się niezliczone skandale, ujawnione częściowo w okresie Października[...]. Podobnie przedstawiają się sprawy ekonomiczne, króluje marnotrawstwo, stanowiska są obsadzone osobami z nadania politycznego, a nie według kompetencji. Sprawy te zostaną ujawnione także w publikacjach tygodnika „Ziemia i Morze”, zwłaszcza są bulwersujące sprawy dotyczące zatonięć budowanych statków.

Generalnie obraz narysowany w „Ucieczce za druty” jest ponury i może współczesnym wydawać się przerysowany, ale niestety jest prawdziwy. Nie spotkamy się z takimi opisami we wspomnieniach Piotra Zaremby, pierwszego prezydenta Szczecina, ale przecież w poprzednich czasach nie można było tak opisywać rzeczywistości. Ale można te gorzkie zapisy zweryfikować, jednym ze źródeł może być Henryk Rozpędowski – wspomniany sekretarz redakcji, który na łamach paryskiej „Kultury” w 1958 roku potwierdza te konstatacje: „[...] ukazują się publikacje wymierzone przeciw dotychczasowym metodom pracy sądów, milicji, służby bezpieczeństwa, przeciwko łajdactwom większych i małych kacyków”, ale też ukazują się dotyczące marnotrawstwa gospodarczego: „[...] rozwiewające propagandowy mit o sukcesach stalinowskiej gospodarki morskiej: milionowe straty, tępota, potworne marnotrawstwo dóbr w rybołówstwie morskim, w portach i stoczniach, skandaliczna gospodarka wielką bazą rybołówstwa dalekomorskiego w Świnoujściu, ukrywana starannie przez aparat bezpieczeństwa prawda o zatonięciach polskich statków – rezultat biurokracji i bezdusznej gospodarki kadrami.” Henryk Rozpędowski wspomina też o niełatwych sprawach z autochtonami i Niemcami, tematy nie były objęte redakcją „Ziemi i Morza”.

Wszystko to potwierdza, że gorzkie, nawet bardzo gorzkie opisy egzystencji ówczesnego Pomorza Zachodniego i przecież całej Polski zostały opisane przez Marię Boniecką w „Ucieczce za druty” zgodnie z realiami. Pamiętajmy o ingerencjach cenzury w publikacjach tygodnika, ale na emigracji w paryskiej „Kulturze” w roku 1958 czy w Londynie, gdzie opublikowano „Ucieczkę za druty” można było już pisać prawdziwie bez cenzury.

Czy w takim świetle ówczesnych realiów kultura, a dokładnie literatura mogła być w lepszej kondycji niż gleba społeczna, polityczna czy gospodarcza, z której ma wyrastać? Słuszne założenie, że nie mogła być w lepszej kondycji potwierdza Maria Boniecka w swojej książce. Żyjemy w Szczecinie w przekonaniu, że Klub Literacko-Artystyczny przy Alei Wojska Polskiego to wyjątkowe miejsce spotkań ludzi kultury, gdzie powstał wiersz Gałczyńskiego o biedronce „Satyra na bożą krówkę” i tak to wspomina Maria Boniecka w „Ucieczce za druty”: „Pamiętam pierwszą siedzibę klubu literatów, plastyków i dziennikarzy, ochrzczonego przez Gałczyńskiego „Klubem XIII Muz” (nazwa została do dziś), a mieszczącego się wówczas na parterze starej kamieniczki przy Alei Wojska Polskiego 42. Lokal był wyjątkowo obskurny, ciemny, wilgotny i zimny. Bywalcy – literaci dzielili się na dwie grupy – tych z importu i miejscowych, przy czym pierwsi mieli pieniądze, drudzy – szerokie plany i żarliwe nadzieje.

[...] W tym nieprzytulnym, cuchnącym, zastarzałym brudem lokalu, mimo wąskich ram, wzajemnej nieufności i animozji, mimo coraz jawniejszego osaczenia z zewnątrz, ostrożności i ubóstwa, typowych dla środowisk bez tradycji, zapowiadał się jakiś zaczątek szerszych zainteresowań, chęć wyjścia naprzeciw współczesności, szukanie kontaktów, próby dyskusji."

I tak właśnie zaczynała się tworzyć kultura w Szczecinie, co ważniejsze oczywiście z punktu widzenia autorki „Ucieczki za druty” baczniejszą uwagę zwracała na literaturę i literatów. W Szczecinie niewątpliwie najznaczącą pozycję mieli „importowani” Jerzy Andrzejewski i K.I. Gałczyński. Tego pierwszego odwiedził nawet Czesław Miłosz i stwierdził, że żyją tu z dala od troski i realnej rzeczywistości – „Oni osiedli w możliwie najlepszym z możliwych światów. Wrażenie jak u Pana Boga za piecem”. Tylko, że ci sami stali się bohaterami głośnej książki Czesława Miłosza „Zniewolony umysł”, gdzie ukazano ich jako Alfa i Delta, jako wzorce oportunistycznych postaw w stalinizmie.

Szczeciński oddział Związku Literatów – założony przez Jerzego Andrzejewskiego – w 1955 r. liczył zaledwie 6 członków rzeczywistych i 5 kandydatów, podczas gdy w Warszawie zarejestrowano 600 (!) członków. Na domiar złego w samym Związku nie działało się dobrze, podczas dorocznego walnego zgromadzenia, gdzie uczestniczyło zaledwie 8 osób, doszło do okropnej bijatyki. Jak opisuje to autorka „Ucieczki za druty”, gdy składała do centralni Związku wnioski o przeniesienie – podczas zebrania jeden z uczestników „[...] wyrznął go pięścią w twarz, zaczęła się ordynarna bijatyka, do której włączyli się po chwili pozostali koledzy (byłam jedyną kobietą), łamiąc stoły i fotele, łżąc się wzajemnie”. Pobity literat „zalanany krwią, szlochał, charczał, wył”. W takiej oto sytuacji Maria Boniecka przyjmuje propozycję od towarzysza Krasuckiego. I staje się coś niesamowitego – bardzo szybko powstaje pismo, które swoim poziomem przewyższa wszystko, co było do tej pory w polskiej prasie możliwe do napisania. Publikuje teksty Zbigniew Herbert, przedrukowane z paryskiej „Kultury” Witolda Gombrowicza „Dzienniki”, „Traktat Poetycki” Czesława Miłosza, polemiki z Juliuszem Mieroszewskim, Kazimiera Iłakowiczówna drukuje wiersz „Rozstrzelano moje serce w Poznaniu” – wszystko to oczywiście w codziennych zmaganiach z cenzurą. Publikowane są także „Kartki z dziennika” Jana Lechonia. Zespół redakcyjny z Marią Boniecką na czele daje dowód, że polska kultura i literatura może zaistnieć na najwyższym poziomie w tygodniku „Ziemia i Morze”. Dostrzega to także paryska „Kultura”, która współpracuje z „Ziemią i Morzem”, co później stanie się powodem do oskarżeń przez władze, zresztą wszystko mogłoby być oskarżeniem o dowolny swobodnie wybrany powód i być pretekstem do zamknięcia pisma.

Warto dopisać dalsze związki szczecinian z paryską „Kulturą”. Późniejszy prezes ZLP Oddziału w Szczecinie, marynista, kpt. ż. w. Józef Gawłowicz, erudyta, pasjonujący gawędziarz stał się największym kurierem-przemytnikiem publikacji „Kultury”. A sam Książę z Maisons-Laffitte, Jerzy Giedroyc spełnił swoje marzenie, by postawić choć stopę w Polsce, bowiem dzięki kapitanowi Józefowi Gawłowiczowi został ugoszczony incognito na statku Polskiej Żeglugi Morskiej podczas pobytu we francuskim porcie.

W mojej ocenie – gdy przeglądam z zainteresowaniem podniszczone już zębem czasu strony „Ziemi i Morza”, to właśnie decyzja Marii Bonieckiej – na przekór intuicji, która powstrzymywała ją od zgody na przyjęcie stanowiska – pozwala nawet z perspektywy roku 2025 dostrzegać potencjał kulturowy tygodnika w tworzeniu mitu, ale i fundamentu etosu kulturalnego na Pomorzu Zachodnim. Mamy do czego się odwoływać jako współcześni, ale też koniecznie trzeba spojrzeć na to, co wokół się działo, właśnie dlatego przywołuję te dobitne cytaty, opisujące degrengoladę społeczną i ekonomiczną, której redakcja nie uległa. Pismo stało się wewnętrznym ogniem spod plugawej lawy, którego i sto lat nie wyziębi, jak opisuje Adam Mickiewicz.

Znajduje się także miejsce na poezję lokalnych autorów, młodych i arogantkich – jak opisuje Boniecka, ale mogą drukować swoje wiersze, wręcz tworząc manifest poetycki i prezentując się jako grupa poetycka „Metafora”, spotykając się z żywiołową reakcją czytelników. W Warszawie, gdzie o nich wspomina redaktor naczelna, machają na nich ręką, że to mało warte, my tutaj mamy 600 literatów i ważne sprawy. Wiadomo, że ważne sprawy, bo i władza blisko i apaża wysokie, jak to dla ważnych spraw należy przymierzyć i miarkę i oko.

W „Ziemi i Morzu” drukują swoje wiersze młodzi – oczywiście Józef Bursewicz, przywódca młodych, za nim Andrzej Dzierżanowski, Janusz Krzymiński, Tadeusz Grabowski, Helena Raszka, Eljasz Rajzman, Katarzyna Suchodolska, Edward Balcerzan, Ryszard Liskowacki i inni. Jak wspomina w rozmowie ze mną Janusz Krzymiński, młodymi z „Metaforą” opiekował się Henryk Rozpędowski. Traktował ich bardzo przyjaźnie i wprowadzał w literackie arkana. Słuchali go potem w Radiu Wolna Europa, gdzie Józef Bursewicz objaśnił Januszowi Krzymińskiemu pod jakim pseudonimem występował Rozpędowski w Radiu Wolna Europa. Tenże Henryk Rozpędowski opublikował w paryskiej „Kulturze” całkiem spory tekst o redakcji i historii „Ziemi i Morza”, redakcja „Kultury” odnotowała kilkakrotnie zjawisko, jakim było „Ziemia i Morze”, ten potencjał przebił się nawet przez Żelazną Kurtynę.

Co do Henryka Rozpędowskiego warto wspomnieć, że udało mu się przeprowadzić wywiad wraz z kolegami z RWE z bitelsami, gdzie... nauczeni polskich słów przestali „pozdrawienia dla Zielonej Fali”, Zielona Fala to audycja w RWE. Nic dziwnego, że młodzi z „Metafory” mogli się czuć światowo, słuchając człowieka, który pomagał im w pierwszych poetyckich krokach.

Janusz Krzymiński opowiada, że był na Głębokim w domu Marii Bonieckiej, ponieważ kolegował się z jej synem, z którym chodził do słynnego liceum – Pobożniaka. Z ust Janusza Krzymińskiego słyszę także kolejną historię związaną z Metaforą. Otóż stali się tak popularni, że likwidatorzy majątku ZMP (komunistyczna organizacja Związek Młodzieży Polskiej) zwrócili się do nich (poprzez Józefa Bursewicza) z propozycją, że przekażą ostatnie 10 000 zł, które pozostały, oczywiście na cele kulturalne. Metaforyści wpadli na pomysł, że... wydadzą pismo! Jeden z nich pojechał w tej sprawie do Warszawy do towarzysza Artura Starewicza z prośbą o debit – zgodę na wydanie, mieli propozycję tytułu – „Nurt”. Po wahaniu, zgodę wydano, zalecając zmianę tytułu na „Nurty”, a rzutki Józef Bursewicz wyprosił w zakładach papierniczych darowaną belę papieru co jakiś czas na druk, jako wspomnienie kultury. Pierwszą szczotkę pisma „Nurty” złożono w Szczecińskich Zakładach Graficznych po ich przeniesieniu z ulicy Dworcowej na Aleję Wojska Polskiego. Niestety szybko w Warszawie zmieniono decyzję, a sama szczotka pierwszego wydania w niejasnych okolicznościach zaginęła. Na moje pytanie: czy musieli zwrócić do ZMP owe 10 000 zł, Janusz Krzymiński zachnął się – „w żadnym wypadku! Wydaliśmy na... spotkania kulturalne”.

Młodzi poeci zaczęli się także przyjaźnić ze szczecińskimi malarzami, już w „Ziemi i Morzu” Guido Reck – założyciel i długoletni dyrektor Liceum Plastycznego – ilustrował wiersze Metaforystów, ale także publikowano jego szkice na łamach tygodnika, grupa „Metafora” z poetyckiej, czy szerzej literackiej zaczęła ewoluować w grupę malarsko-poetycką. I tak, malarz, Łukasz Niewisiewicz, (w czasie studiów na krakowskiej ASP, nawiązał kontakt z kapistami – Józefem Czapskim i Zygmuntem Waliszewskim) wraz z Wieńczysławem Mazusiem, Guidem Reckiem i Henrykiem Naruszewiczem stają się członkami grupy poetycko-plastycznej „Metafora”, która w roku 1965 zainicjowała Prezentację Malarstwa Krajów Socjalistycznych. Jak wspomina Janusz Krzymiński miało to dla nich duże znaczenie, bowiem zapraszali do Szczecina malarzy z innych krajów, mogli nawiązywać kontakty, wymieniać doświadczenia. Obok tego brali udział w audycjach kulturalnych w szczecińskiej rozgłośni radiowej, tutaj warto odnotować, że także obok Metaforystów pojawił się Walerian Pawłowski.

I to wszystko zaczęło przyczyniać się do rozwoju kulturalnego już po likwidacji „Ziemi i Morza” – ziarno wpuszczone na strony papieru przechodziło i w eter, i na obrazy.

Ale wróćmy do wspomnień Marii Bonieckiej, już przechodząc do kolejnej części jej książki „Ucieczka za druty” – do części „Kłopoty z reportażem”.

Autorka pisała reportaże do radiowej redakcji literackiej w programie „U nas w Szczecinie”, w ramach cyklu „Odbudowa obiektów”, dziwiąc się, co to mogło mieć wspólnego z literaturą. Kierownikiem owego działu literackiego była towarzysza Maria Wiepszyna, dzieląca swój czas pomiędzy Wojewódzki Komitet Partyjny, redakcję „Głosu Szczecińskiego”, Wieczorowe Studium Marksizmu-Leninizmu, dom, męża, dzieci, miejscową i warszawską rozgłośnię oraz Związek Literatów Polskich. Owa – łatwa do rozszyfrowania – kierownicza redakcji zasugerowała, czy wręcz wskazała jako temat: „Więc mosty. Niestychanie ważne. Wprost zasadnicze. Komunikacja-transport-ekonomia. W ten trójkąt wpisywał towarzysz Lenin komunizm. Genialna prostota, co?”

Maria Boniecka wzięła na pierwszy ogień most drogowy im. Adama Mickiewicza. Właściwie to jest Most Akademicki w ciągu ulicy Adama Mickiewicza, który został zniszczony podczas wycofywania się sił niemieckich i rozdzielał dzielnice Szczecina. Mieszkańcy i pasażerowie byli zmuszeni pokonywać przepastną wyrwę – na około 3 piętra głęboką – na prowizorycznych schodach, aby przesiąść się na drugą linię tramwajową. Autorka opisuje plastycznie i prawdziwie zmagania budowniczych z tępą biurokracją i brakami w dostawach. Podczas wizyt na budowie mostu autorka spotyka Jaśka, obecnie sapera, a wcześniej poznanego onegdaj na wsi sierotę wykorzystywanego podczas okupacji jako parobka, niepiśmiennego, ale głodnego wiedzy i poznania miastowego życia.

Przejmująca opowieść o biedzie i bolesna prawda o chaosie socjalistycznej budowy, marnotrawstwie i bylejałości, której nie chcą ulec świadomi ludzie. Reportaż oczywiście tow. Wiepszyna odrzuciła.

Ale jest dobra puenta tej historii. Józef Bursewicz napisał wiersz „Nocą” o spotkaniu na Moście Akademickim:

*Tramwaje nie zawsze są potrzebne
przeszkadzają topolowym świecznikom
denerwują spadające gwiazdy
do północy i bez nich można dojść
wystarczy świeższe
kolczyki potrąsane w rękę
kołysze się latarnia poszukując wiatru*

*jak na złość powietrzu nigdzie się nie spieszy
zawisło razem z nocą na nitkach pajęczyny
na betonowym moście rozhuśtany człowiek
gdybym nie był jego sąsiadem minąłby mnie
a tak przystanął opuszczając ręce jak ciężkie kosze
co robię zapytał i jakby pierwszy raz rozejrzał się po nocy
– z zieleni wydobywam metafory –
roześmiał się i odszedł.*

O tym właśnie wierszu, profesor literatury na Uniwersytecie Adama Mickiewicza, Edward Balcerzan, podczas wykładu z okazji otrzymania tytułu honoris causa na Uniwersytecie Szczecińskim, opowiedział tak: „...wiersz dla mnie nad wyraz istotny – był pierwszym wierszem wolnym, napisanym w Szczecinie przez założyciela grupy poetyckiej „Metafora”, Józefa Bursewicza, naszego – w jednej osobie – Przybyszewskiego i Peipera, arcycygana i programotwórcę”, „...jak w klatkach, krążyliśmy w przestrzeniach sylabizmu, sylabotonizmu i tonizmu. I nagle Bursewicz „wystrzelił” takim tekstem. Cóż szczególnego w organizacji języka oswobodzonej z regularności sylab i akcentów metrum? Dziś – to banał, dobro niczyje, wtedy było Rubikonem nowych rytmów, tym bardziej wiarygodnym dla mnie, że tak zaczął pisać jeden z nas. Znałem stałą trasę tramwajową Józka Bursewicza, „topolowe świeczniki”, latarnie, zielen, betonowy most na ulicy Mickiewicza, która stała się jego wierszem [...]”.

Po latach czytając „Ucieczkę za druty”, opowieść o smutnym Szczecinie komunistycznej monowładzy, należy zaprzeczyć smutnej konstatacji Marii Bonieckiej, że «Tygodnik „Ziemia i Morze” był w sumie wydarzeń październikowych tylko drobnym epizodem, a i jego krótkie dzieje nie zawierały w sobie nic szczególnego; był potrzebny do oszukania opinii publicznej, i po spełnieniu zadania został natychmiast zlikwidowany, podobnie jak wiele innych czasopism tego samego typu». Jak to zatytułował książkę o swojej działalności w sztafecie pokoleń szczeciński opozycjonista, Marek Adamkiewicz – „A jednak warto było”.

Tak, warto było stworzyć tygodnik „Ziemia i Morze”, warto było chandryczyć się z cenzurą i komunistyczną, opresyjną władzą, bo niby to drobiazg, nic szczególnego, ale i od drobnych kamieni zależy, jak spłynie lawina.

Książka „Ucieczka za druty” nie jest wznawiana, ze zrozumiałych względów – jest zbyt prawdziwa. Natomiast, jeśliby została wznowiona, powinna być umieszczona w szerszym kontekście, bo przecież nie byłoby współczesnej kultury w Szczecinie bez pracy wielu ludzi wbrew wszystkiemu i w ponurych okolicznościach. Ludzi takich jak Maria Boniecka i jej zespół tygodnika „Ziemia i Morze”.

POETYCKIE IMPRESJE I INTERPRETACJE

Wojciech Czaplewski

Retoryka i skowyt, czyli wstęp do rzemiosła poezji

1.

*Najwspanialsze wyczyny tracą swój blask, jeżeli się ich nie
przełoży na słowa.*

Chcę, byś wyśpiewał me zwycięstwo i mą chwałę.

J. L. Borges, *Zwierciadło i maska*

*Moloch! Moloch! Zmora Molocha! Moloch bezmiłości! Moloch
mentalny! Moloch surowy sędzia ludzi!*

A. Ginsberg, *Skowyt*

Monsieur Jourdain, wspinając się ku wyżynom arystokratyczności dowiedział się, że mówi prozą. Czym więc jest proza, dowiemy się, śledząc lekcję filozofii pana Jourdaina. A czym jest poezja? Mamy z nią do czynienia wtedy, gdy autor tekstu z jakiegoś powodu zaczyna pisać z nowej linii, choć jeszcze nie dotarł do marginesu. Powyższe zdanie jest więc prozą, a nie poezją. Ale byłoby poezją, gdyby zapisać je tak:

mamy z nią
do czynienia wtedy
gdy autor tekstu z jakiegoś
powodu

zaczyna pisać z nowej linii
choć jeszcze nie dotarł
do marginesu.

Zatem poezja posługuje się wersyfikacją (to słowo o łacińskiej proveniencji dałoby się sparafrazować jako „poezjoróbstwo”), a proza nie – i na tym polega cała różnica. Dlatego poezją jest *Tren VIII*, *Pan Tadeusz*, tekst piosenki *Przez twe oczy zielone*, *Śluby panieńskie* Aleksandra Fredry i *Flupy z pizdy* Zbigniewa Sajnoga. Nic na to nie poradzę.

Wersyfikatorska robota polega na tym, że, jako się rzekło, autor „z jakiegoś powodu” zaczyna nowy wers. Ale przecież wiemy, że poezja jest starsza niż pismo, niż całe to docieranie do marginesu, pisanie z nowej linii i podział na wersy. Sprzeczność tę można rozwikłać, wyjaśniając, z jakiego mianowicie powodu nowy wers się zaczyna. Otóż przyczyną wersyfikacji jest porządek dźwiękowy. Rytm. Duch muzyki. W owych zamierzonych czasach, gdy nie było jeszcze pisma, jedynym sposobem utrwalania tekstu, a więc zachowania pamięci zbiorowej, było układanie wypowiedzi rytmicznej, ujętej w ramy semantycznej i metrycznej powtarzalności, niedającej się dzięki temu zmienić. Tak kumulowała się wiedza i tak rodziła się poezja. W jednym z najważniejszych tekstów o poezji, w dziesiątej księdze *Państwa*, Platon (prozą!) zapisał słowa Sokratesa: *kiedy ktoś (...) mówi w mowie wiązanej, w rytmie i harmonii, wtedy zdaje się, że to bardzo dobrze powiedziane (...) to ma jakiś wielki swoisty czar (...) z barw, które od muzyki pochodzą*. Dlatego Mistrz z Czarnolasu nazywał swoje teksty nie „wierszami”, lecz „pieśniami”, Norwid spragniony poezji wołał: *Złotostruna, nie opuść mię, lutni!*, Staff pisał o wierszu, *co ze strun się toczy*, a Tuwim strzelał kulą z sześciostrzałowej, *błyszczącej piosenki*. Dodajmy, że zdaniem Platona *mowa wiązana* jest także „mową wiążącą”, to znaczy zniewalającą słuchacza do uznania jej *dalekich od prawdy* treści, zamkniętą na dialog, który przecież był wtedy drogą filozofii i fundamentem ateńskiej *paidei*. Dlatego należy poetów wygnać z *Państwa*. Na szczęście Platon nie był w tym wszystkim konsekwentny; w tej samej księdze przyznaje się do nieugaszzonej miłości do Homera, a w kulminacji *Uczty* (która jest księgą o miłości) twierdzi, że sensem życia jest *patrzac na piękno płodzić myśli piękne*. A neoplatonistka Simone Weil dopełnia

tę myśl tak: *Poeta tworzy to, co piękne, skupiając swoją uwagę na tym, co rzeczywiste. Tak jak akt miłości.*

W zasadzie zaczęło się to w XIX wieku, a stało w XX: wraz z narodzinami wiersza wolnego pojawiły się inne powody kończenia wersów. Dźwięk głosek zastąpiły obrazy liter. Duch pisma – na szczęście nie przez nokaut – wygrał z duchem muzyki. Jak ten wiersz Krystyny Miłobędzkiej, co *przechodzi z jednej strony// na drugą, grasshoppery cummingsa, schodki Majakowskiego, czy namu- zowywane wytwory konkretysty, Stanisława Dróżdża. Aż doszło do migotań, pulsów i reszty ezoteryczno-internetowych płynności, wciąż jeszcze nazywa- jących same siebie poezją.*

2.

*Kiedy przemina deszcze i śniegi, a słowik powróci z południa,
wyrecytujesz swój poemat*

ku mej chwale przed dworem i przed kolegium poetów

J. L. Borges, *Zwierciadło i maska*

*Święty! Święty! Święty! Święty! Święty! Święty! Święty!
Święty! Święty! Święty! Święty! Święty! Święty! Święty! Święty!*

A. Ginsberg, *Skowyt*

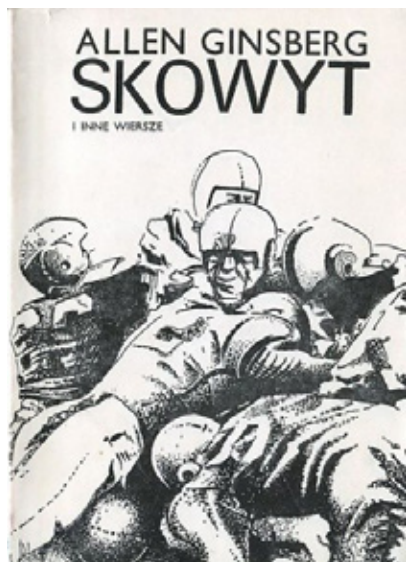
Każdy człowiek doświadcza samotności w obliczu sytuacji granicznych: bólu, straty, miłości, wstydu i śmierci. Tylko że nie ból, strata, miłość, wstyd i śmierć, lecz po prostu bycie jest „momentem” tego doświadczenia. Sytuacje graniczne uświadamiają z niedającą się odeprzeć mocą: między mną a światem, między tym, co moje, a tym, co Inne, między *ja* a *nie ja* – zieje przepaść. (W sytuacjach „niegranicznych” – w spożywczym, w tramwaju, na stołówce – ta świadomość tak nie doskwiera, udaje, że jej nie ma, tej przepaści. Lecz ona jest, *ta nić czarna*, stoi blisko, czeka: *idzie za nim jak cień/ przystaje przed piekarnią/ w parku przez ramię Pana Cogito/ czyta z nim gazetę*).

Jest jednak coś, co pośredniczy między mną a światem, bez czego nie mógłbym nawet wiedzieć, że istnieje coś innego niż *ja*. (Kartezjusz na przykład myślał, że tym czymś jest szyszynka; twórca racjonalizmu byłby zapewne rozczarowany, gdyby się dowiedział, że jej głównym zadaniem jest zsyłanie snu...). Moje ciało. Nie jest czymś innym niż *ja*, bo jest moje bardziej niż moje pieniądze

i moje mniemania. Jest moje tak jak moje jest życie. Nie jest też mną, bo należy do świata na równi z kamieniami, gwiazdami i trawą. Ciało – granica między mną a światem – tak to ujął Maurice Merleau-Ponty. Interfejs między mną a światem, dzięki temu, że z jednej strony daje mi świat, bo go postrzega i w nim się porusza, a z drugiej strony daje mnie światu, bo pozwala mi w nim działać i mnie na różne sposoby wyraża.

Tym, co umożliwia komunikację, wzajemną łączność z drugim człowiekiem, jest zdolność ciała do ekspresji, do wyrażania – gestem, mimiką i słowem. Jedną z form takiej ekspresji, zdaje się najwyższą, jest mowa. Konkretnie użycie mowy odbywa się na jeden z dwóch sposobów. (Ściślej: oba te sposoby wyznaczają skalę, pomiędzy nimi lokuje się każdy akt mowy). Pierwszy z nich to komunikacja w spożywczym, w tramwaju, na stołówce: banalna, potoczna, wypełniająca międzyludzką przestrzeń tym, co znane. A jeśli znane, to jakby moje, z góry wiadome, w żaden sposób nie Inne. Taka rozmowa zatrzymuje mnie w sobie, w moich granicach, zatem pozostawia mnie wyobcowanym, samotnym, zamkniętym w swoim *więc jestem*. Drugi sposób to wypowiedź graniczna: nowa, przesuwająca granice języka. Wtedy udziałem mówiącego lub słuchacza staje się słowo nowe, o nieznanym wcześniej sposobie użycia, o znaczeniu innym niż to, które dotąd gotów był mu nadawać. A ponieważ język jest światem, podobnie jak świat – skoro dla mnie coś znaczy – jest językiem, słowo nowe, przesuwając granice języka, przesuwa także granice świata. *Granice mego języka są granicami mojego świata* – tak to ujął Ludwig Wittgenstein. Nieznane mi wcześniej miejsce w przestrzeni staje się miejscem spotkania z Innym. Następuje cud komunikacji: otwarcie *ja* na spotkanie, krótkotrwały jak flesz wyłom w samotności.

Strefą wypowiedzi granicznej, w której najotwarciej się to wydarza, jest poezja – nie każda poezja, tylko taka, w której poeta podejmuje trud ekspresji (Simone Weil porównała ten trud do porodu, kiedy nie musisz się obawiać, że nie będzie to największy wysiłek, na jaki cię stać; *trzeba tylko nie odstępować prawdy i nie ustawać w uwadze*). A odbiorca jest zaproszony do podjęcia wzajemnego



trudu otwarcia się, wysiłku przyjmowania, bólu doświadczania. Wtedy i tylko wtedy następuje ów cud: kontakt, którego konsekwencją jest przemiana. Już nie jestem tym, kim byłem. W akcie komunikacji zmieniły się granice mojego języka, mojego świata, mojego *ja*, które otwarło się na jakieś ty. W ten sposób wiersz staje się kładką ponad nicością, sposobem na samotność. Racją istnienia wiersza jest zatem to, co nazwalismy cudem komunikacji: sytuacja dialogu, w którym musi być ten, kto mówi, i ten, który słucha.

3.

*Całość jest udana, a przecież nic się nie stało. Puls nie bije
szybciej, krew żwawiej nie płynie.*

Ręce nie chwyciły za łuk. Nikt nie zbłądł.

J.L. Borges, *Zwierciadło i maska*

*Święta moja matka w domu wariatów! Święte chuje dziad-
ków z Kansas!*

*Święty jęczący saksofon! Święta apokalipsa bopu! Święte ja-
zz-grupy marihuana hipstersi pokój hanz i bębny!*

A. Ginsberg, *Skowyt*

Poezja, świętowanie języka. Poezja, skandal języka. Dialektyka wolności i dyscypliny. Pindar, twórca chóralnych hymnów na cześć bogów i tryumfatorów igrzysk, wiedział, że *śmiertelni zapominają o tym, co nie rozkwitło pełnią sztuki we wspaniałym nurcie wiązanej mowy*. Poezja jest do słuchania, więc najpierw będzie o samogłoskach i spółgłoskach.

Samogłoski to fonetyczne zwierzęta. Głoszą strach, ból, głód i pożądanie. Nienawiść i rozkosz. Bebechy. Biją bębny serc, emocje, emocje... Samogłoski nie są rozumne, dlatego nie ma ich w alfabetach, którymi pisał Bóg, hebrajskim i arabskim. Ale poezja to sztuka, a sztuka jest podobno dostarczycielką wzruszeń. Emocje, emocje, transfer przeżyć, jak to ładnie określa Jacek Dukaj, kiedy próbuje nakreślić wizję rodzącego się świata postludzkiego, świata „po piśmie”. Rytm, harmonia, duch muzyki, dżungla i dzikość – za to odpowiadają samogłoski, życiodajne, dionizyjskie samogłoski. *Ars poetica* to rzemiosło muzyczne, panowanie nad dźwiękami, ujeżdżanie ich, zmuszanie do uległości.

Materia słowa to jeszcze spółgłoski. Mniej dźwięczne, szeleszczą, trzeszczą i zgrzytają, są bardziej „semantyczne”, dostarczają treści. Zmysłowa percepcja poezji nie podaje gotowego pokarmu, wymaga odkodowania sensów, zaprasza do miasta znaczeń. Jeśli dodać do tego, że prócz literalnych, konkretnych jak platońskie idee, mamy jeszcze znaczenia nieliteralne, metaforyczne, bujające w płynnych przestrzeniach intencji i rozumienia. *Ars poetica* to konstruowanie i sugerowanie sensów, biegłość w używaniu języka, który składa się ze skończonej liczby reguł i znaków, do wyrażania niedających się policzyć ani ograniczyć treści.

Mowa (i pismo) ma ciało i duszę. Ciałem mowy jest dźwięk (ciałem pisma jest wygląd). Duszą mowy (i pisma) jest sens. To, co zmysłowe, dźwięk i wygląd, jest więc przypadłością, a to, co rozumne, sens, jest istotą, sednem? Esencją? Platon głosił prymat sensu, ciało uważał za więzienie duszy, zmysły zaś za kajdany trzymające nas w jaskini złudzeń, w świecie cieni. A podziw dla cielesnej urody ładnych chłopców za najniższy ledwie szczebel wspinaczki do prawdziwego piękna. Poeci *stwarzają widziadła (...), o których piszą, a prawdy nie dotyczą (...)* stąd to całe pomieszanie w naszej duszy i niepewność. Ona działa na słuch, a my ją nazywamy poezją (...) wykonywa swoją robotę, stojąc z daleka od prawdy (...) obcuje z tym naszym pierwiastkiem, który jest daleki od rozumu, spoufala się z nim i zaprzysiężnia, a z tego nie wychodzi nic zdrowego i nic prawdziwego.

Na szczęście potem nastał Arystoteles, któremu daleko było do malowniczego fundamentalizmu Platona. Arystoteles uważał, że dusza i ciało stanowią jedność, tak jak treść i forma razem dopiero stanowią byt. Może więc nie trzeba wyganiać poetów z Państwa. A *ars poetica* to rzemiosło, którego mistrzowie biegli są w obu sferach, umiejętnie rozgrywając duszę i ciało, retorykę i skowyt, zaprzęgając do wiersza nieokiełznaną trojkę, bo wszystko, co potrójne, jest doskonałe: sens i dźwięk, i nieprosta między nimi relacja. Fenomenologiczny podmiot, przedmiot i akt. Bo między retoryką a skowitem jest jeszcze „i”.

Na zakończenie tego odcinka zajrzyjmy na chwilę do *Ziemi jałowej*:

*Kim jest ten trzeci, który zawsze idzie obok ciebie?
Gdy liczę nas, jesteśmy tylko ty i ja
Lecz gdy spoglądam przed siebie w biel drogi
Zawsze ktoś jeszcze idzie obok ciebie.*

Omne trinum perfectum. Tak jest z każdym rzemiosłem. Stwarzanie sankcjonowane przez „i”¹⁸³.

4.

Poeta wygłosił poemat. Był to jeden wers.

Nie ośmielając się wypowiedzieć go na głos, poeta i król wyszeptali go,

jakby był sekretną modlitwą lub też bluźnierstwem

J. L. Borges, *Zwierciadło i maska*

Sny! adoracje! olśnienia! religie! okręty wrażliwego łajna!

A. Ginsberg, *Skowyt*

Nie wiemy, jak zaczęła się poezja, nie było nas przy tym. *E-nu-ma e-lisz la na-bu-u sza-ma-mu szap-lisz am-ma-tum szu-ma la zak-rat*, ‘Gdy u góry niebo nie było nazwane, na dole ziemia nie była wymieniona z imienia’. Może się mylę, ale czytając akadyjski święty tekst (a raczej zdradziecką transkrypcję i przekład) mam nieodparte przeczucie, że poezja jest nie tylko starsza od pisma (to akurat jest oczywiste), ale że jest też starsza od języka. Że zatem jest nie tylko wcześniejsza od kultury, ale też wcześniejsza niż człowiek. Simone Weil powiedziała: *Widowisko wszechświata jest pierwszą poezją*. Czy możliwy jest powrót do tych źródeł, do początków? Cóż, każdy, kto zna się na wędrowaniu, wie, że droga do źródeł zawsze wiedzie pod górę, a na końcu, to znaczy u wrót do początku, u bram ogrodu, zawsze stoi strażnik z ognistym mieczem.

Spójrzmy teraz na dwie genezyjskie hipotezy. Hipoteza pierwsza: poezja narodziła się, gdy ktoś zdał sobie sprawę, że to, co ma do powiedzenia, dotrze do słuchacza tym skuteczniej, im piękniej, niezwykle zostanie powiedziane. Gdy mającej być wyrażoną treść nadany zostanie niedający się odeprzeć kształt – który skupi uwagę, zostawi ślad w pamięci, przekona. Tak opisana, poezja okazuje się retoryką. *Nową przypowieść Polak sobie kupi, / Że i przed szkodą, i po szkodzie głupi*. Albo ta fraza Potockiego: *Tedy do tak nikczemnej marnej szewskiej smoły/ Sarmatów będę równa!* Może więc poezja bierze się z tego, co rozumne i dbałe.

183 Kiedy w 1054 roku biskup Rzymu i patriarcha Konstantynopola obkładali się wzajemnie klątwami, właśnie o to im szło. O fundamentalne, ostateczne i aporetyczne „i”.

I hipoteza druga: na początku był kształt, to znaczy dźwięk wcześniejszy niż sens. Wycie do księżyca, harmonie i dysharmonie pożądań i strachu, zawalenie, które samo wyrывa się z trzewi w rytm uderzeń kości upolowanych zwierząt w wydrążone pnie. Bebechy. Potem dopiero w ten ciemny nierozum wpasowało się słowo. Dytyramb – nim stał się hymnem melorecytowanym przez dostojny chór kapłanów – był wrzaskiem watahy pijanych satyrów, galopujących na ratunek Olimpowi na ryczących osłach. Tak opisana, poezja okazuje się skowytom.

*O anjele Gabryjele,
Gdzie jest ono twe wesele,
Cożeś mi go obiecował tako barzo wiele,
A rzekęcy: „Panno, pełna jeś miłości!”
A ja pełna smutku i żałości.
Sprochniało we mnie ciało i moje wszystkie kości.*

Uderza tu autentyczność cierpienia, tym autentyczniejsza, że wyrażona symetrami, kontrastami, potrójnymi rymami i tym przedziwnym metrum średniowiecznego wiersza. A pięćset lat później Konstanty Ildefons zrobił to tak:

*Lampa zgasta.
Jaki mro-o-k
jaki śnie-e-g!
Boli! O-och!*

Apollo obdarł ze skóry Marsjasza wcale nie dlatego, że zazdrościł mu jego talentu, jak to zdaje się sugerować Jan Parandowski. Przypomnijmy sobie, że w jednej z wersji tego mitu w dogrywce artystycznego pojedynku okazało się, że Marsjasz nie potrafi jednocześnie grać i śpiewać (nic dziwnego – był flecistą), a więc bardziej należy do świata natury niż kultury – miał w końcu koński ogon i szpiczaste końskie uszy. Sylen Marsjasz: pół-bóstwo, pół-zwierzę. Zawieszony na drzewie, oprawiany przez słonecznego Apollina, Marsjasz krzyczy. Okrucieństwo Apollina, pogromcy chthonicznego Pytona, zabójcy synów pysznej Niobe i boga wyroczni, jest znakiem bezwzględnej siły, z jaką kultura stawia się ponad naturą, język ponad bełkotem, sens ponad dźwiękiem, spółgłoska nad samogłoską. Ludzkie ponad przedludzkim. Nie bez znaczenia jest fakt, że sylenowie należeli do orszaku życiodajnego Dionizosa, dzikiego boga natury, chaosu, pożądania i śmierci. Skowyt Marsjasza, bez retoryki, *składa się z jednej samogłoski/ A*. Bóg wyroczni zastanawia się, czy z wycia Marsjasza/ *nie powstanie z czasem/ nowa gałąź/ sztuki – powiedzmy – konkretnej*. Herbert wiedział.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

Róża Czerniawska-Karcz

Nowe książki w serii:akcent

Jesień 2025 roku przyniosła kolejną, 14. już edycję serii:akcent. Planowane jest wydanie czterech książek szczecińskich autorek i autora ze środowiska ZLP.

Wrzesień podarował Autorce i czytelnikom świeżo wydany przez ZLP O. Szczecin w wyd. hogben, tom poezji „Jak dziwnie...”, debiut wydawniczy Doroty Wysockiej-Rzeszutek, ilustrowany przez artystkę jej obrazami.

Październik zapowiada odmienną w klimacie i temacie książkę Edyty Rauhut, która z poetki, autorki „Łapacza róż”, zamieni się w narratorkę wiodącą opowieść o bohaterkach i bohaterach książek Rafała Podrazy. Pojawią się na stronach: Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, jej siostra Magdalena Samozwaniec, z panów – poeci polskiej piosenki – Janusz Kondratowicz i Krzysztof Dzikowski oraz trzy znakomite piosenkarki czasu minionego, ale nieustająco obecne na łączach radia, TVP czy wznawianych płytach – Anna Jantar, Irena Jarocka i szczecińska Helena Majdaniec. „Na poważnie... o artystach z książek Rafała Podrazy” to czwarta pozycja literacka w dorobku Edyty Rauhut.

Listopad przyniósł znaczącą publikację popularnonaukową z tematem jak najbardziej szczecińskim... „Odczytywanie miasta” Krystyny Rodzewicz. Autorka „Abordaży szczecińskich” poszła w głąb swoich tematów, zarówno w formie jak i w treści. Proponuje czytelnikom oglądanie i odczytywanie m.in.: literackie, historyczne, socjologiczne Naszego Miasta. A po Szczecinie tak

odczytanym i zamkniętym w ramach swojej pracy magisterskiej pt. „Szczecin w literaturze XXI w.”, sama Autorka jest przewodniczką.

Świątecznie i grudniowo ukaże się czwarta książka tej edycji. Będzie to czwarty tom poezji autora „Bramy Portowej” i „Paprykarza poetyckiego”, Roberta Florczyka, a szósta książka w jego dorobku literackim – zbiór wierszy i prozy poetyckiej pt. „Linia nr 6”. To wybór wierszy o północnych dzielnicach Szczecina, które to miejsca warte uwagi poety staną się również warte zainteresowania samych szczecinian.

Tymczasem zapraszamy do krainy zadziwień Doroty Wysockiej-Rzeszutek...

Jak dziwnie... gdy Poetka rozkłada akcenty...

*Ciałem poezji jest wiersz, ale co jest duszą poezji,
nie wiem... uczucie, myśl?*

Tadeusz Różewicz

Poetka i malarka w jednej osobie, Dorota Wysocka-Rzeszutek, kontynuuje tę refleksję POETY... po swojemu poszukuje/odnajduje...

*(...) gdzieś do piątego wymiaru sięga / fluorescencja niewypowiedzianych myśli
/ fosforescencja zapisanych w chmurze słów / (...) mogą dryfować pod lodem /
nad antenami / w gwiazdozbiorach /*

Stąd albo stamtąd pada też pierwszy akcent na *Jak dziwnie...* wyrażenie to – w mojej *Krainie Łagodności* rozpręstrzenia się właśnie, łagodnie odbijając światło owego oznajmienia / pytania / opisu stanu – i dociera do miejsca, w którym właśnie jestem... Czyżby to była kraina w Krainie? kraina zadziwień, rozpoznań, odkryć, zamyśleń... To w niej wszystko może się zdarzyć, znaleźć i zagubić, ożyć i przestać istnieć...

Kraina Artystki, przez którą wędruję z obrazu do wiersza i z powrotem,



przemierzam *mile milczenia* w towarzystwie *zagubionych duszyczek* pod *paryskim błękitem* galaktycznego nieba... odpoczywam na szerokich, żółtych plażach w *Lśnieniu* – olśnieniu przy muzyce *Mew bluesa*... wkraczam pośród podróżujących siewek w morze wyobraźni... by za moment w innym wymiarze, a może jednak na łące asfodelowej z duszą poezji za pan brat... *zakrywać chmurą* twarz... by podglądać słowa wymykające się porządkowi wiersza... I wtedy akcent załśni na tym skromnym przysłówku z niepewnym swego zaimkiem... i *Jak dziwnie*... otworzy mi swój sezam akcentów rozsypujących się w tomie wierszy Doroty Wysockiej-Rzeszutek? A ja postawię jeden z nich na surrealistycznym obrazie ze znaczącym tytułem *Kiedys zadzwonię* i będę dryfować w galaktyce niereczywistości wraz z beztroskimi delfinami – do telefonu... by dodzwonić się do posiadaczki materii wiersza, która tuż za stroną kartki kreuje nowy mini świat. W nim dusza i ciało, myśl i uczucie, słowo i obraz... Co było pierwsze?

Poszukam odpowiedzi.

* * *

Wiersze bez tytułów, ale każdy opatrzone datą... znaczące! Dla malarki obraz stanowi jej przesłanie, mówi z siebie za siebie, za nią... podobnie ma się z tekstem. Tytuł? – nie zawsze zaczyna się zapis od tytułu, najpierw wyłania się spod pióra obraz ze słów (tak mówi Poetka), a potem, ale niekoniecznie, jest miejsce na tytuł. Tekst wypowiada się już za siebie. To on jest zapisem realnej/nierrealnej rzeczywistości, a w niej bytu/niebytu Artystki / *ja lirycznego* / i jego odczytania... czyż można dosadniej wyrazić ów stan? * * *

panie ratowniku / właśnie idę popływać w rzeczywistości / obudziłam się / pan tak ładnie czuwał / gdy śniłam swój kolejny sen / nie utonąłam doprawdy / pływanie w realu / wydaje się mniej bezpieczne / panie ratowniku / niech pan rzuci koło ratunkowe / gdy zanurkuję zbyt głęboko / i się zapomnę / 9.07.2014

A daty? Cóż, one są dopowiedzeniem trójwymiarowej, realnej rzeczywistości, w której chwile utrwalane są za pomocą słowa albo obrazu. Jedyna istotna informacja poza ideą dzieła to 1995-2025. Czas!

* * *

Dorota Wysocka-Rzeszutek w swoim artystycznym biogramie najpierw umieściła informacje o swoim malowaniu, o oglądaniu świata wnętrza i zewnątrz obrazami... kolorami, pociągnięciami pędzla, rozprowadzaniem farby na płótnie i wydobywaniem historii rzeczy, ludzi, przestrzeni z kształtów tylko

sobie znanych, z przywołań bliskich i odległych, ze zadziwień też, zapewne... stąd tematy posegregowane w cykle obrazów – *ptasie stada, portrety, anioły, martwe natury z orientalnymi figurkami, abstrakcja geometryczna i kosmiczny surrealizm*. Dla mnie o tyle ważne przy odczytywaniu poezji Poetki, o ile stają się drogowskazami w tej wędrówce przez wiersze.

Wszystko to po to, by w którymś momencie swego bycia ze sztuką odkryć potrzebę spenetrowania innej przestrzeni wyrazu. Dla mnie to zrozumiałe, że właśnie sięgnęła po Słowo, by nim dopełnić myśli ukrywające się w obrazach. To, jak uwolnienie ducha, a może dżina z lampy Aladyna? Kolorowy, baśniowy świat Orientu jest obecny w twórczości Artystki. Poetka wyznaje, że jej wiersze są obrazami, a mnie się zdaje, że pisze je pędzelkiem, jak chińscy czy japońscy poeci, tuszem, ale i kroplami farby skapującej świadomie na strony... miniaturowe dzieła z wersów czy strof, kolorowane metaforą, konturowane aluzją, kontekstem, rozmytym światłem domysłu. Swój własny, oryginalny styl obrazowania urozmaica doświadczeniami mistrzów pędzla i pióra. Składa kolaże, pisze ikony, zanurza w impresje, sięga po asamblaż...

Właśnie, Autorka *Jak dziwnie...* napisała o swoim debiucie poetyckim: „Debiutowałam wierszem *asamblaż* na portalu pisarze.pl”. Podążyłam tym tropem, bo cóż to takiego ten asamblaż? Słowo intrygujące. Otóż „asamblaż to forma artystyczna, będąca odmianą kolażu, według której tworzy się trójwymiarowe kompozycje z przedmiotów gotowych. Praca złożona z różnego rodzaju przedmiotów: codziennego użytku, bezużytecznych fragmentów, form naturalnych, wszelkich możliwych obiektów.”

A co na ten temat *ja liryczne*?

najpierw z otwartej torby na chodnik / wysypały się metafory z niedokończonych wierszy / a potem cała reszta / rajskie ptaki Klimta mieszały się / z moim osobistym dowodem istnienia / pożółkłe grafiki / leżały wśród tubek z kolorowymi snami //

(...) na szczęście klucze do umysłu leżały po drugiej stronie / stałam zastanawiając się/ czy spakować wszystko z powrotem do torby / trąciłam butem ten cały rozsypany stos/ nie była to regularna mandala / ani nawet odbicie galaktyki / zwykły asamblaż //

I tak obok malarki zaistniała poetka! Wymowne nazywanie rzeczy świata tego – *ja liryczne* (*alter ego* Artystki) kreuje ciało wiersza – słowem, a ducha poezji przyzywa uczuciem. Mój akcent pada na... *Jak dziwnie!* A mentorzy w tle dodają smaku tym moim odczytaniom: Marcel Duchamp, twórca koncepcji

ready-made, inni: Pablo Picasso i dadaści oraz twórca nazwy techniki, Jean Dubuffet. W Polsce pionierem asamblażu był Władysław Hasior. I znów skojarzenie, oczywiście szczecińskie, a jakże... metalowe, kolorowe ptaki Hasiora w Parku Kasprowicza... A w wierszach i na obrazach Autorki aż roi się od ptaków w przeróżnych kształtach, gatunkach, konfiguracjach! Czy nie pokrewieństwo? Surrealne obrazy w wierszach i także kompozycje na obrazach, impresje, niedomówienia, subtelne deformacje natury, ludzi, rzeczy i słów, a przecież w tym pozornym chaosie zestawień, konfrontacji, zderzeń realnego i nadrealnego, panuje znakomita harmonia motywów i wątków, treści klarowne w swoim, symbolicznym często, przekazie.

* * *

Wysublimowany styl i konstrukcje składni nie utrudniają odczytu. Myśl, jak dobry duch zamienia się w słowo trafne albo szuka towarzystwa innych, tworząc znakomite ciągi wersów, bogatych tyleż w środki artystycznie, co w treści.

* * *

codziennie otrzepuję moje duchy / z kurzu drogi / a ostatnio nawet je wyprasowałam / żelazko było nastawione na jedwab / nie za gorące / żeby nie odparowały / teraz są gładkie / bez zagnieceń / ułożyły się na mnie idealnie / wpasowały się w moje myśli / nie odstają na marzeniach / na moich snach leżą jak ulał //

Kolaże sarkazmu czy ironii z powagą tematu albo żartem, prowokują podwójne znaczenia, odniesienia odległe, balansując zręcznie między klasyczną frazą a performance'em.

Poetka lubi też „wyliczanki”, bawi się słowami, posługując się aliteracją... używa, oczekiwaną zapewne, ekspresję i rytmizację tekstu. Przypomina mi to wiersze Wisławy Szymborskiej i jej „wyliczanki”, chociażby w moim ulubionym wierszu „Urodziny”. Obie gromadzą abstrakcje pojęć czy zjawisk, przedmioty, mieszkańców fauny, flory. Stąd podobne w formie teksty odnalazłam w tomie Autorki *Jak dziwnie...* Powinowactwa poetyckie!?

Oto próbki:

muchę komara hubę / sarenkę liska jagódkę / leśnego dziadka / dzieciota mrówkę drozda / woreczek po chipsach / srebrzysty połyskliwy / mieniący się czerwienią / zielenią błękitem / do torby pełnej lasu //

albo

*zapomniałam amonity trylobity belemnity / szkielety ryb w lodowcu /
zapomniałam Lemurię błękitnookich olbrzymów / Atlantyde Platona
potop Owidiusza /*

Jednak w wierszach Doroty Wysockiej-Rzeszutek królują kolory, kolory (malarka przecież!) – nie tylko z *paryskim błękitem* w tytule rozdziału, w wierszach i na obrazach ilustrujących tomik, by dać przykład źródeł myśli zamieniających się w wersy, a nie tylko w plamy czy kształty na płótnie, stronie. Niemal każdy wiersz, który czytam, wędrując kartka za kartką przez krainę zadziwień Poetki, skrzy się kolorami, tonacjami zieleni, szmaragdu, turkus, paryskiego błękitu, kobaltu od Van Gogha, indygo, szafiru Vermeera, lapis lazuli (te wszystkie niebieskie są chyba ulubione), żółceni cytrynowej, siarkowej, perłowej bieli, dużo srebra, złota, czerni, cynobru, czerwieni jakby mniej. Słowa się od nich mienia, tworzą tło dla emocji, wrażeń, uczuć, doznań, zamyśleń... dla przedmiotów i wydarzeń, dla zwierząt i ptaków, dla owadów wszelkiej odmiany, słowem dla natury.

Bo wszystko to przecież z kolorów.

* * *

Pisze Poetka swoje teksty przemyślane wnikliwie, starannie. Każdy zamysł ma swój cel, który osiąga z artystycznym kunsztem... *ja liryczne wyznaje: ja usiłuję rzeźbić w zmarzniętej materii słowa.*

Tak też maluje obrazy ilustrujące tomik – patrzę na *Dziewczynę z mudrą*, z ikonicznym gestem dłoni, na *Eleonorę* w bladych błękitach z planetami w tle, na okładkową, bajecznie kolorową *Dziewczynę z kotem*... każda z nich inna, a przecież każda z nich prowadzi mnie przez labirynty wiersza, wskazując akcenty zadziwień. Żywy słowa i myśli ujarzmione – delikatnym muśnięciem „pędzla z futra wiewiórki” Giotto (*Ucieczka do Egiptu*) albo w chińskim znaku wychodzącym spod ręki mistrza Li Czena

(...) jak stado ptaków spadają w dół znaki pisma / gdzieś za wodospadem schowany Li Czen / jest tam / w zawiłym rysunku czarnych sosen / a jednocześnie / z kroplą tuszu rozplywa się / wszędzie //

– konkurują o swoje miejsce w świecie zadziwień – z *Młodym mężczyzną grającym w cyberpunka 2077* lub z tymi, o których z sarkazmem wypowiada się podmiot liryczny:

*wychwalający otwierając niebo / antenę szybkiego przekazu informacji /
oczekujący na obiecaną planetę Mars / bądzcie b l o g o – s ł a w i e n i //*

Zderzenia!

* * *

Jak u siebie, czuje się podmiot liryczny na planetach naszego słonecznego układu, w Obłoku Magellana czy Oorta, w tajemniczym kosmosie; obcuje z mistrzami nauki i sztuki minionego czasu, przyjaźni z artystami słowa i pędzla, gliny czy kamienia, tuszu i rylca. Nieobcy są jej przewodnicy duchowi zen czy Biblii. Swobodnie porusza się po orbitach muzyki, przecież na co dzień wiedzie życie ze swoim artystą: malarzem, śpiewającym „o matko, pozwól mi zostać wolnym rasta” albo grającym „na trąbce My Funny Valentine”.

Z którym...

*o książkach o zegarkach o wojnie o harmonijkach / dzieciństwie o bluesie o ro-
werach o lokomotywach / może mówić długo //*

* * *

Motywy wędrowne te malowane czy zapisane – planety, słońce, księżyce, satelity, galaktyki – to kosmos. Real to: koty wędrujące przez wiersze, np.

*kot odchodzi od pustej miski / z miną Marii Dąbrowskiej / zawiedzionej że nie
dostała Nobla //*

albo ten...

*pręgowany kot / chodzi po stole nie strącając pędzli / miękko lawiruje między
słoikiem z terpentyną //*

To portrety kobiet (nie tylko z obrazów); to figurki: Buddy, tajskiej tancerki, chińskiego wojownika. Feniks kontra siewki, delfin obok jednorożca – to baśń. A wszyscy zaludniają zgodnie krainę zadziwień Poetki i już moją. Czy tak?

*(...) pod podszewką ukryte źródelka / wyrazów dalekoznaczących / i swojskoję-
zycznych tysiące słów wycieka z kieszeni / zielonymi strumieniami / żeby zaraz
zamienić się /*

w rozrywane wiatrem białe koszule / mówisz że masz pustkę w głowie //

To lubię!

* * *

Przeszłość z przyszłością funkcjonują w teraźniejszości, gdyż Autorka swobodnie, dla każdego czasu, odnajduje miejsce w artystycznej przestrzeni świata przedstawionego, wszystko odśladając subtelnie, z aluzją do podtekstów, ukrytych za pointą albo... za brakiem tytułu... Z ironią, czasem nawet z humorem, z dyskretnym uśmiechem tej, która zgłębia tajemnicę życia nie tylko wiersza, ale i kosmicznego, w tym nadrealnego świata, w jego wyrafinowanych wymiarach. Tej, która nie obawia się wyrzucić poza trójwymiarowość naszej ziemskiej rzeczywistości i podryfować z telefonem w galaktyce Drogi Mlecznej, by się spotkać, np. z Kopernikiem? Nie lęka się wyrazić zdumienia i zawołać „Jak dziwnie!” – gdy poznaje naturę rzeczy mikroświata ludzkiego ciała (*żelazna dama Hemoglobina*), gdy odkrywa strukturę glinianej rzeźby, czy makroświata planet Jowisza, Saturna, Urana, Plutona... ulubionych chyba, bo powracających w wielu wierszach.

* * *

Bo też nic nie jest z przypadku! Tak jak nie przypadkiem, właśnie tu i teraz, w Szczecinie, złożyła Poetka ze swoich myśli i obrazów tom wierszy, zamknęła w nim ducha i ciało poezji, a ponieważ artystka/artysta nigdy do końca nie wie w swoim akcie twórczym, czym jest ów duch dzieła (patrz wyżej: niepokój Różewicza), stąd może wyrażać owo „nie wiem” w słowach z odwiecznym akcentem niepewności – *Jak dziwnie...*

Czyż mógł się zdarzyć trafniejszy tytuł dla debiutanckiego tomu poezji – malarce, w tej nieustającej, poetyckiej przygodzie z wierszem?

Dlatego: – Wejdź do krainy artystycznych zadziwień Doroty Wysockiej -Rzeszutek...

bo przecież nic nie jest z przypadku:

*jesteśmy z wody / z kosmicznego pyłu / trochę z pamięci / trochę z wyobraźni /
z marzeń / ze starożytnym imieniem / z diamentem w sygnecie / bierzemy lek-
cję ontologii / samoświadomi jak satelita / który oświeśla księżycowi drogę /
gubimy się w mroku nowiu //*

Dorota Wysocka-Rzeszutek, *Jak dziwnie...*,
ZLP seria: akcent, Wyd. hogben, Szczecin 2025

90. książka w serii:akcent, druga w XIV edycji serii.

Szczecin... z miejskim akcentem... w eseju literaturoznawczym

Krystyny Rodzewicz

Tym razem będzie inaczej, bez poezji, bez fabuły czy dramatu, ale za to z historią bohatera, który zaspokoi ciekawość nie tylko szczecinian. Będzie to bowiem prawdziwa opowieść o Szczecinie, który jest fascynujący nie tylko dla jego mieszkańców, nie tylko dla historyków-badaczy, ale szczególnie dla ludzi słowa, którzy oddają swoją wyobraźnię i talent na usługi Miastu.

Pisarki i pisarze tworzą to Miasto wciąż na nowo, wpisują je w ramy nie tylko okładek swoich książek, ale przede wszystkim w ciekawość czytelniczą, w zainteresowanie tajemnicą odsłanianą na różne sposoby i we własnym stylu. Imaginacja służy tylko do coraz to innego ukazania *genius loci* tego miejsca, którym jest Szczecin. I to na nim skupiają się wszystkie akcenty tych, o których będzie mowa w zapowiadanej opowieści.

* * *

Każde dzieło można odczytywać na rozmaite sposoby, poszukiwać w nim walerów, a to literackich, artystycznych, a to naukowych, językowych, dydaktycznych, poznawczych... Można też odkryć w jednym dziele – wszystkie wymienione. I można dojść do wniosku, że ta obfitość nie musi być „ciężkostrawna” dla smakosza delektującego się dobrą książką. Wręcz przeciwnie, można

w niej odkryć harmonię smaków dotąd niepoznanych i... z przyjemnością posmakować zaserwowane danie przez znakomitego autora albo autorkę.

I tym razem będzie to Autorka, która nie po raz pierwszy proponuje gronu czytelniczek i czytelników swoje niepowtarzalne, szczecińskie przysmaki literackie, że jeszcze przez moment odniosę się do „sztuki kulinarnej”. Z tej przestrzeni wychodzę poszukać akcentów rozproszonych po mieście,



a które spodziewam się odnaleźć w przestrzeni literatury. Ze smakoszki zamienię się w spacerowniczkę, która po dobrym daniu wybiera się na spacer, aby odczytywać swoje Miasto na nowo.

Wybieram też Przewodniczkę dobrze znającą się tak na akcentach, jak na przyprawach (uśmiech), które staną się nie tylko dominantą tego dania, ale (wychodząc z kuchni) przede wszystkim będą niezbędnymi wskazówkami ułatwiającymi swobodną peregrynację w tej wielowarstwowej, literacko-urbanistycznej przestrzeni.

Oto Krystyna Rodzewicz proponuje swoją szóstą książkę, jeszcze bardziej szczecińską, niż *Abordaż szczecińskie* z 2020 roku. *Odczytywanie miasta. Szczecin w literaturze XXI wieku* to praca dyplomowa pisarki. Ktoś zapyta, co robi pośród tomów wierszy, opowiadań czy powieści serii: akcent praca magisterska? Otóż, według mnie, doskonale się wpisuje w naszą szczecińską przestrzeń jako historia-opowieść o Szczecinie. Dopełnia w ten sposób obraz Miasta, który wciąż powstaje pod piórami lub na klawiaturach piszących.

Praca Krystyny Rodzewicz, naturalnie, spełnia wszystkie warunki naukowe, gdyż powstała na uczelni i zwieńczyła studia pisarskie Autorki *Indeksu Szczęścia* na Uniwersytecie Szczecińskim. Obecnie zaś opuszcza archiwa uniwersyteckie i staje się opowieścią wielowątkową o Szczecinie, wciągającą w swoją czasoprzestrzeń wszystkich zaproszonych do opowiadanej historii. Autorka/narratorka sama staje się *flaneuse*/spacerowniczką nie tylko po Mieście, ale i po szczecińskiej literaturze. Każdy/a z nas dołącza lub dołączy do tego magicznego spaceru... i ze zdumieniem odkryje, że To się czyta jak... jak najlepszą powieść...

* * *

Odczytywanie miasta trwa... Krystyna Rodzewicz, pomysłodawczyni *abordaży* szczecińskich, po raz kolejny bezboleśnie, a jak najbardziej skutecznie zagarnia – a może lepiej użyć słowa *aborduje* – mnie i pośrednio każdego czytającego, na pokład swojej wyobraźni, obszernie wyposażonej w wiedzę naukową, w swoje własne doświadczenia zawodowe i literackie oraz w swoją pasję, hobby, które syci jej Szczecin. Stało się tak, bowiem Autorka *Europa... Europa!* – ma szczególną umiejętność nadawania nowych znaczeń słowom dotychczas jednoznacznym, ot, chociażby *abordaż/zderzenie*. Ta umiejętność przekłada się na niepowtarzalny język i styl każdej jej książki, które dzięki temu zyskują przejrzystość narracji. Dodatkowo, nieustająca ciekawość szczecińskości

wywołała w pisarce potrzebę wędrówki w poszukiwaniu innych, którzy już tę ciekawość odkryli i opisali. Zinterpretowali na swój niepowtarzalny sposób to spotkanie z *chorą* Szczecina, użyczając wykreowanemu przez siebie przestrzeniom języka czy wyobraźni – własnych i niepowtarzalnych bohaterów.

Dlatego Jej najnowsza książka, w moim odczytywaniu jako czytelniczki, a nie recenzentki akademickiej, łączy w sobie znakomity ładunek wiedzy literackiej opartej na badaniach z doświadczeniem i gruntowną wiedzą praktyka inżyniera budownictwa (czemu daje wyraz na stronach swojej pracy) ze swobodą epickiej narracji. Do tego dołącza swoje fascynacje i emocje szczecinianki, odkrywającej swoje miasto wciąż na nowo. I jest Efekt!

Odczytywanie miasta się czyta! Czyta się dobrze, lekko i z przyjemnością. Od WSTĘPU, który z założenia objaśnia cele i zamiary Autorki, skupionej – w swojej pracy badawczej poświęconej Szczecinowi w literaturze XXI wieku – na odczytaniu dzieł ze Szczecinem w roli bohatera. W trzech rozdziałach MIASTO I TEORIE, SZCZECIN W LITERATURZE XX WIEKU i SZCZECIN W LITERATURZE XXI WIEKU rozwija temat odczytywania miasta w wielowątkowy wywód z przeprowadzonych badań i poszukiwań literackich. Służy temu przemyślany dobór autorek i autorów szczecińskich lub tych ze Szczecinem mocno związanych, także ich dzieł. Tytuły powieści, opowiadań czy dokumentów wydobytych z archiwów szczecińskich bibliotek okazują się w lekturze najbardziej reprezentatywnymi dla podjętego tematu. Autorka swobodnie prowadzi wątki nasycone komentarzami, utkane cytatami, które tworzą sugestywną (szkatułkową) całość opowieści o Mieście, z opisaną jego topografią, historią, jej artefaktami, dorobkiem kultury. Przede wszystkim jednak o Mieście, w którym *topos*, a z niego *chorę* wywiedli ludzie, którym towarzyszył szczeciński *genius loci*. Książkę się czyta!

* * *

Skupienie Autorki *Odczytywania miasta* na literaturze XXI wieku nie jest oderwane od przeszłości. Stąd mogę zanurzyć się w Miasto, podążając za Przewodniczką tropami, które stanowią przywołane przez nią pojęcia: *chory*, *toposu*, ducha miejsca... odnajduję własną tożsamość i przyswajam toponimy miasta, przenikam przestrzeń, zaglądam w zaułki pełne mitów, podań czy legend, by za moment znowu wyjść na szerokie aleje współczesnego Szczecina. Spacerując, poznaję miejsca i ludzi. Innych spacerowiczów i spacerowiczki obserwujących i opisujących miasto, a przez nich bardzo liczne grono przywołanych postaci z ich książek. Czytam losy i historie bohaterek i bohaterów: Ingi

lwasiów, Anny Frajlich, Brygidy Helbig, Sylwii Trojanowskiej, Moniki Szwai; spotkam się z postaciami opowiadań czy opowieści Artura D. Liskowackiego, Dariusza Bitnera, Krzysztofa Niewrzędy, Roberta Florczyka, także autorów powieści kryminalnych – Marka Stelara albo Leszka Hermana. Ten ostatni zajmuje wiele miejsca w autorskim odczytywaniu Krystyny Rodzewicz.

* * *

Kolejny już raz konstatacja – ten esej literaturoznawczy się czyta! Zarówno wywody Autorki o genezie literatury z korzeniami francuskimi *flaneurs* czy *flaneuses*, potem z naszymi, rodzimymi spacerowiczami czy spacerowniczkami, których grono coraz liczniejsze, a spośród nich też doskonali przewodnicy po akcentach Miasta się wywodzą. Dołączają do tych odczytujących i przewodników – grupy chętnych czytelników. W ich gronie znalazłam się i ja... szczecinianka, która z przyjemnością „odczytuje” swoje Miasto w tym literackim spacerze po literaturze XXI wieku, chętnie wybiera się „na miasto”, by odkryć jego uroki, z nadzieją na interesujące spotkania miejsc czy ludzi. Z pragnieniem na rozszyfrowanie tajemnic, które innym umknęły... i odnajduję nareszcie ów miejski akcent padający na Szczecin!

Za Autorką zapraszam... – Dołącz do grupy coraz liczniejszych odczytujących to Miasto! Szczecin czeka!

Krystyna Rodzewicz, *Odczytywanie miasta. Szczecin w literaturze XXI wieku*, ZLP seria:akcent, Wyd. hogben, Szczecin 2025

MINIATURY LITERACKIE

Janusz Ziarnik

Gajówka

Musiało się coś stać. Zbyszka nie było nad jeziorkiem, pod barcią, nad rozlewiskiem, na nowej uprawie... Nie widziano go jadącego duktem na rowerze, nie było go u stóp jodły, na cmentarzu i w okolicy brzóz. Pytani o niego grzybiarze też przecząco kręcili głowami. Dopiero leśniczy mi powiedział – miał wypadek.

Spotkałem go na leśnej drodze, gdy wyszedł ze szpitala. Podpierając się drewnianymi kijami, posuwał energicznie odziane w gumyaki nogi. Przywitał mnie jak zwykle z radością, chociaż oczy nie były tak żywe jak kiedyś. Szybko poczułem, że nasza empatyczna nić została splątana i nie przewodzi wszystkich emocji.

W szpitalu, by ratować jego życie po upadku na rowerze, zrobiono mu operację głowy. Zmiany w mózgu, które skutkiem tego nastąpiły, uprościły jego świat, a i niestety, utrudniły z nim kontakt. Miał świadomość własnych ograniczeń i dlatego powiedział:

– Przyszedł czas, aby młody byk – tu wskazał na mnie – prowadził starego.

Z przykrością przyjąłem rezygnację mojego przewodnika, ale cóż robić...

– To dokąd idziemy? – spytałem.

– Na starą leśniczówkę, może już zakwitły konwalie i jabłonie.

Szliśmy piaszczystą drogą, po lewej stronie młode sosny, po prawej stare buki. Buki niespiesznie zieleniały ostrymi pąkami. Pod nimi, pośród starych

liści wyglądały białe płatki zawilców. Nieco wyżej zakwitały krzewy jagód. W powietrzu pachniało mokrą wiosną, w końcu to maj.

Zapatrzonej w przyrodę, zgubiłem z oczu Zbyszka. Szedł przede mną, ale zmylił drogę. Stałem i nie chcąc krzyczeć, skupiłem się i „zawołałem” do niego w myślach:

– Stój!

Zatrzymał się, odwrócił i spojrzał na mnie. Pokazałem ręką, że nie tędy droga. Chyba nie zrozumiał gestu, bo ruszył do przodu, więc ponowiłem w myślach zawołanie. Stał. Puknął się z przyganą we własne czoło i dopiero teraz skorygował trasę.

Przechodziliśmy obok sągu sosen. Wziąłem spory kij i uderzyłem w pierwszy z brzegu bal – był głuchy. Drugi i trzeci także. Zbyszek też chciał „zagrać”, ale widząc moje niepowodzenie, pokazał na środek bala – zaczynał próchnieć.

Dotarliśmy na miejsce po leśniczówce. Stare lipy, klony i czerwony buk stały już w pełnej szacie listowia. Łąka obok zakwitła bielą jabłoniowego sadu. Zbyszek, widząc to stanął i z zachwytem w oczach powiedział:

– I tylko tego mi będzie szkoda, że znów na świecie będzie pogoda, że znów będzie maj.

Złączyliśmy ręce w mocnym uścisku. Spotkały się nasze oczy, tak nie po męsku zwilgotniałe.

Wkrótce wyjechałem. Ciągnęły mnie góry, gdzie co roku spędzam wakacje. Tym razem zabrałem ze sobą rower. Nocowałem w schronisku, skąd robiłem eskapady do okolicznych atrakcji turystycznych.

Pewnego dnia, kiedy wracałem z jednej z nich, a było już dobrze po południu, złapał mnie deszcz. Założyłem płaszcz i dalej pedałowalem, gdy zobaczyłem sąg świerkowych bali. Znalazłem krótki kij i zwrócony w stronę, gdzie daleko na północ był Zbyszek, zabębniłem. Wiedziałem, że jest chory, że nie jest z nim dobrze. Bębniłem rytm serca, normowałem swój i jego oddech. Była piętnasta czterdzieści. Bałem się przestać bębnić... Deszcz zmusił mnie jednak do odwrotu.

Następnego dnia rano zadzwonił telefon. Dzwonił Andrzej, przyjaciel Zbyszka.

– Zbyszek udał się w długą podróż.

Z trudem, po chwili ciszy zapytałem:

- Kiedy to się stało?
 - Wczoraj, przed szesnastą.
- Zostałem z lasem sam.

Ten las nazywano kiedyś puszcą królewską, bo król tylko mógł mieć z niego pożytek. Pożytkiem były dziki, jelenie i drobna zwierzyna, jak zające odławiane na stoły dworu. Pozyskiwano też miód z pszczelich barci używany do słodzenia i sporządzania miodu pitnego. Rosły tu głównie sosny, dęby, rzadziej świerki i jodły. Na podmokłych terenach, a tych w dolinach rzek było sporo, królowała olszyna i wierzba.

Kiedy narodziła się wola człowiecza, by gospodarować zasobami drewna, zaczęto budować osady leśne. Tak też powstała ta, o której chcę opowiedzieć.

Pierwsi odważni, którzy tu zamieszkali, zostawili po sobie lipę i dęby. Lipa ocieniała dom, dęby posadzono wzdłuż drogi prowadzącej do niego. Z dawnej osady, oprócz drzew, została drewniana gajówka kryta dachówką i gospodarskie obejście. Składała się na nie stodoła i obora, obok był sad, a niżej, na łące, mały staw. Całość ogrodzona była płotem ze sztachet z drewnianą bramą.

Tak to zastałem, gdy po raz pierwszy przyjechałem na tę polanę. Niedawno skończyłem studia i by zostać prawdziwym leśnikiem, miałem odbyć u gajowego staż. Formalna hierarchia stawiała mnie wyżej, tu jednak byłem uczniem.

Pan Jan przyjął mnie w kuchni. Stał tu kredens z nadstawką, piec kaflowy, gdzie gotowano posiłki, miska, wiadro z wodą i kilka drobnych sprzętów. Podobnie skromnie umeblowane były pozostałe dwa pomieszczenia: łóżko, szafa, stół, cztery krzesła.

Żona gajowego, pani Zofia podała herbatę.

– To co student chce robić? – spytał pan Jan.

– Ja już studia skończyłem – zaprotestowałem – chciałem poznać pracę gajowego.

Pan Jan uśmiechnął się z przekąsem, ale zaraz dodał:

– To świetnie, to dobrze.

Zosia, obiad na którą?

Wyrwana z zamyślenia, siedząca skromnie w kącie z rękoma na podołku żona odpowiedziała:

– Na pierwszą, zupa będzie na pierwszą.

– No, to mamy trochę czasu.

Praca gajowego polegała na pilnowaniu lasu i pracujących w nim robotników – był ich brygadzystą. Znaczył też drzewa do wycięcia, cechował je, liczył posusz, a nawet czyścił budki lęgowe ptactwa. Codziennie meldował leśniczemu o tym, co dzieje się w lesie.

Podziękowałem za herbatę, pan Jan wziął strzelbę i ruszyliśmy na obchód. Widząc moje zainteresowanie jednorurką rzucił:

– Czasem się przydaje.

– Ale na co?

– Panie studencie, tu się takie rzeczy działy...

Cóż, nie dopytywałem jakie, zresztą byłoby to trudne, bo pan Jan wysforował się naprzód, krocząc miarowo, ledwo za nim nadążałem.

Las powoli przywdziewał jesienne suknie. Żółtki okalające polanę brzozy, zaczątki purpury pojawiły się na liściach klonu, a w podszycie czerwieniały korale kaliny.

Dzień był słoneczny i nim doszliśmy na porębę, chcąc sprostać gajowemu, trochę się spocilem.

Pan Jan przywitał się z pilarzami, poklepał konia po zadzie, po czym przypomniał sobie o mnie stojącym z boku i przedstawił:

– Mamy młodego leśnika, czas jakiś będzie nam pomagał.

Uścisnąłem sękatę dłoń i wycofałem się, słuchając jak ustalano, gdzie składować drewno. Po chwili pan Jan skinął ręką i weszliśmy w sosnowy las. Światło docierało do spodu, karmiąc wysokie krzewy borówki.

– Tu – pokazał ręką gajowy – może za rok będziemy ciąć, ale to już chyba nie dla mnie robota.

Teren zaczął się podnosić, weszliśmy na małą górkę. Pan Jan zarządził odpoczynek. Kiedy siadając na powalonej sośnie zdjął broń spytałem, pokazując na nią:

– Była kiedy potrzebna?

– Na postrach, tych co wybierają się po cudze. Bywa, że i oni miewają broń. Kilku gajowych straciło przez to życie. Ja z miejscowymi nie mam problemów, jakoś się dogadujemy.

– Co tu się dogadywać – zaoponowałem – las jest państwowy, nie chłopski.

Pan Jan spojrzał z politowaniem na mnie. Wyciągnął metalowe pudełko z tytoniem, napełnił nim papierową tutkę i zapalił papierosa.

– Tak też można, panie studencie, tak też można. Pójdziemy zobaczyć jodły, coś mi ostatnio marnieją.

Szliśmy sosnowym borem.

– Pan się przyjrzy, studencie – pokazał ręką przed siebie – gałęziom tych drzew. Widzi pan? Brudnica mniszka.

Cóż, ja nic nie widziałem, ale przyznać się było głupio, więc bąknąłem:

– Nooo...

Natomiast obgryzione przez jelenie stożki wzrostu w młodniku sosny, gdzie weszliśmy, zauważyłem.

– Tak – potwierdził moje spostrzeżenie gajowy – na zimę znów spryskamy repelentem.

Z młodnika zobaczyłem jodły. Ich strzały wychodziły nad okap.

– Co im dolega?

– Powietrze, ja myślę, że zatrute powietrze z miasta.

Kiedy dotarliśmy do obu jodeł, pan Jan pomacał ręką ziemię, przemielił jej garść w palcach i rzekł do siebie:

– Wilgoć mają, rosną na żyznej ziemi, a gałęzie schną, igły rzedną... Tak, chyba te świństwa z fabryk.

Chwilę się zastanowił i spytał:

– Ma pan mapę naszego leśnictwa?

– Mam.

– Znajdzie pan oddział 217, niech pan sprawdzi ile tam mamy drzew doborowych. Spotkamy się jutro, ja jestem umówiony z leśniczym.

Kiedy następnego dnia stanąłem przed drewnianą bramą, żona gajowego akurat nabierała wodę w studni. Przywitałem się i pomogłem zanieść wiadro do kuchni.

– Nie wie pani ile lat może mieć ta lipa?

– Ta za gajówką? Więcej niż sto. Mówią, że posadzona, gdy gospodarzom urodziła się córka.

– A dęby?

– Dęby, jak rodzili się synowie.

Za chwilę wszedł do kuchni gajowy. Miał w ręku kapelusz z siatką.

– Pszczoły, pszczoły przeglądałem – powiedział, widząc moje zainteresowanie.

– I co pan zbażał, studencie? – zmienił ton na służbowy.

– Oddział 217, według mnie, liczy około 7500 drzew dorodnych.

– A jak pan to liczył?

– Drzewostan jest jednorodny, rosnący na tym samym, płaskim podłożu. Odmierzyłem hektar, policzyłem drzewa, a potem pomnożyłem przez dziesięć, bo taki obszar ma oddział.

Gajowy chwilę pomyślał.

– Sosny w tym oddziale mają po 40 lat. Kiedy dojdą wieku rębego ich korony, zakładając, że zostawimy ich tyle ile pan policzył, zewrą się. I co wtedy?

– ...?

– Powiem panu, studencie. Stracimy na miąższości, a leśniczy nie rozliczy się z operatu.

Po chwili, gdy ciężar ciszy stał się trudny do zniesienia, wyszliśmy do z lasu. Ani gajowy, ani ja nie mieliśmy ochoty do rozmowy. Na porębie dostałem numerator, cechówkę i łapę zająca. Miałem znaczyć drewno, gajowy rozmawiał z robotnikami. Kiedy skończyłem, podszedł, zerknął na to co zrobiłem i zapytał:

– A pieńki?

Widząc moje niezadowolenie dodał:

– To las wymaga, nie ja.

Cóż, skoro las... Szybko przybiłem numery na pniach i poszliśmy na obchód.

Na trzeciej krzyżówce zaczęły się drzewa liściaste. Stonowana zieleń igieł i brąz kory sosen ustąpił purpurze klonów i żółci brzoź. Kiedy pierwsze przy-mrozki zważą liście, ziemię zaścieli perski dywan. Z gromady liściastych wybu-jał nad okap buk.

– *Fagus silvatica* – pochwaliłem się znajomością łacińskich nazw drzew.

– Zgadza się, panie studencie, właśnie idziemy do niego.

Buk, którego pierśnica miała pięć metrów, na wysokości czterech metrów rozdawał się i jedna z odnóg była złamana. Zauważyłem u nasady tej odnogi czarne plamy. Choruje, pewno z niego nic nie będzie, wkrótce runie i ten drugi konar.

– I co by pan z tym zrobił, studencie?

– Ściął, może trochę drzewa się uratuje.

– Też mi recepta – ciąć, a wie pan, ile rósł oraz ile pożytku jeszcze dać może swoimi liśćmi, bukwia? Nie, napiszemy wniosek na pomnik przyrody. Niech pan zmierzy pierśnicę, oszacuje wysokość, stan zdrowia i zrobi jego opis do karty.

– Pewno las tego wymaga – pomyślałem w duchu ironicznie.

Zaczynałem mieć dość – co bym nie zrobił było złe.

Nastaly ciche dni. Jak w znudzonym sobą małżeństwie staraliśmy się nie wchodzić sobie w drogę. Skrupulatnie wypełniałem polecenia gajowego, a uwagi puszczałem mimo uszu.

Po miesiącu praktyk zjawiłem się w nadleśnictwie, by oddać raptularze szacunków brakarskich i posuszu oraz załatwić swoje sprawy u kadrowej.

Na korytarzu spotkałem nadleśniczego.

– Jak u pana Jana? – spytał.

– Nie ukrywam, trudno...

– To niech pan wejdzie do mnie, pogadamy.

W gabinecie szefa zreferowałem ostatni miesiąc pracy, uwypuklając sytuacje konfliktowe, na koniec dodając:

– A już ciągle nazywanie mnie studentem...

– Rozumiem – przerwał szef – wkurza. Cóż, nasz pan gajowy jest bardziej stworzony dla lasu niż dla ludzi. Nie ma takiego jak pan wykształcenia, ale pracował w lesie jeszcze przed wojną i ma praktykę, jak żaden z nas. Pracowitości nauczył go życie. Przecież to pole, sad, pszczoły i żywizna dają mu utrzymanie. Z pensji by nie wyżył. A swoją drogą, czy w przypadku buka i numerowania nie miał racji?

– No, miał – przyznałem z ociąganiem.

Spojrzelśmy sobie w oczy. Szef uściśnął mi rękę, klepnął po ramieniu – audiencja skończona.

Tego dnia nie pojechałem do gajówki, papiery w nadleśnictwie zajęły mi dużo czasu. Nie wybrałem się tam i przez tydzień, zmogła mnie grypa, zaprzężając z łóżkiem i Aspiryną.

Po wyzdrowieniu jechałem do gajówki, zastanawiając się nad moją pracą w lesie i panem Janem. Pewno szef ma rację, ale może by zmienić miejsce praktyk?

Koło gajówki było dziwnie spokojnie, czegoś brakowało... Zawyczał rano krzątała się po obejściu pani Zofia...

Zapukałem – nikt nie odpowiadał, więc wszedłem. Pan Jan stał nad kuchnią i mieszał w garnku. Usłyszawszy moje pozdrowienie odwrócił się i kiwnął głową.

– Pan siada, zupę gotuję, herbatę zaraz wstawię.

– A gdzie pani Zofia?

Łyżka w garnku zatrzymała się, a pan Jan stężał.

– Zmarła, przedwczoraj był pogrzeb – powiedział, nie odwracając się.

– Co się stało?

– Zatruta się grzybami.

– ...? Pani Zofia, grzybami? Tu w lesie? Przecież...

– Tak, proszę pana – szewc też bez butów chodzi.

Herbatę wypiliśmy w milczeniu.

– Lenistwo prowadzi do głupoty. – powiedział pan Jan – Idziemy na porębę, gospodarze czekają. Przyjeżdżają po drewno na zimę, a ja im muszę wyznaczyć działki, potem sprawdzić, czy nie powtykali do kupek duszy.

Od tej pory rano pomagałem panu Janowi przy obrządku. Wpierw trzeba było nakarmić krowę, dwie świnki i oczywiście koty łaszące się zadartymi ogonami do nóg. Potem pan Jan zaglądał do pszczoł, wypijaliśmy herbatę i ruszaliśmy do lasu. Rutynowy obchód kończył się spotkaniem z leśniczym, w którym nie uczestniczyłem zajęty poleceniami gajowego.

Nie myślałem już o zmianie praktyk, pan Jan też złagodniał, okazując czasem zadowolenie z mojej pracy słowami:

– No, nawet, nawet...

Tak gdzieś na początku listopada, gdy pierwszy mróz pozbawił drzewa liści i straszły golizną, przyszła raptownie, spadło ciśnienie.

– Pełnia, będzie zmiana pogody, duża zmiana, czuję to w kolanach – orzekł rano pan Jan.

Rzeczywiście, pod wieczór zaczęło wiać. Prędkość wiatru narastała, by w nocy osiągnąć prędkość ponad sto kilometrów na godzinę – huragan.

Wiatr ucichł nad ranem. Z duszą na ramieniu jechałem do gajówki. Zaraz po wjeździe na polanę zobaczyłem, że dęby i lipa stoją, gajówka też. Uff, odechnąłem, a co z panem Janem?

Siedział w kuchni, dorzucając do pieca.

– Czekalem na pana, musimy szybko do lasu, tam pewno nieźle nawywraçało.

Rzeczywiście tak było. Padły brzozy. Sterczały pośród sosen wysokimi na trzy metry wykrotami. Wiatr wykorzystał ich słabość, jaką było wybicie się nad poziom lasu. Starszym sosnom też nie darował. Tu był prawdziwy kataklizm. Położył je pokotem na długości prawie kilometra i szerokości dwustu metrów.

– To te, które mieliśmy ciąć w przyszłym roku? – spytałem.

– O, słyszę „mialiśmy”, to dobrze, to znaczy pan już nasz. Tak – ten oddział miał być cięty, teraz będzie sprzątany.

Ośmielony uwagą pana Jana poczułem się na tyle gospodarzem, że, gdy doszliśmy pod buka i widząc złamany ostatni konar, wypaliłem:

– No, to teraz już nic go nie uratuje, pójdzie pod piłę.

– Pod jaką piłę. – obruszył się gajowy – Zostanie do rozpadu, a jak znam buki, to może jeszcze odbije.

Znów dostałem po uszach.

Szacowanie szkód zajęło nam kolejne dni. Pilarze cięli to, co spadło na drogi, my obmierzaaliśmy kubiki i wyznaczaliśmy miejsca składowania.

Któregoś dnia, gdy wróciliśmy zmęczeni i siedzieliśmy, jedząc zupe, pan Jan zapatrzył się w okno i powiedział:

– Szkoda, że jej nie ma.

– Kogo?

– Córkę, odkąd poszła do szkół, rzadko przyjeżdża...

O córce wiedziałem, mówiła o niej pani Zofia. Nie spotkałem jej, choć świadectwa troski o ojca widoczne były co krok. Na stole nowy obrus, wyprane zasłonki, w oknach kwiatki... Widocznie jednak dla pana Jana teraz to było mało.

Wkrótce musiałem pożegnać gajowego, skończyła się moja praktyka. Uściśnął mnie mocno na koniec.

– No, panie leśniku, bo teraz to już pan leśnik, niech pan czasem odwiedzi starego.

Nowy rodzaj pracy mocno mnie zaprzątnął i o gajówce trochę zapomniałem. Jednak, gdy od nadleśniczego dowiedziałem się, że pan Jan odszedł na emeryturę, postanowiłem go odwiedzić.

Zielono już było w lesie, zielono świeżutką zielonością liści i traw. W powietrzu rozbrzmiewały koncerty wzajem przekrzykujących się kosów, dzieciątów i pokrzewek. Starania o potomstwo były w pełni. Radość przyrody udzieliła się i mi.

Zastałem pana Jana przed gajówką. Rozmawiał z jakimś mężczyzną. Nim doszedłem, usłyszałem końcówkę rozmowy.

– A gdzie ty, Wacuś będziesz kupował w tym roku choinkę? – spytał pan Jan.

Mężczyzna nerwowo zamachał rękoma i nie żegnając się, szybko odszedł. Pan Jan był w mundurze i czapce. Czyżby wrócił do pracy?

Przywitaliśmy się serdecznie. Zapytałem od razu o mundur.

– Wie pan, dogłądałem trochę lasu i w zamian pozwolono mi go nosić.

– A co chciał ten pan?

– Mieszka na wsi pod lasem, a przyszedł mnie pouczyć, że czapka i mundur już mi się nie należą. Co roku kradł choinki, kradł i sprzedawał, a teraz... Dajmy spokój. Zaparzę herbatę i coś panu opowiem.

Usiedliśmy przy stole, oprócz herbaty pojawiła się na nim butelka śliwowicy.

– Z moich śliwek – zaznaczył pan Jan polewając.

Tak gdzieś po trzecim kieliszku, zapytał:

– Pamięta pan ten staw w dole łąki?

Oczywiście, pamiętam.

– A wie pan, że tam jest skarb?

Widząc moje zaskoczenie z tajemniczą miną kontynuował.

– Zimą 1812 roku wracały z Rosji wojska napoleońskie pobite pod Beresyną. Żołnierze wieźli łupy ulokowane na wozach. Jechali głównym traktem dość daleko stąd. Widząc, że konie ciągną ostatkiem sił, zaczęli ich szukać na

podmianę, po wsiach. I tak trafili w tę okolicę. Znaleźli konie (podobno płacili złotymi rublami) i chcąc nadrobić stracony czas pojechali na skróty. Sporo tu bagien, rzek i stawów, ale wszystko wtedy było przykryte śniegiem. Wjechali na lód, ten pod ciężarem wozu się załamał. Konie zdołali wyprząc, ale wóz utonął i wyciągnąć go nie umieli. Został tam podobno do dziś. Ktoś próbował latem sondować staw, lecz tyczka zagłębiła się w błoto na pięć metrów i dali spokój.

Nie wiedziałem co powiedzieć. Trudno mi było zweryfikować opowieść. Na szczęście pan Jan zmienił temat, pytając o moją pracę. Kiedy zrelacjonowałem te kilka miesięcy w nadleśnictwie, skwitował to słowami:

– No tak, tam las inaczej wymaga.

Minęło kilka miesięcy. Od leśniczego dowiedziałem się, że jabłonie koło gajówki zarosły wilkami, został jeden ul, a pan Jan ledwo targa wiadro z wodą ze studni. Mimo to nie chce się stamtąd wynieść, bo, jak mówi – dobrze mu ze starymi drzewami. Jednak nie dał rady. Zabrała go do miasta córka. Wkrótce potem zmarł. Na pogrzebie była delegacja nadleśnictwa w galowych strojach, róg zagrał „Pożegnanie z knieją”.

Odwiedziłem polanę następnej wiosny. Domu pana Jan nie było, nad miejscem po nim szumiąca wiekowa lipa, pachniało jej kwiatami, wśród których uwijały się pszczoły. Zdziczały sad zarósł, po oborze i stodole nie było śladu. Na środku polany ogrodzenie chroniło wschodzącą kukurydzę. Łąka pyszniła się zielonym dywanem przetykanym żółcią kaczeńców. Odchodząc obejrzałem się na skraj polany. Dęby wciąż podpierały niebo.

WYDARZENIA

Róża Czerniawska-Karcz

Od „Siostry Poetki” po ROK Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, czyli jak Rafał Podraza kontynuuje dzieło życia Magdaleny Samozwaniec

Część I

Rozmowa nie tylko o Siostrze Poetce

Kilka informacji o moim rozmówcy, którym jest Rafał Podraza – historyk z wykształcenia, studiował na Uniwersytecie Wrocławskim; poeta, autor tomików poetyckich: „Moja intymność” (Świadectwo, 2006), „Przemijanie” (Świadectwo, 2008), w przygotowaniu do druku kolejny tom wierszy. Dziennikarz-reporter, ma też swoje miejsce w „Kurierze Szczecińskim” – „Trzy pytania do Podrazy”; autor piosenek, które mają w swoim repertuarze m.in. Halina Frąckowiak, Natalia Kukulska czy Kasia Wilk; biograf Magdaleny Samozwaniec, autor i redaktor dwóch świetnie sprzedających się książek „Magdalena, córka Kossaka. Wspomnienia o Magdalenie Samozwaniec” (PIW 2007) oraz niepublikowana do tej pory, ostatnia książka pisarki, odnaleziona w zapiskach w rodzinnym archiwum, „Z pamiętnika niemłodej już mężatki” (W.A.B. 2009); od 2009 roku przynależy do ZLP Oddział w Szczecinie.

Róża Czerniawska: *Należałoby zacząć od dokładniejszego wyjaśnienia Twojego pokrewieństwa z Magdaleną Samozwaniec, a przez nią, z Rodziną Kossaków. To pokrewieństwo bardzo bliskie, ale bez więzów krwi?*

Rafał Podraza: Tak, nie ma we mnie ani kropli krwi Kossaków, gdyż Magdalena Samozwaniec (pseudonim literacki, pod którym była i jest ogólnie znana), a właściwie Kossak-Niewidowska po drugim mężu, Zygmuncie Niewidowskim, jest tylko moją cioteczną babką. Moja babcia, Kamila Podoba, była siostrą Zygmunta Niewidowskiego, a moja mama, Teresa Podraza jego siostrzenicą i chrześnicą. Po śmierci Madzi i w swoim testamencie Zygmunt Niewidowski zostawił całą spuściznę literacką oraz wszelkie pamiątki Magdaleny i po niej (w tym korespondencję nikomu dotąd nieudostępnianą), swojej siostrze, a potem jej rodzinie. Stąd dostęp do rodzinnego archiwum i pomysł na wydanie nieznanych, czy przypomnienie zapomnianych dzieł nie tylko Magdaleny, ale też Jej ukochanej siostry Lilki, Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej.

R.Cz.: *Mając dostęp do sekretów rodzinnych i ogromnej wiedzy o Rodzinie Kossaków, czy uważasz się za kossakologa?*

R.P.: Nie! Oczywiście, że nie. Prawdziwym i, według mnie, jedynym znawcą tematu, skarbnicą wiedzy o tej Rodzinie był profesor Tadeusz Olszański.

R.Cz.: *Nasza rozmowa ma dotyczyć właściwie nie cioci Madzi, chociaż ona jest Tobie zapewne bliższa, lecz jej Siostry Poetki. Czytanie wspomnień, zapisków, dzienników i listów Magdaleny o jej uwielbianej (chyba to właściwe słowo) siostrze Lilce, nie budziło Twoich wątpliwości co do prawdziwości tych relacji?*

R.P.: Nie. Nie miałem takich odczuć. Szczególnie listy sióstr są bardzo przekonującym i... prawdziwym dowodem na miłość siostrzaną, obopólną... Naturalnie, jak to między rodzeństwem, a tym bardziej, między kobietami bywa, dochodziło też do sprzeczek, nieporozumień, a nawet kłótni, ale były to sprawy właśnie bardzo kobiece – suknie, kapelusze albo... mężczyźni! Siostry były jednak bardzo ze sobą blisko związane, zresztą jak cała rodzina – Tatko, Wojciech Kossak, Mamidło, Momo – Maria Kossakowa z Kisielnickich i brat Koko – Jerzy Kossak. Świadczy o tym „niezwykła” korespondencja między nimi, właściwie codzienna, mimo nieobecności w domu już dorosłych dzieci. Interesujący jest język tych listów, niby szyfr rodzinny, świadczący o zażyłości.

R.Cz.: *Czy Magdalena jednak nie idealizowała zbyttnio Lilki? Jej wspomnienia o Marii, w książkach najbardziej znanych „Maria i Magdalena” czy „Zalotnica niebieska” są dowodem na taką idealizację.*

R.P.: Zapewne ciocia Madzia świadomie idealizowała siostrę. Przecież w tych swoich wspomnieniach przedstawia Marię w różnych jej sytuacjach życiowych, które nie zawsze były pochlebne dla Lilki. Ale jest też ogromnie wyrozumiała dla jej życiowych decyzji, rozumiała ją doskonale, usprawiedliwiała, tłumacząc chociażby jej bolesnym dzieciństwem, czy wyjątkową, genialną osobowością poetycką, artystyczną. Lilka nie mogła być inna. Jej biografia musiała do niej pasować, czyli musiała być... dramatyczna, a nawet tragiczna.

R.Cz.: *Twoja kolejna książka, która jest już w przygotowaniu, będzie poświęcona właśnie Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej?*

R.P.: Tak. Będzie to wybór poezji Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, dokonany przez Magdalenę Samozwaniec, z płytą! na której nagrano ciocię Madzię czytającą wiersze Siostry. W książce znajdzie się też 8 wierszy nieznanych dotąd oraz gawęda pisarki. dopełnieniem nowości tej publikacji będzie dołączony wiersz wojenny Poetki, dotychczas jeszcze nigdzie niedrukowany.

R.Cz.: *Czy znajdują się w tej książce jakieś inne niespodzianki, rarytasy – fotografie, listy lub inne rewelacje z życia Poetki?*

R.P.: Tak, zamieściłem w tej książce dwa nieznanne, bardzo cenne zdjęcia Lilki, jedno z 1928 roku, a drugie z dzieciństwa – z 1905.

R.Cz.: *Pod jakim tytułem ukaże się książka?*

R.P.: Oczywiście, pod tytułem, który wymyśliła Magdalena Samozwaniec „Moja siostra-poetka”. Tytuł mojej pierwszej książki o cioci Madzi „Magdalena, córka Kossaka. Wspomnienia o Magdalenie Samozwaniec” był również jej pomysłem na książkę o niej.

R.Cz.: *Czy masz w swoich zapiskach jakieś dowody na to, że siostry rywalizowały ze sobą o sławę literacką? Albo były między nimi jakieś spory, np. o „zawłaszczenie” przez Madzię autorstwa „Na ustach grzechu”, jak to sugerują niektórzy autorzy listów czy wspomnień w Twojej książce?*

R.P.: Nie, nie było niczego takiego. Lilka na pewno nie walczyła ze swoją młodszą siostrą o sławę, szybciej o mężczyzn lub o kobiecie fatałuszki, jak już wspominałem. Lilka przed wojną należała do elitarnej grupy twórców poezji. Nie była tak znana jak Magdalena, która cieszyła się dużą popularnością, właśnie dzięki swojej debiutanckiej powieści „Na ustach grzechu”. Uważa się, że to

najlepsza jej powieść. Pawlikowska w swojej poetyckiej twórczości była zjawiskiem całkiem nowym i bardzo odmiennym od powszechnie uznawanej poezji kobiecej. W niczym nie przypominała Konopnickiej, Wolskiej, Ostrowskiej czy Zawistowskiej. W swoich nowatorskich, na owe czasy, wierszach przeważnie miłosnych, mówiła odważnie o miłości zmysłowej, miłości do mężczyzny (niejednego zresztą). Na pewno nie była popularna w Krakowie. Jej kolejne wydania poezji zalegały na strychu Kossakówki. Akceptowali ją skamandryci w Warszawie czy we Lwowie. Tam miała grono swoich literackich przyjaciół. Tuwim, Staff, Lechoń, Słonimski, także Boy, a nawet Żeromski wyrażali się o niej i jej talencie pochlebnie.

R.Cz.: Miała też swoich krytyków. Na przykład Przyboś czy Kuncewicz nie uznawali jej utworów dramatycznych, czy twórczości późniejszej niż właśnie wiersze miłosne?

R.P.: To prawda, miała bardzo wielu nieprzychylnych, a nawet wrogich krytyków. Szczególnie w środowisku krakowskim. Zapewne bardzo to bolało i ją, jak i Magdalenę. Jednak godziły się z tym, jak wszyscy piszący, którzy nie są wolni od zawiści innych. Bardzo ładnie wypowiedziała się o talencie Pawlikowskiej Kazimiera Iłłakowiczówna, mówiąc: „Wielką była dla mnie konkurencją!”. Natomiast kuzynka Marii – Zofia Kossak-Szczucka uważała, iż: „Lilka marnuje swój talent” na pisanie wierszy.

R.Cz.: Czy jednak poza tymi codziennymi „przykrościami” jak i uznaniem weszła do polskiej literatury?

R.P.: O tak, była uznawana. Dowodem na to jest przyznana Nagroda Miasta Krakowa w 1935 roku, a potem Nagroda Polskiej Akademii Umiejętności w 1937. Z tą pierwszą nagrodą wiąże się też pierwszy rozdzwiek rodzinny, ale nie z powodu nagrody tylko rozvodu Marii z Janem Gwalbertem Pawlikowskim i poślubieniem lotnika, Stefana Jasnorzewskiego. Rodzice wyrazili swój protest. Doszło do rozstania. Maria wyprowadziła się z Kossakówki i... nie utrzymywała kontaktów z rodzicami. Na uroczystości wręczenia nagrody była tylko Madzia.

R.Cz.: A czytelnicy? Jaki był odbiór Jej poezji?

R.P.: Jak już wcześniej wspomniałem, Lilka była mało znana. Jej wiersze nie rozchodziły się tak jak książki młodszej siostry, która była osobą niezwykle otwartą i wychodzącą do ludzi, w tym do czytelników. Maria była zamknięta w sobie, tworzyła dystans już przy poznaniu. Stroniła od ludzi, zamknięta w swoim własnym poetyckim i... niedostępnym świecie. Należała do

elity i tworzyła poezję elitarną. Dopiero po wojnie, w 1954 r., dzięki staraniom Magdaleny i przy poparciu Jerzego Putramenta ukazał się nakładem Czytelnika „Wybór poezji” Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Potem były kolejne wydania i Jej poezja na dobre zagościła w naszej literaturze. Uważam jednak, że nie byłoby jej, gdyby nie starania kochającej siostry, Magdaleny Samozwaniec, która bardzo boleśnie przeżyła śmierć Lilki, gdy ta odeszła 9 lipca 1945 r. w dalekiej Anglii. Przez całe życie Magdalena nie ustawała w przypominaniu i promowaniu przede wszystkim swojej Siostry Poetki.

R.Cz.: W tym roku (2010) obchodzimy 65. rocznicę śmierci Poetki. Wraz z Magdaleną, którą przywróciłeś, dzięki swoim książkom o niej, do czytelniczego życia powróciła z Nią nieodłączna pamięć o Jej siostrze poetce.

R.P.: Chciałbym zwrócić uwagę na fakt mało znany, że Pawlikowska jest związana ściśle ze Szczecinem. Otóż po wojnie, mało znana poetka z Krakowa, czasem Maria Pawlikowska, czasem Maria Jasnorzewska, właśnie w Szczecinie na Zjeździe ZLP w 1949 r. nabyła swoją obecną literacką tożsamość. Uchwalono bowiem jej podwójne nazwisko jako obowiązujące we wszystkich nowych publikacjach Jej dzieł. Od tego czasu znamy Ją już tylko jako Marię Pawlikowską-Jasnorzewską.

R.Cz.: To rzeczywiście szczeciński rarytas. Mamy swój epizodyczny udział w biografii Poetki. Myślę, że będzie na miejscu przytoczenie ostatniego akapitu z książki Magdaleny Samozwaniec „Zalotnica niebieska”, który to fragment najlepiej oddaje obecny już byt obu Sióstr, a jednocześnie podsumowuje nasze wspomnienia o Nich.

(...) I może teraz siedzi (siedzą) gdzieś w kosmosie z Chopinem, Gałczyńskim, Leśmianem i Staffem, i wszyscy oni nie mogą się wydziwić i nacieszyć, że mimo nowoczesnej muzyki Chopin jest wciąż grany i słuchany, że Jej wierszy uczy się młodzież na pamięć, a młodzi poloniści piszą o ich twórczości prace dyplomowe.

Nieśmiertelność! Ale jakżeż niewielu jest tych, którzy na nią zasłużyli.*

Dziękuję za rozmowę.

4 marca 2010

Część II Suplement do rozmowy, czyli jak Rafał Podraza zaczął budować fundamenty pod ROK Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej (nie wiedząc jeszcze o tym)

15 lat później... ale właściwie należałoby napisać – KONTYNUACJA – rozpoczętego w 2010 r. działania przy realizacji dzieła życia Magdaleny Samozwaniec, by ocalić od zapomnienia Osobę Jej ukochanej Siostry Poetki oraz Jej twórczości. Tak się stało! Przez 15 lat Rafał Podraza nie ustawał w inicjowaniu i organizowaniu wydarzeń poświęconych Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej.

A oto kalendarz tych dokonań, spisany jak pierwsza rozmowa, dokładny, bo miałam to szczęście, że w większości wydarzeń brałam udział i mogłam współpracować z Rafałem Podrazą.

2009 – Spotkanie listopadowe w Domu Pracy Twórczej, siedzibie szczecińskiego oddziału Związku Literatów Polskich, przy ul. Łukasiewicza 8. Prezes oddziału, kpt. Józef Gawłowicz przedstawił młodego dziennikarza i pisarza – Rafała Podrazę, który od roku mieszka w Szczecinie. Toczy się rozmowa o dorobku literackim 32-letniego autora książki „Magdalena, córka Kossaka. Wspomnienia o Magdalenie Samozwaniec”. Nowy temat o planach na następny rok. I młody człowiek wychodzi z propozycją, aby zorganizować coś na miarę regionu albo kraju, nie tylko miasta. Może, np. konkurs poetycki adresowany do młodzieży z patronką, poetką – Marią Pawlikowską-Jasnorzewską. Zainteresowanie! Pomysł do przemyślenia!

W grudniu 2009, na wniosek prezesa Józefa Gawłowicza, Komisja Kwalifikacyjna przy Zarządzie Głównym ZLP w Warszawie, przyjęła Rafała Podrazę w poczet członków Związku Literatów Polskich.

2010 – W styczniu, po promocji w 13 Muzach książki Magdaleny Samozwaniec „Z pamiętnika niemłodej już mężatki”, którą wydano w opracowaniu Rafała Podrazy, powiadomiłam młodsze koleżkę, że chętnie włączymy się do zorganizowania konkursu z Marią Pawlikowską-Jasnorzewską jako patronką. No i się zaczęło! Już w kwietniu odbyła się 1. edycja, jeszcze wtedy regionalnego Konkursu Poetyckiego „O wers Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej”. Logo konkursu oraz plakaty zaprojektował Rafał Bajena z STiPS. Pałac Młodzieży-Pomorskie Centrum Edukacji w Szczecinie użyczył nam miejsca na finał konkursu z oprawą plastyczną Ewy Banaś i teatralną pod kierunkiem Danuty Chudzik. Urząd Miasta wspomógł finansowo. Wydaliśmy Almanach pokonkursowy

z wierszami laureatów i wyróżnionych. Osoba Patronki ruszyła w Polskę, tak jak marzyła Magdalena Samozwaniec.

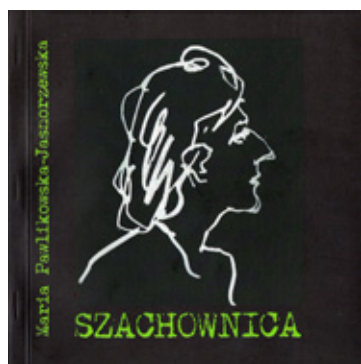
W tym samym roku, w lipcu, jak zapowiadał w rozmowie powyżej, Rafał Podraza wydał w PIW-ie kolejną niepublikowaną książkę Magdaleny Samozwaniec „Moja Siostra Poetka”.

2010 to był rok obfity w różnorodne działania Rafała Podrazy na rzecz upamiętniania Siostry Poetki. W tym przypadku było bardziej osobiście oraz intymnie, lirycznie, poetycko. Wydał bowiem „nie-poeta” (jak mówi o sobie autor) swój 4. tomik wierszy, pod znaczącym tytułem dla wiodącego motywu swoich działań – „Z Jasnorzewską w tle. Wiersze o miłości”, Akcydens, Szczecin 2010.

2011 – W lutym ma miejsce 2. edycja, już Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „O wers Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej”. Konkurs jest adresowany do młodzieży licealnej, a tematem wierszy mają być wiersze o miłości w jej wielu aspektach. Wspomagał nas Pałac Młodzieży, Miesięcznik Pedagogiczny DIALOGI, które użyczają nam adresu dla nadsyłanych z całej Polski zestawów wierszy. Dzięki Wydziałowi Kultury Urzędu Miasta Szczecin i pozyskanej dotacji możemy przyjąć Laureatów, promując SZCZECIN. Wydajemy drugi Almanach z wierszami Laureatów. Finał ma miejsce w Pałacu Młodzieży, inscenizację teatralną wierszy nagrodzonych przygotowuje z młodzieżą Marcel Mroczek.

24 listopada 2011 roku ma miejsce niecodzienne wydarzenie. Wraz z Książnicą Pomorską szczeciński oddział ZLP, z inicjatywy Rafała Podrazy, organizuje 120. Urodziny LILKI. Jest wystawa, jest promocja Poetki, jest gawęda Pomysłodawcy o Kossakach i Jej wybitnej przedstawicielce, nazywanej już przez współczesnych polską Safo; są goście i tort jubileuszowy!

2012 – 3. edycja Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „O wers Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej”. Na bogato, dwudniowo. Finał uświetnia swoją obecnością Mariola Pryzwan, biografistka, autorka książek o Marii (*Lilka. Wspomnienia o Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej*), przewodnicząca jury corocznych konkursów, która przyjeżdża ze stolicy na nasze wydarzenie, by uraczyć gości coraz to nową opowieścią o wybitnej Poetce. Tym razem było „Słowo o Lilce i jej poezji”. Marcel Mroczek przygotował z Grupami Teatralnymi „Decorum” i „Katharsis” prezentację nagrodzonych i wyróżnionych wierszy. Wydarzenie finałowe uświetniły: wernisaż prac plastycznych ilustrujących poezję poetów polskich oraz prezentacja multimedialna w Galerii Sztuki. Imprezą towarzyszącą 3. edycji konkursu było Forum literackie poświęcone Marii



Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, przygotowane razem z Książnicą Pomorską. (I znowu był to pomysł Rafała Podrazy, by rozbudować wydarzenie). W ramach forum została zaprezentowana wystawa o Poetce i odbyły się panele dyskusyjne.

Z tej okazji odbyła się też promocja bibliofilskiego tomiku wierszy „Szachownica” Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Książnica Pomorska we współpracy ze szczecińskim ZLP wydała ten unikatowy tom wierszy wojennych Poetki. Wcześniej zbiór wierszy opracowany przez samą Poetkę miał tylko wydanie londyńskie. Unikatowy egzemplarz tego wydania podarował Rafałowi Podrazie Jan Zdzisław Brudnicki. Na podstawie zbioru i zgodnie z sugestiami w maszynopisie samej Autorki, przygotowaliśmy z Rafałem do druku to bibliofilskie wydanie (nakład 120 egzemplarzy). Wydanie sfinansował Urząd Marszałkowski Województwa Zachodniopomorskiego.

Niezwykle ważnym wydarzeniem edytorskim tego roku stała się książka wydana w październiku przez Agorę. Opracowane przez Rafała Podrazę dzienniki wojenne Poetki, ukazały się pod tytułem „Wojnę szatan spłodził. Zapisy 1939-1945”. Poruszające wyznania oraz zapis osobistych przeżyć i cierpienia Marii Jasnorzewskiej na obczyźnie, która w zawierusze wojennej trafiła z mężem, Stefanem Jasnorzewskim, do Londynu, potem do Blackpool, w końcu do Manchesteru, gdzie zmarła 9 lipca 1945 roku.



Na podstawie książki oraz biografii polskiej Safo powstało słuchowisko radiowe „Lilka. Cud Miłości”, a następnie niepowtarzalne przedstawienie teatralne pod tym samym tytułem. Znakomita obsada: Magdalena Zawadzka, Paulina Holtz, Krystyna Tkacz i Joanna Żółkowska. W recenzji spektaklu napisano: „Spektakl podbija serca w całej Polsce.” Już ponad 13 lat jest na scenach wielu teatrów w Polsce. Promocja Marii Kossak znakomita!

2013 – W lutym odbywa się 4. edycja Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „O wers

Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej”. Jak zawsze z rozmachem włącza się Pałac Młodzieży. DIALOGI, jak co roku, publikują regulamin i zaproszenie do konkursu, aż po... relację z finału i wiersze Laureatów. Marcel Mroczek z grupami teatralnymi młodzieży przygotowuje prezentację wierszy Laureatów. Jest także zwiedzanie miasta według przygotowanej mapy. Wydajemy 4. Almanach pokonkursowy.

Impreza towarzysząca. W Książnicy Pomorskiej, w sali im. Herberta, 15 lutego 2013 r., w przeddzień finału konkursu odbyło się SEMINARIUM LITERACKIE nt. „Życie i Twórczość Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej”. Moderatorem spotkania, z udziałem przyjezdnych laureatów oraz uczestników konkursu, studentów, młodzieży szkół szczecińskich, nauczycieli polonistów oraz miłośników Poetki i jej twórczości, była Cecylia Judek, sekretarz naukowy Książnicy, a znakomitym gościem była zaproszona przez Rafała Podrazę – profesor Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie, Elżbieta Hurnikowa, obecnie najwybitniejsza znawczyni życia i twórczości Poetki. Organizatorzy przygotowali wystawę poświęconą Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej.

2014 – 5. Jubileuszowa edycja Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „O wers Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej”, jak co roku, miała swoją niepowtarzalną oprawę i program. W przeddzień finału odbyło się spotkanie z Mariolą Pryzwan, w cyklu spotkań W PAŁACU *literacko*. Naturalnie, bohaterką wieczoru była Lilka, ulubiona poetka Autorki. Podczas finału zaprezentowało się grono Laureatów, a oprócz nagrody Grand Prix oraz podarunków ufundowanych przez organizatorów, uczestnicy konkursu i goście otrzymali Antologię „O wers Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej” z wierszami wszystkich nagrodzonych w pięciu edycjach. Jak się później okazało, była to edycja, która zakończyła nasze działania przy konkursie poetyckim, promującym Poetkę, Marię Pawlikowską-Jasnorzewską. Jednak to nie znaczy, że Rafał Podraza porzucił misję kontynuacji dzieła swojej ciociecznej babki, Magdaleny Samozwaniec. Nic podobnego.

2016-2018 – To lata wypełnione może mniej spektakularnymi działaniami, ale mój prezentowany bohater uczestniczył lub inicjował wydarzenia z Pawlikowską-Jasnorzewską w tle. Na przykład, zaproszono go, jako konsultanta, do filmu o Rodzinie Kossaków, w tym były i rozmowy o Lilce. Promował na spotkaniach autorskich książki Poetki, w tym „Wojnę szatan spłodził. Zapiski 1939-1945”, która to publikacja miała wiele dodruków. Patronował wydaniom wznawianych tomów poetyckich. Był zapraszany na wykłady uniwersyteckie, by opowiadać o wybitnej Kossakównie. Przy okazji licznych spotkań z promocją Magdaleny Samozwaniec czy Wojciecha Kossaka, nie sposób było nie mówić o Marii.

2019 – Tego pamiętnego roku, a czerwiec był upalny, Rafał Podraza wraca do Książnicy Pomorskiej i proponuje zorganizowanie Sympozjum naukowego o... kobietach z rodu Kossaków. Jest akceptacja i działanie. Zaproszenia przyjęte. Pani prof. Elżbieta Hurnikowa zaprezentuje Marię Pawlikowską-Jasnorzewską; dr Joanna Jurgała-Jureczka opowie o Zofii Kossak-Szatkovskiej; dr Katarzyna Kobro-Okołowicz przypomni Ninieczkę, Jadwigę Witkacową, a Rafał Podraza sportretuje Magdalenę Samozwaniec. I odbyło się piękne spotkanie w sali Stefana Flukowskiego w Książnicy Pomorskiej, z udziałem bardzo licznej publiczności. Moderowała rozmowę Jolanta Liskowacka, kierownik Działu Zbiorów Specjalnych. Były też medale szczecińskiego ZLP „Gloria Cultura” dla zaproszonych Pań od prezesa ZLP w Szczecinie, Leszka Dembka. Radio Szczecin i TVP Szczecin wyemitowały nagrania z wieczoru. Powstał film-dokument o Kossakównach. Z okazji tego znaczącego wydarzenia Książnica Pomorska i oddział Związku Literatów Polskich w Szczecinie wydały publikację o prezentowanych na sympozjum bohaterkach – „KOSSAKÓWNY”. To eseje o: Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej w opracowaniu prof. Elżbiety Hurnikowej; Magdalenie Samozwaniec w tekście Rafała Podrazy; o Zofii Kossak-Szatkovskiej – dr Joanny Jurgały-Jureczki oraz opowieść o Ninie, Jadwidze Witkacowej – dr Katarzyny Kobro-Okołowicz.

2020-2022 – ...a potem nastąpiła pandemia, co nie przeszkodziło Rafałowi Podrazie w działaniach. Poszukiwał i odkrywał pamiątki po Kossakach, a szczególnie po Madzi Samozwaniec i Jej Siostrze Poetce. Każdy artefakt był rejestrowany i pieczołowicie przechowywany. Obrazy, plakaty, rękopisy, zdjęcia, pierwsze wydania książek, bibeloty, puzderka, figurki z alabastru czy porcelany, rozproszone po świecie drobiazgi z Kossakówki. I wszystko zachwycało kolekcjonera, bo każda rzecz opowiadała swoją historię i dopowiadała mu niedomówione... z listów, wspomnień, powieści czy wierszy, z fotografii. Był to niewidoczny czas, jednak bardzo obfity w zbiory. Zaczęły też powracać dawno odłożone pomysły, zaniechane działania... przypominały o nadchodzących rocznicach... Odległe echa głosu Magdaleny Samozwaniec, by pamiętać o Jej Siostrze Poetce...

2023 – Było to 2 listopada, w Dzień Zaduszny. Stał biograf Kossaków (jak co roku) na Powązkach przy grobie Magdaleny Samozwaniec. Zaduma, wspomnienia, refleksje... i powróciła myśl „...za dwa lata przypada 80. rocznica śmierci Lilki, może by spróbować po raz kolejny zadziałać, może sprowadzić Ją do Polski, jak pragnęła Madzia... a może zabiegać o... Rok Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej!” Od myśli do słowa... poszły listy do ministra. Potem telefony, rozmowy... Utknęło.

2024 – Kolejna próba. Znowu listy, telefony, rozmowy na spotkaniach. Oficjalne pisma. Wydeptywanie ścieżek z coraz większą determinacją, ale i nadzieją. Skuteczna pomoc Pani senator, Magdaleny Kochan i Jej współpracowników. Debata na posiedzeniu senatu. Przychylność samej Pani Marszałek Senatu, Małgorzaty Kidawy-Błńskiej. Skutkuje. I JEST! Uchwała Senatu RP z 29 października 2024 roku, ustanawia ROK 2025 Rokiem Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej! Echem rozchodzi się wiadomość. I nagle wszyscy przypominają sobie Poetkę. Zabiegają o patronaty, planują wydarzenia, wydania, wystawy, festyny! Rafał jest gotowy już następnego dnia!

30 października w Studio S1 Polskiego Radia Szczecin prezentuje wraz z Małgorzatą Frymus czytanie performatywne swojej właśnie wydanej przez Szczecińską Agencję Artystyczną książki „Zapiski z umierania Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej”. Czytała Anna Januszewska, znakomita aktorka Teatru Współczesnego w Szczecinie, przy fortepianie zasiadał Krzysztof Baranowski. Nastrój stworzony przez wykonawców niesamowity. Ekspresja Pani Anny nie do powtórzenia! Na podstawie tego oryginalnego spektaklu powstał film, zrealizowany przez Łukasza Nyksa.

Szczecin zareagował już po miesiącu...

17 grudnia – „Stowarzyszenie Oficyna oraz Instytut Literatury i Nowych Mediów Uniwersytetu Szczecińskiego zapraszają na seminarium literackie pn. Patronat Literacki 2025 roku – Maria Pawlikowska-Jasnorzewska”. W Bibliotece Międzywydziałowej US odbyło się spotkanie z pokazem filmu – z czytania performatywnego książki w opracowaniu Rafała Podraza *Zapiski z umierania Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej* – w reżyserii Małgorzaty Frymus, z udziałem aktorki Teatru Współczesnego, Anny Januszewskiej w roli Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Po filmie odbyła się rozmowa z udziałem biografów Rodziny Kossaków (prof. Elżbieta Hurnikowa, Rafał Podraza), a następnie debata z udziałem literaturoznawców US (prof. Agata Zawiszewska-Semeniuk, prof. Inga Iwasiów, prof. Tatiana Czerska, prof. Piotr Krupiński, prof. Piotr Michałowski oraz inni zaproszeni goście). Rozmawiano m.in. na temat współczesnego odczytu twórczości Poetki.

2025 – Obfitość wydarzeń! Kalejdoskop pomysłów! Rafał Podraza w swoim ulubionym żywiole – Pomysły i Działania! A oto kalendarz tych najważniejszych i znaczących.

Luty – wystawa „Kossakowie” w Willi Caro w Gliwicach.

Kwiecień – „Humanistyczny Szczecin” cykl spotkań w Willi Lentza – 6. spotkanie zorganizowane przez prof. Urszulę Chęcińską z US – a w programie: „Memoria: Maria Pawlikowska-Jasnorzewska” – z „Panem od Kossaków” rozmawiała Małgorzata Frymus; wiersze Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej czytała Krystyna Maksymowicz, aktorka Teatru Współczesnego. Gościła wszystkich w willi pani dyrektor, Jadwiga Kimber. Pięknym dopełnieniem tego wiosennego popołudnia było posadzenie Magnolii Lilki w ogrodzie Willi Lentza, obok daglezi Tadeusza Różewicza.

Maj – promocja „Zapisków z umierania”, Teatr Letni im. Heleny Majdaniec, fragmenty dziennika czytała Olga Adamska, aktorka Teatru Polskiego w Szczecinie.

Czerwiec – Imieniny Jana Kochanowskiego organizowane przez Bibliotekę Narodową, a poświęcone Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, z udziałem m.in. Rafała Podrazy, Marioli Pryzwan, Joanny Jurgały-Jureczki.

Spotkanie z Autorem „Magdaleny, córki Kossaka” i jego opowieścią o Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej w szczecińskim Saloniki u Anny Neugebauer.

O Lilce – spotkanie w Klubie Księgarza z udziałem Mai Komorowskiej, spotkanie autorskie Rafała Podrazy w Gliwicach.

Lipiec – odsłonięcie wystawy „Lilka” w Łazienkach Królewskich w Warszawie.

Wrzesień – Uroczyste obchody 80. rocznicy śmierci Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej w Manchesterze z udziałem MKiDN i Konsulatu RP.

26 września – Książnica Pomorska w Szczecinie – Galeria Jednego Wiersza, przedsięwzięcie we współpracy ZLP O. Szczecin i Książnicy Pomorskiej. Odsłonięcie plakatu z wierszami pt. „Z Jasnorzewską w tle” i biogramem Rafała Podrazy; w sali Zbigniewa Herberta premiera dokumentu „Lilka. Opowieść o Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej”,



Maria Pawlikowska-Jasnorzewska w rysunku Mariana Bohusza-Szyszki (własność prywatna)

film w reżyserii Małgorzaty Frymus, realizacja Łukasza Nyksa, z muzyką Krzysztofa Baranowskiego. Rozmowa o Lilce – Małgorzaty Frymus z Autorem „Zapisków...”.

Październik – Otwarcie – z udziałem Rafała Podrazy i rodziny Kossaków Muzeum im. Zofii Kossak w Górkach Wielkich – sympozjum o Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej w Miejskiej Bibliotece Publicznej (Małgorzata Czyńska, Joanna Jurgała-Jureczka, Rafał Podraza).

Sympozjum poświęcone Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej w Londynie.

Listopad – Spotkanie autorskie o Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej przy okazji festiwalu literatury w Książnicy Stargardzkiej.

Spotkanie autorskie o Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej w Warszawie.

24 listopada – Sympozjum o Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej w Łazienkach Królewskich w Warszawie z udziałem: Małgorzaty Czyńskiej, Marioli Pryzwan, Anny Kamińskiej, Rafała Podrazy. Uroczyste uhonorowanie Rafała Podrazy Brązowym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”, przyznany 4 września 2025 r. przez Panią Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Martę Cienkowską.

Cały rok 2025 – Audycje w Radio dla Ciebie, Radiu Szczecin, Radiu Londyn, Radiu Manchester, 1 PR. Polskiego Radia, 2 PR. Polskiego Radia.

29 listopada – Oficjalne zakończenie Zachodniopomorskich obchodów roku Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej połączone z prapremierą pieśni Feliksa Nowowiejskiego do słów Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Radio Szczecin.

* * *

Myślę sobie, że może i w tej chwili (jak 15 lat temu) Madzia i Lilka... (...) (siedzą) *gdzieś w kosmosie z Chopinem, Gałczyńskim, Leśmianem i Staffem, i wszyscy oni nie mogą się wydziwić i nacieszyć, że mimo nowoczesnej muzyki Chopin jest wciąż grany i słuchany, że Jej wierszy uczy się młodzież na pamięć, a młodzi poloniści piszą o ich twórczości prace dyplomowe.***

A o ich zasłużoną „nieśmiertelność” dba nieustannie Rafał Podraza, spełniając pragnienie swojej ciotecznej babki, by trwała pamięć o Jej Siostrze Poetce...

28.09.2025

* Magdalena Samozwaniec, *Zalotnica niebieska*, Wydawnictwo Glob, Szczecin 1988, s.307.

** ibidem

Konkurs Poetycki imienia Józefa Bursewicza 2016–2025

Rok 2025 jest dla szczecińskiego oddziału Związku Literatów Polskich rokiem wyjątkowym, jubileuszowym, w listopadzie obchodzić będzie uroczyste 75-lecie twórczej działalności. W okresie tym zawiera się również jubileusz związany z organizowaną co roku od 10 lat Zachodniopomorską, a w jej ramach Szczecińską Wiosną Poezji. Szereg wydarzeń wypełniających od dekady kolejne Wiosny Poezji, służy popularyzowaniu tej dziedziny w regionie, w kraju, na świecie za pomocą wyszukanych, wciąż modernizowanych środków przekazu.

Ukoronowaniem tych działań są coroczne edycje Konkursu Poetyckiego im. Józefa Bursewicza „O Złotą Metaforę”. Patronem konkursu jest twórca Grupy Poetyckiej „Metafora”, w skład której, na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego wieku, wchodził mieszkający w Szczecinie artyści: Andrzej Maria Dzierżanowski, Ryszard Grabowski, Janusz Krzymiński i Edward Balcerzan, a organizatorem – Związek Literatów Polskich Oddział w Szczecinie.

Konkurs imienia Józefa Bursewicza od samego początku cieszył się dużym zainteresowaniem wśród twórców w Polsce i na świecie, dlatego od 2023 roku zyskał miano „Międzynarodowego”; dla przykładu, w ubiegłym roku do poetek i poetów z Polski dołączyli artyści z: Austrii, Niemiec, Stanów Zjednoczonych, Szwecji, Ukrainy i Wielkiej Brytanii.

Wśród minionych edycji tego poetyckiego współzawodnictwa zdarzały się „dwutorowe”. Taka była pierwsza odsłona konkursu, w której oprócz laureatów „Złotej Metafory” wyłoniono również zwycięzców rywalizacji o „Złotą Metaforę Szczecińską”. Również w roku 2018, w związku z tysiącleciem odzyskania przez Polskę niepodległości, poetki i poeci przysyłali na konkurs dodatkowo wiersze mieszczące się w kategorii „Metafora Niepodległa”. Szczególna sytuacja wydarzyła się w roku 2022, kiedy w związku z agresją wojsk rosyjskich

na Ukrainę, konkurs odbywał się w kierunku wyłonienia najlepszych utworów objętych mianem „Metafory Antywojennej”.

Z opisywanym szczecińskim konkursem łączy się szereg artystycznych inicjatyw. Obfitowały w nie szczególnie konkursy organizowane w pierwszych latach; kiedy zakończenie każdego z nich, wpisane w finał Szczecińskiej Wiosny Poezji, stanowiło swoistą, artystyczną Uroczystość na cześć Poezji, Przyjaźni, Pokoju, Piękna; bowiem w takim duchu odbywały się koncerty, w których muzyka grana przez młodych, profesjonalnych artystów i recytowane przez aktorów (m.in. ze szczecińskiego Teatru Współczesnego) poetyckie Słowo, przenikało się i przemawiało do słuchaczy ze zdwojoną siłą. Niezwykłe było też tło tych „spektakli” – tonący w kwiatach szczeciński Ogród Różany. Wzbogaceniu wizualnych doznań służyły również Plenerowe Wystawy Wierszy usytuowane wzdłuż alei pod pergolą na „Różance”, eksponujące (między innymi) wiersze laureatów konkursu. Ostatnie trzy lata przyniosły zmiany, gale finałowe przeniesione zostały w gościnne progi szczecińskiej, zabytkowej Willi Lentza.

W roku 2025 zakończenie poetyckiego konkursu imienia Józefa Bursewicza, ze względu na wspomniany Jubileusz, miało szczególnie uroczysty wymiar. Mieliśmy przyjemność gościć zdobywczynię Grand Prix – Monikę Elżę Rokicką, która przybyła do Willi Lentza z Warszawy i otrzymała piękną, kryształową statuetkę, stanowiącą od pierwszej edycji nagrodę główną. Niestety zarówno laureat drugiego miejsca – Cezary Żarna z Legionowa, jak i Katarzyna Jezierska ze Skarżysko-Kamiennej nie mogli przybyć na naszą uroczystość. Wzięły w niej za to udział dwie laureatki równorzędnych wyróżnień – Aleksandra Dybowska z Pruszkowa oraz Monika Miłosz z Dobiegniewa; zabrakło tylko Arkadiusza Stosura z Krakowa, trzeciego wyróżnionego. W tegorocznym konkursie, oprócz uhonorowania twórców wierszy nagrodzonych, wyróżnionych oraz czternastu wierszy „zauważonych”, przyznana została też Nagroda Specjalna, ufundowana przez Panią Dyrektorkę Willi Lentza – Jadwigę Kimber. Otrzymał ją Cezary Żarna za wiersz * * * (*Mówisz – nie pisz*). Wszystkie nagrodzone



wiersze znalazły się w Almanachu pokonkursowym, który jest wydawany od pierwszej edycji konkursu.

Uczestnicy Gali Pokonkursowej przybyli do pięknej, zabytkowej Willi Len-tza mieli możliwość wysłuchania wierszy Laureatek i Laureatów konkursu w ramach wyjątkowego koncertu słowno-muzycznego „...jak dobrze, że jest wiersz”, w którym wystąpili artyści z Teatru Współczesnego w Szczecinie – Krystyna Maksymowicz i Konrad Pawicki, profesjonalnie recytujący wiersze, Przemysław Walich, z powodzeniem wcielający się w rolę konferansjera, a tak-że Michał Dąbrowski, wirtuoz akordeonu, doktorant szczecińskiej Akademii Sztuki, wzbogacający swoją grą siłę artystycznego wyrazu. Stworzyli oni praw-dziwie wykwintną poetycką ucztę, według scenariusza i pod opieką artystycz-ną Krystyny Maksymowicz.

Dziesiąta edycja Międzynarodowego Konkursu Poetyckiego im. Józefa Bursewicza już przeszła do historii. Jeśli jubileuszowa edycja może skłaniać do podsumowań, to na pewno jest on na szczecińskiej scenie literackiej waż-nym wydarzeniem, spełniającym zamierzone cele. Daje szansę na zaistnienie nieznanym szerszemu kręgowi poetkom i poetom. Uczestnicy mogą stanąć

Od lewej: Małgorzata Hrycaj, Leszek Dembek, Monika Eliza Rokicka – laureatka Grand Prix



w szranki i zmierzyć się z oceną własnej twórczości. Mogą wreszcie poznać się osobiście, uczestnicząc w spotkaniach wieńczących Szczecińską Wiosnę Poezji, honorujących jednocześnie laureatów konkursu.

Dlatego inicjatywa ta wspomagana jest zarówno przez instytucje, jak i osoby prywatne. W tym roku, oprócz wsparcia ze strony Urzędu Miasta Szczecin oraz wspomnianej Pani Dyrektor Willi Lentza, Jadwigi Kimber, do darczyńców na rzecz konkursu dołączyli: Zofia Wojtysiak, Prezes Zachodniopomorskiego Stowarzyszenia Twórców Kultury, sponsorka obrazu dla zdobywczyni trzeciego miejsca i Ryszard Podporski, autor grafik przeznaczonych dla trojga laureatów wyróżnionych.

Poziom nadsyłanych wierszy od lat oceniany jest jako wysoki, nie tylko przez jury, ale i przez osoby biorące udział w uroczystych galach pokonkursowych, jako prezenierzy czy odbiorcy. Laureaci bardzo często doceniani są również w innych poetyckich konkursach. Ich wiersze stają się głosem, czasem wręcz krzykiem o poprawę kondycji świata, w którym przyszło nam żyć; pretendują do siły sprawczej, zdolnej poruszyć ludzkie sumienia.

Takie przesłanie niosły ze sobą również utwory, które wybrzmiały w Willi Lentza 17 czerwca 2025 roku podczas finału X Międzynarodowego Konkursu „O Złotą Metaforę”. Po wysłuchaniu wzruszającego koncertu, goście dzielili się odczuciami przy poczęstunku hojnych Gospodarzy Willi Lentza. Wrażenia te można zamknąć w słowach tytułowych „...jak dobrze, że jest wiersz”.

Emilia Mehmedov

Mój debiut na XV Nocy Poetów

Marzenia są jak brokat na białym papierze – urozmaicają nasze życie. Mają w sobie magię, dzięki nim wychodzimy z szarej monotonii dnia codziennego. Po ich zrealizowaniu czujemy cudowny stan, który lubię nazywać wewnętrznym spełnieniem. Wierzę w to, że żyjemy nie po to, aby iść do szkoły, pracować,

wychować dzieci i umrzeć. Czuję, że w życiu chodzi o coś więcej i marzenia są dla mnie w tym poszukiwaniu sensu, jak latarka, która wskazuje mi na coraz większą liczbę powodów do wstawania z łóżka. To fakt, że aby spełnić swoje marzenia należy niejednokrotnie wykazać się wiarą we własne możliwości, ciężką pracą, pomysłowością i cierpliwością. Marzenia nie są dla osób o słomianym zapale! Wręcz przeciwnie, wymagają wytrwałości i zdecydowania w tym, czego się chcę, a ja to wiedziałam już od 2020 r.

29 sierpnia 2025 r. w Miejsko-Gminnym Ośrodku Kultury i Sportu w Reczu odbyła się XV (jubileuszowa) „Noc Poetów”. To był dla mnie bardzo ważny wieczór! Odkąd założyłam na siebie jasnoniebieską sukienkę, czułam w moim sercu radość i ekscytację na myśl o przebiegu tej kulturalnej imprezy. Noc Poetów jest wspianą inicjatywą dla artystów, którzy jeszcze nie wyciągnęli swoich utworów z szuflady. To wydarzenie umożliwia im ujawnienie swoich wierszy szerszemu gronu odbiorców. Również możliwe jest wydanie własnego tomiku poezji. Powiem wprost, że marzyłam o tym od bardzo dawna i cała moja wiara, przeplatana intensywnym wysiłkiem, tej nocy wydała swój owoc!

Jako debiutantka, przybyłam na to wydarzenie nieco wcześniej. Na wejściu, wyznaczono mi miejsce, w którym miałam za zadanie być oraz wpisywać dedykację dla wszystkich zainteresowanych. Serce zabiło mi mocniej, kiedy zobaczyłam plakat z okładką mojego pierwszego tomiku wierszy pt. „Głębiny”, a zabiło mi jeszcze szybciej, kiedy pewien mężczyzna zapytał, gdzie mógłby mi zanieść 200 egzemplarzy, które miałam przyjemność wziąć ze sobą. Rozszerzyłam oczy, a przez moją głowę przebiegła myśl z prędkością światła – „Ile?”. Zanieśliśmy je w dużym kartonie do auta mojej mamy. W międzyczasie, załatwiliśmy także formalności – podpisałam umowę licencyjną z Fundacją Wspierania Kultury „Noc Poetów”.

Kiedy wybiła godzina 18.00, na sali w Reczu zebrało się mnóstwo ludzi. Tę inkluzywną, kulturalną imprezę przeprowadziło niezawodne trio: Pan Piotr Pawłowski, żartobliwy Pan Grzegorz Haciski oraz ks. Sławomir Kokorzycki. Jubileusz rozpoczęto od odsłonięcia drewnianej, około dwumetrowej rzeźby rycerza, stworzonego przez utalentowanego artystę Recza – Pana Piotra Pazdana. Wspólnie obejrzelśmy krótki filmik przedstawiający proces tworzenia tego dzieła. Artysta w swoim przemówieniu dodał, że wszystko zrobił ręcznie za pomocą różnych dłutek i wyjątkowo w tym przypadku nie używał piły tańcuchowej. Drewnianą rzeźbę wykonano ze 150-letniego dębu (na żywo wygląda majestatycznie). Ks. Sławomir wpadł na pomysł, aby w związku z tą rzeźbą ogłosić konkurs na imię dla owego rycerza. Po oficjalnym przecięciu wstęgi,

nadeszła pora na ważne przemówienia. Między innymi głos zabrali: burmistrz Recza – Dawid Koźmiński, starosta Powiatu Choszczeńskiego – Wioletta Kaszak, Leszek Dembek ze Związku Literatów Polskich w Szczecinie oraz jeden z przedstawicieli Zachodniopomorskiego Banku Spółdzielczego, z którym fundacja wiernie współpracuje. Poezja jest pięknem sztytem w słowach i podkreślono to podczas wypowiedziania tych poruszających przemówień, które były pełne ciepłych życzeń dla wszystkich uczestników Nocy Poetów. Po przemówieniach wręczono stypendia dziesięciu najlepszym uczniom szkół podstawowych w powiecie choszczeńskim, którzy osiągnęli wysokie wyniki na egzaminach ósmoklasisty. Stypendystom założono darmowe konto, z comiesięcznymi wpłatami 100 zł przez cały rok, wręczono prezenty i nagrody.

Po ważnych przemówieniach, o godzinie 19.00 nadeszła długo wyczekiwana chwila przez dużą część publiki – występ gwiazdy wieczoru. Tego roku, po raz drugi w historii Nocy Poetów, zawitał polski aktor oraz piosenkarz Budki Suflera, Jacek Kawalec. Mogłabym powiedzieć, że Pan Jacek potrafi zaśpiewać wszystko. W trakcie następnej godziny i pół rozruszał całą salę swoim potężnym głosem. W jego różnorodnym repertuarze znalazły się mające kilka lat angielskie, jak i polskie piosenki. Szczególnie zrobiło na mnie wrażenie jego wykonanie dwóch utworów Czesława Niemena pt. „Dziwny jest ten świat” oraz „Płonąca stodoła”, ale słyszeliśmy o wiele więcej! W tym także autorskie piosenki Pana Jacka. To był niezwykle koncert przeplatany żartami oraz głębokimi przemyśleniami aktora. Pan Jacek wyznał, że od zawsze marzył, aby śpiewać takim przebojowym głosem, jak sławni w świecie muzyki Afroamerykanie, np. Ray Charles. Przy tym zaśpiewał piosenkę „Hit The Road Jack” i trzeba przyznać, że udało się mu opanować tę sztukę. Szczególnie tłum się ożywił, kiedy Pan Jacek zaśpiewał utwór Perfect „Kochaj mnie”. Nagle wszyscy uruchomili latarki w telefonach i podnosząc je jak najwyżej kołysaliśmy się w rytm tej pięknej melodii. Wspaniale się bawiłam, usłyszałam wiele utworów, śpiewałam, a koncert był tak rewelacyjny, że niektórzy pod koniec nawet zaczęli tańczyć!

Na Nocy Poetów można pożywić ducha, jak i ciało, ponieważ po występie Jacka Kawalca nadeszła przerwa, w której uczestnicy mogli poczęstować się kiełbasą z grilla, napojami oraz słodkościami. Ja na przerwach, jako debiutantka, trwałam przy swoim stanowisku. Siedząc na miękkim krześle, obok plakatu promocyjnego przy stoliku z moją poezją, nie sądziłam, że ktoś do mnie podejdzie. Myliłam się! Wielu ludzi podeszło po tomik i autograf! Wyjątkowym uczuciem było dla mnie pisanie dedykacji dla różnych osób – czułam się jak



Rynek miasta w Reczu. Od lewej Emilia Mehmedov, Irena Zimna. (zdj. Elżbieta Nowak)

Rynek miasta w Reczu – Emilia Mehmedov (zdj. Dorota Ciesiołkiewicz-Mehmedov)

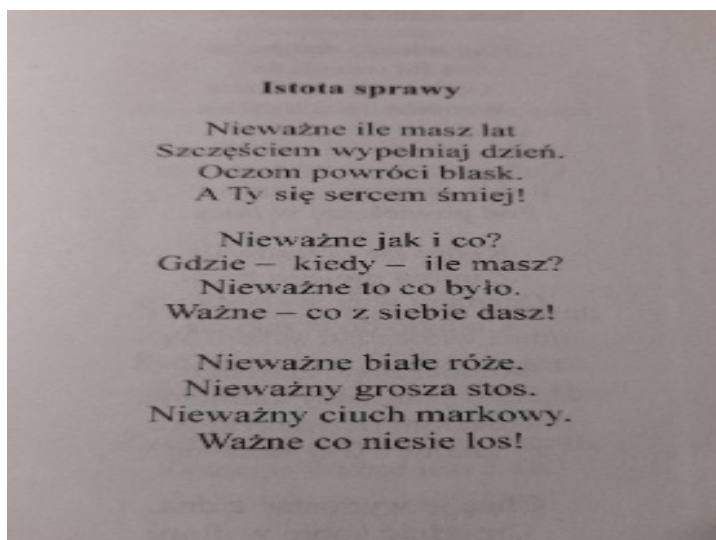
gwiazda, która błyszczy w pełnej sile na niebie. Uśmiech nie schodził mi z twarzy, a serce skakało z radości. Udzieliłam też krótkiego wywiadu dla okolicznych mediów oraz pozowałam do zdjęć.

Po owocnej przerwie o 21.00 nadszedł główny fragment Nocy Poetów zwany „wszechnicą poetycką”, gdzie po kolei wyczytywani artyści mogli zaprezentować kawałek swojej twórczości. Ta część według tradycji została rozpoczęta hymnem Nocy Poetów pt. „Po co komu poezja?” zaśpiewanym i zagrany przez Grzegorza Haciskiego. Wzruszającym dla publiki momentem było to, gdy Piotr Pawłowski zarecytował po piosence wiersz dla swojej żony o tytule „Ty”. Od tego momentu zaczęła się ogromna, poetycka uczta pełna wzlotów i upadków. Usłyszałam wiersze o patriotyzmie, Bogu, miłości, śmierci, cierpieniach, nadziei na lepsze dni, mnogich refleksjach, odczuwanych rezygnacjach i drobnostkach, które tak naprawdę tworzą nasze życie. Każdy z występujących przekazał nam część siebie, odstawiając swoją wrażliwość. Bardzo podoba mi się w Nocy Poetów ta wszechobecna przyjazna atmosfera – sala rozbrzmiewała brawami! Każdy otrzymał podarunek od fundacji i ciepłe słowa. Nikt nikogo nie krytykuje – po prostu wszyscy rozkoszujemy się w sztuce, przeżywając katharsis. Niezwykle też w tym jubileuszu było to, że spotkaliśmy się z różnymi formami poezji, ponieważ znaleźli się uczestnicy, którzy śpiewali

swoje utwory. Po raz pierwszy usłyszałam też o wierszach w stylu Haiku (krótka, japońska poezja).

Wszechnica poetycka, z przerwą po środku, trwała do około 23.30 i była przeplatana wpadającymi w ucho śpiewanymi piosenkami Haciskiego (autorstwa Kokorzyckiego, Dembka, Pawłowskiego). Na sam koniec, przyszła pora na zaprezentowanie się tegorocznych debutantów – mnie oraz Ireny Zimnej. Czułam wielką radość. Wyszłam na scenę i zarecytowałam dla publiczności swój ulubiony wiersz „Uśmiech” oraz wiersz „true love”. Irena wyrecytowała swoje 3 wiersze i po tym nadeszła ostatnia część Nocy Poetów – palenie debiutów! Wszyscy wyszliśmy na zewnątrz. Powoli dochodziła północ, było chłodno, a powietrze spowijała gęsta mgła. Obok nas czuwała straż pożarna. Stałam przed wielkim, metalowym stojakiem, razem z Ireną Zimną i czułam, jak moje marzenia się spełniają. Obie podeszłyśmy do metalowego stojaka i chwyciłyśmy za białe wstążki, które po szarpnięciu na „raz dwa trzy” rozwinęły wielkie plakaty z naszymi utworami.

Na swoim miałam mój wiersz „prawo do JA”. Kiedy publika zapoznała się z treścią, po przemówieniu ks. Sławomira pełnego nadziei, że poezja rozwija się wraz z naszymi debiutami, polecono mi i Irenie chwycić za metalowe, długie pochodnie. Popatrzyłam z iskrami radości na Irenę i równocześnie przyłożyliśmy ogień do swoich plakatów. Na początku nasze wiersze nie chciały się palić, ale z czasem spłonęły.



Wiersz Ireny Zimnej
„Istota sprawy”

prawo do „Ja”

*przyzwyczailiśmy się
do słów które chcą usłyszeć inni*

przyzwyczailiśmy się do schylania głowy przed tłumem

do chowania wzroku

do chowania siebie

swojego Ja

w różnorakie kostiumy uszyte przez słynne

„CO LUDZIE POWIEDZA”

Odważ się

wyjdź

życie jest za krótkie

być kimś?

kim się nie jest?

że tak jest prościej?

To nieopłacalny biznes

Masz prawo do JA

Kiedy tak stałam i widziałam, jak moja poezja płonie w ogniu, czułam w sercu wyjątkowe uczucie. „Jestem poetką” przebrnęło mi przez głowę i poczułam, że już oficjalnie należę do tego artystycznego grona. Gdy wszystko się spaliło, Noc Poetów pełna braw dobiegła końca. Wszystko zostało nagrane przez telewizję Echo. Po ceremonii, ciepło przytuliłam Irenę Zimną i zostawiłam sobie białą wstążkę na pamiątkę z tego wydarzenia.

Pani Irenko! Chciałabym Pani podziękować, ponieważ stała się Pani moim punktem kulminacyjnym w spełnieniu marzeń. Dziękuję każdemu, kto przyczynił się do powstania mojego pierwszego tomiku (w szczególności dziękuję Fundacji Nocy Poetów), dziękuję za wasze wsparcie. Kiedy wracałam późną nocą do Brenia, do domu z moją mamą i siostrą (wioząc w bagażniku 200 egzemplarzy mojej poezji) nie mogłam uwierzyć w to, co się dzieje. Ta noc była dla mnie jak piękny sen, z którego nie chciałam się budzić. Czułam to cudowne wewnętrzne spełnienie i chciałam zostać w tym stanie jak najdłużej się da. I dalej jestem, bo jestem już poetką! Pracowałam na to wiele lat i wiedziałam, że kiedyś nadejdzie taki magiczny wieczór.

XV-jubileuszowa – Noc Poetów w Reczu była dla mnie wielkim i przełomowym wydarzeniem. Następnego dnia, dla upamiętnienia działalności fundacji,

odbyła się prezentacja wspomnień z osiągnięciami z ostatnich piętnastu lat. Z całego serca zachęcam wszystkich miłośników poezji do brania udziału w takich kulturalnych imprezach. Jeżeli piszesz – śmiało możesz tam zaprezentować swoje utwory, a jeżeli lubisz słuchać poezji, to daję Ci słowo, że wyjdiesz stamtąd w duchowym uniesieniu. Takie wieczory są potrzebne w naszej kulturze i bardzo dziękuję wszystkim organizatorom Nocy Poetów za to, że mogłam, razem z Ireną Zimną, stać się tegoroczną debiutantką oraz oficjalnie przyłączyć się do grona poetek i poetów. Do końca życia zapamiętam tę noc. Spełniłam swoje marzenia i Ty też możesz.

Danuta Sepuco

Literaci uczcili jubileusz. 75-lecie szczecińskiego oddziału ZLP

Ważna jest nasza literacka obecność nad Odrą, gdzie jest nasz port, port wszelkiej nadziei – zapewniał Leszek Dembek, prezes szczecińskiego oddziału ZLP, witając uczestników obchodów 75. rocznicy istnienia tej organizacji.

W piątkowy wieczór, 14 listopada, w przeddzień swojej rocznicy, w Książnicy Pomorskiej szczecińscy literaci uczcili swój jubileusz, goszcząc przyjaciół, sympatyków, miłośników literatury i mecenasów. Ci ostatni są szczególnie ważni dla ludzi pióra, którzy z pasją propagują swoją aktywność.

Oddział szczeciński Związku Literatów Polskich zrzesza obecnie 24 członków rzeczywistych i 16 pretendujących, pracujących na formalne uznanie ich twórczości, choćby tomików wierszy, książek prozatorskich, wystawionych sztuk dramatycznych, publikacji eseistycznych lub przekładów książkowych. W ostatnim ćwierćwieczu Związek najintensywniej wspierał wydawniczo swoje środowisko. Ponad 90 książek ukazało się w ramach projektu wydawniczego seria:akcent, której, od pierwszej publikacji w 2012 r., funkcję redaktora

prowadzącego pełni Róża Czerniawska-Karcz. Wydano ponad 200 innych pozycji książkowych, m.in. antologie, almanachy pokonkursowe, pięć edycji rocznika „Pryzmat Literacki”. W ilości egzemplarzy daje to około 67 tys. wydanych woluminów. Książki te znajdują swoje miejsce we wszystkich bibliotekach w kraju. Każda z tych pozycji miała swoją premierę w formie spotkań literackich, autorskich i promocji, czyli ogólnie około 1 500 wydarzeń.

Dorobek Związku to także działalność kulturalna i edukacyjna. W ramach zadań publicznych przeprowadzono i współorganizowano blisko 50 projektów, a w tym: Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O wers Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej”; Ogólnopolski Konkurs Literacki „Na List Napisany Odręcznie” we współpracy z Gminą Bolesławiec; SZCZECIŃSKA WIOSNA POEZJI, w ramach której odbywają się: Międzynarodowy Konkurs Poetycki im. Józefa Bursewicza „O Złotą Metaforę” i towarzyszący mu Turniej Jednego Wiersza pod hasłem „Od Morza do Tatr” oraz wystawa wierszy w Ogrodzie Różanym, WIOSNA POEZJI i SZCZECIŃSKA PROMOCJA LITERATURY. W kooperacji z Książnicą Pomorską prowadzona jest GALERIA JEDNEGO WIERSZA. Szczeciński oddział ZLP sprawuje patronat nad konkursem muzyczny ZJAZD MŁODYCH GWIAZD oraz międzyszkolnymi projektami. Pisarze podejmują inicjatywy proponowane przez Miasto Szczecin, w tym coroczne spotkania organizacji pozarządowych. Dni Morza, dodając do ich programu własne wydarzenia, jak „Wodowanie Statków Poezji”, włączają się w ogólnopolską akcję Narodowe Czytanie. Jedną z nowatorskich imprez Związku były Prezentacje Literackie Impresji Filmowych PLIF, których inicjatorką była Magdalena Sowińska, szczecińska poetka. Impreza zadebiutowała w najstarszym w Europie kinie „Pionier”, jednak nie przetrwała próby czasu i zniknęła z kalendarza wydarzeń, ale obecnie autorka przygotowuje się do jej reaktywowania.

Kluczowym dla działalności Związku jest współpraca i wsparcie, bez których organizowanie wspomnianych imprez nie byłoby możliwe. Ze znaczącą przychylnością w te przedsięwzięcia włączali się: Miasto Szczecin, Urząd Marszałkowski Województwa Zachodniopomorskiego, Infra-Port, Zarząd Morskich Portów Szczecin i Świnoujście S.A., szczecińskie instytucje nauki, kultury i sztuki: Książnica Pomorska, Willa Lentza, Szczecińska Agencja Artystyczna, Pałac Młodzieży – Pomorskie Centrum Edukacji, INKU Inkubator Sektorów Kreatywnych, Akademia Sztuki, Uniwersytet Szczeciński, Klub 12. Szczecińskiej Dywizji Zmechanizowanej.

Szczecińskiego oddział ZLP ugruntował sobie mocną pozycję na mapie Polskiej działalności literackiej. Jego dokonania odbijają się echem w kraju

i zagranicą i są doceniane. W 2015 r. Zarząd Województwa Zachodniopomorskiego nadał organizacji Złotą Odznakę Honorową Gryfa Zachodniopomorskiego za zasługi na rzecz rozwoju kultury województwa zachodniopomorskiego. W roku 2017 Zarząd Główny ZLP w Warszawie uhonorował Nagrodą im. Jarosława Iwaszkiewicza za szczególne zasługi w upowszechnianiu literatury współczesnej. W 2020 r. z okazji 70-lecia powstania oddziału, władze Miasta Szczecina wystosowały okazjonalny list gratulacyjny.

Także i w tym roku szczecińscy literaci odebrali dowód uznania – minister kultury i dziedzictwa narodowego, Marta Cienkowska nadała oddziałowi odznakę honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej”. Odznakę na ręce Leszka Dembka przekazał Adam Rudawski, wojewoda zachodniopomorski. Piątkowa uroczystość była też sposobnością do docenienia imiennego twórców szczecińskich. Minister Cienkowska wyróżniła także Różę Czerniawską-Karcz i Rafała Podrazę Brązowym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. Laudację o poetce wygłosił prof. dr hab. Paweł Soroka. To wyróżnienie, w aurze oklasków i wiwatów, wręczył jej także wojewoda. Rafał Podraza, mimo obecności na wieczornicy, nie odebrał swojego medalu. Akt wręczenia odznaczenia odbędzie się 24 listopada w Warszawie, podczas sympozjum o Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej w Łazienkach Królewskich, której Podraza będzie gościem.

Działalność swoich członków docenił także sam oddział szczeciński ZLP. Decyzją Kapituły nagrody RÓŻA POETÓW im. Niny Rydzewskiej (najważniejszego wyróżnienia wewnętrznego), wyjątkowym, złotym kwiatem zostali uhonorowani Rafał Podraza i Leszek Dembek. Pozostali koledzy ze Związku otrzymali w uznaniu ich szczególnych zasług na rzecz promocji kultury w środowisku lokalnym i w regionie oraz w kraju ODZNAKĘ HONOROWĄ Związku Literatów Polskich. Jednym z jej adresatów był Janusz Krzymiński, poeta, scenarzysta, autor sztuk teatralnych, słuchowisk i audycji radiowych. To najstarszy pionier powojennego życia kulturalnego Szczecina i na Pomorzu Zachodnim. Mieszka w Szczecinie od 1947 r. i tu w 1955 r. współtworzył słynną Grupę Poetycką „Metafora”. Wielu członkom wręczono za aktywną twórczość literacką i działanie w szczecińskim środowisku LAUR KRYSZTAŁOWY.

Część artystyczną wieczoru wypełnił nastrojowy koncert piosenek ze słowami wierszy szczecińskich poetów. Muzykę skomponował Grzegorz Haciski, muzyk i poeta, który wykonał te utwory wraz z Martą Nawrocką i Malwiną Prokopienią. Wyjątkowym akcentem imprezy była impresja filmowa „Literacka Róża”, przygotowana przez Danutę i Janusza Słowików, przedstawiająca

w obrazach i muzyce postać Róży Czerniawskiej-Karcz, dla której była to niespodzianka i wzruszająca chwila. Na zakończenie spotkania wszystkich zaproszono do tortu jubileuszowego. Z talerzykiem w dłoni i aromatyczną kawą można było obejrzeć wystawę „Z kart historii i współczesności szczecińskiego oddziału Związku Literatów Polskich /1950-2025/”, która będzie gościć w Książnicy do 31 grudnia. Ta przeglądowa ekspozycja nie stanowi całościowego obrazu organizacji i do dziś nie ma też takiego opracowania. Od lat Leszek Dembek postuluje do środowisk naukowych o przygotowanie monografii, która rzetelnie przekazywałaby wiedzę o tym ruchu. Próby takiego ujęcia dokonał dr Sławomir Iwasiów w swojej książce „WODOWANIE. Literatura i inne media w Szczecinie. Lata 60. XX wieku” (2023), o której mówi: „Wodowanie to jednak monografia nie tylko o literaturze. Nie sposób pominąć roli pozostałych środków komunikacji w tworzeniu kultury miasta i regionu, stąd też w podtytule książki określenie »inne media«».

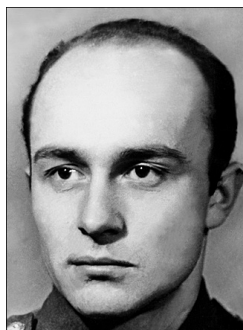
Leszek Dembek podkreśla, że obecny kształt i osiągnięcia literatury w naszym mieście nie byłby możliwe bez pionierów kultury, którzy po odzyskaniu Ziemi Zachodnich z wielką determinacją budowali to środowisko: „Składamy w tym szczególnym dniu wyrazy szacunku wszystkim pokoleniom pisarzy szczecińskich, którzy tu żyli i tworzyli, bez względu na czas”, dodając parafrazę myśli Józefa Czechowicza: *Jeśli możemy się przyczynić do pomnażania Piękna bodaj ziarnkiem piasku, bodaj jednym wierszem w całym życiu naszym, wielka jest nasza nagroda, poeci!*

Kurier Szczeciński, 24.11.2025 r.

Literaci szczecińskiego oddziału
Związku Literatów Polskich
1950–2025



Jerzy
Andrzejewski



Wiesław
Andrzejewski



Edward
Balcerzan



Henryk
Banasiewicz



Maria
Boniecka



Julian
Borzym



Zbigniew
Brzozowski



Józef
Bursiewicz



Anna Beata
Chodorowska



Józef
Czerni



Róża
Czerniawska-Karcz



Czesław
Czerniawski



Eugeniusz Andrzej
Daszkowski



Leszek
Dembek



Barbara Teresa
Dominiczak



Grzegorz
Dowłasz



Andrzej
Duboniewicz



Andrzej
Dzierżanowski



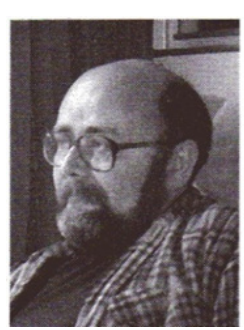
Ryszard
Dżaman



Wacław Włodzimierz
Falkowski



Robert
Florczyk



Piotr
Fluks



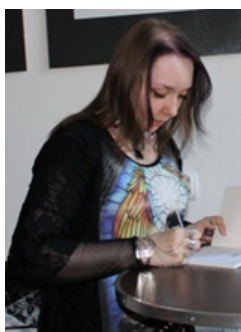
Jolanta
Frydrykiewicz



Józef
Gawłowicz



Franciszek
Gil



Małgorzata
Goluda



Ewa
Grabowska



Ryszard
Grabowski



Włodzimierz
Grycner



Małgorzata
Hrycaj



Zbigniew
Jahnz



Anna
Jakubczak



Bogusław
Janiczak



Ludmiła
Janusewicz



Jerzy
Jasiński



Wojciech
Jasiński



Artur
Justyński



Ireneusz Gwidon
Kamiński



Tymoteusz
Karpowicz



Zbigniew
Kosiorowski



Marian
Kowalski



Greg
Krupa



Janusz
Krzymiński



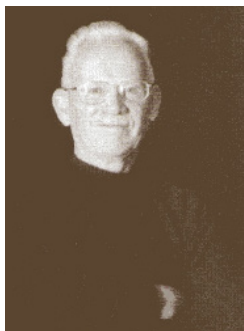
Joanna
Kulmowa



Maria
Kurecka



Czesław
Kuriata



Erazm
Kuźma



Walerian
Lachnitt



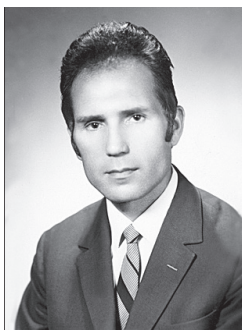
Ryszard
Liskowacki



Władysław
Łazuka



Michał
Misiorny



Adolf
Momot



Małgorzata
Nowak-Żukiel



Edmund
Osmańczyk



Jerzy
Pachlowski



Jan
Papuga



Aleksandra
Petrusewicz



Helena
Pilarska



Rafał
Podraza



Eliaż
Rajzman



Helena
Raszka



Edyta
Rauhut



Krystyna
Rodzewicz



Wiesław
Rogowski



Marek
Rudnicki



Nina
Rydzewska



Jacek
Sawaszkiewicz



Czesław
Schabowski



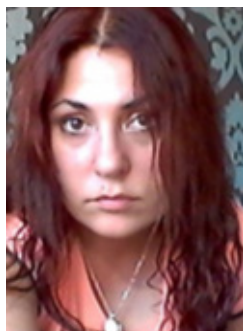
Edward
Siekierzyński



Piotr
Skorupa



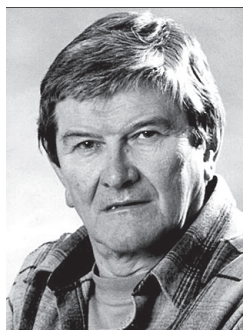
Danuta-Romana
Słowik



Magdalena
Sowińska



Katarzyna
Suchodolska



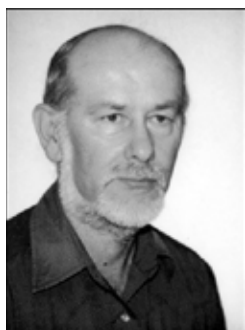
Ireneusz Krzysztof
Szmidt



Janusz Władysław
Szymański



Stanisław
Telega



Stanisław Wit
Wiliński



Witold
Wirpsza



Stanisław
Zajączek



Tadeusz
Zwilnian-Grabowski



Marian
Yoph-Żabiński

Do grona literatów szczecińskiego oddziału Związku Literatów Polskich należą również Tadeusz Brzozowski oraz Stanisław Szydłowski; pomimo podjętych starań nie udało się jednak pozyskać ich fotografii. Fotografie pozostałych osób pochodzą z archiwum ZLP Oddział w Szczecinie oraz ze zbiorów Encyklopedii Pomorza Zachodniego (pomeranica.pl) i Książnicy Pomorskiej w Szczecinie.

Opracowanie Klaudia Wiszniowska-Proksa i Maciej Proksa.

Jubileusz 75-lecia ZLP Oddział Szczecin
w Książnicy Pomorskiej 14 listopada 2025 r.
fotoreportaż



(zdj. Sebastian Wołosz, magazyn TRENDY)

(zdj. Sebastian Wołosz, magazyn TRENDY)



(zdj. Sebastian Wołosz, magazyn TRENDY)





(zdj. Sebastian Wołosz, magazyn TRENDY)

(zdj. Sebastian Wołosz, magazyn TRENDY)





(zdj. Sebastian Wołosz, magazyn TRENDY)

(zdj. Sebastian Wołosz, magazyn TRENDY)





(zdj. Sebastian Wołosz, magazyn TRENDY)

(zdj. Janusz Słowik)





(zdj. Janusz Słowik)

(zdj. Janusz Słowik)





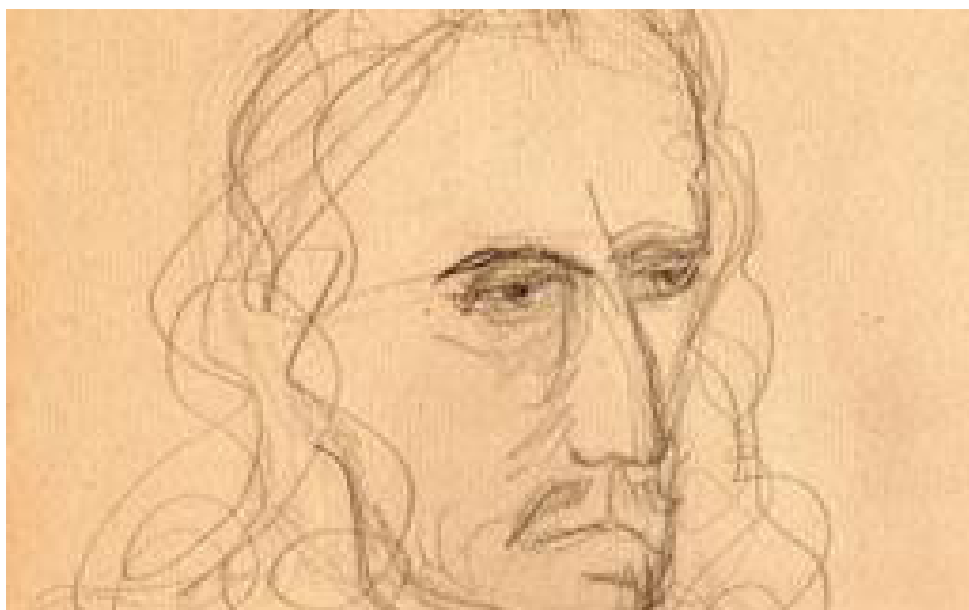
(zdj. Janusz Słowik)

(zdj. Janusz Słowik)



Galeria PRYZMATU

Andrzej Bursa – rysunek







Wojciech Czaplewski – grafika



